

John le Carré



Przyjaźń absolutna



Klasyczna powieść szpiegowska
w mistrzowskim wydaniu.

John le Carré

Przyjaźń absolutna

Z języka angielskiego przełożył
Jan Rybicki



Tytuł oryginału:
ABSOLUTE FRIENDS

Copyright © 2003 by David Cornwell
Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Bożena Sęk
Korekta: Emilia Grzeszczak, Aneta Iwan, Maria Zajęc

ISBN: 978-83-8110-250-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadrage.pl
www.soniadrage.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

Podziękowania

Przypisy

1

W dniu, w którym upomniało się o niego przeznaczenie, Ted Mundy miał na głowie melonik i kiwał się na drewnianej skrzynce w jednym z bawarskich zamków króla Ludwika Szalonego. Melonik nie pochodził niestety z Savile Row. Bardziej przypominał kapelusze Flipa i Flapa. Nie był nawet angielski, choć na kieszonce znoszonej tweedowej marynarki Teda widniał przyczepiony rzepem emblemat w kolorach brytyjskiej flagi. Przetłuszczona metka wewnątrz denka świadczyła, że melonik ów był dziełem wiedeńskiej firmy Steinmatzky & Söhne.

Ale że nie jest to jego własny kapelusz – jak natychmiast tłumaczył każdemu nieszczęśnikowi, a jeszcze chętniej nieszczęśniczce, która padła ofiarą jego niepohamowanej bezpośredniości – nie ma się czego wstydzić.

– To kapelusz służbowy, szanowna pani – mówił wtedy z naciskiem, rozwlekłe przepraszając słuchaczkę wyuczonymi na pamięć słowami. – To historyczny skarb powierzony mi na jakiś czas tylko, używany przez całe pokolenia moich poprzedników na tym zaszczytnym stanowisku: wędrownych uczonych, poetów, marzycieli, duchownych, wiernych poddanych świętej pamięci króla Ludwika. Tak jest! – Owo „Tak jest!” mogło być efektem dzieciństwa spędzonego wśród wojskowych. – No bo jakąż mamy alternatywę, pytam? Nie można przecież wymagać od rasowego Anglika, by targał ze sobą parasol jak japońscy przewodnicy, prawda? I to niecałe osiemdziesiąt kilometrów od miasta, w którym nasz kochany Neville Chamberlain podpisał pakt z diabłem. Prawda, że nie można, proszę pani?

A jeżeli słuchaczka okaże się – jak często bywa – zbyt ładna, by wiedzieć, kto to był Neville Chamberlain i o jakiego diabła chodzi, rasowy Anglik chętnie wygłosi swoją wersję historycznej pogadanki dla ignorantów o wstydliwym układzie monachijskim z 1938 roku, bez najmniejszych oporów opowiadając, jak bardzo nasza ukochana Korona Brytyjska, nie mówiąc już o arystokracji i miłościwie rządzącej wówczas Partii Konserwatywnej, chciała dogadać się z Hitlerem, byle tylko uniknąć wojny.

– Widzi pani, było tak: establishment brytyjski drży przed bolszewikami –

rozpędza się Mundy. Jak zwykle. – Ameryka też. Jedni i drudzy chcą napuścić Hitlera na czerwoną zarazę. Dlatego właśnie parasol Chamberlaina do dziś pozostaje dla Niemców wstydliwym symbolem angielskiej polityki appeasementu względem naszego kochanego Führera. – Ted nigdy inaczej Hitlera nie nazywa. – Przyznam się, że jako Anglik wolę w tym kraju moknąć, niż nosić parasol. No, ale nie po to przecież pani tu przyszła, by słuchać o jakimś Chamberlainie, tylko żeby zwiedzić ulubiony zamek Ludwika Szalonego. Prawda? Prawda? Bardzo mi miło, proszę pani. – Tu parodystycznie zsuwa melonik do tyłu, a wtedy jak chart spuszczonej ze smyczy wyskakuje spod niego niesforna szpakowata grzywka. – Ted Mundy, błazen Jego Wysokości króla Ludwika, do państwa usług.

Co myślą o nim owi turyści – owi *Billies*, jak przezywają ich organizatorzy angielskich wycieczek – jeżeli w ogóle myślą? Jak go sobie zapamiętają? Kim jest dla nich Ted Mundy? Rzeczywiście trochę błaznem, trochę nieudacznikiem, głupawym profesjonalistą w meloniku i z angielską flagą na kieszeni marynarki, nieuleczalnym gadułą po pięćdziesiątce. W sumie fajny gość, chociaż córki samej bym z nim nie zostawił. A te pionowe zmarszczki nad brwiami niczym blizny po ostrzu skalpela? Czy to z gniewu? A może to ślad koszmarów sennych? Taki jest Ted Mundy, przewodnik wycieczek.

Jest koniec maja, za trzy minuty piąta po południu. Zaraz zacznie się ostatnia tura dnia. Pochłodniało. Wiosenne czerwone słońce zachodzi za młode brzoźki. Ted Mundy opiera się o poręcz balkonu. Nogi ma zgięte w kolanach, melonikiem osłania oczy przed gasnącymi promieniami. Czyta pomiętą „Süddeutsche Zeitung” – trzyma ją w kieszeni na chwile przerwy między jedną a drugą grupą turystów. Wojna w Iraku skończyła się oficjalnie ponad miesiąc temu. Mundy, jej zagorzały przeciwnik, przebiega wzrokiem mniejsze nagłówki: premier Tony Blair odwiedzi Kuwejt, by podziękować jego mieszkańcom za udział w zwycięstwie.

– No pewnie – mówi Mundy i marszczy brwi.

Tony Blair zatrzyma się też w Iraku. Nie będzie tryumfował, tylko się zastanawiał, jak odbudować Irak.

– Akurat – mruczy Mundy i robi jeszcze groźniejszą minę.

Tony Blair nie ma wątpliwości, że iracka broń masowego rażenia zostanie wkrótce odnaleziona. Z kolei sekretarz obrony USA Donald Rumsfeld zastanawia się, czy przypadkiem Irakijczycy nie zniszczyli jej złośliwie przed

wybuchem wojny.

– Zdecydowalibyście się chociaż, barany – burczy Mundy.

Jak dotąd dzień toczył się Mundy’emu jak zwykle, czyli dziwnie i pogmatwanie. Punkt szósta wstał z łóżka, które dzieli ze swą partnerką, młodą Turczynką Zarą. Przeszedł na palcach przez korytarz i obudził jej jedenastoletniego syna Mustafę, by chłopak zdążył się umyć, zmówić modlitwę, zjeść przygotowane przez Mundy’ego śniadanie – chleb, oliwki, nutella – i wypić herbatę. Wszystko to w najgłębszej ciszy. Zara pracuje do późnej nocy w kebabiarni na monachijskim dworcu głównym, więc nie wolno jej budzić pod żadnym pozorem. Od kiedy dostała tę nocną pracę, wraca do domu o trzeciej. Przywozi ją sąsiad, zaprzyjaźniony taksówkarz, Kurd. Zara może wtedy, zgodnie z obyczajami muzułmańskimi, odmówić krótką modlitwę przed wschodem słońca i przespać całe osiem godzin, bo tyle potrzebuje. Tylko że dzień Mustafy zaczyna się o siódmej, a on też musi się pomodlić – Mundy i Mustafa musieli użyć połączonych sił perswazji, by ją przekonać, że tego rytuału może dopilnować Mundy, że ona nie musi się zrywać. Mustafa, choć jest w nim coś z kota, to spokojne dziecko. Ma ciemne włosy, wystraszone piwne oczy i donośny gardłowy głos.

Mężczyzna i chłopiec wychodzą z bloku – obskurnego pudła z prefabrykatów – i kierują się przez pusty teren do przystanku autobusowego, całego w graffiti, głównie o treści obelżywej. Ich blok to etniczny przegląd Bliskiego Wschodu: Kurdowie, Jemeńczycy i Turcy żyją tu dosłownie jedni na drugich.

Na przystanku są już inne dzieci, niektóre z mamą albo tatą. Mundy mógłby spokojnie powierzyć im Mustafę, ale woli odwieźć go do samej szkoły i uściskać mu dłoń przed szkolną bramą; czasem nawet całują się na pożegnanie w oba policzki. W mrocznych czasach, nim Mundy pojawił się w jego życiu, Mustafa żył w strachu i upokorzeniu. Teraz trzeba go podbudować.

Powrót ze szkoły do domu zabiera Mundy’emu dwadzieścia minut – maszeruje wtedy wielkimi krokami. Idzie i ma nadzieję, że Zara jeszcze śpi, ale jednocześnie marzy mu się, by właśnie się budziła, bo wtedy będzie się z nim kochać: najpierw zaspana, potem coraz bardziej namiętnie. Później Mundy wskoczy do sfatygowanego garbusa i ruszy na południe, w siedemdziesięciminutową drogę do Linderhofu, do pracy.

Kawał drogi, ale trzeba. Rok temu cała trójka żyła oddzielnie i w rozpaczy.

Dziś walczą razem o lepsze jutro. Zawsze, gdy korki na drodze doprowadzają go do szału, Mundy opowiada sobie tę cudowną historię.

Znowu w życiu mu nie wyszło.

Właściwie to musi ratować się ucieczką.

Egon, jego partner w interesach i współdyrektor ledwo wiążącej koniec z końcem Akademii Języka Angielskiego, uciekł z resztką aktywów firmy. Mundy musi wymknąć się z Heidelbergu w środku nocy. Zabiera tylko to, co zmieści się do volkswagena. I siedemset cztery euro, których Egon zapomniał zabrać z sejfu.

O świcie dociera do Monachium; zostawia volkswagena – na heidelberskich numerach – w najdalszym zakątku piętrowego parkingu: to na wypadek, gdyby dłużnicy już uzyskali tytuł zajęcia. A potem robi to, co zawsze robił, gdy życie zaczynało deptać mu po piętach – idzie piechotą.

A ponieważ od zawsze – z powodów tkwiących w dzieciństwie – ma naturalny pociąg do wszystkiego, co wschodnie, nogi same prowadzą go na ulicę pełną tureckich sklepów i kawiarni, właśnie budzących się ze snu. Dzień jest słoneczny, Mundy zgłodniał, więc wchodzi do pierwszego lepszego lokalu, ostrożnie opuszcza swój długi tułów na plastikowe krzesło, które za żadne skarby świata nie chce stać prosto na nierównej posadzce, i zamawia u kelnera kawę po turecku oraz dwie bułki z makiem, masłem i dżemem. Jeszcze nawet nie zabrał się do śniadania, gdy na sąsiednie krzesło pakuje się młoda kobieta i zasłaniając dłonią usta, pyta go niepewnie z turecko-bawarskim akcentem, czy nie chciałby, żeby się z nim przespała za pieniądze.

Zara ma dwadzieścia kilka lat. Jest nieprawdopodobnie, rozdzierająco piękna. Ma na sobie cienką niebieską bluzkę, czarny stanik i czarną spódnicę na tyle krótką, że widać spod niej nagie uda. Jest niebezpiecznie szczupła, toteż Mundy niesłusznie podejrzewa, że udział w tym mają narkotyki. Potem długo się wstydził, że całkiem poważnie rozważał przyjęcie jej propozycji. Jest niewyspany, nie ma pracy, kobiety, pieniędzy.

Ale gdy zaczyna uważniej przyglądać się młodej kobiecie, z którą mógłby zaraz pójść do łóżka, dostrzega w jej oczach taką desperację, taki brak pewności siebie i równocześnie taką inteligencję, że szybko się opanowuje i częstuje ją śniadaniem. Zara podejrzliwie przyjmuje poczęstunek – pod warunkiem, że połowę będzie mogła zanieść chorej matce. Mundy, który teraz jest wdzięczny opatrności za to, że zetknęła go z kimś, komu powodzi się jeszcze gorzej niż jemu, ma lepszy pomysł: Zara sama zje całe śniadanie,

a potem pójdą razem kupić jedzenie dla matki w jednym z licznych w okolicy sklepów z żywnością halaal – bo starsza pani na pewno przestrzega zaleceń Koranu.

Zara wysłuchuje go z kamienną twarzą i spuszczonego wzrokiem. Mundy rozpaczliwie usiłuje wczuć się w jej sytuację, więc wyobraża sobie, że dziewczyna ma go albo za wariata, albo za szczególnie wyrafinowanego zbrojczyka. Dokłada wszelkich starań, by nie wydać się jej ani jednym, ani drugim, ale najwyraźniej zupełnie mu się to nie udaje. Gestem, od którego aż kraje mu się serce, Zara oburącz zagarnia do siebie całe jedzenie, na wypadek gdyby chciał je odebrać.

Otwiera usta i okazuje się, że z czterech przednich zębów zostały jej tylko korzenie. Zara je, Mundy tymczasem rozgląda się po ulicy, czy nie zobaczy gdzieś jej alfonsa. A może dziewczyna należy do właściciela kawiarni? Mundy nie wie, że już żywi do niej opiekuńcze uczucia. Gdy oboje wstają, by wyjść, Zara orientuje się, że sięga Mundy'emu zaledwie do ramienia, i z przerażeniem odsuwa się od niego. On natychmiast ugina kolana, jak każdy przerośnięty dryblas, ale ona wciąż trzyma się z daleka. Boli go to, bo już stała się źrenicą jego oka, bo jej problemy wydają mu się o wiele ważniejsze od własnych. W sklepie z trudem udaje mu się namówić ją na przyjęcie kawałka baraniny, jabłkowej herbaty, kuskusu, owoców, miodu, warzyw, chałwy i wielkiego bloku toblerone, bo akurat ta czekolada była w promocji.

– To ile masz tych mam? – pyta ją wesoło, ale jej to wcale nie śmieszy.

Na zakupach jest nadal spięta i mocno zaciska wargi. Targuje się po turecku, zasłaniając dłonią usta, palcem wskazuje każdy owoc – nie ten, tylko ten. Liczy tak szybko i sprawnie, że Mundy jest pełen podziwu; on umie wiele rzeczy, lecz akurat targować się nie potrafi. Gdy próbuje ponieść za nią torby – dwie, obie ciężkie – Zara gwałtownie mu je wyrywa.

– Chcesz ze mną spać? – jeszcze raz pyta niecierpliwie, gdy już ściska w dłoniach zdobycz. Sprawa jest jasna: zapłaciłeś za mnie, to mnie bierz, a potem zostaw w spokoju.

– Nie – odpowiada.

– To co chcesz?

– Odprowadzić cię do domu.

Zara gwałtownie kręci głową.

– Nie do domu. Do hotelu.

Usiłuje wytłumaczyć jej, że jego zamiary są nie seksualne, a przyjacielskie,

jest jednak zbyt zmęczona, by go słuchać. Zaczyna płakać, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Mundy wybiera inną kawiarnię. Siadają przy stoliku. Łzy wciąż płyną jej po policzkach, ale ona nie zwraca na nie uwagi. Mundy zaczyna wyciągać z niej zwierzenia, więc Zara opowiada mu o sobie, choć bez szczególnego zaangażowania. Wygląda na to, że już nie ma siły się bronić. Mówi tym swoim łamanym bawarskim dialektem, cały czas wpatrując się w blat stolika, że urodziła się na wsi, na równinie prowincji Adana, jako najstarsza córka rolnika. Ojciec obiecał jej rękę synowi sąsiada; o chłopaku mówiono, że to komputerowy geniusz, że ma dobrą pracę w Niemczech. Gdy przyjechał do rodziny, odbyło się tradycyjne wesele i połączenie obu posiadłości, po czym Zara wyjechała z mężem do Monachium. Wtedy okazało się, że młody człowiek nie jest żadnym informatykiem, tylko pełnoetatowym specjalistą od rabunków z bronią w ręku. Miał dwadzieścia cztery lata, Zara siedemnaście. Wkrótce okazało się, że spodziewają się dziecka.

– To był gang – mówi po prostu. – Wszyscy byli niedobrzy. I głupi. Kradli auta, handlowali narkotykami, mieli nocne kluby, prostytutki. Robili złe rzeczy. Teraz jest w więzieniu. Jakby nie siedział, moi bracia by go zabili.

Mąż poszedł do więzienia dziewięć miesięcy temu, ale zdążył jeszcze wpędzić swego syna w ciężką psychozę i wybić cztery zęby żonie. Dostał siedem lat, lecz czekały go kolejne procesy. Jeden z kumpli został świadkiem koronnym. Zara ciągnie swą monotonną opowieść – częściowo po niemiecku, częściowo, gdy brakuje jej niemieckich słów, podpira się tureckim – również wówczas, gdy już wstali od stolika i ruszyli razem przez miasto. Mundy zastanawia się co chwila, czy ona ma świadomość, że idzie obok niej.

– Mustafa – odpowiada zapytana o imię syna.

Sama o nic Mundy'ego nie pyta. Niesie obie torby, on już nie próbuje jej wyręczyć. Zara ma na szyi niebieskie korale. Mundy przypomina sobie z dzieciństwa, że przesądni muzułmanie wierzą, iż niebieski kolor strzeże przed złem.

Zara pociąga nosem, ale łzy już nie płyną jej po policzkach. Mundy domyśla się, że celowo się uspokoiła, by ktoś nie zauważył, że płakała. Znajdują się na monachijskim Westendzie, który znacznie się różni od znanego Mundy'emu londyńskiego odpowiednika: odrapane przedwojenne kamienice, szare i brunatne, wiszące w oknach pranie, bawiące się na zaniedbanych trawnikach dzieci. Na ich widok jakiś chłopiec odrywa się od grupki kolegów, podnosi

z ziemi kamień i zbliża się z groźną miną. Zara coś do niego woła po turecku.

– Czego chcesz? – krzyczy chłopiec.

– Żebyś mnie poczęstował czekoladą, Mustafu – odpowiada Mundy.

Chłopiec gapi się na niego, znów zamienia kilka słów z mamą, podchodzi bliżej i nie wypuszczając kamienia z prawej dłoni, lewą grzebie w jednej z toreb. Podobnie jak matka jest szczupły i ma podkrążone oczy. I podobnie jak matka nie ma już w sobie ani krztyny uczuć.

– I herbatą. Mnie i twoich kolegów – dodaje Mundy.

Mustafa bierze torby i rusza przodem brudną klatką schodową, za nim Zara, za nią Mundy. Pochód zamyka obstawa trzech silnych kolegów chłopca. W końcu stają przed stalowymi drzwiami, Mustafa sięga pod koszulę i z dumną miną wyciąga klucz na długim łańcuszku. Wchodzi do środka wraz z kolegami, Zara rusza za nimi. Mundy czeka na zaproszenie.

– Proszę wejść – mówi Mustafa czystą bawarszczyzną. – Zapraszamy. Ale jak pan tknie mamę, zabijemy pana.

Przez następne dziesięć tygodni Mundy śpi na rozkładanej kanapie Mustafy w przechodnim pokoju – nogi wystają mu daleko nad podłogę. Mustafa śpi z mamą. Zawsze ma pod ręką kij baseballowy – to na wypadek gdyby Mundy’emu zebrało się na amory. Z początku Mustafa nie chce chodzić do szkoły, więc Mundy bierze go do zoo albo gra z nim w piłkę na rzadkim trawniku przed domem. Zara siedzi w domu i powoli dochodzi chyba do siebie, na co bardzo liczy Mundy. Sam zaczyna stopniowo grać rolę wychowawcy muzułmańskiego dziecka i platonicznego opiekuna kobiety po przejściach, w dodatku pohańbionej. Sąsiedzi, początkowo podejrzliwi względem tego ciągle śmiejącego się Anglika, zaczynają go tolerować, a Mundy ze swej strony robi, co może, by odciąć się od znieawidzonej kolonialnej przeszłości swej ojczyzny. Żyją z pozostałych mu siedmiuset euro i tych groszy, które Zara dostaje od rodziny z Turcji i od niemieckiej opieki społecznej. Wieczorami Zara gotuje, co sprawia jej wyraźną przyjemność; Mundy gra przy niej rolę podkuchennego. Ona z początku się nie zgadza, potem niechętnie mu pozwala. Wspólne gotowanie staje się najważniejszą chwilą dnia. Zara śmieje się coraz częściej, co mimo wybitych zębów jest dla Mundy’ego darem niebios. Już zdążył się dowiedzieć, że dziewczyna marzy o tym, by zostać pielęgniarką.

Któregoś dnia rano Mustafa oświadcza, że jednak pójdzie do szkoły. Mundy

go odprowadza, Mustafa z dumą przedstawia go nauczycielowi jako swojego nowego ojca. W tym samym tygodniu pierwszy raz cała trójka idzie razem do meczetu. Mundy już sobie wyobraża złoconą kopułę z minaretem, więc jest tym bardziej zdumiony, gdy znajduje się w wykafelkowanej salce na górnym piętrze odrapanej kamieniczki wciśniętej między sklep z sukniami ślubnymi, sklepik halaal i komis elektryczny. Pamięta, by na nikogo nie kierować stóp i nie ścisnąć dłoni kobiet, tylko kłaść prawą dłoń na sercu i pochylić głowę na znak szacunku. Zara oddala się w stronę pomieszczenia dla kobiet, Mustafa bierze Mundy'ego za rękę, prowadzi go pomiędzy mężczyzn i poucza, kiedy ma wstać, kiedy się skłonić, a kiedy klęknąć i dotknąć czołem trzciny maty, która zastępuje ziemię.

Mustafa jest dozgonnie wdzięczny Mundy'emu, bo dotąd musiał siedzieć osobno, z mamą i mniejszymi dziećmi. Teraz dzięki Mundy'emu znalazł się na dole, wśród mężczyzn. Po skończonych modłach może wraz z Mundy'ym witać się z każdym z obecnych i odwzajemniać życzenie, by modlitwy zostały wysłuchane w niebie.

– Ucz się, a Bóg obdarzy cię mądrością – poucza Mundy'ego na zakończenie młody postępowy imam. – Kto się nie uczy, ten pada pastwą niebezpiecznych błędów. To pan jest mężem Zary?

Mundy ma dość przyzwoitości, by się zarumienić i zamruczeć, że no właśnie ma nadzieję, że może wkrótce...

– Nie chodzi o samą formalność, tylko o odpowiedzialność – zapewnia imam. – Miłość to odpowiedzialność. Kto jest odpowiedzialny, tego Bóg nagradza.

Tydzień później Zara dostaje pracę w kebabiarni na dworcu. Jej szef szybko się przekonuje, że nie uda mu się pójść z nią do łóżka, za to może na niej polegać. Zara nosi chustę na głowie i wkrótce zostaje najlepszą pracownicą; wolno jej nawet przyjmować pieniądze, w końcu chroni ją ten wysoki Anglik. Mija jeszcze parę tygodni i Mundy'emu też udaje się gdzieś zaczepić: zostaje przewodnikiem w Linderhofie. Dzień później Zara idzie sama w odwiedzinę do postępowego młodego imama i jego żony, a po powrocie zamyka się na godzinę z Mustafą. Jeszcze tego samego wieczoru za zgodą wszystkich zainteresowanych Mustafa i Mundy zamieniają się łózkami. Mundy'emu różne rzeczy w życiu się przytrafiały, ale jest przekonany, że żadna z nich nie napełniła go takim zadowoleniem. Jego miłość do Zary nie ma granic. Mustafę kocha równie mocno, a najbardziej za to, że chłopak kocha swoją matkę.

Otwiera się barierka i rusza do przodu anglojęzyczny tłum – zwykła wielokulturowa zbieranina: Kanadyjczycy z czerwonymi liśćmi klonowymi na plecach, Finowie w zbyt ciepłych kurtkach i czapczkach golfowych, Hinduski w sari, australijscy farmerzy i ich wysuszone na słońcu żony, starzy Japończycy z minami nie wiedzieć czemu wiecznie smutnymi. Mundy zna ich na pamięć, wie, jaki kolor ma każdy autobus wycieczkowy, jak się nazywają ich pazerni przewodnicy, którzy myślą tylko o tym, by zwabić swych podopiecznych do kiosków z pamiątkami i zarobić na prowizji. Dziś w tej menażerii brakuje tylko amerykańskich nastolatków z drutem kolczastym na zębach, ale Ameryka właśnie świętuje swoje Zwycięstwo nad Złem – ku rozpaczy niemieckiego przemysłu turystycznego. Mundy zdejmuje melonik i unosi go nad głowę, staje na czele swej trzódki i prowadzi ją ku głównemu wejściu. W drugiej dłoni dzierży drewnianą skrzynkę, którą sam sklecił w kotłowni bloku. Inni przewodnicy wygłaszają wstępne przemówienie ze schodów, ale Ted Mundy nie, bo jego obowiązuje tradycja Hyde Parku. Rzuca skrzynkę na ziemię, dziarsko na nią wskakuje i teraz jeszcze bardziej góruje nad swą publicznością.

– Proszę do mnie wszystkie osoby mówiące po angielsku. A raczej słuchające po angielsku, chociaż o tej porze dnia, szczerze mówiąc, naprawdę wolałbym, żeby to państwo mówili. Cha, cha! To żart, oczywiście. – Celowo nie mówi głośno, żeby musieli się uciszyć. – Zapewniam państwa, jeszcze nie padam. Proszę państwa, aparaty fotograficzne tak, kamery wideo niestety nie. Tak, proszę pana, pana też to dotyczy. Proszę mnie nie pytać dlaczego, ale moi chlebowodawcy są przeświadczeni, że jeśli tylko ktoś wyciągnie kamerę, zaraz będą nas ciągać po sądach za przywłaszczenie sobie cudzej własności intelektualnej. Ustawowa kara: strycek, i to publicznie.

Nikt się nie śmieje, ale też Mundy się tego nie spodziewa, bo jego słuchacze spędzili najpierw cztery godziny ściśnięci jak sardynki w autokarze, a potem jeszcze godzinę, stojąc w kolejce w pełnym słońcu.

– Proszę bliżej, drodzy państwo, jeszcze bliżej. Tu koło mnie jest jeszcze sporo miejsca, drogie panie – zwraca się do grupki emerytowanych nauczycielek ze Szwecji. – Czy młodzi panowie mnie słyszą? – To do kilku kościstych nastolatków zza niewidzialnego kordonu, z Saksonii. Przez pomyłkę trafili do niewłaściwej grupy, lecz postanowili zostać i skorzystać z darmowej lekcji angielskiego. – A, słyszą. Doskonale. A pan mnie widzi? – zwraca się

do malutkiego Chińczyka. – Widzi. Jeszcze jedna gorąca prośba, drodzy państwo. Chodzi o *handies*, proszę państwa, bo tak nazywamy w Niemczech telefony komórkowe. Bardzo proszę upewnić się, czy są wyłączone. W porządku? Więc może ten pan na końcu zamknie za nami drzwi i zaczynamy. Dziękuję.

Gaśnie słońce, w sztucznym mroku rozbłyskują tysiące żarówek odbitych w lustrach o złotonych ramach. Zaraz zacznie się najwspanialsza chwila Mundy’ego – jedna z ośmiu każdego dnia.

– Bardziej spostrzegawczy z państwa na pewno zauważą, że stoimy w dość skromnym holu Linderhofu. Jeszcze nie w pałacu Linderhof, drodzy państwo, bo *hof* to gospodarstwo, a pałac, w którym teraz się znajdujemy, został zbudowany na miejscu pewnego gospodarstwa. Ale skąd się wzięło to Linder? zapytamy. Czy mamy wśród nas filologa? Specjalistę od słów? Znawcę starych znaczeń?

Nie mamy, i bardzo dobrze, bo Mundy rozpoczyna właśnie jedną ze swych nieformalnych improwizacji. Z niewiadomych jemu samemu powodów nigdy jakoś nie potrafi trzymać się tematu. Może taki już jest. Czasem sam siebie zadziwia, co zresztą pozwala mu uciec na chwilę od innych, bardziej natrętnych myśli, na przykład o Iraku albo o groźnym liście z banku w Heidelbergu, który w dodatku przyszedł równocześnie z upomnieniem z ubezpieczalni.

– Istnieje przecież niemieckie słowo *linde*, czyli lipa. Ale w takim razie skąd to „r”? Pytam się, skąd? – Już go ponosi. – Mogło być tak, że gospodarstwo było własnością jakiegoś pana Lindera, i tyle. Ale ja wolę inne wytłumaczenie: słowo *lindern* oznacza „uspokajać”, „uśmierzać”, „koić”. Coś mi mówi, że taką właśnie interpretacją mógł się kierować, choćby nieświadomie, nasz biedny król Ludwik. Że on tu szukał ukojenia. No cóż, wszystkim nam przydałoby się trochę ukojenia, szczególnie teraz, prawda? Proszę nie zapominać, że Ludwik miał ciężkie życie. Na tron wstąpił w wieku osiemnastu lat. Ojciec go tyranizował, gubernatorzy dręczyli, Bismarck zastraszał, dworacy oszukiwali, był niszczonej przez skorumpowanych polityków, odarty z godności królewskiej. I prawie nie znał matki.

Czyżby Mundy też miał podobną młodość? Chyba tak, sądząc po drzeniu jego głosu. A może troskami króla Ludwika chce uśmierzyć ból współczesnych trosk?

– I cóż robi ten przystojny, nadmiernie wysoki, czuły, tragiczny, dumny

młodzieniec, który uważa, że jest bożym pomazańcem? – pyta z bolesną powagą płynącą ze współczucia jednego dryblasza do drugiego. – Co ma zrobić, gdy systematycznie odbiera się mu władzę, do której się narodził? Odpowiedź: buduje sobie jeden zamek z bajki za drugim. Na jego miejscu każdy z nas postąpiłby chyba tak samo. – Zapala się do tematu. – Oryginalne pałace, iluzje potęgi. Im mniej ma władzy, tym większe tworzy iluzje... coś jak mój wspaniały premier Blair, jeśli chcecie znać moje zdanie, ale proszę mnie nie cytować. – Niesamowita cisza. – I dlatego osobiście staram się nie nazywać go Szalonym. Wolę nazywać go Królem Marzycieli. Albo Królem Eskapistów. Samotnym wizjonerem w okropnym świecie. Pewnie państwo wiedzą, że żył głównie w nocy. I w ogóle ludzi raczej nie lubił. Szczególnie pań.

Teraz śmieje się grupa Rosjan, którzy chyłkiem pociągają ze wspólnej butelki, Mundy jednak udaje, że nie widzi tego i nie słyszy. Stojąc na tej swojej skrzynce, w przekrzywionym na bakier meloniku, jest już teraz ponad to wszystko i tylko z rzadka spojrzeniem zaszczycza głowy swych podopiecznych – po to jedynie, by jakieś dziecko mogło się wyrzeszczyć lub by grupka Włochów miała okazję załatwić osobiste porachunki.

– Bo we własnej wyobraźni Ludwik był władcą wszechświata. Nikt, ale to nikt nie miał prawa mu rozkazywać. Tu, w Linderhofie, zamieniał się w Króla Słońce, w tego pana, którego widzimy tutaj na koniku z brązu; jeden Ludwik, drugi Ludwik, tylko że jeden Niemiec, a drugi Francuz. No więc żeby wszystko było jasne, nasz niemiecki Ludwik niedaleko stąd wybudował sobie własny Wersal na Herrenchiemsee. Z kolei w Neuschwanstein, tam na górze, występował jako Zygryd, średniowieczny król wojownik opiewany przez idola Ludwika, Ryszarda Wagnera. A jeżeli ktoś czuje się na siłach, to wysoko w górach mamy jeszcze do dyspozycji pałac Schachen, gdzie Ludwik koronował się na króla Maroka. Równie dobrze mógłby być Michaeliem Jacksonem. Na szczęście o nim akurat nie słyszał.

Tu śmiech dobiega już z licznych zakątków sali, lecz Mundy dalej to ignoruje.

– Trzeba dodać, że Jego Królewska Mość miał swoje przyzwyczajenia. Jedzenie trzeba mu było podawać na złotym stoliku wciągany przez otwór w podłodze... zaraz to państwu pokażę... żeby nikt nie widział, jak je. Służba nie miała prawa chodzić spać, gdy on nie spał, kto się sprzeciwiał, tego kazał odzierać żywcem ze skóry. Czasem bliźni tak go denerwowali, że rozmawiał

z nimi wyłącznie przez parawan. Proszę nie zapominać, że to wszystko dzieje się w wieku dziewiętnastym, a nie w średniowieczu. Gdzieś tam buduje się koleje, żelazne statki, maszyny parowe, karabiny maszynowe i aparaty fotograficzne. Proszę nie myśleć, że opowiadam państwu jakieś bajki z zamierzchłej przeszłości. W zamierzchłej bajkowej przeszłości tkwił tylko sam Ludwik, jego życie toczyło się wstecz. Tak szybko, jak tylko starczało mu środków. I w tym właśnie sęk, bo środki te czerpał z kasy Bawarii.

Rzut oka na tarczę zegarka. Minęło trzy i pół minuty. W tym momencie powinien już prowadzić swoją publiczność po schodach. Więc prowadzi. Skądś zza ścian dobiegają go podniesione głosy koleżanek i kolegów: hałaśliwej frau doktor Blankenheim, emerytowanej nauczycielki, świeżo upieczonej buddystki i nestorki ich przewodnickiego grona; bladego herr Stettlera, cyklisty erotomana; Michela Delarge'a z Alzacji, księdza. A w dole na schody wlewa się już niezwykła japońska piechota wiedzona przez drobiącą małymi kroczkami orientalną piękność, dzierżącą jako oznakę swej pułkownikowskiej szarzy małą parasolkę, w niczym nieprzypominającą parasola Neville'a Chamberlaina.

A gdzieś tuż przy Mundym – nie pierwszy już raz – pojawia się nagle duch Saszy.

W której z sal pałacowych Mundy poczuł na szyi dobrze mu znane szpileczki? W sali tronowej? W królewskiej sypialni? W Galerii Luster? Gdzie pojawia się znienacka owo graniczące z pewnością przecucie? Galeria Luster to wzniesiony z rozmysłem bastion przeciwko rzeczywistości, sanktuarium iluzji. Rzeczywistość ginie tam w swych zwielokrotnionych, pędzących w nieskończoność odbiciach. Postać, która widziana twarzą w twarz budziłaby grozę lub radość, tu staje się w swych niepoliczonych wcieleniach cieniem, przecuciem, bytem idealnym.

Mundy jest z natury człowiekiem spostrzegawczym. Nawet tu, w Linderhofie, nie robi nic, póki najpierw nie rozejrzy się dookoła, czy nie pokażą się demony z poprzedniego życia albo nieprzyjemne postacie z jego obecnego wcielenia: złodzieje dzieł sztuki, wandale, kieszonkowcy, zazdrośni mężowie, dłużnicy, doręczyciele pozwów z Heidelbergu, sędziwi turyści dostający ataku serca, dzieci wymiotujące na bezcenne dywany, panie z pieseczkami ukrytymi w torebkach i najnowsze zagrożenie – wielokrotnie wymieniane w okólnikach administracji – terroryści o samobójczych

zapędach. Mimo że Mundy pozostaje od niedawna w szczęśliwym związku, bynajmniej z tej złotej księgi nie wyklucza kształtnych dziewcząt, których wdzięki najlepiej podziwiać z pewnej odległości.

Bardzo pomocne są w tym niektóre elementy ekspozycji: tu ciemne, starannie powerniksowane malowidło, w którym świetnie widać, co się dzieje z tyłu na schodach, tam urna z brązu dająca szerokokątny obraz najbliższego otoczenia i wreszcie sama Galeria Luster, gdzie nad wiorstami złotych korytarzy unosi się teraz w powietrzu cały zastęp sklonowanych Saszów.

Albo nie.

Może to tylko zjawą, może to sen piątkowej nocy? W końcu Mundy widział już wielu niemal prawdziwych Saszów w ciągu tych wszystkich lat, które minęły od ich ostatniego spotkania. Pamięta wszystkich zabiedzonych, splukanych do ostatniego euro Saszów zauważających go na drugiej stronie ulicy, drżących z głodu i radości, rzucających się na oślep między samochody, prosto w jego objęcia. I wszystkich bogatych Saszów w eleganckich płaszczach z futrzanym kołnierzem, zaczajonych w bramach, by rzucić się na niego z okrzykiem: „Teddy, Teddy, to ja, twój stary przyjaciel Sasza!”. Ale gdy tylko Mundy się zatrzymuje i odwraca ze szczerym uśmiechem, widmo znika albo przemienia się w kogoś zupełnie innego, w jakiegoś szarego przechodnia.

I dlatego właśnie – by przekonać się na własne oczy – Mundy w jak najbardziej naturalny sposób zwraca się ku widziadłu: najpierw wyrzuca przed siebie ramię w retorycznym geście, a potem wykonuje zwrot na skrzyńce, by wskazać słuchaczom wspaniały, przewspaniały widok z okna królewskiej sypialni – patrzcie państwo! – na włoski wodospad spływający z północnych zboczy Hennenkopfu.

– Proszę pomyśleć – namawia publiczność z zapałem godnym widoku pędzącej w dół wody – że leżymy tu z ukochaną osobą. Ludwik akurat nikogo takiego nie miał – histeryczny ryk śmiechu Rosjan – ale my pewnie mamy. A więc budzimy się tu pewnego pięknego poranka w otoczeniu tych wszystkich bawarskich złociń i błękitów, otwieramy oczy, patrzymy w okno... i bum!

I na „bum!” patrzy mu teraz prosto w twarz. Sasza, na miłość boską, stary, gdzieś ty był, jak cię nie było? Oczywiście Mundy nie mówi tego wszystkiego na głos i nie zdradza się choćby mrugnięciem oka, bo Sasza, zgodnie z wagnerowskim duchem miejsca, ma na sobie czapkę niewidkę, ową *tarnkappe*, naciągniętą na czoło czarną baskijkę, która nakazuje ścisłą

dyskrecję – nic dziwnego, przecież trwa wojna.

A w dodatku – na wypadek gdyby Mundy zapomniał o dobrych obyczajach ich dawnego podziemnego świata – zamyślony Sasza trzyma na ustach zakrzywiony palec, ale nie gestem ostrzeżenia, tylko zadumy nad wywołanym przed chwilą przez przewodnika idyllicznym obrazem wodospadu spływającego ze zboczy Hennenkopfu. Niepotrzebnie, bo ich porozumiewawcze spojrzenia nie zostałyby uchwycone ani przez najbystrzejszego obserwatora, ani przez najlepszą kamerę.

Ale tym razem to naprawdę Sasza we własnej osobie: Sasza, karłowaty wartownik, pełen życia, nawet gdy tkwi tak jak teraz w bezruchu, trzymający się od najbliższej stojącej osoby akurat na taką odległość, by uniknąć porównań wzrostu, z uniesionymi w górę łokciami, jakby zaraz miał wzbić się w powietrze; kieruje spojrzenie swych ognistych piwnych oczu trochę ponad oczy rozmówcy – choćby rozmówca ten, jak Mundy, był wyższy od niego o ponad głowę – i patrzy tym swoim przyjacielskim, oskarżycielskim, przenikliwym, wyzywającym wzrokiem, wzrokiem, który rozpala, zadaje pytania, niepokoi. Cały Sasza, cały on.

Koniec zwiedzania. Regulamin zabrania wyłudzenia napiwków, lecz pozwala przewodnikom zatrzymać się przy wyjściu, skinieniem głowy żegnać się z wychodzącymi na światło dzienne gośćmi i życzyć im bezpiecznej i wprost cudownej podróży. Zdobycz bywa różna, ale od wybuchu wojny jest znacznie, znacznie gorzej niż dawniej. Czasem Mundy aż do końca stoi z pustymi rękami; jego melonik spoczywa na głowie stojącego opodal posągu, by przypadkiem ktoś nie potraktował go jako narzędzia żebraka. Czasem nieśmiało zbliży się do niego małżeństwo w średnim wieku albo nauczyciel z niesforną gromadką dzieci wciśnie mu banknot i zaraz na powrót zniknie w tłumie. Tym razem w tej pierwszej roli występuje przedsiębiorca budowlany z Melbourne, który wraz ze swą żoną Darlene koniecznie musi mu opowiedzieć, i to ze szczegółami, że zimą na takiej samej wycieczce, i to z tego samego biura podróży, była ich córka Tracey. Nie do wiary! Tracey tak się tu podobało, Mundy musi ją pamiętać, bo ona doskonale zapamiętała wysokiego Anglika w meloniku! Blondynka, piegowata, włosy uczesane w koński ogon. A jej chłopak studiuje medycynę w Perth i nawet gra w uniwersyteckiej drużynie rugby. Mundy bohatercko udaje, że usiłuje sięgnąć pamięcią do zimy – przedsiębiorca pomaga mu, jak może, dodaje, że chłopak nazywa się Keith – i w tej samej chwili czuje, że na przegubie jego ręki

zaciskają się drobne palce, wsuwając mu w dłoń złożoną karteczkę. A potem kątem oka dostrzega znikający w tłumie beret Saszy.

– To za rok w Melbourne, co? – basuje australijski przedsiębiorca i wsuwa swoją wizytówkę za brytyjski sztandar na kieszeni marynarki Mundy’ego.

– Tak, jesteśmy umówieni – potwierdza z wesołym śmiechem Mundy i kartkę od Saszy zręcznie przekłada do bocznej kieszeni.

Przed rozpoczęciem podróży dobrze przysiąc na chwilę, najlepiej na własnym bagażu. To rosyjski przesąd, ale jego sformułowanie to zasługa Nicka Amory’ego, wieloletniego doradcy Mundy’ego w sprawach przetrwania: jeżeli zanosi się na coś poważnego, Edwardzie, to na miłość boską powściągnij swą wrodzoną impulsywność i zastanów się przez chwilę.

W Linderhofie kończy się dzień. Pracownicy i turyści śpieszą na parking. Mundy, niczym miły gospodarz, zatrzymuje się na schodach i udziela mijającym go kolegom wielojęzycznych błogosławieństw.

– *Auf Wiedersehen, frau Meierhof!* To co, dalej jej nie znaleźli? – Chodzi mu oczywiście o iracką broń masowego rażenia. – Fritz, *tschüss!* Pozdrowienia dla małżonki! Świetnie mówiła wtedy w Poltergeißie! – To miejscowy klub kulturalno-dyskusyjny, do którego Mundy uczęszcza od czasu do czasu, by się wywrzeszczyć. I wreszcie do pary małżonków, Francuza i Hiszpana: – Pablo, Marcel, w poniedziałek znowu się sobie wyżalimy. *Buenas noches, bonsoir!*

Wreszcie, gdy zapada zmierzch, nawet najbardziej zapóźnieni goście i pracownicy znikają w końcu w zachodzącym słońcu. Mundy kryje się w cieniu zachodniej fasady pałacu, po czym w milczeniu niknie w mroku schodów. Miejsce to odkrył zupełnie przypadkowo niedługo po podjęciu pracy. Któregoś wieczoru, badając otoczenie pałacu – w parku miał się odbyć koncert przy świetle księżyca, na który zamierzał wcisnąć się bez biletu, oczywiście jeśli znajdzie kogoś do Mustafy – natknął się na skromne schodki wiodące w dół, na pierwszy rzut oka donikąd. Ale Mundy nigdy nie zadowala się pierwszym rzutem oka, więc i wtedy zszedł na dół i stanął przed zardzewiałymi żelaznymi drzwiami; w zamku tkwił klucz. Mundy zapukał, nikt mu nie odpowiedział, więc przekręcił klucz i wszedł do środka. Ktoś inny widziałby w tym pokoiku tylko schowek ogrodnika, miejsce przechowywania zabrudzonych konewek, starych gumowych węży i marniejących roślin, lecz nie Mundy. Nie ma tam nawet okna, tylko kratka wentylacyjna tkwi

w kamiennej ścianie tuż pod sufitem. W powietrzu unosi się ciężka woń gnijących hiacyntów, za ścianą warczy bojler. Ale Mundy znajduje tu dokładnie to, czego szukał Ludwik Szalony, gdy budował Linderhof: schronienie, miejsce, w którym można uciec od wszystkich innych ucieczek. Wychodząc, zamknął za sobą drzwi, włożył klucz do kieszeni i przez następne siedem dni roboczych cierpliwie i systematycznie przeprowadzał rozpoznanie terenu. O dziesiątej rano, gdy na powrót otwierają się bramy pałacu, wszystkie zdrowe rośliny są podlewane, niezdrowe – zabierane. Furgonetka ogrodnika, pomalowana w barwne kwiaty, opuszcza teren pałacu najpóźniej o wpół do jedenastej, chore rośliny trafiają albo do schowka, albo na hospitalizację w furgonetce. Nikt nie zwrócił uwagi na zaginięcie klucza, nikt nie zmienił zamka. W efekcie od jedenastej rano schowek ogrodnika staje się codziennie prywatną własnością Mundy'ego.

Tak jak dziś.

Mundy stoi teraz tuż pod słabą żarówką. Wyciąga z kieszeni małą latareczkę, rozprostowuje prostokąt zwykłego białego papieru i widzi na nim to, czego się spodziewał, czyli odręczne pismo Saszy, takie, jakie zawsze było i zawsze będzie: te same strzeliste gotyckie „e” i „r”, te same, równie jak sam Sasza energiczne zawijasy. Trudno odgadnąć wyraz twarzy Mundy'ego, gdy czyta i uczy się na pamięć treści kartki – na pewno jego mina wyraża rezygnację, niepokój i zadowolenie, ale przede wszystkim podniecenie przemieszane z lekkim żalem. Cholera, to już trzydzieści lat, myśli sobie. Jesteśmy ludźmi trzech dziesięcioleci. Poznaliśmy się, walczyliśmy razem na wojnie, rozdzieliliśmy się na dziesięć lat. Znowu się spotkaliśmy i przez następne dziesięć lat byliśmy dla siebie nawzajem niezastąpieni, przez cały ten czas walcząc ze sobą. Rozstaliśmy się na zawsze, a teraz ty wracasz, znowu po dziesięciu latach.

Mundy grzebie po kieszeniach i w jednej z nich znajduje wreszcie sfatygowane pudełko zapalek z nadrukiem kebabiarni Zary. Wyciąga zapalną, zapala ją i przykłada do karteczki, którą ma w drugiej dłoni. Trzyma ją tak długo, aż papier zmienia się w poskręcany płatek popiołu. Upuszcza go na kamienną posadzkę i dodatkowo rozgniata obcasem. Patrzy na zegarek, liczy. Została mu jeszcze godzina i dwadzieścia minut. Do Zary nie ma co telefonować, bo dopiero zaczęła pracę. Jej szef dostaje szału, jeżeli dzwoni się do jego pracowników w godzinie największego szczytu. Mustafa jest pewnie u Diny i bawi się z Kamalem. Mustafa i jego najlepszy kolega Kamal

to gwiazdy tureckiej ligi krykieta, której prezesem jest oczywiście znany działacz sportowy, pan Edward Mundy. Dina to kuzynka i przyjaciółka Zary. W pamięci swego brudnego telefonu komórkowego Mundy znajduje numer Diny.

– Dina? Witam. Cholerne kierownictwo zwołało na dziś zebranie przewodników. Kompletnie o nim zapomniałem. Czy jeśli wrócę późno, Mustafa może przenocować u was?

– Ted? – Gardłowy głos Mustafy.

– Dobry wieczór panu. Jak się pan miewa? – pyta go Mundy po angielsku, głośno i wyraźnie. Bo poza wszystkim innym uczy też chłopca angielskiego.

– Mam się bardzo dobrze, Ted!

– A kto to jest Don Bradman?

– Don Bradman to największy krykiecista naszych czasów, Ted!

– Dzisiaj śpisz u Diny. Tak?

– Ted?

– Rozumiesz? Mam zebranie. Będę późno.

– A ja śpię u Diny.

– Bardzo dobrze. Śpisz u Diny.

– Ted?

– Co?

Mustafa śmieje się tak, że ledwie może mówić.

– Ty bardzo niedobry, Ted!

– Dlaczego jestem niedobry?

– Ty kochasz inną kobietę! Powiem Zarze!

– Jak na to wpadłeś? – To zdanie musi powtórzyć dwa razy.

– Ja wiem. Ja mam oczy!

– To może ci opisać, jak ona wygląda, ta druga? Żebyś mógł opowiedzieć Zarze?

– Słucham?

– Ta druga? Powiedzieć ci, jak wygląda?

– Tak, tak! Ty powiedz! Ty zły człowiek! – I dalej zaśmiewa się do rozpuku.

– Ma bardzo piękne nogi.

– Tak, tak!

– Ma aż cztery piękne nogi, i to bardzo włochate, i złoty ogon, a nazywa się?...

– Mo! Ty kochasz Mo! Powiem Zarze, że Mo bardziej kochasz!

Mo to przygarnięta przez nich suka rasy labrador, nazwana tak przez Mustafę na własną cześć. Zamieszkała u nich na Boże Narodzenie, z początku ku przerażeniu Zary wychowanej w przekonaniu, że przez dotknięcie psa człowiek staje się zbyt nieczysty, by się modlić. Później jednak, pod wpływem zgodnych działań obu panów, serce Zary zmiękło. Teraz Mo jest jej oczkiem w głowie.

Mundy telefonuje do domu – odpowiada mu własny głos nagrany na sekretarkę. Zara uwielbia jego głos. Mówi, że czasem, gdy zatekni za nim w ciągu dnia, puszcza sobie taśmę, żeby nie czuć się samotna. „Kochanie, dziś mogę przyjechać późno”, nagrywa się jej po niemiecku, w ich wspólnym języku. „Mam zebranie w pracy, na śmierć zapomniałem”. Takie kłamstwa są na swój sposób uczciwe, tłumaczy się sam przed sobą, chodzi o to, by ją chronić, i zaraz zaczyna się zastanawiać, co by powiedział na to młody imam. I dodaje surowo: „Kocham cię tak samo jak rano, nie myśl sobie”.

Zerka na zegarek: jeszcze godzina i dziesięć minut. Podchodzi do przeżartego przez korniki złoczonego krzesła i stawia je przed równie zniszczoną biedermeierowską szafą. Balansując na krześle, wsadza rękę za ozdobne zwieńczenie i wyciąga zza niego pokryty grubą warstwą kurzu, zgniózielony brezentowy plecak wojskowy. Strzepuje kurz, siada na krześle, kładzie plecak na kolanach, wrywa paski z pogiętych sprzączek i ostrożnie zagląda do środka, jakby nie wiedział, co tam zobaczy.

Równie ostrożnie wypakowuje zawartość plecaka na bambusowy stolik: bardzo stare zdjęcie angielskiej rodziny w Indiach, otoczonej liczną tubylczą służbą, na stopniach wspaniałej kolonialnej rezydencji; starą teczkę do akt z odręcznym zamaszystym napisem „Akta”; paczkę zapisanych koślawym pismem listów z tego samego okresu; kosmyk ciemnobrązowych kobiecych włosów owiniętych na gałązce zasuszonego wrzосу.

Na przedmioty te nie zwraca jednak teraz większej uwagi, szuka bowiem – i chyba celowo zostawił to sobie na koniec – przezroczystej plastikowej teczki, w której widać z dwadzieścia nieotwartych listów, zaadresowanych: *W.P. Teddy Mundy* i przesłanych mu za pośrednictwem banku w Heidelbergu. Adres wypisany jest na kopercie takim samym czarnym atramentem i takimi samymi szpiczastymi literami jak liścik, który dopiero co spalił. Nazwiska nadawcy brak, ale i nie jest potrzebne.

Szeleszczące niebieskie listy lotnicze.

Szorstkie koperty z Trzeciego Świata wzmocnione taśmą klejącą, zdobne w znaczki barwne jak tropikalne ptaki ze wszystkich stron świata: z Damaszku, Dżakarty, Hawany.

Najpierw układa je w porządku chronologicznym. Decyduje data stempla pocztowego. Potem otwiera je po kolei starym pociętym scyzorykiem, również wydobytym z głębi plecaka. Zaczyna czytać. Po co? „Kiedy coś pan czyta, proszę sobie najpierw zadać pytanie, dlaczego pan to czyta”. Po czterdziestu latach znów wraca do niego to powiedzenie starego nauczyciela niemieckiego, doktora Mandelbauma, znów słyszy ten silny cudzoziemski akcent. „Czyta pan, żeby się czegoś dowiedzieć? A może dla wiedzy? Bo to dwie różne sprawy, drogi panie. Dowiadywanie się to tylko środek do celu. A celem jest wiedza”.

Niech będzie wiedza, myśli sobie. I obiecuję nie stać się pastwą niebezpiecznych błędów, dodaje – to ukłon w stronę imama. Niech będzie, dowiem się tego, czego nie chciałem wiedzieć i nadal nie wiem, czy chcę. Jak mnie znalazłeś, Sasza? Dlaczego nie wolno mi cię rozpoznać? Przed kim się ukrywasz i dlaczego?

Wśród listów są też wycinki z gazet, wydarte niecierpliwymi palcami i opatrzone dopiskami Saszy. Najważniejsze fragmenty podkreślono lub oznaczono wykrzyknikami.

Czyta przez godzinę, potem wkłada listy i wycinki do plecaka, plecak z powrotem do schowka. Lektura mnie nie zaskoczyła, mówi sobie w duchu. Jest bezkompromisowa. Samotny sprawiedliwy nie złożył broni. Nie szkodzi, że się zestarzał. W ogóle nie szkodzi.

Odstawia krzesło na miejsce, z powrotem na nim siada i uświadamia sobie, że nadal ma na głowie ten swój melonik. Zdejmuje go więc, odwraca do góry dnem i patrzy do środka, jak zawsze, gdy zaczyna rozmyślać. Joseph – to imię właściciela firmy kapeluszniczej, Steinmatzky’ego. Na firmowej metce przyznaje się do synów, nie do córek. Wiedeński adres firmy to Dürerstrasse 19, nad piekarnią. Ciekawe, czy firma nadal tam działa; pan Steinmatzky lubił wiedzieć, co kiedy zrobił, bo ten egzemplarz kapelusza ma datę 1938.

Mundy wpatruje się w kapelusz i przed oczyma staje mu jak żywy obraz wybrukowanej uliczki i małego zakładu nad piekarnią. Widzi na bruku potłuczone szkło i krew, Joseph Steinmatzky wraz z żoną i licznymi synami wleczony jest do policyjnej budy ku hałaśliwej radości przysłowiowo niewinnych wiedeńskich gapiów.

Mundy wstaje, przeciąga się, opuszcza ramiona i przebiera palcami, by się

rozluźnić. Wychodzi na schody, zamyka za sobą drzwi, idzie po kamiennych stopniach. Po pałacowych trawnikach snują się już pierwsze pasma rosy. W świeżym powietrzu unosi się woń skoszonej trawy – tak samo pachną po deszczu boiska do krykieta. Sasza, pokopany wariacie, czego ty znowu chcesz?

Mundy zmusza swego garbusa, by wdrapał się na wypuczenie w złoczonej bramie pałacu Ludwika Szalonego. Skręca na drogę do Murnau. Samochód, podobnie jak jego właściciel, jest już nie pierwszej młodości. Silnik charczy, sfatygowane wycieraczkę wytarły na przedniej szybie bliźniacze półksiężycy. Wypisana po niemiecku własną ręką Mundy’ego naklejka na tylny zderzak obwieszcza: „Właściciel tego samochodu nie rości już sobie żadnych pretensji terytorialnych w krajach arabskich”. Mija bez kłopotu dwa małe skrzyżowania i zgodnie z obietnicą natyka się na niebieskie audi na monachijskich numerach, które wyjeżdża na drogę z zatoczki. Za kierownicą widać obrys postaci Saszy w nieodłącznym berecie.

Przez następne piętnaście kilometrów – jeżeli wierzyć niezbyt wiarygodnemu licznikowi volkswagena – Mundy jedzie za audi. Droga prowadzi w dół, potem przez las, rozdziela się. Sasza skręca w lewo, nie włączając kierunkowskazu, Mundy garbusem z trudem za nim nadąża. Rzędy czarnych drzew prowadzą wciąż w dół, w stronę jakiegoś jeziora. Jakiego? Sasza mawiał, że jedyne, co łączy Mundy’ego z Lwem Trockim, to coś, co ów wielki człowiek określał mianem topograficznego kretynizmu. Audi mija znak parkingu, zjeżdża z drogi i gwałtownie się zatrzymuje. Mundy idzie w jego ślady, patrzy w lusterko wsteczne, czy coś za nim nie zjedzie z drogi albo nie minie ich i nie pojedzie dalej. Ale nic nie zauważa. Sasza zdążył już wysiąść z samochodu i z torbą na zakupy w dłoni kusztyka teraz w dół po kamiennych schodach.

Sasza twierdzi, że przed urodzeniem poddusił się trochę w łonie matki.

Gdzieś z przodu dobiegają dźwięki wesołego miasteczka, wśród drzew migają kolorowe światełka. We wsi trwa zabawa i tam właśnie kieruje się Sasza. Mundy boi się, że go zgubi, więc zmniejsza dystans. Najpierw Sasza, potem podążający o kilkanaście kroków za nim Mundy zanurzają się w rozkrzyczanym tłumie. Karuzela wypluwa z siebie skoczne dźwięki, matador na wozie z sianem wygina się przed bykiem z dykty i śpiewa ze śląskim akcentem o *amor*. Napęczniali od piwa uczestnicy zabawy, niepomni na wojnę, dmuchają w siebie pierzastymi węzami. Tu nikt nie jest obcy, nawet

Sasza, nawet ja. Dziś każdy jest obywatelem wioski, zresztą Sasza nic nie stracił ze swych zdolności wtapiania się w tłum.

Grossadmiral przybranego kwiatami parowca przez megafon nakazuje niezdecydowanym, by zapomnieli o swych zmartwieniach i natychmiast zgłosili się na romantyczny rejs. Nad jezioro wzbija się rakietą, wielobarwne gwiazdy spływają w dół, w wodę. Nasza czy wroga? Spytajcie Busha i Blaira, dwóch wielkich wodzów, z których żaden osobiście prochu nie wachał.

Sasza zniknął. Mundy rozgląda się i z ulgą dostrzega go na krętych żelaznych schodach, po których wspina się z trudem na kolejne piętra edwardiańskiej willi pomalowanej w poziome pasy. Idzie trochę jak wariat – zawsze tak chodził, a to dlatego, że za każdym razem, gdy podnosi prawą nogę, spuszcza głowę. I chyba ta torba musi być dość ciężka. Zresztą może nie, po prostu tak się wydaje, bo Sasza niesie ją bardzo ostrożnie. Bomba? E, nie, Sasza na to za mądry.

Mundy znów rozgląda się dyskretnie, czy jeszcze ktoś nie zamierza się wprosić na to spotkanie. Wchodzi za Saszą na schody. MINIMALNY POBYT TYDZIEŃ, głosi napis wymalowany na tabliczce na murze. Tydzień? Po co komu aż tydzień? Przecież te zabawy skończyły się czternaście lat temu. Znów zerka w dół, ale nikt za nim nie idzie. Wszystkie frontowe drzwi mieszkań, które mija, wchodząc na górę, pomalowane są na fioletowo i oświetlone jarzeniówką. Na półpiętrze jakaś kobieta w obszernej kurtce i rękawiczkach na dłoniach z tępą miną grzebie w torebce. Mundy rzuca jej zdyszane *grüss Gott*. Ona albo jest głucha, albo celowo go ignoruje. A zdejmijże rękawiczki, babo, prędzej znajdziesz te swoje klucze! Mundy z żalem ogląda się za nią, tak bardzo lubi ludziom pomagać. A może zgubiła klucze? A może za zamkniętymi drzwiami czeka wnuczek? Wrócić do niej, pomóc, dokonać kolejnego rycerskiego czynu. A potem uciec. Do Zary, Mustafy i Mo.

Idzie dalej. Schody zakręcają jeszcze raz. Otaczające dolinę szczyty gór lśnią w półksiężycu blaskiem wiecznie zaśnieżonych hal. W dali widać jezioro, wesołe miasteczko, tłumy ludzi, ale nikogo, kto by go śledził. Dociera wreszcie przed ostatnie z fioletowych drzwi, tym razem półotwarte. Pcha je, otwierają się nieco, lecz za nimi nadal widzi zupełny mrok. Już ma zawołać: „Sasza!”, powstrzymuje go jednak wspomnienie beretu.

Nasłuchuje przez chwilę i słyszy tylko jarmarczny hałas. Wchodzi do środka, zamyka za sobą drzwi. Dostrzega w półmroku postać Saszy, który krzywo stoi na baczność z torbą u nogi. Ręce wyprostowane wzdłuż boków jak

tylko się da, kciuki zwrócone do przodu – wzorowy członek partii na trybunie pierwszomajowej. Ale ta schillerowska twarz, te ogniste oczy, ta nieco wychylona do przodu sylwetka nawet w zapadającym zmroku znamionują niebywałe napięcie – a może czujność?

– Muszę przyznać, Teddy, że ostatnio gadasz same bzdury – mówi Sasza.

Mundy zauważa ten sam co dawniej, lekko skrywany saksoński akcent. Ten sam pedantyczny, ostry jak brzytwa ton, zbyt ostry jak na takiego człowieczka. I tę samą nieodpartą przyganę.

– Te twoje filologiczne dygresje to kompletne bzdury, twój portret Ludwika Szalonego też. Ludwik był faszystowską świnią. Bismarck też. I ty też, bo nie odpisujesz na moje listy.

Ale w tej samej chwili rzucają się ku sobie, by się uściskać, bo i tak za długo już z tym czekali.

2

Kręta rzeka, która płynie od narodzin Mundy'ego do jego spotkania z nowym wcieleniem Saszy w Linderhofie, ma swe źródło nie w zielonych hrabstwach Anglii, lecz w przeklętych łańcuchach i przepaściach górskich Hindukuszu należących przez trzy wieki angielskiego panowania do Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej.

– Ten młody sahib, którego pan tu widzisz – mówi emerytowany major piechoty, ojciec Teddy'ego, w barze Pod Żółtym Łabędziem w podlondyńskim Weybridge każdemu, kto jeszcze o tym nie słyszał albo słyszał, lecz jest zbyt uprzejmy, by się przyznać – otóż ten młody sahib to jakby ciekawostka historyczna, no nie, mój chłopcze? – Po czym, czule otoczywszy ręką ramiona nastoletniego Mundy'ego, czocho mu włosy i obraca go do światła, by rozmówca mógł mu się lepiej przyjrzeć.

Major jest drobny, energiczny, pełen pasji. Gestami, nawet najczulszymi, przypomina boksera. Jego syn, chudzielec, przewyższa ojca o głowę.

– I jeśli można, zaraz panu powiem, dlaczego to mój Edward jest taką ciekawostką, sir – ciągnie major, a owo „sir” odnosi się do wszystkich dżentelmenów w zasięgu słuchu, do dam zresztą też, bo major wciąż jeszcze im się podoba, a one jemu. – Otóż owego ranka, gdy mój boy od lektyki poinformował mnie, że memsahib zaraz uczyni mi honor i obdarzy mnie potomstwem, tym oto chłopcem, sir, nad szpitalem pułkowym wschodziło zwykłe indyjskie słońce.

Dramatyczna pauza, z wiekiem Teddy też się tego nauczył, i kieliszek majora z mistycznym namaszczeniem unosi się w górę, a głowa się pochyla.

– Ale niestety, sir – ciągnie. – Ale niestety, nim ten oto młody człowiek pojawił się na placu apelowym – oskarżycielsko odwraca się teraz ku Mundy'emu, lecz jego wzrok nadal jest czuły jak przedtem – i to bez hełmu, a za to u mnie się dostaje dwa tygodnie paki...! Więc nim ten młody człowiek pojawił się na placu apelowym, słońce wcale nie było już indyjskie, tylko należało do wolnego państwa Pakistan. No nie, chłopcze, no nie?

Chłopiec czerwieni się i mamrocze:

– No, skoro ojciec tak mówi... – Czy coś takiego.

To zwykle wystarcza, by ktoś miły się roześmiał i by major mógł liczyć, że znowu napije się na cudzy koszt i że będzie mógł zakończyć swą opowieść morałem.

– Historia to bardzo kapryśna pani, sir. Maszerować dla niej noc i dzień, pracować jak wół, dawać przykład, i nic. Jej to nie wzrusza. – Taki równoważnikowy styl komunikowania odziedziczył kiedyś po nim syn. – Jak ktoś już jej niepotrzebny, to do widzenia. Na śmietnik. O właśnie. Na śmietnik historii. Ech! – Na nowo napełniony kieliszek wznosi się do góry. – Pańskie zdrowie, sir. Ma pan gest. I za naszą królową, naszą cesarzową, niech jej Bóg błogosławi. I za żołnierzy z Pendżabu. Trudno o lepszych, oczywiście pod dobrym dowództwem, sir. Ano właśnie...

Młodemu sahibowi przy okazji też trafi się lemoniada; major ze wzruszeniem wyciąga z rękawa sfatygowanej kurtki mundurowej zieloną chustkę i najpierw gładzi nią swój mały, lecz niesforny wąs, a potem wykonuje parę ukradkowych ruchów przy policzkach.

Major ma prawo do łez, bo – jak wiedzą wszyscy bywalcy Złotego Łabędzia – dzień narodzin pakistańskiej państwowości był nie tylko końcem jego kariery w armii brytyjskiej, ale również końcem dni jego żony, która spojrzawszy zmęczonym wzrokiem na urodzonego po czasie syna, wyzionęła ducha. Imperium brytyjskie też.

– Cóż to była za kobieta, sir. – Zbliża się wieczór. Major nie odchodzi od wodopoju i staje się coraz bardziej sentymentalny. – Wystarczy jedno słowo, by ją opisać: klasa. Kiedym zobaczył ją pierwszy raz, miała na sobie strój do konnej jazdy, bo kazała się zabrać służącym na poranną przejażdżkę. Pięć razy przeżyła na indyjskich równinach lato, a wyglądała tak, jakby właśnie była na truskawkach ze śmietaną na Pensji dla Panien Szlachetnie Urodzonych w Cheltenham. A na faunie i florze znała się lepiej niż Hindusi. I dziś byłaby wśród nas, gdyby ten zasraniec łapiduch tak się nie spił. Za jej pamięć, sir. Za świętej pamięci panią Mundy. Naprzód marsz. – Załzawiony wzrok pada na syna, o którego obecności major jakby na chwilę zapomniał. – A to mój mały Edward – wyjaśnia. – Kapitan szkolnej drużyny krykieta. Ile masz lat, chłopcze?

Chłopiec przyznaje się do szesnastu i nie może się doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł zabrać ojca do domu.

Ale major musi jeszcze zapewnić wszystkich, że nie ugiął się pod

brzemieniem podwójnej tragedii. Wytrwał, sir, wytrwał na posterunku. Owdowiał, miał teraz dziecko na głowie, wokół imperium rozpadało się w gruzy, więc ktoś mógłby pomyśleć, że zrobi to, co te mięczaki: opuści flagę, zagra na odwrót i odpłynie do kraju, w mrok. Ale major z innej gliny był ulepiony. On wolałby czyścić latryny w Pendżabie, niż w cywilu całować w dupę jakiegoś urzędasza. Serdeczne dzięki.

– Wezwałem mojego dirziego. Mówię mu: „Dirzi, w dniu, kiedy Dominionum Pakistanu ogłosi się Republiką Pakistanu, ale ani jednego dnia później, odprujesz mi z polowego munduru gwiazdki majora i przyszyjesz w ich miejsce półksiężyc Pakistanu. Ale *dźaldi*, zaraz, już”. I zaproponowałem, że jeśli się przydam, to dalej będę służył wśród najlepszych żołnierzy na świecie. Najlepszych oczywiście, jeżeli mają dobrego dowódcę. – Dramatycznie dźga kciukiem powietrze. – Ano właśnie...

Tu na całe szczęście rozlega się dzwonek, co znaczy, że bar zaraz zamkną, więc chłopak wyćwiczonym gestem bierze ojca pod rękę i prowadzi go pod numer 2 na ulicę Vale, gdzie czeka na nich curry z poprzedniego dnia.

Pochodzenie Mundy’ego wcale nie daje się jednak tak łatwo określić. Major, z takim zapałem kreśląc ogólny zarys zamaszystymi pociągnięciami pędzla, równocześnie skąpi szczegółów. Za to Mundy’ego wspomnienia z dzieciństwa to przede wszystkim wciąż zmieniające się obozy wojskowe, koszary i wysunięte placówki – zmieniające się tym szybciej, im szybciej spadały notowania majora. Jednego dnia dumny syn imperium brytyjskiego mógł uważać się za udzielnego władcę wymalowanego na biało garnizonu z czerwonym budynkiem kasyna oficerskiego, boiskiem do polo, basenem, organizowanymi zabawami dla dzieci i bożonarodzeniowymi przedstawieniami. Mundy pamięta, jak śmiertelnie stremowany grał Gapcia w *Królewnie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach*. A później gonił na bosaka po błotnistych zaułkach na wpół opustoszałej osady na dalekiej prowincji, gdzie zamiast samochodów mieli wozy ciągnięte przez woły, zamiast klubu – kinowy barak z blachy, a świąteczny pudding w pułkowej kantynie pokrywała zielona patyna pleśni.

Po tylu przeprowadzkach niewiele zostało z majątku ruchomego majora. Jego skóry tygrysie, wojskowe skrzynie, ukochane rzeźby z kości słoniowej – to wszystko należało uznać za straty w sprzęcie. Nie oszczędzono nawet pamięci jego żony, jej pamiętników, listów i szkatułki z rodzinną biżuterią – to

ten złodziej kwatermistrz z Lahauru, każe go wychłostać, jego i każdego z tych jego drańskich *ćapras*!

Któregoś dnia pijany, bo doprowadzony do pasji głupimi pytaniami Mundy'ego, major wyjawia straszliwą prawdę:

– Jej grób, chłopcze? Powiem ci, gdzie jest jej cholerny grób! Nie ma go! Rozwaliły go dzikusy! Kamień na kamieniu nie został! Wiesz, co nam po niej zostało? Tylko to! – Uderza się w pierś swą drobną piąstką. I dolewa sobie jeszcze trochę, czyli jak mawia, *ćota*. – Jaką ona miała klasę, chłopcze! Za każdym razem gdy patrzę na ciebie, widzę ją! Pochodziła z dobrej angielskiej szlachty. Mieli piękny kawał ziemi w Irlandii, ale potem wszystko przepadło. Najpierw irlandzcy katolicy, teraz te cholerne derwisze. No i cały klan diabli wzięli.

W końcu osiadają na dłużej w garnizonie w górskim miasteczku Marri. Major wegetuje w domku z gliny, pali craveny A – bo to dobre na gardło – i żołądkuje się z powodu żołądu, chorych i przepustek; Mundy opiekuje się bardzo gruba aja z Madrasu, czyli po prostu niania, która przywędrowała na północ po uzyskaniu przez Pakistan niepodległości. Nie miała innego imienia, więc Mundy nazywa ją Aja. Recytuje z nim wierszyki po angielsku i pendzabsku, ukradkiem uczy go świętych wersetów Koranu i opowiada mu o dobrym Bogu, który kocha sprawiedliwość, wszystkie ludy świata i ich proroków, nawet chrześcijan i hindusów, a najbardziej dzieci. Po usilnych naleganiach Mundy'ego bardzo niechętnie przyznaje się, że nie ma już męża, dzieci, rodziców ani rodzeństwa.

– Wszyscy zginęli, Edwardzie. Wszyscy przenieśli się już do Boga. I niech ci to wystarczy. Idź spać.

Chłopiec pyta dalej, więc Aja mówi, że całą jej rodzinę wymordowali Hindusi podczas jednej z licznych masakr, do których po podziale Indii dochodziło na stacjach kolejowych, w meczetach i na placach targowych.

– A tobie jak udało się przeżyć, Aja?

– Wola boska. A ty jesteś moją nagrodą. Śpij już.

Gdy nadchodzi wieczór, przy wtórze głosów kóz, szakali, trąbek i natrętnych pendzabskich bębnow major zaczyna rozmyślać o śmierci, siedząc pod rozłożystą melią nad brzegiem rzeki, paląc tanie cygara, które z przyzwyczajenia nazywa birmańskimi i z oszczędności kroi na małe kawałki pogiętym scyzorykiem. Co jakiś czas pokrzepia się z cynowej piersiówki, podczas gdy jego syn pluszcze się w wodzie z tubylczymi rówieśnikami i wraz

z nimi odgrywa niekończące się historie ludobójstwa dokonywanego wszędzie wokół przez dorosłych – więc raz jest hindusem, raz muzułmaninem, raz on zabija, raz zabijają jego. Jeszcze teraz, czterdzieści lat później, wystarczy, że zamknie oczy, i już czuje czarodziejski chłód spływający na ziemię równo z zapadnięciem mroku i niosący ze sobą upojne wonie, już widzi różowy świt nad zielonym, zalanym monsunowym deszczem podnóżem gór, już słyszy, jak cichną okrzyki jego towarzyszy zabaw; ich przyzywa znad rzeki głos muezina, jego – nocne krzyki ojca, który wymyśla mu od piekielników, bo przecież zabił własną matkę:

– Bo co, może nie, chłopcze? Chodź tu zaraz, mówię!

Ale chłopiec nie idzie, bo woli przytulić się do Aji i odczekać, aż alkohol zrobi swoje.

Od czasu do czasu chłopiec musi przejść przez przykry rytuał własnych urodzin. Gdy zbliża się feralny dzień, Ted robi, co może, zapada na wszelkie możliwe choroby: ból brzucha, migrenę, czerwonkę, pierwszy atak malarii, lęk przed ukąszeniem jadowitego nietoperza. Ale mimo wszystko dzień ów nadchodzi, pułkowi kucharze przygotowują straszliwe curry i tort z napisem: „Edwardowi z najlepszymi życzeniami”. Nie zaprasza się jednak żadnych dzieci, zasłony zostają zaciągnięte, stół w jadalni nakryty na trzy osoby, zapala się świece, służący w milczeniu tkwią rzędem pod ścianą; major w pełnym umundurowaniu, ze wszystkimi orderami na piersi, w kółko nastawia tę samą płytę z irlandzkimi balladami, a Mundy zastanawia się, ile curry uda mu się nie zjeść tym razem. Z namaszczaniem zdmuchuje świeczki, odkrawa trzy kawałki tortu, jeden kładzie na talerz mamy. Jeżeli major nie jest całkiem pijany, ojciec i syn zasiadają w milczeniu do partii szachów z białej i czerwonej kości słoniowej. Nigdy nie udaje im się dokończyć gry – odkładają ją na jutro, a jutro, jak wiadomo, nie przychodzi nigdy.

Bywają jednak inne, choć bardzo rzadkie wieczory, gdy major z jeszcze groźniejszą niż zwykle miną podchodzi do stojącego w kącie pokoju biurka, otwiera je jednym z licznych kluczy na łańcuszku i uroczyście wyjmuje stary tom w czerwonej oprawie ze złożonym napisem: Rudyard Kipling – *Czytanki z dzieł wybranych*. Ze sfatygowanego metalowego etui major wyjmuje okulary do czytania i nakłada je, umieściwszy szklankę z whisky w dziurze ratanowego fotela, po czym zaczyna wyrzucać z siebie urywanym głosem zdania o Mowglim, chłopcu z dżungli, i innym chłopcu imieniem Kim, który został szpiegiem w służbie Jej Królewskiej Mości, choć czytanka nie ujawnia, co się

z nim potem stało, czy mu to uszło na sucho, czy też go złapano. Major potrafi popijać, czytać i znów popijać całymi godzinami z tak poważną miną, jakby celebrował podniesienie. Wreszcie zasypia, Aja wysuwa się na palcach z ciemnego kąta, w którym skrywała się podczas lektury, bierze Mundy'ego za rękę i prowadzi do łóżka. Czytanka Kiplinga to jedyna pozycja, która ocalała z wielkiego i różnorodnego księgozbioru jego matki.

– Ta kobieta miała więcej książek, niż ja zjadłem gorących obiadów – dziwuje się po żołniersku major.

Mimo to z czasem Mundy'emu coraz trudniej przychodzi zrozumieć, że tak kulturalna dama zostawiła mu tylko jeden zaczytany do cna zbiorek kilku niedokończonych opowieści. Znacznie chętniej wsłuchuje się więc w opowiadane mu do poduszki historie Aji o bohaterskich czynach Proroka. Swą edukację uzupełnia, uczęszczając do tego, co pozostało z dawnej kolonialnej szkółki dla sierot i dzieci uboższych oficerów, nadal bierze udział w szkolnych przedstawieniach i raz na tydzień odwiedza anglikańskiego misjonarza o gładkiej twarzy, który uczy go religii i gry na pianinie, a najbardziej lubi prowadzić swymi palcami palce nielicznych podopiecznych. Jednak owe przypadkowe kontakty z chrześcijaństwem to tylko nieprzyjemne chwile, sporadycznie zakłócające słoneczne dni pogaństwa. Dni te płyną najprzyjemniej na zawziętej grze w krykieta – z Ahmedem, Umarem i Alim – na bitej drodze za meczetem albo na wpatrywaniu się w lśniące kałuże w zagłębieniach skalnych w towarzystwie Rani, dziewięcioletniej bosej piękności, której Mundy szepcze do ucha dziecięce wyznania miłosne i z którą chce się ożenić najszybciej, jak tylko się da, albo na wyśpiewywaniu patriotycznych pieśni pendzabskich, gdy na pułkowym boisku do krykieta wciągana jest na maszt nowiutka flaga Islamskiej Republiki Pakistanu.

I pewnie Mundy spędziłby w ten sposób resztę swej młodości i w ogóle resztę życia, gdyby nie to, że pewnego wieczoru uciekli nagle wszyscy służący, nawet Aja, że – który to raz? – zabito deskami okiennice ich domku i że ojciec z synem w milczącym pośpiechu władowali resztki swego dobytku do skórzanych waliz z miedzianymi okuciami. I tak oto bladym świtem podskakują już na wybojach pod budą starej ciężarówki żandarmerii; na przednich siedzeniach w kabinie towarzyszą im dwaj pendzabscy żołnierze o marsowych minach. U boku Mundy'ego kuli się zdegradowany major piechoty pakistańskiej, już w cywilnym kapeluszu i starym szkolnym krawacie, bo krawat w barwach pułkowych nie przystoi komuś, kogo uznano winnym

podniesienia ręki na towarzysza z korpusu oficerskiego. Mundy nie wie dokładnie, co takiego major zrobił z ręką, kiedy ją już podniósł, ale sądząc po konsekwencjach, nie włożył jej z powrotem do kieszeni. Przy bramie garnizonu dewan, który dotąd zawsze witał Mundy'ego szerokim uśmiechem, teraz stoi z kamienną twarzą. Obok niego tkwi Aja z twarzą białą jak kreda albo jak duchy, których zawsze tak się obawiała. Ahmed, Umar i Ali wyją, machają rękami i pędzą za odjeżdżającą ciężarówką, ale nie ma wśród nich Rani. Rani w odświętnej sukience, z czarnymi włosami świeżo zaczesanymi do tyłu, ze złączonymi stopami klęczy na poboczu drogi i tłumy płacz w splecionych ramionach.

Statek wypływa z Karaczi po ciemku i cały rejs do Anglii również odbywa się w ciemności, bo major wstydzi się pokazać po tym, jak wydrukowano jego zdjęcie w pakistańskiej prasie. Kryje się więc, popijając whisky w kabinie; je tylko to, do czego zmusi go syn. Chłopiec staje się opiekunem ojca, pilnuje go, sprawdza, czy wydawany na statku dziennik nie zawiera treści toksycznych, i wyprowadza majora na ukradkowe spacerunki albo przed wschodem słońca, albo wieczorem, gdy cały statek przebiera się do kolacji. Leżąc na wznak na drugiej koi i biernie paląc cygara ojca, liczy mosiężne śruby w drewnianych wręgach wznoszących się łukiem w stropie kabiny, wsłuchuje się to w gadaninę majora, to w pomruk silników statku lub zgaduje, jak też mogły się skończyć wszystkie te niedokończone opowieści Kiplinga. Albo marzy o Rani i o tym, by rzucić się w morze i popłynąć z powrotem do ojczyzny, którą jego ojciec wciąż nazywa Indiami.

A załamany major ma wiele do powiedzenia na temat Indii; część z tego, co mówi, młodego Mundy'ego bardzo zastanawia. Teraz, gdy nie ma już nic do stracenia, major oświadcza, że jest zniesmaczony udziałem swego kraju w tym skandalu, jakim było dopuszczenie do podziału Indii. Przeklina na czym świat stoi drani i idiotów z rządu i parlamentu. Wini ich o wszystko, nawet o to, co się stało z rodziną Aji. Wygląda na to, że usiłuje na ich barki złożyć własne poczucie winy. Przelew krwi i przymusowe wędrówki, załamanie się systemu prawnego, porządku i administracji centralnej są już dla niego konsekwencjami nie tubylczego oporu, a rozpanoszenia się, spisków, chciwości, korupcji i tchórzostwa brytyjskich władz kolonialnych. Lord Mountbatten, ostatni wicekról, na którego major nie pozwalał dotąd powiedzieć złego słowa, zostaje w oparach kabiny przemianowany na Osła.

– Gdyby Osioł myślał mniej o podziale Indii, a więcej o tym, jak

powstrzymać masakry, mógłby uratować milion ludzi. Albo i dwa.

Niewiele lepszą prasę mają teraz u majora premier Attlee i minister Stafford Cripps. Niby to nazywają się socjalistami, a takie same z nich snoby jak z wszystkich innych.

– No a Winston Churchill? No, ten to byłby gorszy niż ci dwaj razem wzięci, gdyby tylko znowu dorwał się do władzy. A wiesz dlaczego, synu? Co? Wiesz?

– Nie, tato.

– Bo on uważał wszystkich, i hindusów, i muzułmanów, za stado baranów. Za takich, co tylko trzeba ich tłuc, wieszać i uczyć Biblii. Żebyś już nigdy nie powiedział przy mnie ani jednego dobrego słowa o tym człowieku. Rozumiesz, chłopcze?

– Tak, tato.

– No, to teraz daj mi whisky.

Heretyckie wywody majora są może nieco intelektualnie ograniczone, ale na znajdującego się w jakże trudnym wieku Mundy'ego mają wpływ oszałamiający. W jednej chwili staje mu przed oczyma Aja, która załamuje ręce nad ciałami swych pomordowanych bliskich, wspomina niejasne pogłoski o masowych mordach, po których następował równie krwawy odwet. A więc winni byli nie tylko Hindusi, lecz również Brytyjczycy! Przypomina sobie wszystkie docinki, które jako chrześcijanin musiał znosić od Ahmeda, Umara i Alego, i poniewczasie dziękuje im, że i tak zachowywali w tym umiar. Przed oczyma staje mu Rani i dziwi się, że do tego stopnia udało się jej zapanować nad odrazą, by go pokochać. Wyrzucony z ukochanego kraju dzieciństwa i młodości, niesiony dzień i noc w stronę innego, złego kraju, którego w życiu nie widział i który musi teraz nazywać ojczyzną, Mundy po raz pierwszy radykalnie przewartościowuje sądy o kolonializmie.

Czekająca na młodego Mundy'ego Anglia to stojący w wiecznym deszczu cmentarz żywych trupów oświetlony czterdziestowatową żarówką. Średniowieczne kamienne budynki szkoły cuchną środkami dezynfekcyjnymi, rządzą tam młodzi kolaboranci z dorosłymi despotami. Domek na Vale 2 jęczy i gnije; ojciec pichci w nim niejadalne curry i stacza się powoli, choć zdecydowanie. Ponieważ w Weybridge nie ma dzielnicy uciech, eksmajor zatrudnia jako gospodynię frywolną Szkotkę, panią McKechnie, która od wielu lat liczy sobie dwadzieścia dziewięć wiosen, niechętnie dzieli z nim łożę i tak

skutecznie poleruje resztki kolekcji indyjskich srebrnych szkatulek, że tajemniczo znikają jedna po drugiej. Ale frywolna pani McKechnie nigdy nie głaszcze Mundy'ego po policzku, tak jak kiedyś czyniła to Aja, nie opowiada mu o bohaterskich czynach proroka Muhammada, nie trzyma go za rękę, póki chłopiec nie zaśnie, ani na odpędzanie nocnych strachów nie daje mu nic w zamian, kiedy zgubił amulet z tygryziej skóry. Wkrótce ojciec wysłała Mundy'ego do szkoły z internatem – za pieniądze pochodzące ze spadku po dalekiej ciotce i ze stypendium dla dzieci oficerów. Chłopiec jest najpierw zdumiony, potem przerażony. Pożegnalne słowa majora, na pewno pełnego dobrych chęci, nie przygotowały go na to nowe życie.

– Zawsze pamiętaj, że matka patrzy na ciebie z nieba. A jak widzisz, że jakiś facet czesze włosy przy innych, to zwiewaj gdzie pieprz rośnie – mówi ojciec, gdy ściskają się na do widzenia.

Wyglądając z pociągu wiozącego go do szkoły i rozpaczliwie usiłując pamiętać, że matka patrzy na niego z nieba, Mundy na próżno szuka małych żebraków, którzy wieszaliby się u okien, peronów pełnych owiniętych co prawda w całuny, ale wcale nie zamordowanych ciał – głowy przykryte, stopy na wierzchu – i facetów czeszących się przy innych. Nie widzi też wypłowiałych jak krowie łajno na słońcu krajobrazów i błękitnych łańcuchów górskich, tylko podmokłe pola i tajemnicze afisze oznajmiające mu z mijanych płotów, że znajduje się w Strong Country.

Po przyjeździe na miejsce odbywania kary były biały bóg i panicz zostaje bez sądu zdegradowany do rangi pariasa. Pod koniec pierwszego trymestru, uznany za wariata z kolonii, zaczyna mówić z hinduskim akcentem – jak tak, to tak. Ku dziwnej radości kolegów zawsze sprawdza, czy gdzieś pod ławkami nie czai się wąż, a na każdy dźwięk dobiegający ze szkolnych kaloryferów rzuca się pod stolik z okrzykiem: „Trzęsienie ziemi!”. Prowadzony do łaźni uzbraja się w rakietę tenisową, by mieć czym opędzać się od nietoperzy, które mogłyby spaść na niego z sufitu, a gdy rozlega się dzwon wzywający do kaplicy, głośno się zastanawia, kiedy muezin zacznie nawoływać do modlitwy. Wysyłany na poranne biegi dla okiełznania popędu płciowego, wciąż pyta, czy krążące na niebie hrabstwa Dorset kruki to latawce.

Spadające na niego kary nie zdają się na nic. W czasie przeznaczonym na odrabianie lekcji mruczy pod nosem strzępy zapamiętanych wersetów Koranu, a po dzwonku nakazującym gaszenie świateł łatwo zastać go w umywalni przed popękany lustrem, w którym sprawdza, czy nie ciemnieje mu twarz

i okolice oczu, co potwierdziłoby jego żywione w skrytości ducha przekonanie, że jest porządnym muzułmaninem, a nie spadkobiercą arystokratycznej rasy swojej matki. Niestety: po jakimś czasie musi pogodzić się z myślą, że już do końca życia będzie pogardzanym, białym jak śnieg, obarczonym zbrodniami poprzednich pokoleń zadatkiem na nową klasę rządzącą Wielkiej Brytanii.

Jego jedynym duchowym sprzymierzeńcem jest taki sam jak on wyrzutek: siwowłosa emigrant w okularach w drucianej oprawie i sfatygowanym garniturze, pełen godności, uprzejmy, w nieokreślonym wieku, który prowadzi dodatkowe zajęcia z niemieckiego i gry na wiolonczeli, mieszka zaś w małym mieszkaniu w domku z czerwonej cegły przy rondzie na Bristol Road. Nazywa się Mallory. Mundy natknął się kiedyś na niego w herbaciarni na High Street – dokładnie o tej godzinie, o której w szkole rozpoczynało się zebranie nauczycieli. Dlaczego pan Mallory siedzi w herbaciarni i czyta książkę, zamiast być z kolegami w sali konferencyjnej?

– Bo ja nie jestem pełnoprawnym nauczycielem, panie Mundy – wyjaśnia ze swą zwykłą uprzejmością, zamykając książkę i prostując się na krześle. – Może kiedyś nim zostanę, gdy do tego dorosnę. Na razie jestem nauczycielem tymczasowym. Wiecznie tymczasowym. Może ciasta? Pan pozwoli...

Jeszcze przed nadejściem weekendu Mundy zapisuje się na lekcje wiolonczeli, dodatkowe zajęcia z kultury niemieckiej i niemieckie konwersacje, wszystko po dwie godziny tygodniowo. *Podjąłem tę decyzję, bo muzyka jest moją jedyną pasją, a kultura niemiecka to taka literacka wersja muzyki*, pisze odważnie do majora, prosząc o dorzucenie piętnastu funtów do rocznego czesnego.

Odpowiedź majora jest równie impulsywna, tym bardziej że wysłana za pośrednictwem telegrafu: *Popieram z całego serca stop twoja matka wielki talent muzyczny stop jeżeli to krewny tego Mallory'ego co zdobywał Everest to świetny materiał ludzki stop zapytaj i odpisz stop mundy*.

Ale niestety, pan Mallory nie jest świetnym materiałem ludzkim, przynajmniej nie w tym sensie. Przepraszająco tłumaczy, że naprawdę nazywa się Hugo Mandelbaum, pochodzi z Lipska i ma lęk wysokości.

– Tylko bardzo pana proszę, niech pan nie mówi o tym chłopcom. Wie pan, takie nazwisko... okropnie by się śmiali. – I sam się śmieje, i kiwa głową z rezygnacją kogoś, kto dobrze wie, że jest przedmiotem żartów.

Okazuje się, że z tą wiolonczelą to nie był najlepszy pomysł. Z początku

doktor Mandelbaum uczy Mundy'ego wyłącznie prowadzenia smyczka. W odróżnieniu od anglikańskiego misjonarza z Marri traktuje palce ucznia jak kable wysokiego napięcia; ostrożnie układa je na właściwych miejscach i natychmiast chroni się w drugim końcu pokoju. Jednak już po piątej lekcji zmienia się wyraz twarzy nauczyciela: zawodowa troska zostaje zastąpiona zwykłym współczuciem dla bliźniego. Siedząc przy pianinie, łączy ręce i opiera się na nich.

– Panie Mundy – oświadcza wreszcie z wielką powagą. – Muzyka nie jest dla pana odpowiednim schronieniem. Może stanie się nim kiedyś, kiedy doświadczy pan już uczuć, które ona opisuje. Zresztą trudno coś przesądzać. Może będzie lepiej, jeżeli poszuka pan schronienia w języku. Już Karol Wielki mówił nam, że poznać drugi język to jak posiąść drugą duszę. Niemiecki jest właśnie taki. Gdy raz wejdzie do głowy, jest na zawołanie, można się w nim skryć, zamknąć za sobą drzwi. Pozwoli pan, że przeczytam krótki wiersz Goethego? Goethe wysławiał się czasem bardzo prosto. Szczególnie wtedy, gdy był w pańskim wieku, i potem znowu, gdy był w moim. Więc najpierw przeczytam panu po niemiecku ten bardzo prosty wiersz, a potem wytłumaczę, o co chodzi. I na nasze następne spotkanie pan się go nauczy. *So*.

I doktor Mandelbaum recytuje najpiękniejszy i najkrótszy wiersz, jaki kiedykolwiek napisano w języku niemieckim, i zaraz go tłumaczy: „Ponad gór szczytami trwa cisza... poczekaj no, rychło ucichniesz ty też”¹. Wiolonczela wraca do szafy doktora Mandelbauma, tej samej, w której trzyma swój stary garnitur. A Mundy, który zdążył już wiolonczelę serdecznie znienawidzić, teraz płacze, i to ze wstydu, choć zwykle nie roni łez. Doktor Mandelbaum siedzi w drugim kącie pokoju przy oknie zasłoniętym koronkową firanką i wpatruje się w książkę drukowaną szpiczastym gotykiem.

A jednak staje się cud. Mija parę trymestrów i doktor Mandelbaum ma wreszcie wybitnego ucznia, a Mundy znajduje schronienie u Goethego, Heinego, Schillera, Eichendorffa i Mörikego. Czyta ich ukradkiem, zamiast odrabiać lekcje z religii, potem bierze do łóżka i czyta dalej, ale już pod kołdrą, w świetle latarki.

– *So*, panie Mundy – oznajmia dumnie doktor Mandelbaum ponad tortem czekoladowym, który kupił z okazji doskonale zdanego przez Mundy'ego egzaminu państwowego. – Dziś obaj jesteście emigrantami. A może dopóki ludzkość jęczy w kajdanach, wszyscy dobrzy ludzie są emigrantami? – Bo doktor Mandelbaum pozwala sobie na uwagi o wyklętych tego świata tylko

wtedy, gdy mówi po niemiecku. – Nie możemy wiecznie żyć w wieży z kości słoniowej. Wygodna nieświadomość to żadne rozwiązanie. W niemieckich organizacjach studenckich, do których nigdy nie mogłem należeć, mawiano: „Lepiej jak salamandra w ogniu żyć i gorzeć”.

Po czym odczytuje fragment z *Natana mędrca* Lessinga. Mundy słucha z szacunkiem i kiwa głową do wtóru rytmowi pięknego głosu, jakby wsłuchiwał się we śnie w muzykę, którą kiedyś wreszcie zrozumie.

– A teraz niech mi pan jeszcze opowie o Indiach – mówi doktor Mandelbaum, zamyka oczy i wsłuchuje się w powtarzane za Ają gawędy spod Himalajów.

Od czasu do czasu, chcąc wypełnić ojcowski obowiązek, w szkole pojawia się bez zapowiedzi major. Wspierając się na lasce z wiśniowego drewna, robi przegląd wojsk i ryczy. Jeżeli Mundy gra w rugby, ryczy doń, by połamał zasrańcom nogi, gdy w krykieta – ręce. Jego odwiedziny urywają się jednak, gdy za którymś razem, nie mogąc znieść goryczy porażki, oznajmia wszem wobec, że trener to pedał, i – nie po raz pierwszy w życiu – zostaje wyprowadzony za bramę. A za bramą szkoły trwają już w najlepsze szalone lata sześćdziesiąte – tylko w obrębie jej murów orkiestra wciąż jeszcze gra na imperialną nutę. Dwa razy dziennie na szkolnych nabożeństwach chwali się poległych, a gani żyjących, wynosi białego człowieka nad inne rasy i nakazuje wstrzemięźliwość płciową chłopcom, których podnieca byle nagłówek w „Timesie”.

Lecz choć ucisk, którego Mundy doznaje od swych dręczycieli, wzmaga jego nienawiść do nich, nie udaje mu się uniknąć przekleństwa ich aprobaty. Jego największym wrogiem jest bowiem wrodzona dobroduszość i nieposkromiona chęć przynależenia do wspólnoty. Pustkę, którą usiłuje wypełnić, zrozumieć może tylko ktoś, kto nie znał własnej matki. A zmiana nastawienia do niszczonego kiedyś ucznia odbywa się powoli i podstępnie. Zaczyna się od tego, że coraz częściej uchodzą mu płazem najróżniejsze przejawy niesubordynacji. Pali papierosy w najbardziej niebezpiecznych miejscach, ale nikt jakoś nie chce go na tym przyłapać ani poczuć woni z ust. Podczas nabożeństwa czyta lekcję w stanie upojenia alkoholowego, bo właśnie wypił kufel piwa przy tylnych drzwiach pobliskiego pubu, lecz zamiast obowiązkowej w takich wypadkach kary chłosty spotyka go niespodziewane wyróżnienie: zostaje jednym z uczniowskich prefektów z dużymi szansami na stanowisko przewodniczącego szkoły. Najgorsze jednak

ma dopiero nadejść. Otóż mimo pewnej niezgrabności Mundy dostaje się do szkolnej reprezentacji w rugby i w krykiecie i już zupełnie nieoczekiwanie zostaje szkolnym bohaterem. Pogańskie praktyki i wywrotowe poglądy w jednej chwili idą w zapomnienie. Dostaje tytułową rolę w nudnym jak flaki z olejem średniowiecznym moralitecie. Szkołę opuszcza w niechcianej glorii, a dzięki doktorowi Mandelbaumowi czeka już na niego stypendium na germanistycę w Oksfordzie.

– Drogi chłopcze...

– Ojczy...

Mundy pozwala majorowi zebrać myśli. Siedzą w szklarni w podlondyńskiej willi. Na zewnątrz jak zwykle pada deszcz. Strugi wody zasłaniają błękitne sosny w zapuszczonym ogródku, spływają po zardzewiałych framugach drzwi, uderzają o spękane płytki przed progiem. Frywolna pani McKechnie bawi w Aberdeen. Jest popołudnie, więc major znajduje się teraz w stanie *lucidum intervallum* między drinkiem do lunchu a pierwszą wieczorną szklaneczką. Sparszywiały ogar powarkuje i puszcza gazy w legowisko u stóp swego pana. W szklarni brakuje już szybek, ale majorowi to nie przeszkadza, bo od pewnego czasu cierpi na klaustrofobię. Odtąd zgodnie z domowym regulaminem nie zamyka się u niego ani okien, ani drzwi. Swjej topniejącej z roku na rok publiczności Pod Łabędziem powtarza w kółko, że jeżeli dranie chcą go dopaść, to wiedzą, gdzie go szukać – i tu wskazuje zawsze na swą nieodłączną laskę z wiśniowego drewna.

– Czyli co, chłopie, jesteś zdecydowany? Na tę niemczyznę? – I z mądrą miną zaciąga się birmańskim cygarem.

– Tak jest, tato, dziękuję.

Major i ogar razem zastanawiają się nad odpowiedzią, pierwszy jednak odzywa się major:

– No wiesz, parę porządnych pułków nam zostało. Nie wszystkie jeszcze zeszyły na psy.

– Mimo wszystko jestem zdecydowany, tato.

Kolejna dłuższa pauza.

– Myślisz, że szkopy znów się do nas wezmą? Od poprzedniego razu minęło dwadzieścia lat, przedtem też było dwadzieścia, więc chyba znowu czas na nich.

Następuje jeszcze jedna chwila ciszy. Twarz majora nagle się rozjaśnia.

– No tak, synu. Możesz mieć pretensje do matki.

Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich miesięcy Mundy zaczyna się bać o stan umysłu ojca. Moja zmarła matka miałaby być odpowiedzialna za kolejną wojnę z Niemcami? Jak to, tato, jak to?

– Tej kobiecie języki przychodziły tak łatwo, jak nam splunąć. I hindi, i pendżabski, i urdu, i telugu, i tamilski, i niemiecki...

Mundy nie posiada się ze zdumienia.

– Niemiecki też?

– I francuski. W mowie, w piśmie, w śpiewie. Miała ucho jak ptak przedrzeźniacz. Zresztą u Stanhope'ów to rodzinne.

Mundy słucha tego z wielką satysfakcją. Dzięki doktorowi Mandelbaumowi od pewnego czasu jest w posiadaniu tajnej informacji, że niemiecki to piękny, poetycki, dźwięczny, logiczny i niespodziewanie wesoły język, a równocześnie posiada ową romantyczną duszę, której nie zrozumie nikt, kto nie potrafi się jej doszukać. Poza napisem „Wstęp wzbroniony” posiada więc właściwie wszystko, o czym mógłby marzyć poszukujący duchowego schronienia dziewiętnastoletni „wilk stepowy”. A teraz jeszcze okazuje się, że to wrodzony talent! Tak oto Los rozwiewa ostatnie wątpliwości. Przecież gdyby nie doktor Mandelbaum, Mundy nigdy nie poszedłby na germanistykę. A gdyby nie germanistyka, nie zapisałby się na cotygodniowe zajęcia z gockiego przekładu Biblii biskupa Wulfila. A gdyby nie Wulfila, trzeciego dnia pierwszego semestru na uniwersytecie nie siedziałby na perkalowej kanapie w północnej części Oksfordu pośladek w pośladek z drobną, acz ognistą Ilse, Węgierką poligłotką, która wzięła na siebie zadanie wprowadzenia dryblasa pól sieroty – prawiczka – w świat doznań seksualnych. Odbywszy akademickie safari po uczelniach całej niemal Europy, znalazła się w Oksfordzie, by tu zrozumieć dogłębnie korzenie współczesnego anarchizmu. Wulfila znalazł się w jej planie studiów zupełnie przypadkowo.

Wezwany w środku nocy do podlondyńskiej willi zasmucony Mundy podtrzymuje spoconą głowę ojca, który w jego ramionach wydaje ostatnie tchnienie swego nędznego żywota, podczas gdy beztroska pani McKechnie pokrzepia się cygarem na schodach. Na pogrzebie zjawiają się poza synem i konkubina: adwokat, od dawna już nieopłacany księgowy, właściciel Łabędzia i kilku bywalców lokalu. Pani McKechnie, która wciąż liczy sobie dwadzieścia dziewięć lat, stoi nad otwartym grobem na baczość jak prawdziwa dzielna szkocka wdowa. Jest lato, więc ma na sobie czarną

szyfonową sukienkę, którą leniwy wietrzyk opina na jej ciele, ukazując piękny zarys biustu i innych krągłości. Zasłania usta książeczką do nabożeństwa i szepcze Mundy'emu do ucha z tak bliska, że jej usta łaskoczą go w uszy.

– Widzisz, co mógłbyś mieć, gdybyś ładnie poprosił? – mówi ze swym aberdeenskim akcentem i ku oburzeniu Mundy'ego lekko muska dłonią jego krocze.

Mundy chroni się wreszcie w college'u i drżąc na całym ciele, przegląda swój skromny spadek: mocno zniszczone czerwono-białe szachy z kości słoniowej; zgniłozielony wojskowy plecak, w nim sześć koszul szytych na miarę przez firmę Ranken sp. z o.o., rok założenia 1770, Kalkuta, dostawca dworu JKM Jerzego V, filie w Delhi, Madrasie, Lahaurze i Marri; mocno poobijaną cynową piersiówkę, nieodłączną towarzyszkę wysiadywania pod rozłożystą melią o zachodzie słońca; pogięty scyzoryk do przecinania cygar; złamany ceremonialny nóż Gurkhów z wygrawerowanym napisem „Dzielnemu Przyjacielowi”; przekazywaną z pokolenia na pokolenie tweedową marynarkę bez metki krawca; zaczytany egzemplarz Rudyarda Kiplinga *Czytanek z dzieł wybranych* oraz ciężką skórzaną walizę o mosiężnych okuciach, znaną pod stertami pustych butelek w szafie w sypialni majora.

Waliza jest zamknięta na kłódkę.

Klucza nie ma.

Przez kilka dni Mundy trzyma walizę pod łóżkiem. Jej los jest teraz w jego rękach. O skarbie pod łóżkiem wie tylko on, nikt więcej. Czy okaże się, że jest nieprawdopodobnie bogaty? Może jest jedynym spadkobiercą British American Tobacco? Albo tajemnej fortuny wymarłego rodu Stanhope'ów? Pożyczoną od college'owego dozorcę piłką do metalu usiłuje poradzić sobie z kłódką. Zajmuje mu to cały wieczór i w końcu doprowadzony do rozpaczyci kładzie walizę na łóżko, wyciąga ceremonialny nóż Gurkhów z pochwy i podbudowany widokiem tego wspaniałego narzędzia robi w denku równy, okrągły otwór. Podnosi rozciętą skórę i czuje zapach Marri o zachodzie słońca i potu na karku Rani kucającej obok niego nad wodą w rozpadlinach skalnych.

Urzędowe pisma wojskowe: angielskie, indyjskie, pakistańskie.

Wyblakłe pergaminy nadające Arthurowi Henry'emu Mundy'emu kolejne stopnie: podporucznika, porucznika, kapitana elitarnego pułku, potem nieco mniej elitarnego pułku, potem jeszcze mniej elitarnego.

Pożółkły, zrobiony na domowej drukarence program przedstawienia *Królowna Śnieżka* w Teatryku Peszawarskim. W roli Gapcia – E.A. Mundy.

Listy od zdenerwowanych kierowników banków w związku z „rachunkami z mesy oficerskiej i wieloma innymi obciążeniami, na które nie ma pokrycia w środkach zdeponowanych na kontach w naszym banku”.

Przepiętnie wykaligrafowany protokół posiedzenia sądu wojskowego w Marri, wrzesień 1956, podpisano: sierż. J.R. Singh, protokolant. Zeznania świadków, zeznanie obrońcy oskarżonego, wyrok. Aresztowany przyznaje się do winy, przyznaje się do popełnionego czynu. Z wystąpienia obrońcy: „Major Mundy był pijany. Dostał szału. Gorąco przeprasza za swój czyn i oddaje się do dyspozycji sądu”.

Nie tak szybko. Przeprosiny nie wystarczą. Jaki czyn? Za co ten sąd?

Opis zajścia złożony w sądzie na piśmie, lecz nieodczytany. Major Mundy przyznaje się do czynów zarzucanych mu w akcie oskarżenia, a więc do tego, że gdy posilał się w kantine oficerskiej, „poczuł się urażony żartobliwymi uwagami kapitana Graya, szanowanego oficera kwatermistrzostwa, tymczasowo oddelegowanego ze swego pułku w Lahaurze. Oskarżony chwycił kapitana za kłapy munduru w sposób nieregulaminowy i całkowicie sprzeczny z zasadami dyscypliny wojskowej, po czym zadał mu trzy celne ciosy głową, powodując liczne obrażenia twarzy ofiary. Nie poprzestając na tym, kopnął go kolanem w krocze, a następnie, mimo wysiłków próbujących go uspokoić kolegów, zaciągnął wspomnianego kapitana na werandę i tam brutalnie go pobił i skopał, co mogło zagrozić nie tylko szczęściu małżeńskiemu i dalszej wojskowej karierze ofiary, lecz wręcz jej zdrowiu i życiu”.

Sąd nie mógł stwierdzić, jak brzmiały „żartobliwe uwagi kapitana Graya”, ponieważ sam oskarżony odmówił ich przytoczenia. Wypowiedzi oskarżonego w sądzie ograniczyły się do stwierdzenia, iż „był pijany i jest mu bardzo przykro”. Koniec sprawy, koniec kariery, koniec wszystkiego. Wszystkiego, ale nie tajemnicy.

Opasła teczka do akt podpisana przez majora: „Akta”. Po co? Czy na książce też pisze się „książka”? Pewnie tak. Mundy wyrzuca zawartość teczki na swą poprzecieraną kołdrę. Duża poźółkła fotografia w ozdobnej pozłacanej ramce przedstawia grupkę sztywnej angielskiej rodziny otoczoną liczną służbą. Stoją na stopniach kolonialnej rezydencji – w podgórskiej części Indii – z niezliczonymi wieżyczkami, okolonej starannie utrzymanym ogrodem. Na każdej wieżyczce łopocze brytyjski sztandar. W centrum grupy stoi pewny siebie biały mężczyzna w sztywnym kołnierzyku, obok niego równie władcza i poważna żona w bliźniaku i plisowanej spódnicy. Po obu stronach tej pary

dwaj mali biali chłopcy, każdy w mundurku z Eton. Z kolei po obu stronach chłopców inne białe dzieci i dorośli w różnym wieku, najprawdopodobniej ich ciocie, wujowie i kuzyni. Niżej na schodach służba w liberii ustawiona według koloru skóry: najbielsi w środku, najciemniejsi z brzegu. Wydrukowany podpis głosi: „Państwo Stanhope’owie w swej posiadłości w dniu kapitulacji Niemiec, 1945 r. BOŻE CHROŃ KRÓLA”.

Mundy zdaje sobie sprawę, że oto znalazł się twarzą w twarz z Duchem Matki. Przysuwa zdjęcie do lampki nocnej, obraca nim do światła na wszystkie strony i szuka wśród żeńskiej części rodziny wysokiej angielsko-irlandzkiej arystokratki poliglotki; szuka przede wszystkim oznak godności i erudycji. Widzi groźne matrony, starsze panie zbyt stare, by mogły jeszcze kogokolwiek urodzić, naburmuszone tłuste podlotki z warkoczami, ale potencjalnej matki wśród nich nie ma. Już chce odłożyć fotografię, gdy na jej odwrocie zauważa nabazgraną i też już zbrązowiałą linijkę pisma – na pewno nie jest to pismo majora. Raczej niezbyt w tym wyćwiczonej dziewczyny – jednego z tych naburmuszonych podlotków? – chyba bardzo podekscytowanej, bo tu kleks, tam zadrapanie... „I jak zwykle zamkłam oczy!!!”

Podpisu brak, ale ten temperament... Mundy znów wpatruje się w fotografię. Szuka pary zamkniętych oczu, teraz już nie tylko angielskich, ale i hinduskich. Dzień był jednak słoneczny, więc tych zamkniętych oczu jest zbyt wiele. Odkłada zdjęcie na kołdrę i grzebie wśród reszty zawartości teczki; nie całkiem przypadkowo wybiera paczkę przewiązanych sznurkiem listów. Zagląda na rewers zdjęcia, na odręczny napis, i porównuje pismo. Autorka listów i autorka napisu na zdjęciu to jedna i ta sama osoba. Mundy rozkłada listy na kołdrze – jest ich sześć. Najdłuższy ma osiem nieponumerowanych stron, pisanych jak kura pazurem z najokropniejszymi błędami ortograficznymi; brak godności i erudycji jest widoczny już na pierwszy rzut oka.

Dwa pierwsze zaczynają się od: „Najdroższy” i „Och, Arthurze”, ale potem już nie jest tak miło:

Arthur, do jasny holery, słóhaj mnie!

Jaki sókinsyn mnie to zrobił? No ten com mu sie oddała jak gupia jak komu dobremu czyli Ty Arthur, jak mi Bug światkiem. A nie zapieraj sie. Jak wruce do domu tata mnie zabije. I zara bede jak kórwa z benkartem i za co go wyrzywie oddadzm mnie za konnicom dziecko zabiorom przecie wiem bo to taka pokóta. A jak zostane w Indyjah to mi ino za

kórwe iść jak te muladki na rynku Matko Bosko to jurz mnie sie lepi w Gangysie utopidź. Ani sie wypowiedadź bo ten zasrany Ojciec M'Graw zaraz nagada Stanhopowy a co bo to nie dobieroł sie do mnie a Gospodyni to gapi mi sie na brzuho jakbym ji obiad zezarła. Czy ta nasza niania Nallie pszypadkiem nie jest w ciqrzy? Jak Boga koham co tyrz pani do głowy pszyszło tak dobrze nas pani karmi a co bendzie Arthur jak przyńdzie szusty miesionc a ja dalej bede tyła? I do tego robie za Maryje w jasełkach tylko że nie Duh Świenty mnie to zrobił ino ty!

Arthur dwa som dwa czuje jak tam dwa syrca bijom!

Przydałaby się lupa. Mundy pożyczą ją od studenta pierwszego roku, zapalonego filatelisty, z pokoju piętro niżej.

– Przepraszam, Sammy, ale muszę się czemuś bliżej przypatrzeć.

– Kurde, o północy?!

– Kurde, o północy.

Teraz Mundy koncentruje się na niższych schodach. Szuka wysokiej dziewczyny, która musi mieć zamknięte oczy i być w uniformie angielskiej niani. Nie szuka długo. Jest. Wesoła tyczka z czarną czupryną, o irlandzkich oczach zaciśniętych dokładnie tak, jak w opisie; wbić Mundy'ego w biały fartuch i nałożyć mu czarną perukę, i kazać mu zamknąć oczy od blasku indyjskiego słońca – i wypisz, wymaluj, tym bardziej że dziewczyna na zdjęciu jest mniej więcej w tym samym wieku co on teraz i chyba rzeczywiście tego samego wzrostu. I ma jeszcze dokładnie taki głupawy, nieschodzący z twarzy uśmiech, z jakim ja teraz patrzę na nią przez lupę. Bliżej niej już nigdy nie będę, myśli Mundy.

Zaraz, zaraz. A może ty po prostu uśmiechasz się tak nieśmiało dlatego, że jesteś za wysoka? A może ty też jesteś takim samym niespokojnym duchem jak ja?

Spontaniczna, ufna, radosna. Taka biała, wyrośnięta, dorosła wersja Rani.

Właściwie znacznie bardziej wolę ciebie niż tę nudną napuszoną arystokratkę, tę chodzącą godność i erudycję, którą tata karmił mnie od czasu, gdy byłem na tyle duży, że trzeba mnie było okłamywać.

Poufne. Sprawa osobista

Szanowny Panie Kapitanie!

Lady Stanhope poleciła mi zwrócić Pańską uwagę na Pana zobowiązania względem panny Nellie O'Connor, opiekunki do dzieci zatrudnianej przez Ich Lordowskie Moście. Lady Stanhope poleciła mi poinformować Pana, że jeżeli sytuacja panny O'Connor nie zostanie wkrótce uregulowana w sposób liczący z honorem oficera i dżentelmena, będzie musiała powiadomić o wszystkim dowódcę Pańskiego pułku.

Z poważaniem

osobisty sekretarz lady Stanhope.

Akt ślubu, jakby pośpiesznie podpisany przez anglikańskiego wikariusza w Delhi.

Akt zgonu z datą późniejszą o trzy miesiące.

Metryka urodzenia z tego samego dnia: witamy na świecie Edwarda Arthura Mundy'ego. Ku swemu zdumieniu Mundy zdaje sobie sprawę, że urodził się nie w Marri, a w Lahaurze, gdzie zmarły też jego matka i siostrzyczka.

Łatwo potrafi dopowiedzieć sobie resztę. Tajemnica żartów kapitana Graya została wyjaśniona. „Mundy? Mundy? A to nie kolega zrobił dziecko tej niańce od Stanhope'ów?” Sprawiając, że nie było powodu, by powtarzać te żarty w sądzie, major zamknął wszystkim usta. Przynajmniej wszystkim w sądzie. List sekretarza lady Stanhope nosił co prawda adnotację „Poufne”, ale cała sprawa była równie poufna dla wszystkich domowników Ich Lordowskich Mości. I ich rodzin. Mundy'emu wciąż kręci się w głowie od widoku, który powstaje w jego wyobraźni: oszalały z wściekłości major okłada niefortunnego żartownisia kapitana Graya. Mundy usiłuje wzbudzić w sobie podobną wściekłość, gniew, chęć zemsty, lecz czuje tylko bezradne współczucie dla dwojga ludzi uwieczonych w klatce ówczesnych konwenansów.

Dlaczego cały czas mnie okłamywał?

Bo nie uważał się za dobrego ojca.

Bo myślał, że wolałbym mieć inną matkę.

Bo czuł się winny.

Bo chciał, żebym miał własną godność.

To wszystko nazywa się – miłość.

Walizka z mosiężnymi okuciami kryje jeszcze jedną, ostatnią już tajemnicę: oprawne w skórę stare pudełko ze złotym herbem; jest w nim pisemna

pochwała z Ministerstwa Obrony Pakistanu, datowana sześć miesięcy po narodzinach małego Mundy'ego. Dowodząc plutonem, z narażeniem własnego życia i strzelając z biodra, major Arthur Henry George Mundy unieszkodliwił dwudziestu żołnierzy nieprzyjaciela, za co zostaje udekorowany pakistańskim Orderem Honoru. Sam medal został prawdopodobnie zamieniony na gotówkę, ta zaś na napoje wysokokowe.

Wstaje świt. Łzy wreszcie płyną po policzkach. Mundy wbija dwa gwoździe nad łóżkiem, posługując się obcasem w charakterze młotka. Na jednym gwoździu wiesza pochwałę, na drugim zdjęcie zwycięskich Stanhope'ów i służby.

W swoim radykalizmie Ilse jest niezaspokojona, tak jak niezaspokojone jest jej ochocze, drobne ciało. Można Mundy'emu wybaczyć, że w zapale inicjacji nie odróżnia jednego od drugiego. Nie ma powodu, by martwić się bardziej swą ignorancją na temat Michaiła Bakunina niż tym, że zupełnie nie zna kobiecej anatomii. Ilse bierze go na intensywny kurs i jednego, i drugiego; byłoby zwykłą niegrzecznością przyjąć jedno, a odrzucić drugie. Więc gdy dziewczyna gromi państwo za to, że jest narzędziem ucisku jednej klasy społecznej przez drugą, Mundy żarliwie jej przytakuje, choć na pewno nie myśli wtedy o państwie. Gdy używa takich słów i zwrotów jak „indywidualność”, „wolność jednostki” czy „rehabilitacja egoizmu”, gdy obiecuje, że uwolni Mundy'ego z oków jego własnej niewolniczej jaźni, Mundy błaga ją, by to uczyniła. I wcale mu nie przeszkadza, że Ilse z takim samym zaangażowaniem mówi o konieczności radykalnej kolektywizacji. Gdy ona czyta mu Lainga i Coopera, a on chwilowo zaspokojony drzemie wygodnie na jej nagim brzuszku, czy jego potakujący ruch głowy to zbyt duże wymaganie? A skoro Ilse woli „uprawianie miłości” od „uprawiania wojny” – bo jest równocześnie anarchistką i pacyfistką – Mundy na każde zawołanie chętnie pręży swój muszkiet, byle tylko jej niecierpliwe pięty nie przestawały uderzać go po pośladkach na kokosowej macie jej maleńkiej klitki w Kolegium Świętego Hugona – tam męskie towarzystwo jest tolerowane, i to tylko przy otwartych drzwiach, od godziny szesnastej do osiemnastej. Podejmuje się je najczęściej herbatą earl grey i kanapkami z marmite. A czy w poczuciu zaspokojonej – oczywiście chwilowo – żądzdy może być coś przyjemniejszego niż wspólna wizja społecznego rajy rządzącego się dobrowolnym konsensusem wszystkich jego członków?

To wszystko nie znaczy jednak, że Ted Mundy nie jest sam z siebie wyznawcą objawionego przez Ilse Nowego Jeruzalem. W jej entuzjastycznym radykalizmie odnalazł nie tylko echa poglądów ukochanego doktora Mandelbauma, lecz również ujście dla własnych nieokreślonych, ale buntowniczych uczuć względem wszystkiego, czym jest dla niego Anglia. Słuszna sprawa Ilse stała się jego sprawą. On sam jest przecież hybrydą, włóczęgą, człowiekiem bez ziemi, rodziców, własności czy wzorów do naśladowania, którego twarda skorupa popękała. Od czasu do czasu w drodze na wykład lub do biblioteki spotyka dawnych kolegów ze szkoły, kroczących dumnie w sportowych marynarkach, bryczesach do konnej jazdy i butach świecących wypolerowanymi noskami. Inni mijają go pośpiesznie. Wyobraża sobie, że myślą: Boże, ten Mundy, całkiem mu odbiło. I mają rację. Jemu rzeczywiście odbiło. Nie należy do żadnego z elitarnych studenckich klubów. Nie unika przepychanek ze zniechęconymi prawicowcami na hałaśliwych, choć niemogących szczyścić się szczególną frekwencją wiecach politycznych. Jego ulubioną pozycją – o ile nie jest to pozycja miłosa z Ilse – jest siad na podłodze z nogami sterczącymi ponad uszy w zatłoczonych pokojach lewicujących wykładowców, gdzie wysłuchuje ewangelii według świętych Thoreau, Hegla, Marksa czy Lukácsa.

I nie ma większego znaczenia, że argumenty są dla niego nieprzekonujące, że traktuje to jak muzykę, do której nie ma zdolności, a nie żelazną logikę, do której owe argumenty roszczą sobie pretensje. Nie przeszkadza mu, że towarzyszy jest mało. Gdy Ilse idzie na marsz, tolerancyjny Mundy opowiada się za jej przekonaniami całym swym jestestwem i wraz z nią wsiada o świcie do autobusu na Gloucester Green, a w plecaku po majorze ma dla niej jej ulubione batoniki Mars, kupione w hali targowej świeże kanapki z pastą jajeczną i termos z zupą pomidorową z koncentratu. Ramię w ramię – czy raczej dłoń w dłoń – odbywają marsze protestacyjne przeciwko Haroldowi Wilsonowi za to, że popiera wojnę w Wietnamie, i – ponieważ zostali zdradziecko pozbawieni możliwości wyrażenia swej dezaprobaty drogą parlamentarną – ogłaszają swą przynależność do opozycji pozaparlamentarnej. Maszerują na Trafalgar Square w proteście przeciwko apartheidowi i namiętnie deklarują poparcie dla amerykańskich studentów, którzy zdecydowali się spalić swe karty powołania do wojska. Gromadzą się w Hyde Parku, skąd grzecznie wyprasza ich policja, przez co czują się trochę zwycięscy, a trochę przegrani. Ale codziennie w imię demokracji giną setki

Wietnamczyków, codziennie spadają na nich bomby, pali się im dżungłę napalmem, wyrzuca ich z helikopterów, więc Mundy jest sercem z nimi. I Ilse też.

By zaprotestować przeciwko przejęciu władzy w Atenach przez juntę popieraną przez CIA pułkowników oraz torturowaniu i zabijaniu niezliczonych greckich lewicowców, na próżno wyczekują przed londyńskim hotelem Claridge's, gdzie mieli zatrzymać się pułkownicy podczas swej potajemnej wizyty w Wielkiej Brytanii. Nikt jakoś nie chce wyjść do nich i wysłuchiwać ich kociej muzyki, ale nie zniechęcają się i pod transparentami „Ratować Grecję” ruszają pod ambasadę grecką. W kulminacyjnym momencie demonstracji przez okno wychyla się jakiś attaché i krzyczy: „W Grecji byśmy was wystrzelali!”. Pełni satysfakcji wracają do Oksfordu nietknięci, lecz oboje słyszą gwizd tej wymyślonej kuli.

Co prawda w semestrze zimowym Mundy znajduje czas, by wystawić *Woyzecka* Büchnera w oryginale, ale w jego wersji sztuka nabiera wybitnie radykalnego charakteru. Z kolei w semestrze letnim Mundy nie wie, gdzie oczy podziąć, bo gra w reprezentacji swego college'u w krykiecie i pewnie chętnie poszedłby po meczu napić się z chłopakami, w porę jednak przypomina sobie o swych przekonaniach.

Rodzice Ilse mieszkają w Hendon w bliźniaku z zielonym dachem i sadzawką, w której moczą wędki gipsowe krasnale. Jej ojciec to chirurg marksista o szerokim słowiańskim czole i kędzierzawych włosach, a matka – psychoterapeutka pacyfistka, wyznawczyni Rudolfa Steinera. Mundy w życiu jeszcze nie spotkał równie inteligentnej i tolerancyjnej pary. Natchniony tym przykładem budzi się któregoś dnia w swym pokoju z mocnym postanowieniem oświadczenia się ich córce. Wszystkie okoliczności zdają się przemawiać za takim rozwiązaniem, bowiem Ilse, śmiertelnie znudzona angielską flegmą przejawianą również w działalności wywrotowej, zaczyna właśnie tęsknić za uczelniami, na których studenci idą na całość – za Paryżem, Berkeley, Mediolanem. Po długich namysłach jej wybór pada na Wolny Uniwersytet Berliński, kolebkę nowego porządku świata; Mundy poprzysiągł, że weźmie urlop dziekański i pojedzie razem z nią.

A cóż bardziej naturalnego, dowodzi, niż jechać tam już jako mąż i żona?

Nie jest to może najlepsza chwila, by występować z taką propozycją, ale Mundy, gdy ma w głowie jakiś wielki plan, nie przejmuje się taktycznymi drobiazgami. Właśnie oddał cotygodniowy esej, tym razem o symbolice

kolorów u pierwszych minnesingerów, i czuje się panem chwili. Z kolei Ilse jest wyczerpana dwoma dniami bezowocnego maszerowania po Glasgow w towarzystwie Fergusa, szkockiego studenta historii – pochodzenie robotnicze – zatwardziałego homoseksualisty. Jej reakcja na oświadczenia Mundy’ego jest więc poniekąd przytłumiona, wręcz pogardliwa. Małżeństwo? Przecież chyba nie o tym myśleli, gdy dyskutowali o Laingu i Cooperze. Małżeństwo? Naprawdę chodzi mu o takie prawdziwe mieszczańskie małżeństwo? O państwowy obrzęd? A może Mundy aż tak bardzo cofnął się w rozwoju ideologicznym, że marzy mu się błogosławieństwo instytucji kościelnej? Ilse patrzy na niego może nie z gniewem, ale na pewno z głębokim smutkiem. Wzrusza ramionami, nawet to robi z wdziękiem. Musi mieć trochę czasu, by przemyśleć, czy tak osobliwe posunięcie jest do pogodzenia z jej zasadami.

Mundy dostaje oczekiwaną odpowiedź następnego dnia. Filigranowy węgierski aniołek w samych tylko skarpetkach stoi z rozstawionymi nogami w swej klitce w college’u, w jedynym kącie, którego nie można zobaczyć z dziedzińca. Są jakieś granice filantropii, nawet filantropii pacyfistyczno-anarchistyczno-humanistyczno-radykalnej. Ilse ma zaciśnięte pięści, a po policzkach z wypiekami płyną jej łzy.

– Teddy, twoje serce jest kompletnie mieszczańskie! – mówi przez łzy ze swym rozkosznym akcentem. I jakby po namyśle dodaje: – Chcesz głupiego małżeństwa, a jesteś kompletnie dziecko, jeśli chodzi o seks!

3

Przyszły badacz niemieckiej duszy, który właśnie wynurza się z pociągu międzynarodowego na rześkie berlińskie powietrze, jest posiadaczem sześciu szytych na jego śp. ojca koszul o za krótkich na syna rękawach, ale z jakiegoś dziwnego powodu nie w pasie, stu funtów szterlingów i pięćdziesięciu sześciu marek niemieckich wygrzebanych przez zapłakaną Ilse z jakiejś szuflady. Trochę za późno poinformowano Mundy'ego, że stypendium, dzięki któremu jakoś wiązał koniec z końcem w Oksfordzie, przestaje być wypłacane na czas urlopu dziekańskiego za granicą.

– Jaki Sasza, gdzie, na miłość boską? – ryczy do niej z okna wagonu na peronie dworca Waterloo, gdy Ilse postanawia po raz enty zmienić zdanie i wskoczyć za nim do pociągu... tylko że nie wzięła ze sobą paszportu.

– Powiedz mu, że to ja cię przysłałam – błaga Mundy'ego, gdy ku jego wielkiej uldze pociąg zaczyna nareszcie ruszać z miejsca. – Daj mu list ode mnie. On już skończył studia, ale to demokrat. W Berlinie każdy go zna. – To ostatnie jest dla Mundy'ego akurat tak przekonujące, jakby ktoś powiedział mu, że w Bombaju każdy zna Gupte.

Jest rok 1969, Beatlesi nie są już u szczytu sławy, ale Mundy'emu nikt tego jeszcze nie powiedział, więc dalej męczy się z mniszą brązową czupryną, która łaskocze go w uszy i wchodzi mu w oczy. Niesie przewieszony przez ramię plecak po ojcu, co ma znamionować wiecznego tułacza, jakim postanowił zostać, gdy życie utraciło dla niego wszelki sens. Ucieka przecież od zawiedzionej miłości, przyświeca mu zaś przykład Christophera Isherwooda, pozbawionego złudzeń kronikarza berlińskich rozdroży. Mundy, podobnie jak Isherwood, niczego już nie oczekuje od życia, tylko życia samego w sobie. Będzie je rejestrował jak aparatem fotograficznym. Będzie samotnym artystą ze złamanym sercem. A jeżeli stanie się cud i na nowo nauczy się kochać – choć to mało prawdopodobne, za bardzo zawiódł się na Ilse – no to może i on znajdzie swą Sally Bowles w jakiejś obskurnej knajpie, gdzie piękne kobiety w beretach piją absynt i zachrypniętym głosem śpiewają o rozczarowaniach miłosnych. Czy jest anarchista? To się okaże; by być anarchista, trzeba mieć

choć promyk nadziei. Na razie naszemu świeżo upieczonemu mizantropowi bliższy jest nihilizm. Dlatego zapewne sam się sobie dziwi, skąd tyle w nim energii, gdy wyrusza na poszukiwanie Saszy, Wielkiego Aktywisty. Skąd to poczucie, że znalazł się w świeższym, weselszym świecie, skoro podobno stracił wszystko?

– Idź na Kreuzberg! – wyje za nim Ilse, gdy Mundy przez okno wagonu po raz ostatni macha jej na pożegnanie. – Tam o niego pytaj! I opiekuj się nim, Teddy! – nakazuje, a Mundy nie wie, jak ma to rozumieć. Pociąg tymczasem unosi go do następnego etapu jego życiowej podróży.

Mundy zauważa z ulgą, że Kreuzberg to nie Oksford.

Na dworcu nie czeka na niego miła pani z farbowanymi włosami, która w imieniu uczelni miała przekazać mu listę adresów przyzwoitych stacji. Niepokorni zachodniobierlińscy studenci, wyparci z innych dzielnic miasta przez niebotyczne ceny, rozeszli się po zbombardowanych fabrykach, opuszczonych stacjach kolejowych i starych czynszowych kamienicach położonych zbyt blisko Muru nawet jak na gust deweloperów. W tureckich slumsach z azbestu i blachy falistej, które tak bardzo przypominają Mundy'emu dzieciństwo, nikt nie sprzedaje podręczników akademickich czy rakiet do squasha, tylko figi, miedziane patelnie, chałwę, skórzane sandały i plastikowe żółte kacuszki na sznurku. Pakistańskiego syna marnotrawnego wita woń wschodnich przypraw, węgla drzewnego i pieczonej baraniny. Ulotki i graffiti na ścianach i oknach komun to nie afisze uczelnianych przedstawień sztuk mniej znanych dramatopisarzy elżbietańskich, za to nie pozostawiają suchej nitki na szachu, Pentagonie, Henrym Kissingerze, prezydencie Lyndonie Johnsonie i Napalmowej Kulturze Imperialistycznej Amerykańskiej Agresji na Wietnam.

Rada Ilse wcale nie okazuje się taka zła. W knajpkach, doraźnie uruchamianych klubach czy choćby na rogach ulic, na których wystają zbuntowani studenci z papierosami w ustach, imię Saszy wywołuje na twarzach porozumiewawczy uśmiech i rzeczywiście każdemu coś mówi. Sasza? Sasza, ten mówca? Ten Sasza? No wiesz, mamy problem. My tutaj byle komu nie dajemy niczyjego adresu, bo *schweinesystem* ma długie uszy. Lepiej zostaw wiadomość w Demokratyczno-Socjalistycznym Związku Studentów, to może Sasza sam się z tobą skontaktuje.

Schweinesystem, powtarza sobie nowicjusz Mundy. Zapamiętać to

określenie. Świński system. Czy czuje chwilową urazę do Ilse, że wepchnęła go w sam środek burzy radykalizmu bez map i przyrządów nawigacyjnych? Może. Ale zbliża się wieczór, Mundy wybrał już drogę i mimo żałoby ma wielką ochotę zakosztować tego nowego życia.

– Spytaj Anitę z Szóstej Komuny – radzi mu senny rewolucjonista w piwnicy wypełnionej hałasem, dymem marihuanowym i flagami Wietkongu.

– Może Brigitte ci powie, gdzie go znaleźć – radzi inny, gdy słuchają kolejnej pieśni Joan Baez, tym razem w wykonaniu dziewczyny w arafatce. U jej stóp siedzi dziecko, u jej boku wielki mężczyzna w sombrero.

W podziurawionej kulami fabryce wielkości londyńskiego dworca Paddington wiszą podobizny Castra, Mao i Ho Chi Minha. Portret śp. Che Guevary przybrany jest czarną krepą. Wymalowane ręcznie napisy na prześcieradłach napominają Mundy’ego: „Zabrania się zabraniać”, „Bądź realistą”, „Domagaj się niemożliwego” i „Nie miej bogów ani panów”. Studenci i studentki, rozrzucony po podłodze jak rozbitkowie ocaleni z tonącego statku, drzemią, palą, karmią piersią niemowlęta, grają rocka, pieszczą się i kłóć. „Anita wyszła parę godzin temu”, mówi jeden. „Brigitte? Poszukaj w Drugiej Komunie i pieprz Amerykę”, mówi inny. Zapytany o ubicację opiekuńczy Szwed prowadzi Mundy’ego do rzędu sześciu toalet, z których każda ma wyrwane drzwi.

– Prywatność, towarzyszu, to burżujska kłoda pod nogi integracji wspólnotowej – tłumaczy z zapalem po angielsku Szwed. – Lepiej, żeby kobiety i mężczyźni sikali razem, niż zrzucali bomby na wietnamskie dzieci. Sasza? – powtarza, gdy Mundy grzecznie odrzuca jego zaloty. – Może znajdziesz go w Troglodycie. To taki klub, tylko że teraz nazywa się Wygolony Kot. – Wyciąga z kieszeni bibułkę do zwijania papierosów i rysuje na niej plan, używając pleców Mundy’ego jako stolika.

Plan doprowadza Mundy’ego nad kanał. Z objającym się o biodro plecakiem Mundy rusza wzdłuż nabrzeża. Mija wieżyczki strażnicze, potem najeżoną karabinami maszynowymi łódź patrolową. Nasza czy ich? Bez znaczenia. Są niczyje. Należą do wielkiego impasu, który przyjechał przełamać. Skręca w boczną uliczkę wybrukowaną kocimi łbami i staje jak wryty. Dalszą drogę zagraża mu trzymetrowy betonowy mur zwieńczony zwojami drutu kolczastego i mdłym światłem reflektorów. W pierwszej chwili Mundy usiłuje udawać przed samym sobą, że to tylko przywidzenie, plan filmowy, teren budowy. Pojawiają się dwaj zachodniobierlińscy policjanci.

– Dezerter z Ameryki?

– Jestem Anglikiem – odpowiada, pokazując swój paszport.

Prowadzą go do światła, oglądają najpierw paszport, potem jego właściciela.

– Widziałeś już kiedyś Mur Berliński?

– Nie.

– No to się przypatrz, Angliku, a potem do łóżka. I nie daj się wciągnąć w jakąś awanturę.

Wraca tą samą drogą, znajduje boczną uliczkę. Na zardzewiałej bramie, wśród picassowskich gołąbków pokoju i znaczków przekreślonej bomby A, bezwłosy kot na dwóch nogach dumnie ukazuje swój członek. W środku jeden dziki ryk. To połączenie muzyki i ożywionej dyskusji.

– Zobacz w Centrum Pokoju, towarzyszu. Na najwyższym piętrze – kieruje go piękna dziewczyna, zwijając dłonie w trąbkę.

– A gdzie jest Centrum Pokoju?

– No na górze, baranie.

Tupiąc, Mundy wchodzi po wyłożonych płytkami schodach. Zbliża się północ. Na każdym piętrze jego oczom ukazuje się coraz to inny żywy obraz rewolucji. Na pierwszym studentki z niemowlętami w ramionach siedzą w kółko jak w szkółce niedzielnej, a kobieta o surowej twarzy wygłasza do nich tyradę o destrukcyjnym wpływie rodziców. Na drugim nad stertami splecionych ciał unosi się postkoitalna cisza. Zawieszony na ścianie plakat głosi: „Lepsza teściowa niż bomba atomowa!”. Na trzecim Mundy jest szczególnie zafascynowany, bo odbywa się tam jakaś próba teatralna. Na czwartym zarośnięci rewolucjoniści tłuką w klawisze maszyn do pisania, konferują, taśmowo ładują papier do pracujących pełną parą powielaczy i rzucają komendy przez radiotelefony.

Wreszcie ostatnie piętro – prowadzi na nie drabina przez otwór w suficie. Mundy wspina się po niej i dociera na strych oświetlony lampami górniczymi. Przejście prowadzące od wjazdu też kojarzy się z kopalnią. Na samym końcu, nad stołem oświetlonym świeczkami, pełnym butelek i rozłożonych map, pochylają się dwie kobiety i dwaj mężczyźni. Jedna z dziewczyn jest czarnowłosa, z marsem na twarzy, druga to grubokoścista blondyna. Mężczyzna stojący bliżej Mundy’ego jest tak wysoki jak on: wiking o złotej brodzie i długich żółtych włosach przewiązanych piracką opaską. Drugi jest niski, ruchliwy, ma ciemne oczy i nierówne, kruche ramiona, zbyt małe jak na

jego głowę, na której nosi czarną baskijkę naciągniętą na blade czoło. To Sasza. Skąd Mundy to wie? Od początku wyczuwał przecież intuicyjnie, co uświadamia sobie po chwili, że Ilse mówiła o kimś równie niskim jak ona.

Mundy jest zbyt onieśmielony, by im przerywać, więc stoi przy włączu z listem Ilse w dłoni. Słyszy urywki narady wojennej – mówi tylko Sasza. Jego głos jest donośny, silniejszy niż jego ciało. Słowom towarzyszą stanowcze gesty dłoni i przedramion: „...nie dajmy się zapędzić w ciasne uliczki, słyszycie?... Musimy stawić im czoło na otwartym terenie, żeby kamery widziały, co z nami zrobią...”. Mundy już chce wrócić na palcach do drabiny i przyjść w bardziej stosownym momencie, ale narada właśnie się kończy. Brunetka zaczyna zwijać mapy. Wiking wstaje. Blondynka przyciąga go do siebie za pośladki. Sasza też wstaje, ale wcale nie jest wyższy, niż kiedy siedział. Gdy Mundy zbiera się na odwagę, by podejść i przedstawić się, pozostała trójka instynktownie ustawia się tak, by zasłonić swego małego cesarza.

– Dobry wieczór. Jestem Ted Mundy. Mam dla ciebie list od Ilse – mówi swym najbardziej oficjalnym tonem. A ponieważ nie widzi w szeroko rozwartych ciemnych oczach przypomnienia, dodaje: – Od Ilse. Węgierskiej studentki filozofii politycznej. Była tu zeszłego lata. Miała przyjemność cię poznać.

Być może to grzeczność Mundy’ego dezorientuje całą czwórkę, bo na chwilę wszyscy stają się podejrzliwi. Co to za ugrzeczniony angielski dupek z beatlesowską fryzurą? Pierwszy reaguje wysoki wiking. Staje między Mundy’em a resztą, odbiera od niego kopertę i szybko ją ogląda. Ilse zakleiła list taśmą klejącą. Nienaruszalność tajemnicy korespondencji ma dodatkowo gwarantować kategoryczny i aż dwukrotnie podkreślony napis: „Poufne! Sprawa osobista!”. Wiking wręcza kopertę Saszy, który rozrywa ją i wyjmuje dwie kartki zapisane po obu stronach drobnym maczkiem, z dygresjami na marginesach. Czyta pierwsze linijki, zerka na dół ostatniej strony w poszukiwaniu podpisu. Uśmiecha się najpierw do siebie, potem do Mundy’ego. Tym razem to Mundy jest zdezorientowany: te duże ciemnopiwe oczy tak błyszczą i ten uśmiech jest tak młody.

– No, no, Ilse! – mruczy Sasza. – Niezła jest, co? – I wsuwa list do bocznej kieszeni znoszonego swetra zapinanego na drewniane guziki.

– Tak, na pewno można tak powiedzieć – odpowiada Mundy swą literacką niemiecką.

– Węgierka... – Jakby chciał to sobie przypomnieć. – A ty jesteś Teddy.
– Tak naprawdę to Ted.
– Z Oksfordu.
– Tak jest.
– Jej kochanek? – Zwykle stwierdzenie faktu. – Tutaj wszyscy jesteśmy kochankami – dodaje, budząc wesołość swych towarzyszy.
– Zerwaliśmy kilka tygodni temu, ale przedtem tak, byliśmy.
– Kilka tygodni! U nas, w Berlinie, to cała wieczność! Jesteś Anglikiem?
– Tak. No, w pewnym sensie. Urodziłem się za granicą, ale wychowałem w Anglii. Aha, Ilse przysyła też butelkę szkockiej. Nie zapomniała, że lubisz.
– Szkockiej? Ależ ona ma pamięć! Tym właśnie pokonują nas kobiety: pamięcią. A co ty robisz w Berlinie, Teddy? Jesteś rewolucyjnym turystą?
Mundy zastanawia się, co odpowiedzieć, przedtem jednak odzywa się brunetka z marsmem na twarzy:
– Chodzi o to, czy szczerze chcesz przystąpić do naszego ruchu, czy tylko przyjechałeś studiować ludzką zoologię? – pyta groźnie z cudzoziemskim akcentem, którego Mundy nie umie umiejscowić.
– W Oksfordzie przystąpiłem, więc czemu nie tu?
– Bo tu nie Oksford – odpowiada krótko dziewczyna. – Bo my mamy tu do czynienia z pokoleniem Auschwitzu, a wy w Oksfordzie nie. W Berlinie możemy wychylić się przez okno, zawołać: „Hitlerowska świnio!” i wiesz, ilu ludzi się odwróci?
– A co zamierzasz studiować w Berlinie, Teddy? – pyta znacznie łagodniej Sasza.
– Germanistykę.
Brunetka natychmiast się obraża.
– No to życzę szczęścia, towarzyszu. Profesorowie od tego starego gówna tak się boją, że nie ruszają się ze swoich bunkrów, a te dwudziestoletnie palanty, których nam wysyłają, też się boją, więc przyłączają się do nas.
Teraz kolej na jej koleżankę blondynkę.
– Masz forszę, towarzyszu?
– Niestety niewiele.
– Co, pieniędzy też nie masz? To jesteś kompletnie nieprzydatny! Jak chcesz zarobić na chleb powszedni? Na nowy kapelusz?
– Pewnie mogę pracować – mówi Mundy, usiłując dostosować się do ich poczucia humoru.

– Co, dla świńskiego systemu?

Znowu odzywa się brunetka. Włosy odgarnęła za uszy. Ma krótką, nieco krzywą szczękę.

– A jaki jest cel naszej rewolucji, towarzyszu?

Mundy nie spodziewał się egzaminu, lecz dzięki sześciu miesiącom kontaktów z Ilse i jej przyjaciółmi nie jest całkiem nieprzygotowany.

– Przeciwstawienie się wojnie w Wietnamie... Powstrzymanie rozwoju imperialistycznego militarizmu... Odrzucenie państwa konsumpcyjnego... Zanegowanie burżuazyjnego systemu wartości... Przebudzenie klasy średniej, edukowanie jej... Stworzenie nowego, sprawiedliwego społeczeństwa... i występowanie przeciwko wszelkiej irracjonalnej władzy.

– Irracjonalnej? A jest coś takiego jak racjonalna władza? Wszelka władza jest irracjonalna, dupku. Masz rodziców?

– Nie.

– Zgadzasz się z Marcusem, że pozytywizm logiczny to stek bzdur?

– Niestety, nie jestem filozofem.

– W stanie zniewolenia nikt nie ma wolnej świadomości. Zgadzasz się?

– No, rzeczywiście, to brzmi dość rozsądnie.

– Nie ma „rozsądnie”, dupku. Tak jest i już. W Berlinie masy studenckie stawiają ciągły opór siłom kontrrewolucji. Miasto Związku Spartakusa, stolica Trzeciej Rzeszy powraca do swych rewolucyjnych korzeni. Czytałeś Horkheimera? Nie czytałeś *Zmierzchu*? To naprawdę jesteś żałosny.

– Zapytaj go, czy jest *eingebläut* – dodaje blondynka, używając słowa, którego Mundy nigdy jeszcze nie słyszał.

Śmieją się wszyscy oprócz Saszy, który po tej krótkiej wymianie zdań postanawia przyjść Mundy’emu w sukurs.

– No dobrze, towarzysze. To swój chłop, dajmy mu spokój. Może spotkamy się potem w Klubie Republikańskim?

Obserwowani przez Saszę podwładni jeden po drugim schodzą po drabinie. Wreszcie Sasza opuszcza za nimi włącz, zamyka go i ku zdumieniu Mundy’ego wyciąga rękę i kładzie mu ją na ramieniu.

– Masz tę szkocką, Teddy?

– W plecaku.

– Nie przejmuj się Christiną. Greczynki w ogóle za dużo gadają. Jak przeżyje orgazm, zaraz inaczej zaśpiewa. – Otwiera małe drzwi w ścianie strychu. – I tu wszyscy mówią do siebie „dupku”. To w sumie dość

pieszczotliwe, zupełnie jak „towarzysz”. Rewolucja brzydzi się owijaniem w bawełnę.

Czy Sasza się uśmiecha, gdy to mówi? Mundy nie jest pewien.

– A co znaczy *eingeläut*?

– Pytała, czy już cię kiedyś spałowano. Ma wielką ochotę zobaczyć na twoim ciele ładne, wielkie sińce.

Mundy gnie się w pół i wchodzi za Saszą do długiego, mrocznego pomieszczenia, które na pierwszy rzut oka wygląda jak podpokład statku. Wysoko nad nimi widać dwa okna w dachu, coraz więcej w nich gwiazd. Sasza zdejmuje beret, spod którego ukazuje się niesforna, prawdziwie rewolucyjna czupryna. Zapala zapałkę, od niej lampę naftową. Płomień rośnie i w jego świetle Mundy zauważa stare, chyba zabytkowe biurczko z mosiężną inkrustacją, na nim mnóstwo ulotek i maszynę do pisania. Pod ścianą stoi podwójne żelazne łóżko zarzucone sfatygowanymi poduszkami z jedwabiu i brokatu. A na podłodze sterty książek, jak kamienie w strumieniu.

– Wszystko kradzione. Dla dobra rewolucji – wyjaśnia Sasza, wskazując dłonią swoją szczególną bibliotekę. – Nikt ich nie czyta, nikt nawet nie zna tytułów. Wiedzą tylko tyle, że własność intelektualna to własność mas, a nie tych krwiopijców, czyli wydawców i księgarzy. W zeszłym tygodniu zrobiliśmy zawody: kto przyniesie najwięcej książek, zada najcięższy cios moralności burżuazyjnej. Jadłeś już coś dzisiaj?

– Niewiele.

– „Niewiele” znaczy po angielsku „nic”? No to jedz.

Sasza popycha Mundy’ego na okropnie stary skórzany fotel, stawia na stół dwa puste kubki do mycia zębów i kładzie kawał kiełbasy i bochenek chleba. Lewe ramię Saszy jest wyższe od prawego; gospodarz krząta się, lekko powłócząc prawą nogą. Mundy rozpina sprzączki plecaka, spomiędzy koszul po ojcu wyciąga butelkę St. Hugh’s Buttery Scotch Whisky od Ilse i nalewa trochę do obu kubków. Sasza balansuje naprzeciw niego na drewnianym zydelku, wkłada okulary w grubej czarnej oprawie i zabiera się do dokładnej lektury listu od Ilse, podczas gdy Mundy już odkrawa sobie kromkę chleba i kawałek kiełbasy.

– „Teddy nigdy cię nie zawiedzie” – cytuje Sasza. – Rzekłbym, że dość to subiektywny osąd. I co on właściwie oznacza? Że mam ci się zwierzać? Na jakiej podstawie ona tak twierdzi?

Mundy jakoś nie znajduje na to odpowiedzi, ale też Sasza na nią nie czeka.

Mówi z lekkim regionalnym akcentem, lecz Mundy nie jest jeszcze dość wykształcony, by rozpoznać skąd.

– Co ci o mnie mówiła?

– Niewiele. Że skończyła studia, ale jesteś demokratą. I że wszyscy cię znają.

Sasza jakby tego nie słyszał.

– „Dobry przyjaciel, lojalny w każdej sytuacji, prostolinijny, nie należy do żadnego ugrupowania...” I za to mam cię podziwiać? „Głową burżuj, sercem socjalista”. No to dorzućmy jeszcze kapitalistyczną duszę i komunistycznego ptaszka do kompletu. Czemu ona pisze mi to wszystko? – Zastanawia się przez chwilę. – Zaraz, zaraz, czy ona przypadkiem cię nie rzuciła?

– W sumie tak – przyznaje Mundy.

– To mamy jasność. Rzuciła cię i teraz ma wyrzuty sumienia... A to co? Nie do wiary: „Chciał, żebym za niego wyszła”. Czyś ty zgłupiał?

– A dlaczego nie? – pyta łagodnie Mundy.

– Nie pytaj: „Dlaczego nie?”, tylko: „Po co?”. Czy u was w Anglii żenicie się z każdą dziewczyną, z którą prześpicie się parę razy? Kiedyś w Niemczech mieliśmy ten sam zwyczaj. Skutki były opłakane.

Nie wiedząc, co właściwie na to odpowiedzieć, Mundy odgryza kolejny kawałek kielbasy i popija go łykiem whisky. Sasza powraca do lektury.

– „Teddy kocha pokój tak samo jak my, ale dobry z niego żołnierz”. Jezus Maria. A cóż to ma znaczyć? Że Teddy bez pytania wykonuje wszystkie rozkazy? Strzelasz do każdego, do kogo każą ci strzelać? To nie zaleta, tylko podstawy do wszczęcia postępowania karnego. Ilse powinna ostrożniej dobierać komplementy.

Mundy chrząka potakująco, ale i z zażenowaniem.

– No to dlaczego uważa cię za dobrego żołnierza? – nalega Sasza. – Dobry z ciebie żołnierz, tak jak ze mnie dobry demokrat? A może chodzi jej o to, że taki z ciebie gieroj w łóżku?

– Chyba nie – mówi „kompletne dziecko, jeśli chodzi o seks”.

Sasza jednak nie daje za wygraną.

– Biłeś się z kimś o nią? Co to znaczy, że jesteś dobrym żołnierzem?

– To taki zwrot. Chodziliśmy razem na zadymy. Opiekowałem się nią. Trochę uprawiam sporty. Zresztą, co mnie to obchodzi. – Już stoi z plecakiem przewieszonym przez ramię. – Dzięki za whisky.

– Jeszcze jej nie skończyliśmy.

– Przysłała ją dla ciebie, nie dla mnie.

– Ale to ty ją przywiozłeś. Nie przywłaszczyłeś jej sobie, nie wypięś jej. Okazałeś się dobrym żołnierzem. Gdzie zamierzasz dzisiaj spać?

– Coś sobie znajdę.

– Czekaj, nie idź. Odłóżże ten głupi plecak.

Pod wpływem rozkazującego głosu Saszy Mundy zatrzymuje się, choć nie odkłada jeszcze plecaka. Sasza odrzuca list i przez chwilę wpatruje się w niego.

– Powiedz mi, ale tak szczerze, bez pieprzenia. My tu wszyscy cierpimy na lekką paranoję. Kto cię przysłał?

– Ilse.

– Nikt inny? Nie gliny, szpiedzy, gazety, mądrale? W tym mieście roi się od mądrali.

– Ja nie mam z nimi nic wspólnego.

– Tylko jesteś tym, kogo ona mi opisała. To mi chcesz powiedzieć? Politycznym prawiczkim, studentem germanistyki, dobrym żołnierzem o socjalistycznym sercu i tak dalej? To wszystko?

– Tak.

– I zawsze mówisz prawdę.

– Zwykle tak.

– I nie jesteś pedałem.

– Nie. Nie jestem.

– Ja też nie. No to co robimy?

Mundy patrzy w dół na Saszę, nie wiedząc, co powiedzieć, i jeszcze raz uderza go, jak bardzo Sasza jest kruchy. Zupełnie jakby połamano mu wszystkie kości i złożono je z powrotem byle jak.

Sasza pociąga łyk whisky, po czym, nie patrząc na Mundy'ego, wręcza mu kubek, by i on się napił.

– No dobrze – mówi z ociąganiem.

Co dobrze? zastanawia się Mundy.

– Odłóżże ten cholerny plecak.

Mundy robi, co mu kazano.

– Jest taka dziewczyna. Lubię ją. Rozumiesz? Czasem mnie tu odwiedza. Może przyjdzie dzisiaj. Jest młoda. Burzujka. Nieśmiała, taka jak ty. Jeżeli się pojawi, śpisz na dachu. Jeżeli będzie deszcz, pożyczę ci pałatkę. Bo ona jest bardzo nieśmiała. Rozumiesz? Jak trzeba będzie, odwdzięczę się tym samym.

– Co ty mówisz?

– Może przyda mi się taki dobry żołnierz. A może i tobie. Zresztą mam to gdzieś. – Odbiera mu kubek, wypija do dna i znów napełnia go z butelki, która wygląda, jakby była za ciężka na jego kruchy nadgarstek. – Ale jeżeli się nie pojawi, śpisz tu, na dole. Mam drugie łóżko. Polowe. Nie wszystkim to mówię. Możemy je tam wstawić, pod drugą ścianę. A jutro załatwię ci biurko na tę twoją germanistykę. Postawimy je pod samym oknem, bo tylko tam jest w dzień trochę światła. A jak będziesz za bardzo pierdział albo okaże się, że jednak cię nie lubię, to grzecznie cię poproszę, żebyś spieprzał. W porządku? – I mówi dalej, nie czekając na odpowiedź: – A rano przedstawię cię jako kandydata do komuny. Będzie dyskusja, potem głosowanie, pierdoły. Christina zapyta cię pewnie o twoje burżujskie pochodzenie. Sama jest największą burżujką z nas wszystkich. Jej ojciec to grecki armator, kocha pułkowników i to on płaci za połowę całego naszego żarcia. – Znów pociąga łyk whisky i podaje kubek Mundy’emu. – Pobyt musi być legalny. Nie da rady inaczej. Jak pójdziesz zapisać się na uczelnię, nie podawaj tego adresu, załatwimy ci śliczne zaświadczenie od jednego faceta z Charlottenburga. Napisze ci, że u niego mieszkasz, choć to nieprawda, że dobry z ciebie luteranin, też nieprawda, że idziesz spać co wieczór o dziesiątej, i to sam, i że żenisz się z każdą, z którą śpisz.

I dopiero teraz do Teda Mundy’ego dociera, że właśnie został współlokatorem Saszy.

Zupełnie niespodziewanie w życiu Teda Mundy’ego nastął złoty wiek. Miał teraz i dom, i przyjaciela – to były dla niego nowe pojęcia. Stał się częścią nowej wspañiałej rodziny, która postawiła sobie za cel zmianę świata. Noce spędzone na dachu pod gwiazdami to przecież nic takiego dla żołnierskiego syna, który sam znalazł się na pierwszej linii frontu rewolucji. Nie obraża się, gdy czerwona wstążka na klamce drzwi na stryszek oznajmia mu, że generał jest zajęty. O ile Sasza nawiązuje stosunki z kobietami szybko i prosto z mostu, o tyle Mundy trwa w swym ślubie czystości. Od czasu do czasu musi co prawda odbywać platoniczne rozmowy z pięknymi dziewczętami – są wprost nieprzyzwoicie nadreprezentowane wśród nielegalnych mieszkańców opuszczonej fabryki – ale to tylko dlatego, że trzy razy w tygodniu udziela każdemu z zainteresowanych komunardów i komunardek darmowych angielskich konwersacji.

I żyje w ogniu, jak salamandra doktora Mandelbauma. Jego dawny mentor byłby z niego dumny. Samo przebywanie w strefie walki, świadomość, że w każdej chwili może zostać wezwany, by obok towarzyszy zająć miejsce na barykadzie, całonocne debaty, jak wykorzenić stare próchno i zasadzić nowe pędy – to wszystko staje się dla Mundy’ego źródłem ciągłej ekscytacji. Bo choć przyjechał do Berlina jako złotodziób, pod kierunkiem Saszy i reszty towarzyszy staje się szybko zapalonym dziedzicem zaszczytnej spuścizny anarchizmu. Wkrótce nazwiska bohaterów i czarnych charakterów zna równie dobrze jak wielkich krykiecistów.

A więc na przykład Bahman Nirumand, uciekinier z Iranu, oświecał studencką publiczność, licznie zgromadzoną w Auditorium Maximum Wolnego Uniwersytetu w przeddzień wizyty szacha w Berlinie Zachodnim, co do okrucieństw popełnianych przez popierany przez Amerykanów reżim.

Dzień później, podczas demonstracji przeciwko tej wizycie, przed gmachem opery policjant w cywilu zabił strzałem w głowę Benna Ohnesorga.

Pogrzeb Benna i buńczuczna postawa burmistrza – który nie chciał wziąć odpowiedzialności za jego śmierć – oraz policji sprowokowały młodzież do jeszcze bardziej radykalnych wystąpień. Na ich czele stanął Rudi Dutschke, założyciel studenckiej Opozycji Pozaparlamentarnej.

Z kolei faszystowska retoryka barona prasowego Axela Springera i jego paskudnej „Bild Zeitung” pchnęła chorego umysłowo robotnika, prawicowego oszołoma, do postrzelenia Rudiego Dutschkego na berlińskiej Kurfürstendamm. Ciężko ranny Dutschke przeżył, ale Martin Luther King, zastrzelony tego samego miesiąca – nie.

Mundy zna też daty i miejsca wielkich i krwawych konfrontacji z przeszłości. Wie, że rewolta studencka szaleje na tysiącach pól bitwy na całym świecie i że uczestniczą w niej równie dzielnie, a może nawet jeszcze dzielniej, studenci amerykańscy, na których spadają straszliwe represje.

Wie też, że najlepszą gazetą świata jest „Konkret” założony przez kapłankę rewolucji, czcigodną Ulrike Meinhof. Że najwięksi pisarze rewolucyjni Niemiec to w tej chwili Langhans i Teufel.

Tyle sióstr i braci, tylu towarzyszy podziela nasze marzenia. Nawet jeśli samo marzenie nie jest dla niego tak do końca jasne, Mundy chce, by się spełniło, podąży za nim, gdziekolwiek będzie trzeba.

I tak zaczyna się życie. Codziennie wczesnym rankiem ten niewinny absolwent

angielskiej szkoły z internatem, ów bojownik walki o wyzwolenie świata – któremu nie było jeszcze dane wachać prochu – zrywa się z polowego łóżka, podczas gdy Sasza odsypia ciągnące się długo w noc dyskusje. Po prysznicu we wspólnej umywalni, umilanym dziewczęcym towarzystwem, które Mundy stara się ze wszystkich sił ignorować, odbywa dyżury we wspólnej kuchni, siekając kradzione kielbaski i warzywa na zupę, potem pędzi przez piękne parki i skwery Berlina do biblioteki i na wykłady – na te, które przeżyły zalecony przez samorząd studencki bojkot faszystowskiej indoktrynacji. Potem zatrudnia się jako czeladnik drukarski i przyczynia do rozpowszechniania myśli najmodniejszych rewolucjonistów, bo upchawszy gotowe ulotki do plecaka po majorze, wystaje dzielnie na rogach ulic i usiłuje wręczać je śpiesząc do domów nieuświadomionej burżuazji.

A to już coś więcej niż zwykły kolportaż – to może stać się ryzykowne, bo berlińska burżuazja nie tylko nie chce dać się uświadomić, ale w dodatku ma studentów dość na kilka pokoleń. Dwadzieścia pięć lat po Hitlerze porządnych obywateli niespecjalnie uszczęśliwia widok oddziałów prewencji w pełnym rynsztunku i radykałów miotających w nie kamieniami i obelgami. Berlińscy studenci, którzy przecież uczą się za państwowe pieniądze, powinni wkuwać, słuchać starszych i siedzieć cicho, a nie tłuc szyby, domagać się prawa do publicznej kopulacji, powodować korki uliczne i obrażać naszych amerykańskich wyzwolicieli. Dlatego też na Mundy’ego podnosi się niejedna obywatelska pięść, dlatego niejedna staruszka z pokolenia Auschwitz wrzeszczy mu cienkim głosem w twarz, żeby zabrał te swoje głupie ulotki *nach drüben*, bo tam – po drugiej stronie muru, w NRD – brakuje nawet papieru toaletowego. I że najchętniej wytargałaby go za włosy, tylko jest za wysoki. Z tego samego powodu niejedyn taksówkarz, wynajęty na pewno przez siły reakcyjne, wjeżdża znienacka na chodnik; Mundy zmyka co sił, jego towar ulatuje w powietrze. Ale nasz dobry żołnierz nie załamuje się na długo. Wieczorem tego samego dnia, gdy tylko skończy konwersacje, najczęściej można spotkać go przy kuflu piwa w Wygolonym Kocie albo w Klubie Republikańskim, albo nad kawą po turecku z arakiem w którejś z obskurnych kawiarenek Kreuzbergu, gdzie kandydat na pisarza z lubością otwiera notatnik i usiłuje przedzierzgnąć się w Isherwooda.

Jednakże od czasu do czasu nawet ktoś, kto tak bardzo jak Mundy usiłuje zachować optymizm, musi boleśnie odczuwać nierzeczywistość podzielonego miasta, jego wisielczy humor i przygnębiającą atmosferę niepewności jutra.

Otoczony nieznaną i często nową dla siebie nienawiścią, w chwilach przygnębienia zastanawia się, czy jego towarzysze tak jak on poszukują i wątpią, czerpiąc siły nie tyle z własnych, ile z cudzych przekonań, i czy poszukując tej jakiejś ogólnej prawdy o życiu, on sam nie skończył mimo wszystko w wieży z kości słoniowej, przed którą przestrzegał go doktor Mandelbaum. Trzymając drążek transparentu podczas ulicznej demonstracji, by zaprotestować przeciwko najnowszemu aktowi despotyzmu ze strony przerażonych władz uczelni, albo mężnie czekając na barykadzie na szarżę policji, która nie nadchodzi, ten emigrant, syn brytyjskiego majora, co pewien czas zastanawia się, w której wojnie uczestniczy: jeszcze w poprzedniej czy już w następnej? I wciąż szuka powiązań.

Pod wpływem sprzyjającej pogody i araku organizuje treningi krykieta dla licznych tureckich dzieci wałęsających się po slumsach. Za boisko służy im wydeptany do gołej ziemi trawnik, bramkę robią z paru puszek po piwie. Mundy porywa kawał deski i piłę do drewna od Fajsala, właściciela swej ulubionej kawiarni, i sporządza kijek do gry. Co prawda z mroku nie wynurza się na spotkanie żadna Rani, ale i tak podnoszą go na duchu okrzyki tryumfu i rozpaczy oraz oliwkowe twarze podskakujących dzieci. Tak rodzi się kreuzberski klub krykieta.

Mundy nie może usiedzieć na miejscu; snuje się wzdłuż muru, wypatruje zagranicznych turystów i raczy ich budującymi opowieściami o udanych ucieczkach. Jeżeli zapomni jakiejś autentycznej historii, na poczekaniu zmyśla nową i cieszy się wdzięcznością swych słuchaczy. A jeżeli i w ten sposób nie potrafi podnieść się na duchu, zawsze może wrócić do domu – do Saszy.

Z początku obaj trzymają się na dystans. Jak para, która popędziła do ołtarza bez zastanowienia, instynktownie chcą trochę się wycofać, by się zorientować, z kim tak naprawdę mają do czynienia. Czy Mundy rzeczywiście jest tym dobrym żołnierzem, za jakiego wziął go Sasza? Czy Sasza to rzeczywiście ten kaleki charyzmatyczny idealista, który potrzebuje opieki Mundy'ego? Choć zamieszkują to samo terytorium, żyją równolegle, a stykają się tylko w dogodnych dla obu momentach. O przeszłości Saszy Mundy nie wie prawie nic; zresztą w komunie jest to temat tabu. Sasza podobno pochodzi z Saksonii, z rodziny luterańskiej, jest uciekinierem z NRD, nieprzejednanym wrogiem każdej religii i podobnie jak Mundy sierotą, choć to ostatnie to tylko plotka. Więcej wiedzieć nie trzeba. Dopiero w Wigilię, czyli w tak zwany przez

Niemców Święty Wieczór, dochodzi między nimi do zwierzeń, po których nie ma odwrotu.

Komuna pustoszeje już dwudziestego trzeciego grudnia, bo młodzi rewolucjoniści zapominają o zasadach i wymykają się do domów, by obchodzić święta na łonie swych reakcyjnych rodzin. Ci, którzy nie mają dokąd pójść, zostają – jak niekochane dzieci nieodebrane na święta z internatu. Pada gęsty śnieg, Kreuzberg przemienia się w idylliczną krainę rodem z kartek z życzeniami. W Wigilię Mundy budzi się wcześniej i z radością zauważa, że okienka w dachu strychu pokrył przez noc biały puch, ale gdy zwraca na to uwagę Saszy, jedyną reakcją jest jęk i prośba, by się odpieprzył. Nie zniechęca się jednak, narzuca na siebie wszystkie swoje części garderoby i brnie przez śnieg do tureckiego osiedla, by wraz z Fajsałem i dzieciarnią z klubu krykietowego lepić bałwana i przyrządzać kebaby. Gdy o zmierzchu wraca na strych, zastaje tam płynące z radia kolędy i Saszę wyglądającego jak Charlie Chaplin w *Dzisiejszych czasach*: w berecie na głowie i fartuchu kuchennym miesza coś w wielkiej misie.

Biurko zostało zamienione w stół nakryty teraz dla dwóch osób. Pośrodku pali się adwentowa świeca stojąca obok greckiego wina od taty Christiny. Na stertach kradzionych książek płonie znacznie więcej świeczek. Pośrodku drewnianej deseczki czerwienieje niezbyt obiecująco wyglądający kawał mięsa.

– Gdzie ty się włóczysz, do cholery? – pyta groźnie Sasza, nie podnosząc głowy znad swej pracy.

– Przeszedłem się. A co? Co się stało?

– Jak to, co się stało? Jest Wigilia, no nie? To rodzinne święto i trzeba być w domu.

– Przecież ani ty, ani ja nie mamy rodziny. Rodzice nie żyją, nie mamy rodzeństwa. Próbowałem cię obudzić, powiedziałaś, żebym się odpieprzył.

Sasza nadal nie podnosi głowy znad miski, w której miesza łyżką jakieś czerwone jagody. Chyba robi coś w rodzaju sosu.

– Co to za ścierwo?

– Sarnina. Mam iść do sklepu i wymienić ją na schabowego?

– Niech będzie sarnina. Więc na Boże Narodzenie zjemy sobie Bambi. Co ty tam pijesz? Nie whisky?

– Mam wrażenie, że whisky.

Mundy usiłuje zagadywać Saszę, on jednak nadal nie daje się udobruchać.

Przy kolacji Mundy opowiada więc historię swej arystokratycznej matki, która okazała się irlandzką nianią. Opowiada wesoło, usiłując przekonać Saszę, że dawno już pogodził się z tą wstydliwą rodzinną tajemnicą. Sasza wysłuchuje tego z nieskrywaną niecierpliwością.

– Po cholere mówisz mi te bzdury? Chcesz, żebym uronił nad tobą łezkę, że nie jesteś lordem?

– Ależ skąd. Myślałem, że cię to rozśmieszy.

– Mnie interesuje wyłącznie twoje osobiste wyzwolenie. Dla każdego nadchodzi taka chwila, kiedy nie może już zasłaniać się trudnym dzieciństwem. W twoim wypadku i w wypadku wielu Anglików chwila ta przychodzi chyba bardzo późno.

– No dobra. A twoi zmarli rodzice? Z czym musiałeś walczyć, by stać się taki doskonały jak teraz?

Czyżby tabu rodzinnych dziejów Saszy miało zostać złamane? Najwyraźniej tak, bowiem schillerowska głowa wykonuje kilkakrotne energiczne potaknięcia, jakby jej właściciel pokonywał jedną wątpliwość po drugiej. Mundy zauważa, że te głęboko osadzone oczy nagle się postarzały i że nie tyle odbijają światło świec, ile je pochłaniają.

– W porządku. Jesteś moim przyjacielem, mam do ciebie zaufanie. I to mimo że przejmujesz się tylko losami księżnych i ich służących.

– Miło mi.

– Mój świętej pamięci ojciec nie jest niestety tak świętej pamięci, jak bym sobie życzył. Jeżeli sądzić wyłącznie po objawach medycznych, jest nawet bardzo, ale to bardzo żywy.

Mundy albo jest na tyle mądry, by nic nie mówić, albo zaniemówił ze zdumienia.

– Mój ojciec nie podniósł ręki na towarzysza z korpusu oficerskiego, nie rozpił się, choć od czasu do czasu próbuje. Mój ojciec to polityczny i religijny *wendehals*, sprzedawczyk, którego samo istnienie jest dla mnie tak nie do wytrzymania, że do dziś, gdy muszę o nim myśleć, myślę o nim nie jako o moim ojcu, ale jako o herr pastarze. Chyba cię nudzę...

– Wręcz przeciwnie! Wszyscy mówili mi, że twoje prywatne życie to rzecz święta, ale nie wiedziałem, że aż tak święta.

– Już od najmłodszych lat dziecinnych herr pastor, urodzony w roku tysiąc dziewięćset dziesiątym, niewzruszenie wierzył w Boga. Miał pobożnych rodziców, lecz sam był superpobożny. Był purytańskim fanatycznym

luteraninem najgorszego gatunku. Gdy do władzy doszedł nasz umiłowany Führer, a inaczej o Hitlerze nie mówi, herr pastor był już entuzjastycznym członkiem NSDAP. Miał dwadzieścia trzy lata i dopiero co otrzymał święcenia kapłańskie. Jego wiara w naszego umiłowanego Führera była większa nawet od wiary w Boga. Führer miał przywrócić Niemcom godność, podrzeć na strzępy postanowienia traktatu wersalskiego, pozbyć się Żydów i komunistów i w ogóle stworzyć aryjski raj na ziemi. Naprawdę cię nie nudzę?

– Jak możesz tak myśleć? Jestem wstrząśnięty!

– Ale mam nadzieję, że nie tak wstrząśnięty, by zaraz wybiec stąd i rozpowiedzieć dziesięciu najlepszym przyjaciołom, że jednak mam ojca. Herr pastor i jego nazistowscy luteranie nazywali siebie *Deutsche Christen*. Nie bardzo wiem, jak przeżył ostatnie lata wojny, bo do dziś nie chce o tym ze mną rozmawiać. Kiedy już było bardzo źle, jego też posłano na front wschodni. Dostał się do niewoli. Wciąż nie mogę Rosjanom wybaczyć, że go nie zastrzelili. No, a byli na tyle nierozsądni, że go nie zastrzelili, tylko zesłali na Syberię. A gdy go wreszcie wypuścili i wrócił do Niemiec Wschodnich, herr pastor chrześcijański hitlerowiec przeobraził się w herr pastora chrześcijańskiego bolszewika. Z powodu tego nawrócenia wschodnioniemiecki Kościół luterński dał ojcu rząd dusz w Lipsku. Przyznam ci się, że miałem do niego wielkie pretensje, że wrócił. Nie miał prawa odebrać mi matki, był dla mnie kimś obcym, intruzem. Inne dzieci nie miały ojców, dlaczego ja miałem? Ten tchórz, puchnący z dumy pod wpływem własnych kazań, upajający się słowami Jezusa i Lenina, był dla mnie kimś odrażającym. By zrobić przyjemność mojej biednej matce, musiałem udawać, że i ja wyznaję jego religię. Przyznam, że połączenie tych dwóch bóstw czasem mnie dziwiło, ale oba miały brody, więc jakaś symbioza pewnie była możliwa. Tylko że w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym Bóg okazał się tak miły, że objawił się herr pastorowi we śnie i nakazał mu zabrać rodzinę i cały ziemski dobytek i przenieść się na Zachód, póki jeszcze można. Każde z nas wzięło więc po Biblii do kieszeni i uciekliśmy przez zieloną granicę, porzucając Lenina.

– Miałeś jakieś rodzeństwo? To okropne, co opowiadasz, Sasza.

– Miałem starszego brata, znacznie bardziej lubianego przez rodziców. Nie żyje.

– Ile miał lat, jak umarł?

– Szesnaście.

– A na co umarł?

– Na zapalenie płuc. On zawsze miał coś z płucami, umierał długo i powoli. Zazdrościłem Rolfowi, bo był ulubieńcem mamy, i kochałem go, bo był dobrym bratem. Przez siedem miesięcy codziennie odwiedzałem go w szpitalu. Byłem przy jego śmierci. Niezbyt miło wspominać to czuwanie.

– Na pewno. – Mundy zbiera się na odwagę. – A tobie co się stało?

– Zostałem poczęty, kiedy ojciec był w domu na przepustce z frontu, a urodziłem się w jakimś rowie, już podczas ucieczki przed Rosjanami. Mama mówiła mi potem, że to pewnie dlatego, że miałem za mało tlenu w jej łonie, ale to nie cała prawda, bo to chyba nie był zbyt higieniczny rów. Wolę nie myśleć o tym, przez co musiała przejść. – Powraca do poprzedniego wątku. – Herr pastor dokonał duchowego przejścia ze Wschodu na Zachód z właściwą sobie zręcznością. Szybko spodobał się misjonarskiej organizacji z Missouri, organizacji o bardzo podejrzanych powiązaniach, i poleciał samolotem do St. Louis na szkolenie. Oczywiście religijne. Ukończył je z wyróżnieniem, *summa cum laude*, i powrócił do Niemiec Zachodnich jako gorliwy konserwatysta chrześcijański rodem z siedemnastego wieku, wyznawca chrześcijańskiego kapitalizmu wolnorynkowego. Oczywiście zaraz znalazła się dla niego parafia w Szlezwiku-Holsztynie, ostoji hitleryzmu, gdzie po dziś dzień ku satysfakcji swych parafian co niedziela głosi z ambony chwałę Marcina Lutera i Wall Street.

– Sasza, to naprawdę straszne. Straszne i nieprawdopodobne. Moglibyśmy pojechać do Szlezwika-Holsztynu na jakieś jego kazanie?

– O, nigdy. Całkowicie się od niego odciąłem. Moi towarzysze myślą, że mój ojciec nie żyje. W tym jednym zresztą się z nim zgadzam: on nie uznaje swego syna, wojującego radykała ateisty, ja nie uznaję swojego ojca, agresywnego, zakłamanego religijnego sprzedawczyka. Można powiedzieć, że usunąłem go ze swojej przeszłości przy jego współudziale. Marzę tylko o jednym: bym zdążył powiedzieć mu, nim umrze, jak bardzo go nienawidzę.

– A twoja matka?

– Żyje i nie żyje. W odróżnieniu od twojej irlandzkiej niani nie miała tego szczęścia, by umrzeć przy porodzie. Spowita mgłą rozpacz chodzi po wrzosowiskach Szlezwika-Holsztynu, rozpacza po stracie dzieci i ciągle mówi, że odbierze sobie życie. Jako młoda matka została oczywiście wielokrotnie zgwałcona przez naszych rosyjskich wyzwolicieli.

Sasza siedzi za biurkiem sztywno jak skazaniec. Stoi przed nim pusty kubek po whisky. Patrząc na niego i słuchając jego autoironicznej opowieści, Mundy czuje nagle przypływ więzi duchowej, która wyjaśnia mu wszystko. I dlatego właśnie opanowany angielski pragmatyk, a nie targany namiętnościami niemiecki poszukiwacz prawdy o życiu, dolewa do kubków i wznosi skromny chrześcijański toast.

– No to nasze zdrowie – mówi z odpowiednią dozą rezerwy. – *Prosit*. Wesołych świąt i tak dalej.

Wciąż jeszcze zasępiony Sasza podnosi kubek. Przepijają do siebie po niemiecku: trzeba podnieść kieliszek, spojrzeć sobie w oczy, wypić, znów podnieść, znów spojrzeć w oczy, odczekać chwilę w milczeniu, po czym odstawić kieliszek i przez chwilę wspólnie pokontemplować.

Ludzie, którzy powiedzieli sobie takie rzeczy, mogą albo się rozejść, albo zostać przyjaciółmi na całe życie. Mundy na zawsze zapamiętał tamto Boże Narodzenie, które stało się początkiem ich przyjaźni, i to, że tak łatwo sobie zaufali. Odtąd Sasza nie wychodzi już do Klubu Republikańskiego czy do Wygolonego Kota, nie zapytawszy przedtem szorstko, czy Mundy też się nie wybiera. Czy to w studenckich barach, czy podczas powolnych spacerów zamarzniętymi brzegami kanału i rzeki Mundy jest Sancho Pansą swojego Don Kichota. Gdy komuna wzbogaca się o skradzione rowery, Sasza wpada na pomysł, by obaj poszerzyli swe horyzonty wycieczką na najdalsze rubieże miasta. Niestrudzony Mundy przygotowuje mały piknik – kurczaka, chleb, butelkę czerwonego burgunda, w dodatku wszystko za własne pieniądze, zarobione uczciwie na oprowadzaniu turystów wzdłuż Muru Berlińskiego. Wyruszają, ale Sasza upiera się, by na razie tylko prowadzili rowery, bo muszą omówić coś, co najlepiej się omawia, idąc na własnych nogach. Dopiero w bezpiecznej odległości od komuny mówi, o co chodzi.

– Wiesz co, Teddy? Ja chyba nigdy nie jechałem na tym świństwie – wyznaje jak gdyby nigdy nic.

Obawiając się, że kulasy Saszy mogą się w ogóle nie nadawać do jazdy na rowerze, i przeklinając się w duchu za to, że nie pomyślał o tym wcześniej, Mundy prowadzi go do Tiergarten i znajduje łagodne trawiaste zbocze, na którym akurat nie bawią się żadne dzieci. Sasza wsiada, Mundy trzyma jego rower za kierownicę, ale Sasza nakazuje mu ją puścić. Sasza wywraca się, klnie jak szewc, wdrapuje się z powrotem pod górę, próbuje jeszcze raz, znów

pada, klnie jeszcze szpetniej. Ale za trzecim razem udaje mu się utrzymać swe niesymetryczne ciało w równowadze. Kilka godzin później, pękając z dumy, siedzi na złożonym płaszczu na ławce w Schlossgarten w Charlottenburgu, zajada się kurczakiem i bucha w mroźne powietrze parą z ust i złotymi myślami wielkiego Marcusego.

Ale jak na każdej wojnie święta to jedynie tymczasowe zawieszenie broni. Gdy tylko śnieg topnieje, napięcie między studentami a miastem znów osiąga temperaturę wrzenia. Nie ma przy tym większego znaczenia, że niepokoje trwają na każdym zachodniemieckim uniwersytecie, że z Hamburga, Bremy, Getyngi, Frankfurtu, Tybingi, Saarbrücken, Bochum i Bonn nadchodzą opowieści o strajkach, masowych rezygnacjach co wybitniejszych profesorów z zajmowanych stanowisk i tryumfalnym marszu sił radykalnych. Berlin ma poważniejsze, bardziej zadawnione i straszniejsze porachunki niż te wszystkie inne uniwersytety razem wzięte. Przy pierwszych podmuchach nadciągającej burzy Sasza wyjeżdża nagle do Kolonii, gdzie podobno nowy błyskotliwy teoretyk rozszerza jeszcze zakres radykalnej działalności. Gdy wraca, Mundy jest już gotowy do walki, ale humor też mu dopisuje.

– No więc co powiedziała wyrocznia? W jaki sposób mają się zachować pokój czyniący, gdy się zacznie? – pyta, spodziewając się, że Sasza rozpocznie tyradę o represyjnej tolerancji pseudoliberalizmu albo o raku militarno-industrialnego kolonializmu. – Pomidory, cuchnące bomby, petardy? A może karabiny maszynowe?

– Zamierzamy dotrzeć do społecznych źródeł ludzkiej wiedzy – odpowiada Sasza, przed kolejnym zebraniem pośpiesznie połykając kanapkę z kiełbasą.

– A jak to jest na nasze? – pyta Mundy w swej zwykłej roli próbnego słuchacza.

– Do pierwotnego stanu człowieka, do jego *Ur*-stanu. Dzień pierwszy po stworzeniu to już za późno. Musimy zacząć od dnia zero. O to w tym wszystkim chodzi.

– Będziesz musiał mi to wytłumaczyć powoli i wyraźnie – mówi Mundy ze zmarszczonym czołem. I rzeczywiście jest zaintrygowany, bo Sasza dotąd zawsze się upierał, że trzeba stawiać czoło twardej rzeczywistości politycznej, a nie tracić czas na utopijne fantazje.

– Na pierwszym etapie zaczniemy od tabula rasa. Musimy odtruć ludzki mózg z jego uprzedzeń, zahamowań i różnych naleciałości i zachcianek,

oczyścić go ze wszystkiego, co stare i zgniłe... jeszcze trochę kiełbasy... z amerykańizmu, chciwości, klasowości, zawiści, rasizmu, mieszczańskiego sentymentalizmu, nienawiści, agresji, przesądów oraz żądy władzy i posiadania.

– I co wtedy?

– Nie rozumiem pytania.

– Przecież to proste. Jestem tabula rasa, jestem czysty, nie jestem Amerykaninem, rasistą, burżujem ani posiadaczem. Nie mam ani złych myśli, ani złych instynktów. Co dostanę w zamian poza kopniakiem w jaja?

Sasza wierci się niecierpliwie przy drzwiach, bo pytania te najwyraźniej nie przypadły mu do gustu.

– W zamian? Społeczną harmonię. Nic więcej. Miłość braterską, dzielenie się z bliźnim, wzajemny szacunek. Napoleon miał rację. Z was, Anglików, straszni materialści.

Ale Sasza już więcej nie wygłasza takich teorii.

4

– Te dwie to kompletne lesby – upiera się wiking znany w komunie jako Piotr Wielki.

Peter to pacyfista ze Stuttgartu, przyjechał do Berlina, by uniknąć poboru. O jego rodzicach mówi się, że to *sympis*, czyli bogaci burżuje, którym poczucie winy każe wspomagać tych, którzy dążą do ich unicestwienia.

– Strata czasu – potakuje z roztargnieniem Sasza, zaprzątnięty jak zwykle największej wagi problemami rewolucyjnej strategii. – Nawet nie warto próbować, Teddy. Obie są zбочzone.

Panowie mówią z urazą o Legalnej Karen i Legalnej Judith, przezwanymi tak, ponieważ studiują prawo. Rozgoryczenie męskiej połowy komuny potęguje dodatkowo fakt, że obie są absolutnie najbardziej atrakcyjnymi komunardkami. Oczywiście kobiety powinny mieć pełną swobodę wyboru partnerów i orientacji seksualnych, ale jednak nie powinny też pozostawać obojętne na zachcianki najważniejszych aktywistów. A jak one się ubierają, na miłość boską, narzeka Piotr Wielki. Te ich spódnice do samej ziemi, te wojskowe buciory... Gdzie one się wybierają? A te ich przedpotopowe koki! I snują się po komunie jak dwie zakochane mieszczyki z Calais! Peter zaklina się, że nawet książki prawnicze wypożyczają po jednym egzemplarzu, żeby razem czytać je w łóżku. Karen przesuwą palcem po stronie, Judith czyta na głos.

Jedyną osobą, z którą utrzymują bliższe kontakty, jest Greczynka Christina, niegdysiejsza inkwizytorka Mundy’ego, która choć chyba ma zbliżone upodobania seksualne, sama potwierdza plotki o lesbijstwie koleżanek. Zresztą są i inne, znacznie bardziej przekonujące dowody. Judith i Karen nie biorą udziału w zbiorowych kąpielach pod prysznicem. Uparły się, by mieć własny, osobny pokój, który zamykają na kłódkę wiszącą pod groźnym napisem „Spierdalaj”. I kłódkę, i napis może obejrzeć każdy. Mundy zdążył już się przekonać na własne oczy. A jeżeli chcesz lepszych dowodów, dodaje Piotr Wielki, to idź, spróbuj, wrócisz ze złamaną szczęką.

Jednak mimo tych ponurych przepowiedni Legalna Judith zaczyna stanowić

spory problem dla Mundy'ego i jego ideałów isherwoodowskiej obojętności. Na nic się nie zdają jej wysiłki, by ukryć własną urodę. Karen przynajmniej umie się garbić i odpowiadać opryskliwie – Judith jest eteryczna jak mimoza. Na mityngach Karen warczy jak buldog; klasowy gniew Judith przejawia się potrząsaniem złotą główką. Potem mityng się kończy, Legalna Judith i Legalna Karen znów stają się dobrze wychowanymi dziewczętami z północnych Niemiec, przyjmowanymi w najlepszych radykalnych salonach berlińskich, i rączka w rączkę spacerują po rozkosznych plażach wyspy Lesbos.

Daj spokój, powtarza sobie Mundy za każdym razem, gdy odżywają w nim pewne nadzieje. Patrzy ci w oczy podczas angielskich konwersacji tylko dlatego, że jesteś dziwak, dryblas i oksfordczyk. Nasze słowne flirty – fakt, że inicjuje je Judith – to tylko ćwiczenia w angielskim, nic więcej.

– Czy dobrze powiedziałam to zdanie, Teddy? – pyta na przykład z uśmiechem, od którego stopniałby cały lodowiec.

– Cudownie, Judith! Wszystko masz na swoim miejscu!

– Na miejscu?

– Znaczą każdą sylabę. Przepraszam, zwykle przejęzyczenie. Mówisz doskonale, serio.

– Ale chyba mam amerykański akcent? Jeżeli tak, to zaraz mnie popraw, Teddy.

– Ależ ani śladu, słowo skauta! Mówisz jak rodowita Angielka, absolutnie – bełkocze dręczony frustracją Mundy.

Lecz te oczy, blue metallic, wciąż mu nie dowierzają, wciąż patrzą na niego jak oczy dziecka, które trzeba pochwalić jeszcze raz i jeszcze.

– Taka ci jestem wdzięczna, Teddy. No to przyjemnego dnia. Bo chyba tak się mówi w Anglii, nie w Ameryce, prawda?

– Absolutnie tak, Judith. Przyjemnego dnia. Tobie, Karen, też.

Bo oczywiście Judith nigdy nie jest sama. Tuż obok siedzi Legalna Karen, by razem ćwiczyć angielskie „r”, zwarcia krtaniowe i wymawianie *go away* z dyftongiem, a nie z rozziwem w środku. Taki stan trwa aż do dnia, w którym pocztą pantoflową rozprzestrzenia się pogłoska, jakoby Legalna Karen opuściła komunę, nie podając nowego adresu. Najpierw mówi się, że zachorowała, potem, że musiała stawić się przy łożu umierającej matki, ale zaraz ktoś przypomina sobie, że przecież straciła oboje rodziców w ostatnich dniach wojny. Sprawa wyjaśnia się po policyjnym nalocie na sąsiednią komunę; rozchodzi się wieść, że Legalna Karen stała się nielegalna, czyli że

poszła w ślady przeniósłszy Ulrike Meinhof – do podziemia – naszej patronki Ulrike, naszej największej lewicowej kapłanki Życia Alternatywnego, naszej Joanny d’Arc, odważnej i uczciwej Ulrike, która oznajmiła niedawno światu radykałów, że można zacząć strzelać. Okazuje się w dodatku, że Karen uczyniła ten krok razem z Christiną, za jednym zamachem pozbawiając Judith towarzyszkę życia, a całą komunę połowy dochodów. Mundy jednak zamartwia się najbardziej widokiem Judith snującej się jak Ofelia po korytarzach komuny. Tym bardziej jest więc zdumiony, gdy któregoś wieczoru dziewczyna kładzie mu na ramieniu swą wąż dłoń i pyta, czy nie zechciałby towarzyszyć jej w przechadzce przed snem.

– Przed snem? Przejść się z tobą? O Boże! Oczywiście, że się przejdę! – O mało nie dodaje, że spać z nią też może, ale powstrzymuje się w ostatniej chwili. – A na pewno o to ci chodzi? Powiedz to jeszcze raz po niemiecku.

Judith przechodzi na swój język ojczysty. *Nachtwandlung*.

– Chodzi o ściśle tajny czyn polityczny. Przypomnimy berlińczykom ich faszystowską przeszłość. Chcesz?

– Sasza też idzie?

– Niestety Sasza jest w Kolonii. Pojechał na rozmowy z jakimiś profesorami. W dodatku pojedziemy na rowerach, a on się nie nadaje.

Lojalny Mundy natychmiast protestuje:

– Sasza bardzo dobrze jeździ na rowerze. Musisz go zobaczyć. Jeździ jak stary.

Ale Judith nie ustępuje.

Tymczasem nadeszła wiosna, tylko że pogoda jakby tego nie zauważyła. Śpieszącego na spotkanie Mundy’ego gonią w mroku mokre płatki śniegu. Dochodzi do opuszczonego budynku szkolnego nad brzegiem kanału. Piotr Wielki i jego dziewczyna Magda już tam są wraz ze Szwedem Torquilem i bawarską amazonką Hilde. Zgodnie z rozkazem Judith każde ze spiskowców uzbrojone jest w latarkę, puszkę szkarłatnego spreju i szklanej wody, tajemniczego roztworu, który podobno tak dokładnie wżera się w szybę, że aby go usunąć, trzeba wymieniać całe okno. Piotr Wielki, który odpowiada za logistykę, dostarczył każdemu z bojowców po skradzionym rowerze. Mundy ma na sobie trzy koszule po ojcu, szalik i starą kurtkę. Latarkę, szklaną wodę i farbę chowa do plecaka. Torquil i Piotr Wielki mają cyklistówki, a Hilde – maskę przewodniczącego Mao. Judith rozkłada plan miasta i prowadzi odprawę, mówiąc z ostrym północnoniemieckim akcentem. Spódnicę do ziemi

zamieniła tym razem na wełniany sweter wilka morskiego i niezwykle długie, białe wełniane getry. Nawet jeżeli pod swetrem jest jakaś spódniczka, to jej nie widać.

Oznajmia, że celem dzisiejszej akcji są budynki pełniące za czasów Trzeciej Rzeszy funkcję ministerstw i sztabów, teraz stojące sobie jak gdyby nigdy nic. Cel akcji jest czysto edukacyjny. Chodzi o przypomnienie miejscowej burżuazji funkcji pełnionej przez każdy z tych budynków za czasów hitlerowskich. Doświadczenie uczy, że zachodniobrzeńskie gminy nie cierpią takich napisów i prowadzą ciągłą akcję usuwania ich i wymiany okien. Zwycięstwo będzie więc podwójne: będzie to cios wymierzony w burżuazjskie umiłowanie własności prywatnej i w policyjne próby wymazania z pamięci hitlerowskiej przeszłości.

– Główne obiekty to – Judith wskazuje na mapie – Tiergartenstrasse 4, gdzie mieścił się sztab programu „Eutanazja”, dawne biuro Adolfa Eichmanna przy Kurfürstenstrasse, obecnie prawie całkowicie wyburzone pod nowoczesny hotel, kwatera główna Heinricha Himmlera na rogu Wilhelmstrasse i Prinz Albrechtstrasse, teraz niestety po drugiej stronie muru, ale zrobimy, co się da. W sprzyjających okolicznościach zaatakujemy również miejsca zbiórki, z których berlińskich Żydów wysyłano do obozów śmierci, między innymi dworzec kolejowy Grunewald, przy którym zachowała się zbudowana specjalnie do tego celu rampa kolejowa, i stary sąd wojskowy z wejściem od Witzlebenstrasse, gdzie Niemcy uczcili pamięć nielicznych śmiałków, którzy spiskowali przeciwko Hitlerowi, a równocześnie zapomnieli o milionach, które do końca walczyły za Führera. Nasz napis w Schlossparku również będzie przypominał o krzywdach.

Zastanawiali się, czyby nie pojechać aż do Wannsee, gdzie zapadła decyzja o hitlerowskim „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”, lecz pomysł został odrzucony z powodu warunków atmosferycznych. Wannsee zajmą się wobec tego kiedy indziej.

Dodatkowymi celami będą tak przez wszystkich podziwiane latarnie uliczne zaprojektowane przez architekta Hitlera, Alberta Speera. Peter ma za zadanie oblepić je ulotkami nawołującymi wszystkich dobrych hitlerowców, by przyłączyli się do amerykańskiego ludobójstwa w Wietnamie.

Judith pójdzie w szpicie, Teddy i Torquil w drugim rzucie. Marsz zamykać będą Peter i Hilde. Magda jako straż tylna ma uważać, czy nie widać policji, i w razie czego rozpocząć działania dywersyjne. Śmiech. Magda jest ładna

i bezpruderyjna. Jest dumna, że aby zdobyć pieniądze, nie postępując wbrew swym rewolucyjnym zasadom, od czasu do czasu pracuje jako prostytutka. Rozważa też pomysł urodzenia dziecka bezpłodnej burżujskiej parze, by zdobyć środki na dalsze studia.

Grupa szturmowa wyrusza w bój. Mundy ma długie nogi, więc co chwila wysforowuje się do przodu i potem musi hamować, by Judith mogła go wyprzedzić. Dziewczyna mija go szybkim krokiem ze spuszczoną głową, z wypiętą do tyłu zgrabną pupą, pogwizdując *Międzynarodówkę*. Mundy zaczyna ją gonić, dyscyplina pryska, w mroźnym powietrzu rozlegają się wesołe okrzyki, *Międzynarodówka* brzmi teraz jak bitewny okrzyk. Z włosem powiewającym w takt pieśni Judith upiększa jedną wystawę, jej towarzyszy Mundy – drugą. Przychodzi zapierający dech meldunek, że na godzinie drugiej widać gliny, tylna straż rozpierzcha się, ale Judith nie przestaje pisać, i to najpierw po niemiecku, potem – „specjalnie dla naszych angielskich i amerykańskich czytelników” – również w ich języku. Mundy, jej samozwańczy ochroniarz, patrzy, jak dziewczyna spokojnie kończy dzieło. Następuje szaleńcza ucieczka po kocich łbach, potem bojownicy przegrupowują się, sprawdzają stan liczebny oddziału, Piotr Wielki wyciąga termos z bardzo burżujskim grzanym winem, by pokrzepili się przed kolejnym atakiem.

Gdy zwycięzcy wracają do komuny, przez kłębiące się śniegowe chmury prześwituje już pomarańczowe światło poranka. Rozgrzany mrozem i tryumfem Mundy odprowadza Judith pod jej drzwi.

– A może masz ochotę na angielską konwersację, jeżeli nie jesteś zbyt zmęczona? – proponuje swobodnym tonem, lecz Judith zamyka przed nim drzwi nadal opatrzone tym samym groźnym napisem.

Mundy leży w łóżku i długo nie może zasnąć. Sasza miał rację, niech go diabli. Zdobycie Judith, nawet osamotnionej Judith, to sprawa z góry skazana na niepowodzenie. Zawiedzionemu Mundy’emu przywiduje się więc najpierw Ilse, potem pani McKechnie w żałobnych szyfonach, ale ze znużeniem odgania te myśli. Potem pojawia się Legalna Judith z długimi blond włosami opadającymi jej na ramiona, zupełnie naga.

– Teddy, Teddy, no obudźże się – mówi i coraz bardziej niecierpliwie potrząsa jego ramieniem.

Akurat, myśli kwaśno Mundy. Próbuje otworzyć oczy i znowu je zamknąć, ale zjawa wcale nie znika, choć na strychu zaczyna się robić jasno.

Rozdrażniony wyciąga rękę i napotyka nie powietrze, lecz nagą pupę Legalnej Judith. W pierwszej chwili jest prawie przekonany, że Legalna Judith, podobnie jak Legalna Karen i Christina, też musi się ukrywać.

– Co się stało? Przyszła policja? – pyta po angielsku, bo przecież to ich *lingua franca*.

– A co, wolisz się kochać z policją?

– No nie, co ty...

– A może już jesteś umówiony? Z inną dziewczyną?

– Wcale nie. Naprawdę. Nie mam dziewczyny.

– Tylko proszę cię, nie będziemy się śpieszyć. To mój pierwszy raz. Może to cię zniechęca? Może jesteś za bardzo angielski? Za porządny?

– Wcale nie. To znaczy wcale mnie to nie zniechęca. I wcale nie jestem porządny.

– To całe szczęście. Musiałam czekać, aż wszyscy zasną. Tak będzie bezpieczniej. Potem nikomu nie mów, że się kochaliśmy, bo wtedy każdy inny też będzie chciał, a to by mi nie odpowiadało. Zgadzasz się?

– Zgadzam. Na wszystko. Wcale cię tu nie ma. Śpię. Nic nie zaszło. Ani mru-mru.

– Ani mru-mru?

I w ten właśnie sposób Ted Mundy, „kompletne dziecko, jeśli chodzi o seks”, został tryumfującym kochankiem Legalnej Judith, kompletnej lesby.

Namiętność ich pieszczot czyni z nich samodzielną grupę rewolucyjną. Z drzwi Judith nie znika złowróźbny napis, ale już od następnego wieczoru jej pokój staje się miłosnym gniazdkiem. Jej upór, by zachować ich związek w tajemnicy i nawet w najgorętszych momentach mówić tylko po angielsku, przekonuje Mundy'ego, że znaleźli się w sferze niedostępnej zwykłym śmiertelnikom. On nie wie nic o niej, ona o nim. Zadawanie banalnych pytań byłoby śmiertelnym grzechem konwenansu. Tylko od czasu do czasu jakaś informacja niechcący wyrwie się jej z ust.

Nie została jeszcze *eingeläut*, ale jest pewna, że jej się to uda podczas wiosennych marszów.

Jest przekonana, że podobnie jak Bakunin i Trocki będzie do śmierci zawodową rewolucjonistką i połowę życia spędzi w więzieniu albo na Syberii.

Zesłanie, przymusową pracę i wyrzeczenia uważa za nieuniknione etapy na

drodze do osiągnięcia radykalnej doskonałości.

Studiuje prawo, bo prawo to wróg naturalnej sprawiedliwości, a wroga trzeba znać. „Prawnicy to dupki”, powtarza chętnie za swym ulubionym guru. Mundy nie widzi najmniejszej sprzeczności w jej wyborze zawodu uprawianego przez dupków.

Z niecierpliwością wyczekuje obalenia wszelkich represyjnych struktur społecznych i wierzy, że tylko nieustanna walka może zmusić świński system do zrzucenia maski liberalnej demokracji i ukazania swego prawdziwego oblicza.

I właśnie forma tej nieustannej walki stała się kością niezgody między nią a Karen. Z tym że Judith ogólnie zgadzała się z koleżanką, że Régis Debray i Che Guevara mają rację: jeżeli proletariatu nie jest jeszcze gotowy, nie dojrzał jeszcze do rewolucji, na rzecz mas musi działać rewolucyjna awangarda. I że w tej sytuacji owa awangarda ma prawo walczyć w imię niespełniającego rewolucyjnych wymagań proletariatu. Karen i Judith pokłóciły się o metody. Czy raczej, według słów Judith, o metody i moralność.

– Jeżeli wsypuję glinom piasek do baku, to czy uważasz mój czyn za moralnie dopuszczalny, czy niedopuszczalny? – pyta Mundy’ego stanowczym głosem.

– Dopuszczalny. Absolutnie dopuszczalny. Dobrze im tak – zapewnia ją rycersko Teddy.

Dyskusja toczy się jak zwykle w łóżku Judith. Nadeszła wiosna, tym razem prawdziwa. Przez okno wpadają do pokoju promienie słońca, owijając się wokół kochanków. Mundy zakrył sobie twarz jej długimi złotymi włosami jak welonem. Jej głos dochodzi go jak ze snu.

– Ale jeżeli wrzucam im do baku granat, to czy to moralnie dopuszczalne, czy niedopuszczalne?

Mundy nie broni się przed odpowiedzią, ale nawet w swym obecnym stanie ciągłej ekstazy nie odzywa się od razu; siada na łóżku i wali prosto z mostu:

– No nie, co to to nie. – Jest wstrząśnięty, że słowo „granat” tak łatwo pojawiło się na ustach jego ukochanej. – Absolutnie niedopuszczalne. Nie do przyjęcia. Ani do baku, ani w ogóle. Sprzeciw. Zapytaj Saszy, on jest tego samego zdania.

– Bo dla Karen granat jest nie tylko moralnie dopuszczalny, ale wręcz pożądany. Dla Karen wszystkie metody walki z tyranią i kłamstwem są dozwolone. Zabicie tyrana to przysługa oddana ludzkości, to obrona

uciśnionych. Logiczne. Terrorysta to dla Karen ktoś, kto ma bombę, ale nie ma samolotu. Nie potrzeba nam burżuazyjnych *hemmungen*.

– Zahamowań – tłumaczy skwapliwie Mundy, usiłując za wszelką cenę nie zwracać uwagi na mentorski ton w jej głosie.

– Karen zgadza się całkowicie z tezą Frantza Fanona, że przemoc to całkowicie dopuszczalny środek walki uciśnionych – dodaje Judith wyzywająco.

– A ja nie – Mundy na to, opadając na łóżko. – I Sasza też nie – dopowiada, jakby zamykał dyskusję.

Zapada długa cisza.

– Wiesz co, Teddy?

– Co, kochanie?

– Jesteś typowym angielskim, wyspiarskim, imperialistycznym dupkiem.

Traktuj to jak kolejny mecz, przekonuje sam siebie Mundy, znów wkładając jedną na drugą koszule po ojcu, tym razem jako zbroję. Zadymy to takie bitwy na niby. Wszyscy z góry wiedzą, co się stanie, jak i kiedy. Nikt za bardzo nie oberwie, no chyba że będzie się o to prosił. Nie ma się czego bać.

Zresztą w końcu ile razy stałem już tak ramię w ramię z Ilse – tylko że jej ramię sięgało mi najwyżej do łokcia – i przepychałem się w zbitym tłumie przez Whitehall, a policjanci maszerowali grzecznie po obu stronach, blisko nas, by nie musieli zrobić użytku z pałek? Oberwie się raz i drugi, dostanie kopniaka w zębra, ale przecież nie takie rzeczy się robiło w szkolnej drużynie rugby. Co prawda złośliwa czy też sprzyjająca Opatrzność – nie wie do końca, jak to ocenić – sprawiła, że był nieobecny na wielkim marszu na Grosvenor Square. Ale przecież bywał już na zadymach tu, w Berlinie, okupował budynki uniwersyteckie, stał na barykadach i dzięki swym krykietowym zdolnościom zdobył sławę skutecznego miotacza petard i kamieni, zwykle na policyjne transportery, czym przyczyniał się do powstrzymania sił faszystów przynajmniej o setną sekundę.

No dobrze, Berlin to nie Hyde Park i nie Whitehall. Tu wszystko odbywa się trochę mniej sportowo, trochę ostrzej. No dobrze, i przewaga przeciwnika jest jakby większa, bo tu jedna strona uzbraja się na takie okazje w broń palną, pałki, tarcze, hełmy, maski gazowe, gaz łzawiący, armatki wodne i może liczyć na czekające za rogiem rezerwy w ciężarówkach, a druga... No, jak o tym pomyśleć, to druga strona może przeciwstawić temu wszystkiemu tylko zepsute

jaja i zgniłe pomidory, parę kamieni, mnóstwo ładnych dziewcząt i przesłanie dla całej ludzkości.

No ale przecież wszyscy jesteśmy chyba ludźmi cywilizowanymi. W ten szczególny dzień nawet dla Saszy, naszego charyzmatycznego mówcy, naszego kandydata na fotel lidera, naszego Quasimodo rewolucji społecznej, który, jak głosi fama, zaliczonymi dziewczynami mógłby zapełnić całą uniwersytecką aulę. Bo właśnie Sasza – tę wiadomość uzyskała wszędobylska Magda od jednego ze swoich klientów, policjanta – będzie dziś przedmiotem specjalnej uwagi sił porządkowych i dlatego Mundy, Judith, Piotr Wielki i inni członkowie jego fanklubu otaczają go tak ścisłym kordonem na schodach uczelni. Dlatego również przedstawiciele świńskiego systemu tak licznie przyszli zaznajomić się ze szczegółami doktryny szkoły frankfurckiej, nim grzecznie odprowadzą Saszę do *grüne Minna* – jak widać, Niemcy mają znacznie bardziej eleganckie określenie na policyjną sukę – i powiozą go na najbliższy komisariat, gdzie w całkowitej zgodzie z obowiązującym prawem zostanie poproszony o dobrowolne ujawnienie listy nazwisk i adresów swych towarzyszy oraz ich planów szerzenia zamętu i chaosu na newralgicznym terenie półmiasta Berlin Zachodni, czyli przywrócenia świata do stanu, w jakim się znajdował, nim opadły go choroby faszyzmu, kapitalizmu, militarystyki, konsumpcjonizmu, hitlerystyki, kokainowej kolonizacji, imperializmu i pseudodemokracji.

Takie właśnie są tezy dzisiejszego kazania Saszy, które wygłasza na świętym trawniku przed bramą Wolnego Uniwersytetu; widok zacieśniającego się kordonu policyjnego każe mu rozwinąć je w całej rozciągłości. Wysztycha więc Amerykę za naloty dywanowe na wietnamskie miasta, zatrucie wietnamskich płonów, zrzucanie napalmu na wietnamską dżunglę. Żąda ponownego zwołania trybunału norymberskiego i postawienia przed nim faszystowsko-imperialistycznego amerykańskiego przywództwa, winnego ludobójstwa i zbrodni przeciw ludzkości. Oskarża moralnie zdegenerowanych lokajów Ameryki z tak zwanego rządu w Bonn o próbę wybielenia hitlerowskiej przeszłości przez konsumpcjonizm, który ma zmienić pokolenie Auschwitz w stado tłustych baranów myślących wyłącznie o nowych lodówkach, telewizorach i mercedesach. Wypowiada się przeciwko szachowi Iranu i jego sponsorowanej przez CIA tajnej policji Sawak oraz bierze pod ostrzał popieraną przez Amerykę greckich pułkowników i „marionetkowe państwo Izrael”. Wylicza amerykańskie agresje od Hiroszimy po Koreę,

Amerykę Środkową, Południową, Afrykę i Wietnam. Przekazuje braterskie pozdrowienia towarzyszom z Paryża, Rzymu i Madrytu, pozdrawia też dzielnych amerykańskich studentów z Berkeley i Waszyngtonu, „którzy pierwsi podnieśli sztandar nasz w górę”. I drwi z tłumu rozjuszonych pravicowców, którzy wrzeszczą, by się zamknął i zabrał lepiej do nauki.

– Mam się zamknąć? – krzyczy do nich. – Wy, którzy milczeliście pod tyranią Hitlera, każecie nam milczeć pod swoją? Dobre z nas dzieci! Dobrzeście nas wyszkolili! Za dobrze! Wy, dupki, i nasi milczący hitlerowscy rodzice! Jedno możemy wam obiecać: my, dzieci pokolenia Auschwitz, nie będziemy milczeć!

Sasza wyrzuca to z siebie, stojąc na skrzynce, którą Mundy zrobił dla niego w warsztacie Fajsala na tyłach kawiarni. U boku Mundy’ego stoi Judith w strażackim kasku na głowie i w arafatce zasłaniającej jej dolną połowę twarzy. Chińskiego kroju kurtka opina się na pożyczonym od Mundy’ego swetrze, w którym on gra w krykieta. Ale najśłodsza tajemnicą Judith jest jej cudowne ciało skrywane pod tym bezkształtnym okryciem. Tajemnicę tę dzieli z nią tylko Mundy. Zna jej ciało lepiej niż własne, zna każde jego zagłębienie, każdą wypukłość. Każdy okrzyk rozkoszy, który za jego sprawą dobywa się z jej ust, jest dla niego krzykiem jego własnego serca. Judith jest za całkowitą anarchią i w miłości, i w polityce.

I nagle już nic się nie dzieje. A przynajmniej tak się zdaje Mundy’emu – zupełnie jakby film i ścieżka dźwiękowa zatrzymały się równocześnie i potem też równocześnie włączyły się znowu. Sasza, główny aktor przedstawienia, wciąż peroruje ze swej skrzynki, ale statyści już krzyczą. Wokół demonstrantów zacieśnia się policyjny krąg, uderzanie pałkami o tarcze staje się głośnie jak grom, wybuchają pierwsze petardy z gazem łzawiącym, co policjantom nie przeszkadza, bo przezornie włożyli maski gazowe. Studenci pierzchają na wszystkie strony w chmurach dymu i strugach wody z armatek, wyją, krztuszą się. Mundy ma uszy, nos i gardło rozpalone do czerwoności, nie widzi nic przez łyzy, ale wie, że pod żadnym pozorem nie należy ich ocierać. Leje mu się na twarz woda, widzi wzniesione pałki, słyszy stukot kopyt o bruk i pojękiwania rannych. W tym kłębowisku rozwrzeszczanych, wymachujących rękami ciał tylko jedna osoba zachowuje klasę: Legalna Judith. Ku zdumieniu Mundy’ego dziewczyna wyciąga spod maoistowskiej kurtki wielki kij baseballowy i nie bacząc na nawoływania Saszy, by stawiać wyłącznie bierny opór, tak mocno uderza młodego policjanta w zakrytą nowiutkim hełmem

skroń, że jego nakrycie głowy spada mu w dłonie jak dar z niebios, a on z głupią miną osuwa się na kolana.

– Teddy, *du gibst, bitte, Acht auf Sasza!* – nakazuje grzecznie Mundy’emu, w tej wyjątkowej chwili przemawiając do niego pięknym językiem Thomasa Manna, a nie angielszczyzną ich miłości. Po czym znika pod natłokiem ciał w niebiesko-brązowych mundurach, a on nie może w żaden sposób przyjść jej z pomocą. Gdy widzi ją po raz ostatni, Judith na głowie nie ma już strażackiego kasku, lecz plamę krwi, ale Mundy’emu wciąż dźwięczy w uszach jej głos: „Teddy, bardzo cię proszę, opiekuj się Saszą”. Przypomina sobie, że o to samo prosiła go kiedyś Ilse i że on siebie też o to prosił.

Armatki wodne podjeżdżają jeszcze bliżej, lecz obie armie tak już się ze sobą przemieszały, że policjanci nie chcą moczyć swoich. Sasza wciąż jeszcze krzyczy ze swej skrzynki. Już prawie jest w zasięgu policyjnych pałek. Jakiś bardzo gruby sierżant woła:

– A bierzcież tego zasranego kurdupła!

Mundy robi coś, co nigdy nie przyszłoby mu do głowy, a nawet gdyby przyszło, nie umiałby tego wykonać. Oto syn majora Arthura Mundy’ego, kawalera pakistańskiego Orderu Honoru, żołnierza, co w jednej bitwie strącił z konia dwudziestu nieprzyjaciół, teraz sam rzuca się w wir walki. Ale nie z bronią. Ślepo posłuszny nakazowi Legalnej Judith i własnemu impulsowi, porywa Saszę ze skrzynki i przerzuca go sobie przez ramię. Jedną ręką trzyma go za wierzgające nogi, drugą za wymachujące na oślep ramiona i brnie przez nieprzyjacielski gaz łzawiący oraz masę wyjątych, pokrwawionych ciał, nie czuje uderzeń pałek policyjnych, nie słyszy nic, tylko przekleństwa Saszy – „puść mnie, dupku, uciekaj, bo cię zabijają” – i wreszcie gaśnie słońce, a Mundy jest lżejszy o cały kamień młyński, bo rozkaz Judith wypełnił co do joty. Sasza ześlizgnął się z jego ramion i uciekł przez otwarty plac, a teraz Mundy, nie Sasza, siedzi w policyjnej suce z rękami przyczepionymi kajdankami do drążka ciągnącego się przez całą długość sufitu samochodu, i to jego, nie Saszę, biją na zmianę na kwaśne jabłko dwaj policjanci. Ted Mundy zostaje *eingebläut* i Sasza wcale nie musi mu już tłumaczyć, co to znaczy.

Mundy miał zawsze spore kłopoty z przypomnieniem sobie, co się działo potem. Była na pewno suka, komisariat, cela z typowym dla każdej celi zapachem: ekskrementów, słonych łez, wymiocin, a nierzadko również ciepłej krwi. Przez jakiś czas dzielił ją z łysym Polakiem, który podawał się za

wielokrotnego mordercę, wywracał oczami i chichotał. W salce przesłuchań nie było już żadnego Polaka, tylko ci sami dwaj policjanci, którzy obili go jeszcze w policyjnej suce. Teraz biją znowu, ponieważ wzięli go za Piotra Wielkiego, tylko że ze zgoloną brodą i podającego się za obywatela brytyjskiego. Mundy posiada oczywiście całkowicie autentyczną legitymację studencką, nawet jeżeli figuruje na niej fikcyjny adres zamieszkania, i autentyczny brytyjski paszport, lecz niestety oba dokumenty zostawił na strychu, by ich nie zgubić w tłumie. Proponuje policjantom, że może po nie pójść, ale oczywiście nie może podać adresu, bo doprowadziłby ich tym samym do Saszy i całej komuny. Jego upór w tym względzie przyprawia policjantów o jeszcze większą furję, więc już go nie pytają, tylko robią mu piekło, biją go dla własnej przyjemności: w krocze, po nerkach, w podeszwy stóp i znowu w krocze, z kosmetycznych względów starając się nie tykać twarzy – choć to akurat nie bardzo im się udaje. Od czasu do czasu Mundy traci przytomność, więc zaciągają go z powrotem do celi, żeby sami mogli trochę odsapnąć. Mundy nie pamięta, ile razy to się powtarza i w którym momencie nagle się kończy, i kiedy karetka zabiera go do brytyjskiego szpitala wojskowego. Pamięta, że w pewnej chwili zamiast na ulicy błyskają mu w głowie niebieskie światła policyjnych wozów, że potem jakoś znajduje się w czystym, pachnącym środkiem dezynfekcyjnym łóżku. I że zajmuje się nim niania ze srebrnym stoperem przy białym fartuszk.

– Mundy? Mundy? Ale chyba nie krewny tego małego skubańca majora Arthura Mundy’ego z dawnej armii indyjskiej, co? – pyta podejrzliwie ordynator szpitala, patrząc na spowite bandażami ciało.

– Niestety nie, proszę pana.

– Nic się nie bój, stary. Miałeś kupę szczęścia, tyle ci powiem. Ile widzisz palców? Dobrze! Brawo!

Leży w okrętowej kajucie, ale nie może się pokrzepić cygarami majora. Klęczy przy Rani nad zwierciadłem wody w rozpadlinie skalnej, lecz nie może się podnieść. Ma głowę w umywalce i trzyma się dłońmi za pokrętła kurków w szkolnej łaźni, a starsi koledzy biją go na zmianę za brak chrześcijańskiej pokory. Odbywa kwarantannę, bo jest zadzumiony. Można by się zarazić na sam widok. Jest pariasem, niedotykalnym, a na dowód tego na drzwiach od strony korytarza widnieje napis: „Nieupoważnionym wstęp surowo wzbroniony”.

Czyli prawie jak napis na drzwiach Judith. Kolejnym dowodem niedotykalności Mundy'ego jest sierżant żandarmerii w czapce z czerwonym otokiem, który ma go w swojej pieczy. Sierżant ujawnia swe uczucia względem niego już przy pierwszej okazji, gdy Mundy poczuł się na tyle silny, by przejść przez korytarz do ubikacji.

– My byśmy cię lepiej nauczyli dobrych manier, synu – zapewnia. – Nie wyżyłbyś i jeszcze byś nam był wdzięczny.

Wreszcie Mundy'ego odwiedza brytyjski urzędnik. Jest nim pan Amory, który dla potwierdzenia swojej tożsamości przynosi mu drukowaną wizytówkę: Nicholas Amory, wicekonsul, Wysoka Komisja Brytyjska, Berlin. Jest starszy od Mundy'ego tylko o parę lat i jak na zatwardziałego angielskiego burżuja, członka klasy ciemnych – denerwująco sympatyczny. Ubrany jest w tweedowy garnitur, ale ma w sobie jakąś rozbijającą niechlujność; w szczególności złym stanem są jego zamszowe buty. Na ramieniu dynda mu plecak majora.

– A któż to przysłał ci te piękne winogrona, Edwardzie? – pyta z uśmiechem, dotykając ich palcami.

– Policja berlińska.

– Naprawdę? A te kwiaty?

– Też policja.

– No popatrz, jak to miło z ich strony! A przecież tyle teraz mają na głowie, biedacy. – Kładzie plecak w nogach łóżka Mundy'ego. – Wiesz, w końcu jesteśmy tu na linii frontu. Trudno mieć do nich pretensje, że od czasu do czasu trochę przeholują. Tym bardziej że ciągle prowokuje ich banda studentów, którzy uczą się za darmo i którym kompletnie odbiło z tym całym radykalizmem. Tobie chyba też trochę odbiło na tym punkcie, co? – Zdążył już przyciągnąć sobie krzesło i krytycznie przygląda się z bliska twarzy Mundy'ego. – A kim jest ten twój sympatyczny kolega?

– Jaki kolega?

– Ten mały wariat, który wpadł do naszego biura, jakby był z SS – odpowiada Amory i częstuje się winogronami. – Przepchnął się przed kolejkę, rzucił na stół twój paszport i rozkazał naszemu niemieckiemu urzędnikowi, żeby natychmiast załatwił twoje zwolnienie z policji, bo jak nie, to będzie źle. I zaraz sobie poszedł, zanim ktoś zdążył go spytać o nazwisko i adres. Biedny urzędnik był przerażony. Mówił, że twój kolega miał dobitny saksoński akcent, wyraźny, ale nie zabawny. Zresztą tylko Saksończyk mógł zachować się tak po

chamsku. Dużo masz takich kolegów, Edwardzie? Takich wściekłych wschodnich Niemców, którzy nie lubią się przedstawiać?

- Nie.
- Od kiedy jesteś w Berlinie?
- Od dziewięciu miesięcy.
- Gdzie mieszkasz?
- Skończyło mi się stypendium.
- Gdzie mieszkasz?
- W Charlottenburgu.
- A ja słyszałem, że na Kreuzbergu.

Cisza.

– Trzeba było przyjść do nas. Świetnie nam idzie zajmowanie się angielskimi studentami, którzy popadli w tarapaty.

- Nie popadłem w żadne tarapaty.
- Cóż, teraz popadłeś. Byłeś w szkolnej drużynie krykieta, co?
- Przez jakiś czas.
- No to szkoda, bo my też trochę gramy między sobą, a teraz nic z tego.

A przy okazji, jak on się nazywa?

- Kto?
- Twój pokopany rycerz saksoński. Utyka na jedną nogę. Nasz urzędnik miał wrażenie, że już kiedyś widział tę paskudną gębę, może w jakiejś gazecie.
- Nie wiem.

Amory'ego najwyraźniej rozbawiła ta odpowiedź. Przez chwilę przygląda się swym paskudnym zamszakom.

- No, no. No dobrze, Edwardzie, więc co my mamy teraz z tobą zrobić?

Mundy nie ma żadnych sugestii. Zastanawia się, czy to nie Amory był jednym z tych, którzy bili go w umywalni.

– Pewnie mógłbyś narobić smrodu, ściągnąć sobie z sześciu adwokatów. Oczywiście policja też mogłaby przedstawić swoje zarzuty. Na początek choćby zakłócanie porządku. Wykorzystywanie statusu zagranicznego studenta, o, tego sędziowie bardzo tutaj nie lubią. Brak zameldowania. My oczywiście nie zostawilibyśmy cię samego, przynosilibyśmy ci do aresztu świeże bułeczki. Mówiłeś coś?

Mundy nie powiedział ani słowa. Niech Amory wrzuca mu, ile chce.

– Bo z punktu widzenia policji zaszła tylko pomyłka w ustalaniu tożsamości. Gdybyś był tym, za kogo cię wzięli, to jeszcze dostaliby pochwałę. Podobno

tak cię urządził jakiś Polak, jakiś morderca. Czy to możliwe?

– Nie.

– No ale oni chętnie się z nami dogadają. Oni nie będą cię ścigać, ty nie będziesz się procesował o te parę siniaków, których zresztą wcale nie musiałeś zarobić w kiciu. A my też zaoszczędzimy sobie wstydu w tych trudnych czasach międzynarodowego kryzysu, bo wywieziemy cię stąd w przebraniu nubijskiej niewolnicy. No to co, umowa stoi?

Pielęgniarka z nocnej zmiany jest tak gruba jak Aja, ale nie opowiada o proroku Muhammadzie.

Pojawia się w przebraniu lekarza, zupełnie jak przebiegli bohaterowie filmów szpiegowskich – o bladym świecie, gdy wartownik drzemie na swym krześle w korytarzu, a Mundy leży na wznak i usiłuje połączyć się telepatycznie z Judith. Na obu ramionach lekarskiego kitla, za dużego o kilka rozmiarów, ma po trzy gwiazdki, u szyi kołysz się stetoskop, stare tenisówki skrywa pod wielkimi szpitalnymi workami na buty. Tego zasranego kurdupła szuka pewnie cały Berlin Zachodni, ale to go nie powstrzymało. Przemknął się jakoś przez wartownię albo oszukał wartowników, a gdy już dostał się do środka, pomaszerował do dyżurki i włamał się do jakiejś szafki. Oczy ma podkrążone na żółto, czupryna nie pasuje już do jego postarzałej twarzy, zniknęła marsowa mina rewolucjonisty, pojawiła się głęboka niepewność. I w ogóle cały jest mniejszy i jakby jeszcze bardziej pokurczony.

– Teddy, nie mam słów. To, co dla mnie zrobiłeś... Przecież ty uratowałeś mi życie! Nie zasłużyłem na taki gest przyjaźni. Jak ja ci się odwdzięczę? Nikt jeszcze tak się dla mnie głupio nie poświęcił. Jesteś Anglikiem, więc dla ciebie życie to jeden wielki przypadek, ale ja jestem Niemcem. Dla mnie życie musi mieć jakąś logikę, bo inaczej byłoby bezsensowne.

Ciemne oczy napęniają się łzami. Wielki głos więźnie w małej piersi. Słowa brzmią tak, jakby starannie je przedtem dobrał.

– A jak się ma Judith? – pyta Mundy.

– Judith? Legalna Judith? – Jakby z trudem przypomina sobie, o kogo chodzi. – Judith, no, dziękuję, jest w dobrej formie. Oczywiście wstrząśnięta tym, co się stało, tak jak my wszyscy, nie podupała jednak na duchu. Zresztą można się było tego spodziewać. Miała rozciętą głowę, nawdychała się gazu. No i została *eingebläut*, podobnie jak ty, ale już doszła do siebie. I serdecznie cię pozdrawia. – Jakby to załatwiało całą sprawę. – Jak najserdeczniej.

Podziwia cię za to, co zrobiłeś.

– A gdzie teraz jest?

– W komunie. Musiała przez parę dni nosić bandaż, potem już nic.

Słowo „nic” i milczenie, które po nim następuje, kazały Mundy’emu uśmiechnąć się niewesoło.

– Jak nic, to nic – mówi nie wiedzieć czemu. – Wie, że mnie deportują?

– Judith? Oczywiście. Kompletnie bezprawie. Jako prawniczka jest oburzona. W pierwszej chwili chciała iść z tym do sądu. Długo musiałem jej tłumaczyć, że twoja pozycja nie jest tak silna, jak byśmy sobie tego życzyli.

– Ale ci się udało.

– Z trudem. Jak wiele kobiet Judith niechętnie przyjmuje racjonalne argumenty. Ale teraz byłbyś z niej dumny, Teddy, bo dzięki tobie jest całkowicie wyzwolona.

Potem jak każdy dobry przyjaciel Sasza długo siedzi przy łożu chorego, trzymając go nie za zmasakrowaną dłoń, tylko za nadgarstek, lecz z jakiegoś powodu unika jego wzroku. Mundy leży więc i wpatruje się w Saszę, Sasza w ścianę, póki Mundy z grzeczności nie zaczyna udawać, że śpi. Sasza wychodzi. Drzwi zamykają się za nim jakby dwa razy: raz za samym Saszą i raz za całkowicie wyzwoloną Judith.

5

W życiu Teda Mundy'ego, wiecznego życiowego nowicjusza, następują teraz lata puste, przygnębiające, lata bezcelowych wędrówek. Później myśli o nich jako o swych siedmiu latach chudych, choć było ich niedokładnie siedem.

Nie po raz pierwszy w życiu zostaje wywieziony z miasta bladym świtem. Nie musi się już zajmować pohańbionym ojcem. Droga jest równa i prosta. Przy ostatniej bramie nie kuli się żadna łkająca Rani, Judith zresztą też nie, choć się za nią rozgląda. Zamiast starej wojskowej ciężarówki wiezie go teraz wypolerowany jeep z białym pasem po bokach, a przyjacielską radę na pożegnanie daje mu nie pendzabski żołnierz, tylko sierżant żandarmerii.

– Przyjedź znowu, kiedy zechcesz, synu. Nie zapomnimy o tobie. Możesz być pewny, że będziemy na ciebie czekać.

Ale przestroga sierżanta jest niepotrzebna, bo po trzech tygodniach wpatrywania się w szpitalny sufit Mundy nie zamierza wracać do Berlina. Zresztą w ogóle nie wie, gdzie się podziać. Wrócić do Oksfordu? Jako kto? W jakim przebraniu? Sama myśl o dalszych studiach z przeuczonymi dzieciakami, które nigdy nie walczyły na ideały, jest dla niego odrażająca. Po wylądowaniu na Heathrow instynktownie udaje się do Weybridge, gdzie zapijaczony adwokat, ten, który był na pogrzebie ojca, przyjmuje go w pseudotudorowskiej willi o poetycznej nazwie Pod Sosnami. Pada deszcz, ale to w końcu normalne.

– A więc to tak? Nie odpisuje się na listy? – narzeka pan mecenas.

– Odpisuje się – odpowiada Mundy i pomaga odnaleźć wspomniany dokument wśród stert zakurzonych papierzysk.

– Ano właśnie. Okazało się, że jednak coś ci zostawił. Twój świętej pamięci ojciec Arthur, głupi baran, wziął kiedyś czek bankierski na swoje konto oszczędnościowe. Powinien go zrealizować wieki temu. Nie masz nic przeciwko temu, że potrącę sobie pięćset funtów za koszta?

„Prawnicy to dupki”, przypomina sobie Mundy, zatraskując za sobą furtkę. Nogi same niosą go do bajkowo oświetlonego zarysu Złotego Łabędzia. Ostatni biesiadnicy właśnie wychodzą na deszcz. Mundy rozpoznaje wśród

nich siebie i swego ojca.

– Dziś frekwencja dopisała – mówi major, czepiając się ramienia syna jak tonący. – I rozmowa na wysokim poziomie. W kasynie tak nie bywało, ciągle tylko służba i służba.

– Rzeczywiście to było bardzo interesujące, tato.

– Kto chce poznać prawdziwe oblicze Anglii, musi rozmawiać z takimi właśnie ludźmi. Sam wiele nie mówię, ale słucham. Szczególnie tego Percy'ego, bo to chodząca encyklopedia. Nie mam pojęcia, czemu tak mu się w życiu nie wiedzie.

Dom na Vale 2 został wyburzony. W mdłym świetle latarni Mundy dostrzega reklamę przedsiębiorstwa budowlanego oferującego domki jednorodzinne z trzema sypialniami, pierwsza wpłata tylko dziesięć procent wartości. Na stacji kolejowej okazuje się, że ostatni pociąg już odjechał. Mundy znajduje nocleg ze śniadaniem u starszego pana z wilczurem, pięć funtów za noc, płatne z góry. W południe znów jest pierwszoklasistą pędzącym na zachód pociągiem do szkoły i ma się na baczności przed facetami, co się czeszą przy innych.

Nad ponurym miasteczkiem góruje – jak wyniesiona z podziemi krypta – jeden z dwóch miejscowych pubów, U Opatu, powiewa nad nim brytyjski sztandar. Drugi lokal, Zacisze, stoi u stóp wzgórza; w połowie drogi między nimi jest stara szkoła. Ale Mundy nie wspina się na górę, bo nie tam pomieszkiwali ubodzy uciekinierzy z hitlerowskich Niemiec przybywający do Anglii, by uczyć gry na wiolonczeli i języka Goethego. Uważano, że będzie im lepiej na pięterku nad sklepem z butami przy rondzie. Wchodzi się od przecznicy. Na furtce, przyczepiona do drewna zardzewiałymi pinezkami, widnieje ta sama wypłowiała karteczka zapisana odręcznie pedantycznym gotykiem pana Mandelbauma: „Poza godzinami pracy dzwonić DOLNYM dzwonkiem. Mallory: dzwonić GÓRNYM dzwonkiem i CZEKAĆ”. Mundy przyciska „górnny dzwonek” i z przyjemnością „czeka”. Słyszy kroki, zaczyna się uśmiechać, ale zaraz orientuje się, że to ktoś inny. Kroki są szybkie, pośpieszne i niecierpliwe i ktoś woła w górę schodów:

– Poczekaj, Billy, mama zaraz wróci!

Drzwi uchylają się lekko i gwałtownie zatrzymują. Ten sam głos mówi:

– Cholera.

Drzwi się zatrząskują, słychać stuk zdejmowanego łańcucha i otwierają się znowu.

– O co chodzi?

Młode matki nigdy nie mają czasu. Ten egzemplarz ma zaróżowioną twarz i długie włosy, które musi odgarnąć, by intruz lepiej ją widział.

– Ja do pana Mallory’ego – mówi Mundy. Wskazuje ręką wypłowiałą kartkę na furtce. – Uczy w szkole. Mieszka na piętrze.

– A, to nie będzie ten, co umarł? Niech się pan w sklepie zapyta, będą wiedzieli. Już idę, Billy!

Teraz przydałby się jakiś bank. Taki, w którym realizują czeki wystawiane przez adwokatów z Weybridge młodzieńcom poszukującym Godota.

Mundy znów ulatuje w przestworza; na pokładzie samolotu sen miesza mu się z jawą. Rzym, Ateny, Kair, Bahrajn i Karaczi przyjmują go bez komentarzy i podają dalej. Po wylądowaniu w Lahaurze nie daje się wziąć na lep licznych pomysłowych reklam hotelowych, tylko powierza się pieczy taksówkarza Mahmuda, który mówi po angielsku i po pendżabsku. Mahmud ma wojskowy wąs i wolseleya z 1949 roku, z mahoniową deską rozdzielczą i woskowymi goździkami w wazoniku umocowanym przy tylnym oknie. Przede wszystkim zaś „doskonale wie, jak trafić na miejsce, sahibie, bezsprzecznie dokładnie na właściwe miejsce”, gdzie „z całym szacunkiem spoczywają w pokoju irlandzka niania wyznania katolickiego i jej córka”. A dlatego wie, że zupełnie przypadkowo jest kuzynem sędziwego, noszącego biały turban chrześcijańskiego zakrystiana zwącego się Pawłem na pamiątkę apostoła, właściciela oprawnej w skórę księgi parafialnej, który za drobną opłatą udostępnia informacje o miejscu pochówku szlachetnych sahibów i memsahib.

Cmentarz jest owalny, otoczony murkiem, położony tarasowo na zboczu wzgórza obok nieczynnej gazowni. Pełno na nim pozbawionych głów aniołów, pokruszonych betonowych krzyży o sterczących ku niebu trzewiach zbrojenia, są nawet resztki jakiegoś starego samochodu. Mundy znajduje to, czego szukał, grób jest pod drzewem, którego rozłożyste gałęzie tworzą w jaskrawym słońcu kałużę tak głębokiego mroku, że w stanie kompletnego oszołomienia, w jakim Mundy się znajduje, wydaje mu się przez chwilę, że grób jest otwarty. Nagrobek jest miękki, prawie jak piasek, a wyryty na nim napis tak zatarty, że poszczególnych słów musi się domyślać, wodząc palcami po literach. „Pamięci Nellie O’Connor z irlandzkiego hrabstwa Kerry i jej córeczki Rose, kochający mąż Arthur i syn Edward. Niech spoczywają w Panu”.

Ten Edward to ja.

Przyczepiło się do niego chyba z dwadzieścioro dzieci, podają mu kwiaty

pośpiesznie kradzione z innych grobów. Nie bacząc na protesty Mahmuda, Mundy wciska monety w każdą małą dłoń. Liczba małych żebraków rośnie i rośnie, a pochylający się nad nimi wysoki Anglik pragnie z całego serca stać się jednym z nich.

Znów ściśnięty na miejscu obok kierowcy, z kolanami uderzającymi co chwila o mahoniową deskę rozdzielczą starego wolseleya, powracający, choć wcale nie tak marnotrawny syn patrzy na tumany kurzu, przez które musi przebijać się każdy, kto chce gdziekolwiek w Indiach dojechać. Zresztą tumany kurzu czekają na niego również, kiedy dociera na miejsce. Na żyznych zboczach gór dostrzega po drodze niejednego kamienny browar wzniesiony po to, by major miał czym popijać curry. Tędy nas wieźli, kiedy odesłali nas do Anglii, myśli Mundy. To na te wozy zaprzężone w woły trąbiła ciężarówka. To te dzieci gapią się na nas, ale ja unikałem ich wzroku.

Zakręty drogi wpadają w pewien rytm, na który wolseley reaguje z entuzjazmem perszerona. Znad linii widnokregu unoszą się przed nimi brązowe góry ze szczytami spowitymi lekką mgiełką o wierzchołkach odciętych przez jasność. Po lewej widać już podnóża Hindukuszu, nad którymi króluje ich góra matka, Nanga Parbat.

– A to pana miasto, sahibie! – woła Mahmud.

I rzeczywiście: przez chwilę widać na wzgórzu rząd brunatnych domów, który zaraz znika za kolejnym zakrętem.

Teraz relikty po Anglikach, którzy stąd odeszli, przybierają ton wyraźnie wojskowy – tu ruiny posterunku, tam koszar, ówdzie zarośnięty plac apelowy. Wolseley zdobywa się na ostatni wysiłek, bierze jeszcze kilka zakrętów i już są na miejscu. Z przewodnika i kierowcy Mahmud w mgnieniu oka przedziera się w specjalistę od handlu nieruchomościami i popisuje się wiedzą na temat wszystkich interesujących posiadłości w Marri, wie doskonale, które można będzie nabyć za okazijną cenę.

– Główna ulica miasta, sahibie, to dziś jedna z najmodniejszych arterii w Pakistanie, czy sahib widzi te ekskluzywne restauracje, stragany z żywnością i sklepy z odzieżą? A w bocznych uliczkach można obejrzyć eleganckie letnie wille najbogatszych i najbardziej wymagających obywateli Islamabadu... Niech sahib z łaski swojej zaduma się nad tym wspaniałym widokiem! Niech podziwia dalekie równiny Kaszmiru! A jaki tu rozkoszny klimat! Tutejsze lasy sosnowe obfitują w zwierzynę, i to o każdej porze roku!

Czy sahib czuje, jak pięknie pachnie to przepyszne himalajskie powietrze? Cudownie, naprawdę cudownie!

– Podjedźmy tam, pod górę – mówi powracający syn.

– O, tędy. Trzeba minąć bazę Pakistańskich Sił Powietrznych.

– Dziękuję, Mahmud.

Lotnisko bazy jest teraz betonowe, nie trawiaste. Nad kwaterami oficerów wyrosło dodatkowe piętro. Mundy niemal słyszy wściekłe posapywanie majora: „Te palanty z lotnictwa zawsze miały lepiej”. Droga jest chyba jeszcze bardziej wyboista niż wtedy i bardziej pozarastana. Zamożność miasteczka ustępuje przed zakurzonym ubóstwem. Po kilku kilometrach docierają wreszcie na brązowe zbocze upstrzone opuszczonymi zabudowaniami wojskowymi i chatkami biedoty.

– Tu się zatrzymaj, Mahmud. Dziękuję. Tu będzie świetnie.

Po zachwaszczonym placu defiladowym snują się kozy, psy i wszędobylscy biedacy. Na starym ziemnym boisku przy meczecie, gdzie kiedyś doskonalili swe umiejętności najlepsi krykieciści przyszłości, stoi teraz przytułek dla umierających. Ta sama ręka, która zmiotła z powierzchni ziemi dom na Vale 2, zmieniła chatkę majora w na wpół wyschnięty czerep z wydartym blaszanym dachem i balkonem, i wydartymi drzwiami, ale z oknami, przez które można wpatrywać się w ten obraz zniszczenia.

– Pytaj za mnie, Mahmud. Zapomniałem pendzabskiego.

– Aja? Ale co druga kobieta to aja, sahibie! Jak się nazywała?

– Nazywała się właśnie Aja. Była bardzo duża. – Mundy dodałby jeszcze, że miała wielką pupę i że zasiadała nią na maleńkim stołeczku przed jego pokojem, lecz nie chce, żeby dzieci się śmiały. Mówi, że pracowała u angielskiego majora, który tu kiedyś mieszkał. Potem nagle wyjechał. Pił za dużo whisky, lubił wysiadywać pod melią nad rzeką i palić cygara. Nosił żałobę po żonie, kochał syna i ubolewał nad podziałem Indii.

Czy Mahmud tłumaczy to wszystko? Chyba nie, bo i on potrafi być delikatny. Znajdują najstarszego mieszkańca ulicy.

– O, Aję pamiętam świetnie, sahibie! Pochodziła z Madrasu, jeśli mnie pamięć nie myli. Cała rodzina tej zacnej pani została wymordowana, tylko ona przeżyła. Tak, tak to bywa. A jak ci Anglicy wyjechali, to już nikt jej nie chciał. Najpierw zebrała, a potem umarła. Pod koniec tak się skurczyła, że już by jej sahib nie poznał... Rani? – zastanawia się, zapalając się do swego zadania. – A która Rani, sahibie?

– Ta Rani, której ojciec miał plantację wonnych korzeni – odpowiada Mundy dzięki nadludzkiemu wysiłkowi pamięci i dopiero wtedy uświadamia sobie, że to dlatego przynosiła mu przyprawy zawinięte w liście.

Nagle staruszek też sobie przypomina!

– Aha, ta Rani! O, panna Rani świetnie wyszła za mąż, sahibie, naprawdę! Na pewno sahiba ucieszy, że tak się jej poszczęściło, bardzo dziękuję. Ledwo skończyła czternaście lat, ojciec wydał ją za bogatego fabrykanta z Lahauru, w naszych stronach to świetna partia. Już teraz mogą pochwalić się trzema synami i córką, przyzna sahib, że to całkiem ładna gromadka. O, dziękuję, sahibie. Sahib jest bardzo hojny, jak wszyscy Anglicy zresztą.

Idą już w stronę wolseleya, ale starzec wciąż trzyma Mundy’ego za ramię i z nieziemską dobrotliwością patrzy mu w oczy.

– A teraz błagam sahiba, niech sahib wraca do domu – prosi go równie dobrotliwie. – Błagam sahiba, nie handlujcie z nami tyle. Nie przysyłajcie nam więcej żołnierzy, swoich mamy dość, dziękujemy. Wy, Anglicy, zabraliście nam już dość i więcej wam nie potrzeba. Uważam, że należy nam się teraz trochę odpoczynku!

– Poczekaj tu na mnie – mówi Mundy do Mahmuda. – Pilnuj auta.

Ostrożnie stąpa w dół leśną ścieżką, bo wydaje mu się, że jest bosy. Za chwilę zawoła do mnie Aja, żeby nie odchodził za daleko. Te dwa ogromne pnie wciąż są tak wielkie jak kiedyś. Prowadząca między nimi ścieżka opada zygzakiem nad strumień, woda w zagłębieniach wciąż lśni perłowo, ale teraz widzi w niej odbicie tylko jednej twarzy.

Najdroższa Judith – pisze Mundy swą surową angielszczyzną jeszcze tego samego wieczoru w pokoju hotelowym w ubogiej części Lahauru – *jesteś mi winna choćby jakikolwiek znak. Muszę wiedzieć, że to, że byliśmy razem, znaczyło dla Ciebie tyle samo co dla mnie. Muszę w Ciebie wierzyć. Poszukiwać czegoś w życiu to jedno, a zupełnie nie wiedzieć, czego się chce, to drugie. Wierzę, że bardzo by Ci tutaj było dobrze. Mieszka tu prawdziwy proletariat. Wiem o Saszy i pamiętam. Ted.*

Trochę to nie w moim stylu, myśli sobie. Ale co w ogóle jest w moim stylu? Skrzynka pocztowa w hotelu ozdobiona jest inicjałami królowej Wiktorii. Mam nadzieję, że Jej Królewska Mość zna drogę do komuny na Kreuzbergu.

Znowu jest w Anglii. Prędzej czy później trzeba wrócić. Może skończyła mu

się wiza, może znudziło mu się własne złe towarzystwo.

Zgodnie z wielowiekową tradycją były przewodniczący szkoły i bohater jej krykietowej reprezentacji zatrudnia się w wiejskiej szkółce przygotowawczej, gdzie potrzebują niewykwalifikowanych nauczycieli za półdarmo. Poddaje się jej dyscyplinie z poczuciem, że to coś dobrze mu znanego, i z zapałem rzuca się w wir germańskich tajemnic niemieckiej składni, odmiany przez rodzaje i przez liczby. W godzinach, które pozostają mu po sprawdzeniu zadań, reżyseruje szkolne przedstawienie *Przygody Ambrose'a Applejohna* i ukradkiem romansuje w schowku na sprzęt sportowy za boiskiem do krykieta z mającą mu zastąpić Judith żoną pana od biologii. Przez wakacje udaje mu się przekonać samego siebie, że ma szansę zostać nowym Evelynem Waughem, którego to zdania niestety nie podzielają wydawcy. Od czasu do czasu wysyła kolejny rozpaczliwy list na adres komuny. W jednych proponuje Judith małżeństwo, w innych użala się nad swoim złamanym sercem, ale wszystkie, nie wiedzieć czemu, przemawiają prozaicznym tonem listu z Lahauru. Wiedząc o Judith tylko tyle, że ma na nazwisko Kaiser i pochodzi z Hamburga, wertuje w miejscowej bibliotece książki telefoniczne, naprzykrza się telefonicznej informacji międzynarodowej, a potem dręczy wszystkich po kolei Kaiserów z niemieckiego północnego wybrzeża, wypyując, czy nie mają w rodzinie jakiejś Judith. Ale nikt jakoś nie udziela mu informacji, które pomogłyby ustalić miejsce pobytu jego byłej uczennicy.

Saszę traktuje z rezerwą. Z perspektywy czasu znajduje w byłym współlokatorze za dużo nieprzyjemnych cech. Ma mu za złe czar, który Sasza rzucał na niego, gdy byli razem, sobie zaś czołobitność, z jaką przyjmował jego filozoficzne abstrakcje. Choć sam nie chce się przed sobą do tego przyznać, trochę mu przeszkadza, że Sasza był jego poprzednikiem z Ilse i następcą z Judith. Kiedyś zresztą do niego napiszę, ale na razie muszę się zająć moją powieścią.

Tym bardziej więc nie wie, co zrobić, gdy całe trzy lata po deportacji z Berlina otrzymuje sfatygowaną paczkę listów słanych na jego dawny adres w Oksfordzie, gdzie najpierw przeleżały swoje na portierni i wreszcie zostały przekazane do banku zawiadującego aktywami Edwarda Mundy'ego.

Jest ich okrągły tuzin. Niektóre mają po dwadzieścia stron maszynopisu z pojedynczą interlinią, pisane są na przenośnej maszynie Saszy, z odręcznymi dopiskami jego szpiczastym gotykiem. W pierwszym odruchu – bardzo

nieładnym – Mundy chce umieścić całość w koszu na śmieci, w drugim – schować listy tak, by ich potem nie znaleźć: za szafą, między belkami w suficie szkolnego schowka na sprzęt sportowy przy boisku... Ale po kilku dniach przekładania ich z miejsca na miejsce nalewa sobie wreszcie wielkiego drinka i ułożywszy listy w porządku chronologicznym, zabiera się do lektury.

Jest najpierw wzruszony, potem zawstydzony.

W jednej chwili znikają wszelkie egoistyczne obsesje.

Listy pisane są w głębokiej rozpaczy.

Wyrażają autentyczne cierpienie przyjaciela, który ani na chwilę nie opuścił posterunku na pierwszej linii frontu.

Nie ma w nich ani kądzieli, ani mentorskich kazań *ex cathedra*. Jest za to żalosne wołanie o promyk nadziei w świecie, który zawalił się dookoła.

Sasza nie prosi o nic materialnego. Jego potrzeby są skromne i łatwe do zaspokojenia. Umie gotować – Mundy wzdyga się na samą myśl. Kobiet też ma pod dostatkiem – a kiedy ich nie miał? Wydawcy winni mu są trochę forsy – ten i ów zapłaci, nim splajtuje. Fajsal, ten z kawiarni, robi na zapleczu taki arak, że konia by z nóg zważyło. Nie, cała tragedia życia Saszy jest wyższego, szlachetniejszego rzędu. Chodzi o to, że radykalna lewica zachodniemiecka znalazła się w ślepych zaułku, Sasza zaś jest teraz prorokiem bez kraju.

Bierny opór to teraz w ogóle brak oporu, nie liczy się obywatelskie nieposłuszeństwo, tylko zbrojna przemoc. Grupki maoistowskie walczą ze sobą ku radości CIA, radykałów zastąpili ekstremiści, tych zaś, którzy nie chcą iść na lep reakcjonistów z Bonn, wyrzuca się poza obręb tak zwanego społeczeństwa. Czy wiesz, że mamy tu teraz prawo, które oficjalnie zabrania uczestnictwa w życiu publicznym osobom nieakceptującym tak zwanych podstawowych zasad liberalnej demokracji? W ten sposób ci faszyci odmawiają równych praw jednej piątej zachodniemieckich pracowników, od maszynistów po profesorów! Pomyśl tylko, Teddy! Nie wolno mi kierować pociągiem, jeżeli nie godzę się pić coca-coli, jeżeli nie popieram bombardowania mostów w Wietnamie Północnym i zrzucania napalmu na wietnamskie dzieci! Niedługo każą mi włożyć opaskę z żółtym S na znak, że jestem socjalistą!

Mundy szuka gorączkowo jakiegokolwiek wzmianki o Judith. Znajduje ją

w dopisku niezwiązanym z główną treścią listu – jakie to typowe dla Saszy!

Z Berlina Zachodniego ludzie wyjeżdżają teraz nocą. Często nie wiadomo dokąd. Piotr Wielki podobno wyjechał na Kubę walczyć za Fidela Castro. Gdybym miał dobre nogi i bary Petera, pewnie i ja bym się przyłączył. Przygnębiające wieści doszły nas o Christinie: dzięki wielkim wpływom ojca armatora pozwolono jej wrócić do Aten, gdzie za uprzejmym pozwoleniem popieranej przez Amerykę faszystowskiej junty wojskowej zacznie wkrótce pracować u tatusia. Judith, wbrew moim radom, dołączyła do Karen w Bejrucie. Boję się o nią, Teddy. Droga, którą obrała, jest bohaterska, ale prowadzi na manowce. Różnic kulturowych nie brakuje nawet między rewolucjonistami. Ktoś, kto właśnie wrócił z tamtych stron, opowiadał mi, że nawet najwięksi arabscy radykałowie nie są zbyt przychylnie usposobieni do naszej rewolucji seksualnej, którą traktują jako kolejny przejaw zachodniego dekadentyzmu. To uprzedzenie nie wróży najlepiej swobodnym apetytom Judith. Niestety, w chwili wyjazdu nie miałem już na nią większego wpływu. To uparta kobieta, kierująca się własną zmysłowością, a nie rozsądkiem.

Ten jakże niesprawiedliwy portret prawdziwej miłości Mundy'ego budzi w nim na nowo romantyczne pragnienia: jechać za nią, lecieć do Bejrutu, szukać jej w obozach komandosów palestyńskich, walczyć razem z nią, wyzwolić ją spod wpływu Karen, uratować jej życie! Ale że wciąż siedzi w fotelu, więc czyta dalej.

Teddy, jak ja mam dość teorii! Teorii i burżujów pozujących na rewolucjonistów, dla których rewolucja to palenie przy dzieciach trawki zamiast tytoniu! Przyznaję, że znienawidzony luteranin nie śpi i we mnie. Tak, przyznaję. Teraz, gdy do Ciebie piszę, gotów jestem oddać połowę wszystkiego, co mam, za jedną jedyną wizję prawdy. I o tym tylko marzę: by ukazała mi się na horyzoncie jedna wielka, racjonalna prawda, a kiedy ją ujrzę, kroczyć będę ku niej bez względu na wszystko, bez względu na to, co trzeba będzie poświęcić. Czy przyszłość mnie zmieni? Mnie nic nie zmienia. Zmienia się świat. A tu, w RFN, nie ma żadnej przyszłości. Tu jest tylko przeszłość, wygnanie

lub zniewolenie przez siły imperializmu.

Mundy czuje, że opada go dobrze znane znużenie. Gdyby teraz słuchał Saszy, już dawno by się wyłączył. Jakoś udaje mu się nie przerwać czytania.

Obecnie wszelkie akty protestu ze strony lewicy tylko legitymizują prawicowy spisek, który każą nam nazywać demokracją. Sam fakt istnienia nas, radykałów, jest wodą na młyn naszych wrogów. Militarystyczno-industrialna junta z Bonn tak mocno sprzęgła Niemcy Zachodnie z amerykańską machiną wojenną, że nie możemy nawet palcem kiwnąć przeciwko temu, co się dzieje.

Sasza ciska gromy. Mundy czyta teraz zapiski na wszystkich marginesach.

Korporacyjnej tyranii możemy przeciwstawić już tylko takie poglądy, które oficjalnie są tolerowane... Ideały prawdziwego socjalizmu przywdziały lokajską liberię bońskiego panteonu...

To w Bonn jest jakiś panteon, gdzie trzymają lokajów? Mundy, pedantyczny belfer, ma co do tego spore wątpliwości. Ślini palec i przegląda parę stron, potem jeszcze kilka. O, dobra wiadomość: Sasza wciąż jest zapalonym rowerzystą. „Od dnia, kiedy uczyłeś mnie w Tiergarten, nie wyróciłem się ani razu”. Wieści o guru Saszy z Kolonii są nieco gorsze: „Cham odwołał połowę swoich tez i wyniósł się do Nowej Zelandii!”.

Mundy odkłada ten list, bierze do ręki ostatni, zaczynający się złowróźnie: „Oto początek nowej butelki araku”. List jest pisany swobodniej i pomimo górnolotnego stylu jakby bardziej osobiście:

Nie mam Ci za złe milczenia, Teddy. Niczego nie mam Ci za złe. Ty uratowałeś mi życie, ja Ci zabrałem kobietę. Jeżeli wciąż gniewasz się na mnie, bardzo Cię proszę, gniewaj się dalej. Bez gniewu jesteśmy niczym, niczym, niczym. – Miło to słyszeć, ale co z tego? – Jeżeli tym milczeniem chronisz swą literacką żonę, chroń ją dalej, pisz dobrze, pielęgnuj swój talent. Już nigdy nie będę traktował Cię z góry. Gdy teraz do Ciebie mówię, mówię w to dobre ucho, w które gadałem nieraz takie bzdury, że jeszcze mi wstyd. – No, czyli wreszcie się zorientowałaś. – Czy nadal umiesz tak słuchać? Pewnie tak, Ty nie

jesteś obciążony ideologicznie. Jesteś burżujskim spowiednikiem mojej wędrówki w poszukiwaniu logicznej metamorfozy. Tylko do Ciebie mogę głośno myśleć. I dlatego dalej będę szeptał do Ciebie przez kratkę, jak ów perski poeta, który wysłuchawszy wszystkich argumentów świata, wychodzi przez tę samą bramę, którą wszedł. I ja widzę przed sobą taką ciemną bramę. Jest otwarta, czeka, bym w nią wszedł.

Ciemna brama? A cóż on plecie? Chce popełnić samobójstwo czy co? Sasza, na miłość boską, weź się w garść! – myśli sobie Mundy przestraszony nie na żarty.

Niedokończona strona. Mundy odwraca kartkę. Na odwrocie pismo jest pośpieszne – to list w butelce wrzucony do morza przez rozbitka, który zastanawia się, czy ma jeszcze siłę żyć na bezludnej wyspie:

Widzisz więc, Teddy, że Twój przyjaciel stoi na rozdrożu. – No to na rozdrożu czy w tych tam jakichś ciemnych drzwiach w Persji? Zdecydowałbyś się, baranie! – Co odczytam na drogowskazach? Mgła jest tak gęsta, że prawie nic nie widać! Odpowiedz mi, drogi Przyjacielu, a raczej odpowiedz moim kusicielom: skoro naszym wrogiem klasowym jest kapitalistyczny imperializm – a w to nikt przecież nie wątpi – to kto tak naprawdę jest naszym klasowym przyjacielem? Czy słyszę, że ostrzegasz mnie, że wkraczam na śliski grunt? – Aha, to za drzwiami jest śliska posadzka, teraz rozumiem! – Masz rację, Teddy! Jak zawsze masz rację! Ile to razy mówiłem Ci, że obowiązkiem każdego rewolucjonisty jest takie działanie, które przyniesie Sprawie największy pożytek? – Mundy nie przypomina sobie niczego takiego, ale może nie słuchał. – No i teraz sam widzisz, Teddy, że padłem ofiarą wewnętrznej sprzeczności własnych przekonań! Bądź zdrów, Teddy! Nasza przyjaźń jest absolutna! Jeżeli moja decyzja będzie taka, jaka obawiam się, że będzie, Twoje wierne serce zawsze będzie ze mną!

Mundy jęczy teatralnie, odpycha od siebie list, ale została mu jeszcze jedna strona.

Pisz do mnie na adres Fajsala w Café Istanbul. Poproszę, by przekazywano mi Twoje listy, choćbym znalazł się nie wiadomo gdzie. Czy te świnię sprawiły, że kulejesz? Co za sukiny! Czy możesz jeszcze założyć dynastię? Mam nadzieję, bo im więcej Teddych na świecie, tym będzie on lepszy. Nie boli Cię głowa? Tylko o to tak naprawdę mi chodzi.

*Twój w Chrystusie, miłości braterskiej, przyjaźni i rozpaczy
Sasza*

Ogarnięty wyrzutami sumienia, niepokojem i tym jakimś dziwnym skrępowaniem odczuwanym zawsze, gdy pada na niego cień Saszy, Mundy chwyta za pióro, by wytłumaczyć się ze swego milczenia i odnowić śluby dozgonnej wierności. Nie zapomniał, na jak cienkiej nici wisi życie Saszy; nie zapomniał, że za każdym razem, gdy drobne ciało przyjaciela opuszczało ich wspólny pokój, zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś go zobaczy. Pamięta jego nierówne ramiona, tragiczną głowę, kaczkowaty, jakby nieskoordynowany chód, chwiejną jazdę na rowerze. Pamięta Saszę przy bożonarodzeniowych świecach wygłaszającego swój monolog o herr pastorze. Pamięta ciemne, bystre oczy gorączkowo wypatrujące lepszego świata, bezkompromisowe, skupione. Mundy bez namysłu przebacza mu Judith; jej zresztą też przebacza. Przebaczyłby jej już dawno, ale do tej pory mu się to nie udawało.

Pisanie najpierw idzie dobrze, potem utyka.

Mundy mówi sobie, że rano, na świeżo, pójdzie mu lepiej.

Ale rano wcale lepiej nie idzie.

Czeka więc na dogodniejszy moment. Próbuje wykorzystać nastrój postkoitalnego rozleniwienia po pewnej szczególnie udanej randce w schowku, ale czuły, lekko zabawny list nadal nie chce dać się napisać.

Jak zwykle Mundy zaczyna nieśmiało usprawiedliwiać się przed sobą. W końcu to już trzy lata, do cholery. A może cztery. Fajsal pewnie już dawno zamknął budę, przecież chciał sobie kupić taksówkę.

A poza tym cokolwiek Sasza głupiego wymyślił, już i tak dawno to zrobił. Muszę się wreszcie zabrać do wypracowań piątej klasy.

I Mundy długo jeszcze zmagaliby się tak ze sobą, gdyby nie żona pana od biologii, która ni stąd, ni zowąd doznała przypływu wyrzutów sumienia i postanowiła wypowiadać się mężowi. Cała trójka została natychmiast wezwana do gabinetu dyrektora, gdzie szybko znaleziono rozwiązanie tej

przykrew sytuacji: jeszcze przed ich przyjściem pan dyrektor zdążył przygotować dokument, pod którym złożyły podpis wszystkie strony, zobowiązując się do utrzymania namiętności na wodzy aż do wakacji.

– A nie wzięłabyś jej również na wakacje, stary? – szepcze pan od biologii Mundy’emu na ucho w wiejskim pubie. Żona udaje, że nie słyszy. – Bo dostałem świetną fuchę na Heathrow...

Mundy z żalem wyznaje, że ma już inne plany na lato. I właśnie gdy zaczyna się zastanawiać, jakie ma plany – i to nie tylko na lato – natchnienie powraca. W kilku ciepłych zdaniach Mundy odwzajemnia Saszy przysięgę dozgonnej wierności, namawia, by się tak nie martwił, by nie traktował życia tak śmiertelnie poważnie – bardzo przydaje się określenie doktora Mandelbauma „głupia żarliwość”. Zaleca złoty środek. „Nie zdręczaj się tak, człowieku, nie przejmuj się! Życie jest do dupy, ale sam tego nie zmienisz. Nikt tego nie zmieni, a już na pewno nie ci Twoi nowi kusiciele, kimkolwiek są!” Dla poprawienia humoru przyjaciela – oraz by dać do zrozumienia, że nie odczuwa już męskiej zazdrości – dodaje rabelaisowski i nieco przejaskrawiony opis romansu z żoną pana od biologii.

No to z głowy, myśli sobie. Judith i Sasza zabawili się w wolną miłość moim kosztem. Sasza ma rację: bez gniewu jesteśmy niczym.

Mundy rozpoczyna karierę dziennikarską, która ma być wstępem do osiągnięcia literackiego parnasu. Zapisuje się na kurs korespondencyjny i odbywa praktykę w upadającej prowincjonalnej gazecie w angielskich Midlands. Początki są obiecujące. Opis ciężkiej doli miejscowych poławiaczy śledzi zostaje przyjęty z zachwytem. Delikatnie upiękzone doniesienia o życiu prywatnym burmistrza bawią czytelników do łez. W dodatku żadna z żon kolegów redaktorów nie usiłuje zastąpić mu Judith. Ale gdy pod nieobecność redaktora naczelnego Mundy dostarcza artykuł o głodowych zarobkach azjatyckich emigrantów w lokalnej fabryce konserw, sielanka nagle się kończy, bo okazuje się, że właściciel fabryki i właściciel gazety to jedna i ta sama osoba.

Mundy uszczęśliwia więc swym talentem piracką radiostację, przeprowadza wywiady z miejscowymi luminarzami i gra stare przeboje kochanej mamusi i tatusiowi z okazji złotego wesela – aż do pewnego piątkowego wieczoru, gdy szef zaprasza go do pobliskiego pubu na piwo.

– To sprawa klasowa – tłumaczy Mundy’emu. – Słuchacze skarżą się, że

mówisz jak jakiś spasiony wieprz z Izby Lordów.

Następują chude miesiące. BBC odrzuca jego słuchowisko. Opowiadanie dla dzieci o malarzu tworzącym swoje obrazy kredą na chodnikach, któremu banda młodych uliczników pomaga wyjmować płyty z jego arcydziełami, też jakoś nie znajduje uznania wydawców. Jeden z nich pisze z bolesną szczerością: „W Pańskim opowiadaniu policja niemiecka zachowuje się zbyt brutalnie i używa nieodpowiedniego języka. Nie rozumiem też, dlaczego akcję opowiadania umieścił Pan w Berlinie, mieście tak źle kojarzącym się naszym czytelnikom”.

Ale jak zwykle w życiu Mundy’ego, w najgłębszym nawet mroku błyska wreszcie promyk nadziei. W kwartalniku przeznaczonym dla ludzi o ambicjach literackich znajduje ogłoszenie amerykańskiej fundacji oferującej stypendia pisarzom poniżej trzydziestki, którzy chcieliby szukać natchnienia w Nowym Świecie. Niezrażony koniecznością odwiedzenia jaskini lwa, Mundy oczarowuje trzy sympatyczne matrony z Karoliny Północnej podczas podwieczorku w stareńkim hotelu na londyńskim Russell Square. Sześć tygodni później znajduje się już na statku płynącym tym razem do Kraju Nadziei. Stojąc na rufie i przypatrując się niknącym w mżawce imperialnym zarysom Liverpoolu, nie może opędzić się od myśli, że porzuca nie tyle Anglię, ile Saszę.

Tu jednak nie kończy się długa, bezcelowa wędrówka bohatera. W Taos, już jako prawdziwy pisarz, Mundy wynajmuje domek z cegły adobe, z pięknym widokiem na pustynne zarośla, słupy telegraficzne i sfory ruchliwych psów, które zawędrowały tu aż z Marri. Siedzi przy oknie, pije tequilę i zachwyca się jak co dzień fioletem zachodu słońca. Wiele jest tych dni i dużo jest tequili, ale czy nie tak samo było z Malcolmem Lowrym i D.H. Lawrence’em? Tubylcy są nie tylko przyjaźnie usposobieni: są rozgrzani słońcem, bezkonfliktowi i często naćpani. Mundy jakoś nie może dopatrzeć się wśród nich chciwych kolonizatorów, jakimi wydawali mu się z perspektywy Berlina. Jego wysiłki stworzenia kółka teatralnego spełzają na niczym nie z powodu jakiejś nieokiełznanej agresji, a z powodu różnic w percepcji eterycznej.

Udaje mu się za to napisać pięćdziesiąt stron powieści o niepokojach społecznych w fikcyjnym kraju w Europie. Pakuje je do koperty i wysyła do wydawcy z prośbą o radę, jak pisać dalej. Wydawca nie ma większej ochoty ani na drukowanie tego, co dostał, ani na dawanie rad, więc zamiast powieści

powstaje *Miłość radykalna*, cienki tomik wierszy do Judith wydrukowanych na koszt autora. Zapoznani geniusze tacy jak on są zachwyceni, ale ostateczny koszt wydania dwukrotnie przewyższa wstępne kalkulacje.

Czas przestaje się liczyć. Co wieczór Mundy nakłada na twarz swój nieco wstydlivy uśmiech i leniwym krokiem odbywa pielgrzymkę do Spanish Inn and Motel. Wieści o sprawach tak kiedyś drogich jego sercu docierają do niego teraz jak niedokończone czytanki Kiplinga. Wojna wietnamska trwa. To jedna wielka tragedia – tak mówią wszyscy w Taos. Nawet w takiej dziurze znalazło się kilku młodych, którzy spalili swe karty powołania i uciekli do Kanady. Mundy dowiaduje się ze starego egzemplarza „Time’a”, że Palestyńczycy rozpętali kampanię terroru, w której dzielnie sekunduje im Frakcja Czerwonej Armii Ulrike Meinhof. Czy to twarz Judith kryje się za maską trzymającej karabin dziewczyny? A może to Karen? Straszne, ale cóż on może na to poradzić? „Karen zgadza się całkowicie z tezą Frantza Fanona, że przemoc to całkowicie dopuszczalny środek walki uciśnionych”. A ja nie. I Sasza też nie. Ale ty pewnie tak. A twoja rewolucja seksualna nie pasuje do moralności rewolucjonistów arabskich.

Nawet jeżeli Mundy ma od czasu do czasu wyrzuty sumienia, że nie maszeruje i że nie jest bity, parę drinków bardzo mu na to pomaga. W raj, w którym wszyscy żyją wyłącznie sztuką, nie wypada zachowywać się inaczej. Raj ma jednak też wady, które nie dają się tak łatwo utopić w tequila. Gdy kto zatrząskuje drzwiami przed własną przeszłością, ona wciska się oknem. Mundy przesiaduje na werandzie domku z adobe z żółtym notesem na kolanach i patrzy, jak to samo cholerne słońce jeszcze raz znika za tym samym cholernym szczytem. Noc w noc chodzi wokół stołu z maszyną do pisania, tępo wpatruje się w pustą kartkę papieru albo w puste okno, usiłując pobudzić talent tequilą – lecz słyszy tylko głos Saszy perorującego o źródłach ludzkiej wiedzy z ustami pełnymi kiełbasy czosnkowej. Mundy w drodze do Spanish Inn, gdy pustynna samotność opada go wraz z zachodem słońca i gdy zaczyna liczyć przyjaciół z dawnych lat – wtedy kto, jeśli nie Sasza, kuszyka przy nim po berlińskim bruku, bo idą do Wygolonego Kota, gdzie Sasza znowu będzie naprawiał świat? A gdy znajduje się w ramionach jednej z wielu malarek, pisarek, kapłanek medytacji transcendentalnej i poszukiwaczek prawdy, których droga do poznania siebie wiedzie przez jego łóżko, wtedy czyje cudowne ciało – niekoniecznie w białych wełnianych getrach – patronuje jego altruistycznym uniesieniom?

A oprócz tego – jak by powiedział Hemingway – jest jeszcze ten biedak Bernie Luger, malutki, brodaty bogaty malarz ze swoją kubańską modelką Nitą, która mu nigdy nie pozuje, bo po cholere? Kurde, Bernie nie maluje już zasranych aktów, już dawno dał sobie z tym spokój! Jego dwumetrowej wysokości arcydzieła to teraz wyłącznie czarno-purpurowe piekła sądów ostatecznych; właśnie pracuje nad tryptykiem *Napalm w Minnesocie*, do czego potrzebna mu jest drabina. Czy wszyscy niscy malarze muszą malować takie wielkie obrazy? Mundy ma wrażenie, że tak.

Bernie, jeśli można mu wierzyć – a lepiej mu wierzyć – to największy bojownik o wolność i demokrację od czasów Thoreau, którego dzieła odczytuje gościom podczas wydawanych przez siebie całonocnych przyjęć. A czyta je, stojąc za drewnianym hiszpańskim lekcjonarzem, podobno otrzymał go od Che Guevary w podzięcie za jakąś ważną, choć tajną przysługę. Bernie dawał przykład obywatelskiego nieposłuszeństwa w Memphis, Gwardia Narodowa zbiła go do nieprzytomności nie raz i nie dwa – widzicie tę bliznę? Przewodził demonstracjom w Waszyngtonie i siedział w więzieniu za sprawę rewolucji. Czarne Pantery nazywają go swym Białym Bratem, a FBI założyło mu podsłuch i czyta jego korespondencję – oczywiście jeżeli wierzyć Berniemu. A mało kto mu wierzy.

No więc dlaczego Mundy w ogóle toleruje towarzystwo tego bogatego krzykacza w grubych okularach, z szarym kucykiem i żalonymi pretensjami, który w dodatku maluje takie straszne kicze? Bo Mundy chyba rozumie ten ciągły stan przerażenia, w którym żyje Bernie, rozumie, że wystarczy dmuchnąć, by się przewrócił. Dzika, źle wychowana i nieustraszona Nita też to wie i choć w imię wolności sypia z całą męską połową Taos, broni swego małego Berniego jak lwica.

– Słuchaj no, a te pierdoły, które robiłeś w Berlinie... – zaczyna Bernie, unosząc się na łokciu, by móc nakrzyczeć na Mundy'ego nad wyciągniętą między nimi Nitą.

Rzecz dzieje się w środku nocy na należącej do Berniego starej hiszpańskiej farmie u zbiegu dwóch kamienistych strumieni. Wokół gospodarza leży kilkanaścioro gości rozkoszujących się halucynogenną mądrością pejotlu.

– No? – pyta Mundy i już żałuje, że kilka dni temu w przypływie tęsknoty nieopatrnie przyznał się Berniemu do swej radykalnej przeszłości.

– Byłeś komunistą, tak?

– Ale takim przez naprawdę małe „k”.

– A co to ma znaczyć, że przez małe „k”, zasrani Angolu?

– Filozoficznie byłem komunistą, ale organizacyjnie nie. W sumie to „niech diabeł porwie wasze obydwie domy”².

– A, czyli Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek, tak? – szydzi Luger i już zaczyna go ponosić, choć w tle płyną kojące dźwięki Simona & Garfunkela. – Liberał przez duże „l”, za to z małym ptaszkiem, tak?

Mundy już wie z doświadczenia, że w takich chwilach najlepiej nie oponować.

– Ja to kupiłem – ciągnie Luger trochę ciszej i przechyla się przez Nitę. – Ja też tak chciałem. Trzymać się tego gadania o miłości i pieprzonym pokoju. I coś ci powiem, facet. Tak się nie da. To pierdoły. Jak przyjdzie co do czego, wyjście jest tylko jedno: albo wskakujemy na parowóz historii, albo nie. Dobrze, nie chcesz, nie wskakuj, i z tą twoją zasraną flegmą gap się, jak pociąg odjeżdża. – Mundy przypomina sobie, że podobnie stawiał w swych listach sprawę Sasza, ale i tę myśl zachowuje dla siebie. – No a ja, facet, już jestem w parowozie. Jezu, jeszcze jak! Nawet nie masz pojęcia! Nawet by ci się nie śniło! Słyszycie, towarzyszu? Słyszycie?

– Słyszę, słyszę, stary. Tylko nie bardzo rozumiem, co mówisz.

– I masz szczęście, facet, boby cię pokreć. – W uniesieniu swą drżącą dłońią chwyta teraz Mundy’ego za ramię. Potem poluźnia i uśmiecha się przymilnie. – Nie bój się, jaja se robię. Kocham cię, Angolu. A ty nas. Ja nic nie mówiłem, ty nic nie słyszałeś. Choćby ci wrywali paznokcie, rozumiesz? Przysięgaj, facet! Przysięgaj, ale już!

– Bernie, ja już nic nie pamiętam – upiera się Mundy.

W drodze do domu rozmyśla z zażenowaniem o tym, że oszukiwany kochanek zrobi wszystko, byle ukryć swoją słabość.

Któregoś dnia dostaje wreszcie list, ale nie od Saszy. Koperta jest z dobrego papieru, i całe szczęście, bo rozpoczynając podróż w Kanadzie, przyszło jej w poszukiwaniu adresata dwukrotnie przebyć Atlantyk i dostać się w różną stronę. Nadawca figuruje w lewym górnym rogu, wypisany eleganckim drukiem: Epstein, Benjamin & Longford, pod spodem jakiś najwyraźniej świetny adres w Toronto. Mundy od razu docenia powagę kancelarii adwokackiej, lecz zaraz zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest to pozew od jakiegoś rozjuszonego męża. Odkłada więc list na bok – na tydzień lub dwa – i otwiera

go dopiero pod wpływem odpowiedniej ilości wchłoniętej tequili, która czyni go niefrasobliwym. List liczy sobie trzy i pół strony. Adres i numer telefonu, również w Toronto, nic mu nie mówią. Nieczytelnego adwokackiego podpisu też nigdy nie widział na oczy.

Drogi Teddy!

No, pewnie się zdziwisz, że piszę do Ciebie po tylu latach, ale widać tak miało być. Nie będę zanudzać Cię na śmierć opisami moich losów od chwili, gdy wyniosłam się z Berlina – Boże, jacy my byliśmy wtedy głupi! – ale muszę Ci wyznać, że doszłam do wniosku, że jeżeli w życiu zrobi się raz tak, raz tak, to człowiek wraca do punktu wyjścia, no i mam wrażenie – wyrażam się chyba bardzo nieprofesjonalnie jak na mój zawód – że tak się właśnie ze mną stało. Wydawało mi się, że po Berlinie nie może być gorzej, ale się myliłam. Z kolei gdybym tak nisko nie upadła, nie dotarłoby do mnie, jak spałam sobie życie, i nie poszłabym do ambasady w Bejrucie, nie zadzwoniłabym do rodziców i nie kazałabym im zabrać mnie z tego piekła, nim kogoś zabiję albo nim wylecę w powietrze jak ta idiotka Karen, kiedy majstrowała tę swoją idiotyczną bombę w jakimś zaułku w Nairobi.

Kim teraz jestem? (1) Powszechnie szanowaną członkinią palestry prowincji Ontario, znaną prawniczką z Toronto, (2) mamą milutkiej Jasmine, która będzie kiedyś wyglądać dokładnie tak jak ja, jeżeli mnie jeszcze pamiętasz!!, oraz (3) żoną kochanego faceta, doskonałego ojca, który uwielbia swą córeczkę i jej mamę oczywiście też i który jest najbardziej przerażającym nudziarzem i najbardziej dwulicowym zasrańcem na świecie. Oboje jesteśmy poza tym bardzo bogaci, przynajmniej jak na kanadyjską klasę średnią, tylko nie wyobrażaj sobie od razu, że w Kanadzie prawnicy zarabiają tyle co w Stanach, długo o tym mówić, Larry'emu to jakoś nie przeszkadza, lecz ja oczywiście nadal walczę o sprawiedliwość na tym świecie!

Zostawiłam na koniec (4), ale po to właśnie do Ciebie piszę, Teddy. Nie wiem, jakie mam szanse, mam jednak wrażenie, że całkiem niezłe. Jezu, Teddy, ja też Cię kocham! Pisałeś do mnie takie rzeczy, że zrobiło mi się gorąco, dosłownie też, i to w tych różnych miejscach, które tak dobrze znasz! I pomyślałam sobie, że kiedyś napiszę Ci, co czuję. Tylko że ja tak nie lubię pisać tych parszywych listów! Powiedzmy, że

napisałabym do Ciebie znacznie wcześniej, gdyby udało mi się do tego zabrać. W porządku: byłeś moim pierwszym, to znaczy pierwszym hetero, z Tobą straciłam wianek, jeżeli w tych czasach jeszcze to cokolwiek znaczy, ale jest coś jeszcze. Dlaczego zainteresowałam się Teddym, skoro mogłam mieć Piotra Ogiera Wielkiego albo Saszę, naszego charyzmatycznego Sokratesa (który zresztą potem przyjął mnie do swego haremu, choć bez żadnego skutku), albo któregośkolwiek z tych ślicznych chłopaczków z Klubu Republikańskiego? Dlaczego robiło mi się mokro za każdym razem, kiedy widziałam, jak przechadzasz się po komunie, wszyscy wokół pieprzą się i ćpają, a Ty nawet na nich nie spojrzysz, taki jesteś cool? To dlatego byłeś wyjątkowy, Teddy, i dlatego wciąż jesteś dla mnie wyjątkowy! A jeżeli czasem wydzierałam się na Ciebie, to dlatego, że otwierałeś mi oczy i coś tam jeszcze na normalność, którą dzięki Bogu udało mi się wreszcie osiągnąć...

Ale teraz Mundy zaczyna zachowywać się tak jak przy lekturze listów Saszy – przebiega całą treść, by jak najszybciej się dowiedzieć, czego ona od niego chce. Nie musi szukać daleko: ona chce Teddy’ego, a nie Larry’ego. Skontrolowała męża. Jej od dawna żywione podejrzenia okazały się słuszne – Larry ją zdradza. Sama nie zajmuje się sprawami rozwodowymi, ale kolega z firmy powiedział jej w zaufaniu, że z tymi dowodami, które ma, wyciągnie z męża dwa do dwóch i pół. Mówimy oczywiście o milionach, nie o groszach.

No więc taka jest moja propozycja, Teddy. Jak już pisałam, nie wiem, jakie są moje szanse. W każdym razie mam nad jeziorem Joseph taki mały domek. Z ogrzewaniem. To moja wyłączna własność, Larry nawet nie ma kluczy. Tak się umówiliśmy. Chcę, żebyś mnie tam zabrał, i chcę, żeby to był nasz drugi Berlin. Pamiętasz jeszcze, co nazywałeś naszym berlińskim maratonem? No to zapraszam na kolejny maraton. Mam bardzo dobrą opiekunkę do Jasmine.

Judith

No proszę, myśli Mundy, kolejny dowód – jeżeli ktoś w ogóle potrzebuje dowodu – że prawnicy to dupki.

Jeszcze tego samego wieczoru odbywa się sekretna ceremonia – Mundy pali wszystkie pozostałe egzemplarze *Miłości radykalnej*. Obecnie sypia

z angielską emigrantką, malarką imieniem Gail, która w swym poprzednim wcieleniu pracowała w British Council. Według słów rodaczki, British Council jest tym dla angielskiej sztuki, czym Foreign Office dla angielskiej polityki zagranicznej, tylko ze znacznie lepszym skutkiem. Na prośbę Mundy'ego gorąco poleca go swemu byłemu szefowi, ojcu rodziny, który stał się powodem jej wygnania. Zwrotną pocztą otrzymuje wzór podania oraz niepodpisany list – dwie linijki – by wypełnił załączony formularz i nikomu się nie chwalił, od kogo go dostał. Oferując swe usługi nobliwej instytucji, Mundy dyskretnie nie wspomina, że sensu stricto nie posiada dyplomu ukończenia szkoły wyższej. Opierając się o poręcz statku powoli wiozącego go z powrotem do ojczyzny, znów spogląda na błotnisty brzeg Liverpoolu, który tym razem bierze go w swe objęcia. I już po raz drugi myśli sobie, że prędzej czy później trzeba wrócić.

W British Council od razu spodobał się wszystkim. Jemu też wszystko się tam podoba – szczególnie ci pogodni, nieskrępowani ludzie wierzący w sztukę i głoszący tę dobrą nowinę, i jak ognia unikający polityki.

Lubi wstawać co rano w swej garsonierze w Hampstead i wsiadać do autobusu, który wiezie go na Trafalgar Square. Lubi co miesiąc dostawać pensję, chodzić do bufetu na kawę i na pogaduszki z kolegami. Podoba mu się nawet garnitur, który musi wkładać do pracy. Lubi też Crispina, którego obowiązki w Sekcji Powitań ma wkrótce przejąć, gdy tylko Crispin skończy sześćdziesiątkę – „prawdę mówiąc, chłopie, nie sześćdziesiątkę, tylko siedemdziesiątkę, w kadrach się pomylili, ale nic im nie mów”, jak zwierza mu się na wspólnym obiedzie w miłej włoskiej knajpce za rogiem. Crispin ubrał się na tę okazję w pełny mundur Witającego: czarny melonik i czerwony goździk w kłapie aksamitnej marynarki.

– Kochany, to najlepsza fucha pod słońcem. Trzeba tylko uważać, żeby nie dostać kopniaka w górę. Nie ma nic do roboty, tylko jeździ się na Heathrow powolną, ale solidną państwową limuzyną... proś zawsze o Henry'ego, to najfajniejszy szofer... pokazuje się przepustkę sympatycznemu chłopakowi w kontroli paszportowej i w imię rządu Jej Królewskiej Mości kłania się w pas dostojnemu gościowi, nim się go umieści w jakimś tanim hoteliku przy King's Cross. Najlepiej, jak samolot się spóźnia, bo wtedy człowiek zdąży się napić jednego drinka w barze dla VIP-ów, i jak pokój w hotelu niegotowy, to idzie się wtedy z gościem na drugiego. A potem już tylko z powrotem do biura,

rachunki z baru oczywiście ci zwrócą, jak się dobrze ustawisz. Żyć nie umierać. O, ty stawiasz? Naprawdę? Daleko zajdziesz.

Zajdzie, zajdzie. Już wkrótce Mundy jest najlepszym Witającym w firmie.

– Co za zaszczyt, sir (albo señor, monsieur, madame czy wreszcie herr doktor) – woła, czasem nawet dwa razy dziennie, wyłaniając się zza stanowiska kontroli paszportowej i unosząc dłoń w powitalnym geście. – Oczywiście dla nas, nie dla pana/pani. Nawet nam się nie śniło, że przyjmie pan/pani nasze zaproszenie! Minister wprost nie posiada się z radości. Przyznam się, że ja sam jestem wielbicielem pana/pani (podać dziedzinę działalności gościa)... Nie, nie, ja poniosę. Aha, jeszcze się nie przedstawiłem. Nazywam się Mundy, jestem skromnym wysłannikiem pana ministra... Nie, niestety, na razie tylko magister... Jestem odpowiedzialny za pana/pani miły pobyt, oto moja wizytówka, to mój bezpośredni numer w biurze, a tu domowy, na wszelki wypadek...

Potrafi powiedzieć to samo nienaganną niemczyzną i całkiem poprawną francuszczyzną. I nigdy nie zapomina o goździku, jak Crispin, bo to zawsze robi świetne wrażenie.

Ale życie w British Council to nie tylko powitania. W odróżnieniu od Crispina Mundy ma większe ambicje. Dla odpowiednich ludzi aż roi się tu od możliwości. Już podczas pierwszej rozmowy dała mu to do zrozumienia sympatyczna pani z kadr, której najwyraźniej od razu przypadł do gustu. Ktoś przecież musi opiekować się angielskimi zespołami teatralnymi czy baletowymi, gdy wyprawia się je do dalekich krajów, nie mówiąc już o pojedynczych malarzach, pisarzach, muzykach, tancerzach i uczonych wszelkiej maści. Dzięki jej matczynej zachęcie Mundy zaczyna wyobrażać sobie siebie jako wędrownego ambasadora kultury, dyskretnie rozwijającego własny talent, wzorującego się na talencie artystów o ustalonej reputacji, którymi się opiekuje. Gdy tylko pojawia się ogłoszenie o wakacie, który w opinii pani kadrowej może stanowić odskocznnię do wyższych celów, Mundy staje do konkursu i w ten właśnie sposób awansuje z prostego Witającego na żyźniejsze wyżyny stosunków dwustronnych, gdzie otrzymuje delikatną misję tworzenia związków kulturalnych między opornymi środowiskami angielskimi a ich znacznie bardziej zainteresowanymi odpowiednikami w kraju dawnych wrogów.

To stanowisko wiąże się już z otrzymaniem własnego gabinetu ozdobionego mapą Wielkiej Brytanii z zaznaczonymi najsilniejszymi ośrodkami

antyniemieckiego oporu. Mundy jeździ od hrabstwa do hrabstwa i aktywizuje rady gminne, sołtysów i łowczych. Współpracuje z pełną rezerwy, lecz całkiem sympatyczną frau doktor z Instytutu Goethego. Nie omija też angielskich szkół i w ten właśnie mało spektakularny sposób poznaje Kate, ładną okularnicę, wicedyrektorę szkoły w północnej części Londynu, która jednocześnie uczy matematyki, a wszystkie wolne chwile oddaje oddziałowi Partii Pracy w St Pancras, gdzie liże koperty.

Jasnowłosa Kate jest praktyczna. Jest też wysoka i porusza się nieco chwiejnie, co Mundy'ego bardzo rozczuła, choć długo nie rozumie dlaczego – w końcu przypomina sobie równie wysoką irlandzką nianię z grupowego zdjęcia zwycięskich Stanhope'ów w ich posiadłości. Kate ma mleczną cerę, nieco przymglony wzrok i równie przymglony uśmiech, który Mundy widzi na jej twarzy nawet wtedy, gdy Kate już się nie uśmiecha.

Promienie zachodzącego słońca wpadają przez dziewiętnastowieczne okna gabinetu Kate na peryferiach Hampstead. Mundy wygłasza spicz, siedząca u jego boku frau doktor z poważną miną potakuje jego słowom. Najważniejszy jest właściwy dobór partnerów, przekonuje Mundy – nie warto łączyć kury z jaskółką. No a pozwoli sobie pani powiedzieć, panno Andrews, że pani fantastyczna szkoła jest naprawdę najwyższych lotów.

– Ale czy my przypadkiem nie przeszkadzamy pani w lekcji? – woła z nagłym niepokojem, gdy już zaaplikował podwójną porcję swego niewinnego wdzięku. – W każdym razie bardzo proszę, gdyby miała pani jakiegokolwiek problemy, choćby najdrobniejsze, proszę koniecznie zatelefonować pod ten numer. A to numer domowy na wszelki wypadek... – Postanawia zaryzykować: – Zresztą przecież właściwie jesteśmy sąsiadami, więc chyba najwygodniej po prostu dojść do światła, skrócić w lewo i zadzwonić do drzwi. Górny dzwonek.

– A to moja wizytówka, proszę pani – mruczy frau doktor, by przypomnieć o swej obecności.

Stąd już do zakochania jeden krok. W każdy piątek po południu Mundy odbiera Kate ze szkoły – zawsze pojawia się trochę za wcześnie, bo uwielbia patrzeć, jak młoda nauczycielka radzi sobie z tłumem wielokolorowych dzieci. Kate płaci za siebie i w kinie, i później w greckiej tawernie Pod Bachusem, gdzie jedzą kolację, zabawiając się nawzajem opowieściami o intrygach w British Council i straszliwych wojnach podjazdowych w oddziale Partii Pracy w St

Pancras. Mundy podziwia Kate, że uczy matematyki, bo sam, jak mówi, ledwie do trzech zliczy. Kate szanuje jego germanistyczne zainteresowania, choć musi wyznać, że z całkowicie praktycznego punktu widzenia nauka języków obcych to nie najlepsza inwestycja, skoro i tak niedługo na całym świecie będzie się mówiło po angielsku. Mundy wyjawia Kate, że jego największym marzeniem jest dostać się do działu Teatr i Sztuka Zagraniczna: Kate uważa, że on doskonale się do tego nadaje. W weekendy spacerują po błoniach Hampstead. Gdy szkoła Kate organizuje wystawę plastycznych prac dzieci, Mundy jest pierwszym ze zwiedzających. Solidne przekonania socjalistyczne Kate – bo tylko takie mogła wynieść z domu rodzinnego – wygodnie harmonizują z tym, co z nich zostało w Mundy, więc wkrótce i on poświęca parę godzin tygodniowo na lizanie kopert dla Partii Pracy. Jego arystokratyczny akcent i nienaganne maniery są z początku powodem drwin nowych towarzyszy, ale wkrótce wszyscy śmieją się nie z Mundy’ego, a razem z nim. Kate z dala od siedziby komitetu uskarża się na przenikanie do jej ukochanej partii trockistów i innych ekstremistów; Mundy uznaje, że nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila, by się przyznać, że kiedyś był sublokatorom i pomocnikiem pewnego najbardziej ekstremalnego ekstremisty, który na dodatek odebrał mu dziewczynę.

Mija kilka miesięcy, nim w końcu idą do łóżka. Inicjatywa musi wyjść od Kate, bo Mundy jest w tym względzie podejrzanie nieśmiały. Kate postanawia, że odbędzie się to nie u niej w domu, ale w pokoju Mundy’ego w sobotnie popołudnie, gdy reszta sublokatorów ogląda na dole transmisję międzynarodowego meczu piłki nożnej. Tego dnia Hampstead tonie wprost w jesiennych brązach i złocie; spacer po błoniach jest podróżą wśród pochyłych strumieni słonecznego światła, woni drzewnego dymu. Kate zamyka za sobą drzwi pokoju Mundy’ego, zakłada łańcuch, zdejmuje płaszcz i po kolei każdy element garderoby, aż nie zostaje nic. Potem ukrywa twarz w ramieniu Mundy’ego i pomaga mu się rozebrać. Później zawsze żartują, że pierwszy mecz wygrali trzy do zera. Tak, oczywiście wyjdzie za niego, już od dawna ma nadzieję, że on się w końcu zdecyduje. Zgodnie stwierdzają, że na wesele muszą zaprosić frau doktor.

Po podjęciu tej ważnej decyzji wszystko nagle zaczyna się układać – jak to w życiu. Ojciec Kate, Des, dokonuje wpłaty na niewyremontowany wiktoriański domek na Estelle Road. Des to były bokser nieudacznik, który z lepszym skutkiem przedzierzgnął się w przedsiębiorcę budowlanego,

człowiek o zdecydowanych i wyłącznie wywrotowych poglądach. Domek dla młodej pary jest prosty i solidny; stoi na ulicy, na której różnokolorowi tatusie kopią piłkę ze swymi pociechami wśród niedrogich aut. Ale Des zwraca młodym uwagę podczas pierwszych wspólnych oględzin, że dzielnica wcale nie jest zła: wystarczy przejść kładką nad torem i już się jest na błoniach Hampstead i na basenie Lido, jeszcze bliżej leży boisko piłkarskie i porządne place zabaw dla dzieci – z huśtawkami i karuzelami!

Poza tym do szkoły Kate jest dziesięć minut na piechotę, a jeżeli mają ochotę spędzić dzień w ogrodach Kew, to na stację Gospel Oak też dwa kroki. „Jeśli chodzi o pieniądze, Ted, to taki dom za taką cenę to fantastyczna okazja, możesz mi wierzyć. Dopiero tydzień temu numer 16 poszedł za dwadzieścia tysięcy więcej niż wasz, a przecież tam i o jeden pokój mniej, co za głupota, i o połowę mniej słońca, no i ten salon – kotu by tam było za ciasno!”

Czy kiedykolwiek wcześniej Mundy’emu wiodło się w życiu lepiej? On w każdym razie jest przekonany, że nie. Wszystko go cieszy: praca, rodzina, dom, poczucie przynależności. A gdy Kate wraca od lekarza, uśmiechając się jak dziecko, o którego nadchodzących narodzinach właśnie się dowiedziała, Mundy wie, że oto wypełnił się jego kielich nie goryczy właśnie, lecz szczęścia. Na wesele nie miał kogo zaprosić ze swej strony – zobaczymy na chrzcinach!

A na dodatek kilka dni później dobra wróżka Mundy’ego z kadr przynosi mu kolejne dobre wieści. W uznaniu zasług w dziale Stosunków Dwustronnych pan E.A. Mundy otrzymuje awans na zastępcę asystenta terenowego w dziale Teatr i Sztuka Zagraniczna, ze skutkiem natychmiastowym. Będzie teraz częściej poza domem, co młodym za bardzo się nie uśmiecha – tym bardziej że Kate jest w ciąży – ale za to ma teraz porządny fundusz na wydatki, więc przy pewnych oszczędnościach uda im się szybko spłacić hipotekę.

I jakby tego było mało, zostaje wyznaczony do pracy z młodzieżą! Dni bezcelowych wędrówek ma już definitywnie za sobą. Nareszcie.

6

– Anioły – mówi Mundy. – Istne anioły, kochanie.

No, może nie anioły, ale w każdym razie dzieciaki, za które oddałby ostatni grosz, entuzjazmuje się w pośpiesznej rozmowie telefonicznej z Kate przed odpłynięciem z portu w Harwich. Mówi o Sweet Dole Company, Teatrze Słodkiego Cierpienia, wędrownej trupie aktorskiej złożonej z młodzieży pochodzenia robotniczego z całej północnej Anglii, etnicznej mieszance Murzynów, białych, mieszkańców przemysłowych miast od Manchesteru po Doncaster, gdzie wychowywała się Kate. To jego pierwsza grupa w klasie juniorów; od chwili gdy ich wymalowany w psychodeliczne barwy piętrowy leyland wtoczył się na prom udający się do Holandii, wszyscy nazywają go Tatusiem.

Najstarszą osobą w grupie i reżyserem wszystkich przedstawień jest piegowata chłopczyca Spike, dwudziestodwuletnia staruszka; najmłodszą – zamyślony czarnoskóry Hamlet Lexham, który niedługo skończy szesnaście lat. Kostiumy szyje Sally Igiełka, malutka Portugalka. Trupa specjalizuje się w przeróbkach Szekspira; w swej krótkiej historii występowali już w noclegowniach, na pikietach, przed kolejkami po zupę dla bezrobotnych, bramami fabryk i w pracowniczych stołówkach. Na następne czterdzieści dni i nocy młodzi aktorzy stają się cygańską rodziną Mundy’ego, który będzie z nimi podczas występów oraz powitalnych i pożegnalnych przyjęć. Nieobce mu będą ich miłostki, a o krótkich, wybuchających nagle bójkach dowie się dopiero, gdy jeden z walczących w geście samarytanina własną chusteczką zacznie wycierać zakrwawiony nos przeciwnika.

Oficjalnie Mundy jest ich przedstawicielem i opiekunem, nieoficjalnie dyżuruje przy kierownicy, zastępuje garderobianego, elektryka i suflera, jest tłumaczem, technikiem i powiernikiem, a gdy zrozpaczona Spike zostaje po tygodniu odesłana do kraju z zapaleniem węzłów chłonnych, chcąc nie chcąc, musi też przejąć obowiązki reżysera. Piętrowy autobus wlecze za sobą dwukołową przyczepę z elementami dekoracji, których nie dało się upchnąć na górnym piętrze. Na dachu też nie ma ani skrawka wolnego miejsca, bo

zrolowane tło sceny także musiało się gdzieś zmieścić.

Tournée po Holandii, Niemczech Zachodnich i Austrii to nieprzerwany i bezsenny tryumf. Amsterdam i Haga uwielbiają młodych aktorów; trupa zachwyca Kolonię, zdobywa pierwszą nagrodę na młodzieżowym *dramafest* we Frankfurcie, bisuje w Monachium i Wiedniu, ale potem trzeba mieć się na baczności i powściągnąć języki – o co prosi Mundy w ostatni wieczór spędzony na Zachodzie – bo zaraz przekroczą żelazną kurtynę, by ruszyć na podbój Europy Wschodniej.

Trupa od samego początku źle to znosi, a purytańskie ograniczenia, z którymi styka się w demoludach, wcale sprawy nie ułatwiają. W Budapeszcie Mundy musi użyć całego swego uroku osobistego, by wyciągnąć z izby wytrzeźwień pijanego Poloniusza; w Pradze sam prowadzi Falstaffa do specjalisty od chorób wenerycznych. W Krakowie z najwyższym trudem udaje mu się zapobiec walce na pięści między Malvoliem a dwoma tajniakami pod pomnikiem poety na jednym z największych placów Europy; a w Warszawie wysłuchuje łzawego wyznania Ofelii, że jest w ciąży, prawdopodobnie z Shylockiem.

Ale nawet te wszystkie nieszczęścia razem wzięte nie tłumaczą nastroju dziwnego otępienia, który, jak zauważa spostrzegawczy Mundy, udziela się wszystkim członkom trupy, gdy ich autobus zajeżdża przed kłębówisko flag, baraków, wieżyczek pograniczników i celników oznaczające przejście graniczne między Polską a NRD. Wszyscy muszą wysiąść i ustawić się wzdłuż drogi, podczas gdy ich paszporty, bagaż i sam autobus zostają poddane szczegółowej rewizji.

Cóż im się stało, do licha, myśli ze zniecierpliwieniem Mundy. Stoją jak aresztanci, wchodzą pojedynczo do obskurnych toalet, wracają i dalej wpatrują się w ziemię. Między sobą prawie nie rozmawiają, z Tatusiem – w ogóle. Boją się czegoś? Mundy obawia się najgorszego. Pewnie dostali gdzieś w Warszawie narkotyki i teraz czekają na okrzyk rewidujących ich celników, po którym wszyscy wylądują w więzieniu.

Co jeszcze dziwniejsze, prawie nie zauważają zmiany warty. Wzdłuż smętnego szeregu idzie teraz ze łzami w oczach ich ukochany polski tłumacz i opiekun – z powodu cherlactwa przezwany Spartakusem – i ze wzruszeniem żegna się z każdym po kolei. Do tej pory wszyscy traktowali go jak boga: flirtowali z nim, prawie przyjęli go do trupy, uczyli najgorszych angielskich przekleństw, obsypywali papierosami i zaproszeniami do Huddersfield. Teraz

zdobywają się jedynie na parę obojętnych uścisków, na „cześć, Spartak” i czasem klepią go po wątlých ramionach. Potem zjawia się wielka enerdowska blondyna wagi ciężkiej w czarnym komplecie, ale pod jej adresem nie leci ani jedna ryzykowna uwaga, ani jeden wesoły gwizd. Blondyna ma wielkie blade policzki, małe ruchliwe oczka, włosy upięte w kok; mówi po angielsku szybkimi, krótkimi seriami.

– Dzień dobry, mister Mundy. – O mało nie rozgniała dłoni Mundy’ego. – Nazywam się Erna. Jestem z Lipska. Jestem waszą opiekunką. Witamy w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Potem, jak generał wizytujący jednostkę wojskową, każe przedstawić sobie po kolei wszystkich członków trupy – smutny Spartakus ogląda to z boku. Młodzi aktorzy potulnie się temu poddają, nikt jakoś nie protestuje, nikt nie jest bezczelny, nikt nawet nie wymyśla dla Erny zabawnego przezwiska. I nikt nie kwapi się do odegrania krótkiego fragmentu szekspirowskiego slapsticku.

Autobus przejmują od Polaków niemieccy celnicy, rozbebeszają przyczepę, wdrapują się na dach i skaczą po zrolowanym tle sceny. Potem rzucają się jak sępy na walizki i plecaki młodych aktorów; potrzęsają nawet króliczkiem maskotką ciężarnej Ofelii, czy coś w nim nie chrzęści. Nadal nikt nie protestuje, nawet Lexham, gdy zostaje potraktowany ze szczególną uwagą, bo to przecież Murzyn. Milczą jak zakłęci, na wszystko pozwalają i wciąż mają bardzo marne miny. A gdy w końcu zostają zapędzeni z powrotem do autobusu, gdy unosi się szlaban i wjeżdżają do kraju nowych gospodarzy, nie wznoszą ani jednego okrzyku radości – jeśli Mundy’ego pamięć nie myli, coś takiego zdarza się pierwszy raz od początku tournée. I teraz dopiero zaczyna niepokoić się nie na żarty. Jadą do Weimaru, który miał być najważniejszym etapem podróży. W Weimarze, klejnocie kultury Niemiec Wschodnich, odbywa się Tydzień Szekspirowski; Wielką Brytanię reprezentować będzie tylko Sweet Dole Company. Zespół ma wystąpić w kilku szkołach, na uczelniach i nawet w sławnym Teatrze Narodowym, potem wróci do kraju przez Berlin Zachodni.

Więc czemu się nie cieszą? Czemu Sally Igiełka nie wyciągnęła akordeonu, nie zaintonowała jakiejś piosenki? Czemu nie próbują wywołać uśmiechu na twarzy Erny, która siedzi teraz z Mundyem obok kierowcy i wpatruje się z groźną miną w pełną dziur autostradę? Normalnie Lexham już dawno wymyśliłby dla niej przezwisko: Moby Dick – z powieści Melville’a, Dzwoneczek – z *Piotrusia Pana* albo Wróżka Cukrowa z *Dziadka do orzechów*. A teraz... nic.

Dopiero późnym wieczorem tego samego dnia, gdy już wszyscy rozlokowali się w ponurym schronisku młodzieżowym na weimarskiej Humboldtstrasse i do posiłku, jak w stołówce, wysłuchali niezwykle nudnej przemowy przedstawiciela Weimarskiego Towarzystwa Szekspirowskiego na temat socjalistycznej harmonii i uzdrawiającej mocy wspólnego dziedzictwa kulturowego, Mundy dostrzega kątem oka, że Viola porywa do swej tybetańskiej sakwy kawał mięsa, dwie kromki chleba i jabłko.

Dla kogo to? Kogo karmi? Przecież wiadomo, że sama nie je prawie nic.

Czy zdobywa w ten sposób dodatkowe porcje dla Ofelii, która tak jak Kate je teraz za dwoje?

A może Viola, wielbicielka wszelkich zwierzaków, przygarnęła pieska? Tylko kiedy? Nie miała na to ani chwili czasu.

Regulamin schroniska wymaga całkowitej segregacji płciowej. Mundy śpi we wnęce korytarza między salą dla chłopców i dla dziewcząt. O północy budzi go z półsnu szmer bosych stóp na drewnianych schodach.

To Viola.

Mundy odczekuje chwilkę, potem rusza za nią na podwórze schroniska, gdzie stoi psychodeliczny autobus. Wielkie gwiazdy, księżyc w pełni, zapach kwiatów. Mundy schodzi na dół akurat w chwili, gdy Viola, w kusej koszulce nocnej i z tybetańską sakwą w dłoni, wchodzi do leylanda i wspina się po krętych schodkach na górne piętro. Mundy czeka. Viola nie wraca, więc Mundy podkrada się do autobusu, wsuwa się do środka i znajduje Violę z gołą pupą na stercie kostiumów. Bliższe oględziny wykazują, że w kostiumach ukrywa się młody, piękny i nagi polski aktor Jan, który od pierwszego dnia pobytu w Warszawie nie oddalał się od trupy ani na krok.

Viola płacze i wyznaje całą prawdę. Zakochała się w Janie na śmierć i życie, na zabój, na zawsze. On w niej też. Tylko że Jan nie ma paszportu, bo jest dzielny, więc polska milicja go nienawidzi. Nie mogąc się z nim rozstać, Viola ukryła go w skrzyni z kostiumami i przy współudziale reszty trupy przemyciła przez granicę polsko-niemiecką. Niczego nie żałuje. Mój ci jest. Jan to miłość jej życia. Zabierze go do Berlina, do Anglii, wszędzie. Nigdy go nie opuści.

– Nigdy, przenigdy... Tatusiu, rób, co chcesz... przysięgam.

Jan zna pięć słów po niemiecku, zero po angielsku. Jest mały, żywy i trzeba przyznać, świetnie mieści się w skrzyni. Mundy już w Warszawie nie czuł do

niego sympatii, ale teraz całkiem go znieubił.

Mundy musi czekać do porannej próby. Po południu mają występ na wolnym powietrzu przed dziećmi zgonionymi z weimarskich szkół. Sceną będzie im łączka przed dekoracyjnymi ruinami w historycznym parku rozciągającym się po obu brzegach rzeki Ilm. Świeci wesołe słońeczko, park mieni się od kwiecia. Nieprzezwana Erna siedzi bez ruchu z rozchyłonymi kolanami na długiej żelaznej ławce i pilnuje swych podopiecznych. Zresztą właśnie otrzymała posiłki: pomaga jej nie tylko ten sam dygnitarz, który poprzedniego dnia zanudził ich na śmierć przy kolacji, lecz również dwaj młodzieńcy w skórzanych kurtkach, którzy chyba postanowili do końca życia mieć ten sam wyraz twarzy. Ławka, na której siedzą opiekunowie, stoi jakieś dwadzieścia kroków od zaimprovizowanej sceny. Mundy zbiera całą trupę w ruinach wieży, licząc, że tu nikt ich nie podsłucha i nie podejrzzy.

Sytuacja jest taka, oświadczają, że czeka ich wszystkich po dwadzieścia lat ciężkich robót: dziesięć za wywiezienie Jana z Polski, dziesięć za wwiezienie go do NRD. Więc jeśli ktoś ma jakiś świetny pomysł, to on chętnie wysłucha.

Był przygotowany na wyrazy skruchy, ale się przeliczył. Zapomniał, że ma do czynienia z aktorami. W straszliwej teatralnej ciszy wszystkie oczy zwracają się na Violę, która staje na wysokości zadania. Zaciska dłonie pod podbródkiem i odważnie kieruje oczy ku goethowskiemu błękitnemu niebu. Zabije się, jeżeli przyjdzie jej się rozstać z Janem. Jan przysiągł jej, że zrobi to samo. Niczego od kolegów nie oczekuje. Jeżeli straciliście wiarę, jedźcie bez nas, razem z Janem zdamy się na łaskę enerdowskich władz. Kto wie, może w tym kraju znajdzie się ktoś, komu w piersi bije ludzkie serce.

Mundy śmie wątpić. Tłumaczy Violi, że zdając się na łaskę enerdowskich władz, narazi ich wszystkich. Więc czy ktoś ma jakiś pomysł?

Przez chwilę – nikt. Viola dała z siebie wszystko w swej wielkiej scenie, więc trzeba niemałej odwagi, by wystąpić tak zaraz po niej. Mundy podejrzewa, że dzieciaki robią w majtki ze strachu, ale wiedzą, że nie mogą się już wycofać. W końcu samozwańczy adwokat, osiemnastoletni rudzielec Len, zarządza głosowanie. Mówi przygaszonym głosem, bo najwyraźniej przygasła i jego odwaga.

– No to jak? Opuścimy w potrzebie naszego brata aktora? Na razie nie myślmymy o miłości. Tępią go w jego własnym kraju, tak czy nie? To co robimy? Odsyłamy go tam z powrotem czy pomagamy mu się wydostać? Kto chce mu

pomóc?

Decydują się wszyscy, choć z wahaniem. Tylko Mundy wstrzymuje się od głosu. Sytuacja staje się poważna. Najchętniej naradziłby się z Kate, ale tak, by rozmowy nie podsłuchiwała wschodniemiecka policja. Nikt nie musi mu przypominać, że szanse przemycenia polskiego aktora czy kogokolwiek innego przez Mur Berliński są właściwie żadne. Za to szanse na cofnięcie stosunków kulturalnych brytyjsko-enerdowskich o jakieś dziesięć lat – ogromne.

– Od tej chwili zachowujemy się radośnie i wesoło – rozkazuje trupie. – Jesteśmy z siebie dumni, jesteśmy gwiazdami, dostaliśmy pierwszą nagrodę, zaraz wracamy do domu. Zrozumiano?

Zrozumiano, Tatusiu.

Spektakt dla szkół przechodzi wszelkie oczekiwania. Krótco ostrzyżone dzieci, słoczone w ciasnych rzędach na łączce, porzucają powagę i szaleją z radości, gdy Lexham odstawia swój popisowy numer, czyli zakochanego Malvolia. Nawet Erna chichocze – od czasu do czasu. Wieczorem tego samego dnia odnoszą podobny sukces w Klubie Młodzieży im. Waltera Ulbrichta, a następnego dnia rano, pod wszystkowiedzącym okiem Erny i dwóch pochmurnych młodzieńców, Mundy i cała trupa idą najpierw do domu Goethego, a potem do jeszcze większej atrakcji – przed monument ku czci bohaterskiej Armii Czerwonej, z krwistoczerwonym sierpem i młotem nad bramą.

A jacy wszyscy są grzeczni! Grzecznie pozują do zdjęcia pod pomnikiem Szekspira, dyskutują o aktorstwie z Rosjanami, Wietnamczykami, Palestyńczykami i Kubańczykami. W klubie studenckim w jednej z baszt w murach miejskich grają w szachy i piją za przyjaźń między narodami.

Cała trupa stoi na straży, gdy Viola niesie Janowi jedzenie i pociechę, ale Mundy ogranicza te odwiedziny do minimum. Nadchodzi dzień ich ostatniego występu. Dziś Niemiecki Teatr Narodowy, jutro wyjazd do Berlina, a stamtąd do kraju. Nie mają już prób. Cała trupa, dobrze pilnowana, spędza przedpołudnie na wymianie poglądów między młodymi aktorami z różnych krajów; Mundy nie zamierza rezygnować ze swych planów. W końcu Weimar to jego święte miasto, przybytek jego ukochanej niemieckiej muzy. Chce zwiedzić tutejsze skarby i nawet się nie krzywi, gdy Erna się upiera, by zrobił to w towarzystwie pewnego profesora humanisty z Lipska, który – akurat tak się świetnie złożyło – przebywa w Weimarze.

Pan profesor okazuje się eleganckim siwym panem po sześćdziesiątce, który

najwyraźniej chce się pochwalić swą nienaturalnie poprawną angielszczyzną. Jest przy tym tak przyjacielski, że Mundy nie przestaje zachodzić w głowę, czy już gdzieś się nie spotkali: może w Pradze, może w Bukareszcie, może w jeszcze innym z miast, przez które wędrował w ciągu ostatnich kilku tygodni? Z profesorem przychodzi zgrabna towarzyszka Inge, która podaje się za przedstawicielkę Instytutu Goethego.

– A pan jest Ted, czyż nie? – pyta profesor z nie wiedzieć czemu rozbawionym uśmiechem.

– Owszem. Ted.

– A ja oczywiście jestem Wolfgang. „Towarzysz” brzmi chyba zbyt drobnomieszczańsko, czyż nie?

Dlaczego „oczywiście”? zastanawia się Mundy, podczas gdy oczy profesora nadal sugerują, że wiele ich łączy.

Prowadzony między towarzyszką Inge a profesorem, Mundy wdycha grobowe powietrze maleńkiej willi Goethego i dotyka dłonią biurka, przy którym tworzył poeta. Odstaje swoje w pokojach, w których grywał Liszt, je kiełbaski w podziemiach hotelu Pod Słoniem i trąca się kieliszkiem z grupą pijanych chińskich wydawców, usiłując wywołać ducha Thomasa Manna. Niestety, zamiast ducha przed oczyma wciąż staje mu ten przeklęty chłopak z Polski.

Po południu wiozą go pozbawioną resorów limuzyną do Ilmenau, by mógł się pomodlić przy przybytku wzniesionym na wzgórzu na cześć najpiękniejszego i najkrótszego wiersza w języku niemieckim. Profesor siedzi z przodu obok kierowcy, z tyłu towarzyszka Inge co rusz opiera się o Mundy’ego. Droga jest pełna dziur i głębokich kałuż. Rozsypujące się gospodarstwa idą o lepsze z blokami z prefabrykatów rozrzuconymi bezładnie wśród zielonych pól. Mijają peleton kolarzy, potem drugi, ale złożony z rozebranych do podkoszulków radzieckich żołnierzy na popołudniowej przebieżce. W powietrzu unosi się mokra sadza, z kominów fabryk ciągnących się kilometrami wzdłuż drogi bije czarny dym, gigantyczne napisy przypominają każdemu, że znajduje się w Kraju Pokoju i Postępu. Chmury się rozstępują, samochód zbliża się do Lasu Turyńskiego. Otaczają ich pofalowane, zalesione wzgórza. Wspinają się po serpentynach i zatrzymują w zatoczce. Kierowca, chudy chłopak w kowbojskich butach, wyskakuje otworzyć drzwi. Zostaje, by pilnować auta, reszta rusza za profesorem skalistą ścieżką wśród sosen.

– Szczęśliwy pan, Ted? – pyta czule towarzyszka Inge.

– O, i to bardzo. Dziękuję.

– A może tęskni pan za żoną?

A wiesz, Inge, że nawet nie? Martwię się tylko, jak przemycić polskiego aktora przez Mur Berliński.

Docierają na szczyt. Przed nimi ciągną się w dali kolejne pasma gór. Sławny domek jest zamknięty; o starego poety rozmyślaniach o wieczności przypomina tylko wiekowa żelazna tabliczka zapisana gotykiem. Przez chwilę dobiega Mundy’ego odległy melodyjny głos doktora Mandelbauma, który intonuje owe najświętsze słowa: „Ponad gór szczytami trwa cisza... poczekaj no, rychło ucichniesz ty też”.

– Wzruszony pan, Ted? – dopytuje się Inge, przesuwając wierzchem dłoni po jego ramieniu.

– Niezwykłe – odpowiada ponuro Mundy.

Wracają. Profesor idzie przodem. Towarzyszka Inge pyta, czy da się w Wielkiej Brytanii zaprowadzić socjalizm bez rewolucji. Mundy wyraża nadzieję, że tak. Rozklekotana limuzyna czeka, kierowca też, dopala papierosa. Gdy otwiera im drzwi, z cienia drzew wypada ubłocony trabant i z lekkim poślizgiem mija ich, przyśpiesza, zjeżdża w dół. W środku siedziała jedna osoba, najprawdopodobniej, choć nie na pewno, płci męskiej, w berecie nasuniętym na oczy, zauważa Mundy.

– To wedle wszelkiego prawdopodobieństwa kustosz naszego muzeum – mówi profesor swą przepiękną angielszczyzną, widząc zainteresowanie Mundy’ego. – Biedny herr Studmann jest zawsze bardzo zaaferowany. Wie, że mamy dziś znakomitego gościa, więc musi sam sprawdzić, czy wszystko jest jak należy.

– A czemu nie przystanął, by się przedstawić?

– O, biedak jest taki nieśmiały! Wielki z niego mól książkowy. Nie ma skłonności do kontaktów towarzyskich. Ekscentryk. To zresztą powinno się panu podobać jako Anglikowi.

Mundy czuje, że się wygłupił. Nic się nie stało. Uspokój się. Najważniejsze, że dzień jakoś mija, tylko to się liczy. W powrotnej drodze profesor raczy wszystkich wykładem o związkach Goethego z naturą.

– Jeżeli pan będzie jeszcze kiedyś w Weimarze, proszę koniecznie do mnie zadzwonić – nalega towarzyszka Inge, wręczając Mundy’emu wizytówkę.

Profesor wyznaje wesoło, że zapomniał swoich wizytówek, jakby dawał do

zrozumienia, że jest na to zbyt sławny. Wraz z Mundy postanawiają zostać przyjaciółmi na całe życie.

Za kulisami weimarskiego Teatru Narodowego, zaledwie o rzut kamieniem od schroniska i psychodelicznego autobusu, Sweet Dole Company przygotowuje się do ostatniego występu swego tournée. Mundy postanowił czymś się zająć, więc pakuje niepotrzebne rekwizyty i kostiumy przed jutrzejszym wczesnym wyjazdem. Każda cząstka jego jestestwa przekonuje go, by pozbył się Polaka, ale syn majora nie może przecież tak postąpić. Ojciec nienarodzonego jeszcze dziecka i mąż Kate też nie. Mundy bierze do ręki koronę Hamleta i zaraz słyszy tuż nad sobą donośny głos Lexhama, naszego jamajskiego Makbeta, przekrzykujący huk gromów czarownic. Mundy owija koronę szmatką i wsadza ją do pudła, ale gdy bierze do ręki łańcuch Poloniusza, zauważa, że spod jednego z łuków w ceglany murze przypatruje mu się Banko. I że Banka gra dziś Sasza przebrany we współczesny strój.

Nie buchają kłęby dymu, nie błyskają stroboskopowe światła. Jest tylko bardzo chudy, bardzo mały Sasza z krótko obciętymi włosami i jeszcze większymi niż dawniej, zapadłymi oczyma, w czarnym garniturze przedsiębiorcy pogrzebowego i brązowym skautowskim krawacie. W lewej dłoni dzierży partyjną aktówkę ze sztucznej skóry; prawą trzyma przy boku, stojąc pod łukiem na baczność, choć krzywo. Na pewno tak go ustawił reżyser: tak właśnie trzymasz prawą dłoń, gdy w lewej masz teczkę i gdy wpatrujesz się w przyjaciela z dawnych lat.

Pudło na rekwizyty leży na podłodze. Mundy klęczy z łańcuchem w dłoni, zupełnie jakby chciał go komuś wręczyć. Przez chwilę nie chce wierzyć własnym oczom. Ty nie jesteś Banko, ty nie jesteś Sasza, ty nie jesteś nikim. Sasza? W takim idiotycznym garniturze?

Potem jednak musi dopuścić do siebie, że osoba, która przecież nie może być Saszą, coś do niego mówi. A nikt, nawet Mundy, nie umie mówić głosem Saszy, tylko Sasza.

– Boże ci błogosław, Teddy. Musimy się śpieszyć. I zachowywać się cicho. Dobrze się czujesz?

– Świetnie. A ty?

Mundy'emu wydaje się, że w tym śnie nie mówi tego, co chce powiedzieć, tylko jakieś kompletne bzdury.

– Słyszałem, że jesteś żonaty i że mimo wysiłków policji zachodniobermberskiej właśnie zapoczątkowałeś dynastię. Gratuluję.

– Dzięki.

Przez chwilę zamierają w bezruchu jak dwaj szermierze. Sasza nie wychyla się spod łuku. Mundy wciąż klęczy przed pudłem na rekwizyty i wciąż trzyma w dłoniach łańcuch Poloniusza. Dystans dzielący go od Saszy jest jak długość boiska do krykieta na Kreuzbergu. Albo jeszcze większy.

– Teddy, musisz dokładnie mnie wysłuchać i ograniczyć swe uwagi do minimum. Wiem, że przyjdzie ci to z trudem, ale zrób to dla mnie. W Berlinie Zachodnim byliśmy rewolucjonistami. Tu, w tym drobnomieszczańskim przedszkolu, jesteście zbrodniarzami.

Mundy odkłada łańcuch do pudła i wstaje. Odwraca się i widzi, że Sasza stoi teraz tuż przy nim, że patrzy na niego w górę swymi ciemnymi oczyma w otoczce cienkich zmarszczek. Nowy element, ale poza tym to wciąż ten sam model podstawowy.

– Słuchasz mnie, Teddy?

Słucha.

– Za piętnaście minut skończy się akt pierwszy waszego uduwnionego przedstawienia. Muszę wrócić na widownię, chcę się przyłączyć do entuzjastycznego aplauzu. Po przedstawieniu, na oficjalnym przyjęciu, spontanicznie rozpoznamy się obaj po raz pierwszy, wyrazimy zdumienie i niedowierzanie i padniemy sobie w objęcia jak starzy przyjaciele. Rozumiesz?

Rozumie.

– Nasze publiczne spotkanie po latach nie obędzie się bez pewnego zażenowania. Będziesz lekko wyprowadzony z równowagi, bo nie spodziewałeś się, że dopadnie cię twoja rewolucyjna przeszłość, i to tu, w enerdowskim rajku. I ja będę rozradowany, ale też spięty i trochę nieufny. To normalne w społeczeństwie, w którym każde słowo ma wiele znaczeń i gdzie wszystkie ściany mają uszy. Co zamierzasz przedsięwziąć w sprawie tego twojego durnego Polaka?

– Przemycić go do Berlina Zachodniego. – Czy to on coś takiego powiedział? Czy Sasza go usłyszał? Bo w snach czasem tak jest, że wszyscy nas słyszą, tylko my siebie nie słyszymy.

– Jak? – pyta Sasza.

– Na dachu autobusu. Zawiniętego w tło dekoracji.

– Bardzo dobrze. Straż graniczna ma rozkaz go nie znaleźć. Twoja towarzyszka Erna zna się na rzeczy, już ona dopilnuje, żeby za dobrze nie szukali. Ten chłopak to wtyczka, efekt naszej wspólnej operacji z Polakami mającej na celu osłabienie obrony zgniłego Zachodu. Kiedy znajdziesz się w Berlinie Zachodnim, zameldujesz się natychmiast w biurze brytyjskiego doradcy politycznego. Żądaj widzenia się z panem Arnoldem, który kieruje tam waszą placówką Secret Service. Jeżeli będą ci mówić, że jest w Londynie albo w Bonn, powiedz im, że wiesz, że tego samego dnia o siedemnastej przyleciał z Londynu na Tempelhof. I przekażesz mu tego twojego Polaka. Czy ty już pracujesz dla wywiadu angielskiego?

– Nie.

– To właśnie zostałeś zwerbowany. Poinformujesz też pana Arnolda, że młody Polak to wtyczka, ale że nie należy go zdejmować, bo w ten sposób straci się świetne potencjalne źródło informacji. Zrozumie. Zauważyłeś, jak w tym kraju śmierdzi?

– No, chyba tak.

– Wszędzie ten smród. Tanich papierosów, taniego potu, tanich dezodorantów, taniego węgla brunatnego, który nie grzeje, a truje. Grzęźniemy w mazi państwowej biurokracji. Społeczeństwo zaczyna się od rangi kapitana, każdy kelner i każdy taksówkarz to despota. Spałeś tu z kimś?

– Nie przypominam sobie.

– Nie polecam bez długiej aklimatyzacji. I za wszelką cenę unikaj wina. Węgrzy trują nas tu czymś, co nazywają Byczą Krwią. Mówi się, że jest doskonałe, ale według mnie to zemsta za to, co im zrobiono w pięćdziesiątym szóstym. Zaczęła się druga zimna wojna. Na Wschodzie towarzysz Breżniew i Afganistan, na Zachodzie pershingi i cruise'y. Powiedz łaskawie panu Arnoldowi, by skierowano je przede wszystkim na NRD.

Sasza, mówiąc to wszystko, równocześnie szybko i sprawnie rozpakowuje teczkę. W ciągu ostatnich kilku tygodni Mundy otrzymywał takie buble chyba z sześć razy i teraz też je otrzymuje: folder z nieostrymi zdjęciami baletu Bolszoi, chromowaną statuetkę dziarskiego robotnika w berecie i kombinezonie, biało-niebieską szkatułkę z imitacji miśnieńskiej porcelany ze źle dopasowanym wieczkiem przytrzymywanym taśmą klejącą. Ale jest też coś innego: zamknięte pudełko filmu Kodak Tri-X, takiego samego jak w aparacie, którym Mundy robił zdjęcia, by po przyjeździe pokazać je Kate.

– Tobie to składam te wszystkie cenne dary, Teddy. Ja, twój oddany

przyjaciel. Ale kiedy dojedziesz do Berlina Zachodniego, masz je przekazać panu Arnoldowi. Zawierają między innymi warunki, na jakich zgodzę się pracować dla jego instytucji. W szkatułce są orzechy. Pod żadnym pozorem nie wolno ci próbować ich jeść, nawet gdybyś umierał z głodu. Filmy spakuj razem ze swoim sprzętem fotograficznym. Ich też nie wolno ci używać, bo są dla pana Arnolda. Pierwszego czerwca w Pradze zaczyna się Letni Festiwal Tańca. Czy British Council zamierza cię tam wysłać?

– Nic o tym nie wiem. – Przypomina mu się z poprzedniego wcielenia, że pierwszy czerwca jest za półtora miesiąca.

– To wyśle. Pan Arnold będzie musiał załatwić, żebyś ty pojechał tam z angielskimi tancerzami. Ja też się pojawię. Tak jak ty odkryję w sobie trochę spóźnione zamiłowanie do dyplomacji kulturalnej. Będę pracował tylko z tobą, Teddy. Będziemy jak papużki nierozłączki. Już poinformowałem pana Arnolda, że nikomu innemu nie ufam. Trochę mi głupio, że tak ci się narzucam, ale wiem, że w głębi duszy jesteś szowinistą i chętnie się przysłużysz swej śmiesznej ojczyźnie.

– A co się stanie, jeżeli to znajdą? Przecież zaprowadzi ich to prosto do ciebie.

– Przeszukanie autobusu twojej trupy, choć dokładne, nic nie wykaże. Możemy za to podziękować naszemu bohaterskiemu Janowi.

Mundy wreszcie odzyskał swój zwykły głos.

– Sasza, co ty robisz? Przecież to szaleństwo!

– Po naszym dramatycznym spotkaniu na przyjęciu moi pracodawcy będą wiedzieli, co nas łączy. Dobrze się bawiłeś z profesorem Wolfgangiem?

– Myślałem o czym innym.

– W Ilmenau, kiedy się wam przyglądałem przez okno samochodu, odniosłem wrażenie, że świetnie się rozumiecie. Nasz kochany profesor bardzo cię polubił. Uważa, że byłbyś świetnym nabytkiem. Powiedziałem mu, że nie będzie łatwo cię zdobyć, że zaloty mogą być długie i skomplikowane. Zgodził się to trudne zadanie powierzyć mnie, twojemu staremu przyjacielowi, który jest też twoim ideologicznym mistrzem. Pierwszy krok uczynię w Pradze, oczywiście jeżeli uznam, że nadszedł właściwy moment. Z początku będziesz nastawiony dość niechętnie i w ogóle trochę wstrząśnięty samą propozycją. To normalne. Bo choć w duchu może i krytykujesz kapitalistyczny system wartości, to Teddy, mój przyjacielu ze studiów, jesteś jednak typowym przedstawicielem społeczeństwa konsumpcyjnego. Mimo to po namyśle

uznasz, że tli się w tobie jeszcze żar rewolucji, i w końcu ulegniesz naszym namowom. Wciąż nie masz pieniędzy?

– No cóż... Wiesz, jak jest... Nic się nie zmieniło.

We śnie nikomu nie trzeba wyjaśniać, że pensje nauczycielki i urzędnika państwowego niskiego szczebla nie pozwalają wiele oszczędzić komuś, kto co miesiąc spłaca pokaźną hipotekę. Ale Sasza i tak wszystko rozumie.

– W takim razie pieniądze też będą stanowiły jakiś tam element motywacyjny. To uspokoi moich mocodawców, bo jakoś nie wierzą w ideologię niepopartą chciwością. Czy pożądasz pięknej towarzyszki, którą ci dziś podsunęliśmy, czy też zamierzasz wytrwać w wierności małżeńskiej?

Mundy chyba powiedział coś w obronie świętości małżeństwa, bo Sasza natychmiast wycofuje się z tej oferty.

– To bez znaczenia. Mały flircik mocniej związałby cię z moimi szefami, ale obejdziesz się. Lecz ty też musisz się upierać, że będziesz pracował tylko ze mną. Pamiętaj: jesteśmy papużki nierozłączki. Jeden z waszych angielskich pisarzy powiedział kiedyś, że z podwójnymi agentami nigdy nie wiadomo, kto tyje, a kto chudnie. Zrobimy tak, że pan Arnold będzie chudł, a towarzysz Sasza tył.

– A skąd tyś się tu wziął? Dlaczego oni tak ci ufają? Nic z tego nie rozumiem. – W snach też zadajemy pytania za późno, kiedy już nikt nie może nam na nie odpowiedzieć.

– Czy podczas pobytu w Weimarze udało ci się zwiedzić obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie?

– Proponowano nam, ale nie było czasu.

– No proszę, a to tylko osiem kilometrów stąd. Szkoda. Poza sławną brzozą Goethego szczególnie godne uwagi jest obozowe krematorium. Wcale nie trzeba było być martwym, żeby trafić do krematorium. Wiesz, że nic się nie zmieniło, gdy Rosjanie już wyzwolili obóz z rąk faszystów?

– Nie, tego nie wiedziałem.

– Owszem, owszem. I w ten sposób dali nam piękną lekcję realizmu socjalistycznego. Nazywamy to Buchenwald 2. Sprowadzili własnych więźniów i traktowali ich podobnie jak poprzednicy. W dodatku ofiary wcale nie były hitlerowcami. Większość stanowili socjaldemokraci i inne elementy antypartyjne, które pragnęły powrotu kapitalizmu i przywrócenia rządów burżuazji. Tyrania jest jak przewody elektryczne w starym domu. Jeden tyran umiera, pojawia się drugi, wystarczy, by znów włączył prąd. Zgadzasz się?

Mundy chyba się zgadza.

– Słyszałem, że British Council to wylęgarnia antysocjalistycznej propagandy, szczekaczka kontrrewolucji. Jestem wstrząśnięty, że przystałeś do czegoś takiego.

W snach protesty nie zdają się na nic. Ale przecież i tak protestujemy:

– To bzdura! Czy przeróbki Szekspira mogą być kontrrewolucyjne?

– Nie wolno ci nie doceniać naszej paranoi, Teddy. Wkrótce staniesz się ważnym narzędziem nieustającej walki przeciw ideologicznej dywersji. Wystarczy odrobina wyobraźni ze strony pana Arnolda, byś zrozumiał, że twój żalony British Council istnieje tylko jako przykrywka dla antysocjalistycznych sabotażystów. O, słyszę, że biedny Makbet za chwilę wyzionie ducha. Zobaczymy się na przyjęciu. Pamiętaj, że masz się zdziwić?

Stary londyński autobus, który przejeżdża przez spokojne komunistyczne wsie, wyrzucając z siebie dźwięki zgniłozachodniej muzyki rockowej i dieslowskie spaliny, i razi proletariackie oczy psychodelicznymi malunkami na karoserii i kolorowymi balonikami u okien, aż się prosi, by go zatrzymać, choć na przednim siedzeniu obok kierowcy tkwi pokaźna walkiria z kokiem na głowie. W każdej mijanej wiosce starsi krzywią się i zatykają uszy, a dzieci podskakują i machają rękami, jakby przyjechał cyrk. Chyba coś jest nie w porządku z rurą wydechową, a może z tłumikiem, bo ryk motoru wzrósł jeszcze o kilka decybeli – i może właśnie dlatego od ostatniej półgodziny jedzie za leylandem samochód policyjny. Z przodu zresztą też widać od czasu do czasu policyjny motocykl. Mundy myśli sobie, że w każdej chwili mogą zostać zatrzymani i oskarżeni o jakieś piętnaście przestępstw, między innymi o przewożenie na dachu zakochanego polskiego aktora, posiadanie porcelanowej szkatułki pełnej orzechów włoskich oraz nienaruszonego pudełka filmów Kodaka, które mają przekazać szefowi wywiadu brytyjskiego, kiedy tylko dotrą do Berlina Zachodniego.

Jadą teraz przez nudne żółte pola, na których oko zaczepia się tylko o stare budynki gospodarstw, zrujnowane kościoły i wielkie słupy sieci energetycznej. Prowadzi jak zwykle Steve, bezzębny szofer grupy, Mundy siedzi obok niego, trzymając między kolanami aktówkę – są w niej paszporty, wizy, pozwolenia i polisy ubezpieczeniowe. Tuż przy nim siedzi Erna. Z tyłu autobusu dobiega co chwila wesoły śpiew, który jednak szybko zamiera, nie wiadomo dlaczego, dopóki Sally Igiełka znowu czegoś nie zagra na tej swojej harmonii.

W lusterku wstecznym nad swoją głową Mundy widzi powiewającą w tylnym oknie niebieską płachtę scenicznego tła i podskakującą na nierównościach drogi przyczepę. Może też do woli przyglądać się utrzymującemu stały dystans stu metrów radiowozowi, który zwalnia, gdy oni zwalniają na zakrętach, i przyspiesza, gdy wyjeżdżają na prostą. Przy każdym ostrzejszym skręcie Mundy słyszy, jak napinają się linki, którymi płachta przytroczona jest do dachu. A gdy wchodzi na pięterko, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, usiłuje nie wpatrywać się w papierowe zawiniątka wśród bagaży i sterczące z nich umięśnione ramię statuetki socjalistycznego robotnika.

- Czy tutaj wszyscy jeżdżą z eskortą? – pyta Ernę po powrocie na miejsce.
- Tylko ci najważniejsi, Ted.

Mundy usiłuje uspokoić się ucieczką we wspomnienia. Wyreżyserowane spotkanie po latach na oficjalnym przyjęciu odbyło się dokładnie tak, jak mówił Sasza. Spostreegli się nawzajem równocześnie i równocześnie szeroko rozwarli oczy ze zdumienia. Pierwszy przytomnieje Sasza i on też pierwszy odnajduje język w gębie. „Dobry Boże, toż to Teddy! Mój drogi przyjaciel! Ten, który uratował mi życie! A cóż ty robisz tu, w Weimarze?” Mundy ma równie niepewną minę – co w tych okolicznościach przychodzi mu bez trudu – i odpowiada: „Sasza! Stary druhu! Ty tutaj? Niesamowite! Mów!”. Uściski, klepanie się po plecach i wreszcie niechętne pożegnanie poprzedzone ostentacyjną wymianą adresów i numerów telefonicznych oraz mętnymi obietnicami przyszłego spotkania. Potem trupa musi wracać do schroniska. Mundy przewraca się z boku na bok na swym żelaznym łóżku, przez cienkie jak papier ścianki działowe nasłuchuje szeptów swych podopiecznych i ludzi się nadzieją, że nikt inny tego nie słucha. A tyle razy im mówił, że wróg czuwa!

Mundy zresztą też czuwa całą noc, ale to dlatego, że nie może spać, bo bez przerwy usiłuje odpowiedzieć sobie na dręczące go pytania. Gdy próbuje zasnąć, śni mu się, że Jan właśnie wrzuca im granat do baku. Gdy nie śpi, koszmary są jeszcze straszniejsze. Jeżeli wierzyć Saszy, przewiozą po prostu i Polaka, i paczuski dla pana Arnolda, i na tym koniec. Ale czy Saszy można wierzyć? No a nawet jeśli można, to czy jego plan się powiedzie? O szóstej rano – jest jeszcze ciemno – Mundy zrywa się na równe nogi, wali pięścią w ścianki po obu stronach swej wnęki i drze się na całe gardło:

– No, grupa, pobudka, wstawać! Do diabła ze śniadaniem, ruszamy w drogę!

Normalnie w życiu nie użyłby takiego wojskowego rozkazującego tonu. Ale młodzi ludzie rozumieją go doskonale: wywozimy tego małego sukinsyna tak, jak zaplanowaliśmy, miejmy to wreszcie za sobą. Mundy wybiera grupę operacyjną: Lexham, Viola i Sally Igiełka.

– Reszta ma się zachowywać jakby nigdy nic. Łażcie tu i tam, udawajcie, że wszystko jest w porządku.

Tak jest, Tatusiu.

O bladym świetle Viola prowadzi grupę operacyjną przez podwórze. Wchodzą na pięterko leylanda i bezceremonialnie budzą Jana ze snu. Rozbierają go do naga i nacierają od stóp do głów znalezionym w autobusie smarem. Chodzi o to, by zmylić psy. Viola, tam sama sobie smaruj. Potem zawijają go w zajeżdżającą środkiem przeciwmolowym kurtynę, serce i inne miejsca wyczuwalnego pulsu okładając kawałkami styropianu – na granicy polsko-enerdowskiej Mundy zaobserwował, że w rewizji autobusu uczestniczył żołnierz z wielkimi słuchawkami. Kiedy Jan jest już dokładnie zawinięty, Mundy przyciska ucho tam, gdzie powinno znajdować się serce. Nic nie słyhać. „Pewnie nie ma serca”, mruczy Mundy do Sally. Teraz pasażer na gapę przypomina egipską mumię. Zrobili mu mały otwór, by mógł oddychać, ale na wszelki wypadek Mundy wsunął jeszcze długą metalową rurkę. Wreszcie mumia zostaje zawinięta w okropnie zakurzony dywan.

Wciąż jeszcze znajdują się na pięterku leylanda, ale Jan to już nie Jan, tylko ustawiony na sztorc dywan. Wloką go do schodków i z trudem opuszczają na podwórze, gdzie czeka już rozłożone tło sceny. Od zamoczonej tu i tam w kałużach wielkiej niebieskiej płachty bije na odległość smród rybiego kleju. Erny jeszcze nie ma. Umówili się z nią na wpół do ósmej, a jest dopiero piętnaście po siódmej. Viola stoi na czujce, Mundy i Lexham rzucają dywan wraz z zawartością na brzeg płachty i zaczynają rolować całość. Rolują ją do końca, aż dywan z Janem niknie w dziesięciometrowej niebieskiej kiełbasie. Teraz można zawołać innych pomocników, którzy pod kierunkiem Mundy’ego i do wtóru marynarskich okrzyków w rodzaju: „Wciągaj go, chłopcze, wciągaj go!” wciągają pakunek na dach autobusu i przymocowują do bagażnika.

Zgrzytają sfatygowane hamulce, piszczą łyse opony, czarny dym wypełnia lewe okno leylanda i psychodeliczny autobus ciężko zatrzymuje się dziesięć metrów przed szlabanem pierwszego punktu kontrolnego. Tym razem nie jest to główne pięciogwiazdkowe przejście drogowe, tylko jego bardziej wiejska

wersja: kilku uzbrojonych funkcjonariuszy Policji Ludowej, jeden pies, policyjna furgonetka, policjant na motocyklu – ten sam, który jechał przed nimi przez całą drogę – i błyskający światłami na dachu radiowóz z tyłu. Mundy wyskakuje z autobusu z aktówką w dłoni. Erna siedzi na swoim miejscu z zadowoloną, obojętną miną.

– Panowie, panie pułkowniku, towarzysze, dzień dobry! – woła żartobliwie Mundy, ale nie podchodzi bliżej, bo widzi, że pułkownik, który tak naprawdę jest tylko kapitanem, to drobny człowieczek postury Saszy, więc nie chce drażnić jego kompleksów, patrząc nań z góry.

Strażnicy wkraczają do autobusu, poważnie witają się z Erną i groźnie zezują na wesołe stroje dziewcząt i na ich fantazyjne kapelusze. Potem każą wszystkim wysiąść i przetrząsają przyczepę, wybebeszają każdą walizkę, niech sobie potem paskudni zachodni burżuje sami zrobią porządek. Kapitan medytuje nad paszportami, doszukuje się jakichś nieścisłości i bombarduje Mundy’ego pytaniami z silnym śląskim akcentem. Jak długo byliście w NRD, towarzyszu? Ile czasu spędziliście w Czechosłowacji, Rumunii, w Polsce, na Węgrzech? Porównuje odpowiedzi Mundy’ego ze stemplami w paszportach, gapi się na malowidła na autobusie i podobnie jak jego ludzie surowo marszczy brwi na widok dziewcząt. Obrzuca niechętnym wzrokiem niebieską kiełbasę na dachu, zwłaszcza zgrubienie, które wytworzyło się w połowie jej długości i Mundy’emu przywodzi na myśl częściowo przetrawioną mysz we wnętrznościach boa dusiciela. Wreszcie czyni dobrze już znany Mundy’emu gest – niechętnie i pogardliwie kiwa głową, z grymasem nienawiści, ostrzeżenia i zazdrości zarazem: „A jedźcie do diabła”. Mundy i jego trupa rzucają się do autobusu, harmonia Sally intonuje: *It’s a long, long way to Tipperary* – i jadą do diabła.

Erna sprawia wrażenie, że niczego nie zauważyła. Jej małe okrągłe oczka wlepione są w okno.

– Były jakieś kłopoty? – pyta Mundy’ego.

– Wszystko w porządku. Mili ludzie – zapewnia ją Mundy.

Ta sama scena – przy nieco zmienionej dekoracji – powtarza się jeszcze trzy razy. Przy każdej kolejnej rewizji napięcie wzrasta; przy trzeciej nikt już nie śpiewa, nikomu nie chce się rozmawiać. Poddajemy się, róbcie z nami, co chcecie, mamy dość. Erna nagle wstaje, jowialnie do wszystkich macha, wysiada z autobusu i nie przestaje machać, dopóki nie zniknie im z oczu. Czy ktoś też ją pozegnał? Mundy wątpi. Mijają ostatni szlaban, Mundy smętnie

wbija oczy w podłogę. Przez okno uśmiechają się do nich amerykańscy żołnierze, przechodnie gapią się na krzykliwie pomalowany pojazd, który wynurzył się z ciemności „z tamtej strony”, tu i ówdzie błyskają flesze, w mokrym bruku odbijają się wszystkie światła Las Vegas. Są w Berlinie Zachodnim, są uratowani, ale żaden z pasażerów autobusu nie ma nic do powiedzenia. Może poza Lexhamem, który klnie na czym świat stoi – jednak choć słowa są te same, jemu także brakuje zwykłej energii. I poza Violą, która szlocha bezgłośnie, powtarzając:

– Tak wam wszystkim dziękuję. Dzięki ci, Boże.

Na piętrze ktoś dostał hysterii. Chyba Poloniusz, sądząc po głosie.

Wyrośnięty ambasador sztuki angielskiej z dwudniowym zarostem na twarzy, który objuczony dwiema torbami i aktówką wkracza do biura brytyjskiego doradcy politycznego niedaleko starego stadionu olimpijskiego naszego kochanego Führera, wygląda, jakby dopiero zszedł ze statku i jeszcze czuł pod stopami kołysanie pokładu – i rzeczywiście Mundy ma takie wrażenie. Kieruje się wprost do recepcjonistki, siwiejącej Angielki w średnim wieku o miłych, choć surowych manierach. Z wyglądu mogłaby być nauczycielką, jak Kate.

– Muszę zobaczyć się z panem Arnoldem – mówi bez wstępów, rzucając na jej biurko swój paszport i wizytówkę British Council. – Na waszym parkingu stoi piętrowy autobus z dwudziestką młodych, bardzo zmęczonych aktorów, a wasi wartownicy mówią, że mamy się stąd zabierać.

– A o którego pana Arnolda chodzi? – pyta recepcjonistka, przeglądając paszport Mundy’ego.

– O tego, który wczoraj wieczór przyleciał na Tempelhof.

– A, o tego. Dziękuję. Sierżant zaprowadzi pana do poczekalni. Zobaczymy, co da się zrobić dla pana zmęczonych aktorów. Czy te torby to dla pana Arnolda, czy woli pan zostawić je u mnie? – I już dotyka przycisku dzwonka, już mówi do interkomu: – Jack, jest tu jeden pan do pana Arnolda. Tak, jak najszybciej. Poza tym musimy się zająć całym autobusem zniecierpliwionych aktorów. Tak, tak, ja też nie lubię poniedziałku.

Ten sierżant to bardziej dobrodusznia wersja tego, który dziesięć lat wcześniej pilnował Mundy’ego w szpitalu wojskowym. Ma na sobie sportową marynarkę, szare spodnie i bardzo błyszczące buty. Z kolei poczekalnia bardzo przypomina szpitalny pokój Mundy’ego, tyle że bez łóżka: białe ściany, białe matowe szyby, to samo zdjęcie naszej kochanej młodej królowej i takie same

kwiaty – też od policji zachodniobrzeźlińskiej? I pewnie dlatego Mundy wcale się nie dziwi, gdy przez drzwi wkracza ten sam wicekonsul, ten sam niedbale elegancki Nick Amory w tych samych zamszowych butach i tym samym tweedowym garniturze, który najwyraźniej wkłada zawsze, gdy odwiedza kogoś w szpitalu, z tym samym chytrym, autoironicznym uśmieszkiem. Jest o dziesięć lat starszy, ale w nie najlepszym oświeceniu podobnie jak Sasza mógłby grać samego siebie w wieku, w którym zapamiętał go Mundy. Może jest trochę bardziej opalony, może ma trochę wyższe czoło w miejscach, gdzie zaczyna lekko łysieć. I chyba odrobina siwizny na skroniach też się pojawiła. A przede wszystkim bije od niego znacznie większy, znacznie bardziej wyczuwalny autorytet. Dopiero po chwili Mundy uznymślawa sobie, że Amory też bacznie mu się przypatruje.

– No, muszę przyznać, że wyglądasz znacznie lepiej niż ostatnim razem – mówi niedbale Amory. – Co jest?

– Na dachu autobusu mamy uciekiniera z Polski.

– A kto go tam wsadził?

– My wszyscy.

– Wszyscy, czyli cała trupa?

– Tak.

– Kiedy?

– Dziś rano. W Weimarze. Mieliśmy tam występ.

Amory podchodzi do okna i ostrożnie rozchyła firankę.

– Jak na kogoś, kto wybrał wolność, leży bardzo spokojnie. Jesteś pewny, że żyje?

– Kazałem mu leżeć nieruchomo i nie odzywać się, póki mu nie powiemy, że wszystko w porządku.

– Kazałeś?

– Tak.

– Aha, czyli ty tam rządzisz?

– No. Ktoś musi.

Przez chwilę Amory tylko się uśmiecha. Przez podwórze dobiega szum ulicy.

– Ale jakoś szczególnie cię to nie bawi – dodaje wreszcie. – Dlaczego tu jeszcze sterczymy? Dlaczego nie tańczymy na ulicach i nie żądamy szampana?

– Chłopak mówił, że zemszczą się na jego rodzinie, jeśli się wyda, że uciekł. Wszyscy obiecaliśmy nie pisać ani słowa.

– A kto ci kazał zgłosić się do Arnolda?

– Sasza.

Mundy zauważa, że ten uśmiech nie jest uśmiechem. Gdyby nim był, dawno by zniknął. Ten uśmiech to wyraz twarzy, z którym Amory przypatruje mu się i myśli.

– Sasza? – powtarza Amory, gdy już minęła cała wieczność. – Facet, z którym mieszkałeś, kiedy byłeś różowy? Ten Sasza? Ten sam, który przyszedł tu i narobił smrodu?

– Teraz mieszka na Wschodzie. Jest jakby szpiegiem.

– Tak, coś niecoś o nim słyszeliśmy. A wiesz, czyim jest szpiegiem?

– Nie.

– I to on ci powiedział, że wczoraj po południu przyleciałem na Tempelhof?

– Tak. No właśnie, po co mi to powiedział?

– To taki nasz głupi szyfr na wypadek, gdy jeden będzie chciał przekazać drugiemu, że chodzi o coś bardzo ważnego. Co masz w tych torbach?

– Sasza mówił, że to tajne. I że ten Polak to wtyczka, tylko lepiej udawać, że o tym nie wiesz.

– Żeby nie skompromitować towarzysza Saszy?

– Mówił, że rewizja autobusu na granicy będzie na niby, bo im zależy, żeby chłopak tutaj dotarł. I że dzięki temu towar w torbach będzie bezpieczny.

– No, to chyba trzyma się kupy, nie? Czy to wszystko, co dla nas ma, czy tylko próbka tego, czego możemy się po nim spodziewać?

– Mówi, że ma tego więcej.

– A ty też wchodzisz w ten interes?

– Powiedział, że wszystko napisze. List jest w tych rzeczach.

– Chce pieniędzy?

– Nic takiego nie mówił. Przynajmniej nie do mnie. Zresztą to do niego niepodobne.

– A ty?

– Pewnie, że nie, do cholery.

– I co teraz? Jaki jest twój następny ruch?

– Wracam do Anglii.

– Jeszcze dziś po południu?

– Tak.

– Z tymi swoimi aktorami?

– Tak.

– Pozwolisz, że zajrzę do tych toreb? Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że mówię ci po imieniu? W końcu poprzednim razem byliśmy na ty... Edwardzie. Będę do ciebie mówił Edward, bo mam wujka Teda, którego nie znoszę.

Nie przestając się uśmiechać, Amory opróżnia obie torby na białą ławę. Po kolei lądują na niej dziarski robotnik, folder o balecie Teatru Bolszój, film kodakowski i niebieska szkatułka z porcelany. Amory ogląda statuetkę, wacha broszurkę, obraca w palcach pudełko z filmem, uważnie odczytując datę ważności, podnosi porcelanową szkatułkę do ucha i delikatnie nią potrząsa, ale nawet nie próbuje odlepić taśmy przytrzymującej wieczko.

– A w środku są orzechy?

– Tak mówił.

– No, no. Oczywiście już to przerabialiśmy, jak wszystko zresztą. – Odkłada skrzyneczkę wraz z pozostałymi rzeczami, kładzie dłoń na czubku głowy i przygląda się tej kolekcji. – Bardzo robiłeś w gacie?

– Jak wszyscy.

– Ale inni tylko z powodu Polaka. Bo o tym nikomu z trupy nie mówiłeś? – Oczy leniwie wędrują ku ławie. – Oni nie wiedzą o tym... naszym skarbie?

– Nie. Wiedzą tylko o chłopaku. Pewnie zaczynają się wkurzać.

– Nic się nie martw. Laura karmi ich ciasteczkami i szampanem. Niemieckim, ale zawsze. Jak myślisz, na granicy naprawdę go szukali czy też tylko udawali, tak jak powiedział Sasza?

– Nie wiem. Starąłem się nie patrzeć.

– Nie mieli piesków?

– Mieli, ale go nie wyczuły. Natarliśmy go całego smarem do osi.

– To Edward jest taki mądry?

– No.

– A nie mieliście opiekunki?

– Mieliśmy. Ale ona też należała do spisku.

– Żeby podesłać nam tę wtyczkę?

– Tak twierdził Sasza. Miała na imię Erna. Blondyna. Waga co najmniej półciężka.

Amory uśmiecha się szeroko, bo najwyraźniej wie już, o kogo chodzi.

– I co, nadal jesteśmy różowi czy już daliśmy sobie spokój z tą dziecinadą?

– Czekać na odpowiedź, która nie pada, Amory przesuwa na ławie pudełko z filmem, by znalazło się w równym rzędku z resztą „prezentów”. – A gdzie

mieszkamy?

- W Hampstead.
- A w BC pracujemy na pełny etat?
- Tak.
- Dojeżdżamy dwudziestką czwórką na Trafalgar Square?
- Tak.
- Masz kogoś? Żonę, przyjaciółkę, coś w tym stylu?
- Żonę. Jest w ciąży.
- Imię?
- Kate. Zdrobienie od Catherine.
- Przez C?
- Tak.
- Nazwisko panińskie?
- Andrews.
- Obywatelka brytyjska?
- Tak. Jest nauczycielką.
- Gdzie urodzona?
- W Doncaster.
- Kiedy ją poznałeś?
- Niedługo będą dwa lata. Piętnastego kwietnia.

Czemu godzę się na to przesłuchanie? Dlaczego mu nie mówię, żeby pilnował własnego nosa?

– No, brawo – mówi Amory, wciąż oglądając „prezenty”. – Prawdę mówiąc, to nawet bardzo wielkie brawa. Masz wrodzony talent. Teraz wsadzę to wszystko do lodówki, a potem zaprowadzisz mnie do swoich podopiecznych, zgoda? Dla nich będę zwykłym baranem z Foreign Office. Nie wydaj mnie, bo bardzo byś mnie skrzywdził.

Komisariat policji zachodniobrzezińskiej, na którym tak pięknie urządzono kiedyś Mundy’ego, jest chyba nawet ten sam, ale Mundy jest teraz tak oszołomiony, że nic go to nie obchodzi. Amory wykonał najpierw kilka telefonów, żeby uprzedzić o ich przybyciu, i razem z sierżantem usiadł przy kierowcy. Mundy musiał zadowolili się miejscem w drugim rzędzie. Tym razem to Amory kazał trupie wysiadać w pozbawionym okien hangarze, w którym autobus znalazł się jakimś czarodziejskim sposobem. I to Amory wraz z sierżantem zbierają w kółko młodych artystów, i to Amory przemawia

do nich ani nie za swobodnie, ani nie za groźnie.

„Zrobili wspaniałą rzecz”, mówi. „Mają wszelkie prawo być z siebie dumni”.

– Ale mamy teraz wspólną tajemnicę. Nawet dwie tajemnice. Jedna z nich znajduje się na dachu autobusu, bo nie chcemy przecież, żeby polskiej mamusi, polskiemu tatusiowi i rodzeństwu stało się coś złego. A druga wiąże się z osobą pana Edwarda, bo jeżeli British Council się dowie, co zrobił wasz dzielny opiekun, to dostanie szau i wyleje pana Edwarda na zbity pysk. British Council nie ma w statucie przemycania uciekinierów z demoludów. Wiem, że to, o co was proszę, to najtrudniejsza rzecz, o jaką można prosić aktora: mordy w kubeł. Nie tylko teraz, ale zawsze i na wieki wieków, amen.

Sierżant odczytuje oficjalną formułkę o tajemnicy państwowej, każdy z aktorów z osobna podpisuje groźnie wyglądający formularz, Amory dziarsko woła: *Also los, bitte, meine Herren* przez całą długość hangaru do grupy policjantów w kombinezonach, którzy sprawnie i szybko przystawiają do leylanda kilka drabin i uwijają się po dachu, rzucając sobie nawzajem krótkie polecenia. Wreszcie pakunek zostaje złożony na ziemi z taką ostrożnością, jakby chodziło o niebywałe znalezisko archeologiczne, i równie delikatnie rozwinięty. Zrywają się brawa na widok nagiego, umazanego smarem dziecka, które rodzi się jak Adonis spod szmat i kawałków styropianu i entuzjastycznie rzuca się w objęcia swych wybawców. Na końcu – i najdłużej – ściska Violę. Potem wszystko dzieje się bardzo szybko. Policjanci spowijają Jana w koc i zabierają ze sobą. Viola biegnie za nimi, ale wolno jej tylko pomachać od drzwi. Amory wygłasza ze schodków autobusu pożegnalne przemówienie:

– I najgorsza wiadomość: Edwarda musimy potrzymać w Berlinie jeszcze parę dni. Dlatego pożegnajcie się z nim już teraz, bo znowu będzie odwalał za was brudną robotę.

Uściskom i okrzykom nie ma końca, a sceniczne łzy ustępują łzom prawdziwym; w końcu psychodeliczny piętus wytacza się z hangaru. Tatuś zostaje, by odwalać za nich brudną robotę.

Po opóźnionym o cztery dni powrocie na Estelle Road Mundy z łatwością odgrywa rolę pracownika wykorzystanego przez pracodawcę. Nie szkodzi, że wylewał już swe żale, dzwoniąc do Kate co dzień z Berlina. Złościł się w Berlinie, złości się i teraz.

– No bo czemu oni od razu o tym nie pomyśleli? – wścieka się nie po raz

pierwszy. „Oni” to oczywiście jego nieszczęśliwi pracodawcy. – Wiesz, co mnie w tym wszystkim najbardziej wkurza? Ta cholerna niekompetencja! Czy wszystko muszą organizować tak na hura? – pyta i bardzo nieładnie parodiuje swoją dobrą wróżkę z kadr: – „Ach, cudownie! Kochany Ted Mundy jest w Berlinie! Na pewno tak mu tam dobrze! Każmy mu posiedzieć jeszcze parę dni, niech się zapozna z całą gromadką!”. Od trzech miesięcy wiedziała, że będę w Berlinie, i teraz się ocknęła, krowa!

Kate starała się, jak mogła, by jego powrót do domu po pięciu tygodniach rozłąki był jak najbardziej udany. Wyjeżdża po niego na lotnisko i przez całą drogę powrotną z cierpliwym uśmiechem wysłuchuje jego narzekań. Jednak na Estelle Road kładzie palec na jego ustach i prowadzi go prosto do łóżka, zatrzymując się tylko po to, by zapalić wonne trociczki specjalnie kupione na tę okazję. Po godzinie stwierdzają, że trzeba coś zjeść. Ted prowadzi Kate do kuchni, upiera się, że to on wyciągnie z piekarnika wołowinę po burgundzku, i w ogóle okropnie jej przeszkadza, usiłując we wszystkim ją wyręczać. Jego gesty i słowa mogą nawet wydawać się jej nieco teatralne, ale w końcu czego się spodziewać, skoro tyle czasu przestawał z artystami scenicznymi?

Przy kolacji dokładnie wypytuje ją o ciążę, o rodzinę i o tarcia w Partii Pracy w St Pancras. Podczas gdy Kate wyczerpująco mu odpowiada, on przyłapuje się na tym, że jego wzrok krąży ukradkiem po kuchni i że tak cieszy go każdy, najdrobniejszy nawet szczegół, jakby właśnie wrócił ze szpitala: sosnowy kredens, który zrobił zgodnie z wszystkimi życzeniami żony przy niewielkiej tylko pomocy teścia – Des zawsze powtarza, że z Teda, gdyby się przyłożył, mógłby być całkiem niezły stolarz – teflonowe patelnie, ślubny prezent od szwagra Rega i jego Jenny, i najnowszy model niemieckiej pralki – Kate kupiła ją z własnych oszczędności, bo, jak sama twierdzi, jest staroświecka i chce, żeby jej dzidzius miał prawdziwe pieluszki, a nie te papierowe paskudztwa.

A gdy już zdała sprawę z każdej godziny ostatnich pięciu tygodni, Mundy podchodzi do niej i tak ją pieści i całuje, że nie mogą zrobić nic innego, jak wrócić na górę do sypialni i znowu się kochać. Potem powoli zaczyna przedstawiać jej ocenowaną wersję swoich przygód z tą bandą dzieciaków, przerywając opowieść wybuchami śmiechu, by dać sobie więcej czasu do namysłu, i tak świetnie naśladuje głosy poszczególnych aktorów, że wkrótce Kate jest przeświadczona, iż takiego na przykład Lexhama poznałaby wszędzie.

– I dzięki Bogu mam teraz spokój aż do czerwca – kończy niedbale z westchnieniem ulgi.

– A co jest w czerwcu?

– Chcą mnie wysłać do Pragi. – W znaczeniu: A Praga to kompletne dno.

– Ciebie? A po co? – To już kąśliwe poczucie humoru Kate. – Praga jest śliczna.

– Wtedy jest tam międzynarodowy festiwal tańca. Mam się opiekować uczestnikami z Anglii. Dają utrzymanie i dodatek funkcyjny.

– Na długo?

– Niestety aż na dziesięć dni. Z podróżą dwanaście.

Kate milknie na chwilę, potem czule klepie swój brzusek.

– No, jakoś damy sobie radę, prawda? Oczywiście byle tylko on nie zechciał za wcześnie przyjść na świat.

– Nawet jeżeli, to przed nią zdążę – odpowiada Mundy.

Bo to taka ich zabawa: Kate twierdzi, że będzie chłopiec, Ted, że dziewczynka. Czasem, żeby nie było nudno, zamieniają się rolami.

7

Odjechał już psychodeliczny autobus, ostatnie tragiczne ryki trupy zwały się z szumem ulicy. Mundy i Amory siedzą naprzeciw siebie w dźwiękoszczelnym pokoju przesłuchań obok skromnie urządzonego gabinetu wicekonsula. Na przedzielającym obu panów korkowym stole leży włączony magnetofon. „Właśnie w tej chwili – mówi Amory – nasz skarb wylatuje samolotem do Londynu. Nasi analitycy nie mogą się doczekać, kiedy dostaną to wszystko w swe złodziejskie łapy. Chcą od nas, i to na wczoraj, rzeczy następujących: szczegółowego autoportretu Edwarda, dokładnego opisu miłości Saszy i Mundy’ego – od pierwszego wejrzenia aż po spotkanie w Weimarze – oraz opisu człowieka przedstawiającego się jako profesor Wolfgang, również z najdrobniejszymi detalami”.

Padający z nóg i równocześnie podminowany Mundy odpowiada na pytania Amory’ego. Przez pierwszą godzinę – błyskotliwie, przez drugą – z coraz większym trudem, w końcu zaczyna padać na nos z braku tlenu w tym łonie, w którym go umieszczono. W recepcji, gdzie czeka, aż Amory odda komuś taśmę, smacznie zasypia i budzi się tylko na czas krótkiej jazdy samochodem, bo Amory gdzieś go wiezie. Przytomnieje w jakiś czas później; okazuje się, że jest ogolony, wykąpany i trzyma w dłoni szklanekę whisky z wodą sodową, stojąc przy firance w oknie w miłym mieszkanku z widokiem na Kleistpark, po którym w przyjemnym świetle wieczornego słońca spacerują dzielni przedstawiciele berlińskiego drobnomieszczactwa, w tym wiele nieświadomych matek z wózkami. O ile Mundy jest ciekawym okazem dla Amory’ego, o tyle tajemnicą dla samego siebie. Stres, świadomość, jaką awanturę wywołał, i wiele innych z tym związanych niepokojów, które dotąd nie miały doń dostępu, teraz powodują, że jest zmęczony i dezorientowany.

– To może byś tak zadzwonił do tej swojej Kate, a ja tymczasem upudruję nos – proponuje Amory z uśmiechem, który ani na chwilę nie schodzi z jego twarzy.

Na co Mundy odpowiada, że właśnie tym się martwi: co ma powiedzieć Kate?

– O, nic trudnego – pociesza go wesoło Amory. – Waszą rozmowę będzie nagrywało co najmniej sześć różnych wywiadów, więc mów to, co najbardziej prawdopodobne.

– A co jest najbardziej prawdopodobne?

– Zatrzymano cię na parę dni w tutejszym przedstawicielstwie British Council. „Muszę tu jeszcze zostać, kochanie. Mają tu jakieś kłopoty i moi panowie i władcy błagają mnie, bym został i pomógł im. *Tschüss*, Edwardzie”. Przecież ona też ma pracę. Zrozumie.

– A gdzie mieszkam?

– Tutaj. Powiedz jej, że to hotel garnizonowy. Dla oficerów kawalerów. To ją uspokoi. Jak nie przedobrzysz, uwierzy.

I Kate wierzy. Podczas gdy Amory pudruje sobie nos, Kate z taką ufnością przyjmuje to, co mówi Mundy, że ten czuje się jak najgorszy złoczyńca. Ale już w kilka minut później znów jedzie w samochodzie Amory’ego i opowiada kawały na zmianę z Cliffem, sierżantem za kierownicą. A po chwili już siedzi w tej nowej restauracji rybnej w Grunewaldzie, o której mało kto jeszcze wie, i chwala Bogu, bo w Berlinie wszyscy się znają i żadna tajemnica długo się nie uchowa. Przy bardzo smacznym obiedzie w wyłożonej drewnem wnęce dla zakochanych, z której dzięki muzyce i gwarowi rozmów przy innych stolikach nie wydobywa się na zewnątrz ani jedno słowo, Mundy znów w czarodziejski sposób odzyskuje dobry humor – do tego stopnia, że gdy Amory pyta go żartobliwie, czy jako zatwardziały lewicowiec nie żałuje, że porzucił bezpieczne schronienie państw komunistycznych na rzecz zgniłego Zachodu, zdumiewa nie tylko Amory’ego, ale i samego siebie otwartym wyparciem się radzieckiego komunizmu i wszystkich jego dzieł.

I albo naprawdę tak uważa, albo przynajmniej po raz ostatni odczuwa dreszcz przerażenia na myśl o własnym braku wyobraźni. Tak czy inaczej, Amory nie zasypia gruszek w popiele.

– Wiesz, co ci powiem, Edwardzie? Ty jesteś jednym z nas – mówi. – Naszym hasłem: naprzód, zawsze wzwyż. Dziękujemy, witamy na pokładzie. Zdrowie.

I właśnie od tej chwili – Mundy nie wie, dlaczego akurat od wtedy, ale jakoś tak wyszło – rozmowa dotyczy już tylko akademickiej kwestii, co można, a czego nie można powiedzieć żonie „w takiej sytuacji”, z tym że nie określili dokładnie, co to za sytuacja. Amory pozwala sobie powiedzieć, oczywiście

całkowicie niezobowiązująco, ale w końcu ma w tych sprawach trochę doświadczenia, że obciążanie kochanych osób zupełnie niepotrzebnymi im informacjami to w gruncie rzeczy czysty egoizm. I że lepiej chyba nic nie mówić. Ale to naturalnie osobiste zdanie Amory'ego, a Edward może przecież myśleć inaczej.

Oczywiście on, Amory, dobrze by się zastanowił, gdyby chodziło o kobietę w ciąży.

Albo o kogoś, kto ma dobre serce i ufa wszystkim dookoła. O kogoś, kto mógłby niepotrzebnie się wygadać.

Bądź o osobę z zasadami, która mogłaby mieć trudności z pogodzeniem własnych poglądów politycznych z... no, jak by to powiedzieć... z pewnymi metodami stosowanymi względem pewnego nieprzyjaciela czy pewnej ideologii, co do których mamy różne zdanie.

Krótko mówiąc, gdyby chodziło o Kate, która przecież i tak ma dość zmartwień, bo i wicedyrektorstwo szkoły, i dom, i mąż, i dziecko tuż-tuż, a jeszcze ci trockiści w St Pancras... Z tego by wynikało, że Mundy musiał mu to wszystko w którymś momencie opowiedzieć.

Mieszkanie przy Kleistparku nie należy do Amory'ego i nie jest to też żaden hotel garnizonowy. Jak to mówi Amory, trzyma je dla kolegów, którzy nie chcą obnosić się z tym, że są w mieście. A teraz na godzinkę skoczy z powrotem do biura, bo może przyszło coś nowego z Londynu.

„Ale w sąsiednim pokoju jest Cliff, gdybyś czegoś potrzebował.

Cliff zawsze wie, gdzie mnie szukać.

A jakbyś chciał rano pospacerować – słyszałem, że to uwielbiasz – to chętnie się z tobą przejdę. A teraz się prześpij. I jeszcze raz: świetnie się spisałeś. Ale przede wszystkim: prześpij się”.

Spróbuję.

Mundy leży i nie może zasnąć – zupełnie jak poprzedniej nocy w Weimarze. Co kwadrans i co pół godziny słyszy bicie maniakalnie zsynchronizowanych berlińskich zegarów.

Uciekaj gdzie pieprz rośnie. Po co ci to? Masz Kate, dziecko, pracę, dom. Nie jesteś już tym obibokiem z Taos, dorosłeś, zmądrzałeś. Jesteś Ted Mundy, dyplomata kulturalny, przyszły ojciec. Bierz torbę, potem na paluszkach na dół, byle nie zbudzić Cliffa. I na lotnisko ile sił w nogach.

Ale już udzielając sobie tej rady, przypomina sobie – zresztą myśl ta przez cały czas kołatała mu się w jakimś zakamarku mózgu – że jego paszport jest

u Nicka Amory'ego: „Czysta formalność, Edwardzie, oddam ci rano”.

Zdaje sobie również sprawę, że doskonale wiedział, co robi, gdy mu ten paszport oddawał. I że Amory też to wie.

Że tym samym stawał się „jednym z nas”.

I to z własnej woli, bez przymusu. Mówił: „Wchodzę w to”, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy przy kolacji wygadywał na życie w komunizmie. Wstępował do drużyny Amory'ego, bo upojony tryumfem zobaczył, że jest w niej dla niego miejsce. I że Amory też tak uważa.

Więc proszę mi przypomnieć, jak to się stało, że wdepnąłem w to wszystko. Przecież nie Amory mnie zwerbował, tylko Sasza. Nie Amory rzucił mi torbę pełną tajemnic państwowych i powiedział: „Słuchaj no, weź to i przekaz brytyjskiej Secret Service”.

Zrobił to Sasza.

Więc: czy ja to robię dla Matki Anglii czy dla luteranina-biczownika-masochisty, który ucieka przed Bogiem i nie może uciec?

Odpowiedź: wcale tego nie zrobię. Zabiorę się stąd tak szybko, jak tylko się da. Niech tylko Amory odda mi paszport...

No dobrze. Sasza to mój kumpel. Może niespecjalnie go lubię, ale to wierny kumpel, znamy się tyle lat, a teraz on potrzebuje mojej pomocy. No i chyba mu pomogłem, co? Niestety, mój kumpel ma jakąś dziwną skłonność do chaosu i toczy fanatyczną jednoosobową wojnę przeciwko wszelkim formom ustalonego porządku.

Teraz ten Herostrates znalazł sobie kolejną świątynię do podpalenia – szerokiej drogi. Ale ja nie dam się w to wciągnąć.

Ani nie dam w to wciągnąć Kate.

Ani dziecka.

Ani domu. Ani mojej pracy.

Tak właśnie powiem Amory'emu za parę godzin, kiedy przyjdzie zabrać mnie na poranny spacer: „Nick – powiem mu – szanuję twój profesjonalizm, szanuję Londyn i owszem, ja też uważam, że komunizm w stylu radzieckim to nasz największy wróg, w którego zwalczaniu życzę ci powodzenia. Dlatego bardzo cię proszę, oddaj mi paszport i może zamów mi samochód na lotnisko, ale z Saszą sam się umawiaj. A teraz męski uścisk dłoni i do widzenia”.

Nie będzie jednak żadnego spaceru. Jest za to Nick Amory, który pochyla się nad nim w bladym świetle świtu i każe mu się zaraz ubrać.

– A co? Co się dzieje?

- Wracamy do kraju. Najkrótszą drogą.
- Dlaczego?
- Nasi analitycy dali ci alfa plus plus.
- A co to takiego, do cholery?
- To znaczy, że nie może być lepiej. Że jesteś niezbędnym elementem bezpieczeństwa narodowego. Twój kumpel chyba chomikował to wszystko od lat. Pytają, czy chcesz Krzyż Wiktorii, czy wolisz tytuł szlachecki.

Jechać sobie, gdy ktoś cię wiezie.

Nie podejmować żadnych decyzji.

Siedzieć i patrzeć na własne życie jak z widowni. Okazuje się, że i to jest możliwe w zawodzie szpiega.

Znowu lotnisko Tempelhof, znów poranny jeep. Za to sierżant – inny.

Do widzenia, Cliff.

Do widzenia, Ted. Powodzenia.

Samolot RAF-u już czeka, już kręcą się śmigła. Oprócz Mundy'ego jest jeszcze tylko jeden pasażer: Amory. Trzymaj się, startujemy. Piloci na nas nie patrzą, bo tak są wyszkoleni. Lądujemy w Northolt, wysiadamy z samolotu wprost do zielonej furgonetki o wydłużonych lusterkach bocznych i przyciemnionych szybach z tyłu.

Ona pewnie idzie teraz do szkoły. Jest już w połowie betonowej alejki między basenem w Hampstead a blokami. Większe dzieci zagadują do niej, młodsze wieszają się u jej rąk. I pewnie myśli, że ja rozmawiam teraz o tradycyjnych tańcach angielskich w berlińskim biurze British Council.

Przez tylne szyby furgonetki Mundy zaczyna rozpoznawać drogę do Oksfordu. No tak, oceniono go na alfa plus plus, więc teraz w końcu dadzą mu dyplom. Ilse siedzi w swej klitce i mówi mu, że jest z niego kompletne dziecko, jeśli chodzi o seks. Jadą teraz wśród pofalowanych wzgórz, mijają ceglana bramę zdobną w gryfy z piaskowca. Światło dzienne raz wpada, raz nie wpada przez okna, kiedy suną wzdłuż szpaleru brzoź. Furgonetka zatrzymuje się, ale zaraz ktoś każe jechać dalej. Brzoź już nie ma, jest tylko biały parkan, stajnie, pawilon do krykieta i okrągła sadzawka. Furgonetka znów się zatrzymuje, tylne drzwi otwierają się na oścież, jakiś nieprzystępny majordomus w białej marynarce porywa plecak Mundy'ego i prowadzi go chodnikiem wzdłuż rzędu zaparkowanych samochodów, a potem przez tylne wejście na schody dla

służby.

– Mój gość ma dostać apartament dla nowożeńców – mówi Amory.

– Doskonale, sir. Już posyłam mu nową żonę.

Na całe wyposażenie apartamentu dla nowożeńców składa się wąskie pojedyncze łóżko, miednica i dzbanek. Jest też bardzo małe okienko z widokiem na porośnięty bluszczem mur. Dokładnie taki pokój miał Mundy przez ostatni rok szkoły. Zajeżdżają kolejne samochody. Mundy słyszy stłumione głosy i chrzęst kroków na zwirowym podjeździe. To przygrywka do największej zmiany w jego życiu. Ten, który okazał się „jednym z nas”, zostaje przedstawiony reszcie rodziny. Za zamkniętymi drzwiami. Trwa to pełne cztery dni, których Mundy nie wykaże w żadnym życiorysie.

Nie takiej rodziny się spodziewał, ale nawet go to nie zdziwiło.

Żaden z panów nie mierzy go ukradkowym spojrzeniem, żaden nie ma nawet groźnej miny. Żadna z pań nie jest superintelektualistką w czarnym kostiumie i z perłami pod szyją i żadna nie zasypuje go krzyżowym ogniem pytań. Wszyscy bardzo się cieszą, że mogą go poznać, są z niego dumni, pod wrażeniem jego wyczynu, koniecznie chcą uścisnąć mu prawicę i rzeczywiście ściskają. Na pierwszy rzut oka zwykli, weseli ludzie – oczywiście nikt mu się nie przedstawia, ale twarze porządne, buty też, a brązowe sfatygowane teczki wyglądają całkiem nieoficjalnie. Panie są albo nieco roztrzepane – a gdzież ja znowu podziałam torebkę? – albo zrównoważone i opiekuńcze, o wilgotnych, rozmarzonych oczach; najpierw całymi godzinami słuchają go z uwielbieniem, a potem zadają nagle takie pytanie, że to, co opowiadał, ukazuje mu się z zupełnie innej strony.

A co do ich samców, to oni też mają różne kształty i rozmiary, mimo to najwyraźniej należą do tego samego gatunku. Najbardziej przypominają pracowników uczelni w średnim wieku. Albo zgraną grupkę archeologów wspólnie prowadzących prace wykopaliskowe. Albo lekarzy, bo mają taki sam lekko obojętny wyraz twarzy – liczy się nie pacjent, a przypadek. Młodszy spośród nich są chudzi, w źle skrojonych garniturach, o nieco błędnym wzroku, i Mundy tak właśnie wyobraża sobie potomków wielkich angielskich podróżników, którzy z butelką lemoniady i woreczkiem suszonych owoców plus orzechy przemierzali na wielbłądach Arabię, kierując się tylko światłem gwiazd.

Ale co jeszcze – poza wielce pochlebną obsesją na punkcie Teda

Mundy'ego – sprawia, że wszyscy wydają się namalowani tym samym pociągnięciem pędzla? Niespodziewane wybuchy rześkiego śmiechu, chępliwość, pyszałkowatość, wspólny entuzjazm, odrobinę bardziej cięte języki i bystre oczy. I ten ledwie wyczuwalny podtekst spisku czy też może tylko wspólnego działania.

Zaczynają wgryzać się w przeszłość Mundy'ego. Najpierw Amory opowiada to, czego dowiedział się w Berlinie, potem inni drążą w różnych kierunkach. Po jakimś czasie cała biografia ukazuje mu się jak trup na stole prosektoryjnym, gdzie zostanie rozebrana na czynniki pierwsze – oczywiście z całym brytyjskim taktem, ale jednak. Lecz Mundy nie ma nic przeciwko temu. Przecież jest już jednym z nich. Dostał alfa plus plus. I powołanie do narodowej reprezentacji.

Od razu widać, że nie musi daleko sięgać pamięcią, by zauważyć, jak bardzo zbieżne są wszystkie wątki jego dotychczasowego życia. Sam może się teraz o tym przekonać. „Ojej, no rzeczywiście, chyba tak” albo: „Jeżeli dobrze się nad tym zastanowić, to właśnie tak było”. Amory zawsze jest przy nim, by podtrzymać go, gdyby upadł, i wytłumaczyć pewne nieporozumienia, jeżeli nasz Edward trochę się popłacze, a czasem się płacze, bo w końcu nie wszystko, o czym mowa, łatwo przechodzi przez gardło. Zresztą nikt się nie spodziewał, że będzie inaczej – wręcz przeciwnie. Jak to w rodzinie.

– W takim maglu wszyscy czasem się załamują, nawet ci, którzy dokonali czegoś tak wielkiego jak ty – ostrzega go jedna z tych opiekuńczych pań.

– Ależ rozumiem, to oczywiste. Proszę, niech pani pyta.

Czy opiekuńcza pani jest specjalistką od psychoanalizy? Zresztą skąd Mundy miałby o tym wiedzieć? Ma wielką ochotę też przejść z nią na ty, ale na wszelki wypadek zwraca się do niej prawie jak do królowej, co wzbudza wesołość wokół mahoniowego stołu.

I tak wśród długich dyskusji w barze mija pierwszy dzień: na głębokim podziwieniu dla tej wersji Teda Mundy'ego, którą sam zainteresowany nazwał później Mundym nr 1: dla bohatera z Weimaru, godnego syna majora, byłego kapitana szkolnej drużyny krykietowej, twardego rugbisty, który w latach studenckich trochę lewicował – jak wszyscy – ale gdy zagrała trąbka, pociągnął pod sztandary, by walczyć wśród najlepszych.

Tylko że to dopiero Mundy nr 1. W szpiegostwie zawsze jest jeszcze inna wersja.

Czy schizofrenię da się w kimś wywołać?

Przy współudziale pacjenta – na pewno.

Przedsmak tego, co go czeka, Mundy poczuł już w Weimarze u Saszy. Teraz tu, w Oksfordzie, pan Arnold otrzymuje mikrofilmy – tajne instrukcje, które pozwalają mu przyrządzić cały niezbyt smaczny pasztet. O ile Mundy nr 1, ten z poprzedniego dnia, to to, co w prawdziwym Mundy najlepsze, o tyle Mundy nr 2 to karykatura wszystkiego, czym chciał być jeszcze kilka lat wcześniej.

Jest więc Mundy nr 2 lewicującym eksucznym liceum i lewakiem anarchista, który nie skończył Oksfordu, berlińskim chuliganem wyrzuconym z miasta po dobrze zasłużonym laniu. Niewykwalifikowanym nauczycielem z prywatnej szkoły wylanym z niej za nieobyczajność, który najpierw na krótko zagrzebał miejsce w prowincjonalnej gazecie, a potem bezskutecznie usiłował zostać pisarzem w Nowym Meksyku. Powróciwszy do Anglii, zagrzebał się w beznadziejnym bagnie biurokracji artystycznej – a tak się dobrze zapowiada!

Jego wizerunek w tym złośliwie krzywym zwierciadle jest na pierwszy rzut oka tak znajomy, że Mundy z trudem się powstrzymuje, by nie marszczyć twarzy w głupim grymasie, nie rwać włosów z głowy, nie czerwienić się, nie pojękiwać i nie wymachiwać rękami. Nigdy się nie dowie, ile z tego portretu zawdzięcza Amory'emu, a ile studiom poczynionym przez Londyn w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Czysta rozpacz: Mundy'ego nr 2 zna aż nazbyt dobrze. I to niezależnie od tego, czy ten portret malowany jest w czułych barwach przez czułe starsze panie, czy w jaskrawych kolorach przez pracowników uczelni w średnim wieku.

Do grupy dołącza wyglądający na proboszcza pan w czarnym jak okładka Biblii meloniku – przyleciał helikopterem. Mundy widzi przez okno w pokoju konferencyjnym, że nowo przybyły przytrzymuje jedną ręką melonik, drugą balansuje wypchaną aktówką. Wszyscy wstają na powitanie. Proboszcz zajmuje miejsce u szczytu stołu. Zapada pełne szacunku milczenie; on wyciąga z teczki jakiś skoroszyt, zaczyna czytać, potem uśmiecha się wesoło, najpierw do całego zgromadzenia, potem do Mundy'ego.

– Ted – mówi. To już popołudnie drugiego dnia. Mundy ma wszystkiego serdecznie dość. Siedzi z łokciami na stole, długimi dłońmi trzyma się za rozczochrane włosy. – Mam pytanie, drogi chłopcze.

– Proszę bardzo.

– Czy Kate wspominała ci kiedyś, że twój teść Des był do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku aktywnym członkiem Brytyjskiej Partii Komunistycznej? – pyta, zupełnie jakby chciał się dowiedzieć, czy Kate lubi pracować w ogródku.

– Nie, na pewno nie wspominała.

– A sam Des?

– Nie.

– Nawet przy waszej sobotniej partyjce bilardu w barze? – Uśmiech staje się jeszcze szerszy. – Jestem wstrząśnięty.

– Ani przy bilardzie, ani kiedykolwiek indziej. – Ja też jestem wstrząśnięty, myśli Mundy, lecz tego nie mówi, bo chce być lojalny względem Desa.

– Oczywiście trochę ochłódł po radzieckiej interwencji na Węgrzech. Jak wielu innych – mówi z żalem Proboszcz, jeszcze raz zaglądając do leżących przed nim akt. – No, ale kto raz został komunistą, zawsze będzie komunistą, prawda? To zostaje we krwi, można powiedzieć – dodaje i zaraz się rozchmurza.

– Pewnie tak jest – potakuje Mundy.

Ale w aktach jest jeszcze wiele takich smakowitych kąsków, zdaje się mówić uśmiech Proboszcza. Des to tylko przystawka.

– A teraz Ilse. Co wiesz o jej poglądach i działalności politycznej?

– Była anarchistką, zwolenniczką Trockiego, pacyfistką. Wszystkim i niczym. Właściwie sam już nie wiem kim.

– Ale ona w końcu się zdecydowała. W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim pod wpływem twojego następcy została bardzo aktywną członkinią Szkockiej Partii Komunistycznej.

– Proszę, jak się wyrobiła.

– Nie bądź taki skromny. Założę się, że to dzięki tobie. Ty rozpocząłeś to szczytne dzieło, twój następca tylko je dokończył. Jestem przekonany, że to dzięki tobie przejrzała na oczy.

Mundy kręci głową, lecz to wcale nie zbija Proboszcza z tropu.

– No, a teraz weźmy tego twojego doktora Mandelbauma. Imię Hugo, emigrant jak ty, można powiedzieć, twój idol z czasów szkolnych – ciągnie Proboszcz, składając dłonie w gotycki łuk. – Czego tak naprawdę cię uczył?

– Niemieckiego.

– Czyli czego?

– Języka i literatury.
– Niczego więcej?
– A czego jeszcze miałby mnie uczyć?
– No, na przykład filozofii? Hegła, Herdera, Marksa, Engelsa?
– Nie, na miłość boską!
– Dlaczego aż boską? – Prawie półkoliste brwi Proboszcza unoszą się w górę.

– Bo mnie to w ogóle nie interesowało. W tym wieku? Zresztą ani w tym, ani w żadnym innym. A co do niemieckiej filozofii, to nic bym z tego wtedy nie zrozumiał. Teraz zresztą też nie jest lepiej. Zapytajcie Saszę. – I zakrywając usta dłonią, niepewnie pokasłuje.

– Pozwól, Ted, że ujmę to inaczej. Wiem, że jestem upierdliwy, ale bądź dla mnie wyrozumiały. Czy mam rację, mówiąc, że doktor Mandelbaum mógł uczyć cię filozofii? Gdyby chciał? Gdybyś był rozwinięty nad wiek?

– No, ale w ten sposób mógł mnie uczyć wszystkiego! A prawda jest taka, że mnie nie uczył. Pyta mnie pan, to odpowiadam. A teraz pewnie zapyta pan, czy hipotetycznie mógł, a ja mam odpowiedzieć, że tak.

Proboszcz cieszy się coraz bardziej.

– Czyli możemy powiedzieć, że doktor Mandelbaum mógł urządzić ci marksistowskie, engelsowskie czy jakie tam inne pranie mózgu, a ty nie wygadałeś się przed kolegami?

– No, to ja mówię, że wcale tak nie było. Było tak, że w bardzo oględny sposób tchnął we mnie trochę ducha rewolucji. Nic więcej. – Brakuje mu słów, zaczyna znów masować się po czerepie.

– Ted. Kochanieńki...

– Słucham.

– W tym zawodzie, a w końcu sam go już wybrałeś, nie poruszamy się w prawdziwym świecie. Ten świat gości u nas tylko od czasu do czasu. Zresztą w tym akurat przypadku rzeczywistość jest po naszej stronie. Cały klan Mandelbaumów to byli zażarci lewicowcy. Trzech walczyło w Hiszpanii w Brygadzie imienia Thälmana. Starszy brat Hugona był nawet we władzach Kominternu. Stalin powiesił go za wierną służbę. A twój Hugo zapisał się do Partii Komunistycznej w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym w Lipsku i płacił składki aż do chwili, gdy czterdzieści lat później poszedł do nieba w szpitalu w Bath.

– No to co?

– No to to, że pracodawcy Saszy nie są idiotami. Jednego już znasz: to nasz kochany profesor. Może trochę dziwak, ale głupi nie jest. Będzie chciał się przekonać, czy naprawdę złapał coś wielkiego. On sam albo Sasza. Czego się dowie o tobie? On albo jego koledzy? Zaczną od tego, że rozbiorą cię na czynniki pierwsze. Co znajdą? Nic poza tym, że przez całe twoje życie biegnie gruba czerwona linia radykalnej działalności: od doktora Mandelbauma przez Ilse, Oksford aż po Saszę i chwilę obecną. To nic, że nie byłeś w partii! Po co? Przecież nie chciałeś ryzykować kariery. Ale twój ukochany nauczyciel był czerwony, czerwona była twoja pierwsza dziewczyna, sam jesteś członkiem oddziału Partii Pracy w St Pancras, a to przecież lewica jak się patrzy! Jesteś mężem kobiety z rodziny o pięknych tradycjach lewicowych i zięciem dobrego towarzysza, który zszedł z drogi cnoty dopiero w pięćdziesiątym szóstym. Kochany, przecież to cud! Czegoś równie przekonującego sami byśmy nie wymyślili. Będziesz dla nich jak dar z nieba. Dla nas oczywiście też.

Wszyscy poza Mundym zgadzają się z tym i śmieją wesoło. Mundy powoli prostuje się na krześle, przygląda włosy i delikatnie kładzie dłonie na stole. Uśmiecha się chłopięcym, szczęśliwym uśmiechem. Powoli zaczyna rozumieć rodzinne skrót myślowe. Niespełniony pisarz nie jest znowu taki niespełniony. On też potrafi być twórczy. Wgłębia się w rzeczywistość jak oni i jak oni wyławia z niej to, co trzeba.

– Zapomnieli państwo o Aji – mówi z wyrzutem.

Patrzają na siebie zdezorientowani. Aja? Tego chyba nie było w aktach.

– Moja opiekunka. W Indiach – dodaje. Potem dokonuje korekty: – W Pakistanie.

Aha, taka aja. Wszystkie twarze natychmiast wyrażają ulgę. Tak, tak, oczywiście. Aja, czyli niania.

– No, no, o co chodzi z tą ają? – pyta zachęcająco Proboszcz.

– Całą jej rodzinę wymordowano w czasie podziału Indii. A mój ojciec oskarżał o to angielskie niedołęstwo. Potem Aja musiała na starość zebrać w Marri.

Teraz z kolei Proboszcz i jego drużyna połapują się, o co chodzi. Cudownie, Ted, oczywiście. Taka wzruszająca historyjka. To im się dopiero spodoba! Aja od razu awansuje na pierwszoplanową postać. Wkrótce wszyscy pracują nad nią w dziale Pierwsze Doświadczenia, wszyscy poddają nowe pomysły i wnoszą coś nowego do całej historyjki: Mundy już w kołysce musiał walczyć

z burżuazyjnym zakłamaniem, bo narodził się z matki z klasy robotniczej, a powiedziano mu, że jest synem arystokratki. Potem przygarnęła go pakistańska chłopka – gruba, Ted? Fantastycznie, niech będzie gruba jak beka – nieznanego pochodzenia. No i ta bardzo gruba chłopka, którą nazywał Aja – czyli niania, czyli dokładnie ktoś taki jak twoja biologiczna matka! – stała się ofiarą ucisku kolonialnego. Potem, wieczorem w barze, wszyscy dochodzą do wniosku, że gdyby nie Ted, nie poszłoby im tak świetnie. Bo gdyby nie on, nie dotarliby do tych szczegółów, dzięki którym wszystko ułożyło się w jedną autentyczną całość, a nie w jakąś tam tuzinkową przykrywkę.

– Jesteśmy jak karmelici – stwierdza bez ogródek Amory podczas wspólnej z Mundy przechadzki po kolacji. – Nie wolno nam mówić o tym, co robimy, nie awansujemy w widoczny sposób. No i można zapomnieć o normalnym życiu. Nasze żony muszą udawać, że wyszły za nieudaczników, niektóre zresztą święcie w to wierzą. Ale politycy i wojskowi przemijają, a my jesteśmy wieczni. Ty chyba też.

A jaki jest Mundy nr 3, gdy numery 1 i 2 idą spać? Jaki jest ten trzeci, który nie jest ani pierwszym, ani drugim, który nie śpi, gdy tamci smacznie chrapią, tylko czeka na dźwięk dzwonów wiejskiego kościółka, mimo że jakoś nie chcą się odezwać? Ten trzeci to milczący widz. Jedyne z widzów, który nie okłaskuje swoich dwóch krewniaków. A składają się na niego resztki siebie, których nie zużyto, by stworzyć tamtych dwóch.

Młody małżonek jest ostatnio bardzo zajęty.

Haruje jak wół w swym gabinecie w British Council na Trafalgar Square, gdzie albo pisze raport z tryumfalnego tournée Sweet Dole Company, albo przygotowuje się do praskiego Letniego Festiwalu Tańca – to już tylko cztery tygodnie. Potem pędzi na zajęcia w szkole rodzenia na South End lub pomaga w przygotowaniu szkolnego przedstawienia *Piratów z Penzance*. I zarzeka się, że nigdy w życiu nie czuł się tak rozchwytywany, tak – nie bójmy się tego słowa – potrzebny.

W wolnych chwilach wymyka się do warsztatu Desa, bo teść z zięciem w tajemnicy przed Kate majstrują kołyskę dla dziecka. Mama Kate też należy do spisku, dzierga bowiem kołderkę. Des znalazł piękny kawał jabłoni, wierzyć się nie chce, jakie piękne ma słoje. A jaki kolor! Kołyska staje się dla Mundy'ego mistycznym symbolem porządku rzeczy, talizmanem i zarazem celem życiowym, bo przecież robi ją z myślą o Kate, o dziecku, o tym, by

wszystko poszło jak najlepiej. A przy okazji może pogawędzić o wielkiej polityce z Desem.

– No, Ted, powiedz mi, co ty byś zrobił z Margaret Thatcher, gdybyś dostał ją w swoje łapy? – pyta przy pracy teść.

Ale Mundy wie, że nie wolno mu odpowiedzieć, bo to należy do teścia.

– A wiesz, co ja bym zrobił? – pyta więc Des.

– No powiedz.

– Wysłałbym ją na bezludną wyspę z Arthurem Scargillem i zostawiłbym ich tam samych. Ciekawe, co by z tego wyszło? – I myśl, że Margaret Thatcher musiałaby żyć ze zniechęconym przez siebie przywódcą górniczych związków zawodowych, rozśmiesza Desa tak, że praca nad kołyską ustaje na kilka minut.

Mundy zawsze lubił swego teścia, ale po niedawnej bytności w Oksfordzie ich kontakty nabrały dodatkowego smaczku. Ted zastanawia się, jak by też zareagował ten były komunista starej daty, gdyby się dowiedział, że jego własny zięć szpieguje najwierniejszego wasala matuszki Rosji. Mundy jest prawie przekonany, że starszy pan zdjąłby czapkę i w milczeniu uściśnął mu dłoń.

Zresztą dziecko nie jest jedynym powodem ekscytacji w rodzinie. Kilka dni temu Partia Pracy poniosła sromotną klęskę w wyborach do parlamentu, Kate wini za to wojujących ekstremistów, którzy przeniknęli do zdrowych szeregów jej ukochanej partii. Aby ją ratować, Kate zamierza przedstawić swą kandydaturę w nadchodzących wyborach samorządowych – jako przedstawicielka oficjalnie popierana przez siły umiarkowane zmierzy się z tymi wszystkimi trockistami, komunistami i kryptoanarchistami, którzy stali się plagą St Pancras. Trzy dni zbiera się, by powiedzieć o tym Tedowi – obawia się, że będzie się o nią bał. Ale go nie docenia – już po tygodniu Mundy siedzi w pierwszym rządzie na widowni w auli ratusza w St Pancras i trzyma za nią kciuki, gdy ona publicznie zgłasza swą kandydaturę krótkimi, związłymi zdaniami, którymi zresztą przypomina mu trochę Saszę.

Dobra wróżka z kadr chce zobaczyć się na chwilę z Mundym. Najlepiej pod koniec dnia, kiedy ludzie już rozchodzą się do domów. Gdy Mundy zjawia się w jej gabinecie, pani kadrowa trzyma dłonie na blacie biurka jak ktoś, kto obiecał sobie, że nie straci panowania nad sobą, i recytuje zdania, jakby ułożyła sobie całą przemowę.

- Jak idzie pisanie?
- No wiesz. Jakoś idzie.
- Mówiłeś, że planujesz powieść.
- No tak, ale niestety to nadal tylko plany.

Tyle tytułem wstępu. Pani kadrowa bierze głębszy oddech.

– Kiedy powiedziano mi na górze, że musisz zostać na parę dni w Berlinie, by wyjaśnić kilka spraw związanych z bezpieczeństwem podczas tournée, nie zaniepokoiłam się – wdech – bo takie rzeczy już się zdarzały. Doświadczenie uczy, że najlepiej się tym nie zajmować, wszystko bowiem wyprostuje się samo. Jednak...

Mundy nie był przygotowany na taką rozmowę, więc czeka na to, co nastąpi po owym „jednak”.

– Jednak kiedy znowu powiedziano mi na górze, że masz jechać do Pragi, doszłam do błędnego, jak się teraz okazuje, wniosku, że robisz coś za moimi plecami. Odmówiłam – wdech – a wtedy na jeszcze wyższej górze oznajmiono mi, że nie tylko mam robić, co mi każą, ale w przyszłości wszelkie instrukcje względem ciebie wypełniać bez dyskusji, chyba że któraś z tych instrukcji stałaby w tak jaskrawej sprzeczności z naszą polityką kadrową, że mogłaby zwrócić uwagę osób postronnych. – Dłuższa przerwa. – Ponieważ nie mam zamiaru składać wymówienia, co zresztą byłoby przesadą, zważywszy, że to, co robisz, ma, jak mi się zdaje, tak wielkie znaczenie dla kraju, nie mam wyjścia. Muszę ugiąć się pod presją, ale uważam, że takie mieszanie się innych instytucji w sprawy wewnętrzne British Council jest niewybaczalne i szkodliwe. – Powiedziała, co chciała powiedzieć. – Czy mogę zadać ci jedno pytanie?

– Oczywiście – mówi Mundy, lecz bez swej zwykłej werwy. – Pytaj.

„Rznij głupa, ona zaraz się ze wszystkim wygada. Nie wolno ci jej nic powiedzieć”, powtarzał mu wielokrotnie Amory.

– Oczywiście nie musisz odpowiadać. Oczywiście w ogóle nie powinnam pytać. Czy jesteś koniem trojańskim?

– Czym?

– Czy w chwili, gdy wstępowałeś do nas, czy już wtedy byłeś... Nawet nie wiem, jak to się nazywa... Pewnie gdybym wiedziała, to i tak nie wolno by mi było tego mówić... No, jak to powiedzieć... Czy już wtedy robiłeś dla nich to i owo?

– Nie, nie. Nic takiego.

– A to, co się stało później... cokolwiek się stało, bo wiem, że nie wolno mi wiedzieć... I zresztą nie chcę wiedzieć... Czy według ciebie stało się to celowo, czy przypadkowo?

– Kompletnie przypadkowo – mówi natychmiast Mundy. Głowę ma schyloną, wpatruje się w swe dłonie. – Życiowa szansa. Jedna na milion. Naprawdę bardzo mi przykro.

– A czy teraz nie wolałbyś... Tylko nie odpowiadaj, jeżeli to zbyt bolesne... A czy teraz nie wolałbyś, żeby to wszystko się nie wydarzyło?

– No, chyba tak.

– Więc mnie też jest przykro, Ted. Myślałam, że przyjmując cię do pracy bez dyplomu, robię ci przysługę. Tymczasem okazało się, że tylko napytałam ci kłopotów. No cóż, w końcu oboje pracujemy dla tej samej królowej, tylko że w twoim wypadku ona nie może o tym wiedzieć, prawda?

– No właśnie.

– Naprawdę jest mi głupio, że niechcący cię w to wciągnęłam. A w dodatku ty się przez nich zmarnujesz. Jak myślisz... Tylko nie odpowiadaj, bo jestem pewna, że ci nie wolno... Jak myślisz, czy oni będą cię jakoś awansować?

Mundy wraca do domu najdłuższą drogą. Rozmyśla nad ceną, jaką trzeba zapłacić za to, że dla dobra ojczyzny prowadzi się podwójne życie. Zdążył polubić kadrową i było mu miło, że go zawsze popierała. Teraz będzie musiał obyć się bez tego poparcia. Zaczyna rozumieć to, co mówił mu Amory: że w tym zawodzie trzeba zapomnieć o normalnym życiu.

Ale nim dochodzi do domu, humor mu się poprawia. W końcu po co komu normalne życie?

Pismo Działu Kadr British Council do E.A. Mundy'ego, z dopiskiem „Poufne”:

Uprzejmie informujemy, że zażyczo sobie, by był Pan obecny na Zjeździe Organizatorów Festiwali Artystycznych w McCullough Hall w Edynburgu w dniach 9–16 maja w związku z planowanym wyjazdem na praski Letni Festiwal Tańca. Koszty podróży, zakwaterowania i wyżywienia są pokrywane przez organizatorów zjazdu. Informujemy również, że dokonamy odpowiednich potrąceń z Pana wynagrodzenia oraz dni urlopu.

– Nazywamy to Szkołą Dobrych Manier – wyjaśnia Amory, gdy podjadając kanapki z wędzonym łososiem, jadą wokół Hyde Parku czarną taksówką prowadzoną przez sierżanta Cliffa. – Powiedzą ci, co robić w Pradze, kiedy pada deszcz, i jak samemu bezpiecznie przejść przez ulicę.

– A ty też jedziesz?

– Kochany, czy mógłbym cię zostawić samego w takiej chwili?

Kate jest pełna rezerwy.

– Cały tydzień na gadanie o festiwalach? – dziwi się, przerywając na chwilę pracę nad dziełem *Moje obietnice wyborcze*. – Wy, urzędnicy od kultury, jesteście jeszcze gorsi niż ONZ!

Jest przyjemne wiosenne popołudnie w środku tygodnia, na dzień przed wyjazdem Mundy'ego do Szkocji. Tego samego dnia rano nadeszła pocztą oficjalna nominacja wyborcza dla Kate. Wczesnym popołudniem Mundy dostaje od niej telefon w British Council. Jest bardzo spokojna, ale musi się z nim koniecznie zobaczyć. Mundy wybiega z zebrania i pędzi do domu. Zastaje ją bladą, choć opanowaną, na dróżce do drzwi frontowych. Bierze ją pod rękę. Udaje mu się doprowadzić ją do ganeczku, przed którym Kate staje, opiera się jak koń, który nie chce skoczyć przez przeszkodę, i zaciska zęby na własnej zwiniętej w pięść dłoni.

– Spłoszyłam ich. Nie spodziewali się mnie tak wcześnie, bo powinnam mieć lekcje przez cały dzień – mówi, a jej twarz nie wyraża absolutnie nic. – Jedna z moich dziewcząt dostała właśnie stypendium do Leeds i dyrektorka dała całej klasie wolne popołudnie.

Mundy otacza ją ramieniem, by nie upadła.

– Poszłam do domu. Otworzyłam furtkę i zobaczyłam cienie w oknie. W saloniku.

– Przez firanki?

– Dostali się przez drzwi kuchenne. Co chwila przechodzili tam i z powrotem przed oknem.

– Więc było ich więcej?

– Dwoje. Może troje. Chodzili jakoś tak lekko.

– Lekko?

– Poruszali się lekko. Zobaczyła mnie. Kobieta. Dziewczyna. Miała na sobie taki jakiś obcisły kombinezon. Zobaczyłam, że odwraca głowę, a potem chyba opadła na dywan i poczołgała się do kuchni. Drzwi do ogrodu były

otwarte. – Kate byłaby w sądzie świetnym świadkiem. Jest bardzo dokładna. – Pobiełam na tył domu, bo myślałam, że może ich zobaczę. Ale jak tam już dotarłam, akurat odjeżdżała jakaś furgonetka. Nie zdążyłam przeczytać numeru.

– Jaka furgonetka?

– Zielona. Tylne szyby były przyciemnione.

– Jakie miała lusterka?

– Nie popatrzyłam. Cóż to ma za znaczenie? Zdążyłam tylko rzucić okiem.

– Nowa czy stara?

– Ted, przestań mnie przesłuchiwać, dobrze? Gdyby na pierwszy rzut oka była nowa albo stara, tobym powiedziała. Nie była ani bardzo nowa, ani bardzo stara.

– Co na to policja?

– Połączyli mnie z wydziałem kryminalnym. Odebrał jakiś sierżant. Pytał, czy coś zginęło. Powiedziałam, że nie. A on na to, że przyjadą, jak będą mogli.

Wchodzą do saloniku. Stoi w nim stare biurko, które kupili za bezcen od złodzieja w Camden Town. Des orzekł, że z daleka widać, że kradzione. Biurko ma kryty sztuczną skórą blat i szuflady po obu stronach. Lewe należą do Mundy’ego, prawe do Kate. Mundy po kolei otwiera szybko każdą z trzech swoich szuflad.

Stare maszynopisy, niektóre jeszcze z odmownymi odpowiedziami wydawców.

Notatki do nowej sztuki.

Teczka z napisem „Akta” zawierająca listy matki do majora, protokół z sądu wojskowego i zdjęcie zwycięskich Stanhope’ów.

Ruszane.

Ruszane, ale poukładane. Prawie dobrze.

Poukładane niemal we właściwej kolejności przez kogoś, kto chciał, żeby wyglądały tak, jakby ich w ogóle nie ruszano.

Kate przypatruje mu się i czeka, by coś powiedział.

– Mogę? – pyta Mundy.

Kate kiwa głową. Mundy otwiera górną szufladę z jej strony. Słyszy przyspieszony oddech Kate i zaczyna się bać, żeby mu nie zemdląca. Ale zaraz się uspokaja, bo zna ją zbyt dobrze: nie mdleje, tylko jest wściekła.

– Włożyli na odwrót, dranie – mówi.

Zeszyty klasy szóstej trzyma w dolnej szufladzie, bo jest największa. To, co ma poprawić na piątek, idzie pod to, co ma poprawić na środę.

– Dlatego rozdaję dzieciom zeszyty do ćwiczeń w dwóch kolorach. Żółte są środowowe, czerwone piątkowe. A te dranie je poprzestawiały.

– Ale czemu jacyś trockiści mieliby przeszukiwać zeszyty twoich uczniów?
– zastanawia się Mundy.

– Nie szukali zeszytów, tylko papierów partyjnych.

Gdy policja pojawia się w końcu o dziesiątej wieczór, nie na wiele się przydaje.

– A wie pan, co moja wyprawia, jak się spodziewa? – pyta sierżant nad herbatą, którą zrobił mu Mundy, bo Kate musiała położyć się w łóżku z nogami do góry.

– Nie wiem.

– Zjada mydło. Muszę je przed nią chować, bo inaczej przez całą noc bańki by puszczała. No, pewnie można by zacząć od aresztowania każdego, kto ma zieloną furgonetkę z przyciemnionymi szybami.

Mundy odprowadza wzrokiem odjeżdżający radiowóz i zastanawia się, czy nie skorzystać z numeru alarmowego, który dostał od Amory’ego. Tylko co to da? Sierżant był nieprzyjemny, ale miał rację: tysiące ludzi ma zielone furgonetki.

Kate się nie myli. To byli trockiści.

Albo jacyś młodocieni. Spłoszyła ich i dlatego nie zdążyli nic zabrać.

Normalne zdarzenie w normalnym życiu. Tylko ja jestem nienormalny.

8

– Zmęczyłeś się, Teddy? – pyta rudy myśliciel Lothar, zamawiając jeszcze jedną kolejkę pilznera.

– Tylko troszeczkę. To nic takiego – odpowiada Mundy. – Tyleśmy się dzisiaj natańczyli... – dodaje i zostaje nagrodzony przesadnie entuzjastycznym wybuchem śmiechu.

– Zmęczony, ale szczęśliwy – sugeruje grzecznie frau doktor Bahr siedząca u szczytu stołu. Jej młody sąsiad, intelektualista Horst, zgadza się z tą oceną.

Sasza nie mówi nic. Siedzi z podbródkiem opartym o dłoń i marszcząc brwi, gapi się gdzieś przed siebie. Beret spuścił na oczy, trochę jakby ironicznie. To drugi wieczór spędzany w tym towarzystwie, więc Mundy już się orientuje, kto jest kim. Lothar pilnuje Saszy, a Horst, blondyn intelektualista, Lothara. Surowa frau doktor Bahr z enerdowskiej ambasady w Pradze pilnuje całej trójki, a cała ta czwórka pilnuje Teda Mundy'ego.

Kończy się trzeci dzień praskiego Letniego Festiwalu Tańca. Siedzą w piwnicznym barze konferencyjnego hotelu na obrzeżach miasta, potwornego przykładu stylu radzieckiego w architekturze (żelbet i szkło), ale piwnica ma imitować styl habsburski (grube kamienne kolumny, freski przedstawiające rycerzy i dziewice). Przy innych stolikach siedzi jeszcze kilkoro zapóźnionych pijących; dziewczyny sączą przez słomki colę w nadziei, że jeszcze uda im się złapać dewizowca. W drugim końcu sali para w średnim wieku pije herbatę. Piją tę herbatę już chyba pół godziny.

„Będą za tobą chodzić. To normalne. To będą zawodowcy, więc najważniejsze, żebyś nie wiedział, że za tobą chodzą. Przeszukają ci pokój, więc nie bądź za porządny, bo pomyślą, że w coś z nimi grasz. Jak przez nieuwagę nawiązesz z nimi kontakt wzrokowy, najlepiej uśmiechnij się niezobowiązująco i powiedz sobie, że musiałeś ich poznać na jakimś przyjęciu. Twoją najlepszą bronią jest niewinność. Kumaszu, Edward?”

Kumam, Nick.

Przez ostatnie trzy doby Mundy musiał wysiedzieć na porażająco nudnych

pokazach tańców z szablami, tańców ludowych, plemiennych, chłopskich i oczywiście tradycyjnych tańców angielskich. Bił brawo Kozakom, Gruzinom, Palestyńczykom, oklaskiwał nieskończenie wiele fragmentów z *Jeziora łabędziego*, *Coppelii* i *Dziadka do orzechów* w wypełnionym do ostatniego miejsca, za to pozbawionym wentylacji barokowym teatrze. Pił ciepłe białe wino w kilku pawilonach narodowych, a w pawilonie brytyjskim przekomarzał się z wiecznie takimi samymi fajnymi facetami i ich pełnymi poczucia obowiązku żonami. Zaraz znalazł się pucołowaty pierwszy sekretarz ambasady w okrągłych okularkach, który twierdził, że kiedyś był w reprezentacji krykietowej w Harrow i Mundy wybił go pierwszą piłką – to oczywiście umówione hasło. Mundy zmagął się ponadto z popsutym nagłośnieniem, scenografią dostarczoną do niewłaściwego teatru i gwiazdami, które odmawiały występów, bo w hotelu nie było ciepłej wody. A w wolnych chwilach musiał jeszcze niechętnie przyjmować zaloty Saszy i jego grupy. Poprzedniego wieczoru chcieli go zabrać na prywatne przyjęcie gdzieś w mieście. Gdy Mundy odmówił, twierdząc, że nie może opuścić swej trzódki, zaproponowali nocny klub. Znowu odmówił.

„Niech się sukinsyny pomęczą. W końcu do Pragi przyjadą tylko po to, żeby się z tobą przespać. Tylko że ty tego nie wiesz. Nic o nich nie wiesz. I znasz tylko Saszę, swojego starego kumpla. Jesteś trochę pomotany, niezbyt zadowolony z życia, trochę popijasz, stronisz od ludzi. To ich uwielbiasz, to się boczysz. Takiego ciebie sprzedał im Sasza, więc taki masz być”.

Tak przygotowywał Teda Mundy’ego Nick Amory, jego osobisty agent teatralny ze Szkoły Dobrych Manier w Edynburgu, przekazując wskazówki reżysera całego przedstawienia – Saszy.

Lothar przy pomocy frau doktor Bahr usiłuje Mundy’ego trochę rozkrochmalić. Poprzedniego wieczoru też próbowali go rozkrochmalić przy tym samym stoliku, o tej samej porze i w tym samym nastroju udawanej serdeczności. Kiedy Mundy’emu piwo szło w nogi, odpowiadał monosylabami, kiedy do głowy, raczył ich odpowiednio ubarwionymi opowieściami o swej antykolonialnej przeszłości i – ku wielkiej radości słuchaczy, a własnemu skrywanemu wstydomu – wielkiej pupie Aji. W przerażających kolorach odmalowywał stosunki panujące w burżuazyjnych szkołach w Anglii i przy tej okazji wypsnęło mu się czarodziejskie nazwisko doktora Mandelbauma, człowieka, który nauczył go myśleć. Nikt z obecnych nie drażył potem tego

tematu, ale to oczywiste – przecież są szpiegami.

– A co myślisz o tym, że Anglia tak się teraz przesunęła w prawo, Teddy? Czy trochę cię nie niepokoi wojujący kapitalizm w wydaniu pani Thatcher, czy też jesteś naturalnym zwolennikiem gospodarki wolnorynkowej?

Pytanie jest tak niezręczne, nieszczerłość Lothara tak przejrzyste, że Mundy odnosi się do tego z wyraźnym lekceważeniem.

– To nie jest żadne tam przesunięcie, stary. Nic nawet nie drgnęło. Zmienili szyld, i tyle.

Frau doktor Bahr lepiej daje sobie radę z takimi banałami.

– Ale skoro i Ameryka, i Wielka Brytania przesuwają się tak bardzo na prawo, a i gdzie indziej na Zachodzie prawica podnosi głowę, to czy nie boisz się trochę o pokój na świecie?

Horst, który uważa się za eksperta od spraw brytyjskich, musi koniecznie pochwalić się swą wiedzą:

– A czy zamykanie kopalń może doprowadzić do rewolucji, Teddy? Do czegoś takiego jak marsze głodowe z lat trzydziestych, ale które potem mogłyby się wymknąć spod kontroli? Czy mógłbyś nam powiedzieć, jak na to wszystko reaguje szary obywatel?

Nie idzie im najlepiej. Na pewno są tego świadomi. Mundy ziewa, Lothar już ma zamówić jeszcze jedną kolejkę, gdy niespodziewanie Sasza budzi się z odrętwienia.

– Teddy.

– Co?

– Skończmy z tym głupim gadaniem.

– Z czym?

– Przywiozłeś rower?

– No pewnie, że nie.

Sasza nagle wstaje i rozkłada ręce, zwracając się do wszystkich przy stoliku:

– A wiecie, jaki z niego zapalony rowerzysta? Istny wariat. Wiecie, co ten wariat robił w Berlinie Zachodnim? Jeździliśmy razem po ulicach, malowaliśmy napisy na dawnych budynkach hitlerowskich, a potem pedałowaliśmy jak diabli, żeby uciec glinom. A ja byłem jego obstawą, ja jego, z tymi moimi nogami, wyobrażacie sobie? I to na rowerze! Teddy to wszystko organizował, to geniusz. Nie tak było, Teddy? Co, udajesz, że zapomniałeś?

Dłoń Mundy'ego unosi się w górę, by ukryć tęskny uśmiech.

– Pewnie, że nie zapomniałem. Nie wygłupiaj się. To były piękne czasy – dodaje, potwierdzając tym samym historyczną manipulację Saszy.

„Najtrudniejszym zadaniem Saszy będzie spotkać się z tobą w cztery oczy. Zrobi, co będzie mógł, ale musisz mu pomóc. Nie zapominaj, że cię nosi. Że wiecznie albo maszerujesz na spacer, albo biegasz po parku, albo wskakujesz na rower”, mówił Amory.

– W takim razie jesteście umówieni, Teddy. Na jutro – oświadcza podekscytowany Sasza. – O trzeciej przed hotelem. W Berlinie jeździliśmy po nocy, tutaj za dnia.

– Nie no, bądź poważny, Sasza. Przecież ja mam tu ze sobą sto sześćcioro angielskich artystów neurotyków. Nie wyrobię się ani na trzecią, ani na żadną inną. Wiesz dobrze.

– Artyści są wieczni. My nie. Wyjedziemy za miasto. We dwóch. Ja skombinuję rowery, ty whisky. Pogadamy o Bogu i o świecie, jak za dawnych lat. Pieprz to wszystko.

– Nie, Sasza, posłuchaj...

– No?

Mundy mówi śmiertelnie poważnie. On jeden przy stoliku już się nie uśmiecha.

– Jutro przez całe popołudnie mam balet nowoczesny, wieczorem przyjęcie w ambasadzie angielskiej, a przez okrągłą dobę kopniętych tancerzy na głowie. Nie mogę tak po prostu...

– Ależ z ciebie nudziarz! Jak dawniej! Przecież balet nowoczesny to pretensjonalne gówno. Daruj sobie balet, a na przyjęcie zdążysz. Nie kłóć się ze mną.

Publiczność jest zachwycona. Frau doktor Bahr uśmiecha się z aprobatą, Lothar chichocze, Horst mówi, że on też chce jechać, ale Lothar kiwa palcem jak dobroduszny wujaszek i mówi, że tym dwóm należy się takie *tête-à-tête*.

„Rowery to świetna rzecz, Edwardzie, bo łatwo na nich zgubić każdy ogon”.

„Pokoje hotelowe nie są święte. To szklane klatki. Widzą cię w nich, słyszą, przeszukują, nawet wachają”.

Świętość małżeństwa też nie istnieje. Przynajmniej dla niedoszłego pisarza z British Council, kryptoanarchisty snującego się po niższych szczeblach biurokracji artystycznej. Stąd tak właśnie, a nie inaczej muszą wyglądać jego

rozmowy telefoniczne z Kate. Z samego rana wypełnił długi formularz w recepcji: numer rozmówcy zagranicznego, imię i nazwisko rozmówcy zagranicznego, cel rozmowy, planowany czas trwania rozmowy i właściwie temat rozmowy też, co jest według Mundy'ego kompletnie głupie, skoro i tak będą słuchać i w każdej chwili mogą przerwać połączenie, jeżeli coś im się nie spodoba. Klęczy na łóżku, trzyma telefon przed sobą i przyłapuje się na tym, że drży. Gdy centrala hotelowa wreszcie go łączy, telefon dzwoni tak głośno, jakby chciał rzucić się z łóżka na podłogę i popełnić samobójstwo. Mundy mówi do słuchawki i słyszy, że jego głos jest jakby wyższy i wolniejszy. Kate też to zauważa i pyta, czy nie jest chory.

– Nie, nie. Serio. Tylko trochę wykończony. Miranda zachowuje się jak ostatnia świnia. Jak zwykle zresztą.

Miranda to szefowa Mundy'ego odpowiedzialna za tę część Europy. Mundy pyta o dzidziusia. „Kopie”, odpowiada Kate. „I to całkiem mocno, może kiedyś będzie grał w Doncaster”. „Przecież dziewczynki nie przyjmą”, oponuje Mundy dla zasady, lecz jakoś bez entuzjazmu dla własnego żartu. „A co słyhać u wielkich aktorów z St Pancras?” pyta. „Dziękuję, w porządku”, odpowiada Kate poirytowana jego ponuractwem. A czy poznał kogoś miłego, pyta podstępnie, a może robił coś przyjemnego?

No, w sumie to nie.

„O Saszy nie powiesz jej nigdy” mówił Amory. „Sasza to twoja tajemnica. Może się w nim podkochujesz, może chcesz go mieć tylko dla siebie. A może już teraz myślisz tak, jak oni chcieliby, byś myślał: że chcesz przeskoczyć przez mur i przystać do nich”.

Mundy odkłada słuchawkę i siada przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Gra scenę pod tytułem *Jezu, jakie życie jest ciężkie* – ale ono rzeczywiście takie jest. Kocha Kate. Kocha swą mającą się powiększyć rodzinę.

Idzie do łóżka, ale nie śpi. I wie, że nie zaśnie.

Piąta rano. No, głowa do góry. Jak dobrze pójdzie, dopiero za dwie godziny któraś z baletniczek zacznie stroić fochy, bo nie działa jej suszarka do włosów.

Sasza zdobył dla Mundy'ego olbrzymi czarny rower, łudząco podobny do bicykli wiejskich policjantów w Anglii, z koszykiem przyczepionym z przodu do wygiętej w górę kierownicy. A dla siebie dziecinną wersję tego samego modelu. Jadą jeden obok drugiego między szynami tramwajów na podmiejską

stację kolejową. Sasza ma na głowie beret, Mundy chroni swój jedyny porządny garnitur pod sportową kurtką, mankiety spodni – w skarpetach. Dzień jest piękny, miasto bohaterskie i sterane, jego habsburski przepych powoli obraca się w ruinę. Mało samochodów. Ludzie chodzą jakoś tak niepewnie, nie patrząc na siebie nawzajem. Na stacji dwaj przyjaciele wsiadają do złożonego z trzech wagonów lokalnego pociągu. Sasza upiera się, by siedzieli przy rowerach, w wagonie bagażowym. Na podłodze poniewierają się resztki słomy o woni krowiego łajna. Sasza nie zdejmuje beretu, rozpiną za to kurtkę, by pokazać Mundy'emu ukryty w kieszeni mały magnetofon. Mundy kiwa głową, że zrozumiał. Sasza prowadzi rozmowę o wszystkim i o niczym, Mundy idzie w jego ślady: Berlin, dziewczyny, dawne czasy, starzy przyjaciele. Pociąg zatrzymuje się chyba przy każdym słupie. Są już na głębokiej prowincji. Magnetofon włącza się sam na dźwięk głosu; gdy zapada cisza, dioda na wieczku gaśnie.

W wiosce o niedającej się wymówić nazwie wyładują rowery na peron. Mundy prawie nie kręci pedałami, Sasza pedałuje ile sił w nogach; mijając konne zaprzęgi, obaj z tą samą prędkością tłuką się po niedokończonej drodze prowadzącej w dół między płaskie jak stół pola usiane czerwonymi stodołami. Z rzadka wyprzedza ich motocykl z przyczepą albo ciężarówka. Zatrzymują się na chwilę na poboczu, bo Sasza chce popatrzeć na mapę. Prosta żółta droga wiedzie do jodłowego lasu. Jadą gęsiego, prowadzi Sasza, ciągle w berecie. Wjeżdżają na polankę z porośniętymi mchem nieczynnymi szybami kopalnianymi, starymi pniakami i resztkami ceglanoego muru. Wiatr porusza długimi łodygami irysów. Sasza zsiada z roweru i ciągnie Mundy'ego wśród traw, aż znajduje wygodne miejsce i czeka, by on zrobił to samo. Sięga do kieszeni, wyciąga magnetofon i kładzie go sobie na dłoni. Zaczyna mówić, ale to już nie ta sama przyjacielska pogawędka, bo ton zmienia mu się na drwiący i jakby zniecierpliwiony.

– No to chyba jesteś zadowolony ze swego losu, Teddy – mówi, patrząc na migającą diodę magnetofonu. – Bardzo pięknie. Spłacasz hipotekę, masz żonę, zaraz będziesz miał też małego burżuja, a rewolucją niech się zajmą inni. Kiedyś razem pogardzaliśmy takimi ludźmi, a teraz stałeś się jednym z nich.

Mundy jest na tyle dobrym aktorem, że chwyta wątek w lot.

– Wiesz dobrze, Sasza, że jesteś niesprawiedliwy – odzywa się gniewnie.

– Tak? To kim jesteś? – nie ustępuje Sasza. – Raz wreszcie powiedz mi, kim jesteś, a nie kim nie jesteś!

– Jestem taki sam jak zawsze – odpowiada zapalczywie Mundy. Taśma magnetofonu nie przestaje się obracać. – Ni mniej, ni więcej. A pozory mylą. I co do ciebie, i co do mnie, i nawet co do tej twojej cholernej partii komunistycznej.

Robi się z tego prawdziwe słuchowisko. Mundy ma wrażenie, że jego kwestie to bardzo marna improwizacja, ale Sasza jest najwyraźniej całkiem zadowolony. Dioda gaśnie, taśma już się nie obraca, Sasza jednak na wszelki wypadek otwiera magnetofon, wrzuca go do jednej kieszeni, kasetę do drugiej. Dopiero wtedy zrywa z głowy beret, wydaje z siebie oczyszczający okrzyk „Teddy!” i rozwiera ramiona na nierówny uścisk.

Etyka edynburskiej Szkoły Dobrych Manier nakazuje teraz Mundy’emu zadanie kilku rutynowych pytań, nim przejdą do spraw bieżących. A że Mundy to zdolny uczeń, pamięta wszystkie pytania po kolei:

Jaki jest oficjalny pretekst tego spotkania?

Jaki jest plan awaryjny, na wypadek gdyby ktoś nam przeszkodził?

Czy istnieje jakieś bezpośrednie zagrożenie?

Kiedy spotkamy się następnym razem?

Czy wszystko jest w porządku, czy jest w pobliżu ktoś znajomy i czy nie byliśmy śledzeni?

Ale Szkoła Dobrych Manier może się schować. Nieocenzurowany monolog Saszy odsuwa na bok takie przyziemne sprawy. Sasza wpatruje się w niebieskawe jodły po drugiej stronie polany, lecz jakby ich nie widział. Wyznania płyną z jego ust jednym wielkim strumieniem wzburzenia i rozpacz.

– Miesiące i lata po twojej deportacji z Berlina Zachodniego to dla mnie bardzo mroczny okres. Te parę podpalonych aut i rozbitych okien nie zdało się na nic. Nasz ruch nie płynął z woli ciemieżonych mas, był buntem bogatych liberałów. W rozterce roztrząsałem, co robić dalej. Według naszych anarchistycznych mistrzów konflikt światowy powinien doprowadzić do twórczego chaosu. Inteligentne wykorzystanie tego chaosu miało umożliwić powstanie wolnego społeczeństwa. Ale gdy rozglądałem się wokół siebie, musiałem uznać, że nie istnieją warunki wstępne do wytworzenia owego twórczego chaosu i że nie widać też nikogo, kto mógłby go inteligentnie wykorzystać. Chaos oznacza próżnię w ośrodkach władzy, gdy tymczasem burżuazyjna władza z dnia na dzień umacniała się na całym świecie, podobnie jak umacniała się militarna potęga Ameryki, dla której Niemcy Zachodnie stały

się teraz arsenałem i potulnym sprzymierzeńcem w kolejnej wojnie światowej, nieuchronnej, jak się wydawało. Co do tych, którzy mieli chaos inteligentnie wykorzystać, to zbyt byli zajęci własnymi zyskami i mercedesami. W tym samym czasie herr pastor osiągnął wielkie wpływy i wysoką pozycję w faszystowskich elitach Szlezwika-Holsztynu. Politykę ambony zamienił na politykę pseudodemokratycznych wyborów. Został członkiem tajnych organizacji prawicowych, przyjęto go do najbardziej elitarnych łóż masonskich, mówiono nawet, że ma ubiegać się o mandat w Bundestagu. Powodzenie tego człowieka podsycalo tylko moją nienawiść do faszyzmu, a jego płynący z amerykańskiej inspiracji kult mamony doprowadzał mnie wprost do szału. Moja przyszłość w zagarniętych przez Amerykę Niemczech Zachodnich rysowała się jako coś bezowocnego, przygnębiającego i zmuszającego do kompromisu. W którą stronę pójść, dokąd się obrócić, myślałem sobie, jeżeli mamy zbudować lepszy świat? Kogo poprzeć, jak przeciwstawić się zwycięskiemu marszowi kapitalistyczno-imperialistycznej agresji? Wiesz dobrze, że ciąży na mnie klątwa luteranizmu, że za przekonania muszą koniecznie iść czyny. Ale co to jest przekonanie? Jak je rozpoznać? Skąd wiedzieć, że należy za nim pójść? Czy szukać go sercem, czy rozumem? A jeżeli albo tylko jednym, albo tylko drugim? Wiele czasu poświęciłem zastanawianiu się nad przypadkiem mojego przyjaciela Teddy'ego. Tak, stałeś się dla mnie świetlanym przykładem. Bo pomyśl: tak jak ty nie wierzyłem, ale byłem przekonany, że jeżeli będę działał, wiara przyjdzie sama. Myślałem sobie, że może tak właśnie rodzi się wiara: przez czyny, a nie przez rozważania. W każdym razie uznałem, że spróbować warto. Wszystko jest lepsze niż bezwład. Ty poświęciłeś się dla mnie i nawet nie myślałeś o nagrodzie. Moi kusyciele – jednego już poznałeś – byli na tyle mądrzy, że przekonywali mnie w ten sam sposób. Nie przekonaliby mnie żadnymi korzyściami, ale jeżeli ktoś wskaże mi najmniejsze choćby światełko w tunelu i jeszcze dorzuci do tego możliwość obnażenia dwulicowości herr pastora, to chętnie wysłucham.

Sasza zrywa się z ziemi i niecierpliwie kuszyka tam i z powrotem swym dziwnym, nierównym krokiem, przekracza leżące rowery podczas swej przemowy i gestykuluje otwartymi dłońmi, łokcie przyciskając do boków, jakby mu było ciasno. Opisuje tajne spotkania w zachodniobierlińskich mieszkaniach, przekradanie się przez granicę na Wschód i powroty do pustego strychu na Kreuzbergu, gdzie zmagą się z decyzją – a tymczasem dawni

towarzysze porzucają komunę i sami zamykają się w otwartych więzieniach konsumpcjonizmu.

– Wreszcie po wielu nocach i dniach rozmyślań, przy pomocy wytrwałych i całkiem niegłupich kusicieli oraz paru butelek wódki, zredukowałem swoje dylematy do dwóch zasadniczych pytań. Pisałem ci o tym. Pytanie pierwsze: kto jest prawdziwym wrogiem klasowym? Odpowiedź jest oczywista: amerykański militarno-przemysłowy imperializm. Pytanie drugie: jak najlepiej można mu się przeciwstawić? Czy czekać, aż wróg sam się zniszczy, tylko że przedtem zniszczy świat? Czy też należy przymknąć oczy na pewne negatywne strony międzynarodowego komunizmu i sprzymierzyć się z jedynym wielkim ruchem socjalistycznym, który mimo swych różnych wad ma szansę odnieść zwycięstwo?

Zapada długie milczenie, którego Mundy nawet nie usiłuje przerwać, bo wie od samego Saszy, że nie jest mocny w teorii.

– Wiesz, dlaczego nazywam się Sasza?

– Nie.

– Bo to rosyjskie zdrobnienie od Aleksander. Kiedy herr pastor przywiózł mnie na Zachód, chciał, żebym przestał używać tego zdrobnienia, bo się źle kojarzyło. Odmówiłem. Zatrzymując dawne imię, mogłem dowieść sobie, że moje serce zostało na Wschodzie. No i pewnej nocy, po wielogodzinnych dyskusjach z kusicielami, postanowiłem, że dowiodę tego jeszcze raz, ale w sposób znacznie bardziej wymowny.

– A profesor?

– Był jednym z nich – potwierdza Sasza.

– A czego jest profesorem?

– Kuszenia – odpowiada krótko Sasza.

– Dlaczego tak im na tobie zależało? – To nie Amory pyta; pyta Mundy, bo chce wiedzieć, jak to się stało, że obaj znaleźli się w tej sytuacji. – Dlaczego byłeś dla nich taki ważny? Po co tak się męczyć dla jakiegoś Saszy?

– Myślisz, że ich o to nie pytałem? – Znów żałobny nastrój. – Myślisz, że jestem aż tak próżny, by uwierzyć, że świat się zmieni, jeżeli przejdę przez jakąś głównianą granicę? Z początku zresztą mi pochlebiali. Że przekonanie takiego intelektualisty będzie wielkim sukcesem sił postępu. Od razu im powiedziałem, że to bzdury. Że w RFN w ogóle się nie liczę, że nie zatrudniłaby mnie żadna licząca się uczelnia. Że to nie będzie żaden sukces. Wtedy wyznali mi swój, jak to określili, wstydlivy sekrecik: moja ucieczka

byłaby ciosem dla kontrrewolucyjnej działalności zdobywającego coraz większe wpływy herr pastora i jego fanatycznych faszystowskich współpracowników ze Szlezwika-Holsztynu. Do kas antykomunistycznych agitatorów na północy Niemiec płyną kościelnymi kanałami miliony amerykańskich dolarów. Do miejscowej prasy, radia i telewizji przenikają kapitalistyczni wywrotowcy i szpiegowie. Publiczny dobrowolny powrót jedyne go syna herr pastora do jego demokratycznej ojczyzny byłby ciosem i dla imperialistycznych sabotażystów w ogóle, i dla pozycji herr pastora w szczególności. A może nawet skłoniłby CIA do rezygnacji z finansowania niektórych zachodnioniemieckich elementów kontrrewolucyjnych.

Sasza urywa nagle i patrzy błagalnie na Mundy'ego.

– Zdasz sobie sprawę, że tą historią mogę na całym bożym świecie podzielić się tylko z tobą? Że oprócz ciebie mam samych wrogów, że wszyscy inni, co do jednego, to kłamcy, oszuści, donosiciele, żyjący ciągłym kłamstwem, jak ja?

– Tak. Chyba tak.

– Nie byłem aż tak naiwny, by w NRD spodziewać się gorącego powitania. W końcu moja rodzina wyjechała stamtąd nielegalnie. W NRD to ciężkie przestępstwo, jeżeli jeszcze się nie zorientowałeś. Moi kusiciele wiedzieli, że nie jestem komunistą z przekonania, więc spodziewałem się, bo zresztą na to mnie przygotowali, poniżającego okresu reedukacji. Dopiero potem okaże się, co mnie będzie czekać: w najlepszym razie poczesne miejsce wśród bohaterów walki z kapitalizmem, w najgorszym spokojne życie w stylu Rousseau, może w jakimś kołchozie. Czemu się śmiejesz?

Mundy wcale się nie śmieje, ale pozwala sobie na mały uśmiezek, zapomniawszy na chwilę, że żarty na temat Saszy są w złym guście.

– Po prostu nie mogę sobie ciebie wyobrazić przy dojeniu. Nawet w kołchozie.

– Mniejsza z tym. Liczy się to, że w chwili zbrodniczego obłądzenia wsiadłem do metra, pojechałem na stację Friedrichstrasse i zgodnie z radami moich kusicieli oddałem się w ręce wschodnioniemieckiej straży granicznej.

Urywa. Nadeszła chwila modlitwy. Jego piękne dłonie znalazły się nawzajem i zaciskają się teraz pod brodą. Rozmodlony wzrok unosi się znad polany ku górze.

– Dziwki – szepcze.

– Kto? Straż graniczna?

– Uciekinierzy. My wszyscy. Póki jesteśmy nowi, przekazują nas sobie z rąk do rąk, wykorzystują. A potem, kiedy już pokażemy, co umiemy, i zaczynamy się starzeć, wyrzucają nas na śmietnik. Na pierwsze kilka tygodni ulokowano mnie w przyjemnym mieszkanku na obrzeżach Poczdamu i poddano dogłębnemu, ale dobrotliwemu przesłuchaniu na temat mojego życia, wspomnień z dzieciństwa spędzonego jeszcze w NRD i powrotu herr pastora z radzieckiej niewoli.

– Kto cię przesłuchiwał? Profesor?

– On i jego wasale. Na ich życzenie sporządziłem wzruszający tekst, który miał wywołać jak największą konsternację wśród faszystów i sabotażystów z kręgu herr pastora. Zrobiłem to z wielką satysfakcją. Głosiłem bezsens anarchizmu w obliczu współczesnej rzeczywistości i moją bezgraniczną radość z powrotu na łono NRD. „Anarchizm rujnuje, komunizm buduje”, pisałem. Może nie do końca w to wierzyłem, ale przynajmniej miałem taką nadzieję. Zacząłem działać, więc wiara pewnie też wkrótce przyjdzie. Wyraziłem również pogardę dla zachodnioniemieckiego luteranizmu, którego wyznawcy, pozując na wysłanników Chrystusa, przyjmują judaszowe srebrniki od amerykańskich mocodawców i szpiegów wszelkiej maści. Zapewniono mnie, że mój tekst został odpowiednio nagłośniony w zachodnich mediach. Profesor Wolfgang określił go nawet jako sensację na skalę światową, choć żadnych dowodów mi na to nie dostarczono. Przed moim przejściem na Wschód sugerowano mi, że gdy tylko pojawię się w Berlinie Wschodnim, wystąpię na konferencji prasowej dla dziennikarzy z całego świata. Na życzenie gospodarzy pozwoliłem sobie zrobić zdjęcie, na którym starałem się wyglądać na jak najbardziej zadowolonego i przekonanego o słuszności mojego kroku. Fotografowano mnie na schodach kamienicy w Lipsku, w której się wychowałem. Chodziło o pokazanie, że syn marnotrawny powrócił do swych socjalistycznych korzeni. Ale konferencji prasowej jakoś nie mogłem się doczekać. Gdy zapytałem o nią profesora podczas jednej z jego nielicznych wizyt w moim mieszkaniu, zaczął się wymigiwać. Powiedział, że z konferencjami prasowymi jest tak, że trzeba wiedzieć, kiedy je urządzać. I że może jest już na to trochę za późno, a poza tym wystarczą przecież zdjęcia i tekst. Zapytałem go więc, które czasopisma go wydrukowały: „Spiegel”? „Stern”? „Welt”? „Tagesspiegel”? „Berliner Morgenpost”? Odpowiedział mi już dość oschle, że nie zajmuje się reakcyjną dezinformacją i że bym nie był

taki zrozumiąły. Powiedziałem mu zgodnie z prawdą, że codziennie słucham zachodniobermberskiego i zachodniemieckiego radia i że jak dotąd o swojej ucieczce nie słyzałem ani słowa. On na to, że jeżeli uważam za konieczne ogłupiać się faszystowską propagandą, to nigdy nie zrozumie marksizmu-leninizmu. Tydzień później przeniesiono mnie do dobrze strzeżonego obozu na zapadłej prowincji pod polską granicą. Było to częściowo miejsce odosobnienia dla politycznych, częściowo więzienie, częściowo areszt śledczy. A przede wszystkim wysyłano tam ludzi, o których miano zapomnieć. Nazywaliśmy je Białym Hotelem. No, wielu gwiazdek to ja bym mu nie przyznał. Teddy, słyzałeś o enerdowskim więzieniu zwanym U-Boot?

– Niestety nie. – Mundy dawno już przestał się dziwić nagłym zmianom nastroju Saszy.

– U-Boot to otoczony szczególnym kultem element naszego wschodniemieckiego gułagu. Trzej spośród moich współtowarzyszy z Białego Hotelu wyrażali się o nim z entuzjazmem. Oficjalna nazwa U-Boota to Zakład Karny Hohenschönhausen w Berlinie Wschodnim. Został zbudowany w czterdziestym piątym roku przez zapobiegliwą tajną policję radziecką. Żeby więźniowie nie tracili czujności, cele zostały zaprojektowane tak, że się w nich stoi, nie leży. Sprząta się je, wlewając lodowatą wodę po ramionach więźniów, którym zapewnia się też rozrywkę, nadając przenikliwe dźwięki przez potężne megafony. Słyzałeś o Czerwonym Wole?

Nie, Mundy o Czerwonym Wole też nie słyzał.

– Czerwony Wół znajduje się w pięknym mieście Halle. To filia Hohenschönhausen. Jego misją jest konstruktywna terapia dla politycznych malkontentów i odbudowanie ich partyjnej świadomości. W Białym Hotelu mieliśmy kilku absolwentów tej świetnej uczelni. Jednym z nich był pewien muzyk. Odbudowano mu świadomość tak gruntownie, że nie potrafił podnieść łyżki, by jeść. Można powiedzieć, że przez te parę miesięcy spędzonych w Białym Hotelu wybito mi z głowy resztki złudzeń co do enerdowskiego rajy. Zaczynałem gorąco, choć sekretnie nienawidzić tej monstrualnej biurokracji i tego lekko zawoalowanego faszyzmu. Któregoś dnia ni stąd, ni zowąd kazano mi spać manatki i zgłosić się na wartownię. Muszę przyznać, że nie byłem wzorowym gościem. Poza tym na moje zachowanie nie wpływała dodatnio niewytłumaczona izolacja, niepewność jutra i przerażające opowieści współwięźniów. I niekończące się przesłuchania, podczas których wypytywano mnie o wszelkie możliwe poglądy: polityczne, filozoficzne,

seksualne. Kiedy zapytałem naszego dystyngowanego kierownika hotelu, dokąd mnie zabierają, odpowiedział: „Gdzieś, gdzie nauczą cię trzymać język za zębami, zasrańcu”. Pięciogodzinna podróż w drucianej klatce zamontowanej wewnątrz zwykłej ciężarówki nie przygotowała mnie na to, co mnie czekało.

Patrzy przed siebie, a potem jak marionetka, której sznurki ktoś puścił, opada bezwładnie na trawę przy Mundy.

– Teddy, sukinsynu – szepcze. – Dawaj tę swoją whisky!

Mundy zdążył już zapomnieć, że ją wziął. Z kieszeni kurtki wydobywa piersiówkę po ojcu i najpierw podaje ją Saszy, potem sam pociąga spory łyk. Sasza powraca do przerwanej opowieści. Jego twarz jest straszna. Zupełnie jakby się obawiał, że przyjaciel przestanie go szanować.

– Profesor Wolfgang ma piękny ogród – oznajmia wreszcie. Podciągnął swe kościste kolana, opiera na nich przedramiona. – A Poczdam to piękne miasto. Widziałeś te pruskie domy, w których Hohenzollernowie umieszczali swych urzędników?

Mundy może je i widział, ale tylko w drodze powrotnej z Weimaru, a wtedy jego zainteresowanie architekturą dziewiętnastowieczną było dość ograniczone.

– A ile róż! Usiedliśmy w altance. Podał herbatę, ciasto, potem szklaneczkę najlepszego sznapsa. Ciągłe przeproszał, że mnie opuścił, i chwalił za zachowanie w tych trudnych chwilach. Powiedział, że na przesłuchaniach wypadłem świetnie, że dali mi wysoką ocenę za szczerść. Ponieważ przesłuchującym mnie panom mówiłem najczęściej, żeby się odpięprzyli, możesz sobie wyobrazić, jak bardzo byłem ciekaw, do czego ta rozmowa doprowadzi. Zapytał mnie, czy po tak długiej podróży nie chciałbym się wykapać. Odpowiedziałem, że ponieważ przez tyle czasu traktowano mnie jak psa, byłoby bardziej na miejscu, gdybym po prostu wskoczył do rzeki. Powiedział, że poczucie humoru najwyraźniej odziedziczyłem po ojcu. Ja na to, że to żaden komplement, bo herr pastor to dupek i w życiu nie widziałem, by się śmiał. „O, chyba jesteś niesprawiedliwy, Sasza. Ja mam wrażenie, że twój ojciec ma świetne poczucie humoru. On po prostu się z nim nie zdradza. Wiadomo przecież, że najlepsze żarty to takie, z których śmiejemy się, gdy jesteśmy sami, nie sądzisz?”, odpowiedział. Wcale tak nie sądziłem. Nie miałem pojęcia, o czym mówi, i przyznałem się do tego. Zapytał mnie, czy nie

zastanawiałem się kiedyś nad pogodzeniem się z ojcem, choćby dla matki. Odparłem, że taka myśl nigdy nie powstała mi w głowie. Że jestem przekonany, iż herr pastor nie jest odpowiednim przedmiotem miłości synowskiej. Wręcz przeciwnie, mówiłem dalej, jest ucieleśnieniem oportunisty, reakcji i politycznej niemoralności. Muszę dodać, że w tym momencie miałem poważne wątpliwości co do inteligencji profesora. Gdy zapytałem go, kiedy zgodnie z jego marksistowskimi przekonaniami dojdzie do obumarcia struktur państwowych NRD, by mogło powstać państwo prawdziwie socjalistyczne, odpowiedział tak, jak odpowiada się na to pytanie w Moskwie: że dopóki rewolucji socjalistycznej zagrażają siły reakcji, dopóki trwa zaostrzona walka klasowa, dopóty jest to bardzo odległa perspektywa.

Sasza przeciąga dłonią po swych krótko ostrzyżonych czarnych włosach, jakby sprawdzał, czy dalej nie ma na głowie beretu.

– Zresztą w tym momencie intrygowała mnie już nie sama dyskusja z profesorem, tylko jego zachowanie. Tak jakby chciał dać mi do zrozumienia, racząc mnie swoją grzecznością, sznapssem, ogrodem, kulturalną rozmową, że w jakiś nieokreślony, ale niezaprzeczalny sposób stałem się jego własnością. Że istnieje między nami jakiś związek, nieznanym dla mnie, oczywistym dla niego, wręcz jakby rodzinny. Byłem tak zdezorientowany, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem mój gospodarz nie jest homoseksualistą i nie zamierza narzucać mi się z karesami. W tym samym świetle tłumaczyłem sobie jego tajemniczą wyrozumiałość dla herr pastora: wchodząc z butami w mój konflikt z ojcem, usiłuje mi go zastąpić jako protektor i kochanek. Moje podejrzenia były bezpodstawne. Przyczyna poufałości profesora była znacznie straszniejsza.

Sasza milknie. Zabrakło mu tchu czy odwagi? Mundy boi się odezwać, ale w jego milczeniu jest jakaś otucha, bo po chwili Sasza dochodzi do siebie i ciągnie:

– Wkrótce wiedziałem już, że tak naprawdę spotkaliśmy się tylko po to, by rozmawiać o herr pastora. W Białym Hotelu w ogóle nie miałem dostępu do alkoholu, nie licząc jednej okazji z samogonem, który o mało mnie nie zabił. Teraz profesor wciąż dolewał mi sznapsa i równocześnie bombardował mnie pytaniami o herr pastora. A wyrażał się o nim jakby z szacunkiem. Mówił ciągle o „słabostkach” ojca. Czy pije? „Skąd mam wiedzieć?”, odpowiedziałem. Nie widziałem się z nim od prawie dwudziestu lat. Czy ojciec rozmawiał w domu o polityce? Na przykład tu, w NRD, przed ucieczką

na Zachód? Albo potem, w RFN, kiedy wrócił z tej indoktrynacji w Ameryce? Czy kłócił się czasem z moją biedną matką? Czy miał inne kobiety, czy sypiał z żonami znajomych? Czy brał narkotyki, odwiedzał domy publiczne, grał na wyścigach? Dlaczego profesor wypytuje mnie o ojca, którego nie znam?

Mundy zauważa, że herr pastor stał się na powrót ojcem. Sasza nie może się dłużej bronić, musi stawić czoło ojcu jako konkretnej osobie, a nie abstrakcji.

– Zapadł zmierzch. Weszliśmy do środka. Dom był urządzony nie bardzo po proletariacku: meble w stylu empire, dobre obrazy, wszystko w najlepszym gatunku. „Każdy głupi może mieszkać niewygodnie”, wyjaśnił zaraz profesor. „W *Manifeście komunistycznym* nie ma ani słowa, które zabraniałoby odrobiny luksusu tym, którzy na to zasługują. Dlaczego tylko diabeł ma nosić najlepsze garnitury?” W jadalni o pięknie zdobionym suficie potulni służący podali nam pieczone kurczęta i zachodnie wina. Gdy służba odeszła, profesor poprowadził mnie do salonu i posadził obok siebie na kanapie, a to natychmiast na nowo rozbudziło moje obawy co do jego orientacji seksualnej. Uprzedził mnie, że to, co mi powie, to wielka tajemnica; że jego dom jest regularnie sprawdzany pod kątem podsłuchu, że służba nie może usłyszeć ani słowa z naszej rozmowy. Powiedział mi też, że muszę go wysłuchać w całkowitym milczeniu i zachować wszelkie uwagi na koniec. Powtórzę ci to, co mi powiedział, słowo w słowo, bo każde wryło mi się w pamięć na zawsze.

Sasza na chwilę zamyka oczy, jakby gotował się do skoku w przepaść. Potem znów zaczyna mówić, tym razem grając rolę profesora:

– „Jak się zapewne sam domyśliłeś, moi koledzy z Urzędu Bezpieczeństwa są podzieleni, jeśli chodzi o opinię o tobie. Stąd te nieszczęsne rozbieżności w traktowaniu cię. Znalazłeś się między młotem a kowadłem, za co chciałbym cię osobiście przeprosić. Chcę cię jednak od razu zapewnić, że od tej chwili jesteś bezpieczny. A teraz zadam ci pytanie, zresztą całkiem retoryczne. Jakiego wolałbyś mieć ojca? Sprzedawczyka, fałszywego księdza, zgniłego hipokrytę za pan brat z kontrrewolucyjnymi agitatorami czy człowieka tak do końca poświęcającego się dla swych ideałów, dla wielkiej sprawy rewolucji i szczytnych zasad leninizmu, że wystawiającego się na pogardę swego jedynego syna? Odpowiedź jest tak oczywista, że nie musisz jej nawet udzielać. A teraz drugie pytanie: gdyby okazało się, że taki człowiek, od dnia swego opatrnościowego uwięzienia w Związku Radzieckim, został wybrany

przez partię do poświęcenia się jej bez reszty, i gdyby człowiek ten znajdował się teraz na łożu śmierci na terytorium wroga, czy chciałbyś jako kochający syn pocieszyć go w tej ostatniej godzinie, czy też pozostawić na łaskę i niełaskę tych, których knowania zwalczał przez całe życie?” Nakaz zachowania milczenia był całkowicie niepotrzebny, bo oniemiałem. Siedziałem i wpatrywałem się w profesora. Słuchałem jak w transie, gdy opowiadał mi, że zna i uwielbia mojego ojca od czterdziestu lat i że największym marzeniem mego ojca było, bym kiedyś powrócił do NRD i przejął miecz, gdy wypadnie z jego osłabłej dłoni.

Urywa. Jego oczy rozszerzają się błagalnie.

– Czterdzieści lat – powtarza z niedowierzaniem. – Chyba wiesz, co to znaczy, Teddy? Znają się z czasów, gdy obaj byli wiernymi wyznawcami Adolfa Hitlera. – A potem, już silniejszym głosem: – Nie powiedziałem profesorowi, że do NRD przyjechałem w nadziei, że będę mógł zniszczyć ojca, i że dziwi mnie, że mam go teraz adorować. Zapewne szkoła, jaką otrzymałem w Białym Hotelu, nauczyła mnie skrywać uczucia. Nic nie powiedziałem, gdy profesor tłumaczył mi, że choć mój ojciec zawsze marzył, by dane mu było umrzeć w Republice Demokratycznej, jego misja zmuszała go do pozostania na wygnaniu aż do końca. – Sasza znów zaczyna mówić głosem profesora: – „Największą radość w życiu ojca sprawiły mu twój tekst odrzucający anarchizm i twoje przystąpienie do Partii Odnowy i Sprawiedliwości Społecznej”. – Na chwilę jakby zasypia, potem otrząsa się nagle i znów staje się profesorem. – „Wprost nie da się opisać jego zachwyty na widok zdjęcia ukochanego syna na progu waszego dawnego mieszkania. Był głęboko wzruszony, gdy pokazał mu je nasz zaufany wysłannik. Obu nam z twoim ojcem marzyło się, że wyślemy cię do niego potajemnie, byś po raz ostatni mógł uścisnąć mu dłoń, ale pomysł ten odrzucono na najwyższym szczeblu ze względów bezpieczeństwa. By ci to wynagrodzić, ustalono, że prawda o twym ojcu zostanie ci przekazana, nim umrze, byś mógł napisać do niego list od serca. Pamiętaj, że musisz pisać z pokorą i chęcią pojednania, że musisz zapewnić go o swym szacunku i podziwie dla jego ideologicznej wierności. Bo tylko to osłodzi mu ostatnie chwile życia”. Nie mam pojęcia, jak udało mi się przejść te parę kroków z salonu do biurka w gabinecie profesora, gdzie podsunął mi papier i pióro. W głowie kręciło mi się od tych odrażających rewelacji. „Od dnia swego uwięzienia w Związku Radzieckim”. Rozumiesz, co to dla mnie znaczyło? Że ojciec, ledwo znalazł się w obozie

jenieckim, od razu zaprzedał się duszą i sercem, zyskał zaufanie politruków, którzy zrobili z niego szpiega i wyszkolili go do przyszłej służby w Urzędzie Bezpieczeństwa NRD. Że gdy wrócił do kraju i został pastorem w Lipsku, wysłuchiwał wyznań swych owieczek; niektóre na pewno zwierzały mu się ze swych opozycyjnych przekonań, nie wiedząc, że mają do czynienia z zawodowym judaszem. Do tej pory wydawało mi się, że zgłębiłem już otchłań podłości mojego ojca; teraz zrozumiałem, że łudziłem się jak głupiec. Była to równocześnie chwila, w której stanął mi przed oczyma cały idiotyzm mojego poświęcenia się sprawie komunizmu. I w której obudziło się we mnie pragnienie zemsty. Nie pamiętam już, jakie słowa fałszywego podziwu przelałem na papier, powstrzymując łzy gniewu i nienawiści. Pamiętam za to ciężar dłoni profesora położonej pocieszającym gestem na mym ramieniu, gdy mówił mi, że oto wszedłem w posiadanie ważnej tajemnicy państwowej. Partia, powiedział, ma teraz do wyboru: albo odesłać mnie na czas nieokreślony z powrotem do Białego Hotelu, albo przyjąć mnie na jakieś niskie stanowisko w Urzędzie Bezpieczeństwa, by móc śledzić każdy mój krok. Uznano, że przez jakiś czas mogę się przydać jako źródło wiedzy o rozpadających się grupkach zachodniobierlińskich anarchistów i maoistów; profesor miał jednak nadzieję, że zechcę się wyszkolić na oddanego czekistę, że wykażę się odziedziczonym po ojcu talentem do konspiracji i pójdę w jego ślady. Takie były plany profesora względem mnie i takie postępowanie wymógł osobiście na swych dostojnych kolegach jako najbardziej oddany przyjaciel i oficer kierujący mego ojca. „Teraz wszystko zależy od ciebie”, powiedział. „Teraz musisz im udowodnić, że się nie myliłem”. Zapewnił mnie, że czeka mnie w Stasi długa i trudna droga i że wiele zależy od tego, czy uda mi się nagiąć mój temperament do woli partii. A najwstrętniejsze z tego wszystkiego były dla mnie jego ostatnie słowa: „Pamiętaj, Sasza, że od tej chwili jesteś ukochanym synem towarzysza profesora”.

Czy to już koniec opowieści? Przez chwilę wygląda na to, że tak, bo Sasza, rozkojarzony jak zawsze, już spogląda na zegarek i z okrzykiem zrywa się na równe nogi.

- Teddy, musimy się śpieszyć! Oni nie będą tracić czasu.
- Co takiego? – Bo teraz to Mundy jest zagubiony.
- Przecież mam cię uwieść. Dla sprawy pokoju i postępu. Oczywiście nie od razu. Ja nalegam, ty nie dość zdecydowanie odrzucasz moje zaloty. Dziś

wieczór masz być nie w sosie, rozumiesz?

Tak, dziś wieczór mam być nie w sosie.

– I lekko pijany.

Tak, lekko pijany, choć nie tak, jak się wydaje.

Sasza wyjmuje z kieszeni magnetofon i świeżą kasetę, którą ostrzegawczo wymachuje przed twarzą Mundy'ego. Wsuwa ją do magnetofonu, włącza sprzęt, wkłada go z powrotem do wewnętrznej kieszeni kurtki, naciąga na głowę beret, a wraz z nim przywołuje na twarz obojętny grymas aparaczyka podporządkowanego całym swym jestestwem woli partii. Głos też mu twardnieje.

– Teddy, muszę ci zadać szczerze pytanie. Czy mam rozumieć, że chcesz zapomnieć o wszystkim, o co razem walczyliśmy w Berlinie? Że zostawiasz rewolucję samej sobie? Albo że nawet zaczynasz działać przeciwko niej? Że teraz kochasz swoje konto bankowe, swój mieszczański domek, że uśpiłeś swą świadomość klasową? Zgoda, wtedy nie udało się nam zmienić świata, ale przecież byliśmy jak dzieci, zaledwie bawiliśmy się w rewolucję. A gdybyś tak miał okazję przyłączyć się do prawdziwej rewolucji? Twój kraj znalazł się we władzy faszystowskiej podżegaczki wojennej, ale ciebie to nie obchodzi! Stałeś się płatnym lokajem antydemokratycznej maszyny propagandowej i masz to gdzieś! Czy to chcesz powiedzieć swemu małemu burżujkowi, gdy dorośnie: miałem to gdzieś? Jesteś nam potrzebny, Teddy! Rzygać mi się chce, gdy patrzę, jak od dwóch dni flirtujesz z nami, pokazujesz jeden cycek, chowasz go w koszulę, potem pokazujesz drugi i tak dalej! I uśmiechasz się głupio, choć siedzisz okrakiem na siatce z drutu kolczastego! – Zniża głos. – Wiesz co, Teddy? Powiem ci coś w tajemnicy, ale niech to zostanie między nami. My nie jesteśmy dumni. My rozumiemy ludzką naturę. Jak trzeba, możemy nawet płacić ludziom, by wsłuchali się w głos swego politycznego sumienia.

Wszyscy są zachwyceni widokiem wysokiego Anglika na policyjnym rowerze, gdy pojawia się przed bramą ambasady brytyjskiej w ciemnym garniturze i z mankietami spodni wsuniętymi w skarpetki. Mundy staje na wysokości zadania i z zapalem gra swą rolę. Dzwoni dzwonkiem roweru, brawurowo mija parkujące i odjeżdżające samochody. Woła: „Stokrotnie przepraszam!” do pary dyplomatów, której o mało nie rozjeżdża, i pomaga sobie w hamowaniu podniesieniem ręki i okrzykiem: „Prr, prr, prr, stary!”. Zatrzymuje swego rumaka i zajmuje miejsce w niesfornej kolejce innych gości

– czeskich notabli, przedstawicieli brytyjskich instytucji kulturalnych, tancerzy i tancerek, organizatorów i twórców. Prowadząc rower w stronę budki wartowniczej, wesoło gawędzi z wszystkimi dookoła, a gdy przychodzi jego kolej, by okazać paszport i zaproszenie, przesadnie protestuje przeciwko propozycji pozostawienia roweru na ulicy zamiast na terenie ambasady.

– Ależ nie ma mowy, stary! Wasi dzielni obywatele doprowadziliby mi go w pięć minut. Nie macie garażu? Stojaka na rowery? Gdzie pan każe, byle nie na dachu! A może tam, w rogu?

Ma szczęście. Jego krzyki ściągają jednego z pracowników ambasady, który przypadkowo znalazł się przy wejściu do pergoli prowadzącej do głównych drzwi.

– Jakież kłopoty? – pyta spokojnie dyplomata, rzucając okiem na paszport Mundy’ego. To ten sam pucołowaty okularnik, który skarżył się, że Mundy ośmieszył go kiedyś na meczu krykietowym.

– Ależ skąd, panie władzo – odpowiada żartobliwie Mundy. – Tylko nie mam gdzie zaparkować roweru.

– Bardzo proszę, wezmę go od pana. Postawię gdzieś z tyłu. Mam nadzieję, że odbierze go pan, wychodząc?

– Oczywiście. No chyba że się upiję.

– To proszę mnie zawołać, kiedy będzie pan nas opuszczał. A jakby nie było mnie na miejscu, proszę pytać o Gilesa. Dobrze się jechało?

– Dobrze.

Idzie. Tak to jest być dziwką. Kim jesteś, czego chcesz i ile mi zapłacisz? Praga, piękna księżycowa noc, wędruje po wybrukowanych uliczkach. Jest pijany, ale celowo. Mógłby wypić drugie tyle i być trzeźwy jak świnia. W głowie mu szumi, lecz nie od alkoholu, tylko od opowieści Saszy. Odczuwa tę samą nieznośną lekkość bytu jak wtedy w Wigilię w Berlinie, gdy Sasza po raz pierwszy opowiadał mu o herr pastarze. Czuje wstyd – jak zawsze, gdy staje twarzą w twarz z cierpieniem, które może sobie tylko wyobrazić, ale go nie podziela. Kroczy jak Sasza: z jedną nogą do przodu, niepewnie chwieje się na boki. W myślach jednak jest wszędzie naraz: to z Kate w domu, to z Saszą w jego Białym Hotelu. Ulice oświetlone są latarniami z kutego żelaza; nad nimi powiewają ciemne całuny prania. Piękne kiedyś domy są teraz obskurne, bramy i okna zabite deskami. Wymowne milczenie tego miasta, atmosfera stłumionego powstania są dla Mundy’ego oskarżeniem. Podczas gdy my,

bohaterscy studenci z Berlina, śmiało wznosiliśmy w górę nasz czerwony sztandar, wy, biedne skurwysyny, rąbaliście nim o bruk, na którym rozjeżdżały was za to radzieckie czołgi.

Czy ktoś za mną idzie? Załóż, że tak, sprawdź, zrelaksuj się. Czy jestem wystarczająco przygnębiony, rozstrojony? Czy zmagam się z wielką decyzją, zły na Saszę, że postawił mnie w tej sytuacji? Mundy powoli przestaje się orientować, co w nim jest udawane, a co nie. Może wszystko? Może zawsze udawał? Może jest naturalnym udawaczem? Już od urodzenia?

Na przyjęciu w ambasadzie też zachowywał się naturalnie, był duszą towarzystwa. British Council może być z niego dumny. Ale nie jest. „Mnie też jest przykro”, mówi pani kadrowa, dobra wróżka, której nigdy nie miał.

Z ambasady popedałował tryumfalnie do hotelu i zostawił rower u portiera, od którego odbierze go Sasza. Czy rower wyglądał inaczej, gdy Giles zabrał to, co w nim było? Czy był lżejszy? Rower nie, ale ja – tak. Potem znowu zatelefonował do Kate z pokoju i tym razem spisał się lepiej, nawet jeżeli to, co mówił, brzmiało jak list ze szkoły do domu:

– To miasto jest jeszcze piękniejsze, niż możesz sobie wyobrazić, kochanie... Tak bym chciał, żebyś tu była ze mną, kochanie... Nie miałem pojęcia, że tak lubię oglądać taniec, kochanie... Wiesz co, mam świetny pomysł! – I rzeczywiście wpada na ten pomysł w tej właśnie chwili, przedtem o tym nie pomyślał. – Kiedy wrócę do kraju, wykupimy karnet na Royal Ballet. Może nawet wydostanę na to trochę forsy z British Council. W końcu to ich wina, że stałem się nałogowym tańcomanem. Aha, miałem rację: Czesi naprawdę są super. Prawda, że zawsze tak jest z ludźmi, którzy na co dzień ledwo wiążą koniec z końcem?... Ja ciebie też. Bardzo, bardzo... I dzidziusia też. Śpij dobrze. *Tschüss*.

Ktoś jednak za nim idzie. Założył, że tak, upewnił się, ale nie potrafi się zrelaksować. Po drugiej stronie ulicy rozpoznał tę samą godną parę, która poprzedniego wieczoru siedziała w drugim kącie baru. A trzydzieści metrów z tyłu dwaj grubawi faceci w zmiętych kapeluszach i prochowcach bawią się z nim w berka kucanego. Wbrew wszelkim zasadom wpojonym mu w Szkole Dobrych Manier w Edynburgu Mundy zatrzymuje się, prostuje, odwraca, przykłada złożone w trąbkę dłonie do ust i drze się na całe gardło do swych prześladowców:

– Spierdalać! Wszyscy spierdalać! – Jego głos odbija się rykoszetem po ulicy. Otwierają się drzwi, firanki ostrożnie się rozchylają. – Spierdalać,

dupki! Ale już! – Po czym rzuca się na habsburską ławkę, która akurat mu się napatoczyła, i demonstracyjnie splata ręce. – No to teraz zobaczymy!

Odgłosy kroków z tyłu cichną. Dystygowana para zniknęła w bocznej uliczce. Za pół minuty pewnie znowu się pojawią, udając, że są kim innym. Wspaniale. Wszyscy udawajmy, że jesteśmy kimś innym, a potem może zabawimy się w zgadywanki, kto jest kim. Na skwerku pojawia się spory samochód, ale Mundy celowo go ignoruje. Samochód mija go, zatrzymuje się, cofa. A proszę bardzo. Mundy nadal siedzi z założonymi rękami. Głowę opuścił na pierś, patrzy w dół. Myśli o swym dziecku, o swej nowej powieści, o jutrzejszych występach. Myśli o wszystkim, tylko nie o tym, o czym myśli.

Samochód staje na wprost jego ławki. Mundy słyszy, że otwierają się drzwi. Otwierają się i nie zamykają. Odgłosy kroków. Coraz bliższe. Ten ktoś musi trochę się powspinać, bo skwerek jest na zboczu, a Mundy siedzi na górze. Kroki mijają odcinek równiejszego bruku i zatrzymują się tuż obok Teda. Ale Ted ma tak wszystkiego dość, że nawet nie chce mu się unieść głowy.

Eleganckie niemieckie buty. Brunatna skóra, ciemniejsze czubki, brązowe spodnie z mankietami. Na ramię Mundy'ego opada czyjaś dłoń. Ktoś – Mundy'emu nie chce się rozpoznawać tego głosu – odzywa się do niego piękną angielszczyzną z niemieckim akcentem:

– Ted? To ty, Ted?

A potem długie milczenie. Mundy postanawia wreszcie podnieść wzrok. Widzi zaparkowaną przy krawężniku limuzynę. Za kierownicą siedzi Lothar, z tyłu – Sasza, który wskazuje na Mundy'ego palcem. Sasza znów ma na głowie swój beret. Mundy patrzy jeszcze wyżej i widzi elegancką postać jedwabistowłosego profesora, który przygląda mu się z ojcowską troską.

– Ted, kochany. Pamiętasz mnie? Jestem Wolfgang. Bogu dzięki, że cię znaleźliśmy. Jak ty wyglądasz! Podobno pogadałeś sobie dziś z Saszą. Ale żeby uczeń świętej pamięci doktora Mandelbauma tak się zachowywał... Chodź, pójdziemy gdzieś, gdzie da się spokojnie porozmawiać o Bogu i świecie.

Przez chwilę Mundy wpatruje się w niego z ogromnym zdziwieniem. Potem odgrywa komedię z rozpoznawaniem profesora.

– Kurwa, nie zasłaniaj mi światła – mówi grzecznie i siedzi dalej z twarzą ukrytą w dłoniach, dopóki profesor przy pomocy Saszy nie podniesie go z ławki i ostrożnie nie poprowadzi do samochodu.

„Zdrajcy są jak primadonny, Edwardzie. Załamują się, mają wyrzuty sumienia, kapryszą. Wolfgangowie tego świata wiedzą o tym doskonale. Jak im nie będziesz utrudniał, nie uwierzą, że warto cię kupić”.

Rozpoczyna się klasyczna zimnowojenna operacja z gatunku „podwójny agent”. Idzie jak po grudzie, bo Ted Mundy okazuje się prawdziwym mistrzem uników.

Na międzynarodowej konferencji egiptologów w Bukareszcie okazuje fascynującą próbkę towaru, jaki pewnie mógłby dostarczać: supertajny plan zakłócenia warszawskich obrad Światowej Federacji Związków Zawodowych – ale czy naprawdę musi oszukiwać kolegów? Kusieciele szybko go zapewniają, że w służbie prawdziwej demokracji tego rodzaju skrupuły są całkowicie zbędne.

Na targi książki w Budapeszcie przywozi zachwycające, choć nieco nieaktualne opracowanie poświęcone metodom szerzenia antykomunistycznej dezinformacji w prasie Trzeciego Świata. Tylko że wciąż jeszcze boi się ryzyka. Kusieciele zastanawiają się na głos, czy pięćdziesiąt tysięcy kapitalistycznych dolarów nie ułatwiłoby mu podjęcia decyzji.

Podczas leningradzkiego Festiwalu Piosenki i Pokoju, dokładnie w chwili, gdy profesor i jego ludzie mogli się spodziewać, że już go mają, Mundy dostaje spektakularnego ataku hysterii w związku z terminem wypłaty swego wynagrodzenia. A jaki ma dowód, że gdy za pięć lat pojawi się w Julius Bär Bank w Genewie i wypowie magiczne hasło, kasjer wypłaci mu gotówkę, a nie wezwie policji? Ostatnie szczegóły zostają omówione dopiero na pięciodniowym seminarium onkologicznym w Sofii; przełom następuje podczas dyskretnego, lecz wykwintnego obiadu na górnym piętrze wspianego hotelu nad sztucznym jeziorem Iskur.

Udając chorobę przed Kate i swymi oficjalnymi pracodawcami z British Council, Mundy pozwala się wywieźć z Sofii do Berlina Wschodniego. W tej samej poczdamskiej willi profesora, w której Sasza dowiedział się, że jego ojciec pracował dla Stasi, wznoszone są toasty ku czci nowego błyskotliwego agenta umieszczonego w samym sercu brytyjskiej maszyny propagandowej i ku czci jego oficera prowadzącego – Saszy. Dwaj przyjaciele, usadowieni ramieniem w ramię w środku stołu, wysłuchują z dumą, jak profesor odczytuje telegram gratulacyjny od swych moskiewskich panów.

Zresztą tryumfują obie strony. W Londynie powstaje przy Bedford Square

nowa tajna komórka, która zajmuje się przetwarzaniem materiału otrzymywanego od Saszy (status alfa plus plus) i równocześnie dezinformacją, i to na tyle pomysłową, prawdopodobną – i niepokojącą – by zadowolić paranoiczne apetyty mocodawców Mundy’ego na najbliższe sto lat, bo przecież obie strony są pewne, że co najmniej tyle potrwa jeszcze zimna wojna.

Bywalcy tajnej siedziby na Bedford Square, w tym również Mundy, nazywają swe miejsce pracy Mydlarnią, bo właśnie zamierzają mydlić Stasi oczy.

Wpływ tego podwójnego zwycięstwa na Mundy’ego jest zróżnicowany. Z jednej strony ten pseudoartysta, pseudoradykał, pseudonieudacznik i w ogóle pseudowszystko w wieku trzydziestu dwóch lat odkrywa wreszcie swą naturalną dziedzinę sztuki. Z drugiej – są pewne niedogodności. Wiadomo, co się dzieje, jeżeli w małżeństwie każde z partnerów chce robić karierę; znacznie mniej wiadomo, jak bardzo sprawa się komplikuje, gdy chodzi nie o dwie, ale o trzy kariery, zwłaszcza gdy jedna z nich jest ściśle tajną misją dla dobra ojczyzny, o której nikomu – a więc i zainteresowanej własną karierą żonie – nie wolno nic powiedzieć.

9

Kate ma się świetnie.

Mały Jake, teraz już nie taki mały, bo ośmioletni, również.

Jake to wesoły zawadiaka, który według wierzeń rodzinnych nie jest podobny do żadnego z rodziców, lecz kubek w kubek przypomina dziadka Desa: krępy, wygadany, dobroduszny, ale łatwo wpadający w złość, nie cierpi dzielenia włosa na czworo. W odróżnieniu od Mundy'ego czy Saszy jego przyście na świat odbyło się bez żadnych incydentów. Po burzliwym wczesnym dzieciństwie honorowo spisał się w pierwszej klasie podstawówki – ku wielkiej uldze rodziców, którzy już zaczynali się obawiać, że syna trzeba będzie posłać do szkoły specjalnej. Obecnie boją się o co innego: o to, jak znieśie przeprowadzkę do Doncaster, rodzinnego miasta Kate, która musi wrócić do korzeni, jeśli chce mieć jakąkolwiek szansę na przełamanie zwycięskiej passy torysów w tym okręgu wyborczym.

Przez te osiem lat bardzo wzrosły polityczne ambicje Kate. Uważana jest teraz za jedną z wybitniejszych odnowicielek Partii Pracy. Jej bezpardonowa walka z ekstremistami z St Pancras – „Nieustraszona nauczycielka walczy z wrogiem wewnętrznym”, napisał o niej „Hampstead & Highgate Express” – nie pozostała niezauważona w partyjnej centrali. Wojownicza mowa, wygłoszona z okazji otrzymania nominacji do wyborów w okręgu Doncaster, powszechnie chwalona za nieustępliwy realizm, zachwyciła nowych centrystów z Partii Pracy. I choć serce jej się kraje, że musi pożegnać się ze swymi uczniami i kolegami z Hampstead – nie mówiąc już o konieczności wykorzeniania Jake'a właśnie w chwili, gdy wreszcie się jakoś odnalazł – no cóż: ciekawą ofertą pracy kusi ją najlepsza szkoła średnia w południowej części hrabstwa York, dają dom, podstawówka dla Jake'a jest tuż za rogiem, podobnie ośrodek sportowy, gdzie będzie mógł się wyszaleć.

Ale zdaniem całej rodziny właśnie Ted pokazał w tej całej sprawie, ile jest wart. Zresztą Des od dawna każdemu to powtarza. „Bo gdyby nie Ted, Kate nigdy nie wygrzebałaby się z tej dziury”, mówi bojowy dziadek. Idzie jeszcze dalej, bo mówi coś, co powtarzać będzie po nim cała bliższa i dalsza rodzina,

a o czym Mundy chciałby jak najszybciej zapomnieć:

– Coś wam powiem i zaraz za to wypijemy – zaczyna Des przy niedzielnym obiedzie, gdy Mundy kroi pieczeń, a Jake usiłuje namówić wszystkich, by wraz z nim odśpiewali jego najnowszy dziecinny przebój. – Kiedy nasza Kate przeniesie się pod dziesiątkę na Downing Street, a przeniesie się, nie żartuję... Jake, zamknij się na chwilę, dobrze? Więc kiedy się tam przeniesie, Ted będzie umiał zachować się znacznie lepiej niż ten baran Denis Thatcher. Nasz Ted nie będzie całymi godzinami grał w golfa i nie będzie się uwaliał o czwartej po południu... Jake, za chwilę, kochanie... Więc nasz Ted, w odróżnieniu od Denisa Zawadiaki, będzie na swoim miejscu, czyli u boku mojej kochanej córki. Będzie dla niej podporą... Jake, zamkniesz się czy nie? ... dokładnie tak, jak ksiązę Albert był podporą dla królowej Wiktorii. Kate, nie śmieję się, serio mówię. Ted będzie najlepszym księciem małżonkiem, jakiego można sobie wyobrazić. A więc, Ted, twoje zdrowie i niech cię Bóg błogosławi. No dobra, Jake, śpiewamy!

Przeprowadzka do Doncaster to komplikacja dla całej rodziny, ale Kate i Ted to dwoje rzeczowych ludzi, więc nie będą się tym przejmować. Jake, mają nadzieję, zasnął wreszcie u siebie na górze; Kate referuje sytuację. „Ted skończył właśnie czterdziestkę, więc byłoby czystym szaleństwem rezygnować z nabytych praw do emerytury i widoków na awans – no chyba że trafiłoby się coś równie dobrego albo i lepszego. I tyle”, mówi Kate. „Bo szczerze mówiąc, Ted, w twoim wieku, na twoim stanowisku...” Taktownie nie kończy zdania, dokładnie tak jak we wcześniejszym przemówieniu pod tytułem *Nasze małżeństwo i jego niedociągnięcia*, do których należą przede wszystkim częste nieobecności Mundy’ego i jego dziwne rozkojarzenie przed każdym wyjazdem i po nim; każda inna żona doszłaby do wniosku, że jest ktoś jeszcze, lecz skoro on tak się zarzeka, że nie ma nikogo, to musi mu wierzyć.

Wracając do perspektyw awansu Teda czy raczej do ich braku, Kate mówi, że chyba oboje są zgodni, że wyżej w British Council już nie zajdzie. Stanowisko nadzwyczajnego przedstawiciela na Europę Wschodnią, które przed laty dla niego stworzono, nie okazało się taką znowu drogą do chwały. Szczerze mówiąc, ciągnie, znacznie bardziej przypomina ślepy zaułek. A już zupełnie nie rozumie, dlaczego uparli się nazywać go teraz p.o. nadzwyczajnego przedstawiciela na Europę Wschodnią. Jedyne powód, jaki przychodzi jej na myśl, jest taki, że Ted musiał podpaść czymś, o czym nie

chce jej powiedzieć. A może jednak się dowiedzieli, że nie ma dyplomu? I czemu raz nie porozmawia po męsku z tymi baranami w kadrach, skoro sam twierdzi, że traktują go jak powietrze?

– Bo przecież ty, kochanie, nigdy się o swoje nie upominasz. To przez tę twoją cholerną prywatną szkołę. No a w naszych czasach trzeba walczyć o swoje. To zresztą też wina tej Thatcher.

Następnie Kate przeprowadza analizę wariantu, w którym Mundy zamieszkałby w Doncaster i dojeżdżał do pracy w Londynie. Niestety, to też odpada. Abstrahując od astronomicznego kosztu rocznego biletu kolejowego Doncaster–King’s Cross, żadne z nich nie wyobraża sobie, by Ted mógł wysiedzieć cztery godziny dziennie w pociągu, nie licząc metra – zwłaszcza jeżeli Thatcher spełni swe groźby względem kolei. A w dodatku Kate będzie musiała przyjąć kogoś do Jake’a, by mogła bez przeszkód zająć się polityką. Jej polityczna agentka, również matka dzieciom, twierdzi, że zawsze można znaleźć jakąś porządną kobietę ze Sri Lanki, tylko że nie za darmo.

– Zresztą całkiem racjonalnie rzecz biorąc, jeżeli podliczymy weekendy, święta i twój urlop – (sama już to uczyniła) – robi się z tego prawie pół roku. Więc może najlepiej tak do tego podejść? Dodatkowo biorąc pod uwagę fakt, że od kiedy pracujesz w British Council, spędzasz za granicą średnio dwa miesiące, bo z jakiegoś dziwnego powodu dowalili ci jeszcze konferencje naukowe i wymianę studencką.

Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich lat Mundy się zastanawia, jaka jest ta jego Kate. Siedząca teraz przed nim kobieta zupełnie nie przypomina tej, za którą tęskni przy każdym wyjeździe. Nie chodzi o to, że się zmieniła – nie, raczej wydaje mu się czasem, że zastąpiono ją kimś zupełnie innym. Wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że to jakiś sobowtór Kate. Z drugiej strony przychodzi mu na myśl, że Kate może identycznie myśleć o nim.

– A teraz następne pytanie: czy stać nas na utrzymywanie dwóch domów, a co za tym idzie, co zrobimy z Estelle Road, tym bardziej że ceny na rynku mieszkaniowym, celowo podbite przez banki z City dla ich własnych celów, spadły ostatnio na łeb, na szyję? A może by tak nie sprzedawać domu, tylko wynająć komuś dwa pokoje, na przykład studentom medycyny albo pielęgniarkom z Royal Free Hospital? Tobie zostałyby nasza sypialnia, salon i kuchnia, reszta byłaby dla lokatorów.

Mundy’emu nie uśmiecha się perspektywa otrzymania trzeciej już posady – tym razem kierownika pensjonatu – ale nic nie mówi. Trzeba by to jeszcze

przedyskutować z Desem, może dałoby się zaadaptować strych. Mundy musi w dodatku zapytać o zdanie Amory'ego, który do spółki z profesorem jest właścicielem pakietu kontrolnego akcji firmy Mundy.

Amory jest zachwycony pomysłem utrzymywania dwóch niezależnych domów. Jeżeli sprawa miałaby rozbić się o finanse, Londyn może się dołożyć. Stać nas. Jako cenny agent Stasi Mundy otrzymuje ładną pensyjkę, premie i wypłaty motywacyjne. Niestety, etyka zawodowa każe mu oddawać wszystko swym prawdziwym pracodawcom, którzy odwdzięczają mu się znacznie skromniej – i nic dziwnego, skoro w odróżnieniu od Stasi Londyn przyjmuje jego lojalność za pewnik. Do Mundy'ego nie przemawiają jakieś tam obligacje i polisy ubezpieczeniowe lokowane w City na jego nazwisko; poza tym może liczyć wyłącznie na szarą kopertę z comiesięczną wypłatą – sam Amory nazywa to zresztą kieszonkowym – bo przecież nagłe polepszenie się jego sytuacji finansowej mogłoby zwrócić uwagę nie tylko brytyjskich służb bezpieczeństwa, od których instytucja Amory'ego woli trzymać się z daleka, ale i rodzinnego skarbnika, czyli Kate.

– To było najlepsze wyjście, Edwardzie. Jake szybko zaadaptuje się w nowej szkole, kłopotów nie będzie. Jak mu idzie krykiet?

– Świetnie. Wspaniale.

– No to o co chodzi?

– A o to, że Kate lubi odwiedzać wyborców w domach w weekendy, bo wtedy można kogoś zastać.

– To jej powiedz, żeby to robiła tylko wtedy, kiedy cię nie ma – radzi Amory.

Niewykluczone, że on rzeczywiście ma żonę, której można coś takiego kazać.

I nagle Wielka Schizma staje się faktem. Mundy wynajmuje ciężarówkę. Des i jego przyjaciel Wilf ładują na nią te meble, które Kate zawczasu oznaczyła różową taśmą klejącą. Jake, który przeprowadzki nie popiera, barykaduje się w swym pokoju i wyrzuca jego zawartość przez okno na ulicę: leci poduszka, kołdra, dziecinna straż pożarna i na samym końcu drewniana kołyska, zrobiona przed jego urodzeniem przez Desa i Mundy'ego.

Jake wciąż jeszcze wyrzeka na tylnym siedzeniu ciężarówki, gdy dojeżdżają do nowiutkiego osiedla domków jednorodzinnych pod Doncaster. Nad okolicą

dominuje kościół z czerwonej cegły i stojąca opodal dzwonnica, która przypomina Mundy'emu wisielca zwisającego z szubienicy. Parterowy domek, należący już do przyszłej parlamentarzystki, to pudełko z pomarańczowym dachem, z wielkimi oknami i prostokątem skoszonej trawy z przodu i z tyłu wyglądającym trochę jak dwa świeże groby. Po dwóch dniach hałaśliwego wypakowywania mebli, przerywanego tylko na krykieta na pobliskim boisku i całym repertuarem śmiesznych głosów Mundy'ego – nie mówiąc już o udobruchiwaniu przez niego sąsiadów i innych członków elektoratu – Ted wraca do Londynu pustą ciężarówką i stawia pierwsze kroki w zawodzie kierownika pensjonatu.

Wczesnie rano rusza na błonia Hampstead i stara się nie wspominać, jak to było, kiedy rano odprowadzał tamtędy Kate do pracy, a wieczorem czekał na nią pod szkołą wśród mam przybyłych po swe pociechy. I piaskownicy, w której on i Jake odtworzyli bitwę pod Waterloo, i tego rogu boiska, w którym zawsze rzucali do siebie frisbee i odgrywali mecze krykietowe między Anglią a Pakistanem, dopóki Jake nie dał do zrozumienia, że od wszystkiego, co może mu zaoferować Mundy, woli towarzystwo swych nieprzyjemnych rówieśników.

Napady złości Jake'a to oskarżenie. Wygląda na to, że Jake ma za złe całej rodzinie: Kate, która w gniewie tylko wydyma usta, i Mundy'emu, którego pierwsza linia obrony to robienie głupich dowcipów i wybuchy nieszczerego śmiechu, by jakoś przetrwać pierwszy atak. Jake nie odziedziczył po rodzicach ani jednej, ani drugiej taktyki. Wrzeszczy, gdy próbują go uciszać, wrzeszczy, gdy jest zniechęcony, zdezorientowany lub zaniedbywany. Jego stanowisko względem Mundy'ego jest jasne: „Oszukujesz mnie, tato. Patrzyłem na twoje wygłupy, uważnie słuchałem twoich śmiesznych głosów i nieudolnego naśladowania ptaków. Znam na pamięć całą gamę twych nieszczerych min. Przejrzałem cię. Z turysty rewolucjonisty stałeś się kapitalistycznym szpiegiem; jesteś nieszczerzy do szpiku kości. Ponieważ jednak mój młody wiek nie pozwala mi na wyartykułowanie tego wszystkiego – wrzeszczę. Podpisano: Jake”.

Ale przecież mogło być gorzej, powtarza sobie Mundy, bezwiednie wyciągając prawą dłoń ku niebu, co teraz często mu się zdarza. No dobrze, może nie jestem takim ojcem, jakim chciałem być, lecz nie jestem też pijakiem wywalonym z pakistańskiego wojska za bójkę z kolegą oficerem. A poza tym Jake ma prawdziwą, żywą i awansującą społecznie matkę, a nie martwą

arystokratkę przemienioną w nianię z irlandzkiej prowincji. To nie moja wina, że jest we mnie sześciu różnych ludzi.

Z początku życie Mundy'ego toczy się według dawnego rozkładu jazdy. Przed południem wysiaduje w swym gabinecie w British Council albo łązi w kółko – zapewnia sobie alibi, jak to określa Amory. To gdzieś zatelefonuje, to podpisze jakiś dokument, to znów uprzejmie pogada z kimś w kantynie, gdzie brany jest za kogoś, kto poszedł w odstawkę. Zgodnie z poleceniem Amory'ego wygłasza kwaśne antyrządowe poglądy, co mimo jego przysłowiowej uprzejmości wychodzi mu całkiem naturalnie. Może dawny rewolucyjny ogień nie pali się w nim już wielkim płomieniem, ale dzięki pani Thatcher tli się jeszcze całkiem nieźle.

Lunch, przy którym zawsze oddycha z ulgą, jest już bardziej urozmaicony. Jeżeli Ted ma szczęście, z ramienia British Council spotyka się z dyplomata kulturalnym z którejś z demoludzkich ambasad; najczęściej nie kultura jest głównym zajęciem współbiesiadnika. Wtedy Mundy wygłasza znacznie bardziej wywrotowe poglądy, słusznie rozumując, że jego słowa prędzej czy później trafią do profesora. Czasem współbiesiadnik usiłuje go zwerbować; Mundy grzecznie odmawia, ale nie będzie mu przecież tłumaczył, że jest już wystarczająco zaangażowany po obu stronach ideologicznej przepaści.

Popołudnia bywają różne. Zgodnie z bliżej mu nieznanym układem, jaki Amory zawarł z działem kadr British Council, poświęcone są one rzekomo na spotkania z artystami lub ich przedstawicielami. W rzeczywistości są oddane do całkowitej dyspozycji Amory'ego. Że jednak w życiu Mundy'ego nie ma stałego rozkładu zajęć, zdarza się często, że przez parę godzin nie ma nic do roboty. Z początku spędzał ten czas w National Gallery, w Tate, w British Museum i innych sławnych instytucjach służących samokształceniu; ostatnio jednak woli odwiedzać małe kluby striptizu, które pojawiają się i znikają jak barwne muchomory na żyznej glebie londyńskiego Soho.

Nie chodzi tam z lubieżności. Pociąga go kościelna atmosfera i spokój, nieme skupienie współwyznawców i obojętna cierpliwość samych kapłanek. Siedząc w zadymionym półmroku, Mundy czuje się niczym król, niezależny i nietykalny jak obserwowane dziewczęta. Wbrew przewidywaniom nie dręczy go wstyd, wyrzuty sumienia czy skrucha. To mi się należy. Mundy nr 2 byłby ze mnie dumny, a w Doncaster na razie jeszcze nie mogę się pokazać.

Około czwartej – przedtem musi zatelefonować z budki pod pewien numer –

udaje się jedną ze ściśle określonych dróg na Bedford Square, do rzędu solidnych wiktoriańskich domków z kolumnami zajmowanych przez wydawnictwa, towarzystwa dobroczynne czy – jak w przypadku numeru dwanaście – przez firmę eksportowo-inwestycyjną Export-Invest sp. z o.o., która, jak Mundy’emu wiadomo, istnieje tylko na mosiężnej tabliczce na drzwiach frontowych.

Dyskretnie rozpoznawszy plac na okoliczność znajomych lub podejrzanych twarzy – częste pobyty w edynburskiej Szkole Dobrych Manier zrobiły swoje – otwiera drzwi własnym kluczem i wchodzi do swego drugiego domu. Albo prawie, bo staje zaraz przed następnymi drzwiami, przed którymi musi czekać, aż wesołe piegowate dziewczę imieniem Laura z sygnetem tatusia na palcu prawej dłoni wpuści go do Mydlarni.

Tu wreszcie, na Bedford Square, liczne odrębne elementy postaci Teda Mundy’ego – aktora, powieściopisarza, dobrego towarzysza, syna majora, nieudacznika, marzyciela i oszusta – łączą się w jednego bohatera.

To tu, w Mydlarni, witany jest z szacunkiem, którego brakuje każdemu z jego innych wcieleń. To tu opada z niego kontemplacyjna pokora klubów ze striptizem. To tu mamy do czynienia z gatunkiem *Mundy erectus*.

To tu rozumieją jego prawdziwe uczucia, szanują jego prawdziwe talenty.

Bo czy ktokolwiek z zewnątrz wie na przykład, że Ted Mundy to mistrz miniaturowego aparatu fotograficznego i że średnia odrzutów zeszła mu przez te osiem lat poniżej dziewięciu procent? A w Mydlarni o tym wiedzą.

Taka operacja dezinformacyjna to skomplikowana sprawa. A wszystko kręci się wokół Mundy’ego, bo to on jest tym kierowcą rajdowym, który może zapłacić życiem za każdy najdrobniejszy błąd swoich mechaników.

Najpierw w tajnych katakumbach Whitehall grupka mandarynów ustala, jakie przestarzałe tajemnice państwowe można bez szkody przekazać wprost lub po subtelnych modyfikacjach enerdowskim ofiarom Mundy’ego. Do tego dodaje się jeszcze listę „pożądanych dezinformacji” – czyli tego, co podane we właściwy sposób sprawi, że wróg skieruje czujność w niewłaściwą stronę.

Wtedy do akcji wkracza grupa z Bedford Square, owi mydlarze. Muszą spreparować ściśle tajne dokumenty, pojedyncze notatki służbowe czy wymianę pism między wydziałami, których samo istnienie i nazwa musi podniecić paranoję wroga. I dać się podsłuchać, gdy nieostroźnie rozmawiają

o sprawach zawodowych w kantine, przy pisuarach albo w pubach wokół Trafalgar Square, gdzie w powszednie wieczory chętnie zalewają robaka.

Kim jednak są owi nieistniejący złoczyńcy, owi sabotażyści i intryganci z tajnego świata Whitehall? Gdzie się spotykają, by knuć swe złowrogie plany, kim są ich mocodawcy? Z której warstwy społecznej pochodzą, jakie mają umiejętności? Jakie są ich apetyty, ambicje, wady? I jak to się dzieje, że Mundy nr 2, zgorzkniałe beztalencie, ten omijany przy awansach malkontent przemycający mrocznymi korytarzami, może mieć dostęp do takich dokumentów?

Grupa operacyjna pracuje pod tytułarnym kierownictwem Amory'ego, lecz jej duszą, siłą sprawczą jest Mundy, który przechadza się po pokoju z jedną dłonią we włosach, to tryskając pomysłami, to wycofując się z nich, i przymierza historyjki jak garnitur w sklepie. Bo wszyscy w budynku – od Laury, która zajmuje się tylko otwieraniem drzwi, przez fałszerzy i fabrykatorów dokumentów do ukradzenia, techników fotografujących w piwnicy materiał akurat tak niedbale, by wyglądało to na robotę amatora, aż po asystentów, którzy ćwiczą z nim rolę do chwili, gdy wsiada do autobusu na lotnisko – wszyscy wiedzą, że Ted tak naprawdę działa sam, że tu chodzi o jego dupę, że to Ted będzie gnił w jakimś strasznym komunistycznym więzieniu, jeżeli coś pójdzie nie tak.

Mundy też to wie i boi się jak diabli. Do samolotu wsiada tylko dlatego, że pchają go do środka wszystkie kryształowe cnoty Mundy'ego nr 1, patriotycznego wychowanka prywatnego szkolnictwa angielskiego, oficerskiego syna, oraz wódka w lotniskowym barku wypita. Kiedy jedzie jako opiekun jakiejś delegacji, jest jej członkom do zgonnie wdzięczny za fałszywe zresztą poczucie większego bezpieczeństwa; w przeciwnym razie cierpi w samotności.

Ale gdy tylko samolot znajdzie się w powietrzu, wszystko się zmienia. Z Teda opada strach, w jego miejsce pojawia się wdzięczność i nieziemski spokój. Powoli Mundy nr 1 zmienia się w Mundy'ego nr 2. Anglia, którą zostawia za sobą, staje się jego wrogiem i gdy Mundy ląduje wśród drutów kolczastych i betonowych zapór kolejnego wschodnioeuropejskiego lotniska, najchętniej uściskałby srogich żołnierzy strzegących jego przemarszu z samolotu do lotniskowego autobusu. Świecie wierzy, że teraz dopiero może przestać udawać, że teraz dopiero oddycha powietrzem swobody, że teraz

dopiero jest wśród swoich.

Bo jest. Ostatnio Sasza niemal zawsze czeka na niego na lotnisku; ich związek jest już jak najbardziej uświęcony. A jeżeli Mundy obawia się, że któryś z jego rodaków może zacząć uważniej się przyglądać takiej zażyłości z enerdowskim urzędnikiem, Sasza, myśliciel Lothar lub Horst intelektualista zorganizują znacznie bardziej dyskretne powitanie w hotelu bądź specjalnie wynajętym mieszkaniu. W niczym jednak nie umniejsza to radości, z jaką dwie gwiazdy wywiadu wyczekują spotkania.

Zgodnie z instrukcjami Saszy, potwierdzonymi później przez Amory'ego, Mundy od początku odmawia współpracy z kim innym. Tylko Sasza. Żadnych kontaktów z licznymi i na pewno świetnymi profesjonalistami utrzymanymi przez profesora w londyńskiej ambasadzie NRD. Za żadne skarby nie będzie wystawał po zmroku przed Harrodsem, czekając, aż samochód o podanym numerze rejestracyjnym zwolni tak bardzo, by mógł wrzucić przez okno małą paczuszkę. Nie będzie zakopywał mikrofilmów w kwietnikach przy Serpentine w Hyde Parku ani znaczył kredą żelaznych poręczy, ani tym bardziej wymieniał się identycznymi torbami na zakupy z panią w zielonym kapeluszu stojącą w kolejce przy stoisku rybnym w supermarkecie Waitrose. Kapryśny i wymagający agent Stasi upiera się przy swoim – swój materiał przekazuje do rąk własnych Saszy przy kolejnym spotkaniu, które następuje wyłącznie wtedy, gdy British Council uzna za stosowne wysłać go do któregoś z demoludów.

I dlatego też nikt inny, tylko Sasza odbiera od Mundy'ego nowe zwoje mikrofilmu ukryte w tym, co dostarczyli poprzednim razem ludzie profesora – w puszcze z talkiem, tubce pasty do zębów, radiu tranzystorowym. Nikt inny, tylko Sasza wypytuje Mundy'ego, w jaki sposób udał mu się kolejny popisowy numer. No i oczywiście żadne z ich kolejnych spotkań nie może się obyć bez czegoś, co by obu przyjaciółom przypomniało dawne czasy: spacer po lesie, przejażdżka rowerowa, obiad w wiejskiej gospodzie bez opieki. A Sasza, jak każdy dobry oficer prowadzący zadowolony ze swego agenta, nie zapomina przy okazji o dowodach wdzięczności. Oczywiście nie jest to nic, co mogłoby Mundy'ego skompromitować – a to stare wydanie jakiegoś klasycznego dzieła literatury niemieckiej, by uzupełnić coraz bogatszą kolekcję Mundy'ego w Londynie, a to coś z drezdeńskiej porcelany wypatrzone na pchlim targu, a to puszcza rosyjskiego kawioru.

Tylko z rzadka – a i to z nieskrywaną niechęcią – Sasza godzi się doprowadzić swą owieczkę przed oblicze profesora. Na przykład na kolejny

niekończący się obiad w poczdamskiej willi. Zwracając się do Mundy'ego – i przy okazji do siedzącego u jego boku Saszy – profesor unika mówienia o mrocznych stronach szpiegostwa i koncentruje się na ogólnej wizji spraw światowych.

– Nadejdzie dzień, Teddy, zresztą obaj tego dożyjecie, zapewniam was, chłopcy, kiedy mury kapitalistycznej twierdzy rozsypią się w proch i pył. – Ponieważ profesor znów chce się pochwalić swą angielszczyzną, Sasza nie musi nawet ukrywać znudzenia. – Społeczeństwo konsumpcyjne w końcu skonsumuje się samo. Spada wasza produkcja przemysłowa, rozwija się za to sektor usługowy. To może się skończyć w jeden tylko sposób. Te mury runą, runą, runą, i wcale nie chodzi mi o ten mur tu, niedaleko! – Rzykowny dowcip. – Czy nie uważasz, Teddy, że w twoim kraju, w kraju, w którym biedni głodują, a bogaci dławią się swym bogactwem, tryby przemysłu obracają się coraz wolniej?

Nie ma najmniejszego znaczenia, co Mundy odpowiada na takie komunały. Liczy się tylko to, jak wypadnie na kolejnym przesłuchaniu, które rozpoczyna się oczywiście w chwili, gdy czuje się najswobodniej.

– Bardzo zainteresowało nas twoje doniesienie o działalności waszego Komitetu Czarnej Propagandy. Najbardziej podobał się nam pomysł szerzenia pogłosek o epidemii tyfusu w Rumunii akurat w czasie, kiedy ma się tam rozpocząć Międzynarodowy Festiwal Młodzieży.

– Tak, ja też jestem z tego dumny – wyznaje Mundy. – Tylko że to dopiero projekt. No a jeżeli weźmie się do tego Foreign Office, to na pewno nic z tego nie będzie.

– Jak to zdobyłeś?

– Sfotografowałem.

„A jeżeli zaczną kwestionować twoją prawdomówność – a będą od czasu do czasu – zamykaj się w sobie”, poradził mu już dawno temu Amory. „Zdrajcy nie lubią, kiedy im się nie wierzy. Nie jesteś wyjątkiem”.

– No, to przecież wiemy, Teddy. Interesują nas okoliczności, w których ci się to udało.

– Pismo leżało u Mary Outhwaite na biurku.

– A ta Mary Outhwaite to...

– Oficjalnie prowadzi biuro dla studentów zagranicznych. A nieoficjalnie kieruje Grupą Interwencji Specjalnych, która działa jako parasol dla Komitetu Czarnej Propagandy.

Jak sam dobrze wiesz, do jasnej cholery, niemal dodaje.

– I ta Mary ma zwyczaj zostawiać na biurku dokumenty ściśle tajne specjalnego znaczenia, dostarczone jej do rąk własnych, żeby byle kto mógł przyjść i je sfotografować?

– Nie – odpowiada Mundy i jeży się na określenie „byle kto”.

– A więc jakież to korzystny zbieg okoliczności pozwolił ci odnieść ten tryumf?

– Mary jest zakochana.

– No to co?

– Ma jego zdjęcie na biurku.

– Dziękuję, lewa część jego twarzy nawet weszła ci w kadr. Z tego, co widać, całkiem niezły chłopczyk. Tylko raczej nie w typie intelektualisty.

Niezły chłopczyk? Kto go uczył angielskiego, do diabła? W umyśle Mundy’ego powstaje postać angielskiego pedagoga homoseksualisty porwanego za młodu do szkoły języków obcych Stasi.

– Zdradza ją – mówi. – Wszedłem kiedyś do jej biura i zobaczyłem, że Mary beczy.

– A pod jakim pretekstem tam się znalazłeś?

– Pod żadnym – odpowiada kąśliwie Mundy. – Chciała zapytać mnie o zdanie, czy pewien historyk współczesny, którego wozilem do Budapesztu, przydałby się jej w jakiejś komisji. Kiedy zobaczyłem, że płacze, chciałem wyjść, ale mnie zawołała. Musiała z kimś pogadać. Zarzuciła mi ręce na szyję i szlochała. Kiedy wreszcie się uspokoiła, wyglądała okropnie, więc musiała doprowadzić się do porządku. Ponieważ jest nie byle kim, ma biuro z przylegającą łazienką. Uparłem się, że poczekam, aż wróci, na wypadek gdyby ją znowu wzięło.

– Jakiś ty rycerski!

– Miałem szczęście.

Profesor jest rozpromieniony.

– A więc jesteś świetnym oficerem, jak by powiedział Napoleon.

I na poparcie swych słów wyciąga z kieszeni czerwone pudełeczko, a z pudełeczka tandetny medal na równie czerwonej wstążce i dekoruje nim Mundy’ego. Mundy jest od tej chwili Bohaterem Walki o Wolność i Demokrację drugiej klasy. Order ten jest mniej więcej odpowiednikiem innego odznaczenia, które Bohater Walki o Wolność i Demokrację drugiej klasy otrzymał niecałe półtora miesiąca wcześniej podczas kameralnej

ceremonii na Bedford Square. Dekoracji dokonał sam szef Amory'ego, znany Mundy'emu pod pseudonimem Proboszcz. I jeden, i drugi order są poza tym podobnej klasy co ten trzeci, otrzymany w poprzednim pokoleniu przez pewnego dzielnego majora za unieszkodliwienie dwudziestu żołnierzy nieprzyjaciela.

Mundy'ego przesłuchuje nie tylko profesor i jego wasale, lecz również niejaki Orville J. Rourke – i jeżeli nie jest to zmyślone imię i nazwisko, to sprawia wrażenie, jakby było.

Rourke jest Amerykaninem. Nikt nie nazywa go Orville, tylko Jay. Pojawia się na Bedford Square otoczony nimbem tajemnicy. Podobno przysłano go z Langley. Z CIA.

– No to niech tam wraca – wybucha Mundy, gdy Amory oznajmia mu, że Rourke został właśnie włączony do grupy operacyjnej.

– A to dlaczego?

Mundy szybko się zastanawia, dlaczego jest taki zły. Właśnie wrócił z bardzo denerwującej schadzki w Kijowie i zostało w nim jeszcze sporo Mundy'ego nr 2.

– A co ja powiem Saszy?

– Nic mu nie powiesz. Tobie też wielu rzeczy nie mówimy dla twojego własnego dobra, więc i ty możesz raz o czymś nie powiedzieć Saszy. Przecież on nie ma najmniejszego powodu, by myśleć, że tym, co nam dostarcza, nie dzielimy się z Amerykanami. Tylko nie trzeba mu tego zaraz pchać przed oczy.

– A co niby ma tu robić ten Rourke?

– Ma być oficerem łącznikowym, analitykiem, logistykiem... Sam nie wiem. A w ogóle to nie twój interes.

Rourke oczywiście nie spełnia oczekiwań Mundy'ego, który w swej urażonej godności wyobraża go sobie jako szczurowatego, tępego robota z CIA. Rourke jest szczupły, kulturalny, obyty i przystojny szlachetną celtycką urodą. Patrycjusz o lekko rozleniwionym stylu bycia, pełen jakiejś dobroduszej, zaraźliwej ciekawości: „O Boże, naprawdę tak uważasz?” mruczy przeciągle swym irlandzko-bostońskim akcentem. „No nie, serio? To jak to jest...” A gdy dowiaduje się, że mama jednej z koleżanek z grupy jest Francuzką, rozmawia z nią po francusku. Równie płynnie mówi po niemiecku. Ma szeroką, przyzwoitą twarz, chodzi trochę niedbale i jakby niepewnie, co jeszcze akcentuje jego sympatyczną powierzchowność. Nosi garnitury szyte

w Dublinie i półbuty na grubej podeszwie. O buty dba, nie stawia stóp byle gdzie. Ku przerażeniu Mundy'ego służył w CIA w Wietnamie, do której to zbrodni przyznaje się dobrodusznie już podczas ich pierwszego spotkania w gabinecie Amory'ego.

– No, ja tam byłem przeciwny tej wojnie i nie zmieniłem zdania – oznajmia pompatycznie Mundy.

– I masz rację, Ted. Jeszcze jak! – zapewnia go Rourke z rozbrajającym uśmiechem. – To i tak było sto razy gorsze, niż się wam, pacyfistom, zdawało. Najpierw zabijaliśmy, kogo się dało, a potem zaparliśmy się wszystkiego. Robiliśmy takie rzeczy, że jeszcze dziś chce mi się rzygać. Nikt nam nie powiedział, że dość, więc mordowaliśmy dalej.

I jak tu zareagować na taką szczerłość? Szczególnie kiedy jest się kimś, kto prowadzi samotne, choć podwójne życie w Londynie i tylko na weekend dojeżdża do żony i syna w Doncaster?

– Rourke chce mnie zaprosić na kolację – informuje Mundy Amory'ego, prawie spodziewając się obiekcji. Takie zaproszenie to precedens, bo protokół grupy i względy bezpieczeństwa dyktują, że to, z kim agent je kolację, zależy wyłącznie od Amory'ego.

– No to idź.

– Jak to?

– On chce zjeść z tobą kolację, ty z nim też. Przeczytał twoje akta. Zresztą nas wszystkich pewnie też. Niczego nowego z ciebie nie wyciągnie. Możesz mu się zwierzyć ze wszystkiego, jeżeli tego akurat ci trzeba.

Zazdrość? Obojętność? Mundy sam nie wie, co o tym myśleć.

Rourke mieszka na Eaton Place w ładnym trzypiętrowym domku. Mundy nie zdążył nawet dotknąć dzwonka, a drzwi już otwiera mu lokaj w czarnym garniturze. W długim, świeżo odnowionym salonie w stylu georgiańskim, który natychmiast kojarzy się z kolonialną Ameryką, Rourke pochyla się wdzięcznie nad mosiężnym stolikiem z drinkami. Mundy rusza w jego kierunku i o mało nie potyka się o gruby dywan. W jednym rogu pokoju – fotel bujany z wyszywaną poduszką. Na ścianach zdjęcia z Dzikiego Zachodu i reprodukcje naturalistycznych obrazów Andrew Wyetha, w narożnej serwantce – kolekcja nowoangielskich figurek z kości wieloryba.

– Może być martini? – pyta Rourke, nie unosząc głowy.

– O, świetnie.

– Chcesz rzucić okiem na mapę? Zdaje się, że jesteśmy jakby sąsiadami.

Na podrabianym pulpicie do nut leży wielki atlas otwarty na mapie Irlandii.

– Idź bardziej na południowy zachód. Widzisz tę małą czerwoną strzałkę?

– Aha.

– To tu, w górach Mullaghareirk, mama Nellie O’Connor po raz pierwszy ujrzała światło dzienne. A teraz idź trochę na południe. Mijasz rzekę Blackwater. Dwadzieścia pięć kilometrów w linii prostej, oczywiście jeżeli w Irlandii linie są proste, w co wątpię. Widzisz białą strzałkę?

Widzi.

– To tu urodził się mój czcigodny ojciec. Orville senior. To tu, w cieniu gór Boggeragh, rozegrał pierwszą w życiu partyjkę pokera. W wieku lat siedmiu. No to zdrowie.

Rourke podaje martini Mundy’emu, który stara się, jak może, odpędzić szybko budzące się w nim uczucie sympatii. Wie, że Rourke celowo tak się zachowuje, ale nie może nic na to poradzić. Rodzi się ostrożna, bo ostrożna, ale przyjaźń.

Rourke ma zawsze mnóstwo czasu – podobnie jak Mundy. Kiedy Mundy ma wolne popołudnie, Rourke też. Wieczorami Mundy dawniej chodził do kina albo do pubów w okolicy domu, a Rourke, słomiany wdowiec z żoną prawniczką w Waszyngtonie i córką w Yale, też nie miał nic do roboty. I podobnie jak Mundy jest zawziętym piechurem. Zawsze powtarza z głębokim przekonaniem, że siedzenie w domu w ładną pogodę to grzech przeciw Duchowi Świętemu. Rourke uwielbia Londyn, choć ma paru krewnych – Irlandczyków – którzy najchętniej wysadziliby to całe bagno w powietrze. Mundy na pewno też ma taką rodzinę, choć jej nie zna, i domyśla się w niej podobnych intencji. Lokaj, który otwiera drzwi na Eaton Place, spełnia również obowiązki szofera. Nazywa się Milton. Milton podwozi obu panów, którzy drałują potem po londyńskich parkach i nabrzeżach. Na cmentarzu Highgate składają hołd Marksowi i tym z towarzyszy, którzy kazali się wieźć przez pół świata, by spocząć u boku mistrza. Mundy mówi, że profesor byłby z nich bardzo dumny. Doktor Mandelbaum też – ale tego już nie mówi.

Rozmawiają właściwie o wszystkim pod słońcem, ale głównym i wciąż powracającym tematem jest życie Teda Mundy’ego od Marri po Bedford Square. Mundy dawno nie zwierzał się tak drugiej osobie – może zresztą nigdy przed nikim tak się nie otworzył. Rada Amory’ego była jednak oczywista i Mundy’emu nikt nie musi jej drugi raz powtarzać. W dodatku Rourke jest

świetnym słuchaczem, który nigdy go nie osądza i którego refleksyjne usposobienie jest zaraźliwe. Gdy idą obok siebie, brak kontaktu wzrokowego jeszcze sprzyja szczerości. Nawet małżeństwo Mundy'ego nie jest wyjątkiem, choć opowiadając o nim, Mundy za wszystko, za prawdziwe i wyimaginowane niedociągnięcia, wini tylko siebie. Imię Saszy nie pada ani razu. Mówią o nim jako o „naszym przyjacielu z Walii”. Berlin to „Cardiff”, NRD – „Walia Wschodnia”. Ktoś, kto uparłby się, by ich podsłuchiwać, szybko odszedłby znudzony. W końcu i Rourke, i Mundy to starzy wyjadacze.

Wyczerpany Rourke zaczyna mówić lekko piskliwym głosem, co z jakiegoś powodu czyni go jeszcze sympatyczniejszym. Jego buty uderzają w chodnik z wesołym kłapięciem. Mundy przyłapuje się na tym, że dostosowuje własny krok do kroku swego amerykańskiego przyjaciela. Gdy Rourke mówi, dużo gestykuluje, zupełnie jak Mundy. Kiedy tak idą we dwójkę przez Regent Park, wyglądają jak nieco ekscentryczni rodzeni bracia, którzy razem chcą zbawić świat.

Wspólne kolacje na Eaton Place odznaczają się trochę innym, choć równie zaraźliwym rodzajem zażyłości. Wszystko odbywa się zawsze tak samo. Rourke zapewnia Mundy'ego, że u niego sprząta się co tydzień, i nie chodzi wcale o to, co robi sprzątaczką. Po paru kieliszkach martini – „bełtach”, jak nazywa je Rourke – zaczynają mówić o szczegółach układu Mundy–Sasza. „No, Ted, muszę wiedzieć wszystko”. Teraz nie ma żadnych niedomówień. Rourke pyta o najnowszy numer Saszy, o kolejny dostarczony przezeń bezcenny skarb. Nie liczy się treść, tylko szczegóły techniczne. Wszystko jedno, czy chodzi o stosunki enerdowsko-chińskie, czy o coś innego.

– Słuchaj, Ted, mnie interesują najprostsze rzeczy. Opowiedz mi, jak działać. Jak Sasza zdobył to, co zdobył.

Chce przez to powiedzieć: prześledźmy drogę, jaką przebył ten filmik o stosunkach między NRD a Chinami od kwatery głównej Stasi do Bedford Square. Powiedz mi, jakiej skrytki Sasza użył i skąd ją miał. Czy on naprawdę ma tak nieograniczony dostęp do zasobów operacyjnych Stasi? Czy naprawdę może tak po prostu przyjść, wyciągnąć z kieszeni odpowiednio spreparowaną kostkę yardleyowskiego mydła, narobić zdjęć i nikt nie zawoła: „Zaraz, zaraz”? A teraz opowiedz, jak wręczył tę samą rolkę swojemu drogiemu Teddy'emu.

A na koniec, Ted, opowiedz o tym, jak ty wręczasz film człowiekowi Amory'ego. Albo – skoro czasem było i tak, że przekazanie materiału tajemnemu

współpracownikowi uznano za bardziej ryzykowne niż wywiezienie go przez Teddy'ego z terenu nieprzyjaciela – o tym, jak było na granicy.

Mundy wysiła pamięć, jak może, by zapoznać przyjaciela ze wszystkimi szczegółami. Może to próżność, ale ma wrażenie, że to, co wie, przekazuje nie tylko swemu nowemu kumplowi, lecz również przyszłym pokoleniom. To coś zupełnie innego niż nieprzyjemne przesłuchania u profesora. Tu chodzi o młodych ludzi, którzy dopiero wchodzi w ten fach i czytać będą w podręcznikach o tandemie Mundy–Sasza, i podziwiać jego błyskotliwość i cudowną prostotę. A i sam Rourke to nie profesor. Rourke widzi całą sprawę z dwóch stron; profesor, na szczęście, tylko z jednej.

– Ted...

Właśnie kończy się jedna z tych wspólnych kolacyjek. Obaj panowie są już na etapie calvadosu. Rourke uwielbia calvados. Kiedyś zrobił straszną awanturę w księgowości, kiedy agencja nie chciała mu rozliczyć pięciuset dolców za ośmioletnią butelkę. A przecież wypił ją z własnym agentem! Co miał mu dać, do cholery? Wodę mineralną?

– Bardzo dobrze zrobiłeś – ocenia Mundy z głębi wielkiego kieliszka.

– Ted, kiedy byłeś w Taos, żeby się samookreślić, czy pamiętasz z tamtych czasów jednego mojego znajomego malarza, Lugera? Wielkie płótna, środki mieszane, apokaliptyczne wizje, gra na gitarze?

Lugera? Berniego Lugera? No pewnie! Szczerze mówiąc, nie jest to najprzyjemniejsze wspomnienie: te popołudnia w łóżku z Nitą, podczas gdy Bernie siedział na drabinie i palił napalmem Minnesotę. Ale Mundy szybko się opanowuje, nie wydaje okrzyku, nie czerwieni się jak burak. W końcu jest szpiegiem szkolonym w Edynburgu, umie się zachować.

– Bernie Luger, narkoman wywalony z Yale – mruczy między jednym a drugim łyżkiem calvadosu. – Walczył z dyktaturą burżuazji za pół miliona rocznych odsetek od rodzinnej fortunki. Jak mógłbym zapomnieć?

– Byłeś kiedyś u niego na imprezie?

– No pewnie. Na niejednej. I przeżyłem.

– Udzielał się politycznie?

– Jak pamiętałeś, że wypada. Kiedy nie był za bardzo na haju. Albo w dołku.

– Ale był z niego ekstremista, co? Szczery komunista, nie?

– No, czy ja wiem, czy szczerzy? Raczej nie. To nie był żaden komunizm, tylko przekora. Jeżeli ktoś był za, to on był przeciw. – Mundy zatyka sobie usta dłonią, bo nagle ma wrażenie, że zdradza Berniego.

- Poznałeś jego dziewczynę? Tę Kubankę?
- Nitę? No pewnie. – Aha, czyli chodzi o Nitę, myśli Mundy.
- Też komunistka?
- Chyba tak. Ale raczej przez małe „k”.
- Zakochana w Castro?
- W każdym się kochała.

– A czy Bernie albo Nita prosili cię kiedykolwiek, żebyś coś dla nich zrobił? Żebyś się z kimś spotkał, przekazał list, pogadał z kimś po powrocie do Anglii? Czemu się śmiejesz?

- Bo pewnie zaraz mnie zapytasz, czy sam pakowałem walizkę.

Więc Rourke też wybucha szczerym, zdrowym śmiechem. I jeszcze dolewa calvadosu.

– Czyli nie? Nie wyświadczałeś im żadnych drobnych przysług? Nawet najdrobniejszych? No to mi ulżyło.

Mundy nie ma wyjścia. Musi zapytać:

- A co? Co oni zrobili?

– Coś takiego, że dostali po trzydzieści lat za szpiegostwo. Na rzecz Sowietów. Bogu dzięki, że nie mieli dzieci. Bo oczywiście okropnie by to przeżyły.

Rourke się uśmiecha. Mundy, zanurzony w wielki kieliszek, przez chwilę wpatruje się w ten uśmiech. Ale widzi nie Rourke’a, tylko Nitę leżącą w ich hacjendzie między nim a Bernie; mały brodaty Bernie przechyla się przez nią i przechwala się swym udziałem w rewolucji.

– Ale Bernie to fantasta – udaje mu się wreszcie wykrztusić. – Zawsze gada, co mu ślina na język przyniesie. Dla efektu. I co oni mogliby wiedzieć takiego, co by się przydało Rosjanom? Trzeba być ostatnim głupkiem, żeby mu wierzyć choćby w jedno słowo.

– Ale im wcale nie udało się skontaktować z Rosjanami. Byliśmy szybsi. Bernie zatelefonował do radzieckiego konsulatu w Miami, podał jakieś idiotyczne nazwisko, powiedział, że jest za rewolucją kubańską i że chce jakoś przysłużyć się sprawie. Sowietci nie skorzystali z jego propozycji, ale my owszem. Piękny numer. Pół roku trwało, zanim Bernie się połapał, że pracuje nie dla Sowietów, tylko dla Wuja Sama.

- A co ma do tego Nita?

Rourke uśmiecha się na jej wspomnienie.

- Nosila za niego materiały. Miała ze sto razy więcej rozumu niż on. Zresztą

zwykle tak jest... – I niemal tym samym tchem: – Ted?

– Co?

– Czy mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie, zanim mi nogi z dupy powyrywasz? Takie naprawdę nieprzyjemne pytanie?

– Jak musisz...

– Kończyłeś prywatną szkołę, tak?

– Nie ja ją sobie wybrałem.

– Byłeś małym, zagubionym chłopcem?

– Wtedy pewnie tak.

– I sierotą?

– No, wtedy jeszcze nie...

– Ale w Berlinie już tak?

– Tak.

– Czyli co my tu mamy? Angol i Szwab, dwie sieroty, bo Sasza od dawna chciał być sierotą, tylko mu nie wychodziło. Dwaj zagubieni chłopcy, pełni temperamentu, rzutcy, spragnieni życia. Wspomniałeś o Isherwoodzie. Ładnie. Mam mówić dalej?

– Przecież nie będę ci przerywał. – Ale już żałuje, że nie może.

– No i poznajecie się. I razem budujecie społeczeństwo doskonałe. Macie wspólne marzenia, wspólny radykalny styl życia, wspólny pokój, wspólną dziewczynę... No nie, uspokój się, wiemy, jak było, nie równocześnie, to coś innego, wiem, wiem. Ale powiedz mi jedno, Ted, tylko tak z ręką na sercu. Nie ma żadnych tabu, żadnych mikrofonów. Powiedz mi jak mężczyzna mężczyźnie: mam wierzyć, że nic więcej nie było między wami?

– Nic – prawie krzyczy Mundy i czerwieni się jak sztubak. – Nawet by mi do głowy nie przyszło. Nie ma mowy. Wystarczy? – I zakrywa usta dłonią, by zamaskować zmieszanie.

– Jak ci się wczoraj gadało z Jayem? – pyta następnego dnia Amory.

– O, świetnie.

– Powiedział ci, że jesteś niesamowity?

– Tylko raz.

– Wie już o tobie wszystko?

– Chyba tak. I chce mnie zabrać w przyszłym tygodniu na operę do Glyndebourne. Pomyślałem, że pewnie powinienem cię spytać.

– A byłeś już tam kiedyś?

– Nie.

– No to co się zastanawiasz?

Ale Mundy nie pojechał do Glyndebourne. Kilka dni później – po ciężkim weekendzie w Doncaster poświęconym na przekonanie dyrektora szkoły Jake’a, że chłopcu można dać jeszcze jedną szansę, co musiał zrobić Mundy, bo Kate była zajęta kampanią wyborczą – Mundy pojawia się na Bedford Square i widzi, że biurko Rourke’a zniknęło, że jego pokój jest pusty i że ktoś zostawił otwarte drzwi, jakby chcąc wywietrzyć gabinet. Na środku nagiej podłogi stoi butelka po mleku z tłącą się trociczką.

Przez cały następny miesiąc Amory jakby nie zauważa nieobecności Amerykanina. To samo w sobie nie ma zresztą większego znaczenia – nieraz się zdarzało, że od czasu do czasu ktoś z grupy zniknął bez wyjaśnienia. Tylko że Rourke jest inny. Rozluźniony, miły w obejściu Rourke, z którym w dodatku można swobodnie porozmawiać, był w nowym życiu Mundy’ego jedynym powiernikiem – poza Amorym, oczywiście.

– Zrobił swoje i wrócił do kraju. I to ci musi wystarczyć.

– Swoje, czyli co?

– Sprawdzał cię – odpowiada krótko Amory. – Więc ciesz się i nie truj.

– Jak to sprawdzał?

– Działając na podstawie raportu Orville’a J. Rourke’a, CIA w swej dobroci uznała cię za lojalnego agenta brytyjskiego, podwójnego, ale nie potrójnego. Sasza zresztą też zdał, choć to Niemiec i wariat. – Wreszcie Amory nie wytrzymuje i wybucha: – I, na miłość boską, nie patrz tak, jakby ci ktoś ukradł misia. To poważna sprawa. Rourke zrobił swoje. Jesteś czysty jak łąza.

To po co te trociczki? – zastanawia się Mundy.

Czy wśród tylu różnych Mundy’ch jest miejsce dla jeszcze jednego? Odpowiedź jest niestety taka, że skoro drzwi wiodące do jego życia są zawsze szeroko otwarte, wejść może każdy, kto zechce, i nikt, kto się zadomowi w środku, nie zostanie wyproszony.

I tak pojawia się na scenie Ted Mundy, bohater autostrady do Helmstedt i Stalowej Trumny. Tak się boi tych swoich wersji i tego, co one wyprawiają, że za każdym razem odczuwa tremę – jak na swym pierwszym meczu w szkolnej reprezentacji krykieta, tylko ze sto razy większą.

Logika całej sprawy jest prosta. Sasza jest tak wydajny, że czasem po prostu

brakuje odpowiednich wschodnioeuropejskich festiwali, targów książki i seminariów naukowych. A czasem zdarza się, że Sasza ma na oku coś szczególnie interesującego, a tu jak na złość kalendarz kultury komunistycznej nie dostarcza odpowiedniego pretekstu, by się po to coś przejechać. Czasem też ostrożny Amory uznaje, że szczęśliwość wyjazdów Mundy'ego za bardzo ułatwia zadanie profesorowi i pora na drobną niedyspozycję, drobny atak historii spowodowany takim życiem na walizkach, albo że na jakiś czas trzeba Mundy'ego oddelegować do jakiegoś mniej interesującego działu – w końcu Komitet Czarnej Propagandy też musi się reorganizować.

Ale Sasza nie godzi się na żadne zastępstwa. Ma być Mundy i tylko Mundy, nawet jeżeli chodzi wyłącznie o przekazanie z ręki do ręki pudełka zapalek. Sasza i Mundy to papużki nierozłączki, choć tak naprawdę nierozłączny jest tylko Sasza. I właśnie dlatego co parę miesięcy dwaj najważniejsi aktorzy muszą spotkać się w inny sposób. Sasza podaje instrukcje wśród kolejnej dostawy materiału mikrofilmowego; jego zalecenia wypełniane są z pełnym profesjonalizmem przez Amory'ego i jego ludzi.

I właśnie dlatego w samym środku wyjątkowo ciemnej nocy Mundy z noktowizorem na oczach brnie przez bagnisty odcinek granicy, pozbawiony na kilka godzin opieki dla wygody anonimowego agenta Stasi z RFN, który musi przez chwilę pogadać ze swym oficerem prowadzącym – o czym Sasza dowiaduje się w sobie tylko znany sposób i co wykorzystuje do własnych celów.

Kiedy indziej znów Mundy staje się na jeden dzień zwykłym żołnierzem i nareszcie prawdziwym synem swego ojca, gdy zawinięty w wojskowy płaszcz jedzie pod budą potężnej ciężarówki należącej do konwoju wojsk brytyjskich powracających korytarzem z Helmstedt do garnizonu berlińskiego. Konwój zwalnia, ostatnie ciężarówki pozostają nieco w tyle, ktoś klepie Mundy'ego w ramię. Skryty przez auta z przodu i z tyłu Mundy zrywa z siebie płaszcz i w przebraniu wschodnioniemieckiego robotnika wyskakuje z jadącej ciężarówki, by wykonać pad według najlepszych tradycji edynburskich. Spod budy wylatuje za nim rower, wsiada na niego, pędzi na złamanie karku polną drogą i po pewnym czasie dostrzega małe światełko latarki mrugające na niego z jakiejś szopy. Przyjaciele ściskają się, Sasza wręcza przesyłkę. Mundy pozostawia rower na łasce losu i ledwo widocznymi ścieżkami wraca do drogi, tam czeka w rowie na ciężarówkę lub samochód osobowy z fałszywymi papierami i świeżo zwolnionym miejscem, na którym dojedzie w bezpieczne

miejsce.

Ale bez wątpienia najgorsza jest Stalowa Trumna, Mundy'ego orwellowski pokój 101, jego koszmar na jawie. Podobnie jak major w swych ostatnich dniach, Mundy żyje w strachu przed zamknięciem. Jego strach jest prawdopodobnie proporcjonalny do wzrostu. Musi położyć się w trumnie twarzą do dołu, z ustami przytkniętymi do któregoś z otworów – podczas gdy ludzie Amory'ego dokręcają od zewnątrz śruby – a to wymaga odwagi, jakiej się po sobie nigdy nie spodziewał. Wpatrując się szeroko rozwartymi oczyma w mrok, gdy przymocowują trumnę do spodu wagonu kolejowego, poleca grzeszną duszę Bogu i przypomina sobie radę doktora Mandelbauma, by nie żyć zamknięty w wieży z kości słoniowej. I choć ma zawsze pod ręką przycisk awaryjny, a do przejechania tylko parę minut na bocznice, gdzie czeka już Sasza z kluczem francuskim, Mundy nie może się oprzeć wrażeniu, że dla ludzi w jego wieku są jednak przyjemniejsze sposoby spędzania letniego wieczoru.

10

Czterdziestej dziewiątej misji Mundy'ego za żelazną kurtynę towarzyszy lekko skrywany świąteczny nastrój, który udziela się wszystkim obecnym przy Bedford Square.

– Jeszcze raz, Ted, i dobiejesz do pół setki – mówi główny asystent Paul podczas ostatniej inspekcji kieszeni, walizki, portfela i notesu Mundy'ego, mającej nie dopuścić do wpadki, która na zawsze pogrzebałaby wieloletnią działalność alfa plus plus. – Pewnie potem nie będziesz nas chciał znać, co?

Przy drzwiach dziewczyny całują go w policzki, a Amory mówi mu jak zwykle, żeby złamał kark.

Jest piękny dzień, szósta rano. W powietrzu czuć wiosnę i gorbaczowowską pierestrojkę. Chwieją się wreszcie marionetkowe dyktatury Europy Wschodniej. Kilka miesięcy wcześniej w Nowym Jorku Gorbaczow zaproponował jednostronne ograniczenie liczebności radzieckich dywizji pancernych i odrzucił doktrynę Breżniewa. I oznajmił, że starzy oligarchowie nie mają już żadnego poparcia. Choć na powierzchni stosunki między Waszyngtonem a Imperium Zła są równie chłodne jak dawniej, pod lodem zaczyna się coś dziać. W co większych optymistach kiełkuje nadzieja, że w końcu – może nie w tym pokoleniu, ale na pewno w następnym – ludzie wreszcie oprzytomnieją. Jednym z tych optymistów jest Mundy, który dociera właśnie na terminal lotniczy przy Victoria Station, skąd wyruszy na Międzynarodową Konferencję Archeologii Średniowiecznej w Gdańsku. Może jakoś i my z Saszą przyczyniliśmy się do tego, myśli sobie. Może jakoś i my przyśpieszyliśmy odwilż. Amory twierdzi, że owszem, ale to Amory.

Oczywiście jak zwykle Mundy ma tremę. Amory i mędracy z Edynburga ani na chwilę nie pozwalają mu zapomnieć, że im dłużej trwa dana operacja, tym robi się bardziej ryzykowna i tym więcej jest do stracenia. Jednakże już po starcie porównuje swoją sytuację z losem Saszy – zawsze tak robi, gdy wyrusza z kolejną misją, szczególnie zaś tym razem – i wtedy wydaje się sam sobie zwykłym amatorem.

Kto Saszę przygotowuje? Nikt, mówi sobie. Kto go sprawdza, wysyła?

Nikt. Kto przygotowuje mu aparat z mikrofilmem? Nikt, sam sobie musi przygotować. Stąd te cienie palców w kadrze, stąd poruszone ujęcia – w wirze walki człowiek robi błędy, nasłuchując kroków w korytarzu, które mogą oznaczać kulę w tył głowy.

A jaką drogę on przebył od sukcesu do sukcesu! Jak to w ogóle możliwe, by ktoś przebył drogę Saszy? Jak to możliwe, że dziecko, wywiezione przez rodziców z NRD, staje się zachodniemieckim anarchistą i potem wraca na Wschód, lecz tylko po to, by dostarczać informacji ważnych dla Zachodu, a wszystko to w ciągu zaledwie kilku lat?

Oczywiście dzięki herr pastorowi Sasza znalazł możnego protektora w osobie profesora, który przez wzgląd na starego przyjaciela pomógł jego synowi rozwinąć skrzydła w rodzinnym fachu. Ale nawet to nie jest jeszcze równoznaczne ze swobodnym dostępem do akt Stasi, by regularnie wybierać spośród nich taki materiał, który tej instytucji zaszkodzi najbardziej.

Podopieczni Mundy'ego, czyli delegacja brytyjskich mediewistów, jadą do Gdańska dzień później; Mundy przybędzie po nich na lotnisko w Rębiechowie. Siedząc nad Krwawą Mary w hali odlotów na Heathrow i potem, gdy wygląda z prawie pustego samolotu w białą nicość, Mundy usiłuje przypomnieć sobie wszystko, co wie o poczynaniach Saszy w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Jest w tej historii wiele białych plam, bo Sasza nie lubi pytań o źródło swych informacji. W tej drażliwości jest może element wstydu.

Ale tyle powiedział: na początku był gniew.

A źródłem owego gniewu było to, że został zwabiony na Wschód wysłanymi z palca obietnicami i że przez tyle lat nienawidził ojca z niewłaściwych powodów.

W ślad za gniewem przyszła nienawiść.

Nienawiść do śmierdzącej, bezdusznej maszyny biurokracji, w imię demokracji krępującej wszystkie przejawy życia społecznego.

Do państwa policyjnego udającego kolebkę wolności. Do jego służalczości względem Moskwy.

A przede wszystkim do systematycznej i całkowitej zdrady świętych ideałów socjalizmu.

Z gniewu i nienawiści narodziła się przebiegłość. Sasza został więźniem faszystowsko-burżuazyjnego państwa upozowanego na robotniczy raj. Perfidie swych strażników zaczął zwalczać własną. Symulował, kłamał, wkładał się

w ich łaski. I by zadać cios w samo serce ich nielegalnej władzy, zaczął podważać jej to, co kochała najbardziej: jej tajemnice.

Z początku jego plan był bardzo skromny.

Chciał dać świadectwo prawdzie.

Wykradać tajemnice, zrobić z nich archiwum.

Pracując w pojedynkę, chciał zrobić wszystko, by kłamstwa, półprawdy i obłuda, którymi posługiwali się ci hitlerowcy w czerwonych koszulach, nie uszły uwagi przyszłych pokoleń.

Nic więcej. Rozpoczął swe dzieło wyłącznie z myślą o przyszłych niemieckich historykach. Większych ambicji nie miał.

Pozostawało pytanie, jak to osiągnąć. Inspiracji poszukał w bibliotece Stasi, gdzie przeczytał klasyków walki partyzanckiej: „Trzeba płynąć z prądem... ukryć się wśród hord wroga... zwalczać go jego własną bronią”.

Po niespodziewanym zwolnieniu z Białego Hotelu Sasza przez kilka tygodni dochodził do siebie w poczdamskiej willi profesora – wyprowadzał wilczury na spacer po Parku Ludowym, podlewał mu ogródek, woził na zakupy jego żonę. Bo profesor, który mimo wszystko homoseksualistą nie był, posiadał żonę, straszną babę, której jedyną zaletą w oczach Saszy była jej nienawiść do męża.

Ale nawet ona nie mogła powstrzymać profesora od uzurpowania sobie pozycji opiekuna, mocodawcy i protektora Saszy. Jeżeli Sasza obieca, że będzie się zachowywał jak prawdziwy towarzysz – własne słowa profesora – że będzie trzymał język za zębami i szanował innych wysoko postawionych ojców ojczyzny, profesor weźmie go za rękę i poprowadzi ku światłości. Bo profesor – jak sam zapewniał zawsze i wszędzie – kochał ojca Saszy jak brata, a sam syna nie miał.

Sasza zacisnął zęby i obietnicę złożył. Zachowywał się nienagannie. Na zakupy woził już nie tylko żonę profesora, ale i połowice innych ważnych towarzyszy. Wnosił im zakupy do mieszkania, czasem nawet do sypialni. Nigdy jednak nie przechwalał się swymi konkietami, bo postanowił być przede wszystkim dyskretny. Jak sprzedana narzeczona wkładał do ust metaforyczną chusteczkę i powstrzymywał wstręt. Potulne milczenie to w ludowej demokracji podstawowa umiejętność.

– Miałeś z tego jakąś przyjemność czy to był tylko biznes? – pyta go kiedyś Mundy, gdy przechadzają się razem po jednym z leningradzkich parków.

Sasza zwraca się ku niemu z grymasem wściekłości.

– To przejdź się na nabrzeże, Teddy – rzuca, wymachując rękami ku szarym zarysom statków i portowych żurawi. – Idź, zapytaj którąś z tych dziwek za dziesięć rubli, czy ma z tego jakąś przyjemność, czy to tylko biznes.

Pod profesorską opieką ulubiony syn Sasza dostaje maleńkie jednopokojowe mieszkanie i wstępuje na najniższy szczebel hierarchii Stasi. Wkrótce nauczono go oficjalnego partyjnego kroku – oczywiście o tyle, o ile umożliwiało to jego kruche ciało. Partyjnego kroku i partyjnej miny: uniesiona broda, wzrok wbity w chodnik piętnaście metrów z przodu. I jedno, i drugie ćwiczył, prowadząc wózek z kawą po wydezynfekowanych korytarzach linoleumowego królestwa profesora i stawiając porcelanowe filiżanki na biurkach ludzi tak ważnych, że nie zauważali jego obecności.

Tylko od czasu do czasu, gdy otwierał drzwi limuzyny, z której wysiadał jakiś wielki człowiek, lub gdy dostarczał przesyłkę do luksusowej willi jakiegoś towarzysza, czyjaś dłoń chwyciła go konfidencjonalnie za ramię i odzywał się głos, który mówił:

– Dobrze, że wróciłeś, Sasza. Twój ojciec to wielki człowiek.

Słowa te były balsamem dla jego duszy. Oznaczały, że staje się jednym z nich, i podsycaly płomień nienawiści.

Czy Sasza w ogóle awansował w Stasi? Pytanie to zawsze dręczyło Mundy'ego. A jeżeli awansował, to do jakiej rangi, na jakie stanowisko?

Ale na to pytanie Sasza ciągle nie chce dać mu jednoznacznej odpowiedzi. Gdy analitycy z Londynu od czasu do czasu przeszukują zgromadzoną u siebie dokumentację Stasi, jego nazwisko nie figuruje ani wśród kierowników działów, ani na najniższym, urzędniczym szczeblu.

– Wiesz, co ci powiem, Teddy? Im wyższe ma się stanowisko, tym mniej się wie – głosi Sasza mentorskim tonem. – Lokaj wie więcej niż jego pan. Jego pan wie więcej niż królowa. Ja wiem więcej niż oni wszyscy razem wzięci.

Sasza nie awansuje – on drąży w dół. Dla szpiega pewnie rzeczywiście tak lepiej. Ponieważ jego celem nie jest władza, a wiedza, Sasza systematycznie gromadzi w swych rękach najprostsze obowiązki, klucze, numery szyfrowe, pozyskuje żony ważnych towarzyszy. Wszystko to staje się potężną bronią w rękach zdrajcy. To, co Mundy nr 2 udaje, że robi w świecie iluzji, Sasza robi naprawdę w rzeczywistym świecie.

Trzeba przygotować bezpieczny schowek na akta, które są już niepotrzebne, lecz oficjalnie wciąż jeszcze objęte tajemnicą państwową? Ależ oczywiście,

towarzyszu komisarzu, rozkaz, towarzyszu komisarzu, tak jest, towarzyszu komisarzu!

Trzeba szybko zniszczyć tajny materiał, który miał być zniszczony już kilka miesięcy temu? Nie ma problemu, towarzyszu komisarzu! Sasza zrezygnuje z wolnej soboty, żeby obrońcy ojczyzny obarczeni ważniejszymi obowiązkami mogli nie przerywać zasłużonego odpoczynku.

Frau Oberst spodziewa się ważnego gościa z Moskwy, a nie ma czasu kosić trawnika? Już, natychmiast, frau Oberst! Sasza już stoi na progu. Kuleje, bo kuleje, ale z kosiarką przecież da sobie radę!

Tylko jak to możliwe, że Saszy udaje się to ciągnąć przez tyle lat? – zastanawia się wielokrotnie Mundy. W kraju objętym potężnym, wszechmocnym i czujnym systemem Stasi? A Stasi jest przecież spadkobiercą w prostej linii legendarnej pruskiej organizacji, takiej, która rozliczy każdy długopis, każdy ołówek i każdy złoty ząb.

Na polecenie Londynu cierpliwy Mundy zadawał Saszy takie pytania na sto różnych sposobów i zawsze otrzymywał tę samą odpowiedź: w świecie monstrialnej biurokracji z obsesją na punkcie tajemnicy państwowej słabe punkty widzą najlepiej nie ci, co tkwią na górze, tylko ci, którzy spoglądają od spodu.

Metoda Saszy zaczęła szybko przynosić niespodziewane owoce. Jednym z pierwszych był stary sejf, zamknięty i na pierwszy rzut oka dawno nieużywany, w przedśionku gabinetu nieprawdopodobnie otyłej pierwszej asystentki profesora; Sasza najpierw zdobył asystentkę, potem sejf. Sejf służył już tylko jako podstawa pod wazonik sztucznych kwiatów, którym wielkie babsko usiłowało urozmaicić swe ponure otoczenie. Od niej to Sasza się dowiedział, że w sejfie nikt już niczego nie trzyma, i rzeczywiście – gdy Sasza naumyślnie przypadkowo uderzył weń swym wózkiem z kawą, dźwięk był uspokajająco głuchy. Dokonane którejs nocy dyskretnie przeszukanie pokaznej torebki wykazało pojedynczy klucz. Odtąd sejf stał się dla Saszy skrzynią ze skarbami, sezamem, pieczarą Ali Baby.

Pod nieobecność wysłanego na urlop kolegi z nizin Stasi Sasza stał się udzielnym władcą pokoiku pełnego przestarzałego sprzętu, oczekującego na wysłanie do któregoś z bratnich krajów Trzeciego Świata, by służył walce ze wspólnym imperialistycznym wrogiem. Nim kolega wrócił, Sasza był już nielegalnym właścicielem miniaturowego aparatu fotograficznego wraz

z instrukcją obsługi i okazałym zapasem filmów. Odtąd nie musiał wnosić kradzionych dokumentów; wystarczyło je sfotografować i zniszczyć albo w razie potrzeby odłożyć na miejsce. A już wyniesienie na zewnątrz kasetki z filmem mogło zostać wykryte tylko przy bardzo dokładnej rewizji, zaś wedle niepisanego prawa ulubieniec profesora nie był poddawany takim nieprzyjemnym zabiegom.

– Wszelkie obawy o to, czy film przypadkiem nie jest przeterminowany, rozwiała lektura instrukcji obsługi – wspomina sucho Sasza. – W instrukcji radzono na przykład, by film najpierw zawinąć w prezerwatywę, potem ukryć w pudełku z lodami. Towarzyszy działających bez dostępu do lodówek, lodów, prądu elektrycznego czy prezerwatyw odsyłano do innej instrukcji.

Podobną technikę stosował do sporządzania notatek z podsłuchanych rozmów.

– Wszystko, co zapamiętałem, przelewałem na papier i robiłem zdjęcia, ale już zwykłym aparatem na zwykłym filmie. Potem papier paliłem, a niewywołany film dodawałem do kolekcji.

I wreszcie nadszedł ów pamiętny piątek, gdy Sasza ślęczał nad swą cotygodniową robotą – sporządzaniem listy formularzy wizowych złożonych przez obywateli krajów kapitalistycznych w celu odwiedzenia NRD w sprawach służbowych. Nagle ujrzał przed sobą niezapomnianą twarz Mundy’ego Edwarda, urodzonego w Lahaurze (Pakistan), żonatego z Kate z domu Andrews, zawód pracownik British Council. I dołączone informacje z Centralnego Archiwum Stasi:

1968–1969: członek Klubu Młodych Socjalistów i Towarzystwa Przyjaźni Brytyjsko-Radzieckiej, Uniwersytet Oksfordzki, aktywista pokojowy, udział w marszach protestacyjnych... Student Wolnego Uniwersytetu w Berlinie (Zach.), udział w antykapitalistycznych i antywojennych demonstracjach... Pobity przez policję zachodniobерlińską... Następnie deportowany z Berlina Zachodniego za działania wywrotowe i anarchistyczne (z protokołu policji zachodniobерlińskiej, źródło: CESAR).

Mundy nigdy nie zapomni tej historii, opowiedzianej mu przez Saszę lekko zadyszany ze wzruszenia głosem. Siedzieli wtedy w dreźnieńskim barze, tym

razem z okazji jakiejś rolniczej konferencji.

– Na widok twojej niezbyt pięknej twarzy, Teddy, o mało nie krzyknąłem: „Eureka!” jak Archimedes. A więc moje niewywołane filmy nie będą musiały tysiąc lat czekać na lepsze czasy! Gdy w poniedziałek rano przyniosłem twój formularz do profesora, zadrżała mi dłoń. Nie uszło to uwagi profesora. Nic dziwnego, bo ręce drżały mi przez sobotę i niedzielę. „Sasza – zapytał mnie – co ty się tak trzęsiesz?” „Towarzyszu profesorze – odpowiedziałem – w piątek wieczór Opatrzność zesłała mi wielką szansę. O czymś takim właśnie marzyłem. Wydaje mi się, że z waszą pomocą mogę wreszcie spłacić dług wdzięczności za okazane mi zaufanie i zacząć odgrywać aktywną rolę w walce z tymi, którzy chcą powstrzymać zwycięski marsz socjalizmu. Błagam was, towarzyszu! Jako mój opiekun, wieloletni doradca i przyjaciel mojego bohaterskiego ojca, pozwólcie mi dowieść, że jestem jego godnym następcą. Ten Anglik, Mundy, to nieuleczalny burzuj, ale leży mu na sercu ludzki los, co wyraża w sposób radykalny, choć nie do końca właściwy. Widać to zresztą z jego akt. Jeżeli pozwolicie mi nad nim popracować, oczywiście pod waszym świątym kierownictwem, przysięgam, nie zawiedziecie się”.

– I nie miałeś żadnych oporów? – pyta z podziwem Mundy.

– Jakich oporów? – I już w głosie Saszy brzmi wojownicza nutka.

– No... że będziesz przekazywał informacje zniechędzonym zachodnim kapitalistom.

– Nie wygłupiaj się, Teddy. Zło trzeba zwalczać tam, gdzie się da. Jedno zło nie usprawiedliwia drugiego ani go nie neguje. Już ci mówiłem: gdybym miał okazję szpiegować w Ameryce, tobym szpiegował.

Stewardesa każe pasażerom zapiąć pasy. Samolot podchodzi do lądowania na lotnisku w Gdańsku. Wkrótce rozpocznie się czterdzieste dziewiąte spotkanie Mundy’ego z jego dostarczycielem tajemnic.

Ted Mundy to teraz stary bywalec wszelkich konferencji. Wrzucony z zawiązanymi oczyma do dowolnego centrum kongresowego w Europie Wschodniej w kilka minut, wachając smród papierosów i dezodorantów i wsłuchując się w gwar rozmów, potrafi określić co do godziny, który to dzień w zwykłym pięciodniowym konferencyjnym rytmie, kto spośród stałego grona speców i ubeków od kultury pojawił się tym razem i czy w końcowym dokumencie uda się osiągnąć konsensus, czy też znowu będziemy mieli do czynienia z mnóstwem wniosków mniejszości i uszczypliwymi

przemówieniami na pożegnalnym przyjęciu.

Ważną zmienną w tym równaniu jest stan zimnej wojny w danej chwili. Jeżeli atmosfera polityczna jest napięta, delegaci robią, co mogą, by znaleźć wspólny język. A jeżeli akurat panuje odprężenie, to bardzo często wywiązują się oczyszczające awantury, a po nich napięcie można rozładować już tylko wzmożoną aktywnością seksualną między delegatami, którzy jeszcze godzinę wcześniej chcieli porozrywać się na strzępy.

Ale tego wieczoru, trzeciego wieczoru gdańskiego spotkania archeologów zajmujących się średniowieczem, atmosfera w niczym nie przypomina poprzednich konferencji Mundy'ego: panuje nastrój radosny, buntowniczy, hulaszczy wręcz, trochę jak w ostatni dzień szkoły. Zjazd odbywa się w upstrzonym wieżyczkami hotelu wśród piaszczystych wydm nad brzegiem Bałtyku. Na frontowych schodach ośrodka, pod okiem bezsilnych milicjantów, studenci wciskają delegatom ulotki. Bar urządzone w starej szklarni biegnącej wokół głównego budynku od strony morza, więc patrząc ponad gadającymi głowami, Mundy może podziwiać czarny morski widnokrąg i światła dalekich statków. Ku jego zdumieniu mediewiści okazali się bardzo wesołą gromadką. Polscy gospodarze upajają się wolnością, pięknie brzmiące słowa „Wałęsa” i „Solidarność” są na wszystkich ustach. Czarno-biały telewizor i kilka odbiorników radiowych przynoszą konkurujące ze sobą wiadomości. Co jakiś czas w sali rozlega się skandowanie: „Gorbi! Gorbi! Gorbi!”.

– Jeżeli Gorbaczow wierzy w to, co mówi – krzyczy po angielsku do swego kolegi z Sofii sympatyczny profesor z Łodzi – to chyba wiesz, czym to się musi skończyć! Jak raz otworzą tę puszkę Pandory, to wiesz, co się stanie z przewodnią rolą partii?

Niczym nieskrępowane rozmowy delegatów to jedna strona medalu; drugą są wystraszone twarze przydzielonych im ubeków, którzy nie wiedzą, jak się zachować w tym morzu herezji. Przyłączyć się do heretyków? Donieść na nich swym i ich przełożonym? Oczywiście w końcu zrobią i to, i to.

Mundy jak dotąd nie miał jeszcze okazji do dłuższej rozmowy z Saszą. Owszem, uściskali się, pomachali sobie parę razy, obiecali sobie, że się potem razem napiją. Po ekstatycznych powitaniach z pierwszych lat współpracy rozsądek dyktuje im powściągliwość w okazywaniu wzajemnych uczuć. Tym razem za Saszą nie przywłókł się ani intelektualista Horst, ani ponury Lothar. Pół roku temu zastąpił ich obu wiecznie poważny, zjawiskowy Manfred. Jutro, w ostatni dzień konferencji, z naszej ambasady w Warszawie

zjedzie ładna Wendy, by pogłaskać po główce brytyjskich uczestników i przy okazji Teda Mundy'ego trwającego dzielnie na posterunku przedstawiciela British Council. Ale na głaskaniu się skończy, choć Mundy ma chrapkę na Wendy, a Wendy na Mundy'ego. Między nimi staje jednak żelazna zasada wyniesiona z edynburskiej Szkoły Dobrych Manier: seks w miejscu pracy surowo wzbroniony. Nick Amory, któremu Mundy nieopatrznie się wygadał, ujął to znacznie dosadniej:

– Edwardzie, jest wiele sposobów popełnienia zawodowego harakiri, ale najskuteczniejsze jest właśnie używanie sobie na terenie operacyjnym. W dodatku dla Wendy to tylko skok w bok – dodaje tytułem ostrzeżenia. – Ma męża dyplomatę, dwoje dzieci, szpieguje tylko po to, by szybciej spłacić dom.

Grupka mediewistów intonuje *Marsyliankę*. Dyryguje Szwedka o obfitych kształtach i wielkim dekolcie. Na fortepianie pięknie akompaniuje pijany Polak. Sasza, świeżutki jak poranek po kilku peryferyjnych imprezach, ukazuje się po drugiej stronie baru. Spod beretu śmieją mu się oczy, poklepuje znajomych i nieznajomych, ściska ręce, rzuca się w ramiona wszystkich osób znajdujących się w jego ograniczonym zasięgu. Po piętach depcze mu zjawiskowy Manfred.

Sasza musi odetchnąć świeżym powietrzem. Od morza wieje ciepły wiosenny wiatr. Horyzont usiany jest światełkami statków – zwykłe kutry rybackie czy radziecka Szósta Flota? Księżyc w pełni maluje wydmy na czarno-biało. W głębokim piasku da się iść, choć czasem niepostrzeżenie usuwa się spod nóg. Co jakiś czas Sasza musi uchwycić się ramienia Mundy'ego, by nie potoczyć się w dół, i nie zawsze mu się to udaje. Gdy za którymś razem Mundy znów podnosi przyjaciela, czuje w kieszeni swej marynarki jakieś miękkie zawiniątko.

– Chyba trochę cię boli gardło, Teddy – mówi surowo Sasza. – Proszę zaraz possać te świetne polskie tabletki. Będzie ci się po nich lepiej śpiewało.

Mundy rewanzuje się chromowaną piersiówką angielskiej produkcji, przerobioną w warsztatach profesora, napełnioną materiałem sfabrykowanym na Bedford Square i sfotografowanym przez Mundy'ego nr 2. Sto metrów za nimi, nad samą wodą, posepny wartownik Manfred trzyma straż, wpatrując się w morze.

– Profesor jest przerażony – szepcze podniecony Sasza, a odgłos wiatru tłumi jego słowa. – Co za strach! Co za strach! Oczy tak mu chodzą, to tu, to

tam!

– Czemu? Czego się spodziewa?

– Niczego. I dlatego właśnie jest taki przerażony. Bo co może się stać, skoro to wszystko iluzja i propaganda? Sam wielki dyrektor profesora wrócił dopiero co z Moskwy z zapewnieniem, że tak naprawdę nic się nie dzieje. No to chyba możesz sobie wyobrazić, jak się przeraził?

– I mam nadzieję, że ma rację – mówi z powątpiewaniem Mundy. Boi się, że Sasza znów się rozczaruje. – Ale nie zapominajmy o pięćdziesiątym szóstym na Węgrzech, o sześćdziesiątym ósmym w Czechosłowacji... Tutaj też parę razy udało im się cofnąć czas. – To cytat z Amory’ego, który z kolei cytował swych przełożonych: „Ostudź jego zapał, Edwardzie. Gorbaczow zmienia wystawę, ale nie cały sklep”.

Jednakże zapału Saszy nie daje się łatwo ostudzić:

– Państwa niemieckie muszą być dwa, Teddy. Dwa to minimum. Zresztą ja kocham Niemcy tak, że chciałbym, by było ich z dziesięć. Powiedz to temu swojemu panu Arnoldowi.

– Już mu to mówiłem. Parę razy.

– Żadnej aneksji NRD przez Republikę Federalną. Jako gest dobrej woli z obu stron oba niemieckie państwa pozbędą się okupantów, czyli i Rosjan, i Amerykanów.

– Sasza, czy ty mnie w ogóle słuchasz? „Rząd Jej Królewskiej Mości uważa, że zjednoczenie Niemiec może mieć miejsce wyłącznie w ramach szerszego porozumienia europejskiego”. Takie jest oficjalne stanowisko, zresztą niezmiennie od czterdziestu lat. A nieoficjalnie mówi się wprost: komu są potrzebne zjednoczone Niemcy? Thatcher nie, Mitterrandowi nie i wielu Niemcom też nie, i zachodnim, i wschodnim. A Ameryka ma to gdzieś.

Sasza jakby go nie słyszał.

– Po usunięciu okupantów w obu państwach niemieckich odbędą się wolne, sprawiedliwe wybory – ciągnie bez tchu. – Najważniejszą sprawą będzie stworzenie bloku krajów niezaangażowanych w samym sercu Europy. Federacja dwóch odrębnych państw niemieckich jest możliwa, ale tylko pod warunkiem całkowitego rozbrojenia z jednej i drugiej strony. Gdy tego dokonamy, zaproponujemy Polsce i Francji sojusze na tych samych zasadach. Po tyłu wojnach i podziałach Europa Środkowa stanie się kolebką pokoju. – Znów potyka się i prostuje. – Nie będzie żadnego Anschlussu. Ani Wielkich Niemiec zdominowanych przez którekolwiek z supermocarstw. I wtedy

wreszcie będziemy mogli z czystym sumieniem wypić za pokój.

Mundy wciąż usiłuje powiedzieć coś uspokajającego, gdy Sasza chwyta go obiema dłońmi za ramię i błagalnie spogląda mu w oczy. Krztusi się, a nie mówi, całym jego ciałem wstrząsa dreszcz:

– Nie będzie żadnej Czwartej Rzeszy, Teddy. Chyba że nastąpi całkowite rozbrojenie. Ale nim to nastąpi, będą dwa niezależne, odrębne państwa. Tak? Powiedz, że tak!

Mundy kręci głową ze smutkiem i jakby ze zmęczeniem.

– Mówimy o czymś, czego nie ma – odpowiada spokojnie, lecz stanowczo.
– Lodowiec drgnął, ale wcale nie topnieje.

– Znowu cytujesz tego swojego głupiego pana Arnolda?

– Niestety.

– To pozdrów go ode mnie i powiedz mu, że jest dupkiem. A teraz weź mnie do baru i spij.

Mundy i Kate postanowili, że całą sprawę załatwią jak ludzie dorośli. „W końcu po jedenastu latach jesteśmy to sobie winni”, mówi Kate. Mundy weźmie dzień urlopu i specjalnie przybędzie do Doncaster. Kate sprawdziła mu połączenia. Wyjedzie po niego na dworzec, wybiorą się na wspólny lunch do tej świetnej restauracji rybnej, bo to za miastem, bardzo intymnie, a przecież Mundy dawniej bardzo lubił pstrągi. No chyba że zmieniły mu się gusta. „A w dodatku żadne z nas nie ma ochoty natknąć się na któregoś z miejscowych dziennikarzy albo, co gorsza, na kogoś z komitetu”. Mundy nie bardzo rozumie, dlaczego Kate tak się boi przyłapania *in flagranti* ze swym prawowitym małżonkiem, lecz nie oponuje.

A gdy już porozmawiali i uzgodnili, co i jak, Kate mówi, że byłoby miło, gdyby Ted pojechał z nią do domu, bo akurat wróci Jake, mogą we dwóch pokopać piłkę w ogrodzie, a poza tym może wpadnie Philip, bo ostatnio często wpada pogadać przy drinku o sprawach partyjnych. A jak Philip zobaczy, że grają, to może się przyłączy. I w ten sposób Jake przekona się, że nic takiego się nie stało. Oczywiście trochę się wszystko zmieni, ale ostatecznie pozostaną dobrymi przyjaciółmi i najważniejsze dla nas wszystkich jest dobro Jake’a. Teraz będzie miał nie jeden dom rodzinny, tylko dwa, więc jeśli podejdzie do całej sprawy racjonalnie, to szybko się z tym pogodzi. „Bo co do jednego się zgadzamy”, mówi Kate. „Co do tego, że nie będzie żadnego przeciągania liny w walce o względy Jake’a”.

Zresztą uzgodnili już tak wiele, jeszcze nim Mundy wsiadł do pociągu na King's Cross, że zastanawia się, czy ten wyjazd jest tak naprawdę konieczny – bo tu w Europie Wschodniej wrze, Sasza domaga się tylu spotkań, że trudno go zadowolić... Okazuje się jednak, że nie jedzie na próżno. Albowiem już w pociągu dochodzi do wniosku, że zgadza się na wszystkie warunki Kate.

Entuzjastycznie. Żarliwie.

Dla niego również najważniejsza jest w tej chwili miłość Jake'a do matki. Zrobi wszystko, by ją utrzymać.

I kiedy tylko wsiada do samochodu, zaraz oznajmia to Kate. Jak zwykle, gdy ma negocjować we własnej sprawie, jest do niczego; prosi Kate, nie, błaga ją, by pozwoliła mu wziąć na siebie całą winę za rozpad ich małżeństwa. A jeżeli według niej lepiej będzie, by się nie pokazywał przez kilka pierwszych miesięcy separacji, to oczywiście się dostosuje. Jeżeli zagranie w piłkę z najnowszym apostołem Nowej Drogi w Partii Pracy ma przekonać Jake'a, że mama podjęła właściwą decyzję, to Mundy będzie grał do upadłego. I nie jest to żaden altruizm, tylko instynkt samozachowawczy. Nic więc dziwnego, że gdy zasiadają do stołu, Mundy jest w nastroju postkoitalnym raczej niż rozwodowym.

– Naprawdę oboje możemy być z siebie dumni – zapewnia go Kate, gdy dobierają się do awokado z krabem. – Naprawdę szkoda, że inni tak nie potrafią.

– No właśnie – zgadza się szczerze Mundy.

Rozmawiają o szkole Jake'a. Kate jest już prawie zdecydowana, że w szczególnym przypadku Jake'a trzeba jednak stłumić w sobie wszelkie zastrzeżenia co do szkół prywatnych. Jake to trudny chłopiec, wymaga bardziej zindywidualizowanej opieki. Oczywiście rozmawiała już o tym i z Philipem, i nawet z niektórymi wyborcami, i wszyscy są zdania, że sytuacja jest wyjątkowa, że właściwie nie ma wyjścia, że i tak pewnie nikt tego nie nagłośni, więc jak trzeba, to trzeba. Mundy też nie cierpi szkół prywatnych, ale zapewnia Kate, że jeżeli Jake się zgodzi, to on, Mundy, może płacić czesne.

– Tak mi przykro z powodu tego, jak cię traktują w British Council – mówi Kate, gdy kelner podał jej już pstrąga z migdałami, a do tego zieloną sałatę. – Wiesz, co mnie najbardziej irytuje w tym wszystkim? Że tak cię nie doceniają.

– No, nie przesadzaj – zaprzecza dzielnie Mundy. – W końcu zachowywali się względem mnie całkiem fair. Nie, naprawdę nie mogę mieć do nich pretensji.

– Tylko żebyś ty umiał choć trochę wyklócać się o swoje.

– No wiem, wiem – odpowiada Mundy. W tej chwili jest między nimi zupełnie jak dawniej.

Jeszcze przez chwilę rozmawiają o nieszczęsnym charakterze Mundy’ego, a potem Kate jakoś tak naturalnie przechodzi z tego tematu na pokrewny.

– Na wiosnę wychodzi książka Philipa – mówi.

– O, świetnie. Wspaniale.

– Oczywiście nie jest to powieść.

– Oczywiście.

Rozmowa schodzi na powód rozwodu. To znaczy zaczyna o tym mówić Kate. Jako przyszła kandydatka do parlamentu nie bierze pod uwagę przyznania się do zdrady małżeńskiej. I jeżeli Ted uważa, że ona powinna wziąć na siebie całą winę, to będzie musiała wyciągnąć przemoc psychiczną i zaniedbanie przez męża. „To co, zgadzamy się na rozpad pożycia?”

„Rozpad pożycia, bardzo dobrze”, zgadza się natychmiast Mundy.

– Bo ty przecież też kogoś masz, no nie, Ted? – pyta nieco ostrzejszym tonem Kate. – Przecież ci nie uwierzę, że przez te wszystkie lata siedziałeś w Londynie sam jak palec.

I choć zwrot „siedzieć sam jak palec” dość dokładnie opisuje sytuację, Mundy z grzeczności nie zaprzecza. Zgodnie uznają też, że nie będą rozmawiać o pieniądzach, tym niech zajmą się adwokaci. Bo Kate już się do kogoś zgłosiła. Tedowi też to radzi.

„Prawnicy to dupki”.

– I pomyślałam sobie, że dobrze byłoby poczekać, aż Philip dostanie oficjalną nominację. Oczywiście jeżeli nie masz nic przeciwko temu – mówi Kate przy ostatniej kawie.

– Poczekać? Z czym? Ze ślubem? – pyta Mundy.

– Z rozwodem.

Mundy prosi o rachunek, który płaci pieniędzmi z brązowej koperty od Amory’ego. Rozpadało się i tak dalej, więc może to nie najlepszy wieczór na granie w piłkę z Philipem. Z drugiej strony Mundy chce zobaczyć się z Jakiem bardziej niż kiedykolwiek dotąd, więc może pojedzie z Kate, pogra z chłopakiem chwilę w jakąś grę planszową, a potem weźmie taksówkę na dworzec?

Docierają do domu. Kate idzie nastawić wodę, Mundy czeka w salonie. Czuje się jak agent ubezpieczeniowy. Rozgląda się, gdzie by ustawił kwiaty,

gdyby jeszcze tu mieszkał. I że te meble udałoby się rozstawić znacznie porządniej, gdyby tylko Jake znalazł pięć minut, by mu pomóc. I myśli jeszcze, że martwi się domowymi drobiazgami, bez których Kate doskonale daje sobie radę. No, ale Kate dorastała w rodzinie, a Mundy zawsze musiał sobie takie życie wyobrażać. I gdy tak myśli, drzwi frontowe nagle się otwierają. Do pokoju wpadają Jake i jego koleżanka Lorna. Jake bez słowa mija ojca, włącza telewizor i wraz z Lorną rzucają się na kanapę.

– A co ty robisz w domu o tej porze? – pyta podejrzliwie Mundy.

– Zwolnili nas – odpowiada wyzywająco Jake, nie odwracając głowy od ekranu.

– Zwolnili? Dlaczego? Za co?

– Pani powiedziała, że mamy oglądać, bo to historyczne wydarzenie – wyjaśnia z wyższością Lorna.

– No i oglądamy. Masz coś przeciwko? Mama, co jest do zarcia? – pyta Jake.

Pani ma rację. To rzeczywiście historyczne wydarzenie. Oglądają dzieci, ogląda Mundy. I nawet Kate, choć uważa, że zajmowanie się polityką zagraniczną nie przyda się jej w kampanii wyborczej, też podpatruje przez drzwi do kuchni. Pada Mur Berliński. Hipisi z obu stron muru wskakują na to, co z niego zostało. Odrętwiały Mundy zauważa, że hipisi z Berlina Zachodniego mają długie włosy, a świeżo wyzwoleni hipisi ze Wschodu – ciągle jeszcze krótkie.

O północy Mundy przyjeżdża pociągiem na King's Cross. W pierwszej lepszej budce wykręca numer alarmowy. Nagrany na taśmę głos Amory'ego każe mu zostawić wiadomość po sygnale. Mundy mówi, że nie ma żadnej wiadomości, tylko nie wie, czy przypadkiem nie powinien czegoś zrobić. Chodzi o to, że umiera ze strachu o Saszę, ale jest zbyt dobrze wyszkolony, by się do tego przyznać. Jakąś odpowiedź dostaje, gdy dociera na Estelle Road, tylko że tę wiadomość Amory nagrał sześć godzin wcześniej. „Edward, jutro nie gramy w squasha, bo remontują kort. Siedź na dupie, pij dużo płynów. *Tschüss*”. Włącza telewizor.

Mój Berlin.

Mój mur.

Demolują go moje tłumy.

Moje tłumy szturmują siedzibę Stasi.

W środku jest mój przyjaciel. Wezmą go za wroga.

Z okien spadają tysiące akt Stasi.

Zaraz przeczytają moje: Ted Mundy, tajny współpracownik Stasi, brytyjski zdrajca.

O szóstej rano idzie do budki na Constantine Road, parę przecznic od domu, i jeszcze raz telefonuje pod numer alarmowy. Gdzie dzwoni telefon? W Mydlarni? Czy ktoś jeszcze w ogóle zajmuje się dezinformowaniem Stasi? A może w domu u Amory'ego? Czyli gdzie? Zostawia kolejną bezsensowną wiadomość.

Wraca na Estelle Road i leży w wannie, słuchając jakiejś północnoniemieckiej stacji. Goli się z ogromną koncentracją, przyrządza sobie uroczyste śniadanie, ale nie ma na nie ochoty, więc zostawia bekon na progu – dla kota sąsiadów. Uznaje, że musi się przejść, wybiera się zatem na błonie, ale ląduje na Bedford Square. Jego klucz nadal pasuje do drzwi frontowych, lecz gdy przyciska guzik przed wewnętrznymi drzwiami, nie wychodzi mu na spotkanie miła angielska dziewczyna z sygnetem tatusia na palcu. W przypiływie nagłej wściekłości Mundy gwałtownie szarpie za klamkę, potem wali w drzwi pięściami. Włącza się alarm. Gdy wychodzi, nad wejściem miga niebieskie światło, dźwięk dzwonka jest ogłuszający.

Z kolejnej budki, tym razem na Tottenham Court Road, znów telefonuje pod numer alarmowy i tym razem udaje mu się zastać Amory'ego. W tle słychać okrzyki po niemiecku, więc domyśla się, że w jakiś sposób przełączono go do Berlina.

– Po cholere łąziłeś do Mydlarni? – pyta ze złością Amory.

– Co z nim?

– Zniknął nam z pola widzenia. Nie ma go w biurze, nie ma w mieszkaniu.

– Skąd wiesz?

– Stąd, że szukaliśmy. A co ty sobie wyobrażasz? Sprawdzaliśmy mieszkanie tak, że aż przestraszyliśmy sąsiadów. Robocza wersja jest taka, że wyczuł pismo nosem i wyniósł się, zanim oberwie gdzieś na ulicy czy coś takiego.

– Pozwól mi go poszukać.

– Pięknie. Proszę bardzo. Weź gitarę i śpiewaj pod każdym więzieniem, aż pozna twój śliczny głosik. Aha, Ted, pamiętasz, że twój paszport jest u nas?

– Co?

– Przecież nam też na nim zależy. Nie rób z siebie męczennika.

List od Saszy przychodzi dopiero po pięciu miesiącach. Mundy sam nie wie, jak wytrzymał tak długo bez wiadomości od przyjaciela. Te popołudnia spędzane w Doncaster na grze w piłkę z Jakiem. Albo z Jakiem i Philipem. Straszne obiady z Philipem i Kate, ale bojkotowane przez Jake'a. Jeszcze gorsze weekendy z samym Jakiem w Londynie. Filmy, które Jake musi obejrzeć, a które Mundy'ego napawają odrazą. Wiosenne spacerunki po błoniach – Jake wlecze się dwa kroki z tyłu. Trzymanie się British Council aż do nadejścia błogosławionego dnia Odejścia na Wcześniejszą Emeryturę za Porozumieniem Stron.

To samo pismo. Niebieski papier lotniczy. Stempel poczty w Husum, północne Niemcy. List zaadresowany na Estelle Road, NW3. A skąd on zna mój adres? No tak: zawsze wpisywałem go na formularzach wizowych. Skąd ja znam tę miejscowość? No tak: Theodor Storm, autor *Jeździec na siwym koniu*. Czytał mi to doktor Mandelbaum.

Drogi Teddy!

Zarezerwowałem na Twoje nazwisko dwa luksusowe apartamenty w hotelu Dreesen w Bad Godesbergu. Na osiemnastego. Przywieź wszystkie swe ziemskie dobra, ale przyjedź sam. Nie chcę się ani witać, ani żegnać z panem Arnoldem, bo mam go w dupie. Pojechałem do Husum sprawdzić, czy na pewno pochowano herr pastora. Tak żałuję, że nie dożył chwili, w której nasz ukochany Führer zrobił Anschluss NRD. Deutschmark, Deutschmark über alles.

Twój brat w Chrystusie

Sasza

Sasza jeszcze stracił na wadze, choć już naprawdę nie wiadomo z czego. Zachodni superszpieg wygląda teraz jak zagłodzone na śmierć dziecko. Siedzi wciśnięty w kąt fotela, na którym zmieściłoby się trzech takich jak on.

– To musiało się tak skończyć – przekonuje Mundy i złości się w duchu, że to brzmi, jakby przeproszał. – Po prostu musiało. Kiedy padł mur, było już za późno. Trudno kogokolwiek o to winić.

– A ja właśnie winię, Teddy. Winę Kohla, Reagana, Thatcher i twojego fałszywego pana Arnolda, który tak mi nakłamał.

– Wcale ci nie nakłamał. Przedstawiał ci prawdę taką, jaką ją widział.

– No właśnie. Powinien wiedzieć, że w tym zawodzie prawda taka, jaką się widzi, to zawsze kłamstwo.

Znowu milkną. Oni tak, ale Ren – nigdy. Bo choć noc dawno już zapadła, przed oknami wciąż przesuwają się barki z takim hałasem, jakby przepływały im przez środek pokoju. Mundy i Sasza nie zapalają lamp, ale na Renie nigdy nie jest ciemno. Sodowe lampy wzdłuż nabrzeża świecą w górę, wprost w owalny sufit, światła jachtów do woli dokazują po białych ścianach. Zaraz po przyjeździe Mundy’ego Sasza poprowadził go do okna i pokazał mu widok: „na drugim brzegu, Teddy, widać hotel na wzgórzu, ten sam, w którym mieszkał twój szanowny premier Neville Chamberlain, gdy oddawał pół Czechosłowacji Hitlerowi. A w naszym hotelu, i chyba zresztą właśnie w tym pokoju, nasz ukochany Führer i jego świta zgodzili się przyjąć ten piękny dar”.

– Führer tak by się cieszył, gdyby mógł tu dziś być z nami! Aneksja Niemiec Wschodnich zakończona, znów mamy Wielkie Niemcy, koniec Czerwonej Zarazy. A jutro przyjdzie kolej na cały świat.

– Mam dla ciebie wiadomość od pana Arnolda – mówi Mundy. – Przekazać ci ją?

– Ależ oczywiście.

– Proś, o co chcesz. Oczywiście w granicach rozsądku. Tylko powiedz: nowe życie, nowa tożsamość. Podobno na początku powiedziałeś, że nie chcesz od nich pieniędzy, ale nie będą cię trzymać za słowo.

– Pan Arnold to chodząca hojność.

– Chcieliby się z tobą spotkać, żeby omówić twoją przyszłość. W kieszeni mam dla ciebie paszport i dwa bilety na jutrzejszy lot do Londynu. A jeżeli ty nie chcesz jechać do nich, przyjadą, gdzie wskażesz.

– Jestem zachwycony. Ale dlaczego tak leży im na sercu moje dobro? Przecież już im się na nic nie przydam.

– Może mają poczucie honoru. Może nie chcą, żebyś snuł się po świecie, skoro tyle dla nich zrobiłeś. A może nie mają ochoty czytać twoich wspomnień.

Zapada kolejne długie milczenie. Kolejna denerwująca zmiana tematu. Sasza odstawił whisky. Teraz ostrożnie rozwija czekoladkę z miętą.

– Byłem w Paryżu. Tyle wiem – wspomina jak ktoś, kto usiłuje przypomnieć sobie wypadek, którego był świadkiem – bo mam na walizce nalepkę z Paryża.

– Nadgryza brzeg czekoladki. – I wiem na pewno, że w Rzymie byłem nocnym portierem. To dopiero świetny zawód dla szpiegów na emeryturze: nie spać,

by spać mógł ktoś. A spać, gdy wszyscy inni idą do diabła.

– Myślę, że należy ci się coś więcej.

– Musiałem chyba wsiąść do pociągu z Rzymu do Paryża, z Paryża do Hamburga i z Hamburga do Husum, gdzie choć wyglądałem jak menel, udało mi się przekonać taksówkarza, by zawiózł mnie do domu świętej pamięci herr pastora. Drzwi otworzyła mi matka. Czekala na mnie z kurczakiem w lodówce i zagrzany łóżkiem. Z tego wnoszę, że musiałem telefonować do niej z podróży i uprzedzić ją o przyjeździe.

– Bardzo słusznie.

– Czytałem gdzieś, że niektóre prymitywne plemiona wierzą, iż ktoś musi umrzeć, by ktoś inny mógł się narodzić. To chyba prawda, bo moja mama odżyła. Przez cztery tygodnie opiekowała się mną bardzo fachowo. Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie. – Łańcuch kotwiczny wyje i opada w dół, syrena okrętowa lamentuje nad jego upadkiem. – Ale co będzie z tobą, Teddy? Czy pan Arnold jest równie szczodry dla ciebie? Dostaniesz posadę w pałacu Buckingham?

– Mówią, że chcą mi kupić połowę udziałów w jakiejś szkole językowej. Dogadujemy szczegóły.

– Tu, w Niemczech?

– Chyba tak.

– Będziesz uczył Niemców niemieckiego? Najwyższy czas. Ci z Zachodu mówią w amideutsch, ci ze Wschodu w stasideutsch. Proszę cię, zacznij jak najszybciej.

– Tak naprawdę chodzi o szkołę angielskiego.

– A, no tak. Język panów. Bardzo słusznie. Małżeństwo ci się rozpadło?

– Skąd ta pewność?

– Bo w przeciwnym razie wróciłbyś przecież na łono rodziny.

Jeżeli Saszy zależało na rozdrażnieniu swego przyjaciela Teddy'ego, to wreszcie mu się udało.

– Czyli nic nam nie zostało – mówi sucho Mundy. – Pięknie. Dwaj rozbitkowie, ofiary zimnej wojny. Czy to naprawdę my, Sasza? Tak? No to teraz sobie popłaczymy. Najlepiej nic nie róbmy, tylko użalajmy się nad sobą i uznajmy, że straciliśmy wszelkie nadzieje. Po to mnie tu ściągnąłeś?

– Mama życzy sobie, bym odwiózł ją do Neubrandenburga, gdzie się urodziła. Od jakiegoś czasu koresponduje z jednym z tamtejszych domów spokojnej jesieni. Proszę, by pan Arnold opłacał jej pobyt aż do jej śmierci.

To nie potrwa długo. – Sasza wyciąga z kieszeni wizytówkę z nadrukiem: „Zgromadzenie Sióstr Urszulanek pod wezwaniem św. Julii”. – Pieniądze pana Arnolda są może trochę brudne, ale herr pastora całkowicie nietykalne. Te zostaną przekazane na jeszcze bardziej potrzebujących. Chcę, byś pojechał ze mną, Teddy.

Dobiegający z rzeki hałas narasta w tej chwili tak, że Mundy nie od razu rozumie, o co Saszy chodzi. Potem orientuje się, że sam zerwał się na równe nogi i stoi przed przyjacielem.

– Co ty wygadujesz?

– Jeszcze się nie rozpakowałeś. Ja też nie. Wystarczy, że zapłacimy rachunek i możemy jechać. Najpierw odwieziemy moją mamę do Neubrandenburga. To miła i dobrze wychowana pani. Jeżeli zechcesz, by i ciebie przygarnęła, nie będę zazdrosny. A potem jedziemy.

– Dokąd?

– Jak najdalej od Czwartej Rzeszy. Gdzieś, gdzie jeszcze jest nadzieja.

– Czyli gdzie?

– Gdzie tylko ona ludziom została. Wydaje ci się, że wojna się skończyła dlatego, że banda starych hitlerowców z NRD sprzedała Lenina za coca-colę? Ty naprawdę wierzysz, że amerykański kapitalizm zbawi świat? Nie zbawi, tylko oskubie do goła.

– A co ty chcesz zrobić w tej sprawie?

– Walczyć. Co innego mi zostało?

Mundy nie odpowiada. Sasza już wyciąga ku niemu jego walizkę. W półmroku wydaje się większa niż w rzeczywistości, ale Mundy nie rusza się z miejsca, by mu pomóc lub przeszkodzić. Siedzi i robi w głowie listę rzeczy, które nagle stały się dla niego bardzo ważne. Jake chce w maju jechać na narty na lodowiec. Kate chce przejąć Estelle Road, zamieszkać w Londynie i dojeżdżać do Doncaster, bo wtedy Philip byłby bliżej ośrodka władzy. Może powinienem iść na jakieś studia, zrobić dyplom. Syreny barek i statków na rzece tak hałasują, że nie słyszy odgłosu zamykanych drzwi.

Dalej siedzi w fotelu i metodycznie pracuje nad zawartością pełnej szklanki niemal czystej whisky, nasłuchuje dźwięków świata, do którego już nie należy, smakuje pustkę swego życia i zastanawia się, co mu zostało, gdy cała jego przeszłość zamknęła za sobą drzwi. Czy coś jeszcze da się użyć, czy może lepiej spisać wszystko na straty i zacząć od nowa.

I jeszcze myśli o tym, kim był, gdy robił to wszystko, czego już nigdy więcej robił nie będzie. Całe to udawanie, oszukiwanie – w imię czego? Stalowa Trumna, wojskowy płaszcz na autostradzie – dla kogo?

I zastanawia się, czy było to warte rozvodu, spapranego życia i tego, że boi się spojrzeć w oczy własnemu synowi.

Tato, czy jutro to samo byś zrobił, gdyby znów cię wezwano? To pytanie jest bez sensu. Nie ma żadnego jutra. Żadnego takiego jutra, jakim było wczoraj.

Dolewa do szklanki i pije własne zdrowie. „Lepiej jak salamandra w ogniu żyć i gorzeć”. Bardzo śmieszne. Tylko co potem, gdy ogień wygaśnie?

Sasza wróci. Zawsze wraca. Sasza jest jak bumerang – nie da się go wyrzucić. Jeszcze parę minut i zaraz zacznie dobijać się do drzwi. Powie mi, że jestem dupkiem i że bym mu nalał whisky. Sobie przy okazji też naleję.

Więc nalewa sobie. Tylko tym razem daje sobie spokój z wodą.

A po paru bełtach, jak mawiał stary Jay Rourke, na serio zabierzemy się do świętowania naszych sukcesów: skończyła się zimna wojna, komunizm upadł, i czyja to zasługa? Nas dwóch! Już nikt nigdy nie będzie nikogo szpiegował, wszyscy ludzie, którzy dotąd żyli w strachu, mogą spać spokojnie, bo Sasza i Teddy sprawili wreszcie, że świat stał się bezpieczny, a więc nasze zdrowie, chłopie, świetnieśmy się spisali. A teraz zdrowie salamandry i pani salamandrowej też, i wszystkich przyszłych salamandrzątek.

Rano zbudzimy się z okropnym kacem i pomyślimy: kurna, co to za śpiewy i krzyki, klaskanie i trąbienie na bulwarze? Więc otworzymy okna, wyjdziemy na balkon, a tam statki wycieczkowe i barki, wszystko w pełnej gali, syreny, tłumy ludzi machają do nas i krzyczą: „Dziękujemy, Sasza! Dziękujemy, Teddy! Pierwszy raz śpimy spokojnie od dnia, w którym nasz ukochany Führer odszedł do Pana. Wam to zawdzięczamy, chłopcy! A więc, na cześć Saszy i Teda, hip, hip, hura!”.

Wasze zdrowie.

Mundy wstaje odrobinę zbyt szybko, jakoś dochodzi do drzwi i otwiera je na oścież. Korytarz jednak jest pusty. Dociera do szczytu schodów i wrzeszczy: „Sasza, ty dupku, wracaj!”. Ale Saszy nie ma, pojawia się za to stary nocny portier, który z całym szacunkiem odprowadza Mundy’ego z powrotem do jego apartamentu. Drzwi tymczasem zdążyły się zamknąć, lecz portier ma zapasowy klucz. To na pewno jeszcze jeden szpieg na emeryturze, myśli Mundy i wręcza mu pięćdziesiąt marek. Ktoś nie śpi, aby spać mógł

ktoś. A śpi, gdy wszyscy inni idą do diabła.

11

Nad bawarskim jeziorem karuzela wciąż wyrzuca z siebie wesołą muzyczkę, śląski matador wciąż grucha o *amor*. Od czasu do czasu rakietą ziemia–powietrze wybucha nieszkodliwie pośród gwiazd, a okoliczne góry trzęsą się w jej czerwono–złotym świetle. Nikt jednak nie odpowiada ogniem, nie widać słupa czarnego dymu za opadającym ku ziemi nieprzyjacielskim samolotem. Ten, do którego strzelają, ma przewagę powietrzną. Mundy słyszy w uszach słowa Judith: „Terrorysta to dla Karen ktoś, kto ma bombę, ale nie ma samolotu”. Dawno już nie wpuszczał Judith z powrotem w swoje życie, ale ze szklanką whisky w ręce, sufitem strychu nad głową i garbem Saszy w tym samym pokoju trudno powstrzymać napływające zewsząd wspomnienia.

Dochodzi do wniosku, że znów są razem w Berlinie na Boże Narodzenie, tylko że jakoś nie słychać kolęd, kościelne świece nie palą się na stertach kradzionych książek. No i Sasza przyrządza tym razem nie twardą jak kość sarninę, tylko ulubiony *Wienerschnitzel* Mundy’ego. To właśnie było w torbie, którą tak ostrożnie wnosił na górę po spiralnych schodach. Mieszkanko na zaadaptowanym strychu ma drewniane belki w suficie, nagie ściany z cegły i okna w dachu, ale na tym podobieństwo się kończy. Jeden kąt pokoju zajmuje nowoczesna kuchnia – kafelki i stal. A przez gotyckie okno widać góry.

– To twoje, Sasza?

Czy Sasza kiedykolwiek cokolwiek posiadał? Tylko że przy pierwszym po dziesięciu latach spotkaniu starych przyjaciół trudno od razu przejść do rzeczy.

– Nie, Teddy. To mieszkanie kupili nam jedni moi przyjaciele.

Mundy zauważa, że Sasza użył pierwszej osoby liczby mnogiej.

– To miło z ich strony.

– Bo to mili ludzie.

– I bogaci.

– Tak się składa, że masz rację. To kapitaliści, ale stojący po stronie uciśnionych.

– A to ładne audi też jest od nich?

– Też.

- No to należy się ich trzymać. Potrzebujemy ich.
- Dziękuję, Teddy. Owszem, zamierzam się ich trzymać.
- Czy od nich wiedziałeś, gdzie mnie szukać?
- Możliwe.

Mundy słyszy słowa Saszy, ale tak naprawdę słucha jego głosu. Jest tak samo żywy i tak samo pełen napięcia jak dawniej, lecz teraz pobrzmiewa w nim też niedający się ukryć entuzjazm. To głos odbity od jakiegoś nowego geniusza, zwiastujący Dobrą Nowinę. To głos Banka wynurzającego się z półmroku weimarskiej piwnicy i nakazujący powstrzymanie się od uwag do niezbędnego minimum.

– A więc szczęśliwy z ciebie człowiek, Teddy – mówi szybko Sasza, krzątając się po kuchni. – Masz rodzinę, samochód i wciskasz ludziom ciemnotę. Czy z twoją wybranką łączy cię jak zwykle węzeł małżeński?

- Pracuję nad tym.
- Nie tęsknisz za Heidelbergiem?
- A czemu miałbym tęsknić?
- Bo zdaje się, że jeszcze pół roku temu prowadziłeś tam szkołę języka angielskiego.
- Ostatnią z wielu. – A skąd on to wszystko wie, do cholery?
- I co się stało?
- To, co zawsze. Wielka inauguracja, oferty do wszystkich największych firm, reklamy na całą stronę. Przyślijcie nam swoich steranych dyrektorów, nauczymy ich mówić po angielsku. Sęk w tym, że im więcej miałem studentów, tym większe straty. Co, tego ci nie powiedzieli?
- Zdaje się, że miałeś nieuczciwego współlnika. Nazywał się Egon, tak?
- Tak jest. Egon. No brawo. A teraz ty opowiedz o sobie. Gdzie mieszkasz? Masz kogoś? Co robisz i komu? I po jaką cholere szpiegujesz mnie razem z nowymi kolegami? Wydawało mi się, że już z tym skończyliśmy.

Sasza unosi brwi, wydyma wargi i wybiera połowę pytań, ignorując pozostałe.

- Dziękuję, Teddy, u mnie wszystko w porządku. Zdaje się, że wreszcie mi się poszczęściło.
- No, najwyższy czas. Jako wędrownemu wykładowcy radykalizmu po najgorszych miejscach świata nie było ci chyba zbyt do śmiechu? A jak to ci się poszczęściło?

Znowu brak odpowiedzi.

Stół jest już nakryty. Na dwie osoby. Przy nakryciach ładne papierowe serwetki, na eleganckim rzeźbionym stojaku butelka burgunda. Sasza zapala świece. Dłoń tak mu się trzęsie jak w jego opowiadaniu, gdy ponad dwadzieścia lat temu niósł do profesora formularz wizowy Mundy'ego. Widok ten budzi w Mundy opiekuńczość i czułość, przed którą obiecywał sobie się bronić. Przecież już dawno przysiągł sobie, że uczucia te ograniczy do Zary, Mustafy i siebie, by chronić to lepsze życie, które właśnie zaczynają prowadzić. Za dokładnie minutę powie Saszy tak: „Jeżeli znowu zamierzasz podzielić się ze mną swoją kolejną wielką wizją, to odpowiedź brzmi nie, nie i jeszcze raz nie”. Tak mu powie. Mogą chwilę pogadać o dawnych czasach, uścisnąć sobie dłonie, ale potem każdy pójdzie swoją drogą.

– Proponuję, żebyśmy dziś nie pili dużo, Teddy, oczywiście jeśli się zgodzisz. To będzie długa rozmowa – mówi Sasza.

Jak można się było spodziewać, *Wienerschnitzel* jest niedosmażony, bo Sasza był tak podekscytowany, że nie poczekał, aż tłuszcz dobrze się podgrzeje.

– Ale dostawałeś moje listy, Teddy? Chociaż nie odpisywałeś?

– Owszem.

– Wszystkie?

– Chyba tak.

– Czytałeś je?

– Oczywiście.

– Moje artykuły też?

– Wstrząsające. Świetnie napisane.

– Ale nie na tyle, by mi odpisać?

– No nie.

– Czy to dlatego, że w Bad Godesbergu nie rozstaliśmy się jak przyjaciele?

– No, przyjaciółmi byliśmy chyba i tak. Może po prostu byliśmy zmęczeni.

W tym zawodzie człowiek szybko się zużywa – odpowiada Mundy i na wszelki wypadek wybucha śmiechem, bo Sasza nie zawsze wie, kiedy ktoś żartuje. Zresztą żart też nie był najlepszy.

– Twoje zdrowie, Teddy. Twoje zdrowie w tych cudownych, strasznych czasach.

– I twoje, stary.

– Przez te wszystkie lata, gdziekolwiek mnie poniosło, gdy wykladałem, gdy mnie wyrzucano, zamykano, byłeś moim tajnym spowiednikiem. Bywało, że

gdyby nie ty, zwątpiłbym w sprawę.

– Tak pisałeś. To miło z twojej strony. Naprawdę nie musiałeś – odpowiada wzruszony Mundy.

– A jak ci się podoba ta najnowsza wojenka?

– O, bardzo. Ciągłe mi jej mało.

– Najbardziej uzasadniona w dziejach ludzkości, najbardziej moralna, chrześcijańska i... najbardziej nierówna?

– Rzygać mi się chce, jak na to patrzę – mówi Mundy.

– Ciągłe?

– Ciągłe.

Czyli po to przyjechał, myśli Mundy. Wie, że byłem przeciw wojnie, i chce mnie zwerbować do jakiejś tam swojej nowej kampanii. No, jeżeli się dziwi, co we mnie wstąpiło, to nie jest w tym odosobniony. Bo przez jakiś czas rzeczywiście jakbym usnął, jakbym całkiem zobojętniał. Były szpieg zanudzający na śmierć anglojęzycznych gości Linderhofu. Zniknęły mi z oczu białe brzegi Dover, aż tu nagle...

Nagle jakby go giez ukąsił. Zaczął pokrywać ściany mieszkania Zary wycinkami z gazet, telefonować do prawie nieznanym ludzi, wydzierać się na telewizyjne gadające głowy, zasypywać ukochane angielskie gazety listami, których tam nie tylko by nie wydrukowano, ale nawet nie czytano.

Co takiego się stało, czego przedtem nie było?

Przecież jakoś przetrzymał i Thatcher, i Falklandy. Patrzył, jak dzieci, którym na nowo wszczepiono churchillowskiego ducha, ryczą: „Rządź, Brytanio!” na pośpiesznie szykowane do drogi krążowniki i przestarzałe niszczyciele, które płynąc, by wyzwolić Falklandy, chyba ciągle śmierdziały naftaliną. Nie protestował, gdy nasza Führerka kazała mu się cieszyć z zatopienia „Belgrano”. O mało nie zwymiotował, ale wytrzymał.

Już za młodu, gdy miał dziewięć lat, obaj z majorem szaleli z entuzjazmu, gdy nasze dzielne angielskie wojska uwalniały zagrożony Kanał Sueski – po to tylko, by pozostał on w rękach jego prawowitych właścicieli i by się zorientować, że podobnie jak teraz rząd łągał w żywe oczy co do powodów wciągnięcia nas do wojny.

Łgarstwa polityków i ich obłuda nie są przecież dla Mundy’ego niczym nowym. I nigdy nie były. Dlaczego więc teraz zareagował tak gwałtownie? Dlaczego nagle zaczął się udzielać, wygadywać na rzeczy, które pojawiły się

na tym najlepszym ze światów w chwili, gdy pierwszy w dziejach polityk wygłosił swe pierwsze kłamstwo, pierwszy raz owinął się flagą, powiedział, że ma misję od Boga, a potem tłumaczył, że niczego takiego nie mówił?

Wczesny napad starczej niecierpliwości? Gniew, bo miarka się przebrała?

Albo świadomość, że mądrzy głupcy historii o jeden raz za wiele zagrali nam na nosie. I postanowienie, że teraz nie puści im tego płazem.

Albo poczynione po pięćdziesiątce odkrycie, że pół wieku po upadku imperium brytyjskiego ten fatalnie rządzony kraj, dla którego coś niecoś przecież uczynił, musi iść na wojnę i poskramiać nieposłusznych dzikusów na podstawie steku kłamstw po to tylko, by przypodobać się wiarołomnemu supermocarstwu uważającemu, że może traktować cały świat jak własny folwark.

A jakie narody są najwierniejszymi sprzymierzeńcami Teda Mundy'ego, gdy wygłasza swe bezsilne tyrady każdemu, kto jest zbyt dobrze wychowany, by mu przerwać?

Paskudni Niemcy.

Perfidni Francuzi.

Barbarzyńscy Rosjanie.

Trzy narody, które miały odwagę i rozum, by mówić „nie”. Oby jak najdłużej.

Ten odrodzony i unoszący się gniewem Mundy pisze do swej byłej żony – którą za wszystkie grzechy pokarało wreszcie stanowiskiem w przyszłym składzie rządu. Pisze może nie dość dyplomatycznie, ale w końcu byli kiedyś małżeństwem, mają razem dziecko. Czterowierszowy wydrukowany list, podpisany przez kogoś w zastępstwie, informuje go, że jego opinie zostaną wzięte pod uwagę.

Sama Kate od dawna już tego nie robi.

Następnie odrodzony Mundy apeluje do swego syna Jake'a, który jakoś wreszcie dojrzał do ostatniego roku studiów w Bristolu, by wyprowadził innych studentów na ulicę, wznosił barykady, ogłosił bojkot wykładów, przeprowadził okupację rektoratu. Ale obecnie Jake lepiej rozumie się z Philipem i nie traci czasu na korespondencję z podstarzałym, mieszkającym na kontynencie ojcem, który w dodatku nie ma adresu mailowego. No a odpisać odręcznie jest ponad jego siły.

Więc nowy Mundy bierze udział w marszach protestacyjnych, tak jak kiedyś w Anglii z Ilse czy w Berlinie z Saszą. Tym razem jednak czyni to

z nieporównywalnie większym przekonaniem, bo do tej pory przyjmował za swoje poglądy innych. Oczywiście to trochę dziwne, że Niemcom chce się demonstrować przeciwko wojnie potępionej przez ich własny rząd, no ale jakoś demonstrują, niech im idzie na zdrowie. Może rząd niemiecki wie najlepiej, jak łatwo wkraść się w łaski naiwnego elektoratu.

Nowy Mundy demonstruje wraz z nimi. Zara i Mustafa też, i inni znajomi, i duchy Rani, Ahmeda, Umara, Alego, i wszyscy krykieści z Kreuzberga. A kiedy demonstruje cała szkoła Mustafy, nowy Mundy też jest na miejscu.

Demonstrują wierni z meczetu. Po obu stronach pochodu idą policjanci. To dla Mundy'ego pewna nowość – okazuje się, że policjanci podobnie jak on są przeciwni wojnie. Po demonstracji idzie z Mustafą i Zarą do meczetu, a po meczecie siedzą smętnie nad kawą w kącie kebabiarni Zary w towarzystwie młodego oświeconego imama, który uczy, jak nie paść ofiarą niebezpiecznych błędów.

Mundy uznaje, że kieruje nim chęć życia w prawdzie po tylu latach udawania. I szczerą chęć zerwania z oszukiwaniem siebie.

– Twój pan premier nie jest pudlem amerykańskiego prezydenta, ale jego psem łańcuchowym – mówi Sasza, zupełnie jakby czytał w myślach Mundy'ego. – Korzystając z poparcia „służalczych środków masowego przekazu w Wielkiej Brytanii, finansowanych przez wielkie korporacje, fałszywie uwiarygodnia amerykański imperializm”. Mówi się nawet, że to wy, Brytyjczycy, graliście pierwsze skrzypce.

– Wcale bym się nie zdziwił – przyznaje Mundy i poprawia się na krześle, bo ma wrażenie, że czytał już coś takiego, chyba w „Süddeutsche Zeitung”, i potem sam wielokrotnie powtarzał.

– A skoro owa tak zwana koalicja swym niczym nieuzasadnionym atakiem na Irak zdążyła już złamać „połowę zasad prawa międzynarodowego i zamierza złamać drugie pół przedłużającą się okupacją tego kraju”, czy nie powinniśmy domagać się postawienia głównych instygatorów przed Międzynarodowym Trybunałem w Hadze?

– Świetny pomysł – zgadza się mechanicznie Mundy. Może nie był to jego pomysł, lecz stosował go z powodzeniem wiele razy.

– Oczywiście pomimo faktu, że Ameryka „jednostronnie wyłączyła się spod jurysdykcji trybunału”.

– Pomimo. – Dokładnie takiego samego argumentu po wysłuchaniu jakiejś

audycji w BBC World Service Mundy użył w klubie Poltergeist podczas szczególnie licznego zebrania.

I nagle Mundy ma dość. I to nie tylko na ten jeden wieczór. Ma już dość tych wszystkich podchodów. Nie wie, o co chodzi Saszy, ale wie, że i tak nie ma na to ochoty i że nie podoba mu się ten pełen wyższości uśmiezek. I już ma powiedzieć Saszy coś do słuchu, gdy nagle przyjaciel go uprzedza. Ich twarze, oświetlone bożonarodzeniowymi świeczkami z berlińskiego strychu, są teraz bardzo blisko siebie. Sasza chwyta go za przedramię. Ciemne oczy, mimo całego cierpienia i desperacji, jaśnieją niemal żalonym entuzjazmem.

– Teddy.

– O co chodzi, do cholery?

– Zadam ci tylko jedno pytanie. Znam już odpowiedź, ale muszę ją od ciebie usłyszeć osobiście. Obiecałem. Jesteś gotowy?

– Wątpię.

– Czy ty wierzysz w to, co mówisz? Czy to tylko moda? Jesteś Anglikiem mieszkającym w Niemczech. Może myślisz, że musisz zająć bardzo klarowne stanowisko, powiedzieć więcej, niż naprawdę czujesz? To by było zrozumiałe. Ja cię nie krytykuję, tylko pytam.

– Sasza, na miłość boską! Przychodzisz w tym berecie, wyciągasz mnie tu, uśmiechasz się jak Mata Hari, rzucasz mi w twarz moje własne słowa... Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

– Teddy, bardzo cię proszę, odpowiedz na pytanie. Przynoszę ci nadzieję, tak wielką, że aż niewiarygodną. I dla ciebie, i dla mnie. To wielka, niepowtarzalna szansa. Przy okazji natychmiast skończą się twoje problemy finansowe. Wrócisz do roli nauczyciela, do swej ukochanej wielokulturowości. A ja wreszcie będę mógł robić coś wielkiego. Przyczynić się do zbudowania nowego świata. Zaspasz?

– Nie, słucham cię, tylko na ciebie nie patrzę. Czasem tak lepiej.

– „To wojna kłamstw”. Zgadzasz się? „Nasi politycy kłamią dziennikarzom, potem czytają te kłamstwa i nazywają to głosem opinii publicznej”.

– To twoje słowa czy znowu plagiat moich?

– To słowa pewnego wielkiego człowieka. Zgadzasz się z nimi? Tak czy nie?

– No dobra: tak.

– „Wielokrotnie powtarzane kłamstwa stają się niezaprzeczalnym faktem, na którym oparte są kolejne kłamstwa. Tak dochodzi do wojny. Tej wojny”. To

też jego słowa. Zgadzasz się z nimi? No, Teddy: tak czy nie?

– Tak, tak. I co z tego?

– „Ten system sam się napędza. Im więcej potrzeba kłamstw, tym więcej trzeba wojen, by owe kłamstwa uwiarygodnić”. Nadal się zgadzasz?

Mundy czuje w sobie wzbierający gniew, lecz z pozorną biernością oczekuje na kolejne salwy.

– „Wplątanie własnego kraju w wojnę na podstawie fałszywych przesłanek to najłatwiejsza i najtańsza sztuczka dla każdego przywódcy. Ale każdy, kto to zrobi, powinien do końca życia utracić wszelką władzę”. Czy to już dla ciebie zbyt ekstremalne, Teddy, czy może i z tym mógłbyś się zgodzić?

Mundy wreszcie wybucha:

– Tak, tak, tak. Zadowolony? Zgadzam się z tym, co sam mówiłem, z tym, co mówiłeś ty, i z tym, co mówi ten twój obecny guru. Niestety, jak przekonaliśmy się na własnej skórze, gadaniem nie powstrzymuje się wojen. Dobranoc, dziękuję za miły wieczór, pozwól mi wrócić do domu.

– Teddy, trzydzieści kilometrów stąd żyje człowiek, który poprzysiągł oddać życie i cały swój majątek za Wyścig Zbrojeń ku Prawdzie. To też jego własne określenie. Kto go słucha, doznaje natchnienia. Nic, co od niego usłyszysz, nie zaniepokoi cię ani ci nie zagrozi. Możliwe, że przedstawi ci jakąś propozycję. Zadziwiającą, wyjątkową, podniecającą propozycję. Jeżeli ją zaakceptujesz, a on zaakceptuje ciebie, odejdiesz bogatszy i duchowo, i materialnie. I odrodzony. Jeżeli nie dojdziecie do porozumienia, dałem mu słowo, że jego tajemnica będzie w twoich rękach bezpieczna. – Uścisk na przedramieniu Mundy’ego robi się jeszcze silniejszy. – Mam ci kadzić, Teddy? Na to czekasz? Mam się do ciebie zalecać tak, jak zalecał się do ciebie nasz ukochany profesor? Wielogodzinna gra wstępna? Sute obiadki? Te czasy też już się skończyły.

Mundy czuje się staro. Tak cię proszę, myśli, już to wszystko przerabialiśmy. To wszystko już było. Jesteśmy za starzy, żeby uczyć się nowych zabaw.

– Jak on się nazywa? – pyta ze znużeniem.

– Ma wiele nazwisk.

– Wystarczy mi jedno.

– Jest filozofem, filantropem, samotnikiem i geniuszem.

– I szpiegiem – dodaje Mundy. – Chodzi do Poltergeistu, słucha, co mówię, i potem ci to powtarza.

Nic nie jest w stanie ostudzić zapału Saszy.

– Teddy, to nie żaden szpieg, to człowiek bardzo bogaty i potężny. Informacje przynosi mu się w darze. Wspomniałem mu o tobie. Nic nie odpowiedział, ale w tydzień później wezwał mnie: „Twój Teddy jest w Linderhofie. Wygaduje bzdury angielskim turystom. Ma żonę muzułmankę i dobre serce. Najpierw dowiedz się, czy rzeczywiście mamy wspólne poglądy. Jeżeli tak, wyłóż mu nasze zasady, a potem przywieź go do mnie”.

Zasady, myśli Mundy. Nie będzie wojny, tylko taka walka o zasady, że kamień na kamieniu nie zostanie.

– A od kiedy to pociągają cię ludzie bogaci i potężni? – pyta.

– Od kiedy go poznałem.

– A gdzie go poznałeś? Jak to się odbyło? Wyskoczył z tortu?

Sasza ma dość sceptycyzmu Mundy’ego i puszcza jego rękę.

– Na jednym uniwersytecie na Bliskim Wschodzie. Nie wiem dokładnie na którym, bo on nie chce mi powiedzieć. Może w Adenie. W Adenie byłem rok. A może w Dubaju, Jemenie albo Damaszku. A może jeszcze dalej na wschód, w Penangu, gdzie władze obiecały połamać mi nogi, jeżeli nie wyniosę się do rana. Powiedział mi tylko tyle, że wślizgnął się do auli, siedział z tyłu, a moje słowa zrobiły na nim wielkie wrażenie. Wszedł, nim zaczęła się dyskusja, ale natychmiast kazał swoim ludziom zdobyć tekst mojego wykładu.

– A o czym był ten twój wykład? – Mundy’ego korci, by samemu sobie odpowiedzieć, że o społecznych źródłach ludzkiej wiedzy, ale się powstrzymuje.

– O zniewoleniu globalnego proletariatu przez sojusz militarystów i wielkiego biznesu – oświadcza z dumą Sasza. – O równoznaczności ekspansji przemysłowej i kolonialnej.

– To się nie dziwię, że chcieli ci połamać nogi. A jak Ten o Wielu Imionach zdobył swój majątek?

– Nieuczciwie. Chętnie cytuje Balzaca: „Za każdą wielką fortuną kryje się wielka zbrodnia”. I zapewnia, że Balzac nie wiedział, o czym mówił. Nie jedna zbrodnia, a wiele. Dimitrij wie, bo wszystkie je popełniał.

– Czyli tak ma na imię. Przynajmniej na pierwsze. Dimitrij.

– Tak się nazywa dla nas na dziś.

– Dimitrij i co dalej?

– Pan Dimitrij.

– Z Rosji? Z Grecji? Skąd jeszcze może pochodzić ktoś, kto nazywa się

Dimitrij? Z Albanii?

– Teddy, to kompletnie nieistotne. On jest obywatelem świata.

– Jak my wszyscy. A którego świata?

– Czy zrobiłoby na tobie wrażenie, gdybym ci powiedział, że miał w życiu tyle paszportów co pan Arnold?

– Odpowiedz mi na pytanie, Sasza. Jak zdobył ten swój majątek? Czym handlował? Bronią? Narkotykami? Żywym towarem? Albo czymś jeszcze gorszym?

– Wyważasz otwarte drzwi, Teddy. Nie wykluczam niczego. Dimitrij zresztą też.

– Aha, czyli pokuta. Płacenie za własne grzechy. Najpierw spaprał nam ziemię, teraz ją odbuduje. Nic mi nie mów: to Amerykanin.

– To nie pokuta, Teddy, nie wyrzuty sumienia, i z tego, co wiem, nie jest Amerykaninem. On po prostu się nawrócił. Nie trzeba być luteraninem, by wierzyć w możliwość nawrócenia. Gdy przez przypadek trafił na mój wykład, był pielgrzymem poszukującym wiary, zupełnie tak jak my. Wszystko kwestionował, w nic nie wierzył. Kierował się wyłącznie intelektem, był błyskotliwy, rozgoryczony i niewykształcony. Przeczytał wiele książek, by się dokształcić, ale jeszcze nie określił swej roli w świecie.

– Aż tu nagle ukazałeś mu się ty. I powiodłeś go ku światłości – mówi brutalnie Mundy. Opiera głowę na dłoni i zamyka oczy, żeby trochę odpocząć. I zauważa, że cały się trzęsie jak osika, od stóp do głów.

Ale Sasza nie pozwala mu odpocząć. Jest nieubłagany w swym zapale.

– Jak ty możesz być takim cynikiem, Teddy? Co, nigdy nie stałeś w autobusie i nie usłyszałeś dziesięciu słów, które wyrażały coś tak z głębi twego serca, że nawet nie wiedziałeś, że tam jest? Bo ja miałem to szczęście, że wypowiedziałem te dziesięć słów. Przecież mógł je usłyszeć wszędzie. Przecież w chwili, gdy je wypowiadałem, powtarzano je już na ulicach Seattle, Waszyngtonu i Genui. Bo te słowa powtarzane są wszędzie, gdzie sięgają macki imperialistyczno-korporacyjnej ośmiornicy.

Mundy przypomina sobie coś, co sam kiedyś napisał Judith. O tym, że stracił grunt pod nogami. Teraz czuje się tak samo. To powtórka z Weimaru. Jestem czystą abstrakcją, rozmawiam z drugą abstrakcją o trzeciej.

– No więc pan Dimitrij cię wysłuchał – mówi cierpliwie tonem kogoś, kto chce odtworzyć przebieg przestępstwa. – Stał w tym samym autobusie i zwała go z nóg twoja elokwencja. Jak każdego. To teraz zapytam cię

jeszcze raz: jak go poznałeś? Kiedy stał się dla ciebie kimś z krwi i kości?
A może nie wolno ci o tym mówić?

– Wysłał swego przedstawiciela. Tak samo jak dziś przysyła mnie do ciebie.

– Kiedy? Gdzie? Kogo?

– Teddy, nie jesteśmy w Białym Hotelu.

– Ale przecież nikt tu nikogo nie chce oszukać. To mamy za sobą. Możemy rozmawiać ze sobą jak ludzie.

– Byłem w Wiedniu.

– Po co?

– Na konferencji.

– Na jakiej konferencji?

– Ruchów internacjonalistycznych i narodowowyzwoleńczych.

– I co?

– Podeszła do mnie jedna kobieta.

– Znamy ją?

– Nigdy przedtem jej nie widziałem. Powiedziała, że zna moje prace, i zapytała, czy zechciałbym spotkać się z jej wielkim przyjacielem, który unika rozgłosu.

– I pewnie się nie przedstawiła.

– Kolbach. Maria Kolbach.

– Lat?

– Bez znaczenia. Nieatrakcyjna. Może z czterdzieści pięć.

– Skąd?

– Nie powiedziała. Akcent miała wiedeński.

– Dla kogo pracowała?

– Może dla Dimitrija. Nie wiem.

– Była uczestniczką konferencji?

– Wcale nie mówiła, że jest, i jej nazwiska nie było ani na liście uczestników, ani organizatorów.

– Tyle dobrze, że sprawdziłeś. Fräulein czy frau?

– Nie powiedziała.

– Dała ci wizytówkę?

– Nie. I nie prosiłem.

– I nie wylegitymowała się?

– Pieprzysz, Teddy.

– Wiesz, gdzie mieszka, jeśli gdziekolwiek mieszka? Sprawdziłeś, czy jest w wiedeńskiej księżce telefonicznej? Dlaczego mamy do czynienia z bandą jakichś zaszranych duchów? – Zauważa przygaszony wzrok Saszy i się hamuje.

– No dobra. Podchodzi do ciebie, zadaje pytanie. Ty mówisz: „Tak, frau czy fräulein Kolbach, chętnie spotkam się z pani wielkim przyjacielem”. I co potem?

– Przyjęto mnie w eleganckiej willi w jednej z najlepszych dzielnic Wiednia. Adresu podać nie mogę. Ani treści rozmowy.

– Pewnie sama cię tam zawiozła.

– Przed centrum konferencyjnym czekał samochód z kierowcą. Konferencja właśnie się skończyła, nie było już żadnych zajęć. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zadzwoniła do drzwi, przedstawiła mnie sekretarce i się oddaliła. Po krótkim oczekiwaniu wprowadzono mnie do wielkiej sali, w której był tylko Dimitrij. „Sasza – mówi do mnie. – Mam wielki, nielegalnie zdobyty majątek, jestem mistrzem życia w podziemiu i twoim oddanym uczniem. Chcę ci powierzyć misję najwyższej wagi, ale jeżeli masz nie udźwignąć tej odpowiedzialności, powiedz mi o tym teraz i odejź”. Zapytałem, czy ta misja jest słuszna. Odpowiedział, że więcej niż słuszna, bo konieczna dla dobra ludzkości. Wtedy przysiągłem mu, że dochowam tajemnicy. W nagrodę przez następne kilka godzin przedstawiał mi istotę swej wizji.

– Czyli...

Sasza podwójny agent gdzieś zniknął. Zamiast niego pojawił się ufny i pełen ognia marzyciel z berlińskiego strychu.

– Była to wizja, do której obaj, ja i mój wybawca i przyjaciel Ted Mundy, pasujemy jak ulał. Pod każdym względem. To wizja, która została stworzona jakby specjalnie dla nas.

– I tylko tyle wolno ci powiedzieć.

– Bo resztę musisz usłyszeć już od samego Dimitrija. W Wiedniu zapytał mnie, czy po wszystkim, przez co przeszedłem, wierzę jeszcze w życie.

– A ty oczywiście odpowiedziałeś, że wierzysz.

– Ze wszystkich sił. Jeszcze bardziej, bo poznałem jego wizję.

Mundy zdążył już wstać od stołu i stoi przy oknie, zwrócony plecami do Saszy. W dole dogasają ostatnie światła wesołego miasteczka. Jezioro jest czarne i nieruchome, za nim, na tle zachmurzonego nieba, widoczne są zarysy gór.

– Gdzie widziałeś go ostatni raz?

– W Paryżu.

– Też w jakiejś willi?

– W mieszkaniu. Ale takim dużym, że jak szedłem umyć ręce, żałowałem, że nie mam roweru.

– A przedtem?

– Tylko w Wiedniu.

– To jak się porozumiewacie? Zostawiacie sobie liściki pod kamieniami? – Sasza nie odpowiada na tak niepoważne pytanie, więc Mundy zadaje następne:

– Wie, że pracowaliśmy razem?

– Wie, że w Berlinie byłeś radykałem, którego pobili faszyci. Jego kiedyś też pobili. Wie, że poświęciłeś się, by ratować towarzysza.

– A co wie o tobie?

– Proszę?

– Czy wie, że robiłeś to i owo dla pana Arnolda?

– Wie, że całe życie walczyłem przeciw wszelkiej tyranii w każdy dostępny sposób. Teddy!

Teraz to Sasza ma dość. Zrywa się na równe nogi, pośpiesznie kusztyka przez pokój, by stanąć przy oknie obok Mundy'ego. Spogląda mu w twarz i wyciąga ku niemu ręce w gniewno-błagalnym geście.

– Teddy, dość tego pieprzenia! Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Kiedy Dimitrij zapytał mnie, czy znam z własnej przeszłości kogoś, kto jest uczciwy, kto myśli tak jak ja, jest odważny i rozsądny, to jak sądzisz, o kim pomyślałem? O tobie! Kiedy opisywał mi, jak razem możemy zmienić świat, zobaczyłem u swego boku ciebie, tylko ciebie! – Odsuwa się, opuszcza ręce i czeka, by Mundy coś powiedział, ale Mundy wciąż patrzy na czarne jezioro i cienie gór na drugim brzegu. – Teddy, my dwaj jesteśmy nierozłączni. Po prostu to wiem. Cierpieliśmy razem, a teraz możemy razem tryumfować. Dimitrij daje nam wszystko, co trzeba: pieniądze, cel w życiu, jego dopełnienie. Co masz do stracenia, jeśli go wysłuchasz?

O, nic takiego, myśli Mundy. Zarę, Mustafę, szczęście...

– Wracaj do Monachium, Teddy – mówi szyderczo Sasza. – Lepiej drzeć przed nieznanym i nic nie robić. W ten sposób rzeczywiście zapewnisz sobie bezpieczeństwo.

– A jeżeli go wysłucham, ale odmówię?

– Zapewniłem go, że podobnie jak ja jesteś człowiekiem honoru. Że umiesz dotrzymać tajemnicy. On pokaże ci królestwo. Możesz go nie przyjąć, ale nie

wolno ci będzie o tym mówić.

Diabeł tkwi w szczegółach, myśli Mundy. Sasza myśli o wielkich rzeczach, ja – o małych. Dlatego się tolerujemy. W takim razie muszę pomyśleć o zębach Zary i o kupieniu Mustafie komputera, o którym marzy. Może nawet nauczy mnie wysyłać e-maile do Jake'a.

– Wyciąg z węża – mówi nagle po angielsku i wybucha śmiechem. Sasza piorunuje go wzrokiem. – Wyciąg z węża – powtarza, ale już po niemiecku. – To, co oszuści sprzedawali naiwnym na wszelkie choroby. Jak się zastanowić, ja też to sprzedawałem. Profesorowi.

– No to co?

– No to może wypada, żebym sam też kupił. Kto prowadzi?

Sasza boi się odpowiedzieć, robi głęboki wdech, zaciska oczy, otwiera je i pośpiesznie kusztyka na drugi koniec pokoju. Wystukuje numer z pamięci i prostuje ramiona, trochę po partyjnemu, bo będzie zaraz rozmawiał z władzą.

– W górach za godzinę! – powtarza za kimś i odkłada słuchawkę.

– Czy jestem odpowiednio ubrany? – pyta żartem Mundy, wskazując swój codzienny strój do pracy.

Sasza nie jest przyzwyczajony do ironii, więc bierze to serio i szybko przebiega wzrokiem postać Mundy'ego. Oczy zatrzymują się na emblemacie w barwach Wielkiej Brytanii, przyczepionym rzepem do kłapy sfatygowanej sportowej marynarki. Mundy zdiera z siebie narodową flagę i chowa ją do kieszeni.

Kierowanie samochodem całkowicie absorbuje uwagę Saszy. Niczym pełen zapалу uczeń wyciąga szyję, jak może, lecz i tak ledwo wystaje nad kierownicę, gdy tłucze pięścią w klakson lub miga światłami na wszystko, co wyprowadza go z równowagi.

Dobrze przynajmniej, że zna drogę, bo już po kilku minutach jazdy od zatoczki topograficzny krety Mundy zdążył stracić wszelkie poczucie kierunku. Najpierw wydaje mu się, że jadą na południe, ale wkrótce znajdują się na wąskiej krętej drodze u stóp wysokich gór. Księżyc, który przedtem ich opuścił, świeci teraz z całych sił, oświetlając łąki i przemieniając drogi w białe rzeki. Wjeżdżają do lasu i tłuką się po wertepach w szpalerze sosen. Sarny wpatrują się w światła audi, uciekają zygzakiem w czerń drzew. Tuż nad maską przelatuje sowa o śnieżnobiałym brzuszku.

Skrecają w prawo pod górę i po dziesięciu minutach dojeżdżają na polanę

pełną powalonych pni. Mundy'emu zaraz przypomina się leśna polana pod Pragę, na której dowiedział się od Saszy, że herr pastor był szpiegiem Stasi. Po betonowym podjeździe wsuwają się do szopy dość dużej, by pomieścić zeppelin. Kilka dobrych aut na niemieckich i austriackich numerach stoi rzędem pod jedną ścianą, trochę jak w salonie samochodowym. Osobno parkuje czarny jeep. Przy nim właśnie zatrzymuje się Sasza.

Jeep jest nowy, duży, amerykański, cały w chromach i lampach. Koścista kobieta w średnim wieku i w chustce na głowie siedzi bez ruchu za kierownicą. Mundy'emu przebiega przez myśl, że może to ta sama, która trzy godziny temu szukała klucza w torbie, gdy wchodzili po krętych schodach do mieszkania, ale przez wzgląd na Saszę odpędza to podejrzenie. Nikt się z nikim nie wita. Sasza gramoli się z audi, pokazuje Mundy'emu, by też wysiadł. Kobieta wciąż patrzy przed siebie przez przednią szybę jeepa. Mundy woła do niej „dobry wieczór”, lecz ona nie zwraca na niego uwagi.

– Dokąd jedziemy? – pyta Mundy.

– Jeszcze jedna krótka przejażdżka, Teddy. Nasz przyjaciel woli gościnną Austrię. To nie ma znaczenia.

– Nie mam przy sobie paszportu.

– Nie będzie ci potrzebny. Zresztą granica to tutaj i tak tylko linia na mapie. Jestem mistrzem życia w podziemiu.

Sasza z trudem podciąga się na siedzenie jeepa, Mundy za nim. Kobieta nie włącza świateł, wyjeżdża z szopy na podjazd. Ma na rękach szoferskie rękawiczki. Takie same miała ta na schodach. Gasi silnik, nasłuchuje, chyba nic podejrzanego nie słyszy, bo nagle włącza reflektory, rzuca jeepa w czern góry i rozpoczyna przerażająco szybki podjazd.

Zalesione zbocze to istna ściana śmierci. Ta baba chyba oszalała. Mundy kurczowo ściska uchwyt nad oknem. Drzewa rosną zbyt blisko siebie, jeep się między nimi nie zmieści. Jest za stromo, jadą za szybko! Nie uda się jej utrzymać tej prędkości. Udaje się. Udaje się jej wszystko. Nauczyciele z Edynburga byliby z niej dumni. Dłoń w rękawiczce przerzuca niskie biegi jeepa, który ani na chwilę nie zwalnia szaleńczej jazdy.

Już są na górze. W świetle księżycy Mundy widzi cztery doliny rozciągające się przed nim jak szprychy białego koła. Kobieta prowadzi jeepa slalodem między wielkimi głazami rozrzuconymi po rozległym trawiastym płaskowyżu. Wjeżdżają na żwir i łagodnie toczą się ku dużej odrestaurowanej farmie, otoczonej szopami i mniejszymi chatkami. Z komina głównego budynku unosi

się dym. W oknach doniczki z geranium. Kobieta zaciąga hamulec ręczny, otwiera drzwi i odchodzi. Na powitanie gości wychodzą dwaj wysportowani młodzieńcy w kurtkach.

Kiedyś na Estelle Road, myśli Mundy, otworzyłem dwóm takim. Okazało się, że to mormońscy misjonarze z Missouri. Chcieli zbawić moją duszę. Wtedy im nie uwierzyłem, więc chyba teraz też nie uwierzę.

Pokój, w którym kazano im czekać, jest długi, cały w drewnie, pachnący żywicą i miodem. Na drewnianym stoliku i kwiecistych sofach leżą najnowsze numery pism artystycznych. Mundy siada i usiłuje zainteresować się artykułem o architekturze postmodernistycznej. Sasza krąży. Przyglądając się mu, Mundy myśli, że jest z nim zupełnie tak samo jak z Mustafą u tego sympatycznego tureckiego lekarza: za chwilę powie mi, że już nic mu nie jest i chce wracać do domu.

– Już tu byłeś, Sasza? – zagaja Mundy.

Sasza zatyka uszy dłońmi.

– Nie – syczy.

– Czyli tylko w Wiedniu i Paryżu?

– Teddy, proszę. Nie wypada.

Mundy zdążył już się nauczyć, że ludzie całe życie walczący z wszelkimi formami władzy równocześnie są w niej zakochani. W drzwiach pojawia się aseptyczna blondynka w garsonce.

– Pan Mundy?

– We własnej osobie – potakuje wesoło i zrywa się na równe nogi w obecności damy.

– Richard chciałby z panem mówić. Bardzo proszę tędy.

– Richard? A kto to jest Richard?

– Richard zajmuje się formalnościami, proszę pana.

– Jakimi formalnościami? – Mundy chce dłużej jej posłuchać, jakoś umiejscowić jej głos.

– To nic takiego. Richard na pewno wszystko panu wyjaśni.

Studia na Vassar, ale akcent niemiecki. Grzeczna jak stewardesa. Jeszcze jedno pytanie, proszę pana, i skręcę panu kark. Mundy rzuca okiem na Saszę, by zobaczyć, czy on też idzie, ale Sasza stoi do nich obojga tyłem i ogląda oleodruk przedstawiający wiejską parę w stroju tyrolskim. Korytarzem obwieszonym myśliwskimi trofeami blondynka po Vassar prowadzi

Mundy'ego do wąskich czarnych schodów. Na ścianach wiszą muszkiety i całe rzędy cynowych talerzy. Dochodzą do lekko uchylonych sosnowych drzwi. Blondynka puka i otwiera je na całą szerokość. Przepuszcza gościa do środka. Jestem w filmie, myśli Mundy, gdy lekko ociera się udem o jej udo. Nazywam się Bond. James Bond. Jestem w zamku głównego szwarccharakteru. Blondynka zaraz wstrzyknie mi serum prawdy.

– Jak ma pani na imię?

– Janet, proszę pana.

– A ja jestem Ted.

Richard też jest aseptycznym blondynem. Krótkie włosy, modelowane na siłowni bary. Ma niebieską marynarkę i niebieski krawat, który i jego czyni podobnym do stewarda w samolocie. Siedzi za małym czerwonym biurkiem w kwadratowym pokoju nieco tylko większym od sauny. Uścisk jego dłoni jest wyćwiczony, mocny – już na pierwszy rzut oka widać, że sportowiec. Dziewczyna chyba też coś uprawia. Na biurku nie ma telefonu, komputera ani innych pokus. Leży na nim tylko jedna gruba teczka do akt, lecz nikt nie napisał na niej „Akta”. Richard kładzie wzdłuż niej obie dłonie, jakby miał zaraz lewitować.

– Czy mogę mówić panu po imieniu? Anglicy są czasem tacy oficjalni...

– Ale nie ja, zapewniam cię, Richard! – Rozpoznaje akcent Richarda: skandynawski, bo każde zdanie brzmi jak skarga.

– Ted, pan Dimitrij ma zwyczaj wypłacać pewną kwotę wszystkim potencjalnym pracownikom niezależnie od tego, jaki będzie wynik rozmowy. Ta kwota to tysiąc dolarów, płatne gotówką za potwierdzeniem odbioru po podpisaniu jednodniowej umowy. Czy to ci odpowiada?

Zażenowany jak zawsze, gdy ktoś proponuje mu pieniądze, Mundy śmieje się wstydliwie i zatyka pięścią usta.

– No, chyba się zgodzę – mówi. I jeszcze raz się śmieje.

– Umowa jest krótka, Ted. Jej podstawowym elementem jest poufność – wyjaśnia Richard i od razu wiadomo, że zna tę formułkę na pamięć. – Zgodnie z umową nie wolno ci ujawnić treści rozmowy z panem Dimitrijem i jego pracownikami. Również tego, że taka rozmowa w ogóle się odbyła. Rozumiemy się? Czy zgadzasz się na ten warunek? Przeczytaj dokładnie, nie podpisuj, dopóki nie przeczytasz. To taka życiowa zasada.

Życiowa? Zasada? No proszę, życiowa. Wysokiej jakości papier, bez nagłówka ani adresu, za to z datą. Trzy akapity wydruku komputerowego. Coś,

co nazywa się Fundacja Nowej Planety, wynajmuje Edwarda Mundy'ego na jeden dzień. W zamian za to rzeczony Mundy zobowiązuje się nie opisywać ustnie, na piśmie ani w jakiegokolwiek innej formie nie ujawniać, nie zdradzać czy nie relacjonować – i jeszcze wiele innych głupich słów, których używają prawnicy, oczywiste dupki, by zmienić prawdę w niezrozumiały bełkot – niczego, co zaszło podczas rozmowy w zamku głównego szwarzcharakteru.

Mundy podpisuje. Kolejny uścisk dłoni, suchy, twardy. Gdy Richard już do woli naściskał się dłoni Mundy'ego, sięga do kieszeni marynarki i wyciąga z niej zaklejoną żółtą kopertę. Proszę zauważyć: nie z szuflady, nie z sejfu, nie z jakiejś kasetki, tylko z kieszeni, od serca. I nawet nie chce pokwitowania.

Richard otwiera drzwi, jeszcze raz ściskają sobie prawice – chyba już tylko dla kamer, tylko że żadnych kamer tu nie ma, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Na korytarzu czekają następne dwie kurtki. Białe twarze, czarne kurtki. Martwe twarze. Bliźniacy tamtych mormońskich strażników.

– Pan Dimitrij zaraz pana przyjmie – mówi jeden z nich.

Bogato rzeźbionych drzwi strzegą dwie marynarki, ale w odróżnieniu od marynarki Richarda – zielone. Mundy mruczy do siebie, że ktoś tu bardzo starannie przemyślał sprawę garderoby. Pierwsza z marynarek dokładnie go obszukuje, druga zapełnia płytki koszyczek wstydliwymi rzeczami osobistymi więźnia. Lądują w nim: poobijana cynowa piersiówka, mała brytyjska flaga na rzep, pomięty egzemplarz „Süddeutsche Zeitung”, paskudnie brudny telefon komórkowy, garść monet w najróżniejszych walutach z napiwków w Linderhofie, pęk kluczy od mieszkania, koperta z tysiącem dolarów.

Rzeźbione drzwi otwierają się na oścież. Mundy postępuje do przodu zaciekawiony, jak też wygląda milioner, filozof, filantrop, samotnik i geniusz w jednej osobie, który całe swe życie i fortunę poświęcił Saszy i Wyścigowi Zbrojeń ku Prawdzie. Widzi tylko grubawego faceta w dresie i tenisówkach, który wychodzi mu na spotkanie. Z boku przyglądają się Mundy'emu dwaj panowie w garniturach.

– Panie Mundy, powiedziano mi, że pana poglądy na ostatnie wydarzenia na świecie są zadziwiająco zgodne z poglądami Saszy oraz moimi.

Jeżeli Mundy zastanawia się, czy odpowiedzieć, to niepotrzebnie, bo Dimitrij nie daje mu dojść do słowa. Już chwyta go za lewy biceps, już ciągnie go do środka sali.

– To Sven. A to Angelo – oznajmia, lecz nie przedstawia ich w ten sposób,

tylko daje do zrozumienia, że się nie liczą. – To takie moje dwa kopciuszki, wyjmują za mnie popiół z maku. Szczegóły mnie nużą, proszę pana. Tak jak Sasza jestem człowiekiem wielkich wizji. Ta wojna z Irakiem jest nielegalna, proszę pana, zbrodnicza i niemoralna. Nie było żadnego bezpośredniego powodu, żadnych powiązań z Al-Kaidą, żadnej broni masowego rażenia. Te bajeczki o współpracy Saddama z Osamą są wysrane z palca na użytek Amerykanów. To w starym stylu kolonialna wojna o ropę, upozowana na krucjatę na rzecz zachodnich swobód i zachodniego stylu życia, rozpętana przez krwiożerczych judeochrześcijańskich geopolitycznych marzycieli, którym udało się wykorzystać środki masowego przekazu i amerykańską psychozę po jedenastym września.

Mundy znów nie wie, czy przypadkiem nie powinien czegoś dodać, ale Dimitrij nadal nie dopuszcza go do słowa. Głos gospodarza jest równie gwałtowny jak jego gesty, chrapliwy i dudniący zarazem. Akcent też ma jakiś taki mieszany: zrodzony na Bliskim Wschodzie, ćwiczony na Bałkanach, dopracowany w Bronksie – przynajmniej tak sobie mówi Mundy, usiłując zachować dystans do tego głosu – a więc trochę grecki, trochę arabski, trochę amerykańsko-żydowski. Składniki tego koktajlu jeszcze nie zdążyły się przegryźć. Czy Dimitrij ma jakiś język ojczysty? Mundy wątpi. Dimitrij, tak jak on, jest sierotą. Mundy to czuje: Dimitrij to dziecko doków, ulicy, to ktoś, kto musiał sam wypracować sobie zasady życiowe.

– Sasza uświadomił mi, że do wybuchu takiej wojny wystarczy, by paru porządnych ludzi nie kiwnęło palcem. No i nie kiwnęło. Zresztą nie wiem, czy w takim razie można ich nazwać porządnymi. Co zrobili na przykład amerykańscy demokraci? Siedzieli na tyłku i śpiewali pieśni patriotyczne. Jezu, to ma być opozycja? To ma być odwaga cywilna? Czy nie mówię za szybko? Podobno nie dają ludziom czasu do namysłu. Chce pan więcej czasu do namysłu?

– Nie, dziękuję, jakoś daję sobie radę.

– Nie wątpię. Pan ma inteligentną głowę, dobre oko, pan mi się podoba. Następny w kolejce jest Iran, potem Syria, Korea, można wybierać do woli. Przepraszam, zły ze mnie gospodarz, bo zapomniałem wspomnieć o kluczowej roli, jaką odegrał pański premier, bez którego do wojny może wcale by nie doszło. – Szybki obrót i dalej posuwisty fokstrot po sali. – Angelo, pan Mundy napije się herbaty. Ma żonę Turczynkę, więc powinien pić herbatę o smaku jabłkowym albo kawę, ale on woli mocną indyjską, z krowim mlekiem.

A w cukiernicze ma być brązowy cukier trzcinowy. O, Turcy zachowali honor, panie Mundy. Powinien pan być dumny z żony, zresztą pewnie pan jest.

– Dziękuję.

Jeszcze jeden obrót.

– Proszę bardzo. Islamski rząd Turcji nie ugiął się przed żądaniem amerykańskiego agresora, a turecka armia tym razem powstrzymała się od swego ulubionego zajęcia, czyli dawania łupnia Kurdom. – Jeszcze jeden kroczek i dzięki Bogu docieramy do kanapy, bo Mundy’emu już się kręci w głowie. Ma wrażenie, jakby brał udział w trzech rozmowach naraz, choć nie udało mu się wypowiedzieć ani jednego pełnego zdania. – Człowiek uczy się przez całe życie. Przekona się pan, że ja właśnie się uczę. Świat tonie w powodzi kłamstwa. Czas, by baranki zjadły lwa. Proszę siadać. Tu, po mojej prawej ręce, bo źle słyszę na lewe ucho. Kiedyś jeden dupek wsadził mi w nie hak do mięsa i od tego czasu z lewej strony słyszę tylko szum morza. Zresztą nie lubię morza. Pracowałem na morzu przez siedem lat, potem kupiłem statek, na którym pracowałem. Zszedłem na ląd, kupiłem jeszcze parę statków i od tego czasu ani razu nie byłem na morzu.

Spoglądając dyskretnie spod oka, Mundy zdołał dopasować do głosu gospodarza jego wygląd. Ma co najmniej siedemdziesiąt lat, obfite kształty, łąsą głowę usianą brązowymi plamami i siateczką zmarszczek na czerepie. Inne zmarszczki wypełniają miejsca między wypukłościami twarzy. Ma też niewinne niebieskie i jakby wiecznie zażawione oczy dziecka, które poruszają się tym szybciej, im szybciej przemawia. Mustafa ma taką nakręcaną zabawkę, która robi podobnie, i pewnie dlatego Mundy nie może jakoś traktować pana Dimitrija poważnie. Ma wrażenie, że siedzi zbyt blisko sceny i przez to widzi nierówny makijaż aktora, szpilki upinające jego perukę, a nawet sznurki u łokci i przegubów, gdy gospodarz rozkłada ręce.

Angelo podał Mundy’emu herbatę, a Dimitrijowi szklanekę mleka sojowego. Obaj rozmówcy siedzą twarzami do siebie na długiej kanapie, trochę jak prowadzący program telewizyjny i jego gość. Sven przycupnął na skórzanym fotelu z wysokim oparciem poza zasięgiem wzroku Mundy’ego; ma w dłoni notes, by protokołować rozmowę. Notes jest nieużywany, pióro piękne, czarno-złote, iście dyrektorskie. Podobnie jak trzymający się na uboczu Angelo, Sven jest szczupły i surowy. Najwyraźniej Dimitrij woli otaczać się chudymi.

– Więc kim pan jest, panie Mundy? – pyta Dimitrij.

Rozpiera się na poduszkach kanapy, pulchne dłonie trzyma złączone na brzuchu. Tenisówki też mają złączone czubki, by kogoś przypadkiem nie urazić – a więc może, podobnie jak Mundy, Dimitrij uczył się dobrych manier na Wschodzie?

– Jest pan urodzonym w Pakistanie angielskim dżentelmenem, który na studiach w Berlinie bawił się w anarchistę – zagaja gospodarz. – Jest pan miłośnikiem niemieckiej duszy, który Szekspira zdradził dla królowej, a teraz żyje na kocią łapę z turecką muzułmanką. No to kim pan jest, do cholery? Bakuninem, Gandhim, królem Ryszardem czy Saladynem?

– Ted Mundy, przewodnik – odpowiada Mundy ze śmiechem.

Dimitrij śmieje się wraz z nim, klepie go po ramieniu, potem zaczyna je ugniatać, co już Mundy’emu znacznie mniej odpowiada, ale co tam, przecież tacy z nich dobrzy kumple.

– Każda wojna jest gorsza niż poprzednia, proszę pana. Ale ta jest najgorsza, jaką widziałem, jeśli chodzi o zakłamanie. Kłamstwa to jakby moja specjalność. Może dlatego tak mnie wkurzają, że sam w życiu sporo się nakłamałem. Zimna wojna się skończyła, nic się jednak nie zmieniło. Mamy teraz niby zglobalizowaną wielonarodową cywilizację, ale nic się nie zmieniło. Jak tylko zagrają werble, a politycy wytoczą swe maszyny do kłamstw, to od razu „jak to na wojence ładnie”, sztandary i całodobowa relacja na żywo. Niech żyją bomby, ofiary się nie liczą, bo to tamci, nie nasi.

Dimitrij jakby zupełnie nie potrzebował robić wdechu między zdaniem a zdaniem.

– I nie ma co gadać o tej tak zwanej starej Europie – protestuje, choć Mundy nawet nie próbował otworzyć ust. – Tu chodzi o Amerykę. Taką, jaka zawsze była. Purytańscy fanatycy urządzają dzikusom rzeź w imię Pana. Coś się zmieniło? Wtedy było to ludobójstwo i teraz też, ale prawdę mówi ten, kto ma władzę.

Mundy zastanawia się, czy nie powinien wspomnieć w tym miejscu o największej fali antywojennych demonstracji w historii świata, lecz jest dla niego jasne, że przerywanie Dimitrijowi nie wchodzi w grę. Głos Dimitrija, choć mówi o pokoju, zniewala do posłuchu. Nie unosi się ani nie opada. Brzmi tak, jakby obwieszczał koniec świata albo przynajmniej zagładę rodzaju ludzkiego, i lepiej się z nim nie kłócić.

– Kto idzie na marsz protestu, tego tylko rozbolą nogi. Kto będzie

protestował, zedrze sobie gardło i jeszcze dostanie policyjnym butem w zęby. Każdy, kto demaskuje kłamstwa, to radykalny malkontent. Albo antysemicki islamista. Albo jedno i drugie. A jeżeli ktoś boi się o przyszłość, to nie ma sprawy, zaraz szykuje się kolejna wojna, wystarczy włączyć telewizor i już można się rozkoszować wspaniałym widowiskiem sponsorowanym przez naszą kochaną juntę i jej pasożytów, czyli wielki biznes. – I bez pauzy, tylko jedna gruba dłoń się otwiera, jakby podawała to pytanie: – To co robimy, panie Mundy? Jak sprawić, by ani Ameryka, ani pana kraj, ani żaden inny nie wpędzał świata w wojnę pod pretekstem steku kłamstw, które w dziennym świetle nie są bardziej wiarygodne od bajek o krasnoludkach? Co zrobić, by uchronić nasze dzieci i wnuki przed wplątaniem ich w kolejne wojny? Mówię, proszę pana, o polityce zdominowanej przez wielkie korporacje i o ich monopolu informacyjnym, za pomocą którego obiektywna prawda nigdy nie wychodzi na światło dzienne. I zastanawiam się, co tu zrobić, do cholery, żeby to zmienić. Chciałby pan się do tego przyczynić? – I odpowiada sobie sam: – Oczywiście, że by pan chciał. I pan, i każdy zdrowy na umyśle mieszkańców naszej planety. Więc pytam pana jeszcze raz: co zrobić, do cholery, żeby w polityce znów zapanował rozsądek, oczywiście jeżeli kiedykolwiek już w niej panował?

Mundy czuje, jakby przeniósł się w czasie do Klubu Republikańskiego, gdzie co noc toczyły się takie dyskusje z użyciem takich samych epitetów. Podobnie jak wtedy, tak i teraz nie ma na te pytania gotowej odpowiedzi. I to nie tylko dlatego, że zabrakło mu słów; może przede wszystkim dlatego, że ma wrażenie, iż znalazł się w samym środku jakiejś sztuki, w której wszyscy oprócz niego wiedzą, co będzie dalej.

– Czy potrzeba nam nowego elektoratu? Ależ skąd. To nie wina ludzi, że nie wiedzą, co się dzieje, bo niby skąd mają wiedzieć? „Macie tak myśleć, a nie inaczej. Kto myśli inaczej, nie jest dobrym obywatelem, patriotą, tylko głupkiem”. Czy potrzeba nam nowych polityków? No pewnie, ale ich musi znaleźć sobie sam elektorat. Tego my dwaj nie załatwimy. Tylko że jak elektorat ma sobie z tym poradzić, jeżeli politycy w ogóle z nim nie dyskutują? Elektorat zostaje zrobiony w balona, jeszcze zanim pójdzie do urn. Oczywiście jeżeli w ogóle pójdzie.

Przez chwilę Dimitrij pozwala sądzić, że tak jak Mundy nie wie, co robić, szybko jednak się okazuje, że czyni tylko teatralną pauzę przed uderzeniem w jeszcze wyższe tony. Ma iście aktorskie wyczucie dramaturgii. Zaczyna od

wycelowania tłustego palca w twarz Mundy'ego, w którego mierzy teraz również wzrokiem.

– Mówię, panie Mundy... mówię o czymś, co w rozwoju zachodnich społeczeństw ma jeszcze większe znaczenie niż prawo wyborcze. Mówię o celowym psuciu młodych umysłów na najbardziej znaczącym etapie ich rozwoju. O kłamstwach wpajanych im od kołyski przez państwo i wielkie korporacje; zresztą wątpię, czy mówimy tu o dwóch różnych rzeczach. Mówię o tym, jak owa korporacyjna władza zajmuje uniwersytety jeden po drugim w Pierwszym, Drugim i Trzecim Świecie. O ekonomicznej kolonizacji uczelni dokonywanej za pomocą systemu katedr sponsorowanych przez wielkie światowe firmy pod warunkiem głoszenia kłamstw i półprawd wygodnych dla sponsora, a niszczących umysły biednych, bezbronnych studentów.

Świetnie pan to robi, chce mu powiedzieć Mundy. Ma pan tę rolę. A teraz bardzo proszę odłożyć palec do olstra.

– Mówię o świadomym tępieniu wolności przekonań w naszym społeczeństwie. I o tym, jak można się temu przeciwstawić. Ja, panie Mundy, jestem ulicznikiem. Taki się urodziłem i taki pozostanę. Mój umysł nigdy nie był przez nikogo szkolony. Profesorowie by się ze mnie śmiali. Mimo to przeczytałem wiele książek na ten temat. – Sasza też o tym mówił, przypomina sobie Mundy. – Chodzi mi o takich myślicieli jak panie Naomi Klein z Kanady czy Arundhati Roy z Indii, które usiłują zmusić ludzi do innego spojrzenia na wiele spraw, jak pańscy rodacy George Monbiot i Mark Curtis, Australijczyk John Pilger, Amerykanin Noam Chomsky, amerykański noblista Joseph Stiglitz i pół Francuzka, pół Amerykanka Susan George ze Światowego Forum Społecznego w Porto Alegre. Czytał pan ich dzieła, panie Mundy?

– Prawie wszystkie. – I prawie całego Adorna, prawie całego Horkheimera i prawie całego Marcusego, myśli Mundy, przypominając sobie z któregoś ze swych poprzednich wcieleń podobne przesłuchanie w Berlinie. Uwielbiam ich wszystkich i nie pamiętam ani słowa z tego, co napisali.

– Wszyscy oni piszą właściwie to samo, choć podchodzą do tematu z różnych stron. Naturalny rozwój ludzkości hamowany jest przez ośmiornicę wielkiego biznesu szerzącą na cały świat tyranie, ubóstwo i ekonomiczne poddaństwo. I ignorującą najprostsze prawa ekologii. Wojna to prowadzenie biznesu innymi środkami. Jedno korzysta z drugiego, co najlepiej udowadnia właśnie ta najnowsza wojna. Czy robi to na panu jakiegokolwiek wrażenie, czy prowadzę dialog sam ze sobą?

– Szczerze mówiąc, wielkie – zapewnia grzecznie Mundy.

Dimitrij najwyraźniej zbliża się do punktu kulminacyjnego swej przemowy, choć takie wrażenie sprawiał już kilka razy. Twarz mu ciemnieje, jeszcze bardziej podnosi głos i konfidencjonalnie pochyła się ku widowni.

– A w jaki sposób owe wielkie korporacje, wielki biznes uzyskują w naszym społeczeństwie taką władzę? Kiedy nie strzelają, kupują. Kupują najlepsze umysły i przykuwają je do swego rydwanu. Kupują gołowąsych studentów i kastrują ich mózgi. Tworzą fałszywe aksjomaty i pod pozorem politycznej poprawności wprowadzają cenzurę. Budują uniwersytety, ale tylko po to, by dyktować im programy nauczania. Promują posłusznych profesorów, a zastraszają heretyków. Jednym z ich celów jest propagowanie opętańczej wizji nieograniczonej ekspansji na ograniczonej planecie, czego pożądanym skutkiem jest stan ciągłego konfliktu. I produkują seryjnie roboty o zerowym wykształceniu znane pod nazwą klasy menedżerskiej.

Kulminacja nastąpiła. Teraz czas ruszać w dół.

– Panie Mundy, za dwadzieścia lat na półkuli zachodniej nie będzie już ani jednej uczelni niezaprzędanej tym korporacyjnym bigotom. Na każdy temat, od raję po różowe paseczki w paście do zębów, istnieć będzie tylko jedna dozwolona opinia. I nie będzie już żadnych głosów sprzeciwu. Chyba że ktoś odwróci bieg wydarzeń. I ja jestem właśnie tym kimś. Sasza też. I pana także namawiam.

Na dźwięk imienia Saszy Mundy budzi się z transu. No właśnie, a gdzie się podziewa Sasza? Czy dalej studiuje oleodruk z tyrolskimi wieśniakami, czy może przeszedł już do architektury postmodernistycznej? Dimitrij wstaje i zaczyna przechadzać się po sali. Inni możni tego świata, gdy przedstawiają własne plany zbawienia ludzkości, często machają rękami, ale Dimitrij jest mistrzem oszczędnego gestu. Krok ma miarowy, ręce założone z tyłu; tylko od czasu do czasu jedna z dłoni wykonuje krótki, wymowny ruch.

Jego plan zakłada stworzenie stref akademickich wyzwolonych spod wpływu wielkiego biznesu.

Propagowanie wymiany niezależnych poglądów, panie Mundy, w której mogliby uczestniczyć studenci w każdym wieku, każdej narodowości i dziedziny wiedzy, zainteresowani odnową ludzkiej myśli w XXI stuleciu.

Stworzenie ni mniej, ni więcej, tylko racjonalnego rynku wolności słowa, na którym przedstawiano by prawdziwe powody wojen i sposoby zapobiegania im.

I wreszcie jego plan otrzymuje konkretną nazwę – w odróżnieniu od swego autora o wielu nazwiskach – jedną konkretną nazwę, która przejdzie do historii: Antyuniwersytet, proszę, krótko i węzłowato, przedsięwzięcie na skalę światową, panie Mundy, równie wielonarodowe i nieokreślone jak wielki biznes, przeciwko któremu wystąpi, wolne od skrywanych wpływów religijnych, państwowych czy właśnie biznesowych, finansowane przez olbrzymie nielegalne imperium Dimitrija.

– Antyuniwersytet nie kieruje się żadnymi własnymi dogmatami – oznajmia, obracając się na pięcie, by zwrócić się do Mundy’ego z drugiego końca sali. – Ani żadnym systemem doktrynalnym, który mogliby opluwać nasi wrogowie. Podobnie jak ich, nas też nie da się utożsamiać z jednym państwem czy systemem. Nie będziemy odpowiedzialni przed nikim. Będziemy walczyć podstępem, będziemy takimi intelektualnymi partyzantami. Otworzymy przedstawicielstwa wszędzie, gdzie okopał się wróg, i rozsadzimy od wewnątrz te okopy Świętej Trójcy. Weźmy na przykład pański sławny Oksford. Wyobraźmy sobie tamtejszego studenta nauk przyrodniczych. Wychodzi z laboratorium biologicznego, idzie paręset kroków ulicą. Jest znużony pracą. Nagle widzi nasz szyld: Antyuniwersytet. Cały dzień spędził z głową w probówkach nad czymś, co może się przydać tylko tej czy innej sponsorującej go korporacji. Wchodzi, siada, słucha. „Proponują mi, żebym jako jednostka wypełniał swój obowiązek odpowiedzialnego obywatela naszej zagrożonej planety? Co tu się dzieje, do cholery?”, mówi do siebie, zdezorientowany. „Ci faceci to jakieś oszołomy. Przecież nie za to płaci mi stypendium mój sponsor. Nie za to, żeby kierować się sumieniem, tylko za nowe sposoby zapaprania tego świata”. Słucha jeszcze trochę i coś zaczyna do niego docierać. „Aha, czyli ja też się liczę. Może istnieje inna metoda udowodnienia sobie, że jestem dorosły, niż wymyślanie nowych sposobów zapaprania planety? Może powinienem się zastanowić, jakie jest moje na niej miejsce, może nawet powinienem ją kochać?” I co potem robi? Bierze naszą ulotkę i idzie do domu. A w domu włącza komputer i wchodzi na pewną stronę internetową, którą dyskretnie mu wskażemy. A ta strona pobudzi go do dalszego poznawania prawdy. Wkrótce poczuje w sobie chęć, by zostać pionierem nowego sposobu myślenia. Takich stron internetowych będzie kilkanaście, a każda z nich to kolejny krok ku duchowej wolności. Strona internetowa naszego Antyuniwersytetu. Strona internetowa naszych antybibliotek. Strony poświęcone wywrotowej, ale opartej na faktach dyskusji

naszej rosnącej armii wolnomyślicieli.

Urywa i tak obraca głowę, że Mundy musi napotkać jego wzrok. Już wiem, myśli Mundy, jesteś Erich von Stroheim w *Bulwarze Zachodzącego Słońca*.

– Ale bełkot, co, panie Mundy? Stary wariat siedzi na forsie i wydaje mi się, że może zbudować świat od nowa.

– Wcale tego nie powiedziałem.

– No to niech pan coś powie. Zaczynam się niepokoić.

Mundy wreszcie zdobywa się na konkretne pytanie:

– A co ja miałbym robić?

– Zdaje się, że do niedawna był pan współwłaścicielem szkoły językowej w Heidelbergu, prawda?

To mówi Sven. Jeden z kopciuszków. Za Svenem siedzi w cieniu drugi kopciuszek, Angelo, z założonymi rękami. Wyczerpany swą partią Dimitrij opadł na kanapę.

– Przyznaję się bez bicia – potakuje Mundy.

– Szkoła zajmowała się nauczaniem języka angielskiego wśród biznesmenów?

– Zgadza się – odpowiada Mundy i myśli, że Sven mówi dokładnie tak jak jego prymusi.

– A teraz szkoła nie działa? Trwa postępowanie administracyjne?

– Tak, szkoła zaprzestała działalności. Jest to, można powiedzieć, eksszkoła – mówi dowcipnie Mundy, lecz ten dowcip, zresztą marny, nie znajduje zrozumienia w nieruchomych oczach Svena.

– Ale wraz ze współnikiem Egonem jest pan nadal jej współwłaścicielem?

– Teoretycznie chyba tak. Praktycznie jestem już jedynym właścicielem, bo Egon się usunął. Oczywiście jedynym właścicielem na spółkę z jednym bankiem, sześcioma firmami hipotecznymi i różnymi wierzycielami.

– A niech mi pan powie, jak określiliby pan obecny stan budynku szkoły? – Sven otwiera segregator, który sprawia wrażenie, że jest w nim więcej informacji o Mundy, niż ich posiada sam Mundy.

„Obecny” to nie wiem, myśli pedantyczny Mundy. Nie można powiedzieć po prostu „w tej chwili” albo wręcz, jeszcze prościej, „teraz”?

– Budynek jest zabity deskami i zamknięty na kłódkę – odpowiada. – Ani używać, ani wynająć, ani sprzedać.

– Czy był pan tam ostatnio?

– Wolę się tam nie pokazywać. Ciągłe dostaję jakieś wezwania. Przejedźtałem tamtędy miesiąc temu. Ogród zarósł jak dżungla.

– Ile osób się tam pomieści, proszę pana?

– Osób? Nauczycieli? O co konkretnie chodzi?

– Ile osób zmieści się naraz w głównej sali?

– W dawnej bibliotece pewnie z sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć. Ale my tak nie pracowaliśmy, no chyba że zdarzył się jakiś nadzwyczajny wykład. Zwykle uczyliśmy mniejsze grupy w mniejszych salach. Było trzech nauczycieli, czyli Egon, ja i jeszcze jeden, i najwyżej po sześć osób w grupie.

– A jak wyglądała sprawa dochodów? Jakie mieliście ceny, jeśli można wiedzieć?

Mundy się krzywi, bo nie jest to jego mocna strona.

– Tym raczej zajmował się Egon. Tak z głowy, to braliśmy jakieś dwadzieścia pięć euro od studenta za godzinę. Pracowało się tyle, ile było trzeba, czasem nawet od szóstej rano, żeby mogli iść do pracy...

– Oczywiście – przerywa Sven i sprowadza go na ziemię.

– Powiedzmy, trzy, trzy i pół tysiąca dziennie. Przy dobrych układach.

Dimitrij nagle się ożywia.

– A skąd brał pan studentów?

– Skąd tylko się dało. Celowaliśmy w młodych menedżerów. Z uniwersytetu też nam się trafiali, głównie jednak z miejscowego biznesu. Heidelberg to niemiecka stolica high-techu. Biochemia, informatyka, software, media, poligrafia, wszystkiego po trochu. Są całe osiedla, gdzie zajmują się tylko tym. Na bazie uniwersytetu, oczywiście.

– I o ile dobrze słyszałem, bardzo wielonarodowe towarzystwo, prawda?

– Dobrze pan słyszał. Francuzi, Niemcy, Włosi, Chińczycy, Hiszpanie, Turcy, Tajowie, Libańczycy, Saudyjczycy, Afrykanie, do wyboru, do koloru, kobiety i mężczyźni. O, i dużo Greków.

Jeżeli Mundy usiłował trafić narodowość Dimitrija, to tracił tylko czas.

– Czyli pieniądze szły ze wszystkich stron świata? – podsuwa Sven, bo Dimitrij znów umilkł.

– Ale nawet tego nie starczyło.

– Były jakieś wydatki?

– Były. Jak się okazało, za duże.

– Też szły na cały świat?

– O nie. Głównie do Egona. Poza tym na nasze pensje. No i na media,

podatki...

– Czy w weekendy też były zajęcia, proszę pana?

– Przez całą sobotę i w niedzielę wieczór.

– Czyli studenci kręcili się tam przez cały czas? Cudzoziemcy? Przez cały czas?

– W okresie świetności tak.

– A jak to długo trwało?

– Parę lat. Póki Egonowi nie zwiększył się apetyt.

– A nocami też świeciło się w oknach, czasem nawet przez całą noc? I nikt się nie dziwił?

– Tylko do północy.

– Dlaczego tak?

– Bo takie były ustalenia z policją.

– A po cholere z policją? – wtrąca ostro Dimitrij ze swej kanapy.

– Bo oni odpowiadają za ład i porządek w dzielnicy. To dzielnica mieszkaniowa.

– A mieliście semestry czy coś takiego? – ciągnie Sven. – No, okresy nauki i wakacji?

Dziękuję za wyjaśnienie słowa „semestr”, myśli Mundy.

– W teorii działaliśmy przez cały rok, ale w praktyce trzymaliśmy się pewnego kalendarza. Najgorzej było w środku lata, bo wtedy studenci woleli wyjechać na wakacje. To samo w Wielkanoc i Boże Narodzenie.

Dimitrij prostuje się jak ktoś, kto nie chce więcej słuchać. Uderza się dłońmi w uda.

– No dobra, panie Mundy. Teraz proszę wysłuchać mnie uważnie, bo nie będę powtarzać.

Więc Mundy uważnie wysłuchuje. Słucha, patrzy i myśli. Nikt nie koncentruje się lepiej niż on.

– Pańska szkoła jest mi potrzebna. Chcę, żeby wznowiła działalność, miała nowe stoły, krzesła, bibliotekę, cały potrzebny sprzęt. Jeżeli meble są sprzedane, proszę kupić nowe. Ma być tak jak przed plajtą, tylko lepiej. Widział pan *Tajemniczy statek*?

– Nie.

– Taki film. Płyne po morzu stara, pordzewiała łajba, łatwy kąsek dla niemieckiej łodzi podwodnej. Nagle łajba wciąga na maszt angielską banderę,

otwiera się jedna burta, a tam ogromna armata. Rozwala łódź podwodną, wszyscy hitlerowcy toną. Dokładnie tak samo będzie z pana szkołą, gdy któregoś pięknego dnia wciągniemy na maszt flagę Antyuniwersytetu i powiemy wielkim korporacjom, że skończyły się czasy, kiedy rządziły światem, jak chciały. Proszę podać mi konkretną datę. Gdyby jutro przyszedł do pana Święty Mikołaj z workiem złota, kiedy mógłby pan zacząć?

– To musiałby być bardzo duży worek.

– Coś mi mówi, że trzysta tysięcy dolarów.

– Wszystko zależy od tego, jakie mi naliczą odsetki. Od kiedy.

– Jest pan muzułmaninem. Nie powinien pan mówić o odsetkach. To grzech.

– Nie jestem muzułmaninem, dopiero się uczę. – Czemu ja mu to mówię?

– Trzysta pięćdziesiąt?

– Od trzech miesięcy nie płaciłem pracownikom. Jeżeli mam się kiedykolwiek pokazać w Heidelbergu, muszę ich najpierw spłacić.

– Dobrze się pan targuje. Niech będzie pół miliona. Kiedy otwieramy?

– Kiedy zaczynamy zajęcia?

– No, pytam kiedy.

– Teoretycznie wystarczy zrobić remont. Przy odrobinie szczęścia studentów znajdziemy od razu, ale niekoniecznie. Żeby zacząć działać sensownie... Wrzesień. Połowa września.

– Ale można wcześniej, tylko na mniejszą skalę? Czemu nie? Jak zrobimy od razu wielkie otwarcie, to nas udupią. A jak zaczniemy od małego, tylko w dwóch miastach, to pomyślą, że nie warto się męczyć. Zaczniemy od Heidelbergu i Sorbony, stamtąd pójdziemy dalej. Szyld pan ma?

– Mosiężne tabliczki. Do tej pory były.

– Jeżeli są, proszę je odczyścić. Jeżeli nie, zrobić nowe. Interes niech się kręci, te rzeczy. A we wrześniu ściągamy na wykłady największe nazwiska, opuszczamy burte i zaczynamy strzelać. Sven załatwi ogłoszenia: „Pan Edward Mundy powraca na stanowisko dyrektora swej szkoły od tego a tego”. – Dziecinne oczy obrzucają Mundy’ego bolesnym, niemal litościwym spojrzeniem. – Ale coś mi tu nie pasuje, panie Mundy. Jakoś nie rzuca pan w górę tego swojego melonika. Tak pana martwi, że ktoś wyciąga pana z gówna za pół miliona dolców? I to tak na piękne oczy?

Niełatwo zmienić wyraz twarzy na żądanie, lecz Mundy robi, co może. Powraca poczucie nierzeczywistości. Myśli dokładnie to samo, o co pyta Dimitrij: czemu ja się nie cieszę?

– A jaka będzie w tym wszystkim rola Saszy? – mówi, bo tylko to przychodzi mu do głowy.

– Antyuniwersytet musi mieć najlepszy zespół wykładowców. Moi ludzie w Paryżu właśnie zbierają stajnię nieprzekupnych nauczycieli akademickich, którzy ortodoksję uważają za przekleństwo wolnej myśli. Chcę, by Sasza brał w tym udział i był jednym z tych wykładowców. To wielki umysł, wielki człowiek. Słuchałem go, wierzę w niego. Zostanie dyrektorem do spraw naukowych. W Heidelbergu pomoże panu zwerbować personel pomocniczy, stworzyć bibliotekę i plan studiów.

Dimitrij wstaje tak szybko i tak zdecydowanie, że Sven i Angelo zrywają się na równe nogi. Mundy wygrzebuje się z przepastnej kanapy i też wstaje. Zupełnie jak wtedy, gdy pierwszy raz poszedłem do meczetu. Wstaję wtedy, kiedy inni. A kiedy klękają i uderzają czołami o maty, ja też klękam i mam nadzieję, że rzeczywiście ktoś wysłuchuje naszych modlitw.

– Panie Mundy, my już skończyliśmy. Teraz Sven omówi z panem sprawy administracyjne, a Angelo zajmie się pana wynagrodzeniem. Na górze u Richarda podpisze pan krótką umowę. Nie otrzyma pan ani kopii umowy, ani żadnego pisemnego potwierdzenia tego, co uzgodniliśmy dzisiaj.

Mundy usiłuje wytrzymać żelazny uścisk dłoni Dimitrija i znów ma wrażenie, że w wilgotnych, nieruchomych oczach odczytuje ukryty sygnał: „Sam się zgodziłeś, sam tu przyjechałeś, dostałeś, co chciałeś. Pretensje możesz mieć tylko do siebie”. Otwierają się boczne drzwi i Dimitrija już nie ma. Mundy nie słyszy nawet oddalających się kroków ani burzy oklasków po opadnięciu kurtyny. Stoi już przy nim jedna z marynarek, chce mu oddać zabaweczki.

Znów prowadzi go ta sama blondynka w garsonce, te same kurtki przypatrują mu się z cienia. W pokoiku na górze ten sam Richard siedzi przy tym samym biurku. Czy on jest z wosku? Nie, bo się uśmiecha. Czy czekał tu przez cały wieczór w tej pięknej nowej marynarce, pod krawatem, z dłońmi wyciągniętymi wzdłuż oprawnego w skórę segregatora, który otwiera się jak podwójne okno?

Blondynka odchodzi. Zostają dwaj panowie po dwóch stronach biurka. Nawet mogliby zacząć się sobie zwierzać, lecz Mundy ma kilka tajemnic, których nie zamierza zdradzić:

– Nie wierzę w ani jedno słowo, co nie znaczy, że to wszystko nieprawda.

Jestem w domu wariatów, ale wariaci rządzą połową świata i nikt nie ma nic przeciwko temu.

Jeżeli szaleni królowie, szaleni prezydenci i szaleni premierzy mogą udawać normalnych, to co, szalonemu miliarderowi nie wolno?

Z każdą chwilą staje się coraz bardziej jasne, że w walce między nadzieją a sceptycyzmem, która właśnie toczy się we mnie, mogę zyskać wszystko, nie stracić nic.

Jeżeli Antyuniwersytet okaże się urojeniem czyjejs chorej wyobraźni, wrócę do punktu wyjścia – będę biedny, ale szczęśliwy.

Jeżeli na przekór wszystkiemu ten sen się spełni, będę mógł spojrzeć wierzycielom w oczy, z powrotem otworzyć szkołę, przenieść się z Zará i Mustafą do Heidelbergu, ją posłać na studia pielęgniarские, jęgo do dobrej szkoły i co rano śpiewać w wannie *Mikada*.

Trzeba sobie postawić pytanie, jak często trafia się taka okazja. Czy w ogóle ci się kiedyś trafiła? Nie. Czy jeszcze kiedykolwiek się trafi? Nie.

A jeżeli szukam innego powodu, by powiedzieć „tak” – a nie szukam – to jest jeszcze Sasza, moja jednoosobowa teoria chaosu.

Dlaczego czuję się za niego odpowiedzialny? To pytanie, na które odpowiem sobie chyba dopiero na tamtym świecie. Ale czuję się odpowiedzialny. Szczęśliwy Sasza to moja radość, Sasza smutny to mój wyrzut sumienia.

Umowa ma sześć stron. Mundy doczytuje do końca i już nie pamięta, o czym było na początku. Mimo wszystko główne postanowienia jakoś do niego dotarły, a na wszelki wypadek Richard jeszcze raz je wylicza:

– Budynek będzie prawnie należał do ciebie, Ted, a wszelkie obciążenia zostaną zniesione, gdy zakończysz pierwszy pełny rok działalności. Koszty bieżące, takie jak ogrzewanie, prąd, podatki, utrzymanie lokalu, zostaną pokryte przez jedną z licznych fundacji pana Dimitrija. W tym celu będziesz otrzymywał środki płatne z góry, rozliczane co kwartał. Takie mamy dane twojego konta, bardzo proszę, sprawdź, czy wszystko się zgadza. Urlop swój i innych pracowników ustalisz sam, ale pamiętaj, że pan Dimitrij chce, by ludzie zatrudnieni u niego wracali do pracy dobrze wypoczęci. Masz jakieś pytania? To pytaj teraz, bo potem będzie za późno.

Mundy podpisuje. Pióro to ten sam model, którego używał Sven. Podpis musi być na każdej stronie. Richard składa podpisaną umowę i wsuwa ją do

tej samej kieszeni, z której przedtem wyjął tysiąc dolarów gotówką. Mundy wstaje, Richard też. Kolejne uściski dłoni.

– Pieniądze powinny dojść w ciągu pięciu dni roboczych, Ted – mówi Richard zupełnie jak w jakiejś reklamie banku.

– Całość? – pyta Mundy.

– A czemu nie? – dziwi się mocno Richard. – Przecież to tylko pieniądze, a czym są pieniądze w porównaniu z wielką ideą?

12

Ted Mundy znowu stracił poczucie własnej tożsamości. Na pewno nie po raz pierwszy w życiu. Kim jest? Łatwowiernym głupcem, który znowu uwierzył w brednie Saszy? Czy najbardziej fartownym facetem na ziemi?

Przy śniadaniu, kochając się z Zarą, odwożąc Mustafę do szkoły i siebie do Linderhofu, udając wiernego poddanego świętej pamięci króla Ludwika, śpiesząc się do domu, gdy Zara nie pracuje w nocy, uwielbiając ją, chroniąc jej wielką, mądrą delikatność, przynosząc jej z biblioteki książki pielęgniarские i kopiując piłkę z Mustafą i jego bandą, przez cały czas powtarza krok po kroku swój pobyt na górze, ale nikomu nic nie mówi. I czeka.

Jeżeli od czasu do czasu usiłuje przekonać samego siebie, że ta cała przygoda jest grą wyobraźni, to w jaki sposób ma sobie wytłumaczyć te tysiąc dolarów, które na powrotną podróż do Monachium schował pod wycieraczkę garbusa i które następnego dnia umieścił w swej prywatnej melinie w schowku ogrodnika, gdzie teraz dotrzymują towarzystwa – bardzo adekwatnie – listom od Saszy?

Ta długa i kompletnie nierzeczywista noc trwała od pojawienia się Saszy, a zakończyła się jego odejściem. Po dalszej rozmowie ze Svenem, Angelem i Richardem o szczegółach technicznych swego zmartwychwstania Mundy wrócił do Saszy, który powitał go z taką radością, że Teddy'emu wstyd było przyznać się do jakichkolwiek wątpliwości. Wieść o zwerbowaniu go do służby Sprawie zdążyła już dotrzeć do przyjaciela. Gdy Mundy wchodzi, Sasza oburącz chwyta jego dłoń i ku wielkiemu zażenowaniu Mundy'ego przyciska ją do swego czoła we wschodnim gościu poddania. W nabożnym milczeniu wsiadają do jeepa z tą samą chudą kobietą za kierownicą, ale zjazd w dół odbywa się zadziwiająco powoli i spokojnie.

Kiedy docierają do szopy, kobieta zatrzymuje auto i czeka, aż przesiądą się do audi. Sasza znów siada za kierownicą. Ujeżdżają jednak tylko dwieście metrów, gdy audi zatrzymuje się z piskiem opon, a Sasza wytacza się na trawiaste pobocze, przyciskając dłonie do skroni. Mundy najpierw czeka, potem wysiada za nim. Sasza wymiotuje, rytmicznie kiwając się to w przód, to

w tył. Mundy dotyka jego ramienia, ale on kręci głową. Wymioty ustają. Wracają do samochodu.

– Chcesz, żebym prowadził? – pyta Mundy.

Zamieniają się miejscami.

– W porządku?

– Oczywiście. To jakaś niestrawność.

– Co teraz?

– Muszę natychmiast lecieć do Paryża.

– Po co?

– Dimitrij nie mówił ci, że jestem osobiście odpowiedzialny za zawartość naszych bibliotek? – Sasza znów mówi swym partyjnym głosem. – W Paryżu komitet złożony z wybitnych członków społeczności akademickiej Francji i Niemiec sporządzi spis dzieł, które znajdą się we wszystkich bibliotekach naszej sieci. Po zebraniu tego podstawowego księgozbioru każda biblioteka będzie mogła rozszerzać go na własną rękę. Bibliotekarze będą oczywiście robili to, czego będzie się od nich domagał *vox populi*.

– Czy Dimitrij też jest członkiem tej szacownej komisji?

– Wyraził kilka życzeń, które zostały nam przedstawione do rozpatrzenia, ale nie żąda dla siebie żadnego szczególnego statusu.

– Kto wybierze członków komitetu?

– Dimitrij podał kilka nazwisk i był tak miły, że poprosił mnie, bym dorzucił parę od siebie.

– Sami liberałowie?

– Nie należą do żadnej kategorii. Antyuniwersytet będzie sływał również ze swego pragmatyzmu. Podobno w amerykańskich środowiskach neokonserwatywnych termin „liberał” jest już traktowany jako obelga.

Ale gdy dojeżdżają do miejsca, gdzie Mundy zaparkował garbusa, partyjny głos ustępuje kolejnemu wybuchowi uczuć. Twarz Saszy błyszczy od potu w świetle poranka.

– Teddy. Mój przyjacielu. Razem weźmiemy udział w historycznym przedsięwzięciu. Nie będziemy niczego niszczyć, nikogo krzywdzić. Opatrzność zsyła nam dokładnie to, o czym marzyliśmy w Berlinie. Będziemy przeciwstawiać się ciemnocie, nieść ludziom kaganek oświaty. Tam na ganku, kiedy już podpisałeś, że się zgadzasz, Dimitrij poprosił mnie, bym wymienił nazwy gwiazdozbiorów. „To jest Wielki Wóz – powiedziałem – to Droga Mleczna, a to Pas Oriona”. Dimitrij się zaśmiał. „Dziś jeszcze masz rację,

Sasza, ale jutro sami wyznaczymy na nowo linie między gwiazdami”.

Mundy wsiada do swego gruchota, Sasza przesuwa się na miejsce kierowcy w swoim audi. Przez chwilę na pustej drodze jadą w niewielkiej odległości, lecz kiedy w końcu Sasza zaczyna się oddalać, Mundy ma przez ułamek sekundy wrażenie, że jadący przed nim samochód jest pusty. Ale Sasza zawsze wraca.

Mundy też wraca – do drobnych codziennych spraw. I usiłuje postawić się na miejscu kogoś, kto nie jest do końca pewien, że jego los naprawdę wygrał główną nagrodę. Jeżeli tak, to dobrze, jeżeli nie, to niech tylko ja będę zawiedziony. Równocześnie wydarzenia tamtej nocy krążą mu w pamięci jak film, którego nie da się wyłączyć, niezależnie od tego, czy Mundy opisuje piękno włoskiego wodospadu na zboczach Hennenkopfu, czy tłumaczy Mustafie za doktorem Mandelbaumem, że posiąść drugi język to jak posiąść drugą duszę.

Na przykład ta baba w jeepie, myśli sobie. Jechała jak szatan, kiedy nie wiedziałem, dokąd nas wiezie, a jak na pogrzeb, kiedy już było po wszystkim. Dlaczego?

Albo te rękawiczki, dodaje. Ta, która grzebała w torebce na schodach, miała rękawiczki: solidne, nowe, żółtawe, obcisłe, ze świńskiej skóry, szyte grubą dratwą. Pani McKechnie miała takie, nie cierpiałem ich.

A ta z jeepa też miała na dłoniach nową parę rękawiczek pani McKechnie. I dokładnie tak samo unikała wzroku innych jak ta ze schodów. Ta ze schodów miała głowę spuszczoną w dół, bo grzebała w torebce. Ta z jeepa miała na głowie chustkę, bo kiedy się kieruje, nie można spuszczać głowy.

Czyli co? Ta sama? Ta sama głowa, tylko raz w chustce, raz bez? Czy tylko takie same rękawiczki?

Albo dywan u Richarda, myśli dalej Mundy. Wszystko w pokoiku Richarda na piętrze było nowiutkie, w tym również sam Richard i jego świeżo ostrzyżona głowa, nowa marynarka, nowy krawat. Ale najnowszy ze wszystkiego był ten puszysty dywan. Taki nowy, że gdy wstałem, by uścisnąć Richardowi dłoń, i popatrzyłem w dół, w miejscach, gdzie przed chwilą trzymaliśmy nogi, zobaczyłem sporo kłaczków. A każdy głupi wie, że nowego dywanu nie czyści się odkurzaczem, tylko omiata szczotką.

A więc dywan kupiono na cześć Dimitrija? A może na naszą? Razem z marynarką?

Skoro już o tym mowa, to ten dywan jest w ogóle bardzo zagadkowy niezależnie od tego, czy był stary, czy nowy. A przynajmniej jest to zagadka dla Teda Mundy'ego, złotej rączki. Puszysty dywan od ściany do ściany w starym góralskim domu, w którym na pewno są piękne drewniane podłogi? Des powiedziała, że to zbrodnia wołająca o pomstę do nieba.

No dobra, sprawa gustu. I tak jednak pozostaje poczucie, że wszystko, co znajdowało się w tym pokoju, łącznie z Richardem, zostało tam zwiezione w dniu, w którym przyjmowano Mundy'ego.

Albo inaczej: poczucie, że to premiera i że jak zwykle na premierze rekwizyty i kostiumy jeszcze się nie spatynowały.

A jeżeli te wątpliwości wydają się błahostkami w porównaniu z Wielką Wizją Dimitrija, to może dlatego, że chcę zastosować do niej właściwą skalę. Bo jeszcze innymi słowy, skoro nie wierzę w dywan, to dlaczego mam wierzyć w Dimitrija?

Tylko że ja wierzę w Dimitrija! Gdy król Dimitrij Szalony buduje zamki na piasku, ja wierzę każdemu jego słowu. Wstąpienie do niego na służbę w zamian za spłatę moich długów to niebiańska propozycja. Wątpliwości pojawiają się dopiero, gdy Dimitrij przestaje mówić.

I tak w kółko. Mijają noce i dni. Ted Mundy czeka na wiadomość, czy wygrał los na loterii.

Czeka i obserwuje.

Od swego hańbiącego odwrotu z Heidelbergu robił, co mógł, by listy do niego nie trafiały. Gdy jakiś adres stawał się zbyt znany, zmieniał go. Mieszkanie w Monachium pozostaje jego najlepiej strzeżonym sekretem. W Linderhofie za to jest bardziej narażony, ale przedsięwziął pewne środki ostrożności. Przegródki pocztowe dla personelu znajdują się w biurze. Litera M jest w połowie wysokości szafki, a więc poza zasięgiem wzroku przypadkowych przechodniów. Nic w tym dziwnego, że pracowity przewodnik, śpieszący do niecierpliwie wyczekujących go anglojęzycznych turystów, od czasu do czasu zapomni sprawdzić pocztę. Czasem mija tydzień, czasem nawet więcej, nim sumienna frau Klamt wychynie zza swego biurka i wręczy Mundy'emu groźnie wyglądającą kopertę.

Teraz wszystko się zmieniło. Z defensywy Mundy przechodzi do ataku.

Do tej pory śledził przyjazdy i odjazdy furgonetek pocztowych do Linderhofu tak, jakby obserwował ruchy nieprzyjaciela. Teraz już nie. Teraz

furgonetka nie zdąży jeszcze wyjechać z bram zamku, a Mundy już zagląda do frau Klamt i pyta, czy nie ma przypadkiem czegoś dla niego.

I w ten właśnie sposób, po ośmiu dniach od powrotu z gór, zadyszany Ted Mundy dowiaduje się w dziesięciminutowej przerwie między trzecią a czwartą grupą tego dnia, że kierownik jego banku w Heidelbergu „serdecznie prosi” o telefon „w dowolnym czasie”, by umówić się na spotkanie w sprawie środków przelanych na konto pana na łączną sumę pół miliona dolarów USA.

Bank wystawił na to spotkanie aż trzech urzędników, co wydaje się Mundy’emu ogromną rozrzutnością, zważywszy, jak często musiał wysłuchiwać utyskiwań herr Frincka, nieprawdopodobnego nudziarza, o tym, ile kosztuje płacenie ludziom za to, żeby patrzyli, jak inni pracują.

Herr Frinck siedzi w środku, po obu jego stronach usadowili się Brandt i Eisner. Herr doktor Eisner jest z naszego działu wiarygodności. Herr Brandt, bez tytułu, jest z centrali. Centrala chce czasem zniżać się do poziomu klienta czy też – i takiego właśnie zwrotu użył Frinck – proaktywnie z nim współpracować; czy pan Mundy ma coś przeciwko jego obecności przy naszej rozmowie? Mundy szczerze się cieszy z obecności herr Brandta. Czuje się jak chłopiec z obrazu czekający, by go zapytano, kiedy ostatni raz widział swego ojca. Na tę okazję nawet włożył garnitur. Garnitur jest za gruby i w dodatku ku zdziwieniu Mundy’ego jakby się skurczył, bo rękawy co chwila podjeżdżają mu aż pod łokcie. Czuje się w nim głupio, poci się, denerwuje, jak przy każdej rozmowie, której jedynym tematem mają być pieniądze. Herr Frinck pyta o zdrowie „frau Mundy” – nie zapomina przy tym o tolerancyjnym uśmiechu. Zgodnie z bankowymi zwyczajami rozmowa toczy się po angielsku. A gdy trzech niemieccy bankierzy spotykają się z jednym niehonorującym swych zobowiązań angielskim klientem, jest oczywiste, że mówią po angielsku lepiej niż on po niemiecku.

– Dziękuję, żona ma się doskonale – odpowiada gromko Mundy na pytanie Frincka. – Zresztą czego się spodziewać w jej wieku? – I wybuchają śmiechem.

Przypomnienie, że klient banku utrzymuje młodą i niewątpliwie rozrzutną konkubinę, jakoś nie rozbawia herr Frincka czy herr doktora Eisnera; za to herr Brandt z centrali jest zachwycony. Herr Frinck wyraża ubolewanie z powodu wojny. „To takie niepokojące”, mówi, poprawiając okulary grubym palcem wskazującym. „Ufff, konsekwencje mogą być zgoła nieobliczalne. To

oczywiście bardzo pięknie, że Berlin wypowiedział się w aspekcie moralnym, ale Ameryka dała wyraźnie do zrozumienia, że przyjdzie za to zapłacić, no i teraz czekamy na rachunek”. Mundy na to, że i tak warto było, i prawie ofiarowuje się sam pokryć wszelkie koszty. Jego hojność zostaje przyjęta z niepokojem.

Herr Frinck przygotował listę licznych wierzycieli Mundy’ego. Herr doktor Eisner już ją widział. Herr Frinck pragnie wygłosić pewne oświadczenie na użytek eleganckiego herr Brandta z centrali: otóż zachowanie pana Mundy’ego w tej całej sprawie było wzorowe. Pan Mundy miał wszelkie dane po temu, by ogłosić niewypłacalność, i nawet go do tego namawiano. Trzeba zapisać mu na wielki plus, że oparł się tym namowom. Teraz wszyscy, bank też, zostaną całkowicie spłaceni. „To godne najwyższej pochwały”, mówi herr Frinck. „I podziwu. Spłaty długów będzie można dokonać wraz ze wszystkimi należnymi odsetkami, a to w takich okolicznościach jeszcze rzadsze”.

Herr doktor Eisner stwierdza, że pan Mundy jest prawdziwym angielskim dżentelmenem. Herr Frinck mu wtóruje. Pan Mundy na to, że w takim razie jest już ostatni w swoim rodzaju. Żart ten nie cieszy się szczególnym powodzeniem ani nawet zrozumieniem u obu panów, za to rozśmiesza przystojnego herr Brandta, który pozwala sobie wobec tego na pytanie – najlżejszym z możliwych tonów – skąd, na miłość boską, pan Mundy zdobył tyle pieniędzy.

– Chodzi o trzy przelewy – oznajmia herr Brandt. Ma je wśród swych papierów i w miarę jak mówi, podaje je do oglądu Mundy’emu w trzech osobnych przezroczystych koszulkach z plastiku. – Dwieście tysięcy z United Chemical na Guernsey, zlecenie klienta. *Voilà!* Dwieście tysięcy z Crédit Lyonnais, Antigua, zlecenie klienta. *Voilà!* Sto tysięcy z Morgan Guaranty Trust, wyspa Man, również zlecenie klienta. Wielkie banki z dala od wielkich centrów finansowych. No i kim są ci klienci, panie Mundy?

Zadowolony, że Sven, Angelo i Richard przygotowali go na takie właśnie pytania, Mundy uśmiecha się z żalem i – ma nadzieję – przekonująco.

– Niestety, w tej sprawie nie mogę panu udzielić odpowiedzi. Szczerze mówiąc, prowadzimy w tej chwili bardzo delikatne negocjacje.

– O – mówi zawiedziony herr Brandt i lekko przekrzywia swą piękną głowę. – Ale może troszeczkę? I nieoficjalnie?

– Te pieniądze to zaliczka na rozpoczęcie działalności – tłumaczy Mundy, powtarzając słowa Svena.

– A konkretnie, proszę pana?

– Na ponowne otwarcie szkoły jako przedsięwzięcia dochodowego. Prowadzę poufne rozmowy z pewną międzynarodową fundacją. Nie chciałem o tym rozmawiać z bankiem przed sfinalizowaniem całej sprawy.

– Wspaniale. Brawo. A czym dokładnie zajmuje się ta fundacja? To naprawdę bardzo interesujące – dodaje na stronie herr Brandt na użytek swych dwóch kolegów z taką dokładną dozą entuzjazmu, jaka przystoi człowiekowi ze sztabu generalnego, gdy wizytuje wojska w terenie.

– No więc między innymi chodzi o popularyzację języka angielskiego – odpowiada Mundy, wciąż recytując wyuczoną lekcję. – Angielskiego jako esperanto, można powiedzieć. O to, by dać światu wspólny język, a więc narzędzie do wspólnego zrozumienia. W tym są oczywiście duże pieniądze.

– Pięknie. To robi wrażenie. – I Mundy widzi po uśmiechu herr Brandta, że bankowiec rzeczywiście jest pod wrażeniem. – I na początek wybrali właśnie pańską szkołę? Jako część ich systemu?

– Między innymi.

– A jak bardzo są zaawansowane te rozmowy? Oczywiście jeśli to nie tajemnica.

Mundy zdaje sobie sprawę, że tu kończą się jego instrukcje, ale przecież dziesięć lat ciągłych przesłuchań u profesora też go czegoś nauczyło, nie mówiąc już o miesiącach ciężkiej pracy w edynburskiej Szkole Dobrych Manier.

– Więc tak – zaczyna śmiało. – Powiedziałbym, że mniej więcej, oczywiście nigdy nie wiadomo, czy więcej, czy mniej, wychodzimy na prostą. Oczywiście nie mówimy o twardych negocjacjach, jak w biznesie, ale przecież nawet fundacja dobroczynna ma jakieś kryteria.

– Naturalnie. A co to za kryteria, jeśli można spytać?

Nigdy się nie wahać.

– Po pierwsze, udział studentów kolorowych. Fundacja jest o zasięgu światowym, więc to naturalne, że zależy im na różnorodności rasowej i etnicznej.

– Jak najbardziej. A poza tym?

– Jakie jeszcze mają wymagania?

– Tak.

– No, plan studiów, treści kulturowe, poziom docelowy po danym okresie nauki i ogólnie jakość pracy.

– A co do religii?

– Słucham?

– Bo to nie jest organizacja chrześcijańska?

– Ze mną nikt o religii nie rozmawiał. Skoro będziemy przyjmować ludzi różnych ras, to oczywiście różnych religii też.

Herr Brandt otworzył tymczasem segregator i wpatruje się we wpięte kartki z wyrazem dobrodusznego zdezorientowania.

– Bo wie pan, co zrobiliśmy? – Obdarza Mundy’ego promiennym uśmiechem. – Pan nam się zwierzył, to my panu też, dobrze? Zabawiliśmy się. Czasem robimy takie rzeczy. Otóż prześledziliśmy jeden z tych przelewów aż do źródła. Tylko jeden, bo bywa, że to całkiem trudne. Od banku do banku. Trzeba było trochę zgadywać, ale w końcu się udało. Z Guernsey dotarliśmy do Paryża. Z Paryża do Aten. Z Aten do Bejrutu i z Bejrutu do Rijadu. Przelew pochodzi z Rijadu. Teraz chyba pan rozumie, dlaczego pytałem o religię.

„Jak chcą cię na czymś przyłapać, przywal im. Prawdą jest tylko to, co można udowodnić”.

– Nie wątpię, że fundacja ma konta na całym świecie – odpowiada Mundy nieco już zniecierpliwionym tonem. – Na pewno w krajach arabskich też mają ludzi, którzy ich popierają. Czemu nie?

– Arabowie mieliby popierać popularyzację angielskiego?

– Czemu nie, jeżeli popierają przez to rozwój dialogu między narodami?

– I zadają sobie tyle trudu, żeby to ukryć?

– Pewnie wolą dmuchać na zimne. I trudno im się dziwić w naszych czasach, gdy każdy muzułmanin to z definicji terrorysta.

Herr Frinck chrząka, herr doktor Eisner ostentacyjnie szeleści papierami, na wypadek gdyby herr Brandt zapomniał, że konkubina pana Mundy’ego jest Turczynką. Ale herr Brandt załatwia sprawę jednym uśmiechem.

– I oczywiście ma pan już umowę – mówi swobodnie.

– Już mówiłem, że negocjujemy ostatnie szczegóły – odpowiada Mundy i teraz jest prawie obrażony.

– Rzeczywiście. Ale na pewno ma pan jakąś umowę przedwstępną. Przecież nawet najbardziej dobroczynna fundacja nie dałaby panu tyle pieniędzy bez czegokolwiek na piśmie.

– A oni dali.

– To może jest choć jakaś korespondencja?

– Na tym etapie nie mogę pokazać nic konkretnego.

– Czy fundacja wypłaca panu pobory?

– Na początek dali pięćdziesiąt tysięcy na zatrudnienie personelu, z czego ja dostałem dziesięć. To zaliczka w wysokości dwumiesięcznej pensji. Po otwarciu szkoły dostanę pięćdziesiąt procent podwyżki.

– I mieszkanie służbowe?

– Tak. Kiedy już budynek będzie całkiem gotowy.

– Zwrot wydatków?

– Tak sądzę.

– Samochód?

– Chyba tak, jeżeli to będzie konieczne.

– No, całkiem nieźle jak na kogoś z pana przeszłością finansową. Gratuluję. Musi być z pana twardy negocjator.

Nagle wszyscy wstają, bo mają tyle roboty. Trzeba popodpisywać czeki, potrącić potrącenia, poprzelewać przelewy. Dział herr doktora Eisnera już wszystko przygotował. Ściskając Mundy'emu dłoń i patrząc mu nabożnie w oczy, herr Brandt pragnie jeszcze raz powinszować panu Mundy'emu szczęścia w interesach. To były tylko takie ćwiczenia, centrala czasem tak robi, proszę tego nie brać do siebie – w naszych czasach banki i tak siedzą jedną nogą w sądach. Herr Frinck potwierdza, herr doktor Eisner też. Mówiąc jako prawnik, Eisner zwierza się Mundy'emu, prowadząc go na górę, że chyba nigdy w bankowości nie było tylu różnych zagrożeń.

Budynek szkoły jest na swoim miejscu. Nie zniknął tak jak numer 2 na Vale, żaden przedsiębiorca budowlany nie reklamuje swych domków jednorodzinnych z trzema sypialniami, pierwsza wpłata tylko dziesięć procent wartości. Tak, to wciąż ta sama stara buda z ginącymi w bluszczu oknami, krytymi dachówką wieżyczkami i dzwonnica bez dzwonu. Czeka na niego wciąż ten sam gotycki łuk w drzwiach nabitych ćwiekami wyglądającymi jak guziki rozpinanego swetra. Podchodzi nieśmiało do bramy z daszkiem. Musi najpierw otworzyć kłódkę. Otwiera ją więc i powoli idzie ceglana alejką do sześciu schodków prowadzących na ganek, gdzie zatrzymuje się, obraca i upewnia, zupełnie jakby wątpił, że widok też jest taki sam, jaki był – cudowny widok przez rzekę na stare miasto i jego kościelne wieże, i potem, wyżej i wyżej, na czerwone ruiny zamku rozciągnięte wzdłuż Kaiserstuhlu.

Ten budynek to był od początku idiotyczny wybór. Teraz to wie, zresztą w pewnym sensie wiedział już wcześniej. Szkoła dla biznesmenów na górce, z parkingiem tylko na trzy samochody, nie ten koniec miasta, nikomu nie po

drodze? Tylko że w środku tyle miejsca. I tanio jak barszcz, jak by powiedział Des, oczywiście jeżeli ktoś nie boi się zakasać rękawów. Mundy się nie bał, ale Egon już wtedy wolał siedzieć na werandzie i kombinować. W ogrodzie z przodu cztery dobre jabłonie – w porządku, nie kupował tego domu dla jabłek. Ale za domem jest mała winniczka. Kiedy szkoła znowu zacznie działać, będzie robił własne Château Mundy. Parę butelek pośle Jake’owi, niech się chłopak napije z kolegami.

A nad winniczką biegnie Ścieżka Filozofów – o, nawet teraz widać ją przez gałęzie jabłoni. A nad ścieżką wznosi się Heiligenberg, trudno w całych Niemczech o lepszy las na wycieczki – oczywiście nie jest to ulubione zajęcie większości dorosłych studentów.

No a te literackie konteksty! Czy one nie są nic warte? Czy kilkaset metrów stąd nie mieszkali Carl Zuckmayer i Max Weber? Czy sama ulica nie została nazwana na cześć Hölderlina? Czego więcej może chcieć od szkoły językowej współczesny żądny awansu menedżer?

Jak się okazało, niestety bardzo wiele.

Klucz obraca się w zamku, Mundy napiera całym ciężarem na drzwi, zamek puszcza. Mundy wchodzi do środka, staje w półmroku – to przez ten bluszcz na oknach – i po raz pierwszy od wielu miesięcy pozwala sobie przypomnieć, jak bardzo kochał ten dom i jak wiele włożył w niego własnej duszy po to tylko, by potem patrzeć bezradnie, jak wszystko przecieka mu między palcami: pieniądze, wspólnik, któremu ufał, marzenie, że wreszcie coś mu się w życiu uda.

Zatopiony w myślach o własnej głupocie brnie przez ruiny swej historii najnowszej. W holu, w którym teraz stoi, studenci zbierali się przed zajęciami i tu rozdzielano ich na grupy, które potem rozchodziły się do czterech wysokich sal lekcyjnych. Wspaniałe schody oświetla szklany świetlik w stylu art nouveau; gdy wspinało się po nich w słoneczny dzień, przechodziło się przez snopy kolorowego światła: czerwień, zieleń, złoto. Jego stara sala jest pusta, bo stoły, krzesła i wieszaki poszły pod młotek. Ale na tablicy wciąż widnieje jego pismo, wciąż słyszy czytający je własny głos:

As a valued customer of British Rail, we would like to apologise to you for the presence of the wrong kind of snow on the line.

Question: Who is the customer?

Question: Who is the subject of the sentence?

Question: Why is this the wrong kind of sentence?

I zupełnie jak dawniej tkwi w swym ulubionym miejscu w wykuszu okna: świetnie mieści się tu taki dryblas jak ja. Miło tak stać w wieczornym słońcu w oczekiwaniu na ostatnią grupę.

Wracamy na ziemię. Teraz przeszłość się nie liczy.

Dimitrij powiedział mi, że jego pieniądze śmierdzą. Rzeczywiście śmierdzą. Czy to znaczy, że jest kłamcą?

No dobra, podrzucenie pół miliona dolców zbankrutowanemu nauczycielowi języków obcych może wydawać się dziwne jakiemś zasranemu aparatczykowi z bankowej centrali, ale dla faceta, który nosi po kieszeniach tyle, że kupuje za to statki na pęczki, może wcale nie.

Oczywiście zakładając, że herr Brandt to naprawdę przedstawiciel centrali. Jego szczere spojrzenie i rozbijający uśmiech mogą pochodzić z całkiem innej stajni. Podczas naszego nieprzyjemnego *pas de deux* nieraz odnosiłem wrażenie, że znowu mam do czynienia z moim dawnym wcieleniem.

Przez dwadzieścia minut, może nawet dłużej, Mundy pozwala sobie na luksus takich swobodnych myśli. Wiele z nich go zadziwia, ale to dla niego nie nowina. Na przykład dziwi się sobie, że tak spokojnie przyjmuje ten nagły przypływ gotówki. Gdyby za pomocą czarodziejskiej różdżki mógł przenieść się w dowolne miejsce na świecie, chciałby być albo w łóżku z Zarą, albo w warsztacie z Mustafą, by pomóc mu przy makiecie Kopyły na Skale, którą przecież trzeba skończyć na urodziny mamy.

Mundy zrywa się na równe nogi i obraca na pięcie. W jego prawe ucho uderza okropny dźwięk bębnienia w szybę.

Gdy się opanowuje, z radością rozpoznaje krasnoludzkie rysy starego Stefana, swego dawnego ogrodnika i palacza lewitującego po drugiej stronie okna. Okno otwiera się do góry, więc Mundy w jednej sekundzie przekręca zamek, pochyla się, łapie mosiężne uchwyty i prostując całe ciało, podnosi dolną połowę okna. Wyciąga rękę, stary Stefan ściska mu ją i ze zręcznością kogoś o połowę młodszego od siebie wskakuje do środka.

Następuje beładna rozmowa o wszystkim i o niczym. Tak, tak, Stefan ma się świetnie, jego żona Elli też, *söhnchen* – bo tak mówi o swym potężnym pięćdziesięcioletnim „synku” – też, ale gdzie to się herr Teddy podziewał, jak się ma Jake, czy nadal studiuje w Bristolu? No właśnie, gdzie to się podziewał

nasz herr Ted, wszyscy tak za nim tęsknili, przecież w Heidelbergu nikt nie ma do niego pretensji, na miłość boską, wszyscy już zapomnieli o tej sprawie z herr Egonem!...

I choć cała rozmowa trochę trwa, Mundy się orientuje, że stary nie znalazł się w ogrodzie przypadkiem.

– Czekaliśmy na pana, herr Ted. Od dwóch tygodni wiemy, że się pan zjawi.

– Bzdura, Stefan. Ja wiem o tym od dziesięciu dni.

Ale Stefan stuka się krzywym palcem w nos na znak, że nie taki z niego głupi krasnolud.

– Od dwóch tygodni! Od dwóch tygodni, tak też powiedziałem żonie. „Elli”, mówię jej. „Elli, herr Ted wraca do Heidelbergu. Spłaci długi, tak jak zawsze obiecywał, z powrotem obejmie willę i otworzy szkołę. A ja znowu będę u niego pracował, wszystko już uzgodnione”.

Mundy stara się nadal mówić lekkim tonem:

– A kto ci się wygadał?

– A ci, co ich pan tu przysłał.

– Którzy? Bo sam już nie pamiętam.

Stary kręci głową, mruży oczy i cmoka językiem z niedowierzaniem.

– No, ci od hipoteki, herr Ted. Ci, co mają panu dać kredyt. Wie pan, dziś nikt nie umie trzymać języka za zębami. Wiadomo...

– To oni już tu byli? – pyta Mundy, lecz udaje mu się sprawić, że brzmi to tak, jakby chciał się z nimi spotkać, rozminęli się jednak.

– Na razie tylko się rozejrzeli. Przechodziłem, zobaczyłem kogoś w oknie, myślę sobie, oho, herr Ted wrócił. Albo nie wrócił, a to jakieś bandziory. Za stary jestem, żeby się dać zabić, więc walę do drzwi. Otwiera mi młody facet, uprzejmy, w kombinezonie. W ręce latarka. Z tyłu jeszcze ktoś był, może jakaś babka, wie pan, teraz kobiety są wszędzie. Mówi mi, że oglądają dom. Żebym się nie bał, że wszystko w porządku. „Herr Ted państwa przysłał? Herr Ted?”, pytam. „Nie, nie, my z firmy hipotecznej. Jak firma pożyczy herr Tedowi forszę, to herr Ted wróci”.

– O której to było? – pyta Mundy, lecz tak naprawdę nie słucha Stefana, tylko Kate, kiedy to przyszła ze szkoły wcześniej niż zwykle i w oknach domu na Estelle Road zobaczyła cienie, które poruszały się tam i z powrotem, jakoś tak lekko.

– A gdzieś tak rano, koło ósmej. Lało. Jechałem na rowerze do ogródka pani Liebknecht. A po południu, jak wracałem, mniej więcej o tej porze co teraz,

koło piątej, jeszcze byli. Widzi pan, jaki jestem wścibski? Niech pan zapyta Elli. Już się chyba z tego nie wyleczę. „A co to tyle trwa?”, pytam ich. Oni na to: „To duży dom. Będzie dużo kosztował. A jak coś kosztuje, to musi trwać”.

Chodził już w Edynburgu. Odbywało się to tak:

„No dobra, Ted. Za chwilę wyjdiesz stąd przez drzwi frontowe i pójdziesz na dworzec. Nie musisz iść, możesz jechać, jak chcesz. Ale nie taksówką, bo wiesz przecież, że nie jeździmy taksówkami. Ani pierwszą, która się napatoczy, ani drugą, ani trzecią, ani trzynastą. Przynajmniej nie wtedy, kiedy coś się kroi. Kiedy dotrzemy na dworzec, zapytam cię, czy ktoś nas śledzi, a jeżeli tak, to kto, tylko oni nie mają wiedzieć, że my wiemy. Jasne? Aha, i musimy tam być za pół godziny, bo mamy pociąg. Więc z łaski swojej, proszę, nie najdłuższą drogą koło zoo”.

Mundy rusza i oddaje się w opiekę Heidelbergowi. Wychodzi na ulicę, niedbale obrzuca wzrokiem pobliskie samochody i okna: och, jak ja uwielbiam ten mały skwerek, te skryte wśród drzew wille i niewidoczne ogródki! Rusza główną drogą ku rzece – czy to ci sami kochankowie co wtedy, gdy szedłem w drugą stronę, tulą się do siebie na ławce? Potem Stary Most, wysadzony w powietrze w 1945 roku w beznadziejnej próbie opóźnienia pochodu zwycięskich Amerykanów, o czym już nikt nie pamięta i o czym w ogóle mało kto wie. A już na pewno nie wiedzą o tym wycieczki szkolne i turystyczne podziwiające barki na rzece i rzeźby. Mundy też je podziwia, opiera się o balustradę i czeka, czy przypadkiem ktoś nie zatrzyma się za nim i nie zacznie zapalać papierosa, przeglądać przewodnika albo robić zdjęć. Upał. Hauptstrasse, zamknięta dla ruchu, jak zwykle wypełniła się tłumem sunącym powoli, więc Mundy przyśpiesza, jakby naprawdę musiał zdążyć na pociąg. Owszem, śpieszy się, ale nie tak bardzo, jak by się mogło zdawać, i co chwila zerka w szyby wystaw, czy nie zobaczy kogoś, kto nagle sobie przypomniał, że jest spóźniony, i przyśpieszy tak jak on. Mundy idzie szybko, wyprzedzają go już tylko rowerzyści, zresztą może jego prześladowcy ich tu wezwali, bo ciężko nadążyć za takim rozpedzonym dryblasem, kiedy ma się krótsze nogi. Mundy wychodzi ze Starego Miasta, mija prostokątne szare bloki i kawiarniane neony. Gdy dochodzi do dworca, może powiedzieć swym edynburskim instruktorom tylko tyle, że jeżeli jest śledzony, to ze szczególnymi względami, czyli przez wszystkich, od śmieciarzy po satelity, nie zapominając o polaniu całodziennym sprejem do włosów, po którym, wedle określenia

pewnego złotoustego instruktora, „człowiek świeci na monitorach jak zasrany robaczek świętojański”.

Na dworcu idzie do budki i wkłada głowę pod jej wielki hełm. Telefonuje do domu. Zara już wyszła do pracy, do kebabiarni dotrze za godzinę. Telefon odbiera Mustafa, który krzyczy:

– A co z Kopułą na Skale, Ted? Ty niedobry!

– Jutro wieczorem będziemy budować dwa razy dłużej. – I obowiązkowe przekomarzanie: no pewnie, że jestem u dziewczyny.

Do telefonu podchodzi Dina, kuzynka Zary. „Dina, muszę zostać na noc w Heidelbergu, jutro mam kolejne spotkanie w banku. Wytłumacz to Zarze, dobrze? I czy mogłabyś dopilnować, żeby Mustafa poszedł spać przed północą? Niech nie próbuje wymawiać się makietą. Dina, jesteś fantastyczna”.

Wykręca numer Linderhofu, odzywa się automatyczna sekretarka, Mundy zatyka nos i zostawia wiadomość, że jutro go nie będzie, bo ma grypę.

Pociąg do Monachium odchodzi za czterdzieści minut. Mundy kupuje gazetę, siada na ławce i przygląda się światu. I zastanawia się, czy świat też mu się przygląda.

Co oni robili w szkole, i to przez cały dzień? Mierzyli, ile trzeba kupić grubego dywanu?

„Młody, uprzejmy, w kombinezonie, w ręce latarka”.

„Nie, my tylko oglądamy dom”.

Pociąg jest osobowy, więc wlecze się jak zółw. Zupełnie jak tamten osobowy z Pragi, kiedy razem z Saszą jechali na rowery. Teraz Mundy też wysiada na małej stacji wśród pól, ale tylko przenosi się dwa wagony dalej. Kilka stacji później przesiada się jeszcze dalej. Gdy pociąg wreszcie dojeżdża do Monachium, zostaje w nim tylko sześć osób. Mundy wynurza się na peron, gdy inni pasażerowie są już o pięćdziesiąt metrów dalej.

Piętrowy parking ma windę, ale Mundy woli schody, choć śmierdzą sikami. Na półpiętrach straszą faceci w skórze, czarnoskóra prostytutka proponuje cenę dwudziestu euro. Przypomina sobie, jak Zara usiadła przy jego stoliku w dniu, kiedy jego życie zaczęło się od nowa. „Proszę pana, chciałby pan, żebym się z panem przespała za pieniądze?”

Jego garbus jest na czwartym piętrze, w kącie, tam, gdzie postawił go rano. Obchodzi go w kółko, sprawdza, czy na drzwiach nie ma smaru albo czystych miejsc po wytartym smarze, albo nowych rys przy zamku. „Bardzo ładnie, Ted,

zawsze mówiłem, że masz talent”.

Udając, że szuka plam po oleju, kuca z przodu i z tyłu auta, maca, czy nie znajdzie pod podwoziem pudełeczek, nadajników i w ogóle czegoś, co było w modzie trzynaście lat temu. „Zawsze staraj się ukierunkować swój strach, Ted. Jeżeli nie wiesz, czego się boisz, będziesz się bał wszystkiego”.

W porządku. Już ukierunkowuję. Boję się bankowców, którzy nie są bankowcami, ludzi, którzy piorą brudne pieniądze, miliarderów-gangsterów-filantropów, którzy przysyłają mi podejrzone pół miliona dolarów, bogatych Arabów, którzy chcą płacić za upowszechnianie języka angielskiego, fałszywych inspektorów firm hipotecznych, własnego cienia. A boję się o Zarę, Mustafę i Mo. I o moje przekłete pragnienie miłości.

Otwiera samochód. Ponieważ garbus nie wybucha, Mundy sięga na tylne siedzenie i wyciąga paskudny oliwkowy bezrękawnik z wielkimi kieszeniami – taki, w którym normalni ludzie jeżdżą tylko na ryby. Albo na polowania. Zdejmuje marynarkę i przekłada zawartość jej kieszeni do kamizelki. Silnik zapala za pierwszym razem.

Na ziemię dostaje się piekielną żelazną windą samochodową, która przypomina mu Stalową Trumnę. Stary parkingowy otwiera mu windę ogromnym, jakby więziennym kluczem za połowę oficjalnej ceny i wypuszcza go na świat zewnętrzny. Wydostawszy się na wolność, Mundy skręca w prawo i jeszcze raz w prawo, żeby nie przejeżdżać obok kebabiarni Zary, bo wie, że gdyby ją zobaczył, zabrałby ją do domu i narobiłby wszystkim – nie wyłączając siebie – okropnego zamętu w głowie.

Dojeżdża do ronda, skręca na południe. Wciąż spogląda w lusterka, ale nie widzi niczego, na co mógłby ukierunkować swój strach. Tylko że jeżeli są naprawdę dobrzy, to właśnie tak by było, nie? Już północ. Świeci różowy księżyc, droga przed nim jest równie pusta jak z tyłu, gwiazdy dopisują. „Jutro sami wyznaczymy na nowo linie między gwiazdami”. Dimitrij może wyciągnął z planety, co się dało, nim zaczął ją zbawiać, ale znalazł czas, by nauczyć się kiczu.

Wciąż jedzie na południe tą samą szosą, którą codziennie dojeżdża do pracy. Za czterdzieści minut dotrze do pierwszego z dwóch skrzyżowań i odbije w lewo. Tak też czyni. Tym razem nie prowadzi go żadne niebieskie audi z żadnym Saszą skulonym jak mała za kierownicą, ale też wcale go nie potrzebuje. Jakby na przekór swym kłopotom z wyczuciem kierunku, co upodabnia go do Trockiego, doskonale wie, jak jechać. Jadąc za Saszą,

zapamiętał wszystkie skręty w prawo i w lewo i teraz po prostu robi je w odwrotnej kolejności.

Mija zatoczkę, gdzie zostawił samochód, by iść za Saszą na kręte schody, i jedzie dalej, aż do wąskiej dróżki u podnóża gór. Benzyny ma tylko ćwierć baku, ale wystarczy. Wkrótce wjeżdża w las po tej samej dziurawej nawierzchni; tym razem dziury są głębsze, bo księżyc świeci jaśniej. Dociera do polany, która tak przypominała mu polanę pod Pragą, lecz nie zatrzymuje się, tylko szuka jakiegoś przesmyku między drzewami. Znajduje go, wyłącza najpierw światła, potem silnik, garbus toczy się jeszcze siłą rozpędu, cicho, choć Mundy przeklina w duchu gałązki łamiące się pod kołami i ptaki, które drą się jak opętane.

Spycha samochód pod jodły, dopóki nie czuje ciężaru ich gałęzi na dachu, zamyka auto i rusza ku betonowemu podjazdowi.

Teraz odległości stają się bardzo rzeczywiste. Jest na terytorium nieprzyjaciela. Coś gniecie go w żołądku. Wyrasta przed nim stodoła; nieoświetlona reflektorami audi wydaje się większa niż wtedy: nie na jeden, a na dwa zeppelin. Brama zamknięta na kłódkę. Zaczyna obchodzić szopę w kółko. W przeciwieństwie do wysłanników firmy hipotecznej nie ma ani latarki, ani pomocników.

Po omacku przesuwają się wzdłuż drewnianej ściany, stąpając po kamieniach. Liczy, że trafi na okno albo dziurę. Bez rezultatu. Znajduje luźną deskę. Szarpie za nią ostrożnie. Przydałyby się narzędzia, lecz zostawił je Mustafie. Przydałby się Des, ale przecież ma rozwód.

Deska porusza się coraz swobodniej. Daje się odgiąć całkiem do góry i wreszcie puszcza. Mundy zagląda do środka. Światło księżyca ukazuje mu wszystko, co chciał zobaczyć. W środku nie ma ani lśniącego jeepa, ani rzędu świetnych samochodów na sprzedaż. Na ich miejscu stoją trzy solidne traktory, piła tarczowa i piramida siana w belach.

Zły adres? Nie, adres dobry, tylko lokatorzy się zmienili.

Wraca przed bramę szopy i rusza ścieżką w stronę ściany śmierci. Z tego, co pamięta, jeep wspinał się nią przez dziesięć do dwunastu minut. Na piechotę zabierze mu to godzinę. Po chwili chciałby, żeby trwało znacznie dłużej i żeby mógł wziąć ze sobą całe swe życie, Zarę, Mustafę i nawet Jake'a, jeżeli nie jest zbyt zajęty, bo Mundy nie zna większej przyjemności jak nocny spacer po sosnowym lesie w świetle księżyca, gdy w dolinach wstaje mgła, a na wprost budzą się pierwsze blaski świtu, gdy szum strumyków staje się

niemal ogłuszający, woń żywicy wyciska łzy z oczu, a sarny bawią się z nim w chowanego.

To nie ten sam dom.

Tamten był wielki i gościnny. Wesoło świeciły się okna obstawione skrzynkami z geranium, dymił komin. Widok prosto z ilustracji do bajek braci Grimm.

Ten jest niski, szary, z zamkniętymi na głucho okiennicami i w ogóle jakiś taki nieprzyjemny. Z tyłu prawie przylega do siniego zbocza góry. Otacza go niezauważona przedtem wysoka siatka z drutu. Wszystko – a szczególnie tabliczki z napisami – zdaje się mówić: teren prywatny, uwaga, złe psy, wstęp surowo wzbroniony, jeszcze jeden krok i będziesz miał spore kłopoty, spierdalaj. A jeżeli w pokojach na piętrze ktoś śpi, to najwyraźniej lubi spać przy odsłoniętych kotarach i zamykać się na noc na kłódkę. Od zewnątrz.

Siatka nie jest ani pod napięciem, ani nawet nowa, więc Mundy z początku czuje się głupio. Po chwili tłumaczy sobie jednak, że nawet absolwent edynburskiej Szkoły Dobrych Manier nie musi zauważyć wszystkiego za pierwszym razem. Zwłaszcza kiedy wiezie go na łeb, na szyję amazonka w rękawiczkach ze świńskiej skóry, a na karku czuje oddech Saszy.

Siatka jest z drutu kolczastego, ma zamkniętą żelazną bramę, ale w środku pałętają się dwie sarny, które okropnie chcą się wydostać na zewnątrz.

A więc musiały jakoś się tu dostać. Może przeskoczyły przez siatkę. Nie, za wysoka, nawet dla saren.

Idąc wzdłuż siatki i bezskutecznie wypatrując wśród stodół i budynków gospodarczych innych śladów życia, Mundy odkrywa, jak sarny się tu znalazły: przez półtorametrowy odcinek siatki rozjechany przez traktor lub inny pojazd rolniczy, który nie przejął się groźnymi tabliczkami. A teraz biedne zwierzęta nie mogą trafić tu z powrotem.

Ale Mundy może. Co więcej, jest tak rozgorączkowany, że adrenalina sama wydzwignęła go na niski dach, po którym już tylko parę kroków do okna na piętrze. Mundy jest przy tym na tyle pomysłowy, że nim wspiał się na dach, uzbroidł się w wielki kamień. Waży chyba tonę, lecz nie ma nic lepszego do wybijania szyb.

Po co tu przyszedłem?

Żeby sprawdzić, że nad ranem wyglądają równie pięknie jak nocą.

Żeby jeszcze raz poszukać w dzieciennych oczach Dimitrija ukrytego sygnału: „Sam tego chciałeś”.

Żeby zapytać od niechcienia, co to za numery z tą forszą z Rijadu. W naszych czasach?

I jak to się stało, że dwa tygodnie przed zapytaniem mnie, ile jest miejsca w mojej szkole, oglądali ją sobie przez cały dzień.

I co to były za oględziny.

Krótko mówiąc, drogi Watsonie, jesteśmy tutaj, by rzucić nieco światła na tę coraz ciekawszą zagadkę.

Mundy jednak szybko się przekonuje, że przybył za późno. Trupa już spakowała kostiumy i rekwizyty i pojechała na kolejne występy.

Do Wiednia. Albo do Rijadu.

Nie tylko wśród szpiegów mówi się: „Pokaż mi, co wyrzucasz, a powiem ci, kim jesteś”.

W długiej sypialni Mundy znajduje w świetle księżycy sześć piętrowych łóżek, używanych i pozostawionych w nieładzie. Poduszek, pościeli, koców – brak. Proszę przywieźć śpiwór.

Wokół łóżek sporo rzeczy – takich, jakie bogaci zostawiają służącej: może ci się przyda, kochanie, a jak nie, to komuś daj.

Zużyty do połowy modny męski dezodorant. Któregoś z mormonów? Kurtka? Garnitur? Marynarka?

Sprej do włosów. Richarda?

Para włoskich tenisówek, które jednak nie okazały się takie wygodne. Rajstopy – ojej, oczko! W przepastnej szafie na wieszaku jedwabna bluzka z wysokim kołnierzykiem. Aseptycznej blondynki? To część jej munduru?

Trzy czwarte litra dobrej whisky. Dimitrija? Żeby podrasować sojowe mleko?

Sześciopak becka, w dwóch puszkach jeszcze jest piwo. Częściowo zużyty karton marlboro lights. Pełna niedopałków popielniczka. Angelo? Sven? Richard? A wydawałoby się, że cała trójka przysięgała na zdrowie swych mamus, że nigdy nie tkną ani nikotyny, ani alkoholu.

A może superszpieg Ted Mundy jak zwykle robi z igły widły? Może po prostu mieszka tu już ktoś inny, a Mundy wróży z niewłaściwych fusów?

Wędruje po omacku wzdłuż korytarza, schodzi po paru stopniach i miękko

ląduje na dywanie. Okien brak. Obmacuje ściany wokół siebie, natrafia na wyłącznik światła. Miliarderzy filantropi nie myślą o takich drobiazgach jak wyłączenie bezpieczników przed wyjazdem. Mundy stoi przed drzwiami pokoiku Richarda. Wchodzi do środka z irracjonalnym nastawieniem, że zostanie tam Richarda z jego nowiutką fryzurą, siedzącego za nowiutkim biurkiem w nowiutkiej marynarce i nowiutkim krawacie. Ale po Richardzie zostało tylko biurko.

Mundy otwiera szuflady – puste. Opada na kolana na gruby dywan i unosi krawędź. Nieobrębiona, niczym nieprzymocowana do podłogi – po prostu gruby, drogi dywan poprzącinany byle jak, by zasłonić kabel.

Jaki kabel? Przecież Richard nie miał ani telefonu, ani komputera. Siedział przy pustym biurku. Teraz końce kabli owinięte są taśmą izolacyjną. Doprowadzają Mundy'ego do malowanej komody pod oknem. Odsuwa ją i widzi, że kable biegną po ścianie na parapet, a stamtąd na zewnątrz przez świeżo wywierconą dziurę we framudze okna.

Majsterkowicz Mundy jest oburzony taką partaniną. Okno jest piękne, stare, tę dziurę to chyba kulą przestrelili, dranie. Otwiera okno i wychyla się na zewnątrz. Kabel biegnie jakieś dwa metry w dół ściany i wchodzi z powrotem do domu. Aha, tam. No i oczywiście nikomu nie chciało się przyczepić go do muru. Typowe. Niech sobie dynda, póki następny porywisty fen nie wywieje go w las.

Mundy wraca na schody, idzie w dół i kieruje się do salonu, w którym filantrop i jego uczniowie przyjmowali nowego brata. Zatrzymuje się w miejscu, z którego wtedy zobaczył idącego ku niemu Dimitrija. Dimitrij wszedł tymi drzwiami i przez nie wyszedł.

Mundy przechodzi na ukos przez salę, szybko otwiera drzwi i znajduje za nimi nie luksusowy gabinet czy przejście do osobistych apartamentów miliardera, a dobudowaną do północnej ściany domu kuchnię, część ganku, na pewno tego samego, na którym Dimitrij kazał Saszy rozpoznawać dzisiejsze gwiazdozbiory.

Kable z góry wchodzą do środka przez okno. To jeszcze gorsza partanina, bo tym razem nawet nie chciało im się strzelać we framugę, tylko wybili szybę. Na tym końcu kable też są zaizolowane.

Czyli to tu skrył się Dimitrij po wygłoszeniu swego wspaniałego monologu. To tu wstrzymywał dech i czekał, aż wyjdę z teatru. A może zabawiał się jakimś sprytnym urządzeniem łączącym go z Richardem na górze? Ale po co,

na miłość boską? Takie skromne druty w naszym nowoczesnym świecie? „Bo lepszy chamski drut, ale nie na podsłuchu, niż żeby ktoś ci się podpiął w jakieś nowoczesne ustrojstwo”, odpowiadają za Mundy’ego mędrzy z Edynburga.

Mundy ma poczucie, że nadużywa gościnności gospodarzy, więc wraca na piętro i schodzi po dachu na ziemię. Przypomina sobie tabliczkę o złych psach i zastanawia się, dlaczego do tej pory nie zrobili mu krzywdy. Ani jemu, ani tym sarnom. Może pieski też uciekły w ślad za filantropami? W przejściu w siatce zatrzymuje się i bez większej nadziei usiłuje namówić sarny, by poszły za nim, ale one spuszczają głowy i patrzą na niego z wyrzutem. Może jak sobie pójdę...

Po niebie wloką się pomarańczowe pasemka chmur. Mundy pędzi w dół ścieżką, licząc, że wysiłek fizyczny może go oświeci. Z każdym krokiem głosy w jego głowie mówią coraz bardziej stanowczo: przerwać akcję, odesłać pieniądze, powiedzieć „nie” – tylko komu? Musi pogadać z Saszą. No tak, ale nie ma do niego dojścia: „Muszę natychmiast lecieć do Paryża... Jestem osobiście odpowiedzialny za zawartość naszych bibliotek...”. Pewnie, pewnie, tylko jaki jest twój numer telefonu? Bo nie zapytałem...

– Granica – mówi na głos i czuje szurze zęby na swym żołądku.

W poprzek ścieżki dwadzieścia kroków przed nim stoi szereg pograniczników czy też policjantów. Dolicza się dziewięciu. Mają na sobie szaroniebieskie spodnie i czarne kurtki z czerwonym obszyciem. Mundy domyśla się, że to Austriacy, nie Niemcy, bo w Niemczech nigdy nie widział takich mundurów. Mierzą do niego z karabinów. Za pierwszym umundurowanym szeregiem widać ludzi w cywilu.

Niektóre z karabinów wycelowane są w jego głowę, inne w przepoń, ale i jedne, i drugie znajdują się w pewnych rękach snajperów. Głos przez megafon nakazuje mu po niemiecku, by natychmiast położył dłonie na głowie. Mundy wykonuje rozkaz i wtedy zauważa, że tamtych jest więcej, bo i z lewej, i z prawej stoi ich jeszcze po dziesięciu. I że to profesjonaliści, ponieważ rozstawili się tak, by sobie nawzajem nie zrobić krzywdy, kiedy zaczną do niego strzelać. Gość z megafonem jest wśród tych na dole, a jego głos odbija się po dolinie niez mordowanym rykoszetem echa. Ma silny akcent bawarski. Albo austriacki.

– Zdejmij ręce z głowy i podnieś je do góry. Jak najwyżej.

Robi, co mu każą.

– Potrząśnij rękami.

Potrząsa.

– Zdejmij zegarek. Upuść go na ziemię. Podwiń rękawy. Jeszcze. Aż do ramion.

Zakasuje rękawy tak wysoko, jak się tylko da.

– Nie opuszczaj rąk. Odwróć się. Jeszcze. Dość. Co masz w kieszeniach?

– Paszport i trochę pieniędzy.

– Coś jeszcze?

– Nie.

– Broń?

– Nie.

– Bombę?

– Nie.

– Na pewno?

– Na sto procent.

Mundy wreszcie go dostrzega: to ten w samym środku dziewięcioosobowego szeregu. Szpiczasta czapka, buty trekkingowe. Nie ma karabinu, tylko lornetkę. Za każdym razem, gdy coś mówi, musi opuścić lornetkę, a podnieść megafon.

– Zanim zdejmiesz ten bezrękawnik, coś ci powiem. Gotowy?

– Tak.

– Jeżeli dotkniesz kieszeni albo wsadzisz rękę pod bezrękawnik, zabijemy cię. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– Zdejmuj, ale tylko jedną ręką. Powoli. Powoli. Żadnych szybkich ruchów, bo cię zastrzelimy. To nie problem. Zabijamy ludzi. Nie mamy nic przeciwko temu. A może ty też zabijasz, co?

Prawą rękę trzymając sztywno w górze, Mundy ostrożnie sięga lewą do zamka błyskawicznego i równie ostrożnie rozpina go aż do dołu.

– W porządku. Zdejmuj.

Wysuwa się z bezrękawnika i opuszcza go na ziemię.

– Ręce z powrotem na głowę. Bardzo ładnie. Teraz pięć wielkich kroków w lewo.

Mundy robi pięć kroków i kątem prawego oka widzi, że do jego bezrękawnika podchodzi dzielny młody policjant i na wszystkie strony grzebie lufą w materiale.

– W porządku, panie kapitanie – raportuje.

Dając kolejny dowód szaleńczej odwagi, chłopak zarzuca karabin na ramię, chwytając bezręcznik i zanoszą go w dół swemu dowódcy, przed którym rzuca go na ziemię jak upolowane zwierzę.

– Zdejmij koszulę.

Mundy zdejmują. Nie nosi podkoszulków. Zara mówi, że jest za chudy, Mustafa – że za gruby.

– Zdejmij lewy but. Ale powoli!

Zdejmują lewy but. Powoli.

– Prawy.

Pochyliła się i zdejmują prawy but. Też powoli.

– Teraz skarpetki. Ślicznie. A teraz pięć kroków w prawo.

Wraca na swe poprzednie miejsce. Nie wiedział, że przedtem stanął na ostach.

– Rozepnij pasek. Powoli. Połóż go na ziemię. Ściągaj resztę. Tak, gacie też. A teraz ręce z powrotem na głowę. Imię, nazwisko?

– Mundy. Edward Arthur. Obywatel brytyjski.

– Urodzony?

W dłoni, w której nie trzyma już lornetki, kapitan ma paszport Mundy'ego i sprawdza jego odpowiedzi. Paszport zdążył sobie wyciągnąć z którejś z kieszeni bezręcznika.

– Piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego.

– Gdzie?

– W Lahaurze. W Pakistanie.

– Dlaczego masz paszport brytyjski, jeżeli jesteś z Pakistanu?

To zbyt skomplikowane pytanie dla bezbronnego nagusa. Kiedy matka zaczęła rodzić, słońce było jeszcze indyjskie. Kiedy umarła, było już pakistańskie, ale ty tego nie zrozumiesz.

– Ojciec był Anglikiem – odpowiada. Mógłby dodać, że matka Irlandką, ale dochodzi do wniosku, że to niepotrzebne.

Teraz pod górę wspina się ku niemu stary wiarus, lecz nie saltuje, tylko wkłada gumowe rękawice. Towarzyszy mu dzielny młody policjant, który przynosi Mundy'emu ubranie na zmianę: coś w rodzaju jaskrawoczerwonej piżamy.

– Pochyl się, synu – mówi cicho wiarus. – Będziesz się stawiał, to nas wszystkich rozwalą, więc bądź taki miły...

Ostatni raz robiono mi coś takiego na samym początku mojej służby ojczyźnie. Kate uznała, że mam raka prostaty, bo sikałem za często. Oczywiście wyłącznie z nerwów. Stary wiarus wsadza mu palce do tyłka tak głęboko, że Mundy'emu chce się kaszleć, ale najwyraźniej nic nie znajduje, woła bowiem do kapitana: „Czysty!”. Czerwona piżama jest bez guzików, więc Mundy musi włożyć ją przez głowę. Spodnie są za szerokie, choć ściągnął troczki najmocniej, jak się dało.

Dwaj mężczyźni chwytają go za ręce i krępują mu je na plecach. Na nogach zatrzasują się kajdany, między zęby dostaje gumowy knebel, na oczy – przyciemniane gogle. Chce krzyczeć, ale tylko bulgocze. Chciałby się wywrócić, ale też nie może, bo kilka par rąk niesie go poziomo w dół zbocza. W ustach czuje nagle spaliny samochodowe, gdy jeszcze więcej rąk wrzuca go głową naprzód na drgającą stalową podłogę między dwa rzędy czubków policyjnych butów. Znowu znalazł się w Stalowej Trumnie, tylko że tym razem nie czeka na niego Sasza z kluczem francuskim. Podłoga rusza w przód, nogi Mundy'ego uderzają o tylne drzwi. Za ten wybryk otrzymuje oślepiającego – mimo ciemności – kopniaka w lewe oko. A, czyli nie jest Mundy, tylko Saszą wiezionym w klatce do profesora. A potem znowu Mundy wiezionym policyjną furgonetką na komisariat, żeby mógł znowu złożyć dobrowolne zeznania.

Furgonetka zatrzymuje się gwałtownie. Mundy podskakuje po żelaznej drabince pod obracającymi się śmigłami niewidzialnego helikoptera. Znowu leży rozplaszczony na podłodze, ale teraz zostaje do niej przykuty. Helikopter startuje. Mundy'emu robi się niedobrze. Helikopter leci nie wiadomo jak długo. Wreszcie ląduje, Mundy'ego ściągają w dół, prowadzą po betonowej nawierzchni, potem przez ileś tam zamykających się z metalicznym trzaskiem drzwi. Znowu go przykuwają, tym razem do wielkiego krzesła stojącego na samym środku sali z szarej cegły, bez okien, ze stalowymi drzwiami, i dopiero po chwili Mundy uświadamia sobie, że widzi.

A potem – jak zorientował się trochę później, po kilku zaledwie godzinach i kilku stuleciach – znowu jest wolnym człowiekiem. Ma na sobie własne ubranie, siedzi w fotelu z kwiecistą tapicerką, w gabinecie przyjemnie urządzonego meblami z palisandru, ozdobionym nagrodami pułkowymi i zdjęciami bohaterskich pilotów machających z otwartych kabin swych myśliwców, ogrzewanym wesołym płomieniem gazowej imitacji kominka. Jedną ręką Mundy przytrzymuje przy oku ciepły okład, w drugiej ma wielki

kieliszek martini. A za biurkiem siedzi jego stary przyjaciel i powiernik Orville J. Rourke – „mów mi Jay” – z Centralnej Agencji Wywiadowczej z siedzibą w Langley w stanie Wirginia – „niech mnie diabli, Ted, nie postarzałeś się ani o dzień od czasów, gdy tyle lat temu łąziliśmy jak wariaci po tym twoim ciemnym Londynie”.

Mundy wysila pamięć i dochodzi do wniosku, że jego powrót do życia odbył się w trzech etapach:

Najpierw etap Mundy’ego Pojmanego Terrorysty, przykutego do krzesła i groźnie wypytywanego przez dwóch młodych Amerykanów i amerykańską matronę. Matrona co chwila przemawiała do niego po arabsku. Może liczyła, że Mundy się zdradzi.

Potem był Mundy Pacjent. Badał go młody lekarz, też amerykański. Sądząc po zachowaniu, lekarz wojskowy. Po doktorze pojawił się ktoś w rodzaju adiutanta. Miał na wieszaku ubranie Mundy’ego.

– Pan doktor chciałby jeszcze raz przyjrzeć się temu pańskiemu oku, jeśli można. – Adiutant też zwracał się już do Mundy’ego per „pan”. – Proszę pana, po drugiej stronie korytarza jest łazienka. Znajdzie pan tam maszynkę do golenia – dodał, wieszając odczyszczzone ubranie Mundy’ego na kłamce otwartej celi.

Lekarz poinformował Mundy’ego, że oko będzie w porządku. Byle go przez parę dni nie forsować, a jak będzie bolało, przyłożyć kompres. Mundy, wieczny żartowniś, odpowiedział, że zwykle i tak nosi na nim piracką opaskę.

I wreszcie etap ostatni, Mundy Wielkoduszny, ten, co rozprawia z innymi w tym samym pomieszczeniu, w którym teraz siedzi, częstowany gorącą kawą i ciasteczkami, odmawiający zapalenia camela i przyjmujący przeprosiny kompletnie nieznanym ludzi. Ależ skąd, nie gniewa się, przebacza i puszcza w niepamięć. Zażenowani chłopcy i dziewczęta, Hank, Jeff, Nan czy Art, zapewniają go, że szef już jedzie z Berlina, a tymczasem, „o Jezu, proszę pana, cóż mam powiedzieć, tak nam przykro, nie mieliśmy pojęcia, że to pan”. Art mówi nawet, że jest taki dumny, że ma zaszczyt poznać pana Mundy’ego, przecież uczono o nim na kursie. Mundy zakłada, że przedmiotem wykładów były jego osiągnięcia szpiegowskie z czasów zimnej wojny, a nie glottodydaktyczne czy przewodnickie. Tylko w jaki sposób pocziwemu Artowi udało się powiązać anonimowego oficera prowadzącego podwójnego agenta Stasi z zajęć w szkółce CIA z nazwiskiem Mundy’ego? A, pewnie

Rourke tak się wściekł, że mu to powiedział, by go dobić. „Bo pan Rourke okropnie jest na nas zły, proszę pana. Nawet prosił, by panu to powiedzieć, nim on się zjawi”.

– Jedyne, co można rzec na wytłumaczenie tych smarkaczy, to że po prostu wykonywali rozkazy – podsumowuje godzinę później całą sprawę Rourke i kiwa głową ze smutkiem.

Mundy mówi: „Wiem, wiem”. I myśli, że Rourke też nic się nie zmienił. A szkoda. W ludziach zawsze widzimy to, co nam się wydaje, że już o nich wiemy. Mundy widzi więc przed sobą tego samego co dawniej wesołego, przystojnego, przemawiającego leniwym głosem sukinsyna z Bostonu, ubranego w taki sam szyty w Dublinie garnitur, w takie same buty, faceta o tym samym co dawniej swobodnym irlandzkim wdzięku.

– Tak żałowałem, że nie mogłem się wtedy z tobą pożegnać – wspomina Rourke, jakby miał się Mundy’emu jeszcze z czegoś zwierzyć. – Zrobiła się jakaś chryja i musiałem tak szybko wiać, że nawet nie zdążyłem zabrać szczoteczki do zębów. No, nie pożegnałem się, ale za to możemy się teraz przywitać. Dobrze i to. Szczególnie w tych okolicznościach.

Mundy jest podobnego zdania. Pociąga kolejny łyk martini.

– Powiedzieliśmy naszym austriackim łącznikom, że interesuje nas pewien dom, że podejrzewamy tam jakąś działalność terrorystyczną i że jak zacznie się tam dziać coś podejrzanego, to chcemy od razu o tym wiedzieć. No cóż, taki nasz los w dzisiejszych czasach. Trzeba się z tym pogodzić, że sojusznicy mogą czasem przesadzić i przestają się oglądać na prawa człowieka.

A ty, konstatuje w myśli Mundy, jak dawniej udajesz, jaki to z ciebie wolnomyśliciel.

– A jak ci się podoba wojna? – pyta Rourke.

– Bardzo mi się nie podoba – odpowiada buńczucznie Mundy, odbijając piłeczkę z taką siłą, na jaką może się zdobyć w swym obecnym stanie nieważkości.

– Mnie też nie. Masz moje słowo, że agencja do niczego nie zachęcała tych pieprzonych fanatyków z Waszyngtonu.

Mundy mówi, że wierzy.

– Ted, możemy przestać grać w gumy?

– A gramy?

– Może byś tak z łaski swojej wytłumaczył mi, co tam robiłeś? I to o czwartej nad ranem, na miłość boską? Dlaczego przeszukiwałeś pusty dom,

którym ostatnio bardzo się interesujemy? Bo wiesz co? Przyznam ci się, że jak tu leciałem, to chwilami zastanawiałem się, że może całkiem słusznie cię przyskrzyniliśmy.

13

Mundy zdążył już przemyśleć, jak odpowie na pytania, i niechętnie doszedł do wniosku, że musi powiedzieć Rourke'owi prawdę. Wziął pod uwagę punkt widzenia i Saszy, i swój. Rozważył argumenty Saszy za poufnością sprawy i umowę z Richardem na sumę tysiąca dolarów, ale uznał, że w tych okolicznościach nie może się tym przejmować. Pewną powściągliwość mógłby ewentualnie zachować wyłącznie w odniesieniu do samej wizji Dimitrija i wojny wypowiedzianej przez niego zgniliźnie płynącej z Ameryki i wielkiemu biznesowi. Ale co do całej reszty z rozkoszą powie wszystko jak na spowiedzi.

Bo w końcu może chyba trochę się pozwierać staremu kumplowi?

Rourke wysłuchuje tych zwierzeń zupełnie tak jak dawniej na Eaton Place – z taką akurat mieszaniną tolerancji i ironii, że aż przyjemnie mu opowiadać. Gdy Mundy kończy, Rourke długo siedzi bez ruchu z podbródkiem wspartym na dłoni, patrzy przed siebie i od czasu do czasu kiwa lekko głową albo wydyma wargi. Wreszcie wstaje z fotela i jak dyrektor szkoły przed wezwanym na dywanik uczniem zaczyna krążyć przed Mundym po pokoju, z rękami wetkniętymi w kieszenie gabardynowych spodni.

– Ted, czy ty w ogóle masz pojęcie, w co Sasza się pakował przez te ostatnie dziesięć lat? – pyta, tak mocno akcentując słowo „pojęcie”, że Mundy od razu ma najgorsze przeczucia. – Z kim się związał, gdzie siedział?

– Nie bardzo.

– Nie mówił ci, gdzie bywał? Z kim grał?

– Jeszcze nie mieliśmy kiedy dłużej pogadać. Trochę mi pisał, kiedy siedział na puszczy. Ale nic konkretnego.

– Na puszczy? To jego słowa?

– Nie, moje.

– A tam, w tej melinie nad jeziorem, mówił ci tylko o tym, jaki Dimitrij jest wspaniały?

– No. Był pod dużym wrażeniem.

– A po tych dziesięciu latach nie zauważyłeś w nim jakiejś zmiany?

Wyraźnej zmiany? Że już nie jest taki sam jak dawniej, że jakby odsunął się od ciebie?

– Wydawało mi się, że taki sam z niego dziwak jak przedtem – mówi Mundy zakłopotany, bo coraz mniej podoba mu się kierunek, w którym toczy się ta rozmowa.

– Czy Sasza nie mówił ci na przykład, jakie ma stanowisko względem jedenastego września?

– Uważa, że to zbrodnia.

– I nie dodaje, że „doиграли się” albo coś w tym guście?

– Nic takiego. Aż się zdziwiłem.

– Zdziwiłeś się?

– No, zwykle ciągle wygadywał na Amerykę, a i ostatnio pewnie się napatrzył różnych rzeczy tam, gdzie był. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby powiedział: „I dobrze im tak, zasrańcom”.

– Ale nie powiedział.

– Wręcz przeciwnie.

– Pisał ci?

– No tak.

– Specjalnie napisał list?

– Jeden z całej serii.

– Z kiedy?

– Parę dni po ataku. Może nawet dzień po jedenastym września. Nie zwróciłem uwagi.

– Skąd?

– Chyba ze Sri Lanki. Zdaje się, że wykladał wtedy w Kandy.

– A ty uznałeś, że ten list jest przekonujący? Nie miałeś wrażenia, że... że jest jakby...

– Jakby co?

Rourke skomplikowanie wzrusza ramionami.

– Że może został napisany na wypadek, gdyby jego kumpel Ted zechciał przekazać list komuś z angielskiego wywiadu?

– Nie, nie miałem takiego wrażenia – odpowiada Mundy ze złością, zwracając się ku plecóm Rourke’a, i czeka, by ten się odwrócił, lecz na próżno.

– A kiedy dawno temu siedzieliście razem w Berlinie, to czy on miał jakieś ustalone poglądy na działanie bezpośrednie?

– Był przeciw. Całkowicie i od zawsze.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– No pewnie. Mówił, że przemoc jest na rękę reakcjonistom. Że to samobójstwo. W kółko to powtarzał, na sto różnych sposobów.

– A, czyli powód był praktyczny. Przemoc jest nieskuteczna, róbmy coś, co jest skuteczniejsze. Ale gdyby była skuteczna, toby zmienił zdanie?

– Wszystko jedno, czy ze względów praktycznych, czy moralnych. To było dla niego jak prawda wiary. Gdyby wierzył, że bomby są usprawiedliwione, pewnie by je podkładał. Taki już jest. Nie wierzył, że są, więc przez tych, którzy je podkładali, postanowił przejść na drugą stronę muru. I zaraz się przekonał, że popełnił błąd swego życia.

Mundy zdaje sobie sprawę, że mówi trochę za długo, ale insynuacje Rourke'a włączają w jego głowie dzwonki alarmowe, które usiłuje zakrzyczeć.

– Więc gdybym ci powiedział, że Sasza przeskoczył przez jeszcze jeden mur, to bardzo byś się zdziwił? – pyta niedbale Rourke.

– Zależy, o jaki mur chodzi.

– Wcale nie zależy. Doskonale wiesz, jaki to mur, Mundy. – Jeszcze bardziej niedbale. – Mur, za którym jest już bardzo, ale to bardzo źle. Za którym taki zakompleksiony kaleka musi, po prostu musi grać pierwsze skrzypce. – Rourke rozkłada ręce i zwraca się ku gazowym płomieniom imitacji kominka. – „Jestem Sasza. Jestem fundamentalista. Weźcie mnie! Przydam się wam! Do zawracania rzek, do przenoszenia gór! Ja siadam u stóp wielkich filozofów i wprowadzam w czyn ich słowa”. A wiesz, kim jest Dimitrij, kiedy nie jest Dimitrijem?

Mundy tak tarmosi palcami swoją twarz, że nie wiadomo, jaką ma minę.

– Nie. Nie wiem. Kim?

Rourke tymczasem podszedł tak blisko, że może położyć dłonie na oparciu fotela Mundy'ego i spojrzeć mu z góry prosto w oczy, nim powierzy mu tajemnicę państwową najwyższej wagi.

– Ted, ja ci tego nie mówię oficjalnie. Ten samolot, którym tu przyleciałem, przyleciał beze mnie. Ja nawet nie ruszyłem się z za mojego biurka w Berlinie. I mam na to sześciu świadków gotowych zeznawać pod przysięgą. Dimitrij powiedział ci, że jest mistrzem życia w podziemiu?

– Tak.

– Wolałbym śledzić samego Lucyfera. Nie używa telefonów, komórkowych

nawet nie tyka. Ani komputerów, e-maila, elektronicznych maszyn do pisania, zwykłej poczty. – Mundy natychmiast przypomina sobie o kablach w górskim domu. – Przejedzie osiem tysięcy kilometrów, żeby szepnąć coś do ucha jakiemuś facetowi na środku Sahary. Jak przysyła ci widokówkę, to trzeba patrzeć na widoczek, bo w nim jest wiadomość, a nie w tekście. Wszystko mu jedno, czy żyje w luksusie, czy w gnoju. Nigdy nie śpi dwie noce z rzędu w tym samym łóżku. Wynajmie pod cudzym nazwiskiem dom, na przykład w Wiedniu, Paryżu, Toskanii albo gdzieś w górach, wprowadzi się, nazwozi gratów, jakby miał tam mieszkać do końca życia, a następnego dnia wieczorem już siedzi w jakiejś zasranej jaskini w Turcji.

– A po co on to wszystko robi?

– Bo lubi detonować bomby. Pracował dla hiszpańskich anarchistów przeciwko Franco, dla Basków przeciw Hiszpanom i dla Czerwonych Brygad przeciw włoskim komunistom. Dla Tupamaros, dla pięćdziesięciu siedmiu różnych grupiek palestyńskich i dla obu stron w Irlandii. Mam ci powiedzieć, jakie jest jego obecne przesłanie do wiernych w starej Europie? Spodoba ci się.

Mundy czeka i zauważa, że Rourke czerpie osobistą przyjemność z przeciwstawiania własnej elegancji brudom życia. Im wstrętniejsze jest to, o czym mówi, tym dworniej się zachowuje. Jak na potwierdzenie wraca na swój fotel, wyciąga nogi i powoli sączy martini.

– „Ludzie – mówi Dimitrij – czas, żeby stara Europa poszła na całego. A może by tak dla odmiany posolidaryzować się trochę z tymi, którzy dokonali najbardziej sensacyjnego wyczynu antykapitalistycznego od wynalezienia prochu? A może by tak wyciągnąć przyjazną dłoń do naszych towarzyszy i towarzyszek broni na całym świecie, a nie wybrzydzać na to, że nie lubią demokracji? Bo czy nie jednoczy nas nienawiść do wspólnego wroga? Chłopcy z Al-Kaidy zrealizowali przecież prawie wszystko, co wymarzył sobie Michaił Bakunin. No bo kto, jak nie antyfaszyści, powinien dopuścić większą różnorodność w swych szeregach?”

Odstawia kieliszek, napotyka wzrok Mundy’ego, uśmiecha się.

– Taki jest ten twój Dimitrij, Ted. Oczywiście kiedy jest sobą, a nie Dimitrijem. Taki jest najnowszy bohater twojego Saszy. A teraz przejdźmy do następnego zagadnienia, Ted: kim w tym całym równaniu jest Ted Mundy?

– Doskonale wiesz kim – wybucha Mundy. – Całymi miesiącami wachałeś mi bieliznę. Niech cię diabli!

– Daj spokój, Ted. To było wtedy. Teraz strzelamy ostrą amunicją. Jesteś z nami czy przeciwko nam?

Teraz z kolei Mundy łązi po pokoju i usiłuje się uspokoić.

– Nadal nie rozumiem, o co chodzi Dimitrijowi – mówi.

– Ja też nie, Ted. Wiemy wszystko i nic. Ma kontakty z ludźmi, którzy mają kontakty z grupami anarchistów w całej Europie. Bardzo liczne kontakty. Flirtuje z głównymi europejskimi profesorami studiów antyamerykańskich w Europie. Sieje wiatr, by przygwoździć Wielkie Kłamstwo. Ma własny zespół, który ubiera się tak jak wróg. Ma takie powiedzenie: „Faszysta dobrze się zastanowi, zanim przestrzeli dobry garnitur”. Opowiedział ci ten swój numer?

– Nie.

Rourke rozsiada się wygodnie i pozwala sobie na dygresję:

– To takie zabawne. Raz wdał się w wymianę ognia z grecką policją. Miał na sobie garnitur za siedemset dolarów. Skończyła mu się amunicja, stał na pustym skwerku w samym środku Aten z pustym magazynkiem w ręce i patrzył prosto w wylot lufy snajpera na dachu, który już go miał na celowniku. Pan Dimitrij włożył kapelusz na głowę i odszedł, zanim snajper znalazł odwagę, by przedziurawić garnitur za siedemset dolarów. Na pewno ci tego nie opowiadał?

– A skąd on ma tyle forsy? – pyta zaciekawiony Mundy, wpatrując się w białą szybę okna.

– Zewsząd. Dostaje ją w małych kawałkach, za każdym razem inną sumę. Zewsząd, jak mówię. Tak właśnie gra nam na nerwach: tym, że tej forsy jest za dużo. Teraz z Bliskiego Wschodu, ale poprzednio z Ameryki Południowej. Od kogo? Za co? I na co, do ciężkiej cholery? Żeby nagle wszyscy na całym świecie zaczęli mówić prawdę? Przecież to bajeczki dla grzecznych dzieci. Starzeje się i zaczyna ściągać długi wdzięczności, a ma ich trochę po całym świecie. Po co? Wymyślił sobie wielki finał? Podejrzewamy, że chce odejść z hukiem.

– Z jakim hukiem?

– No z jakim? Heidelberg to miasto, w którym Ameryka romansuje z Niemcami. Śliczne miasto, którego specjalnie nie bombardowaliśmy w czterdziestym piątym, żeby po wojnie Ameryka miała gdzie umieścić swoją kwaterę główną. Mark Twain dostał fioła na punkcie Heidelbergu,

w Heidelbergu Ameryka rozpoczęła nowy, pohitlerowski i antyradziecki okres swej egzystencji. W Heidelbergu jest Mark Twain Village i Patrick Henry Village, w których mieszka Bóg wie ile tysięcy Amerykanów. Jest sztab armii amerykańskiej w Europie i parę innych centrów dowodzenia. W siedemdziesiątym drugim ci z Baader-Meinhof zabili tam paru amerykańskich żołnierzy i rozwalili auto służbowe jednego amerykańskiego generała z NATO. Generała o mały włos też nie rozwalili. Jak ktoś chce wbić klin między Amerykę a Niemcy, to Heidelberg pasuje jak ulał. Lubisz to miasto?

– Uwielbiam.

– To może chciałbyś nam pomóc je ocalić?

Mundy'emu wreszcie udaje się uporządkować swój sąd o Rourke'u. W Amerykaninie jest coś głęboko niewinnego, coś denerwująco dziewiczego. Zmarszczki na twarzy, które Mundy błędnie wziął za dowód doświadczenia życiowego, układają się w rysy rozpieszczonego dziecka, którego nigdy nie pobiła niczyja policja, które nie musiało przedzierać się przez zieloną granicę, którego nie zamknięto w Białym Hotelu ani nie przykuto łańcuchem do podłogi helikoptera. Pod tym względem Rourke jest dla Mundy'ego ucieleśnieniem najgorszej cechy obu naszych zachodnich przywódców i ich rzeczników: mistycznej wiary w siebie, która zgrabnie przechodzi do porządku dziennego nad ludzkim cierpieniem.

Budzi się z tych rozmyślań i słyszy, że Rourke właśnie go werbuje. Nie tak rozpaczliwie jak Sasza, dyskretnie jak Amory, nachalnie jak profesor czy mesjanistycznie jak Dimitrij. Ale dość skutecznie.

– Będziesz robił to, co dawniej, Ted. Przechodzisz do nas, a udajesz, że jesteś z nimi. Jesteś, czekasz, patrzysz, słuchasz. Jesteś miły dla Saszy, Dimitrija i kto tam jeszcze się objawi. Dopóki się nie dowiesz, co jest grane.

– Może Sasza nie wie.

– Wie, Ted, wie. Nie zapominaj, że Sasza to zdrajca.

– No, nas przecież nie zdradzał...

– Ale swoich zdradzał. Co, masz na to jakieś ładniejsze określenie? A jego ojciec? Zdrajca do kwadratu. Od paru lat Sasza jest dla nas bardzo ważny. Takich ludzi nie traci się z oczu. Nawet jeżeli idą w puszcę szukać nowego boga, który rozbudzi w nich na nowo młodzieńcze ideały. – Urywa, by dać Mundy'emu okazję nie zgodzić się z tym, ale Mundy milczy. – A jak swoje odczekasz, to będziesz czekał dalej. Bo tak się gra w te klocki: obserwuje się

wszystko od początku do końca, aż do tej cudownej chwili, gdy agent specjalny Ted Mundy wskakuje na stół, pokazuje odznakę i mówi: „No, chłopcy, zabawiliśmy się, ale teraz to koniec. Rzućcie broń, rączki do góry, jesteście otoczeni”. Ted, widzę, że masz jakieś pytanie.

– Jakie mam gwarancje?

Rourke uśmiecha się najpiękniej, jak potrafi.

– Jeżeli wszystko pójdzie po naszej myśli, to tak: program ochrony świadka dla ciebie i twoich bliskich, nowe życie, miliony gotówką. Aha, no i budynek zostaje przy tobie. Chcesz pogadać o liczbach?

– Wierzę ci na słowo.

– Masz szansę uratować komuś życie. Może wielu osobom. Chcesz to przemyśleć? Policję do dziesięciu.

– Mam jakieś inne wyjście?

– Nie bardzo widzę, Ted. A staram się, wysilam mózg, zaglądam sobie w serce. Mógłbyś pójść na policję. Może oni ci pomogą. W końcu wiesz już, jak pracują. Jesteś cudzoziemcem, notowanym w Berlinie byłym anarchistą, żyjesz z byłą turecką dziwką. Tak, na pewno chętnie ci pomogą.

Czy Mundy ma coś do powiedzenia? Chyba nie.

– Sądzę, że policja niemiecka przekazałaby cię natychmiast niemieckiemu wywiadowi, a oni nam. Tak że chyba nie zaznasz spokoju od nikogo. Nie po to jesteśmy, żeby przepuszczać taką świetną okazję. – Nastawia ucha. – Czy ja słyszę „tak”? Czy widzę, że kiwasz głową?

Chyba tak. Ale Mundy kiwa głową – jeżeli kiwa – z pewnym roztargnieniem, bo jego umysł – albo to, co z niego zostało – jest w tej chwili daleko stąd. W Paryżu, przy Saszy i jego uczonych kolegach z komisji bibliotecznej. „Teddy, my dwaj jesteśmy nierozłączni. Po prostu to wiem. Cierpieliśmy razem... Dawno temu uratowałeś mnie, więc daj mi choć szansę, bym i ja mógł przysłużyć się twojemu zbawieniu”.

Mundy czeka.

Czeka i czeka, i czeka.

Nic nie dzieje się równocześnie. Czas oczekiwania jest czysto liniowy. Czeka w Linderhofie i w domu – na kopertę zaadresowaną tak dobrze mu znanym szpiczastym pismem Saszy, na jego zduszony głos w słuchawce.

Jedzie na dzień do Heidelbergu, trzy godziny pociągiem w obie strony, rozmawia ze sprzątaczkami, malarzami i dekoratorami, ale i tam nie czeka na

niego żadna wiadomość od Saszy. Gdy o północy wraca do domu, okazuje się, że Zara złamała swoje zasady i wyszła z pracy wcześniej niż zwykle.

Zara wie, że Mundy o czymś jej nie mówi. Zaczęła go podejrzewać już wtedy, gdy został w Heidelbergu na noc. Nie wierzy, że miał drugie spotkanie z bankierami. No i jeszcze to podbite oko.

Tłumaczy jej, że nastąpił na deskę, która podskoczyła i rąbnęła go w oko. To cena za mój wzrost. Nie patrzyłem pod nogi.

„Czego oni mogą od ciebie chcieć – pyta Zara – ci bankierzy, w których nie wierzę? Trzymaj się od nich z daleka. Są gorsi niż policja”.

Usiłuje trochę jej opowiedzieć, czego mogą od niego chcieć. „Są w porządku”, zapewnia. „Chcą mi pomóc. Wyłożą pieniądze, a jeżeli uda mi się postawić szkołę na nogi, to może nawet pozwolą mi nią kierować. Warto spróbować”.

Zara mówi po niemiecku tyle, ile trzeba, by sprzedawać kebaby; Mundy nie mówi po turecku. Mogą wymieniać się faktami albo wołać Mustafę na tłumacza, z czego chłopak jest zawsze bardzo dumny. Jednak o uczuciach mówią do siebie twarzą, oczami, ciałem. Zara natychmiast zauważa, że Mundy nie mówi jej wszystkiego. Mundy natychmiast zauważa w niej strach.

Następnego dnia rano odbywa w Linderhofie sesję w schowku ogrodnika, skąd zabiera tysiąc dolarów od Richarda. Po powrocie z pracy, jako tako panując nad desperacją, wpłaca pieniądze u dentysty. Wreszcie będzie można wstawić Zarze koronki. Ale gdy pokazuje jej pokwitowanie, ona najpierw się rozpromienia, ale zaraz z powrotem popada w przygnębienie. Za pośrednictwem Mustafy oskarża Mundy’ego o to, że pieniądze ukradł. Z trudem udaje mu się ją uspokoić. „Dostałem premię, Zaro. Brałem dodatkowe grupy pod czyjąś nieobecność. Taki napiwek”. Jak na łgarza z jego doświadczeniem nie spisuje się najlepiej; gdy potem przysuwa się do niej w łóżku, Zara ucieka przed nim na drugi koniec. „Już mnie nie kochasz”, mówi. Następnego dnia Mustafa o jedną chwilę za długo dokucza Mundy’emu jego nieistniejącą dziewczyną. Mundy wydziera się na niego i oczywiście zaraz jest mu okropnie wstyd. Za pokutę haruje potem jak wół przy Kopule na Skale i składa zamówienie na wymarzony komputer dla Mustafy.

Codziennie punktualnie o wpół do pierwszej – Mundy właśnie zaczyna przerwę obiadową w Linderhofie – Rourke dzwoni do swego nowego agenta na jego paskudny telefon komórkowy. Rourke robił, co mógł, by Mundy przyjął najnowszy model na wyposażeniu agencji, superbezpieczny i superwypasiony,

lecz Mundy nawet nie chciał o tym słyszeć. „Przykro mi, Jay, ale jestem antytalent techniczny”. Czytał przecież, że takie telefony komórkowe czasem wybuchają. Jak zwykle Rourke przechodzi od razu do rzeczy, bez żadnych tam: „Cześć, Ted” albo: „Tu Jay”.

– Michael z kolegami są gotowi – oznajmia. Michael to Sasza. – Za parę dni powinien się u ciebie zjawić.

Parę dni oznacza w tym wypadku cztery. Rourke mówi, żeby się zrelaksował, Michael natknął się na starych znajomych.

Piątego dnia Mundy mija biuro w Linderhofie i zauważa w swojej przegródce białą kopertę ze stemplem z Wiednia, zaadresowaną do siebie na komputerze. List też jest wydrukowany na zwykłym papierze, z datą, ale bez podpisu. Po angielsku.

Szanowny Panie!

Pierwszy transport książek zostanie dostarczony do Pańskiej szkoły w środę, 11 bm., między 17.00 a 19.00. Prosimy o odebranie ich na miejscu. Książki przywiezie nasz przedstawiciel.

Nie trzeba odpowiadać, bo nie można. Rourke mówi, żeby Mundy wyluzował, ten przedstawiciel to Michael.

Przyciskając czoło do szyby w oknie pierwszego piętra swej szkoły w Heidelbergu i wyglądając na alejkę prowadzącą do żelaznej bramy, Mundy odczuwa głęboką ulgę, że jego myśli i czyny zestrzeliły się wreszcie w jedno kolisko. Oto znajduje się w miejscu, w którym przebywał myślą od dwóch tygodni. „Michael już jedzie”, potwierdził przez telefon Rourke. A potem: „Pociąg ma lekkie opóźnienie, ale za pół godziny Michael będzie u ciebie”. Te komunikaty Rourke’a są drwiące i rozkazujące zarazem; doprowadzają Mundy’ego do szału. Ma na sobie starą skórzaną marynarkę i sztruksy – na pewno nie to, co miał na sobie, gdy go pojmano i uwięziono. Domyśla się, że go obserwują, lecz nie zamierza być chodzącym mikrofonem. Jest już prawie dwadzieścia po piątej. Ostatni robotnik wyszedł dziesięć minut temu. Ci z Antyuniwersytetu są świetnie zorganizowani.

Dni oczekiwania Mundy wypełniał sobie roztrząsaniem na wszystkie strony swego dylematu, nie doszedł jednak do żadnych wniosków. Jak by powiedział doktor Mandelbaum, zebrał informacje, ale co z wiedzą? Zbliżający się

przyjazd Saszy dopinguje go, by jeszcze raz zastanowić się nad wszystkimi możliwościami, oczywiście zaczynając od najprzyjemniejszej.

Rourke i CIA sami są w błędzie i wprowadzili w błąd mnie. Zgodnie z tradycją swej branży przekształcają własne fantazje w samospełniającą się przepowiednię. Dimitrij ma ciemną przeszłość, co zresztą sam przyznaje, lecz teraz się nawrócił. Jego intencje są czyste i takie właśnie, jak je przedstawia.

Argument za taką hipotezą: Rourke to przecież ten sam idiota, który kiedyś zmarnował cztery miesiące, usiłując udowodnić, że Sasza i Mundy pracują dla Kremla.

Argumenty przeciw: cały ten cyrk z urządzeniem domu w górach, niepewne źródło pieniędzy, nieprawdopodobieństwo Wielkiej Wizji Dimitrija i rzekomo propagowany przezeń sojusz między europejskimi anarchistami a fundamentalistami islamskimi.

Rourke i CIA mają rację, Dimitrij to czarny charakter, ale Sasza jest jego niewinną ofiarą.

Argument za: łatwowierność Saszy jest Mundy'emu znana. Sasza jest bystry i inteligentny, wystarczy jednak odwołać się do jego ideałów, by zatracił swój skądinąd dobrze rozwinięty krytycyzm i dostał amoku.

Argumenty przeciw: niestety, brak.

Dimitrij jest taki straszny, jak go Rourke maluje, a Sasza to jego świadomy wspólnik. I obaj z Dimitrijem robią mnie w balona, bo szkoła jest im potrzebna do ich niecznych celów.

Argumenty za: w ciągu trzynastu lat spędzonych na puszczy Sasza był naocznym świadkiem rozkradania ziemi i niszczenia rdzennych cywilizacji przez zachodni przemysł. Został osobiście poniżony i poznał bardzo dziwnych ludzi. W teorii to aż nadto, by – jak powiedział Rourke – Sasza przeskoczył jeszcze jeden mur.

Argument przeciw: Sasza nigdy mnie nie okłamał.

Mundy zmagął się z tymi za i przeciw jak z kłócącymi się dziećmi przez całe dwa tygodnie, wyprowadzając Mo, pomagając Mustafie przy makiecie Kopuły na Skale, usiłując uspić obawy Zary i oprowadzając swoich angielskojęzycznych turystów po pałacu Ludwika Szalonego. Zmaga się z nimi i teraz, gdy pozbawiona napisów firmowych biała furgonetka zajeżdża przed bramę szkoły.

Nikt nie wysiada. Mundy czeka, czekają też dwaj mężczyźni w furgonetce. Jeden z nich ma głowę w książce, drugi rozmawia przez komórkę.

Z Dimitrijem? Z Richardem? Czy z Rourkiem? Furgonetka ma wiedeńską rejestrację. Mundy zapamiętuje numer. „Czarodziej z ciebie, Ted”, przymilał się kiedyś do niego pewien instruktor z Edynburga. „Jak ty to robisz, że masz taką pamięć?” To proste, stary, mam pustą głowę. Bramę mija elegancki mercedes. Kobieta za kierownicą jest czarnoskóra, pasażer biały, na masce chorągiewka z herbem miasta, policjant na motocyklu z przodu. Gdzieś dalej przy tej ulicy mieszka jakaś miejska szycha. Za limuzyną pojawia się skromna taksówka – właściciel Werner Knau, jak głosi dumny napis na karoserii wykonany złożonym gotykiem. Otwierają się tylne drzwi, pojawia się lewa tenisówka Saszy, potem cała noga. Palce pianisty chwytają za framugę. Wreszcie gramoli się z samochodu sam Sasza i jego partyjna aktówka. Sasza się prostuje, ale w odróżnieniu od Mundy’ego nie musi grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu drobnych, bo ma portmonetkę, z której jedną dłonią wylicza należność na drugą. Dokładnie tak samo liczył monety w Berlinie, Weimarze, Pradze, Gdańsku i w każdym innym z miast, w których Wschód stykał się z Zachodem w duchu pokoju, współpracy i porozumienia. Sasza płaci taksówkarzowi i wymienia kilka słów z mężczyznami w furgonetce, rozkazująco wymachując ręką ku ceglastej alejce.

Mundy opuszcza posterunek przy oknie i rusza po schodach na spotkanie. Znowu zaczynamy od początku. Czy mam go ucałować jak Judasz? A może po niemiecku uścisnąć mu dłoń? Czy też zachować się jak prawdziwy Anglik, czyli ani jedno, ani drugie?

Otwiera drzwi frontowe. Sasza radośnie kusztyka po alejce. Wieczne słońce oświetla jedną stronę jego twarzy. Mundy stoi na schodku, Sasza staje o cały metr niżej. Rzuca aktówkę i rozchyła ramiona, bardziej jednak, by objąć cały świat niż Mundy’ego.

– Mój Boże, Teddy! – woła. – Ten dom, ten ogród! Fantazja! Teraz Heidelberg ma trzy powody do chwały: Marcina Lutra, Maksa Webera i Teda Mundy’ego! Zostajesz w Heidelbergu na noc? Możemy pogadać, pić, bawić się? Masz czas?

– A ty? – pyta Mundy.

– Jutro jadę do Hamburga na rozmowy z paroma ważnymi profesorami. Oczywiście z każdym z osobna. Ale dziś wieczorem jestem nieodpowiedzialnym studentem z Heidelbergu. Upiję się, wyzwę cię na pojedynek, będę śpiewał *Wer soll das bezahlen* i wyląduję w studenckiej pace. – Bierze Mundy’ego pod ramię i już zaczyna się na nim wspierać, gdy

nagle znów nurkuje w dół, by wyjąć coś z aktówki. – Masz. To dla ciebie. Prezent z dekadenceckiego Paryża. Nie tylko tobie dobrze dziś płacą. Masz lodówkę? Jest prąd? Zresztą jestem pewny, że mamy wszystko.

Wciska prezent w dłonie Mundy'ego: butelkę oryginalnego szampana, najlepszego, jaki jest. Nie czeka jednak na podziękowania, tylko przepycha się do holu, by dokonać pierwszej inspekcji ich wspólnej siedziby. A Mundy czuje do siebie wstręt za paskudne podejrzenia, które zasiał mu w głowie Rourke.

Najpierw muszą stanąć na środku holu, by Sasza mógł nasycić się widokiem stiuków, wspaniałych schodów i mahoniowej rotundy drzwi prowadzących do poszczególnych sal. A Mundy musi patrzeć, jak świetlik w stylu art nouveau tworzy na przyjacielu barwne romby i robi z niego pierrota – ale nie smutnego, tylko wesołego.

Wreszcie powoli ruszają w stronę biblioteki. Intuicja? Magnetyzm? Sasza kieruje się do właściwych drzwi, choć Mundy mu ich nie wskazał. Może zrobili to za niego tajemniczy goście sprzed paru tygodni? Stara biblioteka, kiedyś poprzecinana ściankami działowymi, teraz ukazuje się w pełnej glorii. Wzdłuż ścian biegną już nawet listwy na półki. Z odchylonymi do tyłu ramionami, obracając na wszystkie strony swą schillerowską głowę, zachwycony Sasza dociera stopniowo na przeciwległy koniec sali i otwiera szklane drzwi na wewnętrzne podwóreczko.

– Teddy, na miłość boską, myślałem, że lepiej się na tym znasz! Przecież tu można było przedłużyć bibliotekę. Przerzucić szklany dach, postawić parę stalowych podpór, zmieściłoby się o tysiąc tomów więcej. Jak coś zrobić, to teraz, bo potem to będzie koszmar.

– Po pierwsze, książki nie lubią szkła. Po drugie, tu ma być kuchnia.

Zadowolenie Saszy rośnie na każdym piętrze. Szczególnie na ostatnim.

– Słyszałem, że zamierzasz tu zamieszkać, Ted. Z całą rodziną, tak?

A od kogo słyszałeś? – zastanawia się Mundy. Na głos mówi:

– Może. Jest taka możliwość. Zastanawiamy się.

– Czy to naprawdę konieczne, żebyś mieszkał na miejscu?

– Może nie. Zobaczymy, jak będzie.

Sasza zaczyna mówić głosem partyjnym:

– Chyba jesteś trochę zbyt wygodny, Ted. Jeżeli wyburzymy ścianki działowe, będzie tu można zrobić wspólną salę z materacami. Zmieściłoby się

co najmniej dwadzieścioro biednych studentów. Robiliśmy tak w Berlinie, to czemu nie tu? Chodzi o to, żeby przypadkiem nie sprawiać wrażenia, że jesteś tu jakimś właścicielem. Dimitrijowi bardzo zależy na tym, żeby nie powtarzać autorytarnych wzorów zwykłych uniwersytetów. My mamy się od nich różnić, a nie je małpować.

No, mam nadzieję, że ściany i to usłyszały, myśli sobie Mundy. Na szczęście nie musi odpowiadać, bo z dołu schodów słycać nawoływanie. Dwaj tragarze, ci, którzy przyjechali z książkami, dowieźli swój ładunek aż do drzwi frontowych i chcą się dowiedzieć, gdzie go mają złożyć.

– Jak to gdzie? W bibliotece oczywiście – woła radośnie Sasza. – A gdzie się daje książki? Śmieszni ludzie!

Ale Mundy już zdążył ustalić, że na razie, póki biblioteka nie jest wykończona, książkom najlepiej będzie w holu. Zrobi się z nich stertę na samym środku i przykryje folią. Obaj tragarze są dostojni, mają na sobie białe fartuchy. Mundy’emu wyglądają bardziej na sędziów krykietowych niż na tragarzy. Sasza nie może się pohamować i natychmiast przystępuje do obszernego opisu swych dóbr.

– Jak się przyjrzysz, Teddy, zobaczysz, że do wieka każdej ze skrzyń przyczepiona jest plastikowa koperta. W kopercie jest spis tytułów książek w danej skrzyni i inicjały pakującego. Tomy ułożone są nazwiskami autorów w kolejności alfabetycznej. Zauważysz też, że wszystkie skrzynie ponumerowano w kolejności, w jakiej należy je otwierać. Czy ty mnie słuchasz, Teddy? Nieraz obawiam się, że masz okropnie krótki czas uwagi.

– Zaczynam rozumieć.

– Mówimy tu o podstawowym księgozborze czterech tysięcy tytułów. Książki, na które przewidujemy większe zapotrzebowanie, są w większej liczbie egzemplarzy. Oczywiście nie należy niczego rozpakowywać przed końcem remontu. Książki położone na półki za wcześnie zakurzyłyby się tak, że trzeba by je czyścić, a to zajęłoby nam dużo czasu i wygenerowało dodatkowe koszty.

Mundy obiecuje, że tego dopilnuje. Kiedy dwaj tragarze wwożą kolejne skrzynie do holu, prowadzi Saszę do ogrodu, żeby im nie przeszkadzał, i sadza go na starej huśtawce.

– Co cię zatrzymało w Paryżu? – pyta od niechcena, dodając w duchu, że na pewno nic, co by obniżyło Saszy samoocenę.

Pytanie bardzo przypada Saszy do gustu.

– A wiesz, Teddy, miałem szczęście. Pewna pani, którą poznałem swego czasu w Bejrucie, akurat bawiła przejazdem w mieście, więc mogliśmy odbyć, jak mówią dyplomaci, szczerą i owocną wymianę poglądów.

– W łóżku?

– Teddy, robisz się niedyskretny. – Ale uśmiecha się z satysfakcją.

– A czym się zajmuje ta pani?

– Dawniej pracowała w obozie dla uchodźców. A teraz jest dziennikarką. Niezależną.

– I taką bardziej radykalną?

– Taką bardziej prawdomówną.

– Libanka?

– Francuzka właściwie.

– Pracuje dla Dimitrija?

Sasza cofa podbródek na znak dezaprobaty.

Aha, czyli pracuje, myśli Mundy.

W tej samej chwili słyszą, że furgonetka odjeżdża. Mundy zrywa się na równe nogi. Za późno. Sędziów już nie ma, nie ma komu czegoś podpisać, nie ma komu dać napiwku.

Sasza jest zachwycony świetnym pomysłem Teddy’ego. Po tym całym Paryżu tego właśnie mu trzeba – takiej wycieczki. Mundy’emu też tego trzeba, ale z innych powodów. Trzeba mi lasu pod Pragę, takiego jak wtedy, gdy mi powiedziałeś, że herr pastor był szpiegiem Stasi. Trzeba mi sielankowej atmosfery skłaniającej do zwierzeń. Rowery pożyczył od starego Stefana. Mniejszy, należący do samego Stefana, jest dla Saszy, duży, własność olbrzymiego syna ogrodnika, dla Mundy’ego. Mundy kupił kiełbasę, jaja na twardo, pomidory, ser i kurczaka na zimno, i nawet pumpernikiel, którego nie cierpi, ale to największy przysmak Saszy. Kupił też i whisky, i butelkę burgunda, wszystko po to, by Sasza stał się bardziej rozmowny. I on sam zresztą też. Umówili się, że szampana zachowają na otwarcie szkoły.

– Ale czy ty wiesz, dokąd jedziemy? – pyta przy odjeździe Sasza z udawanym niepokojem.

– No pewnie, idioto. A jak myślisz, co ja dziś robiłem przez cały dzień?

Czy mam się z nim pokłócić? Wydrzeć się na niego? Mundy nigdy jeszcze nikogo nie przesłuchiwał, a najgorzej chyba zaczynać od przyjaciół. Co mówili w Edynburgu? „Najlepsze są takie przesłuchania, o których nie wie

sam przesłuchiwany”. Mundy znalazł ustronne miejsce kilka kilometrów za miastem. Nie ma tam pniaków, na których można by usiąść, jest za to dużo liści, brzeg rzeki, ławeczka i wierzby płaczące topiące swe witki w szybkim, przejrzystym nurcie Neckaru.

Mundy czyni honory domu. Nalewa wino, rozkłada jedzenie. Sasza wzgardził ławką, leży na plecach, chorą nogę zarzucił na zdrową. Rozpiął koszulę, naga chudą pierś wystawia na słońce. Na rzece pełni zapału wioślarze wycinają sobie drogę pod prąd.

– To co jeszcze robiłeś w Paryżu, kiedy nie wybierałeś książek i nie spałeś z dziennikarkami? – pyta Mundy, tym samym rozpoczynając licytację.

– Powiedzmy, że dokonywałem przeglądu wojsk – odpowiada lekko Sasza.
– A co to, Zara znowu cię zbiła? – Bo oko Mundy’ego jeszcze nosi ślady nocnej przygody.

– Młode wojsko? Stare? Ktoś, kogo znamy? Jakie wojsko?

– No, naszych wykładowców oczywiście. Naszych wykładowców i intelektualistów. A niby jakie wojsko? Najlepsze nieprzekupne umysły najważniejszych gałęzi wiedzy.

– Skąd ich wzięłeś?

– W zasadzie z całego świata. W praktyce z tak zwanej starej Europy. Tak chciał Dimitrij.

– A z Rosji?

– Staramy się. Każdy kraj, który nie przystąpił do Niesławnej Koalicji, ma u Dimitrija pierwszeństwo. Niestety, w Rosji trudno znaleźć kogoś z lewicy, a nieskompromitowanego.

– Czyli tak naprawdę to Dimitrij wybiera wykładowców, nie ty.

– Na zasadzie konsensusu. Podaje się jakieś nazwiska... wiele z nich podaję ja, jeśli mogę być taki nieskromny... uzgadnia się listę, którą przedstawia się potem Dimitrijowi.

– A są na niej jacyś Arabowie?

– Będą. Nie od razu, ale w drugim, trzecim etapie. Dimitrij to urodzony wódz. Określamy cel bezpośredni, osiągamy go, przegrupowujemy się i atakujemy następny.

– Był z tobą w Paryżu?

– Teddy, coś mi się zdaje, że znowu robisz się niedyskretny.

– Bo co?

– Słucham?

Mundy się waha. Mija ich barka z suszącym się w wieczornym słońcu praniem. Na dziobie stoi przymocowany do pokładu zielony sportowy samochód.

– No bo czy nie uważasz, że to trochę głupie, wszystkie te tajemnice i tak dalej? – mówi wreszcie nieskładnie. – Przecież my nie szykujemy zamachu stanu, tylko organizujemy forum wymiany poglądów.

– Jak zwykle marzyciel z ciebie, Teddy. Zachodnie instytucje naukowe, które mają dość odwagi, by łamać istniejące tabu, są z definicji wywrotowe. Jeżeli ktoś powie tym nowym fanatykom z Waszyngtonu, że stworzenie państwa Izrael dokonało się kosztem straszliwych zbrodni, to zaraz obwołają go antysemitą. A jeżeli im powiesz, że Adam z Ewą nie żyli w raju, to będą cię mieli za niebezpiecznego cynika. A że Boga stworzył człowiek, bo za mało wiedział o nauce, to nazwą cię komunistą. Czy wiesz, co powiedział amerykański myśliciel Dresden James?

– No, nie wiem.

– „Jeśli od wielu pokoleń karmi się masy zlepkiem ładnie opakowanych kłamstw, prawda wyda im się całkowicie absurdalna, a jej głosiciel – groźnym szaleńcem”. Dimitrij kazał zawiesić taki napis nad wejściem do każdego z naszych antyuniwersytetów. Nawet chciał nazwać cały system Uniwersytetem Groźnych Szaleńców, ale się powstrzymał.

Mundy podaje Saszy udko kurczaka, lecz Sasza tego nie widzi, bo leży na wznak z zamkniętymi oczyma. Mundy tak długo macha mu przed nosem, aż Sasza uśmiecha się i otwiera oczy. Takiej radości, takiego zadowolenia Mundy nie widział na twarzy przyjaciela ani w Berlinie, ani w Weimarze, ani w żadnym innym miejscu ich spotkań.

– Zobacysz się z nią jeszcze? – pyta, siląc się na obojętną rozmowę.

– Wątpię, Teddy. Wchodzi w niebezpieczny wiek, zaczyna wykazywać oznaki przywiązania.

A, czyli przynajmniej pod tym względem nic się nie zmieniło, zauważa nieco kwaśno Mundy i zaraz przychodzi mu na myśl Judith. Próbuje z innej strony.

– Sasza, czy podczas tego twojego wielkiego safari... przez te wszystkie puste lata, o których mi pisałeś...

– Wcale nie były puste, Teddy. To były moje *Lehrjahre*, lata nauki, przygotowywania się do tego, co będę robił teraz.

– Czy przez te lata grywałeś... – urywa, bo uświadamia sobie, że dokładnie takiego wyrażenia użył Rourke. – Czy stykałeś się z ludźmi, którzy poszli najdalej... z tymi, którzy głosili konieczność walki zbrojnej... no, można powiedzieć, terroru?

– Bardzo często.

– I mieli na ciebie jakiś wpływ? Przekonali cię?

– O co ci chodzi?

– Kiedyś ciągle o tym rozmawialiśmy. My dwaj, Judith, Karen... To był stały temat dyskusji w Klubie Republikańskim. Jak daleko można się posunąć? No, w dramaturgii, że tak powiem. Czy cel uświęca środki, w jakich okolicznościach i tak dalej. Kiedy mamy prawo strzelać? Mówiłeś wtedy, że Ulrike i tacy jak ona wyświadczają anarchizmowi niedźwiedzią przysługę. A czy teraz dalej tak sądzisz? Nie zmieniłeś zdania?

– I pytasz mnie o to akurat tu i teraz, kiedy raczymy się tym świetnym burgundem? Jakie to niemieckie, Teddy!

– Wcale nie.

– Gdybym był Palestyńczykiem z Zachodniego Brzegu albo ze Strefy Gazy, strzelałbym do każdego żołnierza izraelskiego. Tylko że źle strzelam i nie mam czym, więc pewnie mało bym wskórał. Zaplanowane ataki na ludność cywilną są w każdym razie niedopuszczalne. Mojego zdania nie zmienia fakt, że wy, Anglicy, i wasi amerykańscy panowie zrzucacie nielegalne bomby rozpryskowe i inne paskudne wynalazki na bezbronną ludność Iraku składającą się w sześćdziesięciu procentach z dzieci. O to ci chodziło?

– O to.

– Ale dlaczego?

Wygląda na to, że teraz przesłuchujący i przesłuchiwany nagle zamienili się rolami. Teraz to Sasza, a nie Mundy, usiłuje powstrzymać gniew na wodzy, to Sasza siedzi wyprostowany na trawie, patrzy na Mundy'ego groźnie i tym samym wzrokiem przymusza go do odpowiedzi.

– Bo pomyślałem sobie, że może różnimy się w poglądach.

– W jakim sensie? Teddy, o czym ty gadasz?

– Czy przypadkiem i ty, i Dimitrij nie planujecie czegoś więcej niż tylko przeciwstawianie się obowiązującej propagandzie... Albo że chcecie przeciwstawić się jej innymi środkami.

– Na przykład?

– No, czy nie chcecie rozpętać jakiejś burzy. Wysłać sygnału do wszystkich

antyamerykańskich sił na świecie. – Znowu opadają go słowa Rourke’a, lecz tym razem już musi ich użyć. – Wyciągnąć przyjaznej dłoni do tych, którzy dokonali najbardziej sensacyjnego wyczynu antykapitalistycznego od wynalezienia prochu.

Przez chwilę Sasza sprawia wrażenie, jakby nie dowierzał własnym uszom. Pytając pochyła głowę i przybiera partyjny wyraz twarzy. Rozkłada chude ręce gestem nakazującym milczenie i szuka natchnienia w otaczających go przedmiotach: w prawie pustej butelce wina, w jajkach na twardo, serze, pumperniku. Dopiero po chwili podnosi swe ciemne oczy. Mundy widzi ku swemu przerażeniu, że oczy te są pełne łez.

– Z kim rozmawiałeś, Teddy?

– Mam rację, Sasza?

– Tak nie masz racji, że rzygać mi się chce. No idź, zrób to, co każdy szanujący się Anglik. Idź na tę swoją wojnę.

Sasza ciężko podnosi się z ziemi i zapina koszulę. Nie oddycha już, lecz charczy. Może ma coś z sercem? Znowu skończy się tak jak w hotelu Dreesen, myśli sobie Mundy, gdy Sasza zaczyna rozglądać się za kurtką. Znowu ta cholerna rzeka, znowu ta cholerna przepaść między nami. Za chwilę odjedzie w zachodzące słońce, a ja, jak zawsze, wyjdę na nieczułą świnię.

– Bank nie daje mi spokoju, Sasza – odzywa się błagalnie Mundy. – Na miłość boską, napij się jeszcze, a nie zachowuj jak primadonna. Mamy kłopot. Musisz mi pomóc.

Sasza siada z powrotem, lecz z podciągniętymi kolanami, które otacza ramieniem. Zaciska pięści, bieleją mu palce. Zaciska zęby dokładnie tak jak wtedy, gdy opowiadał o herr pastorze, i ani na chwilę nie przestaje wlepić wzroku w twarz Mundy’ego. Stracił wszelkie zainteresowanie jedzeniem i winem. Teraz koncentruje się wyłącznie na słowach Mundy’ego i na jego twarzy. Mundy pewnie by tego nie zniósł, gdyby nie lata praktyki w okłamywaniu profesora i jego podwładnych.

– Mój bank nie może się uspokoić, od kiedy wiadomo, skąd przyszedł pieniądze – skarży się Mundy i w zdenerwowaniu wyciera nadgarstkiem pot z czoła. – Teraz mają jakieś nowe przepisy względem większych i niespodziewanie pojawiających się kwot. Wystarczy pięć tysięcy euro, od razu podnoszą alarm. – Ociera się tak o fikcję, jak o fakty. – Wyśledzili, skąd były te przelewy, i okropnie się zdenerwowali. Zastanawiają się, czy nie będą

musieli kogoś powiadomić.

– Kogo?

– No, tych co zwykle. Skąd mam wiedzieć? – Mundy jeszcze trochę bardziej nagina prawdę. Za chwilę może trzasnąć. – Na rozmowie był jakiś nowy facet. Mówił, że z centrali. Pytał mnie w kółko, kto za tym stoi. Jakby chodziło o jakąś zbrodnię. Powiedziałem im to, co kazali mi powiedzieć ludzie Dimitrija, ale temu z centrali to nie wystarczyło. Psioczył, że nie mam nic na papierze, żadnej umowy, korespondencji... I że nawet nie chcę mu podać nazwiska mojego dobroczyńcy. Że nagle na moje konto wpływa pół miliona dolarów z różnych dziwnych miejsc, wyprane po wielkich bankach.

– Teddy, to typowa faszystowska prowokacja. Tak długo byłeś zdany na ich łaskę i niełaskę, że nie mogą przeżyć, że teraz wymykasz im się z łap. Ty chyba jednak jesteś okropnie naiwny.

– A potem zapytał mnie, czy kiedykolwiek w życiu miałem jakieś związki z anarchistami. Albo z ludźmi o podobnych poglądach. Chodziło mu o euroanarchistów, o Frakcję Czerwonej Armii, Czerwone Brygady... – Mundy odczekuje chwilę, jak zadziała ta dezinformacja, lecz ona w ogóle nie chce działać. Sasza patrzy mu prosto w oczy tym samym zaszokowanym wzrokiem, który wbija w Mundy'ego od początku tej rozmowy.

– No i? – pyta Sasza. – Co mu powiedziałaś?

– Zapytałem go, co to ma do rzeczy, u diabła.

– A on?

– Zapytał mnie, za co mnie wyrzucono z Berlina.

– A ty co?

Mundy ma wielką ochotę powiedzieć Saszy, żeby się zamknął, żeby przestał go wypytywać, żeby siedział cicho i słuchał. Niech cię diabli, jak ja mam zasiać w tobie niepokój, jakieś wątpliwości, pociągnąć cię za język, zmusić do gadania, skoro ty świdrujesz mnie tymi swoimi oczkami, jakbym to ja tu był głównym winowajcą, a ty niewinny jak baranek?

– Że w młodości się buntowałem, jak wszyscy, ale że według mnie nie ma to żadnego związku z moimi obecnymi interesami z bankiem i z moim prawem do otrzymywania przelewów od partnerów w interesach. – Brnie dalej. – Od tego czasu nie dają mi chwili spokoju. Dostałem do wypełnienia całą masę formularzy, a wczoraj zatelefonowała do mnie jakaś baba, przedstawiła się jako kierowniczką działu informacji i poprosiła o referencje z ostatnich dziesięciu lat. Sasza, proszę, słuchaj, co do ciebie mówię...

Robi to samo co przedtem Sasza, tylko w odwrotnej kolejności: szeroko otwarte oczy, rozłożone ręce, błagalny wzrok – tak jak Sasza, gdy wtedy błagał go, by wybrał się z nim do domu w górach.

– Czy naprawdę nie możesz mi nic więcej powiedzieć o Dimitriju? No chociażby to, jak naprawdę się nazywa, na miłość boską. Parę szczegółów z jego przeszłości, oczywiście chwalebnych, a nie innych... Żebym wiedział, kim jest, jak zdobył ten swój majątek, jakie ma powiązania polityczne... – I dla efektu: – Robi się gorąco, Sasza. Coś z tym trzeba zrobić.

Mundy stoi. Sasza klęczy jak żebrak i patrzy w górę, ale w jego oczach zamiast spodziewanego strachu, wyrzutów sumienia czy łez pojawia się litość dla przyjaciela.

– Myślę, że masz rację, Teddy. Daj sobie z tym spokój, póki jeszcze nie jest za późno.

– Co?

– Już raz cię pytałem, gdy jechaliśmy do Dimitrija. Teraz pytam cię jeszcze raz. Czy ty naprawdę wierzysz w to, co mówisz? Czy naprawdę jesteś gotów wrócić na intelektualne barykady? A może jesteś jak chłopaczek, który uciekł z domu na wojnę, ale wystarczył jeden wystrzał, żeby chciał wrócić do mamusi?

– Nigdzie nie chcę wracać, jeżeli barykady będą tylko intelektualne. Co mam powiedzieć w banku?

– Nic. Podrzyj te ich formularze, nie odpowiadaj na telefony. Zostaw ich samych z tymi ich fantazjami. Dostałeś pieniądze od arabskiej fundacji dobroczynnej, a jako gołowąś bawiłeś się w rewolucję w Berlinie. Ich chorym umysłem to wystarczy. Od razu widać, że jesteś euroterrorystą o sympatiach proislamskich. Nie mówili, że poza tym jesteś towarzyszem znanego wywrotowca Saszy?

– Nie.

– No to jestem zawiedziony. Byłem pewny, że będę gwiazdą w tym ich scenariuszu. Chodź, Teddy. – Zaczyna pośpiesznie zbierać jedzenie, wkładać je do plastikowych pudełek. – Dość tych głupich żartów. Wracamy do twojej pięknej szkoły, wypijemy, ile wlezie, pójdziemy spać na strych, jak za dawnych czasów. A rano, nim wyjadę do Hamburga, powiesz mi, czy mam znaleźć kogoś innego na twoje miejsce. Nie ma sprawy. Ale może do tego czasu wróci nam odwaga? Dobrze?

I z tym „Dobrze?” Sasza otacza ręką ramiona Mundy’ego, by podnieść go na

duchu.

Jadą jeden obok drugiego, tak jak zawsze: Mundy powoli porusza pedałami, Sasza kręci z całych sił i chwieje się na obie strony. Opada wieczorna mgła. Rzeka płynie obok nich, czerwony zamek obserwuje ich w zapadającym mroku.

– Wiesz, dlaczego ci bankierzy są tacy źli? Czy wręcz złowrodzy? – pyta zadyszany Sasza. Zatacza się na Mundy’ego, ale odbija kierownicą w ostatniej chwili.

– Bo są chciwi – odpowiada Mundy.

– Nie, coś jeszcze gorszego.

– Bo chcą władzy.

– Jeszcze gorzej. Oni chcą wrzucić nas wszystkich do jednego worka: liberałów, socjalistów, trockistów, komunistów, anarchistów, antyglobalistów, pacyfistów. Dla nich wszyscy jesteśmy *sympis*, różowi. Wszyscy nienawidzimy Żydów i Ameryki i wszyscy w skrytości ducha podziwiamy Osamę. Wiesz, o czym marzą?

– O seksie.

– O tym, że któregoś pięknego dnia jakiś dzielny policjant wejdzie do biura antyglobalistów w Berlinie, Paryżu, Londynie, Madrycie czy Mediolanie i znajdzie wielkie pudło węgla z napisem: „Od waszych kochanych przyjaciół z Al-Kaidy”. Cała lewica zostanie zdemaskowana jako kryptofaszyści, od razu będzie wiadomo, co z nich za sukinsyny, a europejskie drobnomieszczaństwo uklęknie przed amerykańskim Wielkim Bratem, by wziął je w opiekę. A wskaźnik giełdowy we Frankfurcie podskoczy o pięćset punktów. Pić mi się chce.

Zatrzymują się, kończą czerwonego burgunda. Sasza czeka, aż serce mu się trochę uspokoi.

Ze strychu szkoły, jeżeli stanie się w wielkim mansardowym oknie, można patrzeć, jak wczesnoletni świt skrada się po czerwonych murach zamku, po rzece i kołyszących się na niej barkach, aż zajmie cały Heidelberg bez jednego wystrzału.

Mundy oczywiście dawno już wstał. Sasza, znany śpioch, chrapie w najlepsze na stercie kanapowych poduch, koców i zasłon, z których Mundy urządził mu legowisko, gdy całkiem się pogodzili przy drugiej butelce

burgunda. Przy dzinsach i tenisówkach Saszy leży jego partyjna aktówka. Sasza jedną rękę ma zagiętą pod poduszkę, na której trzyma głowę; oddycha tak niedostrzegalnie, że Mundy, gdyby go nie znał, mógłby pomyśleć, że nie żyje. Na podłodze obok legowiska stoi budzik, który Mundy, zgodnie z prośbą Saszy, nastawił na dziesiątą, a przy budziku leży kartka: *Cześć, pojechałem do Monachium, pozdrów ode mnie Hamburg, zobaczymy się, jak się zobaczymy.* I postscriptum: *Przepraszam, że taki ze mnie dupek.*

Mundy bierze buty do ręki i w samych skarpetkach idzie na dół wielkimi schodami, mijając hol, dociera do drzwi frontowych i szybkim krokiem rusza w stronę Starego Miasta. Jest już wpół do dziewiątej. Sklepy dla turystów na Hauptstrasse jeszcze śpią i spać tak będą przez następną godzinę. Zresztą Mundy kieruje się nie na Hauptstrasse, tylko na zabudowaną betonem i szkłem boczną ulicę, gdzie zauważył kiedyś tureckie biuro podróży. Biuro sprawia wrażenie, jakby było otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę; teraz w każdym razie jest otwarte. Za pieniądze wydobyte z bankomatu za pomocą nowej karty Mundy kupuje dwa bilety wycieczkowe z Monachium do Ankary dla Zary i Mustafy. Po chwili namysłu kupuje też trzeci dla siebie.

Z biletami w kieszeni idzie ruchliwą ulicą tak długo, aż staje się na niej jedynym przechodniem. Jest już prawie za miastem. Wybrukowana alejka między polami pszenicy doprowadza go do centrum handlowego, gdzie znajduje to, czego szukał – rząd automatów telefonicznych pod małymi budkami. W kieszeni ma trzydzieści euro drobnymi. Wystukuje numer najpierw do Berlina, potem do londyńskiego śródmieścia, a potem to już Bóg wie dokąd, bo nigdy w życiu nie wystukiwał tylu cyfr ani takich numerów.

„A tu masz numer, gdyby na Edwarda przyszły ciężkie dni”, mówi cicho Nick Amory podczas pożegnalnego lunchu w klubie, wręczając mu karteczkę z długim rzędem cyfr do zapamiętania. „Zatrąbisz, to się zjawię, ale mam nadzieję, że to będzie coś”.

Mundy trzyma w pogotowiu wieczne pióro i czeka na sygnał. Sygnał urywa się, odzywa się automatyczna sekretarka. „Proszę zostawić wiadomość”.

Mundy zaczyna wystukiwać odpowiedź piórem w słuchawkę: najpierw przedstawia się, potem podaje, z kim chce się skontaktować. Po co sobie zdzierać gardło i przy okazji dać się podsłuchać przez byle kogo?

Kobięcy głos po drugiej stronie domaga się odpowiedzi w układzie dwójkowym.

– Czy to sprawa niecierpiąca zwłoki?

Puk.

– Czy sprawa może poczekać dwadzieścia cztery godziny?

Puk.

– Czterdzieści osiem?

Puk.

– Siedemdziesiąt dwie?

Puk, puk.

– Proszę wybrać właściwą opcję. Jeżeli spotkanie może się odbyć w ostatnim znanym miejscu zamieszkania, proszę wcisnąć pięć.

Gdy kobiecy głos kończy, Mundy jest tak wyczerpany, że musi usiąść na ławce i ochłonać. Mijający go rzymskokatolicki ksiądz tak mu się przypatruje, jakby się zastanawiał, czy mu nie zaofiarować swych kapłańskich posług.

Wracając pociągiem do Monachium, Mundy odprawia dziękczynne modły za ukochaną młodszą siostrę Zary, której ślub odbędzie się za tydzień w rodzinnej wiosce pod Ankarą. Wie również, że Zara ma dziś wolne, bo przecież czwartek. A że czwartek, to i Mustafa będzie w domu na obiedzie.

Czarterowy lot jest za dwa dni o bladym świcie. Mundy dociera na monachijski dworzec główny, znajduje sklep z walizkami i kupuje Zarze piękną zieloną, bo to jej ulubiony kolor. W pobliskim domu towarowym nabywa też długą szarą suknię i chustę na głowę w tym samym kolorze; według kuzynki Zary, Diny, matki Kamala, Zara dawno marzyła o takim stroju. Od kiedy zamieszkała z Mundy, zaczęła znów spowijać się od stóp do głów na znak, że powróciła do tradycji, ale równocześnie szczyli się, iż jest teraz tylko dla Mundy'ego. Również kierując się radą Diny, kupuje dla Mustafy granatową marynarkę i białe spodnie – taki sam komplet ma Kamal. Mundy załatwił też z Diną, że na czas ich nieobecności ona zajmie się Mo.

Następnie odwiedza kebabiarnię Zary. O jedenastej przed południem nie ma jeszcze ruchu. Właściciel, krępy pan w mycce na głowie, najpierw jest dość przerażony na widok Mundy'ego, który zdecydowanym krokiem zbliża się do niego z zieloną walizką w ręce. Kryje się za ladę i pyta, czy Zara może skarżyła się na złe traktowanie. „Nie – mówi Mundy – nic takiego”. Mógłby dodać: od kiedy trzymasz łapy przy sobie, nawet lubi tę pracę. Ale nie dodaje. Właściciel prosi na kawę, na koszt firmy oczywiście, a może kawałek ciasta czekoladowego? Mundy przyjmuje kawę, dziękuje za ciasto i składa następującą propozycję: miesięczny urlop bezpłatny dla Zary, a ja dam pięćset euro na zastępstwo. W końcu dogadują się na siedemset.

Teraz Mundy telefonuje z automatu do tureckiego lekarza Zary: „Martwię się o Mustafę. Chyba ciężko znosi dojrzewanie. Uczy się dobrze, nie wagaruje, ale ostatnio woli być sam, śpi po dziesięć godzin dziennie i okropnie jest blady”. „Tak, tak, skok pokwitaniowy”, mówi ze znawstwem lekarz. „No właśnie. Wie pan doktor, co sobie pomyślałem? Czy jeżeli udałoby mi się zdobyć dość pieniędzy, by wysłać Mustafę z mamą na rodzinną uroczystość do

Turcji, to czy nie wystawiłby mu pan zwolnienia lekarskiego?”

Pocziwy doktor uważa, że może wziąć to na swoje sumienie.

Mundy telefonuje do Linderhofu i jeszcze raz zgłasza, że go nie będzie, lecz nie zostaje to przyjęte zbyt miło. Czuje się źle, ale nie zna na to lekarstwa. Wraca do domu, pozwala Zarze spać aż do powrotu Mustafy ze szkoły, potem prowadzi ją za rękę do ich małego saloniku, gdzie przygotował całe przedstawienie. Nigdy nie może się nadziwić miękkości jej dłoni. Już wcześniej ustawił na kredensie zdjęcie jej siostry, na podłodze zaś zieloną walizkę nakrytą nową suknią i chustą. Mustafie kazał włożyć nową marynarkę. Zara ma już zrobione zęby, ale w chwilach zdenerwowania ciągle jeszcze sprawdza językiem, czy są na miejscu.

Na stole leżą dwa bilety i pisemna zgoda – po turecku – na urlop. Zara siada na krześle wyprostowana jak uczennica. Wpatruje się w bilety, potem przenosi wzrok na Mundy’ego. Czyta pismo od właściciela kebabiarni i odkłada je na stół. Jej twarz nie ma w tej chwili żadnego wyrazu. Bierze do ręki leżący bliżej bilet – to jej. Ogląda go z surową miną i rozjaśnia się, gdy zauważa termin powrotu: trzy tygodnie. Niezgrabnie obejmuje Mundy’ego w pasie i przyciska swe czoło do jego uda.

Ale Mundy ma jeszcze jednego asa w rękawie. Wyciąga bilet dla siebie: dołączy do nich na ostatni tydzień i zabierze ich z powrotem do Monachium tym samym samolotem. Zara nie posiada się ze szczęścia. Po południu kochają się do upadłego. Zara płacze ze wstydu, że mu nie wierzyła. Mundy też odczuwa wstyd, lecz innego rodzaju; pociesza go tylko to, że wkrótce przynajmniej i ona, i Mustafa będą bezpieczni.

Odwożąc ich w środku nocy na lotnisko, Mundy z początku boi się, czy nie będzie mgły, ale gdy dojeżdżają na miejsce, zaczyna się przecierać, opóźnienia samolotów są nieznaczne. Idąc do odprawy, Zara wbija wzrok w ziemię i tak mocno trzyma się Mundy’ego, że jemu się wydaje, iż Zara to jego córka, którą wbrew jej woli wysłała do szkoły z internatem. Mustafa trzyma się drugiej ręki mamy i sypie żartami, by ją podtrzymać na duchu.

Przy odprawie robi się cała afera o stosy prezentów, które Zara kupiła z własnych oszczędności dla wszystkich sióstr, braci, kuzynów i kuzynek. W końcu znajduje się jakieś pudło, niektóre rzeczy trzeba jednak przepakować. To trochę pomaga. Mundy widzi ją po raz ostatni, jak stoi za zamykającymi się automatycznie drzwiami, a potem klęczy jak wtedy Rani przy drodze i jak Rani szłocha z głową w ramionach. Mustafa robi, co może, by ją pocieszyć.

Mundy zostaje sam na sam z myślami. Jedzie autostradą na północ, od reszty świata odcina go ulewny deszcz. Wraca do rzeczywistości na dźwięk własnego telefonu. Znowu ten cholerny Rourke, myśli, przyciska słuchawkę do ucha i postanawia być opryskliwy. Ale ku jego zdumieniu to nie Rourke, lecz Amory. Przemawia otwartym tekstem, na zwykłej linii, jakby ani on, ani Mundy nie mieli w życiu najmniejszych zmartwień.

– Edwardzie, kochany, czyżbym wyrwał cię ze snu?

Oczywiście wie, że nie.

– Wiadomość otrzymałem. Bardzo chętnie – mówi lekko jak dobry znajomy, który przejazdem jest w mieście. – Może dziś?

Mundy zastanawia się, czy nie zapytać Amory’ego, skąd dzwoni, ale nie warto, bo i tak by mu nie powiedział.

– Świetnie – mówi za to. – Koło której?

– Koło pierwszej?

– Dobrze. Gdzie?

– To może u ciebie?

– W Heidelbergu?

– No, w szkole. Czemu nie?

Temu, że cała szkoła jest na podsłuchu. Temu, że cały dzień oglądali ją uprzejmi młodzi ludzie. Temu, że według Rourke’a jest przygotowywana na terrorystyczną melinę przez euroanarchistów, którzy chcą wbić klin między Niemcy a Amerykę.

– A nasz koleś jest w Hamburgu, prawda? – ciągnie Amory, skoro Mundy nie odpowiada.

– Tak. – Jeżeli ciągle jeszcze jest naszym koleśkiem, myśli sobie Mundy.

– Zdaje się, że do dziś wieczór?

– Tak mówił.

– Dziś sobota?

– Podobno.

– Czyli nikt tam dziś nie będzie niczego rozwaliał?

– Nikt. – Ani naprawiał.

– No to jest jakiś powód, żeby nie tam?

– Nie, nie ma.

– Pozbyłeś się rodziny?

– Pozbyłem. Nawet łatwo poszło.

– No to do zobaczenia w porze lunchu. Nie mogę się doczekać. Mamy sporo do omówienia. *Tschüss*.

Salwa ulewnego deszczu trzęsie całym samochodem. Niebo przeszywają długie letnie błyskawice. Garbus zasługuje na przerwę. Mundy też. Siedzi z głową na rękach w przydrożnej restauracji i wybiera podteksty z rozmowy z Amorym – albo jak by powiedział Dimitrij, popiół z maku. Podczas swej pracochłonnej pogawędki z automatyczną panią od Amory’ego Mundy zaproponował spotkanie na stacji benzynowej na odludziu piętnaście kilometrów od Heidelbergu. Tymczasem mają odbyć wesołe spotkanie po latach na miejscu przestępstwa. Tak, żeby Rourke słyszał, o czym mówią.

A więc co takiego na razie powiedział mi Amory – ten sam Amory, który nigdy niczego nie mówi bez celu?

Że mówi oficjalnie, na otwartej linii. Że nie ma nic do ukrycia. Przed kim?

Że dokładnie wie, co robię teraz ja, Sasza i moja rodzina. Od kogo?

Że ma mi mnóstwo do powiedzenia, ale tak, by słyszeli go ci, od których wie to wszystko. Podobnie jak Dimitrij, Amory też jest mistrzem życia w podziemiu. Tylko że tym razem daje mi do zrozumienia, że w tym podziemiu ktoś go obserwuje.

Mundy powraca do tego, o czym myślał przed telefonem od Amory’ego. Gdzie ona teraz jest? Chyba przelatuje nad Rumunią, niedługo będzie nad Morzem Czarnym. Dzięki Bogu, że jest z nią Mustafa. Odczuwa nagły przypływ tęsknoty za Jakiem, ale on też jest za daleko. I zawsze był za daleko.

Mundy znów tkwi na swym miejscu przy oknie pierwszego piętra i znów patrzy na ceglana alejkę. Dokładnie tak samo jak wtedy, gdy czekał na Saszę i jego podstawowy księgozbiór. Garbus stoi przed bramą, jest ta sama sobota, godzina 12.30. Owszem, Sasza jest w Hamburgu – choć to do niego niepodobne, zatelefonował do Mundy’ego, aby się upewnić, czy jego przyjaciel nabrał ducha, czy też ma poszukać sobie kogoś na jego miejsce. „Przecież chyba obaj jesteście dorośli, Teddy”. Mundy zapewnił Saszę, że jest stuprocentowo przekonany do tego wielkiego przedsięwzięcia, że już w nie wierzy. I może rzeczywiście wierzy. Wierzy, bo nie ma innego wyjścia. Przecież nie zostawi Saszy samego z Dimitrijem i Rourkiem. Niezależnie od tego, co by to naprawdę oznaczało.

Czekając na Amory’ego, Mundy robił te wszystkie rzeczy, którymi agenci usiłują zabić czas oczekiwania na swych oficerów prowadzących: ogolił się,

wziął prysznic, upchnął brudne ubranie za zasłonę, przygotował miejsce do siedzenia w jednej z klas, zaniósł do łazienki czysty ręcznik i nową kostkę mydła i przygotował termos kawy, na wypadek gdyby się okazało, że Amory już nie pije whisky. Z trudem się powstrzymał, by nie pójść do ogrodu, nie zerwać paru polnych kwiatów i nie wstawić ich do słoika po dżemie.

I gdy wciąż jeszcze powtarza w myśli te wszystkie idiotyczne, obsesyjne przygotowania, równocześnie nie przestając ani na chwilę wyobrazać sobie powitania, jakie Zarze i Mustafie zgotują na lotnisku w Ankarze ich rozentuzjasmowani krewni, zauważa, że obok jego garbusa stoi beżowe bmw na frankfurckiej rejestracji i że Nick Amory, wyglądający znacznie młodziej niż powinien po tylu latach, wysiada zza kierownicy, zamyka samochód, otwiera bramę i idzie już do drzwi frontowych.

Mundy zbiega po schodach i widzi jeszcze dokładniej, że Nick świetnie się trzyma jak na kogoś tuż przed sześćdziesiątką, że jego dawne rozchełstanie ustąpiło miejsca łatwo wyczuwalnemu autorytetowi i że dawny uśmiech Amory'ego – choć pojawił się jak na zawołanie w chwili, gdy Mundy otworzył mu drzwi – nie gościł na jego twarzy, gdy maszerował alejką w stronę szkoły.

I jeszcze jedno: gdy się witają, Mundy zauważa czapkę Amory'ego – płaską sportową czapkę z zielonego tweedu, lepszego kroju niż bezkształtny twór, który wkładał major, gdy jechał do szkoły Mundy'ego rycząc na niego zza bocznej linii boiska, albo niż to, w czym Des kroił pieczeń na niedzielny obiad, albo niż *Tarnkappe* Saszy.

Ale czapka to czapka.

A ponieważ Mundy nigdy nie widział Amory'ego w czapce ani w żadnym innym nakryciu głowy, a co dopiero w takim, które jest niemalże symbolem angielskiego ziemiaństwa, klasy społecznej, którą Amory zawsze się brzydził – zapewne dlatego, że z niej pochodzi – nic dziwnego, że na niej skupia całą uwagę, choć jest zbyt uprzejmy i zbyt dobrze wyszkolony w Edynburgu, by o to zapytać.

Najdziwniejsze jednak jest to, że w rażącej sprzeczności z angielskimi manierami Amory nie zdejmuje czapki, wchodząc do środka. Klepie za to Mundy'ego po ramieniu, mówi wesoło: „Jak się masz, stary?” i szybko zadaje pytanie, czy jest tu ktoś jeszcze albo czy Mundy kogoś się spodziewa, po czym dodaje: „Bo gdyby ktoś miał nam przeszkodzić, to od razu zapisuję się od września”. Po czym, zupełnie jak Sasza, mija Mundy'ego i zajmuje

strategiczny punkt dokładnie pod świetlikiem, o krok od sterty skrzyń i pokrowców czekającej jak pomnik na odsłonięcie.

I wciąż nie zdejmuje tej czapki. Nawet wtedy, gdy na jego prośbę Mundy oprowadza go po posiadłości. W dodatku Nick wcale nie zapomniał, że ma ją na sobie – wręcz przeciwnie, od czasu do czasu poprawia ją, jakby sprawdzał, czy wciąż jest na swoim miejscu, trochę tak jak Sasza zawsze poprawiał swój beret. Albo przesuwają ją do przodu i naciągają bardziej na oczy, jakby raziło go słońce, tylko że słońca nie ma, bo choć deszcz ustał, niebo wciąż jest czarne jak smoła.

Zwiedzanie odbywa się jednak dość pobieżnie. Być może Amory czuje się tu równie nieswojo jak Mundy. Zresztą z Amorym tak już jest – choć czasem się o tym zapomina – że nigdy nie mówi nic bez jakiegoś określonego celu.

– To nasz koleś nie opowiadał ci dokładnie, czym się zajmował na Bliskim Wschodzie? – pyta, spoglądając na tymczasowe legowisko Saszy.

– Dokładnie to nie. Jeździł z wykładami, czasem zatrudniał się gdzieś na krótko, jeżeli akurat potrzebowali kogoś na zastępstwo. Z tego, co wiem, brał wszystko, co się dało.

– Czyli kariery nie zrobił?

– No i jeszcze pracował w obozach dla uchodźców, ale nie najlepiej mu szło przez te jego nogi. Tak że w sumie z tego, co mi mówił, był jakimś takim akademickim włóczęgą.

– Bardzo radykalnym akademickim włóczęgą – poprawia go Amory. – I pewnie miał bardzo radykalnych, za to nie bardzo akademickich przyjaciół.

A Mundy, zamiast oponować, odpowiada, że też tak podejrzewa, bo teraz jest już pewny, że Amory – mniejsza z tym dlaczego – odgrywa scenę na czyjś użytek i że on, Mundy, ma w niej przy nim grać rolę drugoplanową. Dokładnie tak samo jak przy Saszy w naszych wspólnych występach przed straszynym Lotharem i profesorem, myśli sobie. Tak jak wtedy, również teraz pamięta, że nie każda kwestia musi być wypowiedziana po mistrzowsku. Byle zachowywać się naturalnie, publiczności to wystarczy.

– A to pewnie biblioteka – zauważa Amory, oglądając długą salę i porozkładane w niej drabiny i wiadra malarzy.

– Tak.

– Sanktuarium obiektywnej prawdy.

– No właśnie.

– Naprawdę wierzysz w ten kit?

Mundy sam zadawał sobie to pytanie już kilkaset razy, ale jak dotąd nie znalazł zadowolającej go odpowiedzi.

– Wierzyłem, kiedy słuchałem Dimitrija. Kiedy od niego wyszedłem, trochę mi się to wszystko rozmyło.

– A kiedy słuchasz Saszy?

– Próbuję wierzyć.

– A kiedy siebie?

– No, wtedy mam problem.

– My też.

Wracają do holu i podziwiają nieodsłonięty pomnik z książek.

– Zagłądałeś do środka? – pyta Amory, jeszcze raz poprawiając czapkę.

– Przejrzałem spisy.

– Masz jakiś na wierzchu?

Mundy odchyła pokrowiec, ściąga plastikową kopertę z wieka jednej ze skrzyń i podaje Amory'emu.

– Aha, pełny standard – zauważa Amory, przebiegłszy wzrokiem listę. – Dostępny w każdej lewackiej bibliotece.

– Główną zaletą biblioteki ma być koncentracja źródeł wiedzy w jednym miejscu – mówi Mundy, cytując Saszę. Ma wrażenie, że to nic nie znaczy. Sili się, by wygłosić kolejną uwagę, lecz Amory już oddaje mu listę, jakby znalazł to, czego szukał.

– To wszystko śmierdzi – oznajmia wszem wobec. – Trefne, nieprawdziwe, podejrzane. Dziwi mnie tylko jedno: dlaczego pracujesz dla tego wałkonia Rourke'a, a nie dla jakiegoś porządnego oficera wywiadu? Na przykład dla mnie?

Teatralnie mruga do Mundy'ego, jeszcze raz przywala mu w ramię, po czym proponuje, żeby się stąd wynieść i wydać kupę forsy na obiad.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, weźmiemy mój samochód – mruczy do Mundy'ego, gdy już są w alejce. – Jest czystszy niż twój.

W bmw Amory nadal nie zdejmuje czapki, ale po jego wesołości nie ma już ani śladu. I jakoś przestało mu się śpieszyć na obiad.

– Dobrze znasz to miasto, Edwardzie?

– Trzy lata w nim mieszkałem.

– Uwielbiam średniowieczne zamki. Najlepiej takie, które mają bardzo grube mury. I żeby grała orkiestra dęta albo coś takiego. Po drodze widziałem chyba coś w tym guście. Potem wpadniemy gdzieś na wursta.

Parkują na starym placu uniwersyteckim. Amory, jak zwykle tajemniczy, ma pozwolenie.

Mundy z minami Amory'ego miał do czynienia przez pół własnego życia. I wie, że jego dawny szef do tej pory znosił napięcie i sukcesy z tą samą wystudiowaną obojętnością. Poza tym za każdym razem, gdy próbował dowiedzieć się czegoś o jego prywatnym życiu, stawał jakby przed zamkniętymi drzwiami. Do dziś nie wie na pewno, czy Amory jest żonaty, czy ma dzieci. Kilka razy, w chwilach udawanej szczerości, Amory napomykał coś o nieskończeniu cierpliwej żonie i sukcesach dwojga studiujących dzieci, ale Mundy nigdy nie mógł być pewny, czy Nick nie wziął tych opowieści z książek Johna Buchana. W efekcie pozostał dla Mundy'ego taki, jaki był wtedy, gdy zobaczył go pierwszy raz przy swym węzłowie w wojskowym szpitalu w Berlinie: zawodowcem bez reszty poświęconym swej pracy, nieprzekraczającym pewnych granic i niepozwalającym innym na ich przekraczanie.

I właśnie dlatego Mundy jest trochę wytrącony z równowagi, gdy zauważa u swego mistrza i nauczyciela pewne oznaki wahania. Nie spodziewał się utraty pewności siebie przez tego ostatniego dorosłego, który mu w życiu pozostał. Obaj wspinają się stromą brukowaną dróżką ku ruinom zamku. Dopiero gdy docierają do Muzeum Farmacji, gdy już stoją na ceglanej posadzce pochyleni nad szklaną gablotą z *materia medica* – dopiero wtedy Amory zdejmuje czapkę i wzięwszy głęboki oddech przez nos, mówi pierwszą część tego, co ma do powiedzenia:

– Moje instrukcje są jednoznaczne. Idziesz na żołd Rourke'a. Bierzesz udział w jego operacji aż do końca i potem też. Pracujesz dla Rourke'a tak, jakbyś pracował dla nas. Rozumiesz? – Zmienia obiekt zainteresowania i patrzy na drewnianą figurę Świętego Rocha Uzdrowiciela przedstawionego wraz z psem, który przynosił mu w chorobie chleb powszedni.

Mundy posłusznie pochyla się wraz z Amorym.

– Nie. Nie rozumiem – mówi ze stanowczością, którą zadziwia sam siebie.
– Nie rozumiem. Niczego nie rozumiem.

– Ja też nie. I jak się domyślam, nikt z naszych służb też nie rozumie.

Już nie z „firmy”, „biura”, „fabryki”. Amory może i mówi szeptem, ale też otwartym tekstem.

– Kto w takim razie dał ci te instrukcje? – pyta głupio Mundy, gdy kierują

się z powrotem na załoczony dziedziniec.

– Nasi panowie i władcy. A niby kto? – warczy Amory, jakby to Mundy, a nie on, powiedział coś niedorzecznego. – Doradca doradcy Najjaśniejszego Pana. Czy kto tam mu robi na noc kakao. „Wykonać, nie gadać, tej rozmowy nie było”. No to wykonuję.

Ale jednak gadasz, myśli Mundy, gdy schodzą stromymi kamiennymi stopniami za grupą puszystych Francuzek.

– Nie wiesz przypadkiem, jak naprawdę nazywa się wielki Dimitrij? – mruczy Amory wprost do ucha Mundy’ego.

Dotarli do ciemnej piwnicy ze sławną Wielką Kadzią. Otaczają ich wycieczki francuskie, japońskie i niemieckie, lecz anglojęzycznych akurat nie ma. Amory korzysta z zagłuszającego jego słowa wielojęzycznego gwaru.

– Myślałem, że ty mi powiesz – odpowiada Mundy.

– To, co wiem o Dimitriju i w ogóle o każdym elemencie całej tej tak zwanej operacji, zmieściłoby się na końcu bardzo cienkiej szpilki – mówi Amory.

– Ale Rourke chyba wie, na miłość boską!

– Prawda, że tak by się przynajmniej zdawało? – potakuje Amory i z podziwem przygląda się potwornych rozmiarów beczce na wino. – Normalnie byłoby to całkiem logiczne, że ktoś, kto dzień i noc poluje na największego zbrodniarza naszych czasów, powinien wiedzieć, jak typ się nazywa.

– A pytałeś go?

– Nie wolno. Z kochanym Jayem nie rozmawiałem od czasu jego oficjalnej wizyty na Bedford Square. On teraz jest zbyt tajny. Wszelkie kontakty z tym czarującym panem muszą się odbywać przez odpowiednie kanały.

– Jakie znowu kanały? – pyta Mundy zdumiony wykazywanym przez Amory’ego brakiem szacunku dla tradycji firmy.

– Przez jakiegoś nowego geniusza z amerykańskiej ambasady w Londynie, którego tytułuje się nadzwyczajnym oficerem łącznikowym do spraw obronnych i który jest taki ważny, że nie gada nawet z własnym ambasadorem – odpowiada Amory długą, starannie ułożoną wiązką. Znow są na schodach i po chwili wychodzą na światło dzienne.

Do Mundy’ego zaczyna docierać – nic dziwnego, że dopiero teraz, bo to bezprecedensowa sytuacja – że Amory jest w jeszcze większej rozterce niż on. I że złość Amory’ego idzie o lepsze z dyskrecją.

– A co, Edwardzie, nie zauważyłeś, że weszła w życie nowa polityka obronna? – oznajmia na tyle głośno, że każdy, kto chce, może go usłyszeć. – I że opiera się na założeniu, że wszyscy ludzie na świecie pragną żyć tak, jak żyje się w Dayton w stanie Ohio? Po bożemu. Nie musisz zgadywać, o czyjzego Boga chodzi.

– A skąd Dimitrij bierze tyle forsy? – pyta Mundy, usiłując kurczowo trzymać się faktów. Ruszają w dół, z powrotem ku miastu.

– No jak to, kochany? Od tych wszystkich paskudnych Arabów. Niby skąd? Odwala za nich brudną robotę tu, w Europie, zbiera pod jednym sztandarem wszystkich euroanarchistów, więc wart jest każdego centa – odpowiada niedbale Amory. – O, rude wiewiórki – dodaje tym samym tonem, spozierając w koronę wysokiego dębu. – A już myślałem, że szare wszystkie je wyżarły.

– Nie wierzę, że Sasza o tym wie – upiera się Mundy, zapominając w swym wzburzeniu o „naszym kumplu” czy „kolesiu”. – Nie wierzę, żeby był taki, jak opisuje go Rourke. Sasza się zmienił, ale złagodniał, dorósł. Rourke sieje wiatr.

– Oj, sieje, sieje. A wiesz, skąd ten wiatr wieje? Z korytarzy Białego Domu i Kapitolu. Wieje jak diabli. – Amory znów urywa, by zdążyć ich wyprzedzić dwaj szczupli chłopcy w *Lederhosen*. – Masz rację. Nie sądzę, by nasz kumpel, czy raczej twój kumpel, cokolwiek o tym wiedział. Biedak – ciągnie w zamyśleniu. – Zresztą zawsze był naiwny, nie? Wygląda na to, że je Dimitrijowi z ręki. Poza tym zbyt jest zajęty werbowaniem tych wszystkich profesorów lewaków i gromadzeniem podstawowych księgozbiorów kontrkultury. Same interesujące pozycje, Edwardzie. Powinieneś je kiedyś przejrzeć.

To już dla Mundy’ego zbyt wielki kontrast z poprzednimi drwiącymi uwagami o kolekcji Saszy. Wchodzą właśnie na Rynek Zbożowy. Na środku placu Matka Boska z brązu ukazuje z dumą swe Dzieciątko i równocześnie depcze stopą bestię protestantyzmu.

– A swoją drogą to Rourke już nie pracuje w agencji – mówi Amory. – Zapomniałem ci powiedzieć? Cztery lata temu związał się z grupką bawiących się w wielką politykę biznesmenów imperialistów. Głównie nafciarze, ale związani z przemysłem zbrojeniowym. I bardzo bogobojni. Wtedy byli na marginesie, ale teraz znacznie przybyło im publiczności. Porządni ludzie. Zupełnie jak dawniej nasi angielscy budowniczo imperium. Miałem nadzieję, że my przynajmniej wyrośliśmy z tego. – Są już w samym centrum

miasta, Amory zna drogę na pamięć. – Niestety, do tej pory mało zajmowałem się polityką, a teraz jest już trochę za późno – zauważa ze swym uśmiechem na każdą pogodę. – Ale mam nadzieję, że cię nie zniechęciłem. W końcu to, że usłyszałem parę mało wiarygodnych plotek, nie powinno przeszkodzić żadnemu z nas w służeniu ojczyźnie dokładnie tak, jak mamy nakazane. – Teraz jego głos aż ocieka sarkazmem. – A z punktu widzenia naszych panów i władców, niezależnie od tego, czy siedzą w Waszyngtonie, czy na Downing Street, liczy się tylko to, czy ta cudowna operacja przysłuży się sprawie jedności europejsko-amerykańskiej w naszym jednobiegunowym świecie. Twoja misja jest dla nich absolutnie... – Na próżno szuka odpowiednio mocnego słowa.

– Alfa plus plus? – podsuwa Mundy.

– Dziękuję. A jeżeli swoją rolę odegrasz śpiewająco, w co nie wątpię, hojność ich będzie bez miary. Fury gotówki tylko czekają na szczęśliwego zwycięzcę. A te ordery, tytuły, stanowiska... Proś, o co chcesz. Znam twoją przekupność od dawna, więc musiałem ci to powiedzieć.

– Szczerze mówiąc, Rourke też obiecał mi złote góry.

– No pewnie! A jak! A coś ty myślał? Podwójna premia. Bierz, należy ci się. A skoro mówimy o liczbie dwa... – Amory zniża głos. Stoją ramię w ramię przed Domem pod Rycerzem, podziwiając jego wspaniałą barokową fasadę. Pada deszcz, inni przechodnie pochowali się w bramach. – Zastanów się jeszcze nad taką możliwością, Edwardzie. Przypuśćmy, że nasz brat Jay i nasz Dymitr Niesamozwaniec wcale nie skaczą sobie do gardeł, choć ideologicznie powinni... – urywa. Czekają, aż oddali się grupka zakonnicy. – Słuchasz mnie?

– Staram się.

– Więc przypuśćmy, że Dimitrij i Jay wcale nie są śmiertelnymi wrogami, tylko dwoma końmi z tej samej stajni. Ma to dla ciebie jakiś sens?

– Nie.

– No to się zastanów, Edwardzie. Wysił te swoje nieprzepracowane szare komórki. Możesz się w tym rozeznąć równie dobrze jak ja, jeśli nie lepiej. Łganie za ojczyznę to szlachetny zawód, pod warunkiem że wiadomo, jaka jest prawda. A ja tego już niestety nie wiem. Więc powtórzmy za naszymi panami, że tej rozmowy nie było. I służmy ślepo królowej i ojczyźnie, choć wiemy, że obie są tylko firmami z pełnym udziałem naszego Supermocarstwa Jedyne. Zgoda?

Mundy ani się zgadza, ani nie zgadza. Zbliżają się już do Universitätsplatz, gdzie Amory zaparkował bmw.

– Ale – odzywa się znów Amory – na wszelki wypadek, gdybyś postanowił jednak, że chcesz oddalić się stąd jak najszybciej i jak najdalej, mam dla ciebie dwa paszporty. Jeden dla ciebie, drugi dla twojego koleśka w uznaniu przysług, które nam oddał ten mały sukinsyn. Przepraszam, że nie mogłem załatwić jeszcze trzeciego dla Zary, ale przynajmniej jest w bezpiecznym miejscu. Znajdziesz je w kieszeni w drzwiach bmw od strony pasażera. Są zawinięte w stary „Süddeutsche Zeitung”. Jest tam też trochę forsy. Nie za wiele. Tylko tyle udało mi się wykraść z różnych nielegalnych funduszy. – Twarz Amory’ego staje się jeszcze smutniejsza; teraz wreszcie wygląda na swój wiek. – Jest mi bardzo, ale to bardzo przykro – mówi wprost. – Żal mi i ciebie, i siebie. Nigdy nie umiałem dwóm panom służyć. Tylko nie mów swojemu koleśkowi, skąd to masz. Nigdy nie wiadomo, komu uwierzy następnym razem, no nie?

Docierają do bmw. Deszcz przestaje padać, więc Amory wkłada czapkę.

Trochę pochodził, trochę popił, ale niedużo – tyle, żeby nieco przytępić nerwy. Usiłował stać się z powrotem tym, kim był kiedyś, odwiedzić parę ulubionych miejsc, lecz zmieniły się i miejsca, i twarze. Z ławki na Starym Mieście próbował dodzwonić się do Zary do Turcji, niestety, bez skutku. Zresztą na pewno wita się z wszystkimi po kolei sąsiadami z okolicznych gospodarstw. Na pewno! Założę się, że już zmuszają ją do tańca, choć wcale nie trzeba jej zmuszać. To aż dziwne, że dziewczyna, która umie tak tańczyć, chce mieć cokolwiek do czynienia z taką tyczką jak ja.

Na wszelki wypadek z tej samej ławki zatelefonował jeszcze do biura podróży i dowiedział się, że samolot wylądował bezpiecznie, choć z trzygodzinnym opóźnieniem.

Na pewno komórka jej wysiadła. Zresztą czy ja gdzieś nie czytałem, że Amerykanie przesunęli gdzie indziej część satelitów komunikacyjnych? I że wiąże się to z zagrażającym całemu światu Saddamowskim arsenałem, który jak dotąd się nie objawił?

Idzie dalej. Gdzie oczy poniosą, byle nie przez most i w górę, do szkoły. Z dziecięcym podziwem przygląda się strzelistej wieży kościoła Świętego Ducha, jakby wyrzeźbionej na tle wieczornego nieba. Jak by to było wierzyć, ale tak naprawdę i do końca? Jak Zara, jak Mustafa, jak kumple Rourke’a?

Wiedzieć, ale tak naprawdę i do końca wiedzieć, że istnieje jakiś Bóg nieosadzony w żadnym konkretnym czasie i przestrzeni, który czyta ludzkie myśli lepiej niż sam człowiek, i to prawdopodobnie zanim człowiek je sobie pomyśli? Wierzyć, że to Pan Bóg wysyła ludzi na wojnę, że to Pan Bóg kule nosi, decyduje, które z jego dzieci zginie albo straci nogi, albo zarobi paręset milionów dolarów na Wall Street – w zależności od aktualnych wytycznych polityki zagranicznej?

W końcu jednak idzie na wzgórze. Już nie ma więcej wymówek i nie ma dokąd pójść. Gdyby wiedział, że Sasza wróci dziś z Hamburga – no, wtedy to by było co innego. Mógłby po niego wyjechać na lotnisko, stację czy dworzec autobusowy i powiedzieć mu: „Sasza, stary, zmywamy się”. Ale Sasza nie musi wiedzieć. Musi tylko zrobić to, co się mu każe.

„Zmywamy się? Teddy, ty to jednak jesteś śmieszny. Przecież mamy do spełnienia taką wielką misję! Znowu upadasz na duchu? Już? To może jednak znajdem kogoś na twoje miejsce?”

Idzie dalej. Może Pan Bóg da. Albo Rourke. Albo Dimitrij, skoro już podejrzewamy, że są z tej samej stajni. Na razie muszę iść do szkoły i czekać na Saszę. Potem przedyskutujemy, kto ucieka z kim, kiedy, jak i dlaczego. W wewnętrznej kieszeni marynarki trzyma złożony wzdłuż „Süddeutsche Zeitung”. Jeden z rogów gazety uwiera go w szyję. No, Edwardzie kochany, co za dzień! O której wstałeś? Nawet się nie kładłem, bo w środku nocy odwoziłem Zarę i Mustafę na lotnisko w Monachium, a potem już nie było kiedy. To pewnie jesteś zbyt zmęczony, by znowu zmierzyć się z mikrofonami? Może zrób sobie wolne, kochany. Przypnij na drzwiach karteczkę dla Saszy: „Poszedłem na noc Pod Błękitnego Dzika. Czekam. *Tschüss*, Teddy”.

Fałszywe paszporty wewnątrz gazety okropnie mu ciążyą. Te pieniądze z nielegalnych funduszy też, tylko że znając Amory’ego, ukradł je sobie, a nie żadnemu funduszowi. Amory’owie tego świata nie kradną. Służą ojczyźnie na dobre i na złe. Przynajmniej do czasu, gdy nagle stają twarzą w twarz z prawdziwym życiem. I wtedy opuszcza ich ta chorobliwa prostolinijność moralna, ich twarze tracą swój obojętny wyraz i stają się podobne do niezdecydowanych, za to prawdziwych twarzy innych ludzi. Oto kolejny przeterminowany bóg: rozsądny patriotyzm, do dzisiejszego popołudnia oficjalna religia Nicka Amory’ego.

W szkole nie palą się światła; nic dziwnego, przecież Mundy nie zapalał ich

przed wyjściem. Z drugiej strony młodzi ludzie z latarkami mogli znowu przyjść sobie poogłądać. Brama skrzypi. Trzeba będzie naoliwić. Powiem Stefanowi. Alejka jest nieco kręta, w ciemności wielkie stopy Mundy'ego co chwila zbaczają w wysoką trawę. Błąd – nie powinienem pić tego ostatniego drinka. Ależ tu cicho! I chyba zawsze tak było. Choć nie tak jak teraz. Przecież dziś sobota. Pewnie jest jakiś wielki mecz. Tylko że po drodze nie słyszałem żadnego telewizora ani nie widziałem niebieskiej poświaty w oknach.

Kluczem trafia do zamka za pierwszym razem. Stoi w ciemnym holu, usiłując sobie przypomnieć, gdzie elektrycy zamontowali nowe wyłączniki. Jestem w tym jeszcze gorszy od Trockiego. Sasza zawsze mi to mówił. W poświacie ze świetlika zakryta pokrowcami sterta książek góruje nad Mundym jak widmowy Wielki Inkwizytor. „Same interesujące pozycje, Edwardzie. Powinieneś je kiedyś przejrzeć”. Świetny pomysł, Nick. Mam przecież spore zaległości w lekturze. Obmacuje ściany, znajduje wyłączniki, lecz nie ma na nich przycisków, tylko pokręta. Dziś nic już nie jest proste. Światło go oślepia. Siada na schodach i znów próbuje dodzwonić się do Zary. Znowu nic. Nalewa sobie whisky z wodą, przenosi się na starą skórzaną kanapę pod ścianą i szuka w pamięci swego telefonu numeru gospodarstwa jej wuja, bez skutku jednak. I za żadne skarby świata nie może sobie przypomnieć ani jak się stary nazywa, ani jak się nazywa jego gospodarstwo. Za dużo „c” z ogonkiem i nieczytelnych znaczków.

Jeszcze jeden łyk szkockiej. Pomyśl. Zegarek po majorze pokazuje 22.35. W Ankarze jest o godzinę później. Mustafa pewnie bawi się na całego w tej nowej marynarce. Ciekawe, co teraz robi Jake. Pewnie szaleje w klubie studenckim w Bristolu. Ostatnio kandydował na skarbnika. Kate mówiła, że przyśle mi jego numer komórkowy. Ale nie przysłała. List pewnie utknął gdzieś w ministerstwie. Może doszedłby szybciej, gdyby napisała na kopercie: „Tajne”. No to zdrowie.

– I zdrowie wszystkich naszych słuchaczy – dodaje głośno i unosi szklankę ku ścianom. – Świetni z was faceci. I facetki też, oczywiście. Wasze zdrowie.

Tu można by urządzić porządny meczet, myśli, przypominając sobie wszystko, czego nauczył go Mustafa. Nie ma bezpośredniego wyjścia na ulicę, sala ma jedną ścianę wschodnią. Czyli się nadaje. W rogu można by urządzić miejsce na ablucje, mihrab tam, gdzie teraz kominek, tylko trzeba sprawdzić, czy rzeczywiście Mekka jest w tamtą stronę, tu kazalnicę, trochę kafelków w geometryczne wzory albo z wykaligrafowanymi wersetami z Koranu,

dywan, na nim maty do modlitwy i właściwie gotowe. No, Mustafa, jak mi idzie?

W końcu nie zabrałem go na basen. Cholera. Obiecałem, że pójdziemy jeszcze przed wyjazdem, ale potem zapomnieliśmy obaj. Zapamiętać: po powrocie zaraz idziemy na basen.

Znajduje monachijski numer Diny: „Jak tam Mo, Dina?”. „Okropnie tęskni, Ted. Nie, Dina też nie ma żadnej wiadomości od Zary, ale nawet się nie spodziewa; „Zara na pewno by zatelefonowała, gdyby coś było nie tak. Pewnie we wsi zabawa na całego”. „Pewnie tak”, powtarza za nią Mundy i zaczyna znów myśleć o Saszy. A gdzie ty się podziewasz, zasrany kurduplu? „Będę późno, Teddy. Wrócę późno, muszę się spotkać z tyloma wybitnymi profesorami...”

No ale jak późno, na miłość boską? O północy? O trzeciej nad ranem? Zresztą co go to obchodzi? Skąd ma wiedzieć, że siedzę tu jak zdenerwowana mama, która czeka na powrót piętnastoletniej córki z pierwszej randki? Pośpiesz się, mały sukinsynu, mam dla nas paszporty. Szybciej.

Wstaje i ze szklanką w dłoni wchodzi po schodach na strych. Na wszelki wypadek, gdyby jakimś cudem Sasza wrócił wcześniej i położył się spać w swym zaimprovizowanym legowisku. Wśród poduszek nie ukrywa się jednak żaden Sasza.

Mundy idzie z powrotem na dół. Teraz jest bardzo trzeźwy. Idzie jak wytrawny marynarz: jedna ręka dla whisky, druga dla statku. Jego ostrożnym krokiem przygląda się zakryta sterta skrzyń. „Powinieneś je kiedyś przejrzeć”. Mundy schodzi na parter i kieruje się do biblioteki. Wśród drabin, pokrowców i puszek z farbą znajduje skrzynkę z narzędziami. Bez kłódki. Ufny kolega stolarz. Porządny facet. Bierze młotek i to, co Des nazywał churchillem: łom o dwóch końcach w kształcie litery V. Wraca do holu, szklankę z whisky stawia na podłodze obok kanapy. Zdejmuje marynarkę, lecz kładzie ją na kanapie bardzo ostrożnie, żeby „Süddeutsche Zeitung” nie rozwinął się niebacznie przed kamerami.

Zdecydowanym, niemal mściwym ruchem ściąga pokrowce z zasłoniętej piramidy, zwija je i rzuca w kąt pomieszczenia. A masz. Z młotkiem w jednej ręce, z churchillem w drugiej wybiera pierwszą skrzynię i odbija wieko. W wyobraźni słyszy, jak niewidzialnej publiczności zaparło dech w piersiach. A jeżeli to poranek dla dzieci, pewnie wszystkie się drą: „Nie rób tego!” i: „Obejrzyj się!”.

I Mundy rzeczywiście się ogląda, choć tylko zerka przez okno, czy przypadkiem nie zajeżdża taksówka Saszy. Niestety nie.

Wiek odbite. Des wolałby, żeby to się odbyło trochę bardziej elegancko, Ted, ale Mundy'ego w tej chwili mało obchodzi elegancja. Teraz warstwa grubego papieru pakunkowego sklejonego grubą taśmą. Mundy się dziwi, że zrywa się go tak głośno. Skrzynia zawiera dwanaście tekturowych pudeł po dwanaście książek. Mundy myśli, że można by ułożyć zadanie: ile książek mieści się w całej skrzyni, jeżeli...?

Sasza mówił, żeby nie pracować bez listy. Pudełko pierwsze: Manuel Castells *Spółeczeństwo sieci*. Pudełko drugie: jak wyżej, ale przekład niemiecki. Pudełko trzecie: jak wyżej, przekład francuski. Przegląda kolejne pudełki, zagląda do każdego. Rozwala drugą skrzynię, trzecią. Na razie prowadzi Frantz Fanon, którego *Wyklęty lud ziemi* reprezentowany jest w dziewięciu wersjach językowych. A więc wielkie brawa dla naszego brata Frantza, który jechał aż z Berlina, by być tu dziś z nami.

Mundy po raz kolejny patrzy na zegarek po majorze. Dochodzi północ. Coś długa ta dogrywka, bo przez trzy lata mieszkania w tej dzielnicy nigdy nie było tu tak cicho.

A może to też tylko wyobraźnia: bo kiedy drga w człowieku każdy nerw, kiedy równocześnie leci z nóg i szaleje z niepokoju, kiedy siedzi w domu na podsłuchu z dwoma fałszywymi paszportami w kieszeni marynarki i czeka na maksymalnie wkurzającego przyjaciela, żeby jak najszybciej zabrać go stąd, to przecież nic dziwnego, że dźwięki – a raczej ich całkowity brak – zaczynają nabierać właściwości nadprzyrodzonych.

Z początku myśli, że to głupia pomyłka pakującego.

Już kilka ich wyłapał: parę Adamów Smithów zawędrowało do złego pudełka, pół kompletu Thoreau upchnięto razem z Thorwaldem, a Doris Lessing z Gottholdem Ephraimem Lessingiem.

Lekko kręci mu się w głowie. Zaczyna podejrzewać, że to sprawka Saszy, może nawet swego rodzaju żart, bo dobrze pamięta, że dawno, dawno temu Sasza przywłaszczył sobie z magazynu Stasi miniaturowy aparat fotograficzny i przy okazji podręcznik partyzantki miejskiej, z którego nauczył się, że naświetlony film najlepiej wsunąć do prezerwatywy i przechowywać w lodach.

Tylko że to nie ten sam podręcznik.

I nie jeden przypadkowy egzemplarz.

„Książki, na które przewidujemy większe zapotrzebowanie, są w większej liczbie egzemplarzy” – słyszy jeszcze partyjny głos Saszy.

Rzeczywiście w większej liczbie: sześćdziesiąt. I nie ma ani słowa o lodach i aparatach fotograficznych, tak miniaturowych, jak niemiinurowych. Dzieło opisuje za to, jak domowym sposobem sporządzić bombę z płynu przeciw chwastom, jak najlepiej zabić kolegę szydełkiem, podłożyć mu materiał wybuchowy w samochodzie i toalecie, udusić go w łóżku garotą, utopić w wannie, zmiażdżyć mu tchawicę albo posłać szybem windy kulę ognia.

Bardzo ciężko przychodzi Mundy’emu wybrać kolejną skrzynię. Ma przeczucie, że przed taką publicznością nie wolno mu się pomylić. Stawka tego teleturnieju jest już bardzo wysoka. Wybierze złą skrzynię – odpada z dalszej gry.

Ale szybko się orientuje, że obrał najlepszą taktykę: odbija po prostu wieka wszystkich skrzyń po kolei i nie przejmuje się, czy zawierają akurat kanon kontrkultury, podręczniki dla przyszłych terrorystów, równiutkie rzędy szarozielonych granatów ręcznych w kształcie wydłużonych kul do krykieta, z wypukłościami na skorupach, by nie wysliznęły się ze spoconej dłoni, czy wreszcie coś, co jeśli wierzyć załączonej instrukcji, stanowi spory zapas detonatorów do bomb zegarowych.

W sumie więc nie minęło wiele czasu, nim Mundy zasiadł na podłodze holu wśród rozbitych skrzyń i rozpakowanych pudeł, papieru pakunkowego i trocin. Czuje się dokładnie tak jak dziecko, które rozpakowało wszystkie prezenty urodzinowe i nagle uświadamia sobie, że to już koniec.

I w panującej wokół nieziemskiej ciszy słyszy tylko łomot własnego serca i przytłumiony przez bijące w uszach tętno głos nieobecnego Saszy, który poucza go co do zamiarów wroga: „Oni chcą wrzucić nas wszystkich do jednego worka: liberałów, socjalistów, trockistów, komunistów, anarchistów, antyglobalistów, pacyfistów. Dla nich wszyscy jesteśmy *sympis*, różowi. Wszyscy nienawidzimy Żydów i Ameryki i wszyscy w skrytości ducha podziwiamy Osamę”.

Sasza milknie. Teraz Rourke zachwala zalety Heidelbergu: „Jak ktoś chce wbić klin między Amerykę a Niemcy, to Heidelberg pasuje jak ulał”.

Ale potem znowu wtrąca się Sasza z czymś jeszcze lepszym: „Cała lewica zostanie zdemaskowana jako kryptofaszyści, od razu wiadomo, co z nich za

sukinsyny, a europejskie drobnomieszczaństwo uklęknę przed amerykańskim Wielkim Bratem, by wziął je w opiekę”.

Jednak kropkę nad „i” stawia wspomnienie twarzy Nicka Amory’ego i jego z trudem hamowanego wzburzenia. No dobrze, wszystkie te wyrocznie powiedziały już, co miały do powiedzenia, teraz wszystko jest jasne – czas na kolejne z efektownych wejść Saszy.

Nie do końca wiadomo, co sprawiło, że Mundy znów popędził schodami na strych – przecież był tam dopiero godzinę wcześniej. Może grzechot karabinów maszynowych z ulicy? A może pandemonium, które zaraz potem rozpętało się wewnątrz budynku: granaty ogłuszające, dym i brzęk tłuczonego szkła, gdy kilkunastu mężczyzn wpadło przez każde z drzwi, rycząc na niego po amerykańsku, niemiecku i arabsku, żeby się nie ruszał, żeby stanął pod ścianą, żeby pokazał, co ma w rękach, i jeszcze inne takie?

Zwykle zakłada się, że ludzie w obliczu takiego ataku uciekają częściej w górę niż w dół, więc może Mundy po prostu postępował zgodnie ze statystyką. A może pchnął go do tego jakiś jeszcze bardziej naturalny instynkt – wspomnienia z berlińskiej komuny, podświadoma chęć powrotu do niej – może nawet spodziewał się irracjonalnie, że Sasza zdążył na strych przed nim albo przynajmniej chciał, żeby wiedział, gdzie go szukać, gdy wróci z odwiedzin u swego najnowszego frankfurckiego guru. Aha, tylko że tym razem pojechał do Hamburga...

A może Mundy’emu wystarczył rzut oka na to, co się działo na zewnątrz?

Nie wiedział, jak długo siedział na podłodze otoczony rozpakowanymi zabawkami, nim rozpoczęła się strzelanina i nim ruszył ku schodom. Może parę minut, może kilka godzin. Człowiek, który widzi zaciskającą się wokół niego sieć, często traci poczucie czasu. Znacznie ważniejsze w tej sytuacji jest myślenie. Wygodna niewiedza, jak by powiedział doktor Mandelbaum, już nie wystarcza niezależnie od tego, jak nieprzyjemna jest rzeczywistość.

Mundy słyszy strzały, w zwolnionym tempie podnosi się, mówi do siebie niemal sennie: „Sasza, jesteś tam, na zewnątrz, tam jest niebezpiecznie”. Ale gdy o tym dłużej myśli, dochodzi do przekonania, że najpierw zajeżdża samochód, dopiero potem zaczęła się strzelanina. Albo jeszcze inaczej: samochód, strzały, pisk opon. A może jednak strzały, samochód zajeżdża, słysząc pisk opon? Tak czy inaczej, wyrzecz trzeba.

Wnętrze szkoły to teraz istne piekło: dym, błyski, wybuchy i dziki,

straszliwy wrzask. Nazwisko Mundy'ego i imię Saszy jest na ustach każdego z napastników. Mundy'ego dziwi najbardziej to – i temu poświęca bardzo wiele uwagi w tym dziwnie rozciągniętym i rozciągliwym czasie – że niektóre z tych głosów już kiedyś słyszał, gdy niezbyt przyjazne dłonie ładowały go do furgonetki, przeładowywały do helikoptera, rzucały twarzą w dół na żelazny pokład, a potem nagle przybrały ludzką postać, czule przynosząc mu gorącą kawę, papierosy, ciasteczka i unizone przeprosiny i przedstawiając się jako Hank, Jeff, Art i tak dalej.

No i czy całkiem oszalał, czy też dobrze słyszy, że nad tym całym wrzaskiem góruje głos Jaya Rourke'a? Trudno to ocenić, bo Mundy nigdy jeszcze nie słyszał, by Jay podnosił głos, ale mógłby się założyć, że pod strojem kosmity skrywa się ten sam Jay Rourke, którego kochany tatuś urodził się dwadzieścia pięć kilometrów od miejsca narodzin mamusi Mundy'ego. Dwadzieścia pięć kilometrów w linii prostej, jeżeli w Irlandii linie są proste, w co Jay ośmiela się wątpić.

A skoro już mowa o głosach, które słyszą podobno wśród sztormu tonący marynarze, to Mundy słyszy jeszcze jeden głos ze swej historii najnowszej i za diabła nie może dopasować go do żadnej konkretnej osoby, aż udaje mu się to dopiero kosztem nadludzkiego wysiłku umysłowego: Richard! Blondynek Richard, ten steward w marynarce i krawacie. Richard od Dimitrija. Richard, który wypłaca po tysiąc dolarów za fatygę wszystkim potencjalnym pracownikom niezależnie od wyniku rozmowy kwalifikacyjnej. I który pyta retorycznie, czym są pieniądze przy wielkim ideale.

A więc to tak, mówi sobie Mundy i powtarza określenie Amory'ego: dwa konie z tej samej stajni. Tylko że teraz te dwa koniki walą kopytami w drzwi. Należy dodać, że Mundy myśli sobie to wszystko, lecz nie pozostaje bezczynny. Dzielny a długonogi rugbista sam też szarżuje w górę po szerokich dębowych schodach, które zawsze tak mu się podobały. Kuszyka, trochę jak Sasza, bo jedna noga jakby mu ścierpła, poza tym czuje jakiś straszny ciężar na lewym ramieniu, dokładnie tam, gdzie spadł na niego sufit, choć może to nie sufit, tylko jakiś latający przedmiot albo taki rodzaj kuli, o którym opowiadano mu w Edynburgu, że używa się ich w samolotach i innych tego rodzaju delikatnych sytuacjach. Jak się taką dostanie, boli jak diabli i na ciele robi się placek ciekłego ołowiu, ale nie przebiłoby się nią nawet winogronowej skórki.

Udaje mu się dotrzeć na pierwsze piętro, potem przez drzwi na dawne

schody dla służby prowadzące na strych. W ślad za nim sypie się grad kul, odpryski tynku, kłęby dymu i stek wyzwisk, Mundy jednak nie traci głowy, wspina się dalej i gdy dociera na strych, orientuje się, że klęczy jak w meczecie, z tyłkiem do góry i twarzą w zakrwawionych dłoniach; udaje mu się jeszcze dowlec do okna i podciągnąć na parapet, by wyrzucić na zewnątrz.

A to, co widzi, jest zupełnie niewiarygodne: spektakl z rodzaju „światło i dźwięk”, ale taki, że warto przyjechać z daleka, by to zobaczyć. Przypomina sobie, jak zabrał kiedyś Jake’a do Caernarvon – a może do Carlisle? Były armaty, pikinierzy, halabardnicy, wieże oblężnicze, faceci lali z murów bardzo realistycznie wyglądający wrzący olej. Jake świetnie się bawił – przynajmniej raz miał udane ferie u rozwiedzionego ojca.

Jednak w pewnym sensie obecny show jest równie efektowny: reflektory, jupitery, światła sodowe, światła na długich wysięgnikach, migające światła radiowozów, *grüne Minnas* i karetok pogotowia w każdej uliczce prowadzącej na trawiasty skwerek przed bramą. Wszędzie światła – tylko nie w zaciemnionych sąsiednich domach, bo snajperzy nie lubią, żeby ktoś im zaglądał do okna.

A kostiumy? Fenomenalne, jeżeli komuś nie przeszkadza łączenie historii z nowoczesnością: antyterrorysty przemieszani z krzyżowcami króla Ryszarda Lwie Serce w kominiarkach, Murzynami zbrojnymi w topory, maczugi i czarnoksiężskie puzdra przy pasach, zachodniobierlińscy policjanci w pruskich hełmach ze strażakami przebranymi za esesmanów, ratownicy w blaszanych hełmach i czyściutkich białych fartuchach z czerwonymi – więc nie krzyżackimi – krzyżami. A wśród tego wszystkiego uwija się całe mnóstwo złośliwych czarnych elfów i goblinów, biegających od drzwi do drzwi i tylko patrzących, gdzie by komuś wyrzucić jakąś psotę.

Z kolei jeśli chodzi o efekty dźwiękowe, to zamiast *Eine kleine Nachtmusik* i huku dział jest sierżant z placu defiladowego w Marri, który wyrzuca z siebie niezrozumiałe rozkazy po angielsku, niemiecku i z tego, co Mundy słyszy, po pendzabsku też. A przy skwerku od strony ulicy stoi rzęsiście oświetlona biała taksówka. Wszystkie drzwi są otwarte na oścież, obok klęczy kierowca, w którego mierzą z karabinów dwaj faceci w maskach gazowych – kierowca to przecież ten sam herr Knau, który przywiózł tu Saszę kilka dni temu. Mundy pamiętał, że był chudy, ale teraz, związany, wydaje się całkiem przy kości.

Jednak niekwestionowaną gwiazdą tego przedstawienia, osobą, którą wszyscy przyjechali obejrzeć aż tutaj, jest Sasza bez swojej *Tarnkappe*, za to

z partyjną aktówką, Sasza, który kica po bruku w jednym bucie i macha wolną ręką w powietrzu, wołając: „Nie, nie!” zupełnie jak gwiazda filmowa, która prosi paparazzich, żeby nie dziś, dziś nie jestem zrobiona.

Utrata jednego buta paradoksalnie sprawia, że Sasza mniej kuleje. Nikt by się nie domyślił, bo teraz skacze zygzakiem, trochę jak dzieci z Kreuzberga przy grze w klasy. Czy to bruk zrobił się nagle za gorący? A może to taka zabawa? Ale nagle Sasza potknął się albo pośliznął, bo oto nasz mistrz upadł i toczy się po jezdni jak szmaciana lalka, Mundy’ego przy nim nie ma, by go podnieść, więc tocząc się, dalej wymachuje nogami i rękami, choć to chyba kule tak go toczą, nie on sam, niszczą go, rozrywają na strzępy i nawet gdy już na pewno nie żyje, tamci mu nie wierzą i na wszelki wypadek walą w niego jeszcze jedną salwę w stylu: „No to teraz wszyscy razem, chłopcy!”.

Tymczasem Mundy kurczowo trzyma się parapetu zakrwawionymi rękami, ale niestety nie ma już strychu tylko dla siebie. Stoją za nim dwaj antyterrorysty i przez otwarte okno wystrzelują serię za serią w kierunku zaciemnionych domów. Czynią to z takim spokojem, jakby byli na strzelnicy w Edynburgu. I choć naprawdę broni mają aż za dużo, chcą chyba za wszelką cenę zużyć całą amunicję, bo gdy tylko kończy im się w jednym karabinie, rzucają go na ziemię i podnoszą drugi.

Do towarzystwa na strychu dołącza teraz trzeci, wysoki facet, który mimo całego włożonego na siebie ekwipunku nie może ukryć swego niedbałego bostońskiego chodu. Cofa się przed Mundy, jakby się go bał, i wkłada pistolet z powrotem do kabury. Ale proszę nie myśleć, że to gest kogoś, kto chce pertraktować z rannym leżącym na podłodze. Ten zamaskowany, powolny w ruchach antyterrorysta potrzebuje broni na grubszego zwierza i w tym wypadku jest to coś tak wymyślnego, że ktoś nieznający się na takim sprzęcie, na przykład Mundy, nie wie nawet, w który otwór patrzeć. Strzelca to jednak mało obchodzi, bo gdy już oddala się od Mundy’ego na tyle, na ile pozwala rozmiar pomieszczenia – aż opiera się o przeciwległą ścianę – po prostu przykłada broń do ramienia i z wystudiowaną pewnością siebie wystrzeluje w Mundy’ego trzy szybkie snajperskie kule: jedną w czoło, dwie, już właściwie niepotrzebnie, w tułów, to znaczy w żołądek i w serce.

Ale Mundy i tak zdążył wziąć głęboki oddech na ostatni okrzyk w kierunku swego leżącego na skwerku martwego przyjaciela: „Trzymaj się, wszystko będzie dobrze, już idę!”.

15

Szturm na akademię w Heidelbergu – bo tak górnolotnie ochrzciły natychmiast to wydarzenie środki masowego przekazu na całym świecie – odbił się echem na dworach starej Europy i Waszyngtonu. Był wyraźnym sygnałem dla wszystkich przeciwników amerykańskiej polityki konserwatywno-demokratycznego imperializmu.

Przez pierwsze pięć dni prasa i telewizja musiały zachowywać coś w rodzaju zadziwionego milczenia. Były oczywiście nagłówki – i to bardzo sensacyjne – ale faktów jak na lekarstwo. Z tej prostej przyczyny, że siły bezpieczeństwa przeprowadziły całą akcję jakby w zamkniętym studiu telewizyjnym.

Na czas operacji ogrodzono cały sektor miasta; zdeorientowanych mieszkańców przewieziono do lokali zastępczych, gdzie zajął się nimi specjalnie przeszkolony personel. I odcięto ich od świata, dopóki nie było po wszystkim.

Na miejsce zdarzenia nie wpuszczono ani jednego dziennikarza, ani jednego reportera, fotografa czy kamerzysty, dopóki władze nie upewniły się, że zabezpieczono absolutnie wszystkie dowody.

Gdy nad terenem akcji usiłował przelecieć helikopter pewnej stacji telewizyjnej, został zmuszony do lądowania przez amerykańskie helikoptery bojowe; zaraz po wylądowaniu pilota aresztowano. Na protesty dziennikarzy oznajmiono, że podobne ograniczenia obowiązują również w Iraku. „A co się stosuje w wypadku terrorystów w Iraku, stosuje się równie dobrze w wypadku terrorystów w Heidelbergu”, powiedział pragnący zachować anonimowość wyższy urzędnik Departamentu Obrony USA.

Nikt nie przeczył, że w szturmie wzięły udział amerykańskie jednostki specjalne – wręcz przeciwnie, choć to z kolei nie spodobało się niektórym lewicowym niemieckim specjalistom od prawa konstytucyjnego. Dziennikarzom przypomniano jednak, że Stany Zjednoczone zastrzegły sobie prawo „niszczenia swych wrogów zawsze i wszędzie, przy współpracy przyjaciół i sojuszników lub bez niej”.

Jakby na potwierdzenie rzecznik rządu niemieckiego mówił z pewnym zażenowaniem o „ignorowaniu sztucznych granic dla wyższego wspólnego dobra”. Powszechnie uznano, że owo „wspólne dobro” to wojna z terroryzmem.

Pewien sceptyczny komentator niemiecki nazwał rolę, jaką w operacji odegrały niemieckie służby bezpieczeństwa, „prawie dobrowolną koalicją po fakcie”.

Gdy do szkoły wreszcie wpuszczono dziennikarzy, było tam już trochę posprzątane, ale nawet to, co zostało, okazało się pierwszorzędnym materiałem. Ustalono na przykład, że z okien kryjówki terrorystów wystrzelono w stronę opróżnionych – na szczęście! – sąsiednich domów dwieście siedem pocisków. Brak strat wśród sił bezpieczeństwa uznano za opatrnościowy zbieg okoliczności. Komentator Fox News mówił wręcz o „palcu bożym”.

– Tym razem nam się udało – powiedział ten sam pragnący zachować anonimowość waszyngtoński urzędnik. – Weszliśmy tam i zrobiliśmy swoje bez zadrąsnięcia. Niestety, zawsze jest ten następny raz, więc za bardzo się nie cieszymy.

Oprócz dziur po kulach można było też fotografować plamy krwi na bruku, które zostały albo przeoczone przez sprzątających, albo pozostawione właśnie z myślą o prasie. Na podstawie ich układu łatwo dało się odtworzyć ostatnie chwile terrorysty A, który został obecnie zdemaskowany jako Sasza, mężczyzna w średnim wieku, były sympatyk grupy Baader-Meinhof, syn szanowanego pastora luterańskiego.

Jak ujawniły anonimowe źródła zbliżone do wywiadu USA, za czasów zimnej wojny Sasza był członkiem osławionej ernerdowskiej Stasi. Oprócz działalności szpiegowskiej zajmował się szkoleniem i wyposażaniem arabskich grup terrorystycznych.

Po upadku Muru Berlińskiego Sasza wykorzystał dawne kontakty i przystąpił do nieznanej dotąd bojówki arabskiej o domniemanych powiązaniach z Al-Kaidą. Wiadomości te przekazywano mediom na raty, by fantazja dziennikarska mogła zrobić swoje.

Pojawiły się również inne szczegóły mrocznej kariery Saszy, w tym jego bliskie związki z niemieckimi i francuskimi radykałami. Dokumentami znajdującymi się w aktówce, którą znaleziono przy nim podczas próby ucieczki, zajęli się eksperci.

Jednak najbardziej mrozące krew w żyłach odkrycia co do zamiarów terrorystów poczyniono oczywiście w tak zwanej Akademii Języka Angielskiego. Przez całe tygodnie – czyli aż do zamknięcia budynku ze względów bezpieczeństwa przez władze miejskie – zdemolowany budynek szkoły mógł współzawodniczyć z Czarnym Muzeum Scotland Yardu. Ekipy telewizyjne filmowały do upadłego, oddawały materiał i wracały po jeszcze. Wiadomości wszystkich szanujących się stacji telewizyjnych raczyły widzów kolejnymi sensacyjnymi ujęciami. W ślad za kamerami podążyła posłusznie prasa.

Niektóre z sal były tak podziurawione kulami, że według określenia pewnego dziennikarza, można by na ich ścianach ser trzeć. Schody prowadzące z holu wyglądały jak po storpedowaniu na płytce wodzie. Biblioteka, remontowana tuż przed bitwą, na nowo wymagała remontu. Marmurowy kominek obrócił się w proch i pył, ozdobny sufit był czarny od wybuchów.

– Kiedy źli ludzie strzelają do naszych, to oczywiste, że nasza odpowiedź jest zdecydowana – powiedział wciąż ten sam anonimowy urzędnik Departamentu Obrony.

Odpowiedź rzeczywiście była zdecydowana. Drzwi i okna straszyły pustymi oczodołami. Ze świetlika w stylu art nouveau, który posłużył za wejście dla jednej z grup antyterrorystów, została tylko kupka kolorowego szkła.

Od tego obrazu zniszczenia kamery i aparaty fotograficzne zwracały się czule ku jeszcze ciekawszym eksponatom: warsztatowi do produkcji bomb, arsenałowi broni krótkiej, pistoletów maszynowych i granatów ręcznych, skrzyń z substancjami chemicznymi, podręcznikami partyzantki miejskiej, wywrotową literaturą. Były też dwa fałszywe paszporty i pewna suma pieniędzy, które już na pewno nie posłużą terrorystom do niczego. No i najważniejsze: szczegółowe mapy amerykańskich ośrodków cywilnych i wojskowych w Niemczech i Francji – niektóre złowróźnie zakreślono już na czerwono – oraz główny dowód winy: plan amerykańskiego sztabu w Heidelbergu wraz ze zrobionymi z ukrycia zdjęciami wejścia i najbliższego otoczenia.

Liczbę terrorystów znajdujących się w szkole w chwili ataku określano na od sześciu do ośmiu. Eksperci od balistyki ustalili, że z budynku strzelano

z sześciu różnych sztuk broni. Tymczasem znaleziono ciała tylko dwóch terrorystów, w dodatku jeden nie zdążył dostać się do środka. Co się stało z resztą?

Mieszkańcy domów przylegających do ewakuowanej dzielnicy opowiadali o *grüne Minnas*, kursujących na światłach i sygnale przed ich oknami. Inni opowiadali o karetkach pogotowia eskortowanych przez radiowozy i transportery opancerzone. Żaden szpital nie zgłosił jednak spodziewanych w takiej sytuacji rannych, żadne z miejscowych więzień, żadna kostnica nie mogły się pochwalić dodatkowymi lokatorami. Z drugiej strony duża gęstość na tym terenie amerykańskich baz i ośrodków – od jedenastego września chronionych również najnowocześniejszymi środkami zabezpieczenia elektronicznego – sugerowała, że ewentualni jeńcy czy poszkodowani mogli zostać przetransportowani właśnie tam.

Zniszczenia wewnątrz budynku szkolnego uniemożliwiały dokładne określenie sytuacji wyjściowej. Pracownicy firmy remontowej, wypytywani przez dziennikarzy i policję, mówili, że na terenie szkoły kontaktowali się jedynie z dostawcami materiałów oraz z wysokim Anglikiem zidentyfikowanym jako Mundy. Resztki zastawy stołowej i żywności znalezione wśród gruzu nie wniosły nic nowego. Malarze też muszą jeść. Terrorysty, jak wiadomo, potrafią pić ze wspólnego kubka.

Wątpliwości nie rozwiał oficjalny komunikat: „Ujawnienie w tym momencie bliższych szczegółów mogłoby zagrozić trwającym operacjom o najwyższym znaczeniu. Aresztowano inne osoby znajdujące się w lokalu”.

Jakie osoby? W jakim wieku? Jakiej narodowości, płci, rasy? Gdzie przebywają? Czy już w Guantanamo?

„W tym momencie nie mamy nic do dodania”.

Jedyną osobą, która mogłaby rzucić nieco więcej światła na całą sprawę, był tajemniczy kierowca beżowego bmw z wypożyczalni, który w dzień szturm zabrał Mundy’ego z budynku. Świadcowie widzieli ich razem zwiedzających zabytki miasta. Nieznajomego określano niemieckim słowem *fesch* – elegancki, w dobrej kondycji, w wieku pięćdziesięciu pięciu, może sześćdziesięciu lat.

Bmw zidentyfikowano bez trudu. Wynajął je niejaki Hans Leppink, mieszkaniec holenderskiego Delft. Jego tożsamość potwierdziły dane z karty kredytowej, paszportu i prawa jazdy, ale władze holenderskie zaprzeczyły istnieniu takiej osoby, nie widziały też możliwości ustalenia, w jaki sposób

ktoś uzyskał tak wiarygodne dokumenty. Nie pozostawało więc nic innego, jak skupić się na obu zabitych terrorystach. Obaj mieli trochę ponad pięćdziesiąt lat.

Znacznie łatwiej przyszło zaszufładować Saszę. W tym właśnie celu sfrunęło ze swych gniazd całe stado specjalistów od psychologii terroru z mało znanych uczelni.

Ten typowy Niemiec, dziecko hitleryzmu, poszukiwacz absolutu, filozof krzykacz dla ubogich, raz anarchista, raz komunista, był w ostatnich czasach bezdomnym wieszczem radykalizmu dążącym do jeszcze bardziej ekstremalnych sposobów narzucenia społeczeństwu własnej woli.

Jego fizyczna ułomność i związany z tym kompleks niższości nasuwały skojarzenia z hitlerowskim ministrem propagandy Josephem Goebbelsem. Szybko ustalono, choć nie wiadomo, na podstawie jakich dowodów, że Sasza nienawidził Żydów.

Jego zerwanie z ojcem, demencja matki i powolna, a w świetle ujawnionych faktów podejrzana śmierć brata, której Sasza przyglądał się beznamiętnie u wezglowia chłopca, również zostały uznane za ważne elementy psychologicznego portretu terrorysty.

Czy był więc jakiś szczególny moment w życiu Saszy – zastanawiali się dalej owi mędracy – gdy nastąpiło swego rodzaju objawienie i Sasza zdecydował się wstąpić na drogę zbrodni i przemocy?

Pewna dziennikarka z „New York Timesa” była przekonana, że tak. Jak twierdziła, dowodów na to dostarczył jej z pierwszej ręki członek amerykańskiego wywiadu, tak skromny i nieuchwytny, że aż anonimowy, kierujący całą operacją unieszkodliwienia Saszy i jego brytyjskiego współnika. Zachwycona pani redaktor została zobowiązana do nieujawniania żadnych szczegółów na temat swego informatora. Z własnej inicjatywy dodała, że był wysoki, nieco nieprzystępny i że był „dokładnie takim mężczyzną, o jakim marzę, by zaprosił mnie na kolację, i oczywiście nigdy nic z tego nie wychodzi”.

Superman wyznał jej, że Sasza często mówił o swym pobycie „na puszczy”.

– Może uznasz, że zwariowałem, Sally, ale osobiście jestem przekonany, że gdy Sasza przebywał na tej swojej „puszczy”, dokonała się w nim jakaś przerażająca samorzutna przemiana o charakterze pseudoreligijnym. W porządku, był ateistą, ale był też synem pastora. Wiadomo, że miewał

halucynacje. Może był narkomanem, choć nie mam na to bezpośrednich dowodów – dodał, mówiąc jak człowiek, który chce być zawsze w zgodzie z prawdą.

Jednakże dociekliwość dziennikarska zyskała naprawdę duże pole do popisu w przypadku Teda Mundy'ego. Ten dopiero stał się przedmiotem szczegółowej analizy: urodzony w Pakistanie reprezentant dobrej angielskiej szkoły w krykiecie, syn oficera, wyrzucony z Oksfordu berliński anarchista, szeregowy pracownik British Council, niefortunny pedagog i sympatyk islamu... Jedno z pism ilustrowanych poszło nawet śladem psa imieniem Mo. „Mo czy Mao?”, krzyczały nagłówki wspomnianego pisma; na kilka jego numerów Mo stał się psim odpowiednikiem sanek obywatela Kane'a.

Cichym współczuciem otoczono byłą żonę Mundy'ego, Kate, obecnie szczęśliwie poślubioną jedną z szarych eminencji Nowej Partii Pracy. Kariera ambitnej parlamentarzystki z okręgu Doncaster Trent stanęła nagle pod znakiem zapytania.

– Nasze małżeństwo, choć trwało jedenaście lat, było w rzeczywistości znacznie krótsze – powiedziała Kate, która niechętnie zgodziła się stanąć przed kamerami, by wsparta na ramieniu swego drugiego męża odczytać z kartki przygotowane oświadczenie. – Nigdy nie było między nami otwartych konfliktów. Ted był człowiekiem na swój sposób nawet kochającym, ale bardzo skrytym. Przez większość spędzanego razem czasu jego myśli były dla mnie całkowitą tajemnicą, podobnie jak teraz będą tajemnicą dla wielu ludzi na całym świecie. Nie potrafię wyjaśnić, w jaki sposób stał się tym, kim się stał. Nigdy nie informował mnie nawet o istnieniu Saszy. Byłam też całkowicie nieświadoma jego działalności politycznej podczas studiów w Berlinie.

Stojący u jej drugiego boku Jake powiedział jeszcze krócej:

– Wraz z matką przechodzimy teraz ciężkie chwile – oświadczył ze łzami w oczach. – Prosimy o uszanowanie naszych uczuć, byśmy mogli otrząsnąć się jakoś po tej tragedii. – Na zakończenie popełnił błąd składniowy, po którym Mundy chyba bardzo długo przewracał się w grobie: – Jako mój naturalny ojciec zawsze będę miał w sobie pustkę nie do wypełnienia.

W końcu dzięki wysiłkom komentatorów udało się wyciągnąć ze skorupy terrorystę Mundy'ego.

Koledzy szkolni potwierdzili jego młodzieńczą obsesję na punkcie islamu.

Jeden z nich powiedział: „Mundy ciągle nazywał szkolną kaplicę meczetem”.

I jego skłonność do gniewu. Jeden z kolegów ze szkolnej drużyny krykietowej, mówiąc o szaleńczych niemal rzutach Mundy’ego, użył zdania: „On był tak cholernie agresywny” („Daily Mail”).

Inny kolega zwrócił uwagę na niezdrowe zainteresowanie Mundy’ego wszystkim, co niemieckie: „Był w szkole taki facet od wiolonczeli i niemieckiego. Nazywał się Mallory. Niektórzy chłopcy twierdzili, że to ukrywający się hitlerowiec. Ted robił wszystko, co Mallory mu kazał. Co chwila szpanował niemiecką poezją, dopóki nie powiedzieliśmy mu, żeby się zamknął”.

Dzięki przeciekom z amerykańskiego wywiadu dowiedziano się, że podczas swego pobytu – z niewyjaśnionych bliżej powodów – w Taos w stanie Nowy Meksyk Mundy zaprzyjaźnił się z dwójką radzieckich agentów odbywających obecnie kary długoletniego więzienia: z osławionym Berniem Lugerem, który pod pozorem malarstwa pejzażowego fotografował amerykańskie bazy wojskowe na pustyni Nevada, i z jego kubańską współpracowniczką Nitą.

Powszechne oburzenie i żądania przeprowadzenia śledztwa wzbudził fakt, że British Council zatrudnił osobę notowaną w Berlinie Zachodnim za chuligaństwo i nieposiadającą dyplomu wyższej uczelni.

Rzecznik prasowy British Council nie zaprzeczył jednoznacznie doniesieniom o utrzymywanych przez Mundy’ego tajnych kontaktach z tak zwanymi attaché kulturalnymi z londyńskich ambasad krajów komunistycznych. Jedno z czasopism pytało w nagłówku: „Dlaczego go nie wylali?”. Artykuł przynosił między innymi niepokojące stwierdzenie jednego z byłych kolegów z pracy Mundy’ego: „Ted nie robił w pracy nic, ale to nic. Nie mieliśmy pojęcia, jak to się stało, że go nie zwalniano. Jeździł tylko na konferencje kulturalne do demoludów albo wysiadywał nad kawą w kantine”.

Mundy’ego rozpoznał też stary wykidajło jednego z nocnych klubów Soho: „W piekle bym go poznał. Taki wysoki, chudy i coś za bardzo przyjacielski. Ja tam wolę, jak klient przychodzi w kapeluszu nasuniętym na oczy i długim płaszczu”.

Wszyscy byli jednak zgodni, że ostatecznych informacji o tym dziwnym człowieku udzieli dopiero niejaka Zara, dawna prostytutka i konkubina Mundy’ego w Monachium, gdy wreszcie zdecyduje się mówić. Brytyjscy korespondenci w Turcji od dawna szturmowali pewne więzienie na

przedmieściach Ankarę.

Zara, która, co znamienne, w dniu szturm uciekła wraz ze swym jedenastoletnim synem do Turcji, została aresztowana natychmiast po przylocie do kraju i jest obecnie systematycznie przesłuchiwana. Spekulowano, że Amerykanie tylko dlatego pozwolili jej na powrót do ojczyzny, że policja turecka znana jest ze skutecznych metod śledczych. Zara przybyła do Niemiec jako żona tureckiego gástarbeitera, odbywającego obecnie siedmioletni wyrok więzienia za napad z bronią w ręce. Zarę określano jako osobę o zdecydowanych przekonaniach religijnych, inteligentną, milkliwą, o silnej woli. Imam z jej monachijskiego meczetu – zatrzymany na czas nieokreślony – twierdził co prawda, że „nie była z niej żadna fanatyczka”, ale tej opinii zaprzeczyła jedna z jej współwyznawczyń, która odmówiła podania nazwiska: „Właśnie takich osób musimy się pozbyć z naszego środowiska, gdy wchodzimy w XXI wiek”. Później okazało się, że Zara pożyczyła od niej futro, którego nie oddała przed wyjazdem do Turcji.

Najnowsze wypowiedzi policji tureckiej świadczą o tym, że Zara, choć z początku stanowiła twarde orzech do zgryzienia, powoli zaczyna się przekonywać do współpracy z wymiarem sprawiedliwości.

Nic dziwnego, że gdy poważne środki masowego przekazu po obu stronach Atlantyku napisały już wszystko, co tylko się dało, o tych dwóch potworach wydanych na świat przez Wielką Brytanię i Niemcy, do głosu doszły też te same co zwykle i jak zawsze równie irytujące „opinie niezależne”.

Chodzi tu przede wszystkim o artykuł, który ukazał się na stronie internetowej pewnej organizacji walczącej o jawność w polityce. Nieodpowiedzialny artykuł nosił tytuł *Drugie podpalenie Reichstagu – spisek amerykańskiej prawicy przeciw demokracji*. Jego autor podawał się za wieloletniego pracownika angielskiego wywiadu, który ostatnio zrezygnował ze stanowiska i według własnych słów, „za napisanie tego artykułu może stracić uprawnienia emerytalne, a nawet zostać oskarżony o zdradę tajemnicy państwowej”. Osiaj jego artykułu było twierdzenie, że cały szturm, podobnie jak hitlerowska afera z podpaleniem Reichstagu, był jedną wielką mistyfikacją przeprowadzoną przez „agentów samozwańczej junty waszyngtońskich teologów neokonserwatyzmu zbliżonych do tronu prezydenckiego”. Dwaj zabici „terrorysty” mieliby być równie niewinni jak nieszczęsny van der Lubbe, rzekomy podpalacz sprzed II wojny światowej.

Autor, podpisujący się jako ARNOLD – nie ujawniono, czy to imię, nazwisko czy pseudonim, choć użycie wielkich liter sugerowałoby tę trzecią ewentualność – oskarżał „byłego nieuchwytnego pracownika CIA” o „zrobienie z Saszy i Mundy’ego swych kozłów ofiarnych”. Człowiek ten, oznaczony przez ARNOLDA literą J i opisany jako „farbowany amerykański chrześcijanin irlandzkiego pochodzenia”, miał jakoby wśród szanujących się przedstawicieli wywiadów angielskiego i amerykańskiego opinię nieobliczalnego wolnego strzelca.

Równie odrażającym współnikiem J w „drugim podpaleniu” miał być wysoce podejrzany Rosjanin z Gruzji, znany wyłącznie pod pseudonimem Dimitrij, zawodowy prowokator i konfident o pretensjach literacko-aktorskich. Po wielu latach pracy – często równoczesnej – dla KGB, CIA i Deuxième Bureau, mieszka obecnie w Montanie jako były świadek koronny; został w ten sposób nagrodzony za ujawnienie szczegółów planowanego ataku bombowego na amerykańską bazę lotniczą, który to atak sam zainspirował.

ARNOLD twierdził ponadto, że o ile urzędnicy z Downing Street nie chcieli zostać wtajemniczeni w szczegóły „drugiego podpalenia”, o tyle dali jasno do zrozumienia w nieoficjalnych rozmowach z waszyngtońskimi partnerami, że przyklasną każdej inicjatywie, która położyłaby kres francusko-niemieckiemu krytykanctwu w sprawie sposobu prowadzenia przez Amerykę – i Wielką Brytanię – wojny z terroryzmem.

Na dowód przytaczał właśnie „oś zła Heidelberg–Sorbona”, określenie chętnie używane przez prawicową angielską prasę, i polowanie na czarownice rozpętane przez tych, którzy chcieli postawić pod pręgierzem francuskich i niemieckich intelektualistów z szeroko rozpropagowanej tak zwanej „listy Saszy”, zawierającej nazwiska „trucicieli umysłów” („Daily Telegraph”), którzy z całą świadomością zgodzili się „wpajać w umysły naiwnej młodzieży trzy R pseudoliberalizmu: Radykalizm, Rewolucję i Relatywizm” (tamże).

W dalszej części artykułu zarzuty ARNOLDA stawały się jeszcze bardziej niepoważne. Pisał on, że Ted Mundy może i wyglądał na nieudacznika z British Council, ale w rzeczywistości miał być jednym z anonimowych bohaterów zimnej wojny – podobnie jak jego przyjaciel Sasza. Obaj przez wiele lat rzekomo zdobywali dla Zachodu bezcenne informacje o zagrożeniach ze strony bloku wschodniego. ARNOLD twierdził nawet, że Mundy został tajnie odznaczony brytyjskim orderem za odwagę. Informację tę szybko zdementowały źródła zbliżone do pałacu Buckingham.

Szczytem wszystkiego był zarzut ARNOLDA, jakoby J, za pośrednictwem sprytnie podstawionych pośredników, był jedynym udziałowcem firmy ochroniarskiej oferującej swe usługi amerykańskim biznesmenom i artystom odwiedzającym Europę, w której, jak wiadomo, aż roi się od terrorystów. Ta sama firma miałaby posiadać prawa autorskie do jedyne go filmu z operacji w Heidelbergu. Są to ujęcia zamaskowanych bohaterów w pełnym wyposażeniu antyterrorystycznym, w kłębach hollywoodzkiego dymu szturmujących dach budynku. Między kominami widać w tle skwer przed szkołą, a na nim martwego euroterrorystę Saszę zastrzelonego przy próbie ucieczki. Sanitariusze biegną ku niemu po bruku; obok trupa leży stara aktówka. Krótki ten filmik, puszcza ny w kółko przez wszystkie stacje telewizyjne świata, przyniósł właścicielowi miliony dolarów.

Reakcja Downing Street na rewelacje ARNOLDA była wręcz pogardliwa. Jeżeli ów ARNOLD istnieje, niech się ujawni, by można było sprawdzić przedstawioną przezeń wersję wydarzeń. Jednak najprawdopodobniej ów niesłychany stek kłamstw został spreparowany przez nieodpowiedzialnych członków brytyjskiego wywiadu w celu zdyskredytowania Nowej Partii Pracy i podkopania jedyne go w swoim rodzaju sojuszu między Zjednoczonym Królestwem a Stanami Zjednoczonymi. Rzecznik Downing Street radził słuchaczom, by zajęli się ważniejszymi sprawami, takimi jak produkt globalny, obniżanie kosztów i wzrost wskaźników wydajności. „Daily Mail” przeprowadził frontalny atak na „kolejne go oszołoma ze służb specjalnych”, zastanawiając się, jaki jest prawdziwy cel takiego „szargania dobrego imienia narodu pod pretekstem jego obrony”.

Podsumowując całą tę przykrą sprawę, wysoko postawiony przedstawiciel sfer rządowych oświadczył, że niektórzy ludzie naczytali się po prostu George’a Orwella. Chodziło mu oczywiście nie o Downing Street czy Waszyngton, ale o szpiegów.

Na polityczne reperkusje wydarzeń w Heidelbergu nie trzeba było długo czekać. Przepowiednia Saszy, że inspirowany przez islamistów euroanarchistyczny zamach w Republice Federalnej rzuci Niemców w otwarte ramiona amerykańskiego Wielkiego Brata, sprawdziła się co do joty. Początkowo socjaldemokratyczny kanclerz Niemiec beczelnie unikał zajęcia stanowiska, mówiąc wręcz o „tendencyjnych i przedwczesnych wnioskach

prawicy”, której notowania oczywiście wzrosły natychmiast po szturmie. Kanclerz szybko się zorientował, że przeciwstawia się opinii publicznej, i uznał, że musi zmienić kurs. Szybko zarządził przeprowadzenie niezależnego niemieckiego śledztwa w tej sprawie, a następnie wyraził ubolewanie, że jego kraj, który już raz został wykorzystany przez część terrorystów z jedenastego września jako baza operacji, „jakoby posłużył za teren dalszych bezsensownych aktów przemocy przeciwko naszym amerykańskim przyjaciołom”.

Konserwatywni przeciwnicy kanclerza i tak skrytykowali jego wypowiedzi jako nie dość unizone. Dlaczego tak długo zwlekano z tym oświadczeniem? Po co niezależne śledztwo, skoro wszystko zostało już wyjaśnione tak, że nawet idiota by się zorientował? I po co to „jakoby”? Na kolana, panie kanclerzu! Na kolana! Nie czytał pan ostatnich wyników ekonomicznych naszego kraju? Nie wie pan, że Ameryka będzie prowadzić interesy wyłącznie z prawdziwymi przyjaciółmi? Nie zdaje pan sobie sprawy, jak nas nienawidzą za Atlantykiem za to, że w sprawie Iraku trzymamy stronę Francji i Rosji? A teraz jeszcze to, *um Gottes Willen!*

W końcu jednak wszystko się ułożyło. Kanclerz zrobił, co mógł; można powiedzieć, że powstrzymał się tylko od odesłania do Waszyngtonu własnej głowy. Partie opozycyjne tym razem zachowały się solidarnie. Srogi rewanz finansowy ze strony Ameryki został chwilowo zawieszony w nadziei, że rząd federalny „zajmie bardziej konstruktywne stanowisko w odniesieniu do następnego etapu wojny z terrorem”, czyli w sprawie ewentualnej pacyfikacji Iranu. Między wierszami amerykańskiego komunikatu można było wyczytać, że ów rząd federalny będzie tym razem konserwatywny.

Sasha nie pomylił się też co do reakcji giełdy we Frankfurcie, której udało się wreszcie przełamać długi okres marazmu. Zachwycony komentator w jednej z największych niemieckich gazet pravicowych zauważył, że Günter Grass nawet nie wiedział, jak bardzo ma rację, twierdząc, że teraz wszyscy jesteście Amerykanami.

Tylko krnąbrna jak zawsze Francja nie poszła za przykładem wschodniego sąsiada i odmówiła posypania głowy popiołem. Anonimowy przedstawiciel wywiadu francuskiego określił listę lewicowych intelektualistów francuskich rzekomo związanych ze „szkołą euroterrorizmu w Heidelbergu” jako „anglosaski wymysł”. Nikt nie będzie szargał dobrego imienia wielkich

francuskich myślicieli i intelektualistów. Za szczególnie bezczelną uznano wypowiedź rzecznicy Pałacu Elizejskiego, według której „całe to zdarzenie na kilometr śmierdzi amatorską manipulacją medialną”. W Ameryce wylano do rynsztoków kolejne butelki francuskiego wina, przez jakiś czas bojkotowano francuskie restauracje, a na ulicach Waszyngtonu ceremonialnie spalono trójkolorowy sztandar.

Sprytna Rosja, choć uginająca się pod ciężarem własnych kłopotów gospodarczych, osiągnęła korzyść podwójną. Po pierwsze, uciszono ostatnie głosy „aspołecznej” opozycji tak w Dumie, jak i w środkach masowego przekazu, wykazując niezbitcie, że bezsensowne krytykanctwo zawsze prowadzi do terroryzmu; po drugie, w zamian za dalsze *désintéressement* w sprawie Iraku Waszyngton dał Rosji zielone światło do ostatecznego rozwiązania kwestii czeczeńskiej.

Postscriptum w tej całej sprawie dopisali jednak dwaj martwi terroryści. Okazało się, że obaj sporządzili testamenty, w których wyrazili podobne życzenie, by pochowano ich w grobach ich matek: Niemca Saszę w Neubrandenburgu, a Anglika Mundy’ego na spalonym słońcem wzgórzu w Pakistanie. Pewna dociekliwa dziennikarka odnalazła miejsce ostatniego spoczynku Mundy’ego. Podobno znad starego cmentarzyka nigdy nie podnosi się mgła, a rozpadające się chrześcijańskie groby są ulubionym miejscem zabaw w wojnę miejscowej dzieciarni.

Kornwalia, 9 czerwca 2003

Podziękowania

Serdecznie dziękuję sympatycznej ekipie w składzie: Sandy Lean, Ann Martin, Tony McClenaghan i Raleigh Trevelyan za informacje o Indiach i Pakistanie; imamie Halimie Krausen za jej nieocenione wyjaśnienia co do islamskich praktyk religijnych oraz Anthony'emu Barnettowi z openDemocracy.net i Judith Herrin za obraz brytyjskiego radykalizmu lat 60. i 70. Rady historyczne i redakcyjne, których udzielili mi Timothy Garton Ash, Gunnar Schweer i Stephan Strobel, znacznie przekraczają zwykłe zobowiązania płynące z przyjaźni. Dziękuję Konradowi Paulowi za Weimar, Lotharowi Mennemu za Berlin i nie tylko, Michaelowi Buselmeierowi za Heidelberg, a Johnowi Pilgerowi za mądre słowa przy kolacji. Muszę też przyznać się do długu wdzięczności względem wspaniałego dzieła Charlesa Allena Opowieści z Indii Brytyjskich.

Gorąco przepraszam prześwietny zarząd pałacu króla Ludwika w Linderhofie, który w rzeczywistości zatrudnia wyłącznie profesjonalnych i kompetentnych przewodników, nie ma w piwnicy schowka ogrodnika, a odwiedzający są zawsze kulturalni i zupełnie trzeźwi.

[1](#) Przeł. Krystyna Jackowska-Pociejowa (przyp. tłum.).

[2](#) Przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).